



Digitized by the Internet Archive
in 2026

<https://archive.org/details/banita0000vari>

Józefa Ignacego Kraszewskiego

Powieści historyczne obejmujące Dzieje Polski

BANITA

(Czasy Batorego)

Wydanie popularne skrócone.



1922

Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie
Poznań — Lwów — Lublin — Łódź — Wilno.

Printed in Poland

W puszczach Sandomierskich ku granicy Krakowskiego przypierających, stała znana wszystkim przeciągającym tędy karczma stara, zwana Borówką.

Powierzchność jej świadczyła, że mnogie już lata przetrwała, osłonięta lasami, zabezpieczona od wichrów i burzy. Ściany jej z dwu stron już popodpierać musiano, dach się pogarbił i porósł zielono, pomiędzy zeschłym drzewem szczeliny czarne w próchniejących miejscach przepuszczały wiatr i słoty...

Stała samiuteńka jedna, żadnej nawet szopki i kleci nie mając przy sobie, a wyglądała tak czarno, smutno i pusto, jak gdyby w niej już ludzi nie było...

Nowe drogi i gościńce wygodniejsze rzadko tu już podróżnych sprowadzały; jednakże rodzina izraelska, która od wieku zamieszkiwała w Borówce, trzymała się tego kąta, który dla niej stał się rodzinnym...

Nie obawiała się ona ani napaści, ani gwałtu, bo niczem przynęcić nie mogła, będąc sama ubogą. Jak wybladłe cienie przesuwały się, niby wpół uśpione tą ciszą i osamotnieniem, postacie kilku niewiast żółtych i chudych, i dzieci wynędzniałych.

Z czego żyli, było ich tajemnicą, bo zarobek od podróżnych, który mógł się nazwać jałmużną, bardzo musiał być lichy. Dawano postójne niechętnie, a silniejsi i butniejsi od niego się uwalniali, tak, że wiadra chować czasem było potrzeba, żeby grosz jaki zyskać.

Tego dnia jednak wczesnej wiosny trafiła się rzecz niezwykajna: zrana przybył tabór podróżnych, a w kilka godzin po nim nadciągnął drugi i oba spoczywały. Za czem nadciągnął trzeci, a pod wieczór i czwarty. Wszystko to było pańskie i dość gromadne orszaki, które nie tylko się z sobą godziły, ale zdawały się do jednej należeć rodziny.

Wypadkowe może, czy obmyślane spotkanie to — skłoniło podróżnych do przedłużenia niewygodnego pobytu w gospodzie, której arendarz schować się musiał ze strachu, tak tu ci przybysze własnowolnie a zuchwale się rzadzili.

Gdy czwarty oddział nadciągnął już pod noc, gospoda, choć dosyć obszerna, pełniuteńką już była, bo każdy z nich kilkudziesięciu liczył ludzi i niemało wozów i kolebek.

Izbę wielką zajęli czterej przybyli panowie, dla których tu stół gotowano, ławy powyścielano, ogień rozpalono i naznoszono tyle sprzętu podróznego, ile go stare domostwo, nigdy razem nie widywało.

Panowie wszyscy byli zamożni snać, nawykli do wygod, butni okrutnie, a służba ich tak zuchwała, że gospodarz się pokazywać nie ważył. Nie pytano go też o pozwolenie i rozrządzano się w szopie i po alkierzach żydowskich nawet, jak się podobało...

Staremu Żydowi ledwie szczupłą jedną pozostawiono komórkę.

Wiosna była młoda jeszcze bardzo, więc chłodna i wilgotna, bez ognia dla strawy i dla ogrzania obejść się nie było podobna; rozpalono go też w piecach, na kominach, na koniec w pośrodku szopy nawet, od którego się ona łatwo zająć mogła, lecz Żyd nie śmiał pisać słowa.

Drzewa suchego nie znalazłszy, gawiedź poradziła sobie, ścianę jedną wewnętrzną rozebrawszy w mgnieniu oka, którą na drwa porąbano.

Żydzi przez szpary spoglądali na to gospodarstwo, ręce łamali i lamentowali pocichu; stary może przeklinał tych nieproszonych gości, lecz odezwać się nie śmiał. Z samego głosu i ruchów czeladzi poznał on ludzi, z którymi niepodobna było się wdawać w rozprawy, a prośby mogły jeszcze rozdrażnić.

Modlił się tylko do Pana Boga, aby po noclegu co rychlej go od tej załogi uwolnił. Nie wątpił, że tak wieley i możni panowie na odjezdne mu coś rzucą, aleby wolął wyrzec się datku i strachu.

Orszaki panów nie wszystkie były do siebie podobne, ani równie liczne; jeden szczególnie pomiędzy nimi liczbą, uzbrojeniem, końmi i przepychem celował. Ludzie też, z których się składał, dobrani, chłop w chłopa, zdawali się wszyscy do wojaczki stworzeni... i butę mieli okrutną.

Z dosłyszanych tu i owdzie wyrazów, gospodarz się dowiedział, że pomiędzy przybyłymi był kasztelan i inni dostojnicy. Zdawało mu się też, gdy czwarty przybył pod wieczór, że na niego oczekiwano i że zjazd w Borówce umówiony był zawczasu.

Dlaczego jego biedną szopę wybrano właśnie na tę jakąś naradę, Żyd sobie wytłómaczyć nie umiał, ani się chciał domyślać. To pewna, że ani położenie jej, ani droga, przy której leżała, nie usprawiedliwiała wyboru, chyba tylko zu-

pełne osamotnienie wśród lasów, które tu niepostrzeżonym swobodnie i bez oczu ciekawych zejść się dozwalało...

Najliczniejszy i najpokaźniejszy orszak, chociaż pan jego wiekiem nie był najstarszym, rej wodził widocznie, tak, jak on sam w izbie najgłośniej przemawiał, najserdeczniej się śmiał i najsrożej huczał. Rozmowa bowiem w serdecznych powitaniach rozpoczęta, wkrótce się niemal we wrzawliwy spór zmieniała.

Ci czterej podróżni, którzy w istocie do Borówki się zjechali naumyślnie, aby z podejrzliwych oczu ludzi zszedłszy, swobodnie się o swych sprawach naradzać, byli to czterej z ośmiu niegdyś braci Zborowskich, synów tego Marcina, o którym głośnie było onych czasów podanie, iż nigdy w życiu żadnej sprawy w sądach z nikim nie miał, bo jurystów i pieniądza nienawidził.

Z Jastrzębców, tego czasu już rozrodzonych, a mnogie nazwy noszących, od imion posiadanych, — rozsypanych po całym obszarze Rzeczypospolitej z Mazowsza począwszy aż do jej kresów, Zborowscy bodaj nie najznaczniejsze i najwybitniejsze zyskali stanowisko. Ani im majątności rozległych nie brakło, ani koligacji, które z pierwszemi domy w Rzeczypospolitej łączyły.

Na animuszu też ichomościom nie zbywało, ani na męstwie, i nauki nie brakło, ale wszystko psuła ta krewkość i popędliwość, dla której często jednej chwili tracili, uniósłszy się, co długimi laty odzyskać się nie dawało.

I teraz właśnie rodzina znalazła się w podobnem położeniu, od czasu onego pamiętnego zabójstwa Wapowskiego i zajścia z panem Tęczyńskim, dla którego Samuel, mimo wdzięczności dla Henryka króla, z kraju musiał być wywołanym.

Chociaż wiele sobie z tej banicji nie czyniono, zwłaszcza od czasu ucieczki Henryka, a po obiorze Stefana Batorego, — zawsze wyrok ten, wiszący mieczem Damoklesowym nad głową jego, dawał prawo pierwszemu lepszemu do nastawiania na życie.

Tylko, że na Zborowskich się porwać, zwłaszcza na Samuela, — nie lada człeka było potrzeba.

Po ogłoszeniu banicji, która całą rodzinę i przyjaciół jej przeciw królowi rozszalała i zburzyła, wyjechał był pan Samuel zagranicę i tułał się, ale pańskim obyczajem z poczem wielkim, po różnych dworach zagranicą. Wtedy, powiadano, i do Siedmiogrodu do Stefana Batorego zawędro-

wawszy, miał mu pierwszy poddać myśl starania się o polską koronę i znaczne poparcie swoich zapewnić.

Prawdą to było czy nie, pewna, że po wyborze Stefana, chociaż banicji z niego nie zdjęto, Samuel po kraju jawnie się nosił, jeździł, na zgromadzenia szlachty bezkarnie się stawiał, a nawet, co królowi tajem być nie mogło, na wyprawę moskiewską pod Połock z ludźmi się stawiał i nikt mu nie rzekł słowa.

Rzec tedy było można, że banicja na nim przyschła i była tylko zagojonej rany blizną. I takaby ona może w końcu się stała, gdyby niespokojny umysł Samuela i braci jego nie rozjątrzył starego bólu na nowo.

Wzrost nagły Zamojskiego, którego Zborowscy pogardliwie „Szarakiem“ nazywali, chłodne przyjęcie ich przez króla i odmówienie jurgielu i urzędów, jakich się spodziewali, — popchnęło Zborowskich do takich kroków, iż z Zamojskim, a przez to i z królem samym w otwartą popadli wojnę.

Zarzucano wiele Samuelowi, bo na oku był, a od zabójstwa Wapowskiego smutnej nabrał sławy i sądzono go do wszelkiego zła skłonny. Prawdą, że pomiarkowania nie miał, że gęby nie strzymał tak samo, jak ręki, że często więcej nią grzeszył, niż czynem, a dwór jego i przyjaciele, sądząc, że go wynoszą, wieszali na nim najgorsze łachmany wymysłów własnych; — ale z całą szparkością i krewkością, butą i porywczością zachował Samuel w sobie coś szlacheckiego i w pierwszej chwili zawsze ku dobremu go serce wiodło, choć potem głowa na bezdroża wpędzała.

Wielce do niego na oko podobny Krzysztof, bo i z twarzy i z ducha, z mowy i z ruchu Samka przypominał, daleko od niego był gorszym. Temu chciwość i ambicja godziny spokojnej nie dawały, a zawieść serce mu jadła, gdy cudze powodzenie widział.

Ci, co go lepiej znali i wiedzieli, co zaczął być, mówili, że tak samo djabłu by służyć był gotów, byle mu jurgielt i bogactwa zapewnił.

Taż sama gorąca i niecierpliwa natura, która u Samuela wybuchała niepowstrzymywana, kipiała i w Krzysztofie, ale zamknięta i zduszona. Z mowy tylko i ruchów gorączkowych poznać było można, iż się nieustannie hamować musiał, chytrą zażywając, jak ten, co kilku panom na raz służąc, nie radby się wydać ze sromotnem swem zdradzieństwem.

Jeżeli kto, to on najwięcej Samuela jątrzył, a rad go był za swe narzędzie używać, nie dając mu tego poznać, pod-

suwając myśli, które za Samuelowe głosił, choć mu je narzucał.

Spiski też owe, trucizny i zasadzki na króla i hetmana, o których tyle mówiono, nie zrodziły się w umyśle Samuelowym, który prędzej z nieprzyjacielem wstępnym bojem, niż pokątnem knowaniem rad się był rozprawiać.

Ale Krzysztof umiał wmówić w niego, co chciał, i kota, jak zażądał wywracać, tak, że bratu białe czarnem, a czarne jasnem potrafił okazać.

Lekkomyślny i namiętny Samko, gdy raz pochwycił co z ust brata a do serca wziął, jeszcze bujniej się to w nim rozrastało.

Najstarszy Jan, kasztelan gnieźnieński, mąż był już dojrzały i uspokojonego ducha, choć miał też samą krew, męstwo i żywość umysłu, co i bracia. Raz na inną wszedłszy drogę, już z niej nie zbaczał, stale się wytkniętej trzymając.

Co bracia jego na szarpanie się namiętne zużywali, Jan na stateczne postępowanie w jednym kierunku obracał. Był też i królowi miłym i Zamojskiemu niepodejrzanym, chociaż nie można rzec, aby blizkie pokrewieństwo z Samuelem i Krzysztofem na niego cieniu pewnego nie rzucało.

Przybywał, oprócz wymienionych i czwarty brat, Andrzej, którego inaczej oznaczyć nie można, tylko jako pośredniego charakterem pomiędzy Janem a Krzysztofem.

Za młodu we Włoszech wychowany, oglądy wielkiej, potem dworzanin cesarza Maksymiljana, czem się rad chlubił, sprzyjał po kolei przy elekcjach, to książętom włoskim, to Rakuszaninowi, ale i przeciwko Batoremu osobiście nie miał, choć go za małego panka uważał i lekko cenił.

Życie znacznie w nim namiętności przytępiło, ale dumą urósł wysoko i umysłem się nad rodzeństwem uważał wyższym, chociaż więcej oglądy miał z pozoru, niż istotnej wyższości. I on też dotkniętym się czuł, nie piastując nic nad marszałkostwo nadworne, które ledwie za szczebel do wyższych dostojeństw uważał.

Pomiarkowania i wstrzemięźliwości słowa nauczył go za młodu pobyt na cesarskim dworze, więc też z niego myśli prawdziwej nie było łatwo wydobyć inaczej, tylko naturę Zborowskich w nim budząc i drażniąc miłość własną.

Wybuchał i on, bo miał też samą krew, co i bracia, ale się rychlej hamował i nie puszczał sobie cugli, a nawet gdy się unosił, dworacka ogląda za daleko mu się posunąć nie dopuszczała.

Ponieważ wszyscy się oni z sobą kochali, więc też i Andrzej Samuela w wielu jego postępkach rozgrzeszał, bronił go i żarliwie stronę utrzymywał. Z Janem byli chłodno, ale szanowano w nim głowę domu. Zdanie marszałka niewiele może między braćmi ważyło, ale je szanowano i dlatego zjazd się bez niego obejść nie mógł.

Wielka izba gospody w Borówce, okopcona, ze ścianami, które od dymu palonych tu wieczorami skałek, miejscami czarno niemal połyskiwały, wszystkim czterem braciom służyć miała za obozowiska. W kominie i piecu palące się ognie, których czeladź pilno strzegła, aby nie wygasły, oświecały ją nierównym, migocącym blaskiem.

Wzdłuż ścian, u ław i na ławach służba panów Zborowskich poskładała odzież, futra, płaszcze, kobierce, oręż kosztowny i co z wozów zdjąć dla użycia kazano.

Od pierwszego powitania, bracia prócz tego, co się ich osób i rodzin tyczyło, nie rozpoczęli rozmowy o tem, co ich tu sprowadzało. Chociaż wszyscy taką tylką służbę i czeladź mieli tu z sobą, której się strzedz wcale nie potrzebowali, woleli za zgodą powszechną odłożyć rozprawę do chwili, gdy dwory i czeladź z kolei do jadła zasiądą i podchmielą sobie, aby ich zbyt nie podsłuchiwali i nie szpiegowali.

Zeszło więc tak do wieczora późnego przy kubkach na obojętnym gwarze o pospolitych sprawach, choć i tu o królu i hetmanie nie zapomniano. Naostatek podniósł się z ławy Jan, kasztelan gnieźnieński, i posiwiała głowę mśnawszy dłonią, okiem rzuciwszy dokoła stołu, przy którym siedzieli, ozwał się półgłosem:

— Czas do rzeczy przystąpić... Pozwaliśmy cię tu Samku w sprawie tego Niżu, o którym ludzie już plotą, że się tam na przekorę królowi wybierasz. A po co go nam przeciwko drażnić, gdy i tak dosyć ma niechęci, i co imię Zborowskich nosi, już mu podejrzane. Przytem z tego, co o Niżu wiemy, trudno wam wróżyć sukcesu. Zawichrzyć tam łatwo, a z chłopstwem ladajakiem, choćby hetmaństwo nawet od niego czekało, nie przystało Zborowskim wchodzić w przymierza.

Samuel słuchał, uśmiechając się i twarz mu drgać zaczęła, bo już pilno mu było wystrzelić odpowiedzi. Wszelako bratu starszemu chciał się dać wygadać.

Jan prędko skończył.

— Jeżeliś miał tę myśl na Niż do kozactwa jechać, rzuć ją z lichem, — na nic się nie zdała...

— A wy skąd, panie kasztelanie, ów Niż znacie, że o nim tak prawicie, jakbyście tam byli i naocznie się przekonali, że ono kozactwo do niczego? Chłopi są, mówicie? są i chłopi, nie przeczę, ale swobodni, a swoboda to wielka mi-strzyni, daje im takiego ducha, jakiego niejednemu szlach-cicowi przyszloby im zazdrościć. A no nie samo tam chłop-stwo na tych ostrowach i po tym stepie się zbiera; siła jest naszych braci, którzy doma sobie przykrzyli, albo od pomsty i sromoty głowę ratując, puciekali.

— To pewna, że ono kozactwo odważne, sprawne i na lądzie i na wodzie — wojownicy dzielni i tylko wodza im brak, aby z nich siłę stworzył, która nie samemu Turkowi i Tatarzynowi straszną będzie...

Przytem ich ostrowy i kamysze są taką twierdzą, że tam ich ścigać i dobywać nie może nikt... bezpieczni są. Co za dziw, że się takiemu wojsku hetmanić zachcewa!

Ono to jest ciasto, z którego dobra gospodyni kołacz upiec potrafi!

— A ty tą gospodynią być myślisz? — podchwycił z litościwem niedowierzaniem kasztelan. — Znamy się przecie i ja ci wielkich przymiotów męstwa, rzutkości, rycerstwa zaprzeczać nie myślę, a no, abyś na wodza miał potrzebne kwalifikacje, tego i miłość braterska nie potrafi przyznać.

Samko się cały poruszył i zadrgał, jakby go sma-gnięto.

— Myślicie tak, boście mnie wodzem nie widzieli — zawołał — ale ja w sobie czuję to, panie bracie, że czem ze-chcę być, tem potrafię.

— Dużoś rzekł — odparł Jan spokojnie — a daj Boże, aby w tem choć odrobina prawdy była. Jabym się temu cieszył, Bóg świadek. Pierwsza, czem nie potrafisz być, choćbyś chciał, to być — karnym i posłusznym!

Samuel rozśmiał się, rozbrojony.

— Ba! — zawołał — na to zgoda... A no, Zborowskich we mnie krew. Jarzma ona nie cierpi!

— A o tem nie wiesz — rzekł Jan — iż kto słuchać nie umie, ten rozkazywać nie potrafi.

— Kto to powiedział? — chmurno zapytał Samuel.

— Doświadczenie wieków — dodał kasztelan.

— Może ono być rzetelnem — przerwał Samuel chmur-no, — ale się stosuje do ludzi pospolitych. Nie zaprzeczycie mi, że są wyjątkowi, że takim ze krwi rodu hetmaństwo się należy, a nie posłuszeństwo. Ja w sobie czuję, że do gminu się nie liczę.

— Nikt z nas też — dodał Andrzej — nie zechce do niego należeć, i pan kasztelan też pewnie nie ostatnim się czuje.

Zamilkli wszyscy.

Rozmowa dotąd pomiędzy Samuelem a Janem zagona nie weszła na tor właściwy i kasztelan, zrozumiałwszy to, zwrócił ją w inną stronę.

— Mniejsza o hetmaństwo — rzekł — i o to, czem się kto czuje; nas tu wspólna sprawa familji ściągnęła. Za tego panowania, na którym najpiękniejsze pokładaliśmy nadzieje, stoimy z każdym dniem coraz gorzej. Nie mówię tego o sobie, bo się trzymam, jak mogę, aby i was w potrzebie ratować, ale wy wszyscy poszłście takimi drogami, które do zguby wiodą.

Samuel i Krzysztof spojrzeli na siebie i porozumieli się wzrokiem. Chciał mówić Samuel, lecz postrzegłszy, iż Krzysztof do odpowiedzi się gotuje, zamilkł, oczy zwracając na niego.

— A kto nas na te drogi wpędził? — zawołał Krzysztof. — Nie dobra wola, a konieczność; prześladowano nas, prześladują, a co za dziw, że na wszelki sposób bronić się usiłujemy?

Wyrazy te wymówiwszy tonem umiarkowanym, w którym pewien przymus i powstrzymanie się czuć było, nagle pan podczaszy rzucił się, jakby ciężar jakiś z ramion strząsnąć chciał, wlepił oczy w kasztelana i począł, głos podnosząc:

— Co my tu z sobą, pomiędzy braćmi w ciemną babkę grać będziemy! Ja się za język kasać nie myślę i wolę od razu z serca zrzucić, co na niem mam. Pomiedzy nami, kasztelanowie, choć bracią jesteśmy, przepaść się otworzyła. Wy tego wilka siedmiogrodzkiego, tego przekłętogo Węgra, który na zgubę naszą na tron się wdrapał, wenerujecie i słuchacie, wy do jego rady należycie, wam wszystko dobre, co on czyni, albo hetman służka jego... a my, — myśmy ich nieprzyjaciele, wrogi zdeklarowane i z tem się przed wami tać nie myślimy.

Choć twarz mu się krwią oblała, Jan wybuch ten przyjął z powagą wielką, nie sierdząc się, gdy w Krzysztofie już paliło się i kipiało.

— Mówicie my, panie podczaszy — odparł zimno. — Któż to z wami, aliście wszyscy tego przekonania?

Samuel pierwszy butnie krzyknął:

— Ja z Krzysztofem trzymam. Wrogi to nasze są, mało tego, wrogi są wolności naszej Rzeczypospolitej, okiełznać nas chcą i w kajdany zakuć!

Andrzej, który oczy miał spuszczone i namyślać się zdawał, dodał z kolei:

— Prawdę mówi! Temu zaprzeczyć niepodobna, że oni prawa i przywileje nasze łamią i depcą. Co im sejm? co im uchwały? Baliśmy się Rakuszanina, cesarza, że na nasze swobody czyhać miał, a gorzej się stało, żeśmy to mało i ubogie książątko wzięli, bo ten z mocą hetmana wprost do tyranji kroczy. Toć to jawne. A jakże my to znosić mamy? Albośmy to jedni? Spójrzycie po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej i posłuchajcie. Jeden jest głos: jeżeli król pożyje a potrwa, wiekowe nasze swobody przepadną. Do tego wszystko jawnie zmierza.

Kasztelan się zmarszczył, głową potrząsał.

— Mam ja też oczy — rzekł; prawa tej Rzeczypospolitej a nasze tak mi są drogie, jak i wam, tego zaś, co mu zadajecie, nie widzę. Groził bunt Gdańszczan, za którymiby poszło Pomorze. Co miał czynić król? dla warchołacej szlachty dać nam przepaść? Musiał przebojem iść, aby Rzeczpospolitą ocalić i ocalił ją, i orężowi jego Pan Bóg pobłogosławi. A gdzież są te swobody, które wam odjęto!

Krzysztof ledwie mu dał dokończyć, zapalił się okrutnie.

Wyście, panie bracie, już ich, nie nasz — krzyknął — ślepi jesteście dobrowolnie, trudno wam oczy otworzyć! Niebywale rzeczy dzieją się u nas. Ścięto Ościka, na innych się odgrażają, że im też na gardło staną. Pospolite ruszenie zwołują samowolnie, pobory dawać zmuszają, a już im dawnego żołnierza, co przez tyle wieków bronił i zasłaniał, nie dosyć, zaciągi robią z prostego chłopstwa, cudzoziemców jurgieltami zwabiają, piechoty jakieś wystawiają. Na nieprzyjaciela to potrzebne, mówią, przeciwko twierdzom jego... a co innego myślą. Żołnierz obcy, gdy siła go będzie, na nas się obróci i szlachtę zdusi. Jako żywo go nie przeciw Moskwie zbierają, ale przeciwko nam. I my to cierpieć mamy, nie myśląc zawczasu o obronie? Ha! ha! — rozśmiał się podezaszy.

— Wymysły to są i potwarze — odezwał się kasztelan. — Ja z wami o tem rozprawiać nawet nie myślę, bo nie widzę niebezpieczeństwa, a patrzę na tryumfy. Połock odebrany.

Chciał mówić dalej, ale mu Krzysztof nie dopuścił.

— Tak samo, jak wam z nami, tak nam z panem kasztelanem spierać się trudno, bośmy dwu obozów ludzie, a one nieprzejednane są. Wasz pan wrogiem jest naszym i my się z tem nie taimy, że przeciwko niemu cokolwiek możemy czynić, przedsiębrać, cokolwiek na jego szkodę zgotować potrafimy, — nie omieszkamy!

Samuel potwierdził żywo:

— Jam tejsze wiary, co i Krzysztof — zawołał — a mam może ku temu jeszcze większe, niż on, pobudki. Któż to pierwszy temu wilkowi, gdy siedział w swej jamie, myśl tę poddał, że się o tron polski kusić może i ku niemu obrócić ludzi? Skorzystał z tego, — Bóg zapłać mi nie powiedziawszy.

— A gdybyśmy byli Rakuszanina się trzymali i na tron go podnieśli — wtrącił Krzysztof, — dopierobyście widzieli, jakby nasza rodzina urosła! Mybyśmy teraz i hetmańską buławę i krakowską pieczęć mieli, nie licząc pieniędzy i starostw. Mybyśmy tu rej wiedli, jak nam zdawna należy.

Andrzej głowę skłonił.

— To pewna — rzekł, — że on nam żadnych nie przyniósł korzyści. Hetmanów u nas takich siła, pieniędzy nie dał, bo ich sam nie ma a zapożyczyć się musi, przymierza i siły żadnej nam nie dał.

Samuel się złośliwie uśmiechnął.

— A no, uczynił nam to dobrodziejstwo wielkie, że starą królownę, której nikt nie chciał, zaślubił. I to mu się policzyć powinno, bo żona nie do zazdrości i nie mu po niej.

Kasztelan z pogardą głowę odwrócił, nie chcąc nawet odpowiadać, więc Samuel, coraz bardziej poruszony mówił dalej:

— Jeżeli wy nas, panie kasztelanie, nawrócić myślicie na wiarę waszą, mylicie się srodze. Nie pójdziemy z wami, ale przeciwko wam, a wszystko, co na wilcze zęby potrafimy, czynić nie omieszkamy.

Spokojnie się podniósł z siedzenia Jan i przez okno, niedaleko będące, na ciemną noc spojrzął, jakby dnia szukał, mówiąc:

— Ja tu z wami nie mam już co czynić, a buntowniczych mów waszych słuchać mi grzeszno. Czyńcie, co się wam spodoba, kiedy was do rozumu i statku przywieść nie można, a będziecie-li z tego srom i nieszczęście — nie moja wina, umygam ręce.

— A nie myślcie, że wy z waszymi pokątnymi kontraktami i spiskami coś zdołacie. Mają na was oko, chodzą za wami i koło was ludzie... żadnego nie uczynicie kroku, aby o nim nie doniesiono, bo Zamojski wie dobrze, co o nim i o królu trzymacie. Więc to wam zapowiadam głośno i wyraźnie: naprawić się nie chcecie, ja z wami nie trzymam. Boleje serce braterskie, ale Bóg świadkiem, że gdym uczynił, co powinność nakazywała, dla miłości waszej dalej nie pójdę.

— Nie chodzi tu o samą miłość naszą, panie bracie, począł na nowo Krzysztof — ale o naszą Rzeczpospolitą całą, którą na turecki regiment chcą przerobić, na co my, choćby gardła przyszło dać, nie pozwolimy.

— Gardło dać łatwo — rzekł kasztelan, wzdychając — dał je Ościk... nie pofolgują i panom Zborowskim, gdy się okaże, iż podczaszy do cara listy posyła...

Krzysztof się zarumienił i milezał.

Małoć było z cesarzem knować i Rakuszaninowi służyć — ciągnął dalej kasztelan — z Moskwą też wchodzisz w fraktowania...

— Nieprawda! — bąknął podczaszy. — Żadnych jeszcze umów nie było, a gdy się zgłaszają koronowani, przecież milezeniem ich zbyć nie można.

Kasztelan ręką rzucił, jakby dzisiejszy spór za próżny uważał.

— I Rakuszanina i cara moskiewskiego bym wołał — mówił dalej podczaszy, niżeli tego cygana, który nam nie przyniósł nic, krom pięści.

— Zdałaćby się ona i na warcholów — zamruczał Jan, — lecz co o tem z wami rozprawiać. Dajmy sobie pokój. Dla mnie, co król czyni, dobrem jest i zbawiennem, — dla was zgubnem! Przybyłem na zawołanie, jak mi powinność krwi nakazywała, bom starszy w rodzie i głową waszą, ale słowa moje, jako groch o ścianę; marnować ich nie myślę.

To mówiąc i już trochę znieczcierpliwiony wstał, w ręce klaskając na czeladź.

Ta chociaż w pobliżu była, ale właśnie biesiadowała, i choć kasztelan po kilkakroć powtarzał niecierpliwie klaskanie w dłonie, nikt nie nadchodził.

Dopiero, w chwili uciszenia, usłyszał ktoś i wbiegł wyrostek z czeladzi pana Samuela.

— Wołaj mi Kubelkę mego! — odezwał się kasztelan. Milezeli wszyscy, gdy się zjawił stary sługa.

— Jak świt mi konie gotować — rzekł Jan do stojącego u progu. — Napoić i karmić zaraz, abym nie czekał. Wracamy pilno.

I uciechł.

Po odejściu sługi czas jakiś jeszcze trwało milczenie, ale z ruchów pana Samuela i Krzysztofa, widać było, że na siłę się powstrzymywali od sporu ze starszym bratem, który obu rękami wsparłszy się na stole, zadumał się, oczu nawet na nich nie zwracając długo.

Dopiero po tym milejącym przystanku, kasztelan się do Andrzeja zatopionego w sobie obrócił.

— Ani Samuela krwi gorącej, której impet już przypłacił — rzekł poważnie — ani młodemu podczaszego rzucaniu się bez rozwagi, nie dziwuję się, ale wy też z nimi trzymać myślicie?

Pan Andrzej usta podniósł i zwrócił się ku kasztelanowi.

— Wy to wszystko — rzekł — na karb krewkości kładziecie, a nie widzicie tego, że oni nie jedni są przeciwko królowi i hetmanowi. Mało rzeknę, gdy połowę Rzeczypospolitej do naszego obozu zaliczę. Milczy wielu, bo im strach zamyka usta, ale myślą tak, jak my, a poślizgnęłaby się jeno stopa Węgrowi, dopierobyście posłuchali co o nim trzymaszlachta i jak go kocha.

Tyran jest, samowolnik, ciemieżnik. Nie okiełznał nas jeszcze, bo czasu nie miał, a no poczekajcie mało, ani się spostrzeżecie, jak popadniemy w niewolę. Kajdany nam kuja jawnie, a my tego widzieć nie chcemy. Wskazywał pan Krzysztof na owe piechoty cudzoziemskie i chłopstwo, zaciągane do wojska, nie przeciw komu, tylko na zgubę naszą. Dlatego na nowe pułki pieniędzy nie żałują, bo one przeciw swobodzie naszej stają. Wybije godzina, rozpędzą radę i sejm i za za łeb nas pochwyca.

Jakże my się nie mamy bronić i wszelkich środków zażywać, aby ta wolność, na którą wieki pracowały, dla dzieci się naszych uchowała.

— Wolność, ale nie swawola, podchwycił kasztelan. — Jakże my przeciwko naszym nieprzyjaciołom obronić się potrafimy, gdy w domu posłuszeństwa i ładu nie zrobimy?

— Tożemy wieki tak przetrwali — zawołał Andrzej.

— I Połock stracili, który w rękach Moskwy przez siedmnaście lat zostawał, i pokoju nie mieli nigdy na granicach; Tatarom się opłacać przyszło, a z Wołochy nie porazić nie umieliśmy. Ale to jest król i pan, który poprzy-

siągłszy całość Rzeczypospolitej, chce swojej przysiędze uczynić zadość.

Andrzej się rozśmiał, głową potrząsając.

— Dlatego też, — wybuchnął gwałtownie Krzysztof — co w naszej mocy jest, czynić będziemy, aby się i pana i sługi pozbyć. Wszystko nam dobre, bo o Rzeczpospolitą idzie. Zbrodniarzy, sidła na nią zastawiających, wolno tak zgładzić w obronie praw naszych, jak pójspolitego zloczyncę.

Kasztelan, słuchając, obie ręce podniósł ku niebu, jakby je na świadectwo wzywał, ale nie odpowiedziałwszy nic, dłońmi sobie uszy zatknął, aby dalej nie słuchać, co nie powstrzymało Krzysztofa, który ciągnął dalej.

— Nie o Samuela baniciej, nie o sponiewieranie rodziny naszej mścić się będziemy, boby to prywatą było, choć i ta człowiekowi krewkiemu wybaczona, ale niewoli cierpieć nie chcemy i nie możemy!

— A któż was stróżami swobód uczynił i polecił wam pilność nad niemi? — zapytał kasztelan. Są na to senatorowie i rada, są sejmy...

— A gdy senatorowie ujęci lub zastraszeni, rada milczy, sejmy napróżno rekryminują, bo ich wcale słuchać nie chcą, więc każdy pojedynczy człek, miłujący kraj, powinien go ratować — rzekł Samuel.

— Samku! — z pewnem szyderstwem przerwał kasztelan. — Samku! nie ubieraj się ty za instygatora przeciw drugim, gdy sam na sobie tyle masz, że nie wiem jak to dźwigniesz... Wielkie słowa, ale prywatą z nich patrzy, choć się jej zapieracie.

— Ja się jej zapierać nie będę — poczał Krzysztof. — Królem się on zowie, choć nie wiem, czy tego imienia go-dzien, ale ja go człowiekiem tylko widzę przeciwko sobie i nieprzyjacielem. Trafiałem do niego różnemi drogami, — znać nas nie chce, odpycha... więc ja to mam zjeść i strawić, a upokorzyć się? Nigdy w świecie. Wypowiedział mi wojnę, nam wszystkim wojnę, będzie ją miał.

— Na proch i miazgę was zgniecicie! — zawołał kasztelan, którego głos przybrał żalowaną intonację. — O! bracia moi najmilejsi! — Skruszyć się dajcie i opamiętać, proszę was! Dusza moja przeczuwa klęski straszne i sromotę dla rodu naszego wielką, którą upór nierozumny ściągnąć może. Dajcie mi się ubłagać, uprosić, bo nie narzucam wam woli mej, choć głową jestem, ale proszę i suplikuję, zaniechajcie tych odgrózek, tych knowań i wyzywania, albowiem klęskę wywołacie. A gdzież siły wasze? Ani wy, ani my wszyscy,

gdybyśmy naszych powinowatych, Jordanów, Stadnickich, Tarnowskich, Ossolińskich pościągali, gdyby oni wszyscy z nami iść chcieli, ale nie pójdą, nie uczynim mu nic, zgniecie nas... Nie pracujcie na własną zgubę!...

Błagającym tonem, niemal płaczliwie, a z powagą rodzicielską, łamiąc ręce, mówił kasztelan, ale na żadnym z braci wrażenia nie uczynił. Samuel nieznacznie się uśmiechał, Krzysztof miotał niecierpliwie, Andrzej siedział zimny i wcale nieporuszony.

Poczekawszy chwilę, a widząc, że się tu już niczego spodziewać nie może, westchnął stary, sparł na rękę, i zmienionym głosem spytał Samuela:

— A dzieci twoje kędy są? Wiedzą one o tem, że się ty kozackiemu motłochowi w ręce dobrowolnie rzucasz, że na kresy idziesz bez siły, jaka tam potrzebna, gdzie lada kupa z Budziaku wybiegła — o wolność i o gardło i o całe mienie cię może przyprawić, bo uchowaj Boże niewoli, bez okupu nie puszcza. Cóż na to synowie twoi, co twoja ulubiona Anusia?

Zmarszczył się, nagle zmitrężony wielce tem pytaniem Samuel.

— Ja się dzieci nie zwykłem radzić, gdy mam coś poczynić — rzekł dumnie, boć więcej rozumu nademni nie mają.

— Ale ich miłość ku wam natchnęłaby radą dobrą — rzekł kasztelan. — Chcesz je więc przed czasem sierotami uczynić?

— Ruszył ramionami pan Samuel.

— Tego ja też zamiaru, na Niż się wybierając, wcale nie mam — odparł. — Ginać nie myślę, ale się ratować. Cóż jeśli kozaków ujmę i pod buławę swą zaprzęczę? Natenczas i król i Rzeczpospolita pokłonić mi się będą musieli, bo im pod boki siadłszy, albo dokuczyć lub usłużyć potrafię. W kraju mnie znać nie chcą, miejsca tu dla Samuela niema, — poszukać go więc musi, choćby między tymi zbiegami, którym głowa i wódz potrzebny.

A nie myślcie, aby kozactwem tem pogardzać się godziło; wiem, że go siła jest po ostrowach na Dnieprze, a czajki ich, gdy je trzećnią obszyją, na morze wybiegają i Turkom dojadają i łupy zagarniają wielkie, a w skarbcu u nich może więcej złota i srebra, niż w naszym koronnym, który pożyczkami zasilać się musi.

— Jeżeli myślicie, że ja pozyskanie sobie onego hełmaństwa kozackiego mam za rzecz małą a lekką, — mylicie

się. Wiem dobrze, iż nie zdobędę władzy nad nimi, nie przymarłszy głodem i nie folgując ich grubym obyczajom, alem się na to z góry ważył.

Kasztelan słuchał cierpliwie.

— Bóg z tobą — rzekł — chcesz na Niż, — choć powrócisz z niczem, a daj Boże, z życiem tylko, wola twoja. W tem jeszcze tak wielkiego grzechu nie będzie, samowola tylko i buta szlachecka... a no przynajmniej spisków, komszachtów i owych knowań pokątnych, o które was obwiniają, zaniechacie. Ciągłe na was donoszą, że to truciznę gotujecie, to zasadzli układacie, to się z nieprzyjaciół znosicie. Skończy się na tem, że jedna kropla przepelni naczynie i ty, Samku albo Krzychnik (tak w rodzinie zwano Krzysztofa) nałożycie głowę.

Podczaszy się rozśmiał.

— Ja swej bronić będę — rzekł, — a gdy mi tu za gorąco będzie, zjadę do cesarza, w którego służbę jestem wpisany, lub choćby do moskiewskiego.

— Cóż z szalonym rozprawiać! — westchnął, powstając z ławy, kasztelan. — Jan tu już niepotrzebny, swoje spełniłem.

W oknie wczesny brzask dnia wiosennego sinem światłem się zwiastował, ale pora się obiecywała wilgotna i słotna. Niebo było obłokami zaciągnięte.

Znużony czuwaniem, kasztelan kazał sobie zagrząć winnej polewki, a Samuel, nowy dzban malmazji postawiwszy na stół, sobie i braciom, krom Jana, ponapelniał kubki i wesoło pił po cichu za zdrowie przyszłego pana hetmana niżowego. Stuknęli nimi aż zabrzękły i pan Samuel, swój duszkiem wypiwszy, natychmiast go na nowo napelniał.

Kasztelan już całkiem był zajęty swym wyborem w drogę, nie na pogrózkę tylko objawiwszy postanowienie odjechania od braci. Widział on, że tu już nie nie pocznie, a sprzeciwiając się im, podrażni tylko. W milczeniu naprędcę polewkę wypiwszy, gdy stary sługa się zjawił u progu, opończę, lekkim futerkiem podbitą, podać sobie kazał.

Bracia patrzali na tę ucieczkę obojętnie, ani się go wstrzymywać starali. Owszem, wesołość pana Samuela rośła, bo się swobodniejszym czuł, gdy starszy brat z rozumem i rozwagą swą odjedzie.

Zegnali się milcząco, ledwie sobie ręce podawszy. Dopiero przeprowadzający do progu Samko czuł się wzruszonym, gdy już Jan, którego nawykł był, jak ojca szanować, miał wyniść. Rzucił się go ścisnąć serdecznie, ale za-

późno... Kasztelan przyjął tę czułość zimno, nałożył kołpak na głowę i w chwilę potem koczę jego, konie i wozy i on sam już ciągnęli drogą ku Krakowu.

Trzej bracia pozostali sami na Borówce i długo potem jeszcze radzili. Samko istotnie niebawem na Niż się wybrał, warcholił, chciał Kozaków przeciw królowi podnieść, zwał się i z Moskalami i Tatarami, ale żadnej sprawy do końca doprowadzić nie zdołał: brakło mu wytrwałości i stałości umysłu. Wreszcie do kraju powrócił, nie przestając przeciw królowi i „szarakom“ warcholić.

Na łąkach nadwiślańskich, ranną godziną dnia wiosennego tego roku, widać było kilkudziesięciu jezdnych rozsypanych, a raczej rozstawionych po różnych miejscach, jakby się łowy jakieś przygotowywały.

Łacno było poznać w nich możnych panów z postawy a twarzy, i po rynsztunku wytwornym, który pomimo piękności swej nie bił w oczy. Konie też, na których panowie i słudzy siedzieli, odznaczały się równie maścią, jak budową, a psy, które się przy myśliwych kręciły, sokoły i białozory, które trzymali na rękach, także pięknością i doborem, a starannem utrzymaniem uderzały. To też ludek, przechodzący opodal, stawał ciekawy i długo się przypatrywał temu orszakowi, w którym łatwo się najdostojniejszego z panów, bo króla jegomości domyślał.

On też to był wistocie; z nowemi ptakami, świeżo unoszonemi i nadesłanemi próbował, azali się nie uda nacieszyć ich igrzyski.

Dzień był jak rzadko u nas się trafia na wiosnę, bo gdy zima chybi, a to się zdarza często, wiosna też kwasi się długo, nim zwycięży — tym zaś razem przyszła jakaś wesoła i piękna, tak, że po kilka dni cieszyć się sobą dawała.

Słoneczko weszło jasno i grzało już nawet przypiekając, rośliny się po deszczach, które przeszły, pod ożywczem ciepłem tem rozwijały z pośpiechem zdumiewającym. Co wczoraj jeszcze stało w pączkach, dziś młode listki zielone, jaskrawe wystawiało ku słońcu, żółte łotocie pootwieraly się gromadnie i jak złote opony na łąkach leżały. Wierzby już się całe poubierały w nowe sukienki, niektóre brzoźki na pół pączki zrzuciły, trawy zieleniały barwą świeżości, wiosny i nadziei. W powietrzu wiło się i latało tysiące zbudzonych stworzeń, jakby upojonych powietrzem wonnem i czarem tej pory, zwiastunki żywota. Gdzieś z za łoż daleko odzy-

wala się fujarka pastuszka i bydelko ryczało, podnosząc głowy, a smakując młodą paszę.

Całość tego obrazu, z niebem, po którym przepływały białe bawelniane chmurki z wezbranemi jeszcze wodami rzeki, w których się blask dnia odbijał, była jakby harmonijną pieśnią na cześć tego, co jest wiekuistym życiem.

Nawet smutnym i biednym ludziom, dla których wiosna nie przynosiła nic, oprócz wspomnień głodnej zimy, weselej było na świecie szczęściem cudzem. Człowiek, gdy się czasem zapomni, samolubem być przestaje.

Na ślicznym koniu wschodnim, którego grzywa spływała po karku falą jedwabną, żującym niecierpliwie misterne wędzidło, stał mężczyzna lat średnich i zdala stąd patrzył oczyma dziwnie smętnemi na zamek krakowski.

Wśród tutejszej ludności uderzała jego wschodnia jakaś, cudzoziemska fizjognomja, oliwkowa nieco cera, włos czarny, oczy ciemne, ogniste i wyraz twarzy poważny, rycerski, zadumany. Nie był właściwie pięknym; wiek mu już zdjął z lica urok młodości, a piętno życia i pracy położył na niej, ale z rysów tych mówiła dusza pełna jeszcze nieużytej siły, choć może dla szczęścia rozczarowana.

Stworzony do rozkazywania, żołnierz zdawał się w tej chwili dumać, co mu rycerstwo jego, trud i walki przynieść miały — bo szczęścia się nie spodziewał. W tem wejrzeniu nie było płaczliwych wyrzutów losom, ale pytanie przeznaczenia, ku czemu ono wiodło, jaki cel miało?

Ubrany w ciemną suknię, oszywaną sznurami, na pętlicę spiętą, przepasany pasem skórzanym, nabijanym srebrem, stał tak, jedną ręką w bok się ująwszy, patrzył, a obok niego także na koniu stojący, młodszy jeszcze ciemniejszej płci mężczyzna patrzył nań, szanując milczenie, i nie śmiejąc go przerywać.

Tym mężczyzną był Stefan Batory, a towarzyszem — Węgier Cobar, którego z sobą do usług swoich przywiózł, szlachcic siedmiogrodzki, wielki pana swojego wielbiciel, a gorliwy sługa, dzielny żołnierz i dowódca.

Z Węgrami swoimi, gdy czasem tęskno mu na duszy było, król ten, który dostojność swą umiał nosić wysoko, do dawnej powracał poufałości. Serce mu się otwierało. I tego dnia był w usposobieniu posępnem, może właśnie dla wesołości wiosennej, która go otaczała.

Tajemnicze są ruchy ludzkiego ducha: niekiedy wesele rozbudza smutek, — i przeciwnie. Rozpacz może być straszliwie wesołą!

Dokoła widać było znaczną część dworu łowieckiego króla, z sokoły, białozorami, małemi kobuzami, krzeczotami, — i niektóre z jego legawych ulubionych i chartów. Stali na keniach porządek utrzymujący skolonicy starsi, dwu Niemców, Polak — Łukasz Biedrzycki, poważny pan łowczy Jan Krzysztoperski i wielu innych.

Łowy, rozpoczęte bardzo rano, niezbyt się powodziły, ale król przed chwilą śmiał się z tego i wcale mu to nie zachmurzyło czoła, dopiero teraz, gdy na zamek spojrzał, smutek jakiś powłókł mu rysy.

Cobar odgadywał myśli jego, ale pytać nie śmiał. I wszyscy stali tak, oczekując rozkazów, gdy król, jakby rozbudzony, obrócił się i skinął na Krzysztoperskiego, w kilku słowach dając mu swobodę pokierowania łowami po swojej myśli. Sam on chciał też jechać z Cobarem, albo za nim, gdyby się im powiodło natrafić na ptactwo jakie, lub użyć jeszcze świeżego powietrza.

Zwrócił się do Cobara z uśmiechem pańskim.

— Widzisz, chłopcze, — rzekł do niego królewskim tonem — nie wiedzieć skąd i dlaczego przypomniały mi się kraje nasze, życie przeszłe i zrobiło mi się smutno. Nigdy nie byłem szczęśliwym... pono nim nigdy nie będę, żal zmarowanego życia, ale tak chciało przeznaczenie, dola moja...

— A! miłościwy panie! — z zapalem ozwał się sługa — czyż może być większe szczęście, jak być wybranym od narodu i od pierwszego kroku laury zbierać zwycięskie! Wszyscy się zdumiewają wyprawom waszym, bo takich nie pamiętają od Witoldowych czasów.

— Prawda! — rzekł król gorzko. — Czuję też ich wdzięczność! Cobar, tyś nigdy pewno nie postał na sejmie i nie był zmuszonym, jak ja, mizernemu szlachetce, natrząsającemu ci się w oczy, wymawiającemu ci swoich kilka groszy poboru, odpowiadać dłonią na szabli, a łzami na oczach i zagryzionemi do krwi wargami. Oni wdzięczni? Połowa ich w łyżce wody by mnie utopiła. Im potrzeba króla, coby jak Zygmunt August, płakał i szukał pociechy w rozpuście! Ich wdzięczność! znam ją! Posłuchaj tylko, alboś i słyszał może; gotują mi truciznę — za mój trud i poświęcenie dla nich! Co ja tu zyskałem na tej koronie? Tytuł królewski — nie więcej! Każdy grosz mi wymawiają, gdy ja swojego dla nich dokładałem!

— A! gdyby nie Jan — dodał król — uczyniłbym może, jak Henryk, i uciekł od nich do Siedmiogrodu.

Westchnął.

— Zapóźno. Związali mnie tu i ślubem, i przysięgą, i tem wreszcie, że im pokazać chcę, jak nimi rządzić potrzeba. Kiedyś może wspomną i pożałują. Żelaznej ręki na nich potrzeba do ugięcia tych karków krnąbrnych...

Oczy mu zaświeciły dziko.

— Stanie-li życia na wszystko? — dodał. — Wiele, wiele jest do zrobienia.

Król rzucił okiem dokoła... i znowu oblicze powlokło mu się chmurą.

— Miłościwy panie — odezwał się Cobar — jeżeli są niewdzięczni, gdzież ich niema? Taka już natura ludzka, że człowiekowi dobrodziejstwo ciąży, bo go upokarza, ale są też i wierni, i przywiązani do króla.

— Niewielu — odparł Stefan. — Naród to zresztą serdeczny, rad, kochający, ale mimo męstwa swego, — płochy i dziecinny. Wytrwałości nie ma w niczem, zabawę przenosi nad pracę, życia nie waży wiele i trzeba mu dobrej nie-szczęścia szkoły, aby się na mężów statecznych wyrobił. Życie w chwili zapału dać, majątność poświęcić, zdrowie ważyć, to u nich niczem, ale gdyby długo a cierpliwie, choćby pierze skubać przyszło, żaden nie wytrwa. Krew w nich kipi, fantazja nieokiełznana, a rozum tylko dla drugich mają.

— No — dodał król z uśmiechem — na wymowie im też nie zbywa, lecz gdy się na słowa wyczerpią, do czynu ochoty i siły nie mają.

I znowu król spochmurniał.

— Kraj taki rozległy pustyniami na pół leży — mówił dalej. — Tatarom się podarkami okupywać trzeba, gdy ich dawno odeprzeć z dzikich pól należało. Teraz na granicy koczactwo się mnoży, będą z tego drugie Tatary, albo i gorzej, bo ich Moskwa łatwo sobie pozyszcze. Do czynienia jest dość! Ale czem, ale kim? Jeden Zamojski za wszystkich nie starczy, a drugiego takiego, jak on, nie znaleźć.

— A miłościwy panie — wesoło rzekł Cobar, usiłując pana rozechmurzyć. — Tak się to podczas czarno wydaje wszystko, ale co roku jednak lepiej tu i ładu więcej. Oni sami to przyznają, a ci, co niechętnymi byli, nawracają się.

— Kto? gdzie? Nie nawróciłem ani jednego — przerwał król. — Spójrzyjże na tych Zborowskich. To najzjadlejsze wrogi moje, od nich wszystkiego się spodziewać można, począwszy od postrzału na łowach, aż do trucizny na półmisku. Próżno temu zbójowi, Samuelowi, banicję jego płazem puszczam, próżno zdrajcy podczaszemu bezkarne dają z cesarzem się zmawiać, a trzeciego na marszałko-

wstwie przy sobie cierpię, — nie potrafiłem ich przejednać.

— Słyszałem jednak, że pan hetman ich uchodził — rzekł Cobar — i spodziewa się, gdy wasza królewska mość posmarujesz ich, że i ci się ukorzą.

Król się odwrócił żywo.

— Kto? Zborowsey? — zawołał. — Ty ludzi nie znasz! Samuel głowy nie ma, a Krzysztof — tylko głowę bez serca i sumienia. O Andrzeju nie wiedzieć, co twierdzić, bo w maszkarze całe życie chodzi. Jeden Jan z nich coś wart, bo go rycerska służba szlachetniejszym uczyniła. Gdyby się nawet chcieli zbliżyć do mnie, ja do nich nie chcę! Samuel banitą jest, dopuścić go do siebie nie mogę, a podczaszym się brzydę, bo nawskroś w nim zdrada i ciecze z niego na wsze strony... Tego nie nie poprawi: zdradzi mnie dla cesarza, zdradzi cesarza dla moskiewskiego cara, a tego — dla Wołoszyna i Turka, aby dostał zapłatę, a pochwyci ją, to zmarnuje. Znać lotra nie chcę!

— Zda mi się, że pan hetman za nim wstawiać się będzie — szepnął Cobar.

— Choćby on i Gryzylda nawet prosiła — dodał król — z nim nie do czynienia mieć nie chcę. Zowie się i pisze radą cesarską, niech na radę do cesarza jedzie i lepiej tu nie powraca.

— Mówiąc tak, król jechał powoli, konia na cuglach wstrzymując, a oczyma biegając po okolicy. Ptactwa małego krążyło w powietrzu mnóstwo, ale takiego, na któreby sokoły puścić było warto — nigdzie nawet bystre oko Biedrzyckiego dostrzedz nie umiało. Sokoły i białozory, kapturami przyodziane, dzwonkami czasem potrząsając, siedziały smętne na rękawicach pacholków, którzy je wieźli. Psy legawe wietrzyły po ziemi jakoś obojętnie, jakby się nie spodziewały nic znaleźć. Charty ziewały, służba nawet znużoną się wydawała.

Wtem opodal nieco na niebie jasnym, z rozpostartemi szeroko skrzydłami, jakby na miejscu w powietrzu stojący nieruchomo, ukazał się ptak duży, w którym jastrzębia starego łatwo rozpoznać było można.

Z sokoły — na sokoły, jastrzębie, kobuzy, kanie i inne drapieżne ptactwo rzadko kto polował, bo to łowy były, co mogły siłą kosztować. Noszone ptaki łowcze — drogie były, a w tej walce z dzikimi często kaleczały, albo nawet i na śmierć mogły być ubite. Rzadko więc bardzo i mało kto — dla bardzo ciekawej i zajmującej walki, chciał drogie swe ptaki ważyć. Nawet gdy na czaple polewano, często prze-

szyte ich ostrym dziobem, na które się same w wojowniczym zapale rzucały, przepadały, a w walce z jastrzębiami i orly, niekiedy rycerz przyswojony nie dotrzymał swobodnemu i dzikiemu.

Król, któremu ptaki jego ulubione były, a nie mało kosztowały, rad oszczędzał je i nigdy prawie na drapieżników nie puszczał. Co mu się tego dnia stało, gdy ujrzał jastrzębia, jakby urągającego mu się, stojącego w powietrzu, gdy myśliwi, coraz się ku niemu zbliżali — on to jeden wiedział. Skinął na Biedrzyckiego, który pędem nadbiegł do króla.

Stefan, milcząc, wskazał mu palcem jastrzębia, ale pan Łukasz oczom nie wierzył i rzekł po łacinie:

— Jastrząb.

Król prawie z całym dworem swym po łacinie rozmawiać musiał.

— Widzę — rzekł w tym języku — i myślę, że nasz duży kosacz dałby mu radę.

— Zaprawdę — zawołał Biedrzycki — ale za to ręczyć nie można, aby się z niego pierze nie posypały, bo dziki broń się nie omieszka.

— A myślicie, iż kosacz się na niego rzuci? — zapytał Stefan, zatrzymując konia.

— Byle go zoczył — odparł pan Łukasz; — lecz szkoda ptaka.

Król pomyślał. Jakaś fantazja pańska przebiegła po głowie jego, dał znak, aby kosaczowi kapturek zdjęto. Podbiegł na skinienie Szmalter, Niemiec, niedawno sprowadzony, który się rad był popisać przed królem.

Domyślali się wszyscy, że ciekawy pojedynek odbyć się ma między dwoma zapaśnikami.

Ogromny jastrząb ciągle jeszcze, nie myśląc uchodzić, to powolnym ruchem skrzydeł podnosił się nieco ku górze, to majestatycznie spływał od niechcenia ku ziemi. Ludzie i konie wcale się go obchodzić nie zdawały. Bystremi oczyma wypatrywał skrytych gdzieś na roli ofiar swych, na które miał się rzucić, jak piorun z obłoków.

Tymczasem gotowano się na niego kosacza wypuścić. Sokół to był już doświadczony i jeden z najprzedniejszych, nieraz ranny i wyleczony, silny a śmiały. Na niego rachować było można, iż się nie ulęknie, z placu nie ujdzie, ani się da pożyć.

Wszystkich oczy zwróciły się ku Szmalterowi, który z kosaczem na rękawicy, jeszcze mu nie zdejmując kapturka,

klusował, zbliżając się ku miejscu, gdzie się jastrząb nad łaką kołysał.

Niemiec dopiero, gdy dobre miejsce obrał, i ustawił się tak, aby sokół mógł natychmiast ujrzeć nieprzyjaciela, odsłonił mu skórzany kapturek. Kosacz strzepnął głową dumną i skrzydłami, czując, że go wyzywają, podniósł krwawe oczy, i gdy Szmalter nogi mu z pęt rozwiązywał, już się do lotu zrywać zaczął. Przeciwnik jego wciąż jeszcze stanowiska nie opuszczał.

Wtem stary kosacz, rozstawiwszy skrzydła szeroko, szybkim odrazu lotem naprost się puścił na nieprzyjaciela, który go jeszcze widzieć się nie zdawał.

Sokół był niedaleko od niego, gdy widząc, że nań zmierza, jastrząb zwinął się i nieco ku górze się wzbiwszy, zdawał się chcieć rozeznąć, czy wyzywający wart był, aby przyjąć zaczepkę.

Tymczasem wprawny i doświadczony kosacz, zbliżywszy się ku jastrzębiowi, zaczął toczyć dokoła, wybierając stronę, od której się ma rzucić na niego.

Tu już wyraźniej zaznaczyło się obu ich w przyszłej walce stanowisko. Dziaki jastrząb nie wyzywał do niej, ale i uchodzić nie myślał, kosacz zaś z zajadłością znużonego długim spoczynkiem zapaśnika — coraz szybciej otaczał go, kołując i jakby zabawiając się obrotami, do których go zmuszał.

Krótki ten przeciąg czasu starczył, aby w obu krew zagrała, pierze się najeżyły i ochota do boju urosła. Jastrząb śnać nie spodziewał się, aby kto nań mógł ważyć, ale walkę, do której był wyzwany, przyjmował. Kosacz zdawał się zabawiać niespodzianką, jaką mu sprawił i coraz ciasniejszym kręgiem opasując go, ociągał się z rzuceniem na nieprzyjaciela.

Widzowie patrzyli z zajęciem wielkiem, król się uśmiechał nawet, a sokolnicy drżeli, tak ich to przyszłe starcie gorąco obchodziło. Wszyscy w niem byli z sokolnictwem całem zainteresowani. O cześć i sławę chodziło.

Nakoniec kosacz, gdy się nieprzyjaciela najmniej spodziewał może, na kark mu się rzucił i szpony w pierzu jego zatopił. Ale trwało to zaledwie krótką chwilę, dzik mu się wysliznął i dziób z dziobem stanęli, skrzydły ogromnie robiąc, naprzeciw siebie. Pióra się już sypały...

Po kilkakroć dziki jastrząb wymknął się z pod dzioba i sam próbował paść na kosacza; zawsze go stary sokół skar-

cił, zręcznie mu się wyślizgując i korzystając z obrotu, aby go ranić.

Widocznem było, że mimo męstwa mniejszego wzrostem dzikiego ptaka, ulegnąć on musi, acz kosaczowi niełatwo przychodziło zwycięstwo. Zmusił go spuścić się ku ziemi, ale dziki natychmiast porwał się znowu do góry; ponowiło się to kilkakroć. Jastrząb znużony zdawał się chcieć ponad łąką uchodzić ku rzece, gdy sokół jeszcze raz całą siłą na niego uderzył i oba razem znikli w trawach, ponad któremi tylko ich skrzydła szamocące się widać było, a wkrótce potem podniosła się głowa i zakrwawiony dziób kosacza, który darł pierze z żywego jeszcze, ale bezsilnego przeciwnika.

Szmalder chciał dobiedz na miejsce, aby zapobiedz niepotrzebnemu męczeniu się drogiego sokoła, ale koń jego ugrzązł w moczarach i on sam, wyskoczywszy z siodła, pieszo się, berło unosząc nad głową, musiał puścić dla odzyskania zwycięzcy.

W ciągu tej walki oczy wszystkich tak stale były wlepione w bojujących sobie wrogów, iż nikt na chwilę oderwać ich nie mógł od nich. Sokolnicy uśmiechali się z radości, król na siodle oparty, cieszył się widocznie tryumfem swojego wychowanka. Cobar też więcej może dla pana, niż dla siebie zabawiał się tem, iż panu rozrywkę sprawić się udało.

Z kosaczem na rękę, któremu zaraz kawał krwawego mięsa podał jego opiekun, niemile grzęznąc w błocie, Szmalder powracał do swoich. Król skinął, aby mu przyniósł kosacza, który po opatrzeniu okazał się też rannym i pierza dosyć utracił, ale butno wyglądał i czerwonymi oczyma wodził dokoła, jakby nowego wroga szukał.

Gdy się to działo na łące, nie postrzegł ani król, ani ci, co z nim byli, iż kanclerz się konno zbliżył ku miejscu temu, i gdy Stefan sokołem się zabawiał, stanął za nim, czekając, aż swych łowczych odprawi. Król teraz dopiero spostrzegł Zamojskiego i jak zawsze mu rad był, tak i teraz twarz rozjaśnioną zwrócił ku niemu. Szczęśliwa walka przyczyniła się też może do rozjaśnienia czoła i rozproszenia czarnych myśli.

W gromadzie łowców, towarzyszących królowi, zawiązały się naturalnie gorące rozmowy o pojedynku, którego byli świadkami. Podziwiano zręczność kosacza, ale i ubity jastrząb, którego czeladź oglądała, wskazując, jak strasznie był zamordowany, męstwem swem na pośmiertne zasłużył pochwały.

Tak szczęśliwe łowy dnia tego pamiętnemi stać się miały długo, przez rzadko widywany pojedynek dwóch dra-
pieżnych.

Król dał znak Krzysztoporskiemu, iż go wraz z jego komendą opuszcza, sam zaś z Zamojskim i Cobarem, który nieco w tyle z dwoma przybocznymi Węgrami pozostał, brzegiem rzeki stępią począł wracać ku Krakowu.

Zamojski miał twarz nowożeńca szczęśliwego, a choć nie pierwociny mu były ślubować, bo dwie już żony wprzód był utracił, szczęście jego teraźniejsze równać się dawnemu nie mogło. Podnosiło go ono aż do tronu, a to powodzenie w życiu, które winien był wielkim swym przymiotom, ale i szczęściu zarazem wielkiemu — budziło w jego duszy jakieś wdzięczne uczucie i pragnienie, aby świat cały z nim razem również był szczęśliwy. Nigdy też może poważnego kanclerza nie widywał Stefan tak wesołym i usposobionym łagodnie.

Wszczęła się rozmowa o łowach naprzód, ale wnet bieżące sprawy, których siła każdego dnia nadchodziło, zmusiły kanclerza o czem innem zagać.

Ludzono się jeszcze tem, że się uda Possewinowi pozyskać cara moskiewskiego dla Rzymu, chociaż Zamojski najmniej temu ufał. Zakon tymczasem jezuicki zyskiwał na znaczeniu i zaufaniu u króla, któremu dyssydenci za złe mieli, że się zdawał szczególną go otaczać opieką.

Stefan widział w nim, oprócz wojowników, którzy starali się zachwianą jedność Kościoła przywrócić, czynnych protektorów światła i dla szkół gdzie mógł, wszędzie ich osadzał, bo szkół i oświaty brakło, a nikt naówczas przewidywać nie mógł, jaki ona w rękach zakonu kierunek przybierze...

Z mnogich Batorego czynów widzimy dowodnie, że fanatyzmowi nie hołdował, że dla protestantów był wyrozumiałym i nigdy ich prześladowaniem nie nękał, ale interesa katolickiego Kościoła, na którego łonie Polska urosła, — i Zamojskiemu i królowi najdroższymi być musiały. Jedność też wiary w państwie, jako dźwignia zgody i spójności, nie mogła być im obojętną.

Właśnie o zgodzie i pojednaniu ze wszystkimi zagał, jadąc Zamojski, i naturalnie o Zborowskich królowi wspominał. Zmarszczył się Batory, bo naleganie to dokuczliwem mu było.

— Radbym w tym dniu wesela — zawołał Zamojski i moich i miłości waszej nieprzyjaciół rozbroić i przejednać.

Zdaje mi się, że Zborowscy są skłonni do nawrócenia się i poprawy.

— A wy, Janie mój, — przerwał król — wierzyście w poprawę tych, co do siwego włosa zdradą żyć nawykli? Ja w poprawę takich ludzi nie wierzę. Przyczaić się oni mogą, — przemienić nigdy! A my dla kilku Zborowskich niechętnych nie zginiemy.

— Tak, najjaśniejszy panie — odparł kanclerz — lecz za nimi kilku wlecze się ogon niezliczonych warcholów, którzy na nich patrzą i za nimi idą. Jana gnieźnieńskiego mamy z sobą, nigdy nie było powodu ani wątpić o nim, ani go podejrzewać. Andrzeja, o ile znam, dobrodziejstw i jurgieltem kupić można... a mnie się zda, że zubożały a zniechęcony do cesarza Krzysztof takżeby się dał ująć.

— Krzysztofa ani tykać nie chcę! — zawołał król. — Mówicie, że zubożały jest... A cóż zrobił z okupem?

— Z jakim? — zapytał kanclerz.

— Znaćcie przecież tę historję, którą tu mi opowiadano, bo głośną jest. Wszak ci się starał Krzysztof o siostrę hospodara wołoskiego, który mu jej dać nie chciał, potem, mszcząc się na gospodarze, pochwycił go zdradą w niewolę i póty Zborowscy więzionego na zamku trzymali, aż znaczny bardzo okup z niego wzięli, równający się posagowi odmówionej hospodarówniej.

Rozśmiał się król.

— A! stare to są dzieje! — rzekł Zamojski. — U Zborowskich pieniądze topnieją prędko. Od tej pory mieli już czas i wołoską sumę stracić, i od cesarza wymódz, co tylko mogli... i od cara moskiewskiego dostać zadatek, — a z tego wszystkiego nie pozostało śladu. Jeszcze się coś trzyma przy Andrzeju, jeszcze po matce dzieci Samuela mają dobra, choć zadłużone, a Krzysztof pono nie ma nie tylko to, co u niego wyłudzi. Cesarz mu pewno jurgielt płaci, niedarmo się jego radą nazywa, ale to nie starczy. Chciwy jest i rozrzutny.

— Sameś rzekł — odparł żywo Batory. — Z takiego człowieka pożytek wątpliwy, a woru dziurawego nie zapchać. Więc gdybyśmy z nim nawet zgodę mogli pozyskać, nie warta ona tego, co będzie kosztowała. Zdradzi nas temu, kto da więcej.

— Oko na niego mieć będziemy, a bracia nam pomogą — dodał Zamojski. — Czasu wojny i Samuel by się nam przydał, żołnierz mężny, choć warchoł nieunoszony, ale i takich czasem potrzeba...

Król mocno głową rzucił, słuchając.

— Daj ty mi pokój ze Zborowskimi — rzekł. — Samuela znam, bo u mnie gościem był i służył mi czas jakiś, ale od tej pory rozpasał się, słyszę, więcej jeszcze... Do Andrzeja, choć i jemu i całej tej krwi nie wierzę, chętniej się zbliżę, dam mu coś, z innymi nie nalegam!

Kancelarz przez chwilę milczał.

— Uczynicie, miłość wasza, według życzenia i woli, ale ja nie przestanę wstawiać się za nimi, abym sobie do wyrzucenia nie miał, iż zaniebałem środek jaki ku pojednaniu. Nam zgody potrzeba... Nieprzyjaciół otoczeni, dobrze, abyśmy ich choć we wnętrznościach naszych nie żywili.

Westchnął Batory i jechali powoli, coraz się zbliżając ku miastu.

Obojętniejszą wiodąc rozmowę, kancelarz na zamek razem z królem powracał, gdzie już łowcy i sokolnicy, z koni zsiadając, psy, konie i ptaki na miejsca swe odprowadzali.

Na progu komnat uparty Zamojski jeszcze Zborowskich przypominał.

— Marszałek niech przyjdzie, przyjmę go — odparł Batory — o innych mi nie mówcie, znać ich nie chcę!

Z tem król do swych izb się zawrócił, ale kancelarz nie tracił nadziei i pocichu sobie obiecywał, że dla Krzysztofa posłuchanie wyjedna.

Kancelarz kazał oznajmić marszałkowi, że król jegość przyjmie go na zamku w rannej godzinie, lecz razem dał mu znać, że radby z nim wprzód mówić i że tego było potrzeba.

Batory powoli się zbliżył do niego, twarz wypogodzona, spokojna, nie zdradzała jednak szczególnie łaskawego usposobienia.

— Dawnośmy nie widzieli was, panie marszałku — zagaił król.

— Wiedziałem — począł pan Andrzej, — że w. kr. mość przeciwko rodzinie naszej jest niechętnie usposobioną, nie chciałem narażać siebie, ani przykrości czynić.

Król cokolwiek pomyślał.

— Nazywacie to usposobieniem niechętniem — rzekł, — ale ono nie przyszło bez przyczyny... owszem, był czas, gdy Zborowski sprzyjał i miał ich za przyjaciół. Samuel siedział u mnie...

— Toż zaprawdę nie wiem, dlaczegośmy stracili miłość królewską — odparł Andrzej; — ja się nie czuję winnym.

Batory spojrział na niego; spotkały się ich oczy, a szczere, otwarte spojrzenie króla sięgnęło tak głęboko w duszę Andrzeja, iż pomimo całej mocy nad sobą, jak schwycony na uczynku, zmieszał się.

— Nie sądźcie, abym się ja słowy dał oplatać i uwierzył lada zapewnieniu — rzekł król. — Jam tu gospodarz, mówilem wam zrazu, że malowanym nie chcę być i nie będę, a więc wiem, co się dzieje, co się mówi, zamierza, knuje i co sądźcie tajemnem. — Nie było mi skrytem, co wasz brat, podczaszy, na dworze cesarskim i w interesie cesarza poczynął, ani to, żeście wy ostrożnie z nim trzymali, ani że Samuel głosił się moim wrogiem, nazywając mnie niewdzięcznym.

— Jam nigdy nic nie poczynął — rzekł marszałek, — do robót brata mojego nie mieszałem się, ale dla samego powstrzymania go, nie mogłem go porzucić. Dziś zaś i brat mój dla cesarza nie czyni nic, bo tu interesów cesarskich niema.

— Tak, próbował też moskiewskiego księcia i jest z nim w listowaniu, to wiem — odparł Batory.

Marszałek gorąco obstał za bratem.

— Mógł wielki kniaź posyłać z listy do niego, bo tego mu zabronić niepodobna, a odpowiedzieć nie grzech — zawołał — ale tam też ani brat, ani ja nie mamy do czynienia nie, boć to jawny nieprzyjaciół Rzeczypospolitej.

— Zostawcie to mnie — odezwał się po chwili król, — co mam o tem trzymać. Do was ja wielkiego żalu nie mam. Jeżeli serca do mnie nie macie, przynajmniej jawnie przeciw mnie nie stajecie. Mówił mi kanclerz, iż życzyliście mieć posłuchanie, że macie żądania. Słucham chętnie.

Marszałek głowę nieco schylił i zaraz ją podniósł, pańską przyjmując postawę. Zanosilo się na długą rozmowę.

— Miłościwy panie! — rzekł — nasza rodzina wam może nieznana jest; może nie wiecie, jakie stanowisko zajmowała, ale cały świat wie, żeśmy się do primates regni liczyli, żeśmy pierwsze krzesła zasiadali i buławy dzierżyli, a dziś za tego panowania ostatni niemal jesteśmy. Krzywda się nam dzieje okrutna, bolesna.

— Któż winien? — odparł król. — Przecie kasztelan gnieźnieński, istotnie zasłużony, uskarżać się nie może, — buławę dostał, a i wyżej sięgnie, gdy da Bóg życie. Wyście stali zdala. Podczaszy gorsze jeszcze zajął stanowisko. Samuel banitą, cóż można było dla was uczynić? — Krew

i ród, dobrą są rzeczą, ale nie dla krwi i rodu rozdają się urzędy, tylko dla zasługi i zdolności. Ja dużo ludzi szlachciami czynię, ale widzę ich wielu, co nimi będąc, nie zasługują, żeby starą tarczę nosili. Cóż chcecie, abym dla was zrobił?

— Ja za sobą tylko mówię — wtrącił marszałek. — Rodzina nasza zubożała znacznie na posługach Rzeczypospolitej, ma prawo do grosza publicznego. Jać też w. kr., mości służyć, a to, co biorę za zasługi, na utrzymanie czeladzi mi nie starczy. Dlatego mi się na dworze pokazać trudno.

— O jurgielt wam idzie? — przerwał niemal pogardliwie król.

Pan Andrzej się skłonił.

— Zajrzyjcież do skarbu, zobaczcie rachunki; są lata, że ja z moich pieniędzy dokładam — mówił Batory. — Tego wam nie wyrzucam; czynię to chętnie, Bóg świadek, lecz wy mnie wyrzucacie to, czego ja nie biorę. O ile stanie grosza, chętnie wam naznaczę.

Chwilę pomyślał król i spytał:

— Ileż, panie marszałku?

Pan Andrzej z dumą rzekł:

— Cztery tysiące florenów nie starczy.

Król się cofnął i rozśmiał.

— Cztery tysiące? — powtórzył, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że usługi marszałka wcale takiej dotacji nie były warte. — Cztery tysiące...

Zborowski stał zmieszany nieco.

— Dałbym wam choć i cztery — zawołał Batory — ale wiercie mi, że ich w skarbie nie mam — i że nie mogę tej przysługi uczynić. Zobaczcie podskarbiego, mówcie z nim. tajemnic nie ma, okaże wam, co w skrzyniach leży. Lecz nie chcę was odprawiać z niczem, marszałku, na dwa tysiące się zmożę, a od was wzamian nie wymagam nic, oprócz, żebyście mnie potwarzami nie okrywali.

Zborowski tym datkiem, krakowskim targiem połowy, był mocno obrażony. Poczzerwieniał, pobladł, zabelkotał coś, ale się lękał i tego postradać; skłonił się w milczeniu, nie wysilając na podziękowanie.

Batory, który też więcej nie z niego wyciągnąć się nie spodziewał, a czytał mu z twarzy, że go nie zaspokoił, cofnął się ku stołowi. Nastąpiło milczenie, które oznaczało, że sprawa załatwioną została. Król jednak jeszcze słów kilka chciał dorzucić i zwrócił się do stojącego.

— Macie zapewne wpływ na młodszych braci — rzekł — wstrzymujecie ich od niebacznych kroków; ja wiedzieć muszę wszystko, a nie przebaczyć nie mogę. Nie o mnie chodzi, gdy przeciwko mnie spiskujecie, ale o Rzeczpospolitą, której ja wodze w rękę trzymam. Ci, co się na woźnicę rzucają, wóz podają w niebezpieczeństwo.

Wtem na antykamerze zaszumiało... nadechodziło duchowieństwo. Marszałek mrucząc, prędko się cofnął.

Chociaż z urzędu na zamku powinien był być jak w domu, nie sprawiając oddawna obowiązków, Zborowski niemal był obcym. Ci, co bliżej króla stali, odsuwali się od niego, wiedząc, iż Zborowscy podejrzani byli i zachowania tu nie mieli.

Nikt więc wychodzącego nie zatrzymał, rozstępowali mu się i koso spoglądali na niego, aż z dumą i pańską postawą powoli przeciągnął w dziedziniec. Tu stał koń jego i ludzie, ale się nie chciał, poszedł pieszo.

Całe to posłuchanie, wyrazy królewskie, które sobie powtarzał, surowość Batorego — oburzały go, omylone nadzieje upokarzały. Wychodził z zamku daleko zaciętszym wrogiem, niż przyszedł. Dwa tysiące jurgieltu zdawały mu się jakby na szyderstwo, rzuconemi.

Szedł tak pieszo, aż na Franciszkańską ulicę do domu Zborowskich, a gdy blady i milezący ukazał się w progu mieszkania podczaszego, który właśnie pisaniem jakimś był zajęty, Krzysztof podniósłszy oczy, już wiedział, że posłuchanie u króla wypaść musiało nieszczęśliwie.

— Od króla wracasz?

— Jeżeli on wart tego nazwiska — zawołał, własne słowa Krzychnika powtarzając, marszałek — wracam z posłuchania najmiłościwiej mi danego, z którego nie nie przynoszę, oprócz sromu na czołe. Myślisz, że się jego usposobienie zmieniło? że łaskawszym jest dla nas? Przyjął mnie, aby mi gorzkie czynić wyrzuty; dostało się i wam, dostało rodzinie. Prosiłem go o jurgielt — cóż myślisz? Żądałem cztery, raczył dać dwa, jak jałmużnę!

Krzychnik się skrzywił.

— O! mnie on tak nie kupi! — zawołał.

— Ale on cię targować nawet nie myśli, a, jak sędzę, i widzieć nie chce.

— Podczaszy wasa pokręcił.

— Tak? — rzekł. — Dobrze o tem wiedzieć.

Andrzej padł na siedzenie. Gniewu w sobie stłumić jeszcze nie mógł.

— Co myślisz, łagodził, przejednywał? — zawołał. — Nie, groził i przestrzegał! Oznajmił mi, że wie o wszystkim a nie nie przebaczy.

— Tak więc stoimy z łaski Jana i kanclerza — przerwał Krzysztof — tak stoimy! należy o sobie myśleć, a na jego królewską mość nie rachować! Mali ludzie, jakimi nas chcą uczynić, często wielkim dojeść mogą. Zobaczymy, co z tego urośnie.

Oba tak wykrzyknikami podsycali w sobie gniewy, ale Krzysztof był przekonany z tego, co od brata słyszał, że Andrzej był winien wszystkiemu, nie umiał się podstawić, niezręcznie odpowiadał, płaszczył nadto. Podczaszy był tej myśli, że gdyby on się z królem widział, inaczejby poprowadził i do czego innego doszedł, traktując.

Wojna i spiski, choć były oddawna jego żywiołem, już mu się naprzykrzyły, wołałby był znaleźć łatwiejsze życie. Nie miał Samuelowego zamilowania w awanturach i wybrykach. Zamilkł więc w końcu, mówiąc sobie w duchu, że byle się nastręczyła zrzeczność, gotów sam się stawić królowi.

— Gdyby i to do niczego nie doprowadziło — ha! naówczas pozostawało tylko starać się zgładzić Zamojskiego i króla.

On sam czynnym być ani myślał, — miał banitę w ręku, a lepszego narzędzia nie mógł żądać.

Jurgielt tedy naznaczony marszałkowi, który miał burzę zażegnać, — nienawiść tylko rozżarzył i rozdmuchał.

Samuel, pod ten czas, czując się banitą, albo ciągle po kraju krążył, rzadko dwie z rzędu noce w jednym miejscu spędzając, albo około Zborowa, kędy miał czaty porozstawiane i ludzi sobie oddanych, w lesie, w umyślnie zbudowanym tam domostwie przesiadywał.

Był to jego kąt ulubiony, a ludzie zwali go Białym Kamieniem, może dlatego, iż dwór stał na podmurowaniu, które jasno od zciemniałego odbijało drzewa.

W Białym Kamieniu zwało się, że spoczywał, ale czas trawił tu na łowach, na słuchaniu Wojtaszka i na zabawianiu się z dziećmi, których dwoje (miał troje tylko), syna Aleksandra i córkę Anusię, szczególniejsz lubił.

Z wybitniejszych osób, otaczających Samuela, wymienić jeszcze należy Boksickiego, który, gdyby na politywanie zasługiwał, męczennikiem by go nazywać było można. Lecz najprzewrotniejszy z ludzi, korzystający z pana, wyludzający z niego pochlebstwa i najpodlejszemi posługami, co

tylko zedrzeć mógł, Boksicki był poprostu łotrem o twardej skórze.

Trafiało się, że go Samuel zbił na gorzkie jabłko, ale nie mogąc obejść się bez niego, potem musiał sam smarować i plastry mu złote przykładąć. Miał za to w Boksickim posługacza, oprawcę, narzędzie — do czego tylko chciał go użyć. Człek był zręczny, pilny, wytrzymały, a bez sumienia. Aby takiemu, jak Samko, służyć, potrzeba było w istocie żelaznego człowieka.

Miał to do siebie Zborowski, że swych ludzi znał na wylot, i dobrze wiedział, jak dalece podłym był Boksicki, ale go takim mieć chciał, bo mu to było dogodne.

Naostatek w gromadzie, która teraz ciągnęła z nim, miał jeszcze Samko i księdza, a raczej braciszka w sukni zakonnej św. Franciszka, Włocha Zapatellego. Tego szczególnie upodobał sobie, dlatego że się jąkał i szeplecił, a mówił po włosku. Zborowski zaś do języka tego miał słabość i czasami się odgrażał, że zupełnie Polskę porzuci, a do Włoch się wyniesie.

Zapatelli grał tu niewłaściwą swej sukni rolę trefnisia, wyśmiewano się z niego i znęcano nad nim. Zabranym gdzieś gwałtem po drodze, pojony, karmiony Włoch nie mógł się wyrwać i oswobodzić. Znosił los swój od roku blisko z rezygnacją, bo dwa razy nadaremnie próbował się wysłiznąć, a za każdym razem pochwycony, wyszturgany, musiał za karę siedzieć w czabance o chlebie i wodzie.

W tym oto Białym Kamieniu niespokojny umysł Samka szukał wytchnienia, a czasem roztargnienia w żalach po żonie i osamotnieniu żałobnem.

W takim właśnie usposobieniu drugi już dzień leżał Samko na skórach, które jego łoże stanowiły, zamknięty, pod strażą Boksickiego, któremu nikogo, nawet córki do siebie nie kazał dopuszczać, gdy wystrojony jak gach, z utrefionemi włosami przysunął się wolnym krokiem do progu Wojtaszek, ulubiony, a zuchwały Samka lutnista.

— Słuchaj ty — zwrócił się do leżącego tuż na ziemi we drzwiach Boksickiego — puszczaj mnie do niego!

— Niewolno!

— Co to niewolno! mnie? — odparł lutnista. — Gdzież to słyszałeś, aby mnie było niewolno wniknąć, kędy zechcę?

— Pan zakazał nawet panny nie puszczać — rzekł, mruczając stróż.

— Ale nie mnie.

— Niema wyjątku — idź sobie!

Wojtaszek leżącego kopnął nogą.

— Słuchajże ty, bałwanie jakiś, otwieraj mi drzwi, bo ja ci każę!

— Ja od was rozkazów nie mam do odbierania — odparł Boksicki. — Idź precz!

Z pogardą spojrział na niego lutnista i gniewnie nogami go począł tłuc.

— Otwieraj!

Powstała wrzawa. Wtem ze wnętrza izby, w której leżał pan Samuel, głos się dał słyszeć.

— Kto tu śmie? Boksicki, precz z tym!

— To ja! — wrzasnął Wojtaszek.

— Precz! — zawołał głos groźny Samuela.

— Precz? — podchwycił Wojtaszek. A ze mną i listy Krzychnika pójdą precz!

Rozśmiał się na całe gardło, bo już z wnętrza głos potężny wołał:

— Otwierać!

Boksicki się zerwał, opończę narzucając na siebie i kosemi oczyma mierząc Wojtaszka.

W izbie, w której leżał już drugi dzień Samuel, było prawie zupełnie ciemno, pomimo wiosennego dnia jasnego. Okiennece stały pozamykane. Na podłodze nasłane siano, pokryte niedźwiedziami skórąmi, służyło za łożo. Na niem w koszuli jednej, z obnażoną piersią, włosem okrytą, z rękami pod głowę podłożonemi — spoczywał Samuel.

Powolnym krokiem, listy pootwierane trzymając w ręku, zbliżył się ku niemu Wojtaszek.

Bystre oko leżącego dostrzegło, że pieczęcie naruszone były.

— Jakaś ty śmiał listy moje czytać? — zawołał, zrywając się Samko.

— A dlaczego bym nie miał ich otworzyć, kiedy przede czy później przecieżby się przede mną nie ukryły!

Wojtaszek odpowiadał wcale nie zatrwożony, a wzrok, jakim pana mierzył, takie wyrażał lekceważenie, jakby on tu był panem, nie sługą. Samuel zgrzytnął zębami, ale nie odpowiedział nic. Podniósł się powoli, rozkazując, aby mu okiennece otworzono. Wojtaszek, który najmniejszej posługi sam nigdy nie spełnił, obrócił się ku progowi i zawołał Boksickiego.

Tymczasem w Zborowskim już niecierpliwość górę wzięła, i nie czekając, aż sam listy przeczyta, zawołał:

— Co on tam pisze!

— Ho! ho! — odparł, jak zawsze, szydersko Wojtaszek. — Pisze takie rzeczy, których żaden rozumny człowiek papierowi nie zwierza.

— Kto? — zapytał Samko.

— Kto? A to domysleć się łatwo — rzekł lutnista. — Marszałek nadto ma rozumu i przebiegłości, aby to, co chce zrobić, naprzód oznajmywał i pomógł tym, co mu zechcą przeszkodzić; kasztelan do was nie pisuje, jest jeden Krzychnik, co się nie boi, bo ma cesarza za sobą, a o wasze zdrowie pono niewiele stoi.

Otworzyły się w tej chwili okiennice, Samuel wyrwał listy z ręki lutnisty i namarszczony, siedząc na łożu, czytać je zaczął.

Wojtaszek stał, oczyma badając twarz swego pana, na której, jak w wodzie obłoki, wszystkie wrażenia się dobitnie malowały. Czytał je, jak z karty, a nie odchodził, bo ciekawym był końca.

Samuel czytał i odczytywał. Ściągał brwi, zakąsywał wargi, gniew po nim przechodził, jak prąd gorący, ale wnet się to zmieniło, list raczej ucieszył Samuela, niż zmartwił, choć donosił o najgorszym usposobieniu króla i o środkach, jakie nieodzownie przedsiębrać było potrzeba.

Właśnie ta ostateczność i nadzieja, że będzie czynnym, że zostanie zmuszony porwać się do zuchwałego i krwawego czynu, radowała tak Zborowskiego. Nudził się już tą swoją, jak ją nazywał, bezczynnością. Ani Motrunka, ani Anusia, ani Boksicki i Wojtaszek, ani mnich Włoch, ani łowy i konie nasycić go nie mogły!

Raz zakosztowawszy krwi i doznawszy tego wrażenia, jakie ona wywiera na tym, kto się nią zmazał, był pan Samuel niemal chciwym nowego jej przelewu. Krzychnik w tym liście, którego już powiernikiem był Wojtaszek, bez ogródki mówił o truciźnie na wileze zęby (tak nazywano króla od jego herbu) i o napaści na „szaraka“.

Przygotowania do napadu tego, samo dokonanie go, nikomu innemu przypaść nie mogło, tylko Samuelowi. Czuli się do tego powołanym i to mu się uśmiechało.

Z Wapowskim siedem czy osiem żywotów ludzkich miał już na sobie. Cóż mu znaczyło podjąć jeszcze jedno wielkie dzieło, które go chwałą okryć miało, a wedle jego pojęcia, — naród wyzwolić! Radowała się jego dusza!

W tej chwili, ów ciężki, dojmujący smutek, który go do łoża przygniatał, wszystkie powszednie zabawki — znikły z przed oczów; miał przed sobą postać znienawidzonego

kanclerza, z którym się pragnął rozprawić. Nie powątpiewał ani na chwilę, że z walki, choćby nierównej, wyjdzie zwycięzcą.

Równemi nogami porwał się z łoża, aż Wojtaszek, stojący zbyt blisko, cofnąć się nieco przed nim musiał. Usta jego mimowolnie pocichu wyszeptały jeden wyraz:

— Zbójca!

Panu Samuelowi śmiała się przed chwilą namarszczona twarz. Spojrzał w okno.

— Cóż to? — zawołał — blisko południe! Słyszysz, idź powiedz, aby mi Michał natychmiast dawał obiad. Jestem głodny!

— Boksicki — powtórzył, nie ruszając się z miejsca Wojtaszek — idź do kuchni. Jam nie do tego.

Ten, który mozolnie ciasną właśnie opończę wciągał na ręce, zamruczał coś, jakby na Wojtaszka chcąc zdać poselstwo, ale lutnista powtórzył dumnie:

— Słyszałeś rozkaz pański, nogi za pas. Leżałeś dosyć!

Mrucząc, musiał być posłuszny Boksicki, a Wojtaszek, w bok się wzięwszy, po izbie przechadzać się zaczął; nie chciał odejść, aby Samuela z oczów nie stracić.

Zborowski oblewał się wodą i odziewał pośpiesznie, ale w rozmowę, której lutnista życzył sobie może, nie wdał się z nim. Słów zresztą nie było potrzeba, aby czytać, co myślał. Radość, nadzieja jakaś błyskały mu z oczów.

W chwilę potem róg myśliwski, wedle miejscowego zwyczaju, dawał znać, że Michał pośpieszył z obiadem i pan Samuel, przyodziany lekko, szedł już do izby jadalnej, w której się wszyscy gromadzili.

Boksicki, Zapatelli, mały, zażywny, tłusty i brudny braciszek w trepkach i habicie, ladajakim powrozem przepasanym, kilku szlachty, starsi urzędnicy dworu, już dokoła wielkiego stołu oczekiwali. Szlachta dobywała zawczasu łyżki z za pasa i ocierała rękawami, czeladź wносиła parujące misy, z których wybuchały wyziewy przypraw korzennych. Zapatelli, wedle zwyczaju, zabierał się odmawiać Benedicite, choć nikt na nie ani zważał, ani czekał, gdy wpadł pan Samuel.

Wszyscy teraz biesiadnicy z oczyma zwróconemi na gospodarza, gotowali się go czemś zabawiać. Borowski donosił o sokołach, drugi mówił o wilczycy z małemi, na którą w gnieździe najść było potrzeba, aby szczenięta zabrać żywcem.

Wojtaszek siedział także u stołu, umieściwszy się tak, aby na Anusię mógł patrzeć. Ojca się wcale nie wystrzegał. Anna unikała jego wejrzenia, a ile razy je spotkała, odwracała się z niewysłowioną pogardą.

Wojtaszek mimo to nie tracił fantazji, owszem — coraz się chciał głośniejsz z nią popisywać i wtrącił zuchwale do rozmowy.

Zaczęto wyszydząć Zapatellego, któremu sąsiedzi najlepsze kąski nietylko z półmiska, ale prawie z ust wyrywali. Włoch czerwieniał z gniewu, jękał się tem więcej jeszcze i bezsilną tą siłą pobudzał wszystkich do śmiechu. Przychodziło niemal do utarczek na łyzki i pięści, co zdawało się tak zwyczajnem, że niczyjej nawet nie zwracało uwagi. Wojtaszek tylko jeden się marszczył, bo mu to do mieszania się w rozmowę przeszkadzało.

Samuel tymczasem, nie mogąc nic nigdy długo w sobie utrzymać, już w głowie osnuwając zamiar zaskoczenia kędyś Zamojskiego, plan cały układał. Ludzi mu dzielnych było potrzeba. Miał kilku, na których mógł rachować — innym mniej ufał.

— Boksicki — odezwał się — ludzi będą potrzebowali! Szukaj mi takich, coby się ani śmierci ponieść, ani ją zadać nie obawiali, prawych rycerzy!

— Idziecie na wojnę? — zapytał Boksicki.

Wojtaszek się rozśmiał.

— Jakiś ty głupi! — rzekł. — Albo to nie wojna, gdy się w lesie napadnie podróżnego?

Zmarszczył się pan Samuel.

— Czyż my dość ludzi nie mamy? — odparł sługa. — Zawczasu robić zaciągi i żywić je! A tacy, co się tego biją, okrutnie też jedzą i piją.

Śmiał się Zborowski.

— Postaramy się dla nich o kaszę, daj tylko — zawołał.

— Wielu? — zapytał sługa.

— Wielu — począł, podpierając się na łokciu Samuel — liczę tych, na których rachować mogę... mamyż ich aby trzydziestu?

— Tylko niech się Boksicki do ich liczby nie wciągnie — wtrącił Wojtaszek, — bo on już się stępił, jak nóż na skórce od chleba.

Nikt lutniście nie odpowiadał, ani zważał na niego, co go do jeszcze śmielszego się odzywiania pobudzało.

— Trzydzieści orzechów wziąć, żeby ani jednego świstuna w nich nie było — podchwycił lutnistą — to sztuka!

Samuel krzyknął, pięścią bijąc w stół.

— Milczeć.

Wojtaszkowi krew trysnęła do głowy, bo Anusia spojrziała na niego i uderzyła w dłonie.

— Patrzcie! — krzyknął lutnista. — Jak mnie śpiewać poprosicie, ja też milczeć będę!

— Oh! oh! — odciał Boksicki. — Już ja podejmę się z was głosu dobyć...

Ledwie tych słów domówił, gdy Wojtaszek się zerwał i wymierzył mu potężny policzek. Boksicki się pochwycił z ławy do szabli, zrobił się huczek i zamieszanie. Wojtaszek stał w bok się wzięwszy i wyzywał. Zborowski wołał, aby się ucisz yli, ale obity skakał do oczów lutniście, a inni, co także go nie lubili, pomagali. Ksiądz Włoch, z którego się Wojtaszek naśmiewał, skrobał mu marchewkę na palcu.

Już, już tylko co nie było widać, jak się do bójki wezmą, w której lutnista sam jeden miał być przeciwko wszystkim. Widząc to i nie czekając, Wojtaszek się nieco cofnął ku drzwiom wewnętrznym.

Boksicki zaś skinąwszy na swoich, przemagającą siłą naparł na Wojtaszka, który, nie czekając, aż go wyrzucą, wyrwał się i uciekł sam precz.

Zborowskiego ten wypadek, choć nie był w domu żadną rzadkością, bo się rzadko obiad u niego kończył inaczej, jak bójką i hałasem, rozgniewał; siadł zły, sam nie wiedząc do kogo się za to czepiać.

Chwilę pomyślawszy, kazał biedz zobaczyć co się z lutnistą stało, a gdyby go znaleziono, zamknąć w izbie gościnnej i straż postawić.

Wybiegli natychmiast dworzanie i kilku czeladzi, a tymczasem Zapatelli, gryząc orzechy, śmiał się z Wojtaszka, przedrwiwał, bo już był sobie trochę podchmielił.

Anusia nie powróciła.

Zborowski ze swoim Boksickim najspokojniej w świecie nanowo rozpoczął o ludziach mu potrzebnych się naradzać, gdy dworzanie, jeden z tych, co za Wojtaszkiem wyszli, powrócił z oznajmieniem, iż lutnista prosto ze dworu wpadłszy do stajni, konia okulbaczył i jak stał, dosiadłszy go, uszedł.

Zborowski nakazał pogoń, aby go bodaj związanego nazad przywieziono, ale ludzie sami się gonić domyślili.

Zacznął być niespokojnym. Obejrzał się za listami Krzychnika, czy ich z sobą Wojtaszek nie zabrał, ale okazało się, że ich nie tknął.

Wojtaszek, zepsute chłopię, wiódł żywot nieszczęśliwy, opuściwszy Samuela, który dla niego nadto był pobłażającym, potem zbyt okrutnym, ale przecież dbał o niego i on coś znaczył przy nim — był mu potrzebnym!

Gdzieindziej zaś po małych dworach — lutnista obudzał chwilową ciekawość, słuchano go chętnie, podziwiano, ale nigdzie na dłuższy czas lekkiego czleka nikt nie chciał zamawiać. Odprawiano go z małym podarkiem i trzeba było iść dalej. U panów a magnatów, którzy muzyki swoje mieli, nie zbywało ni na śpiewkach, na cytrzystach i t. p. a nie znano się tak na muzyce, aby Wojtaszka odróżnić od innych i dać mu prym nad nimi.

Im dłużej więc trwała ta przymusowa włóczęga Wojtaszkowa, tem mocniej żałował, że porzucił pana Samuela i nie potrafił się z nim zgodzić. Do żadnej innej pracy zepsute i rozpróżnowane chłopię nie czuło się zdolnem. Umiał wprawdzie czytać i pisać, pieśni swe dla niektórych osób kaligrafował i sprzedawał, ale wszystko to na życie, do jakiego był nawykł, nie starczyło.

Chociaż, uchodząc z Kamienia, co mógł, w sakwy z sobą zabrał Wojtaszek, niewiele tego było, bo konia na długą podróż nie mógł obciążać. Tak więc lutnista markotny wielce, czas jakiś pokrążywszy po dworach, których panów znał z widzenia lub ze sławy, nigdzie stałego nie mogąc znaleźć pomieszczenia, bo, mimo biedy, wymagającym był, wysoko się cenił i żądał wiele, zawsze w końcu do Lwowa powracał, kędy w przedniejszej gospodzie u Ormianina, Szeremiego, przesiadywać był zwykł. Tu zajmował maleńki alkierzyk, a dniami i wieczorami trzymał się w wielkiej wspólnej izbie gościnnej, z lutnią w ręku, pobrzękując na niej, nucąc potrosze, okazji czekając, aby go do śpiewu zaprosił kto taki, coby potem podarkiem mu się wywdzięczył.

Trafiali się tu możni przejeżdżający, bo gospoda Szeremiego była niemal jedyną, szczególnie dla tych, co na wschód dążyli; czasem i dzień, i dwa przyjmowany, pojony, karmiony, obdarzony Wojtaszek używał dobrego bytu, ale potem następowały chude dni długie, gdy w gospodzie pospolici tylko ludzie spoczywali, a lutnista za swój miły grosz musiał posilać się i pragnienie gasić. A że u Samuela z młodu do życia bardzo dostatniego był nawykły, lada czem się nie ograniczał, trzeba mu było przysmaków pańskich, wina i konfektów. Przykrzyło mu się więc to życie na łasce losu.

Z niecierpliwością wyczekuje zręczności, Wojtaszek dosiadywał w gospodzie i badał nietylko postawę każdego

przejeżdżającego, nie dość, że mu przysługiwał, ale szedł do stajen orszak zobaczyć, z ludźmi pogawędzić. Wszystko to czynił tak zręcznie, od niechcienia, jak gdyby go tylko próżnowanie ku temu pobudzało.

Zaczynały już mu te czaty się przykrzeć, gdy jednego południa zajechał z kilkunastu ludzi konnych średniego wieku mężczyzna, z którego rysów twarzy łatwo było można poznać węgierskie pochodzenie.

Tylu naówczas Węgrów ciągle wjeżdżało do Polski i po niej się kręciło, że ten typ był łatwym do rozróżnienia. Narodowy strój Węgrów, ich uzbrojenie i rzędy na konie ułatwiały to rozpoznanie.

Wojtaszek miał oko bystre, zaraz więc w stajni obliczywszy konie, przypatrzawszy się ludziom, oceniwszy ich uzbrojenie, mógł się domyśleć, że jechał mąż jakiś znaczny, a zatem albo od króla wysłany, lub z królem w stosunkach będący.

Był to właśnie, jakby zesłany dla niego człowiek, którego mógł życzyć sobie.

Z alkierza gospodyni, przez szparę we drzwiach mógł się lutnista przypatrzeć temu panu. Był to w istocie Węgier zamożny, wesołego oblicza, wyglądający niebardzo pańsko, więcej rycersko i jak urzędnik, — żywy, dobrej myśli, podśpiewujący sobie, — który ani na jadło, ani na napój nie żałował.

Oświadczył on gospodarzowi, iż choćby dalej tego dnia na Podole mógł ciągnąć, ale znalazłszy gospodę miłą, chce sobie u niego spocząć. Rozumie się, że Ormianin nie miał nic przeciwko temu.

Z łamanej mowy cudzoziemca, bo się polszczyzną, łaciną i niemieczyzną sztukował, zmiarkował Wojtaszek, że nie od dziś musi być w Polsce, a co zatem szło, że zapewne przybył z królem i do jego dworu wojskowego lub cywilnego należał.

Tak długo wyczekawszy się na zręczność, lirnik postanowił spróbować szczęścia. Wdział na siebie ostatnie już włoskie ubranie czyste i wytworne, wziął od niechcienia lutnię w rękę, jak gdyby wcale o gościu nie wiedząc, wszedł śmiało do izby, gdzie na ławie miejsce zajmawszy, nogę na nogę założył, począł brzdąkać na cytrze i nucić piosenki.

Wszystko to było obrachowane doskonale. Biegał po strunach lutni, jak gdyby nie wiedząc sam co czyni, brzdąkając od niechcienia; śpiewał i urywał coraz nowe polskie i włoskie piosenki, ale gra i śpiew ów były na popis wybrane.

aby dały wyobrażenie słuchaczowi o talencie grajka i śpiewaka.

Szło o to, czy ten, przed którym się tak wdzięczył, miał znajomość rzeczy i w niej upodobanie. Od tego zależało wszystko.

Podróżny, o którym mowa, był ów Cobar, co królowi na łowach towarzyszył, młody przyboczny Stefana, Węgier, razem z towarzyszem swym Zybergiem, używany ciągle do poufnych posłańnictw, a właśnie teraz wyprawiony na Podole do tych wojsk, które się tam przeciwko Tatarom zbierały, z rozkazami.

Szczęściem osobliwem dla Wojtaszka, Cobar nie tylko lubił muzykę, ale się na niej znał dobrze, a był znużony, znużony, więc na pierwszy dźwięk lutni obudził się, ożywił, a posłyszawszy urywek śpiewu, stanął zachwycony.

Chociaż Wojtaszek, ze spuszczoną głową wcale na niego patrzeć się nie zdawał, najmniejszy ruch i oznaka wrażenia — baczności jego nie uszły. Dodały mu one śmiałości; z powagą pewnego siebie kunsztmistrza rozsiadł się wygodnie, położył lutnię, ziewnął, wziął ją napowrót, począł próbować strun i palców, dokazywać sztuk różnych, i ciągle udając, że Cobara ani widzi, ani o nim wie, dla samego siebie począł nucić.

Mówiliśmy, jak pięknie, gdy chciał, śpiewał, jak głosem i wyrazem pieśni umiał trafiać do serca, więc tu, gdy szło o los własny, gdy potrzeba było wywrzeć wrażenie, zachwycić, ująć sobie słuchacza, zażył całej swej umiejętności.

Cobar, jak przykuty w tem miejscu, gdzie go pieśń zastała, stał, poruszyć nie śmiejąc się.

Wojtaszek opiewał serca swojego tęsknice w bardzo wdzięcznej kanconie, którą sam był nieosobliwie z włoskiego przełożył. Wiersz był słaby, ale muzyka prześliczna a głos i wykonanie zachwycające.

Gdy już tę strunę poruszył, zaczął z drugiej próbować; lutnię otarł, włosy utrefione poprawił i od niechcenia znowu, wesolą a swawolną jakąś piosnkę dobył z piersi. Dwa te śpiewy stanowiły sprzeczność, różniły się od siebie nadzwyczajnie, ale to podnosiło wrażenie, jakie czyniły.

Cobar, który czasem na dworze królewskim słyszał lutnistów tuzinkowych, kórzy trzymani byli dla formy i dla gości, a wcale się nie mogli pochwalić, aby celowali talentami, spragniony czegoś lepszego, niesłychanie był rad trafowi. Obawiając się, aby mu nie uszedł grajek i pieśniarz, z którego pomocą mógł bardzo przyjemnie wieczór prze-

pędzić, zbliżył się do niego i pozdrowiwszy, chwalić począł talent jego.

Skromnie i mileząco przyjął te pochwały Wojtaszek i śmieiej tylko popisywał się dalej, nie skąpiąc ni głosu, ni palców. Cobar też nie skąpił pochwał, usiadł naprzeciwko i dawał znaki nadzwyczajnego rozradowania śpiewem. Przyniósł mu wina przedniego kubek, który Wojtaszek przyjął.

Zwolna zawiązała się rozmowa.

— Takiego lutnisty tu w Polsce i ze świecą szukając, nie znaleźć — odezwał się Węgier. — Jakże to może być, abyś waćpan nie miał miejsca stałego i tak się błakał?

— Przepraszam miłość waszą — odparł Wojtaszek, — ja bo niby miejsce przy pewnym dworze mam, i tylko teraz, chwilowo...

— U kogóż wasza mość jesteś? Kto jest tak szczęśliwy, iż tak doskonałego pozyskał sobie lutnistę?

— Zostaję przy panu Samuelu Zborowskim — odparł wyraziście Wojtaszek.

Dosyć było Cobarowi usłyszeć to imię, aby mu muzyka i śpiewak z głowy precz poszły, a sprawa pańska zapukała do serca. Trafila się doskonała zręczność wybadania sługi Zborowskich, właśnie pod ten czas, gdy najwięcej mówiono o ich zamiarach, o knowaniach, a podróż Samuela na Niż dawała powód do pogłoski, że on się tam chciał hetmanem ogłosić.

Cobar wcale się nie spodziewał, na kogo trafił, a śpiewak wydał mu się doskonałym do tego, aby z niego, co zechce wyciągnąć. Nie pokazał po sobie, ażeby go to nazwisko miało poruszyć.

— Pan Samuel? — odparł. — A gdzież on się teraz znajduje... powiadano, że go tu w kraju nie było?

— Nie było go, ale powrócił — rzekł Wojtaszek. — Niedaleko stąd nawet jest w gościnie.

Węgier głową potrząsnął.

— Toć pewno niedarmo — rzekł — kręci się tu, bo o Tatarach słyhać, ino ich nie widać... nikt tu teraz bezpiecznym nie jest.

Gdy zagajona w ten sposób rozmowa, tak odrazu bez przygotowania padła na pana Samuela, Wojtaszek, nie miał czasu się rozmyśleć, co pocznie: będzie-li udawał wiernego sługę, czy odrazu, z serca zrzuciwszy brzemię, ma się przyznać Cobarowi ze swą nienawiścią, ucieczką... położenie mu swoje odkryć jawnie?

Gdy Węgier, czekając na odpowiedź, zbliżył się do lutnisty, spotkał jego oczy wlepione w siebie i taki wyraz walki na twarzy, iż łatwo mógł wnieść, że śpiewak wahał się odkryć, a miał coś do odkrycia.

Powtórzył więc zapytanie.

— A no mówcie śmiało, co tu pan Samuel porabia? Bo juści chyba z Tatarami nie trzyma?

Wojtaszkowi serce w piersi zakolało.

— Teraz lub nigdy — rzekł sobie — rzecz dawno postanowiona! Niema co go oszczędzać, zbója tego i zdrajcę! Niech za to pokutuje, co przez całe życie broił.

Wstał z ławy Wojtaszek i choć już mocne postanowienie miał, potem mu się czoło okryło, głos zadrżał w piersi, gdy mówić zaczął.

— Sługą jestem Zborowskiego — rzekł — ale i mnie już nadojadło patrzeć i słuchać, co się tam u niego i z nim dzieje. Mówicie, czy z Tatary niema zmowy? A kto może za to ręczyć? Onby z djabelem sojusz zawarł, ażeby mu do tego dopomógł, co on chce.

Cobar uszy nastawił i zbliżył się.

— A czegoż on tak chce? — zapytał.

— Albo to wy i cały świat nie wie? — zawołał, uśmiechając się złośliwie Wojtaszek i zamilkł.

A po chwili zamruczał.

— Oj! knują się tam, knują i kuja u panów Zborowskich niedobre rzeczy!

Cieżko mu przychodziło tak odrazu ze wszystkim się wygadać; może też obrachował, że nie zawadzi się podróżować i począł śpiewać.

Cobar, wysłuchawszy jednej strofy piosenki, przerwał, niecierpliwie dowiedzieć się czegoś więcej.

— Jak mi Bóg miły — zawołał, — żał mi was dla Zborowskich! Wybyście łatwo mogli znaleźć doskonale miejsce na królewskim dworze. Głos macie śliczny, a i muzykant z was niepośledni.

— Ja bo od dzieciństwa się w tem ćwiczę — rzekł Wojtaszek, — alem popadł w takie ręce, że się z nich wyzwolić trudno.

Węgier coraz bardziej uradowany, nie rzucając już tej zdobyczy, nalał mu coprędzej kubek wina, przepił do niego, dobył czerwony złoty węgierski z kieszeni i wsunawszy mu w rękę, znowu rozmowę ostrożną zawiązał o Samuelu.

Wojtaszek pił i coraz bardziej się ośmielał.

Po dwu pierwszych kubkach wprędce trzeci znalazł się pełnym, a Węgier począł mówić, próbując lutnistę.

— Ja tam nie wiem, co o Zborowskich trzymać, a szczególnie o waszym panu Samuelu. Ma nieprzyjaciół, żgają na niego, że na króla nastaje, że mu jest wrogiem, a to przez kanclerza wszystko. — Gdyby pan Samuel, zamiast wojnę prowadzić z Zamojskim, udał się śmiało pod opiekę króla, przeciw niemu, lepiejby na tem wyszedł pewnie.

Spoglądał mówiąc to na Wojtaszka, który wciąż pot ocierając z czoła, wzdychając, jakby się męczył i z sobą walczył, po słówku z ust dobywał.

Wreszcie, dobrawszy chwilę, gdy się Cobar zatrzymał nieco, jakby czekał na odpowiedź, coraz to wyraźniej począł się zdradzać z tem, co myślał.

— Miłościwy panie — odezwał się do Cobara — ciężka to rzecz sługą być, gdy to, co pan czyni, człękowi na sumieniu ciąży, a tu nie wiedzieć, co wybierać: albo zdrajcą być, albo drugich, niewinnych na zdradę narazić. Chciałoby mi się z onej służby uwolnić z czystem sumieniem.

— A czyż nie jesteś człek wolny? — spytał Węgier.

— I owszem, jestem nim — rzekł Wojtaszek — ale lat tyle wisząc przy dworze, człek się przywiązał, a dłużej na żaden tu sposób nie można trwać, bo uszy wędną słuchać, a zgroza bierze patrzeć, co tam radzą i do czego się sposobią. — A! nie, nie! Bodaj z głodu umrzeć, a dłużej na tej służbie trwać nie myślę! — dokończył.

Gdy się Węgrowi tak szczęśliwie powiodło, co prawdę rzekłszy więcej winu, obficie nalewanemu przypisywał, niż własnej zręczności w badaniu — nie chciał zaniedbać tak dziwnie pochwyczonego wątku. Posadził tedy Wojtaszka na ławie obok siebie, parę pieśni mu dał jeszcze odśpiewać, raczył go ciągle węgierskiem winem i w końcu zupełnie podchmielił.

Lutnista się całkiem otworzył przed nim.

— Ja o wszystkim wiem — rzekł — na wszystko patrzałem i słuchałem... nie miał dla mnie tajemnic pan Samuel. mogę wskazać, co oni z bratem Krzychnikiem knują... ale głowę mi za to wezmą, gdy mieć obrońcy nie będę!

— Jakto, nie będziesz miał obrońcy? — krzyknął Cobar. — Ja ci słowo daję, — król weźmie cię na dwór, da ci miejsce u siebie, między swymi cytrzystami! Ja w tem! Włos ci z głowy nie spadnie, tylko trzeba, żebyś otwartym

był, powiedział wszystko, wskazał, aby można było winowajców ścigać, a króla od ich zbrodniczych zamachów uchronić.

Wojtaszek, już dobrze podpity, uderzył się w piersi.

— Jak Bóg miły! Powiem wszystko, odkryję! — zawołał, — byleście się mną zaopiekowali. Dostyc już gorzkiego ich chleba jadłem!

Miał w istocie ochotę wielką wynurzać się i opowiadać zaraz, ale językiem już nie władał, bełkotał, i nie tylko śpiewać, ale i mówić nie mógł.

Po pijanemu zeznanie na nicby się nie było przydało, Cobar to zaraz rozważył.

Wprawdzie nazajutrz miał jechać w dalszą drogę, ale sprawa była zbyt wielkiej wagi, ażeby dla niej nie opóźnić się bodaj. Szło o życie króla, z czem się nie tał Wojtaszek. Każde słowo miało znaczenie ogromne. Musiał wybadać tego przez opatrność nastrożonego śpiewaka, dobyć z niego co tylko wiedział.

Dokonanie, rad nie rad, Węgier musiał do dnia następnego odłożyć, a znowu na myśl mu przychodziło, że Wojtaszek, wytrzeźwiwszy się, ulęknąć się może zemsty Samuela, ująć mu z rąk, zmienić usposobienie.

Począł więc od tego, iż go sobie ujął najuroczytzem przyrzeczeniem jurgieltu, miłości króla i opieki, bezpieczeństwa na wszelki raz, byle mu, nie nie tając, odkrył, co tylko wiedział i słyszał.

— Dobrze — rzekł Wojtaszek zmęczony i napojem zwyciężony. — Ale miłościwy panie, po tem winie, com je wypił, chyba dziś myśli nie zbiorę i nie potrafię całej sprawy wyłuszczyć. Więc jutro...

— Jutro! — pochwycił niespokojny Cobar. — No cóż robić, niechaj będzie jutro, tylko że ja mam tyle ważnych rzeczy na głowie; gotowem zapomnieć. Wiesz co...

Tu dobył pugilaresu i ołówka z kieszeni.

— Mam zwyczaj zapisywać naprzód, co którego dnia jest do zrobienia; zanotuj mi tu, że jutro, co wiesz o Zborowskich, masz mi wszystko porządnie opowiedzieć.

Wojtaszek się bynajmniej nie zawahał i najwyraźniej się rozpiął, że jutro o zamiarach panów Zborowskich przeciwko królowi szeroko i dokładnie Cobara uwiadomi.

Notatkę do kieszeni schowawszy, Węgier z miną niby obojętną kazał słudze swojemu odprowadzić do jego izby lutnistę, rozebrać go i położyć, a sam drżąc z niepokoju i niecierpliwości, pozostał w izbie dla przygotowania się na jutro.

Znając już potrosze ptaszka, którego przyłapał, Cobar wiedział, co miał czynić, aby rzecz do dobrego doprowadzić końca. Nie wątpił, że król i Zamojski bardzo mu za to odkrycie wdzięcznymi będą.

Potem przywołać kazał kucharza swego i zalecił mu, aby nazajutrz rano wytworne sporządził śniadanie, postarał się o malmazję, o wina, o przyprawy i wyprawił bankiet, na jaki się mógł tylko zdobyć.

Nie dosyć na tem, bojąc się, aby to śniadanie nie starczyło na dosyć długo, zawołał jeszcze gospodarza i przykazał mu z osobna, także co mógł najsmaczniejszego przyprawić, nie zważając na to, co kucharz warzyć będzie.

— Nie pytaj mnie, na co się to wszystko zdało — rzekł; rób, co każę, zapłacę, jak należy, bez targu. Wolność mi fantazję mieć, jako i drugim.

Rachował na to, z czem mu się Wojtaszek po pijanemu wygadał, — że był wygłodzony, zbiedzony długą włóczęgą i że dobre jadlo, dobre wino, doda mu odwagi i usta otworzy.

Cobar daleko więcej kunsztu zażywał, biorąc się do lutnisty, niż go tu było potrzeba, bo Wojtaszek i dla zemsty i dla chęci podźwignięcia się, na wszystko już był gotów i ani myślał się cofać.

Węgier, ledwie z niecierpliwości usnąwszy nieco nade dnem, rychło wstał, czekając na Wojtaszka, który po winie kamiennym snem spał bardzo długo i nie rychło blady, zmęczony, strwożony ukazał się Cobarowi, już na niego oczekującemu w izbie u zastawionego suto stołu. Ptasiego mleka tylko brakowało.

Węgier odgrywał komedję, że mu nadzwyczaj było pilno, że musiał zaraz dalej ciągnąć. Dla niepoznaki nawet część swych wozów i ludzi wyprawił niby przodem, przykazawszy im, aby w miejscu oznaczonem czekali, a sam zasiadł z Wojtaszkiem do stołu.

Zaczęło się od traktamentu własnego kucharza, Węgra... i już ten się zbliżał do końca, gdy Ormianin gospodarz wszedł, żaląc się, że on też, nie wiedząc o niczem, śniadanie pańskie sporządził, że jemu przysługiwało prawo swych gości żywić.

— A! bodajcież, bodajcież! — zerwał się Węgier. — Ja czasu nie mam! Po co mi to twoje śniadanie? — my go jeść nie będziemy.

Wtem jakby się rozmyślił nagle, spojrzawszy na Wojtaszka, zawołał:

— Ha! pal cię djabli, kiedy już gotowe, coś miał dać przynosić każ, a żywo. Szkoda wyrzucać za okno!

Po pieczeni palce sobie oblizywać będziecie! — rzekł Ormianin.

Na nowo tedy siedli jeść, przyczem Cobar, nie przestając, nalewał. Wśród jedzenia i popijania Węgier zażądał pieśni; Wojtaszek począł najlepszym swym głosem nucić, że w istocie słuchać było czego.

— Wam, bo nie gdzieindziej, tylko u króla na pokojach pieśni zawodzić — wykrzyknął zachwycony Węgier i dobywszy mieszkę, kilka węgierskich dukatów na przypiętowanie słów swoich mu ofiarował.

Wojtaszkowi dusza się radowała.

— Miłościwy panie! — zawołał. — Alem ja na usługi króla gotów sercem całym... ino rozkazuje, jam wasz!...

Tymczasem o wczorajszem ani słowa, jakby Cobar zapomniał o tem i nie myślał.

— Daję wam słowo — rzekł, — miejsce przy dworze z jurgieltem jakbyście w ręku mieli! Ale mnie pilno! Jechać muszę! Godzina późna! Wołać gospodarza... Dawaj rachunek, zbójco!

Rachunek tedy z Ormianinem czynić mając, sięgnął Cobar do kieszeni, pugilaresik wczorajszy dobył i począł go przeglądać.

— Ah! — zawołał nagle, ukazując Wojtaszkowi jego notatkę. — Na śmierć o tem zapomniałem... Czytajże coś mi to wczoraj napisał? Miałeś mi opowiedzieć jakąś historję o Zborowskich, dla króla jegomości ważną?

Tego Wojtaszkowi potrzeba było; czekał tylko i trwożył się, czy Cobar nie puści sprawy w zapomnienie.

— Gotówem — odparł natychmiast — gotówem słowa dotrzymać, ale ja, miłościwy panie, nie mniej, nie więcej, tylko głowę moją ważę, bo sprawa z panem Samuelem a z szatanem lub oprawcą, wszystko jedno! Nie gubcie mnie, jeżeli nie macie mocy ani uczynić, co mi obiecujecie, ani mnie od okrutnej pomsty obronić! Widzę ja wprawdzie, że możnym jesteście, ale mało na tem... nie wiem czy do króla przystęp macie i czy mi wyrobicie, coście przyrzekli?

— Masz na to rękę moją — odparł Cobar. — Słuszną rzecz, że się lada komu nie chcecie zwierzyć. Ja się zowią Cobar, mogliście słyszeć o mnie, bo przy osobie króla stoję, mam jego zaufanie i teraz oto z panem Zybergiem do woj-ska na Podole jestem wysłany. — Ufa mi pan mój, możesz i ty mnie zawierzyć! Mów śmiało, ale prawdę: ja za łaskę

królewską rękę, bo jak srogim jest nieprzyjaciołom swoim, tak dla wiernych umie być łaskawym.

Wojtaszek w ramię go pocałował.

— Miłościwy panie, — odparł — nie wam nie zataję. Panowie Zborowscy, szczególnie dwaj, dawny pan mój, Samuel i pan podczaszy Krzychnik, naposiedli się, aby króla trucizną zgładzić a hetmanowi zasadzkę gotują, z której żyw nie wynijdzie. Każdy krok jego śledzą i wiedzą... Ale to jakbym na wiatr mówił; azali mnie małemu człowiekowi uwierzycie, rzecz dla was wątpliwa będzie zawsze! A ja chcę pokazać czarno na białem, dowodnie, że nie darmo mówię to przeciwko nim.

— Jakim sposobem? — przerwał Cobar zdumiony.

— Wykradnę i przyniosę wam listy, które pan Krzychnik do Samuela pisywał i pisze — rzekł Wojtaszek. — W listach tych wszystko stoi... będziecie je widzieli: tam i o truciźnie mowa i o obmyślonej napaści.

Zdumiał się nadzwyczajnie Węgier, ale zarazem uradował.

— Jakim sposobem myślicie dostać tych listów? — pytał.

— Będę głowę ważył — odparł Wojtaszek — bo sędzę, że przecie mnie za to nie opuścicie i nie wydacie oprawcy. Wprost pojadę tam, gdzie wiem, że listy są i da-li Bóg, to je pochwyć i przywiozę.

— Jeśli się pan Samuel zawczasu opatrzy — dodał, — zem listy skradł i pogoni za mną, wy listów się pozbędziecie, a ja życia, bo jemu człowieka zabić — jak drugiemu wróbla.

— Czegóż więc chcesz? — zapytał Cobar.

— Pojadę sam — odparł Wojtaszek, — bo inaczej nie może być. Zastanę go czy nie, — listy tam są. Może mnie godzin jakich kilka strzyma, ale w powrocie trzeba, abym miał o kogo się oprzeć, bo uchowaj Boże... nagna mnie...

— Koni pięć, albo sześć — rzekł Węgier, namyśliwszy się — mogą ci towarzyszyć. Dam ludzi najlepszych, pokierujesz nimi, jako sam chcesz, ale nie baw się, bo ja też czasu nie mam, a to sprawa taka, że jej na półmiski rozkładać niezdrowo.

— Będziecie czekali we Lwowie? — zawołał Wojtaszek.

— Co robić! muszę! — rzekł Cobar. — Gdy o życie króla idzie, wszystkie inne sprawy, by najlepsze, na bok ustąpić muszą. Jedź a powracaj...

Węgrowi nie bardzo może się chciało na Zyberga dowództwo zdawać i zamiast na wojnę iść, siedzieć beczyn-

nemu w gospodzie, lecz rzecz była, jak naówczas mówiono, gardłowa.

Wojtaszek mało czasu miał do rozmyślania się, wiedział z doświadczenia jedno: — Samuel go potrzebował, a im dłużej go był pozbawiony, tem więcej z nim tęsknił i do łaski zawsze, nałajawszy i nagroziwszy, przypuścić był gotów. Na to więc rachował napewno.

Nie mógł przypuścić, aby mu w duszy czytał pragnienie zemsty i na pól już dokonaną zdradę. Sumienie bynajmniej nie dokuczało lutniście. Wyliczał wszystkie męczarnie, jakie ponosił od dzieciństwa, znęcanie się, szyderstwa: wiedział o wszystkich zbrodniach swego pana i wyobrażał sobie, iż Bóg go za narzędzie kary wybrał sobie.

Jeśli go na chwilę litość objęła, wnet sobie przypominał, co cierpiał.

— Nie daruję — powtarzał — niech łotr i zbój ginie.

Tyle razy już Wojtaszek z panem zrywał i wodził się, wychodził z pod jego obeasów kutyh zbity i poraniony, a potem do łask powracał. Zdawało mu się, że i teraz, gdy się pokaże, ukorzy, do nóg schyli, zaśpiewa, wszystko znów pójdzie w zapomnienie.

Szło tylko o to, jak zastanie Samuela, na pijaństwie, czy na pokucie, na zgryzotach czy szalejącego? Z dwojga złego wołał go przy stole i po pijanemu widzieć, niż borykającego się z sumieniem. Nie wiedział nawet czy był w Białym Kamieniu. Gdyby go nie zastał, mógł Boksicki, lub który inny zasadzić go do czabanki.

Na pól drogi porzuciwszy swoich towarzyszków, których w małej gospodzie pod lasem umieścił, polecając im, aby konie mieli każdego czasu gotowe i gdyby przybył, zaraz z nim dalej pędzić mogli, Wojtaszek sam pod wieczór umyślił nie się opóźnić do dworu.

Pomyślał sobie, że najbezpieczniej może będzie podkraść się niepostrzeżonemu. W częstokole, który otaczał dwór, znał miejsce, gdzie było łatwo wyjąć koły i weisnąć się do środka. Mógł więc, bo psy na niego ujadać nie ważyły się, pocichu podedwór się wkraść, do okna Motruny zapukać i u niej się ukryć. Ona mu usłużyć musiała, tego był pewnym.

Tak też uczynił. Konia spletanego puścił na łączkę, siodło i rząd przychowal w dole, o którym wiedział, że go tylko lisy znały, a sam już o gęstym zmroku znalazł się pod opasującym dwór częstokołem.

W domostwie było jasno i gwarno, co dowodziło pana w domu, a gwar o tej porze znaczył, że u stołu pił i zabawił się. Wszystko się tam naówczas około niego skupiało.

Noc nadechodziła, a w izbie jadalnej ciągle jeszcze tak sama panowała wrzawa. Wojtaszkowi nie chodziło o to, aby się do Samuela dostał, byle mógł przekraść się do tej szuflady, w której składał papiery i gdzie się napewno spodziewał znaleźć listy Krzychnika. Stół, w którym ona była, stał w sypialni Samuela, nieopodal od jego łóża.

Jeden był tylko sposób wykradzenia pism tych, — pod niebytność Zborowskiego, lub gdy spał. Sen miał Samuel twardy i rzadko go nawet światło i hałas mógł obudzić, gdy raz oczy zamknął. Lecz potrzeba było odwagi niezwyklej, by korzystać z takiej chwili, przyczem światło było koniecznie potrzebne, bo papierów leżało dosyć, a Wojtaszek wszystkich z sobą zabierać nie mógł.

Łutnista pomyślał małą chwilę i śmiałym krokiem poszedł wprost ku drzwiom jadalni, otworzył je nagle i stanął wprost naprzeciwko Samuela.

Wszyscy, którzy go spostrzegli, wiedząc o strasznym gniewie pańskim, krzyknęli ze zdziwienia i przestachu. Zborowski, posłyszawszy krzyk, podniósł głowę... zobaczył stojącego Wojtaszka i osłupiał!

Stół biesiadny osobliwy przedstawiał widok. Główną rolę przy nim odgrywał stary, pijany mocno, śmiejący się głupkowato Włoch-mnich, przebrany za kobietę, z głową związaną namitką, na której nałożono wianuszek, łącząc z sobą dwa godła zupełnie różne: dziewczą wiązankę kwiatów i zaslonę zameżnych niewiast. Dokoła mnicha, który wykrzywił usta i wdzieczył się do otaczających, stała młodzież, skubiąc go, oblewając, szturgając i nie dając pokoju.

Anusi przy stole dawno nie było. Dworzanie i czeładź, a nawet proste hajduki zmieszani razem, jak lalką bawili się tą maskarą, a śmiechy rozlegały się dokoła.

Na stole w wielkim nieładzie stała siła opróżnionych dzbanów, powywracanych kubków, porozlewane go wina i miodu, opróżnionych mis.

Samuel, zobaczywszy Wojtaszka, chociaż u boku ani szabli, ani noża nie miał, bo siedział rozpasany i upojony, porwał się oburącz naprzód, szukając żelaza. Wstał, zachwiał się na nogach i padł na siedzenie, gdy tymczasem dwór jego rzucił się cały od przebranego mnicha ku drzwiom na Wojtaszka i objął go kołem.

Jakiś czas pan i sługa mierzyli się oczyma. Zborowskiemu usta drgały, oczy czarne zataczały się groźnie, to na śpiewaku spoczywając, to odwracając się od niego ze wstrętem. Walczył z sobą, co począć ma i na ustach błakał się już rozkaz.

— Wziąć go i w dyby zakuć!

Ale ani Samuel sam, ani nikt nigdy nie mógł przewidzieć, co pocznie, tak zmienne uczucia z kolei nad nim panowały, a najsilniejsze brało przewagę.

W chwili, gdy wyrzec miał — zakuć go w dyby — a ten wyrok byłby go rozjuszył i poprowadził dalej, aż do wyroku śmierci może, Wojtaszek się poruszył, przebił przez tłum, zaszedł z boku i tu miejsce zabrawszy, głosem śmiałym i donośnym zanucił ulubioną Samkowi pieśń, której on słuchając, zawsze płakał: O! wy moje lata młode!

Zborowski pobladł i widać było, jak w nim zburzone namiętności, jak podcięte nagle, ustąpiły rozrzewnieniu. I to się przyczyniło do wrażenia, że pieśń ta dawno w nim grała, a słyszeć jej nie mógł.

Jak złamany pochylił się Samuel, a ośmielony lutnista, głos coraz podnosząc, strojąc go na najczulszą nutę, nietylko pana, ale wszystkich słuchaczy oczarował. Ci, co go niedawno rozszarpać chcieli i gotowi się byli rzucić na niego, stali, wstydząc się tego, czego doznawali. Widać było spuszczone głowy i ręce pozałamywane.

Zborowskiemu dwa strumienie łez rzuciły się z oczów, — szlochał! Wszystkie wspomnienia młodości, jej nadzieje nieziszczone, zmarnowane marzenia wielkie, upadek domu, poniżenie własne — ścisnęły mu serce; o zemście nad Wojtaszkiem już ani mógł pomyśleć, zapomniał zdradę, gniew się rozlał i wypłynął ze łzami.

Lutnista śpiewał, a choć się pieśń krótka o trzech strofach skończyła, powtórzył ją jeszcze.

Tymczasem wszystko, co stało dokoła, patrzyło na tego cudotwórcę.

Zborowski, nie mówiąc, wysunął rękę do kubka nalanego, który stał przed nim i choć drżała a napój się rozlewał, — podał go Wojaszkowi. Wymógł na sobie lutnista, że się nisko pokłonił.

Zrozumieli wszyscy, że to było przebaczenie i zgoda, a Boksieki i inni pomyśleli, że jednak niepospolitej potrzeba było odwagi, aby w ten sposób sobie wyjednać przejednanie u zagniewanego.

Gdy nareszcie pieśń przebrzmiała, Wojtaszek, nie chcąc dopuścić rozbudzenia zupełnego, zaczął drugą wesołą, miał bowiem zwyczaj tak je przeplatać. Twarze smutne się wyjaśniły i w upojonej gromadzie tu i owdzie głosy do chóru się nastrajały.

Zborowski tymczasem dał znak, aby Wojtaszkowi nastawiono jeść i pić. Nie spytał się go nawet, co przez ten czas robił, gdzie był. Pogroził mu tylko i zamruczał.

— Nie próbuj ty mnie. Prawda, uchodziło ci bezkarnie, ale u mnie jeden raz dosyć, więcej już nie będzie komu się ze mnie naśmiewać!

Nikt pewnie takiego się końca nie spodziewał, a ci, co mieli się już rzucić na Wojtaszka, otoczyli go, dopytując i dając mu rady, opowiadając, jak pan za nim tęsknił i t. p.

Zwolna niektórzy się z izby wycofywać zaczęli, liczba biesiadników zmniejszyła się, a Włoch mnich, który w krzesło pozostał, bo się o swej sile ruszyć nie mógł, z głową zwieszoną za poręcz, z ustami otwartymi, w których sterczały czarne, popsute zęby, spał i chrapał.

Podniósł się z siedzenia swojego i pan Samuel, do sypialni chcąc iść i kazał sobie podać rękę Wojtaszkowi, który go poprowadził, a jak nieraz już bywało, sam go rozebrał.

Na stole, w którym leżały listy i papiery mu potrzebne, stały świece. Rozmarzony, drzemiący już Samuel, dał się rozdziać, rzucił na pościel, potoczył oczyma po izbie, bo mu, gdy głowę na poduszkę złożył, zawróciło się w niej nagle i wyjąknął niewyraźnie do lutnisty:

— Śpiewaj!

Wojtaszek siadł na ziemię, trochę podumał nad wyborem piosenki i natychmiast cicho, smutno, powoli nucić zaczął, właśnie jak niańka przy dziecka kolebce.

Zborowskiemu natychmiast się oczy zamknęły — zasnął. Nikogo więcej nie było w izbie.

Można-li było zaufać snowi Samuela, nie mógł się on nagle przebudzić i otrzeźwić, jak mu się to nieraz trafiało pod silnem wrażeniem?

Wojtaszek właśnie rozmyślał nad tem. Tymczasem bardzo zręcznie głos tak mierzył, osłabiał, ażeby, gdy pieśń miał dokończyć, nie dało się to prawie czuć śpiącemu.

Samuel głęboko, mocno usypiał, a lutnista siedział to na niego, to na stół spoglądając.

Jedna chwila miała o losie Wojtaszka rozstrzygnąć — stawiał życie na kartę!

Zborowski spał. Lutnista się podniósł z ziemi po cichu, spojrział jeszcze na niego i przystąpił do stołu.

Wiedział, gdzie leżały papiery. Stała zwykle u nieopatrzonego pana szuflada otworem, popróbował ją otworzyć, na ten raz znalazł zamkniętą. Znajac obyczaj — wiedział, że klucz nie mógł być gdzieindziej, jak w sukni, którą Samuel miał na sobie, a tylko co ją zrzucił. Poszedł więc przetrząsać kieszenie i znalazł go w istocie.

Trzask otwieranego zamku i odsuwanej szuflady nie obudził śpiącego; śmiało więc, przysunawszy świecę, Wojtaszek rozpoczął pośpiesznie przetrząsać listy i cisnąć je za pazuchę, ciągle się oglądając na śpiącego, który przez sen dyszał i stękał, dobił się nakoniec do dna.

Za suknią miał cały stos pochwyconych listów. Zsunął żywo nazad szufladę, zamknął ją i klucz wsunął napowrót do sukni Zborowskiego.

Rachował, że w ten sposób może się nie tak rychło dopatrzeć kradzieży, aby się za nim w pogoń puścić mogli. W każdym razie czasu do rana miał przed sobą dosyć, aby na wypoczętym koniu dostać się do Cobarowych ludzi i pod ich osłoną puścić się do Lwowa.

Szczęściem Zborowski się nie przebudził, a Wojtaszek, świec nawet nie pogasiwszy, bo się lękał, aby nagła ciemność nie zbudziła śpiącego, wysunął się z sypialni.

Z zuchwalstwem niesłychanem, które dotychczasowe powodzenie podniosło jeszcze, Wojtaszek wprost z sypialni pobiegł w dziedziniec, wśród ciemności łatwo wyszukał znane sobie pale, które mógł wyjąć, wysunął się z podwórca i biegiem pośpieszył do konia.

Tu pierwszy go spotkał zawód. Spętanego konia w czasie niebytności jego wilki napadły i zdusiły. Miał tylko czas spojrzeć na leżącego, około którego kilka par oczów świecących w ciemnościach się snuło i piechotą musiał dalej pędzić do gospody, w której ludzi Cobarowych pozostawił.

Zabrało mu to daleko więcej czasu, niż rachował, i dzień się zrobił dobry, a potem słońce do góry podniosło znacznie, nim na śmierć znużony pośpiechem i trwogą, dostał się do gospody.

Tu także nie mógł spoczywać ani chwili, — pogoń groziła. Konia od jednego z ludzi wzięwszy, puścił się natychmiast do Lwowa, nie gościńcem, bo zawsze się obawiał, że gonić go będą, ale małemi ścieżynami przedzierając się ku niemu.

Pod miastem samem, na skraju lasu spostrzegł w istocie pędzących na koniach, które całe okryte pianą i potem pod razami jeźdźców wysilały się, — Boksickiego i kilku hajduków. Dal im się wyminąć i zaraz po nich małemi uliczkami dostał się do gospody Ormianina.

Tu z siodła się zsunął na ziemię a nadchodzący śpiesznie Cobar kazał go zanieść nieprzytomnego do izby, gdzie wodą i winem w usta wlanem, otrzeźwiono.

— Masz listy? — zapytał Węgier.

Wojtaszek, śmiejąc się, uderzył się po piersiach.

Nierychło nazajutrz przebudził się pan Samuel, a i służba jego po wczorajszej uczcie ściągała się powoli, ziewając, wielu z pozawiązanemi głowami i plastrami, obwiniętymi rękami, bo nie każdy cało wyszedł z tej zabawy.

Rozbudzony, natychmiast sobie przypomniał Wojtaszka i rozkazał go przywołać do siebie, gdy mu ranną polewkę do łóżka przynosił ulubiony Michał.

Rozbiegła się czeladź, ale napróżno szukano lutnisty; nikt go od wczorajszego wieczora nie widział. W dawnej izbie jego nie było nawet śladu, aby w niej nogą postać.

Wszyscy byli pewni w początku, że jak inni, napiwszy się, poszedł kędyś na siano i znużony odpoczywał.

Spodziewano się go zobaczyć co moment, ale czas do południa upłynął a o Wojtaszku nie było ani słyhu. Leżący na łożu swem Samuel dopiero teraz spostrzegł, że na podłodze leżało kilka wyrzuconych z szuflady listów, a przez źle domkniętą z pośpiechu szufladę wyglądały papiery.

Pewnym był tego Zborowski, że nieład nie mógł być jego sprawą; tknęło go to i rzucił się zaraz do stołu. Pamiętał, że ostatni list Krzychnika leżał na wierzchu. Zaledwie otwartwszy, mógł się już roboty domyśleć... listy były do góry nogami poprzewracane tak, że najdawniejsze leżały na wierzchu. Pobieżne spojrzenie przekonało go, że najważniejszych brakło.

Zborowski nie krzyknął, ale zaryczał z wściekłości, tak, że w domu całym wszystko zadrżało.

Pierwszy przypadł Boksicki. Znalazł pana stojącego jeszcze u stołu i nie mogącego mówić, taki go objął gniew. Trząsł się i miotał. Wskazywał Boksickiemu papiery, ale on ruchu tego rozumieć nie mógł.

— Bestja! Zdrajca! Pies ten! — rozpoczął wreszcie Zborowski. — Na koń, w pogoń, łapać... porwał mi papiery... Schwytanego nie przywozić, powiesić na pierwszej sośnie. Trupa tylko widać chcę, żywego nigdy!

I padł na łożę, zachodząc się z tego gniewu.

Boksicki chciał rozpytać, ale ze Zborowskim mówić teraz nie było podobna. Gdy wspomniał Wojtaszka, porywała go wściekłość i usta mu się pianą okrywały. Co napadł i schwycił w rękę — rwał i szarpał w kawałki.

Puściła się na koniec pogoń nie jedna, bo wszyscy chcieli się zasłużyć panu, a nie było człowieka, któryby Wojtaszka zgubić nie pragnął. Oprócz więc Boksickiego, który zabral najlepszych ludzi, kto tylko mógł się wyrwać, skończył na konia i rozbiegli się tak na wszystkie strony, że lutnista cudem chyba mógł ujsć.

Znaleziono w lesie na wpół rozszarpanego konia, a nie daleko od niego siodło i rzad, po których poznano, że koń Wojtaszkowy być musiał. Spodziewano się więc go dognać, ale lutnista umiał się im wymknąć, a nóg nie żałując, do Cobarowych ludzi dostał się nim pogoń do gospody dobiegła.

Co się działo tymczasem w Białym Kamieniu, tego żaden język nie wypowie. Po niewczasie pan Samuel ręce łamał, lamentując, że przebaczył i że natychmiast zdrajcy obwiesić nie kazał. Wyrzucała mu to Anna, która z największą zajadłością przeciwko niemu instygowała. Wszystko to przechodziło po niewczasie.

Gdy ochłonawszy z pierwszego szału, Zborowski się wziął do przejrzania papierów, przekonał się łatwo, że te, które mu skradzione zostały, wszystkie jego i Krzychnika obwiniały a tak dowodziły ich zamachów na króla i kancelarza, że o celu tej kradzieży powątpiewać było niepodobna.

Wszystko w ten sposób zostało zdradzone, — a podczaszy mógł się spodziewać, że na mocy jego własnoręcznych pism, król każe go pochwyć i sprawę mu wytoczyć.

Samuel mógł się ucieczką salwować, — podczaszem groziło niebezpieczeństwo. Nie było więc ani chwili do stracenia i natychmiast potrzeba była wyprawić listy z ostrzeżeniem, aby się wszyscy Zborowscy na baczeniu mieli.

Boksicki drugiego dnia, powróciwszy do Kamienia, przywiózł dokładniejsze wiadomości: dowiedział się o pobycie Wojtaszka u Ormianina i o przybyciu Cobara, i o tem, że gdy Wojtaszek powrócił, Węgier z nim zamiast do wojśka się udać, zawrócił do króla polującego w Niepołomicach. Kusić się o odbicie lutnisty nie było można i na niewieleby się to przydało, bo listy miał Cobar w rękę, a te mocniej nad niego świadczyły.

Posłańcy Samuela, przybywszy z listami do siostrzeńców Stadnickich, do Włódkowej, do braci, poruszyli tu, co

żyło. Z Krakowa się dowiedziano, że Cobar tam przybył z lutnistą i że ten zaraz miejsce u króla i jurgielt otrzymał.

Spodziewał się Węgier od swojego pana wdzięczności i pochwały; jakoż oboje go nie minęło, ale Batory go przyjął wcale inaczej, niż myślał.

Wiedział już, że wyprawiony na Podole Cobar powraca.

Tryumfujący Węgier złożył w obronie swej listy i stał lutnistę.

Król przebiegł oczyma papiery i kazał je sobie tłomaczyć. Słuchał wyrażenń dosadnych, w nich zawartych, obojętnie prawie, choć przeciwko niemu wymierzone były.

Nareszcie, gdy się skończyło to czytanie, z którego jawnem było, że na życie Batorego czyhała trucizna, a na Zamojskiego ludzie Samuelowi i on sam, król rzekł obojętnie prawie:

— Co ty myślisz, Cobar, żeś mi nowinę przywiózł, o której ja nie wiedziałem? Prawda, żeś dowodu nie miał w ręku, alem tak był pewnym tego, co oni knują, jakbym ich podsłuchał. Znam tych ludzi... Gardła im nieczem nie zapchać, dumy ich nasycić niepodobna... głowy z karków postrzącać potrzeba, dopiero od nich będziemy bezpieczni!

Z uśmiechem szyderskim, ale nie przywiązując do nich wielkiej wagi, król listy Zborowskich ukazał Zamojskiemu, biskupowi Myszkowskiemu, Tęczyńskiemu.

— Cóż tu poczynać z nimi? — zawołał. — Wytoczyć im sprawę! Nie będzie ich kosztowało wyprzeć się i zaprzysiądz własnej ręki. Alboż Łaskiemu nie powiedział Samuel: Skarż się na mnie, ja się wyprę. — Musimy ich pochwycić na uczynku, a naówczas...

Król się uśmiechnął i rzekł pogardliwie:

Zdechły pies nie kąsa.

Historja Wojtaszka stała się głośną w mieście i po kraju. Zaniepokoił się nią srogo Zborowscy. Krzychnik zbiegł z Krakowa do Zborowa, a potem w cesarską ziemię, gdzie się czuł już bezpiecznym.

Andrzej zaś namówił brata swego Jana, kasztelana gnieźnieńskiego, by jechał do Krakowa i raz się z królem stanowczo w sprawie familji rozmówił.

Kasztelan pojechał.

Nie miał tu łask szczególnych, ale miał wiarę u króla i hetmana. Począł od tego ostatniego, lecz gdy zagaił — Zamojski przerwał mu tem, iż z królem o tem, nie z nim mówić potrzeba.

— Ja w tej sprawie — dodał — nie przez się nie czynię i czynić nie będę.

Zatem wyrobił Jan sobie posłuchanie u króla, a wchodząc już po twarzy króla poznał, że się domyślać musiał, o co chodziło.

Jan z całym zapalem czującego się niewinnym człowieka, wniósł sprawę pokrzywdzonej i spotwarzonej familji swojej, błagając króla, aby fałszom złośliwych nieprzyjaciół Zborowskich nie dawał wiary.

Kasztelan mówił gorąco, lzy mu nawet z oczów płynęły, unosił się, ukarzał, prosił, a ile razy spojrział na twarz króla, aby zbadać wrażenie, nie znajdował na niej ani litości, ani najmniejszej oznaki złagodzenia.

Na lzy kasztelana popatrzywszy obojętnie, król poruszył ramionami.

— Nie wątpię — rzekł — o szczerości waszej; mówicie, co wam wmówiono, ale was tak okłamano, jak i mnie oszukać chciano. Trudno się jednak ludzi, gdy dowody czarno na białem trzyma się w rękę.

— Najjaśniejszy panie! — podchwycił kasztelan — raczcie sobie przypomnieć tego pisarza w Grodnie, który tak rękę waszą umiał naśladować, żeście wy sami podpisu jego od własnego rozpoznać nie mogli. Alboż się nie mógł znaleźć zły człowiek, który rękę braci moich naśladował dla ich zguby?

— Czekaj chwilę kasztelanie — odparł król — uczynię cię samego sędzią.

To mówiąc, król wyszedł i mało co zabawiwszy, powrócił w wiązką papierów w rękę.

Kasztelan rzucił się na nie chciwie i przepatrując, — zdrętwiał... Nie było najmniejszej wątpliwości. Pismo, pieczętki, papier, wszystko się składało na to, ażeby wszelką wątpliwość usunąć!

Zrozpaczony starzec, któremu papiery z rąk wypadły, zakrył sobie oczy i nie powiedział już ani słowa.

Batory zabrał papiery i odezwał się z łagodnością:

— Widzicie, że z mojej strony nie podejrzenie jest, ale pewność zupełna. Przeczytajcie ich listy, przekonacie się z ich treści, jak nieprzebraganą nienawiścią palają dla mnie. Muszę więc pilnym być, czuwać i bronić się. Uniewinnić Krzysztofa i Samuela w oczach moich nie nie zdoła. Ostrzeżcie ich, aby się z kraju wynosili, bo ja nie dla siebie, ale dla kraju, dla jego spokoju nieubłaganym być muszę.

Kasztelan, zabolawszy okrutnie, musiał odejść z niczem i tegoż dnia przybyłemu marszałkowi oświadczył, iż Krzysztofowi nie nie pozostawało nad ucieczkę, a Samuel też, chciał-li być cały, wynosić się musiał.

— Co do was, — dodał — i na was ciężą podejrzenia, ale nie tak ciężkie. Możecie się oczyścić jeszcze.

Po tej ostatniej próbie, kasztelan dotknięty głęboko postępowaniem braci, chociaż ich bronił z obowiązku, zerwał prawie z nimi stosunki. Andrzej także stanął na boku nie poczuwając się do winy braci i chcąc wytrwać na stanowisku. Potajemnie zaś wspomagał i radził Krzysztofowi, gotów był ratować Samuela.

Tymczasem Samuela miała spotkać jeszcze jedna zdrada ze strony jednego ze sług najzaufańszych. Był nim Boksicki. We Lwowie Boksicki zetknął się przed kilku miesiącami z przyrodnim bratem, którego nie widział od bardzo dawna. Ten się zwał Parżnicki.

Powitanie po latach długich było łzami obmyte.

— Gdzież ty się obracasz? — zapytał Boksicki, myśląc już brata zaciągnąć do służby Samuela.

Przy kanclerzu jestem — rzekł Parżnicki. — Koniuszym mnie uczynili i dobrze mi z tem jest. W podróżach mu towarzyszę.

Posłyszawszy to, Boksicki zrazu się nawet z tem wydać nie śmiał, gdzie służy, ale brata zaczął odmawiać, ażeby skapego i surowego Zamojskiego — bo taka o nim chodziła fama, — rzucił, a innego niejsza szukał. Obiecywał mu je wyrobić.

Parżnicki na to z góry odrzekł;

— Uchowaj Boże! Ani się ruszę! Kamień na miejscu obrasta. Albo mi to źle? Naprzód, że jurgielt nigdy nie zalega, a i podarki się trafiają. Prawda, że ani na obrokach, ani na stajennych przyborach człek nie zarobi, bo rygor wielki, ale zapłata dobra i gdy czleka doświadcza, — to go popychają.

— A przytem — dodał — co kanclerz, to nie żaden inny pan, albo półpanek. Ten całą gębą królewski synowiec i ma przed sobą przyszłość znaczną. Kto wie? Na tron go może wezmą?

Poczęli tedy we dwóch po swojemu politykować, a Parżnicki się okazał daleko zręczniejszym, bo brata skoniwiktował, że służba u kanclerza nie miała równej, a kto się do niej dostał, winien się pilnować, aby nie stracić niejsza.

Nie mogło też inaczej wypaść, tylko, że bracia się nawzajem ugaszczając, pod wieczór oba byli podchmieleni, serca im się otwierały i tajemnic dla siebie nie mieli. Boksicki nawet, obawiając się o życie brata, wygadał mu się w końcu z tem, że na kanclerza czyhano i t. p.

— Ja tam oczywiście nie bardzo wiem, co się na pokojach dzieje — odparł Parżnicki, — ale ci za to mogę ręczyć, że kanclerz jest o wszystkim uwiadomiony, bo swoich ludzi wszędzie ma i jeżeli na niego chcą napaść, to rychlej on na was napadnie. Jam tego tak pewien, jak Pana Boga na niebie.

Boksicki słuchając brata, znacznie ostygł i począł dumać o własnej skórze. Inaczej mu się teraz wydawała sprawa, bo pomimo osobistego męstwa Samuela, wiedział, że on słabszym był i że z innymi sługami jego mógł też głowę położyć, stojąc przy nim.

Za drugim razem, gdy się zeszli, Parżnicki zaczął namawiać, aby Boksicki raczej trzymał z nim i kanclerzowi pomagał. Oburzył się na to Boksicki, ale gdy raz i drugi rozgadali się, zmiełł i jakoś spowolniał.

Od ciebie nic innego nie będą żądali, tylko, abys nas zawiadamiał, z jaką siłą, gdzie i kiedy będzie Samuel się znajdował, a odwoził go od napaści, w której głową może nałożyć.

Jak do tego przyszli, że się potem porozumieli i najzupełniejszy sługa Samuelowy stał się narzędziem w ręku brata a posługaczem kanclerza, — to tylko słabość natury ludzkiej może tłómaczyć.

Boksicki mówił sobie, że Samuela w ten sposób od zagłady zachowa.

Gdy Zborowski błakał się, odkazując i spuszczać na jakieś szczęście, którego nigdy nie miał, kanclerz tymczasem jechał zupełnie bezpieczny o siebie, nie zbaczając wcale z raz postanowionej drogi. Miał przy sobie orszak z panem Stanisławem Żółkiewskim bardzo dostateczny, i takich ludzi, jak energiczny Źrowiecki, śmiały i wytrawny Mroczek, doświadczony Serny.

Wszystko, co bracia pomiędzy sobą postanowili w Złoczowie, co marszałek potem z Samuelem radził w Sandonierzu, dzięki gadatliwości Samuela i jego ludzi a zdradzie Bo-

ksieckiego, było wiadomem kanclerzowi. Śledzono każdy krok Zborowskiego, bynajmniej się go nie lękając, ale Zamojski był do najwyższego stopnia zniecierpliwiony i oburzony.

Na drodze przyłączył się do niego Drohojowski, starosta przemyski, należący do przyjaciół kanclerza. Znalazł go wprawdzie o sobie spokojnym, ale zuchwalstwem banity, do najwyższego stopnia poruszonym.

O spisku na życie swe, o zamiarze napaści na drodze, środkach, jakie ku temu obmyślano, Zamojski jak najdokładniej był powiadomionym. Oburzało go i to, że rodzeni bracia, sami stojąc zdaleka, popychali lekkomyślnego Samuela na zgubę, na ważenie gardła, zabezpieczywszy się, aby o współnictwo z nim posądzeni nie byli.

O wszystkim tem wysłał był Zamojski listy do króla, pytając Stefana, jak miał postąpić: czy puścić płazem ten zamach, który musiał spełznąć na niczem, czy banitę pochwycić, ku czemu pod Krakowem, w jurysdykcji kanclerza nadawała się zrzeczność. Ale raz pochwyciwszy skazanego na banicję, potrzeba było wedle rygoru prawa, karać go śmiercią.

Na wyjeźdźnem z Wiślicy kanclerz otrzymał odpowiedź króla. Batory był jak najdokładniej zawiadomiony o knowaniach Zborowskich, o tajnych znoszeniach się Czarnkowskiego z cesarzem, o wszystkim, co się przeciwko niemu w Polsce poruszało. Miarę tego stanu umysłów nieprzyjacielskiego obozu dawały wszelkie sejmy i zjazdy, na których przeciwko królowi z zuchwalstwem dla Batorego niesłychanem i nieznośnem wykrzykiwano, nie szczędząc mu najprzykrzejszych i najboleśniejszych wyrzutów.

Był więc król w ciągłym rozdrażnieniu i gniewie na to stronnictwo, które ogień podkładało i utrzymywało, a dawne znaczenie rodziny Zborowskich stawiało ją w oczach jego na czele malkontentów.

Śmiała wyprawa na Niż do kozaków, kórą uważał jako wymierzoną przeciwko sobie, nie była zapomnianą Samuelowi: listy przez Wojtaszka przyniesione, czyniły go jakby ogniskiem i głową spisku. Wiadomość więc z listu kanclerza o zamierzonym napadzie na niego, do najwyższego stopnia króla rozgniewała i rozjątrzyła przeciwko wszystkim Zborowskim.

Łagodniejszy sposób pozbycia się ich, wniesiony przez Zamojskiego, nietylko że nie zdał się królowi właściwym, ale szkodliwym i mogącym ściągnąć na niego podejrzenie

o słabość i obawę. Cienia dwojga tego nie mógł na sobie znieść Batory. Wolął stokroć uchodzić za okrutnika, niż za tchórze.

Odpowiedź więc na list hetmana brzmiała nieubłagana surowością. Król życzył sobie i rozkazywał, aby pochwycić banitę i nie przepuścić mu. Powinien był dać głowę i na tem musiało się raz skończyć wszystko.

Batory, nie znając dobrze charakteru narodu, nad którym panował, surowość tę uważał za jedyny skuteczny środek, który miał się przyczynić do zaprowadzenia ładu i porządku.

— „Niechaj bronią swobód swych, których ja ukrócać, ani gwałcić nie myślę, ale ja muszę mieć władzę, jaka mi należy... Jeśli się lękać nie będą, siebie zgubią i mnie razem, a ja winien będę, żem pobłażał. Nie mogę mieć litości nad warchołami i zdrajcami jawnymi. O spisku Zborowskich własnoręczne ich listy poświadczają, wina ich dotykalna dowodzenia nie potrzebuje. Sam kasztelan gnieźnieński uznał, że pismo było własnoręczne brata. Potrzebaż więcej nad to, co stało czarno na białem: „Ów pies siła nam Zborowskim winien, ale trafim wróbla w łeb; trafię kanclerza między oczy, jedno wołę owego psa węgierskiego, króla, acz ci myślę z lasu zasadziwszy się, ale nie może być tak las gęsty, aby nieprzyjaciół nie zobaczył, a zaś po lesie trudno uciekać; najlepiej się w drodze w karczmie zasadzić... Jedno zaś uciekać nie wiem gdzie... do Turek źle, do Moskwy nie dobrze, do Węgier diabła się godzi, najlepiej do Morawy“ itd.

„Czytaj wasza mość wszystkie ich listy — pisał król dalej — winni są, ani się oczyścić mogą. Pan Bóg nam jednego z nich w ręce daje; powinnością waszą postąpić z nim wedle prawa, nie folgując. Powtarzam, com raz rzekł, zdechły pies nie kasa. Nie pytajcie więc mnie, gdyż innej odpowiedzi dać nie mogę, nad odwołanie się do prawa. Padnie-li głowa winowajcy, — ocali może wielu, bo baczyć będą, że nie przebaczymy nikomu.

Wiem o tem, że Zborowscy są możni i znaczą, a raczej znaczyli coś w kraju, że wrzawa będzie wielka, że przeciwko mnie i wam chwilowo burza się podniesie, lecz znasz wasza mość polskie piwo... niedługo to potrwa!“

Pismo króla całe było w tym sensie, ażeby Samuelowi jego zuchwałego wtargnięcia w jurysdykcję starosty krakowskiego nie przebaczyć, tembardziej, iż go Zamojski ostrzegł wielokroć, by jej unikał, a nie zmuszał do surowości.

Od króla odebrawszy wyrok ten, kanclerz, chociaż nie był na co innego przygotowany, zafrasował się wielce. Pokazał go Drohojowskiemu i mówił z nim o tem.

Nie pozostawało już nic nad to, że musiał wolę królewską spełnić i gdyby Zborowski się podsunął bliżej, wiadomo w jakich zamiarach, bo Boksicki o wszystkim informował jak najdokładniej, ująć go było potrzeba. Zatem szło następstwo nieuchronne, — wyrok się sam pisał na banitę — czekała go śmierć!

— Że Samuel na nią zasłużył, — mówił kanclerz — to nie ulega żadnej wątpliwości. Pominąwszy Wapowskiego, którego ubił w pasji, co jeszcze zmniejsza winę, — zabójstw, gwałtów, najazdów, rabunków, przemocy nad duchownymi, więzienia ludzi niewinnych, nie policzyć! Świat cały wie o tem i dziwi się, że uszło mu wszystko bezkarnie. Ale mimo to śmierć Samuela będzie też wyrokiem zemsty i nienawiści na króla i na mnie. Nieprzyjaciele nasi ją wyzyszczą!

Drohojowski niespełna wiedział, jak w tej sprawie sądzić, ale mu się zdało z królem głosować, że tu już dobroć tylko uzuchwalała i że nad nią dalej nie uczynić nie było można. Dla dobra więc Rzeczypospolitej trzeba było Zborowskich poświęcić.

Zamojski potem przywołać kazał do siebie Urowieckiego i Mroczka, z których ostatni o wszystkich obrotach Samuela był najlepiej uwiadomionym i aż drżał, aby go ująć.

Ukazał im obu list króla, uzalając się na los swój, iż mu taki ciężki do spełnienia przypadał obowiązek.

— Miłościwy panie! — przerwał Mroczek. — Niema co namyślać się. Jedno z dwojga, albo my się na to narazimy, że oni na nas napadną, i choć się obronimy, co już pewne, — ale godność wasza narażoną będzie w takiej walce z ładajakim wywołańcem; albo musimy go uprzedzić — co jest łatwiejsze.

— Jakże łatwiejsze? — zapytał hetman. — Gdzie on jest?

— Do Piekar do siostrzenicy Włodkowej ciągnie w tej myśli, że nas w Proszowicach ze dwu stron zajdzie, bo ma dwa oddziały, które na to są nasadzone. Zdaje mu się, że o jego obrotach nikt nie wie i pochlebia sobie, że nas w pierwospy naszedłszy, w łóżu miłość waszą rozsiekać każe. Czekać więc na to, aż się porwie, — nie dobra rzecz. Jest nas tu dosyć, aby i przy miłości waszej dostateczna straż pozostała, i my z panem Stanisławem Żółkiewskim i panem

Urowieckim na dwór w Piekarach poszli, gdzie go pewniej w łożu u przyjaciółki i siostrzenicy Włodkowej najdziemy, niż on nas w Proszowicach.

Nie podobało się to zrazu kanclerzowi i rzekł:

— Na dwór szlachecki, a do tego kobiety, wdowy, nocą nachodzić, — nie nasza rzecz. Wziąć go gdziekolwiekbydź, ale nie w Piekarach, zdaje mi się.

Mroczek stał przy swoim.

— Gdzieindziej nie może być — rzekł. — Wymknąby się nam mógł i wyrąbać, bo mu to przyznać muszę, iż meżny jest i gdy raz do boju przyjdzie, niełatwo go imać. Żywotów ludzkich może to kosztować, — a tych szkoda. W Piekarach zaś, jak ptaka w gnieździe, gołą ręką go weźmiemy.

Urowiecki natychmiast też jął za Mroczkiem mówić.

— Rotmistrz to najlepiej rozważył i obmyślił — rzekł. — Niech miłość wasza zda wszystko na niego. Ja się też ofiaruję z pomocą.

Wtem z drugiej izby, do której drzwi stały na wpół otwarte, wyszedł młodzieniec, pokrewny kanclerza, pan Stanisław Żółkiewski, i przystąpił z poszanowaniem, całując go w ramię.

— Ja się też dopraszam tego, abym ichmościom towarzyszył — odezwał się. Idzie tu o zdrowie i żywot wasz, który nam wszystkim i królowi jest najdroższy; ani się godzi go na wagę kłaść pospołu z życiem banity takiego, o którego postępkach słuchając, uszy wiedną, a obcy ludzie zdumiewają się im, pytając, jaka to jest ta Rzeczpospolita nasza, w której zbrodzień podobny bezkarnie chodzić może długie lata, z wyrokiem nad głową, którego nikt nie śmie spełnić ino dla tego, że do rodziny możnej i znacznej należy.

— Wszystko to prawda — odezwał się kanclerz — wszystko to ja sobie mówię i wiem, a niemniej, gdy przychodzi krew ludzką przelać, nie na wojnie, ale wśród pokoju, ręką katowską... wzdryga się dusza!

— Zaprawdę — odparł Żółkiewski. — Ani starostą, ani sędzią miłości waszej być nie przystało, bo lękając się krwi przelewu, dozwolicie, aby bezkarnie tacy ludzie, jak Samuel, przelewali krew niewinną.

— Nie czyńże mi z tego zarzutu — rzekł Zamojski — już mi nie o Samuela idzie, ale o sposób, jakim go ująć należy. Wstępnym mi jest wszelki pozór gwałtu, a tego nie unikniemy nawet biorąc go w Piekarach.

Wtem Urowiecki, bardzo śmiały człek, dodał.

— Wasza miłość więc chyba go zachęcić pragniecie, aby ośmielony — Kraków nawiedził, co on niechybnie dokona.

— Tam go nie ścierpię! — odparł Zamojski.

— A no Piekary są tak dobrze waszą jurysdykcją, jak i Kraków; więc, gdy wiemy tam o nim — rzekł Żółkiewski — imać go mamy obowiązek.

— A jeśli napadu dokonawszy — odezwał się Zamojski — przy porze nocnej i nieznamomości miejsca, winowajcy nie weźmiecie, co łatwo stać się może, jeżeli on się wam wyśliznie, — napróżno tylko kobiety i dzieci, jak zbójcy nastraszyście. Pójdą wówczas skargi, iż go tam, jako żywo, nie było, a my popełniliśmy bezprawie, spokojny dwór wdowi po nocy najeżdżając! — Choćby i staroście krakowskiemu, sprośna to rzecz.

— Ja zaś głową bodaj ręczyć mogę — wtracił Mroczek — że go tam weźmiemy. Naprzód co do samego dworu, ja go z czasów pana Włodka znam dobrze, — a nie zmienił się wcale. Co się tyczy obrotów Samuelowych, wiem też najpewniej, że uradzono pośpiesznie, nam zabiegając drogę, biec do Piekar, gdzie na noc będą pewnie. Czy na dzisiejszą zaraz noc uchwalono najście na Proszowice i na nas. — tego nie wiem i twierdzić nie będę. Owszem, znając Samuela, sądziłbym, że przybywszy do Włodkowej, wezasa zażyje i dopiero może nazajutrz o nas pomyśli. Zatem noc tę mamy, aby zamiary jego niegodziwe zniweczyć.

Zadumał się kanclerz i siadłszy, jał list króla na nowo odczytywać, jakby się pragnął przez to w swem postanowieniu utwierdzić.

Wszyscy, nie wyjmując Stanisława Żółkiewskiego, czekali. Urowiecki tylko i Mroczek, korzystając z chwili, młodego pana starali się namówić, aby przy kanclerzu pozostał i niepotrzebnie się z nimi na tę wyprawę nie narażał.

— Dajcie mi ichmość, proszę, pokój — rzekł Żółkiewski. — Rad będę szablą moją służyć kanclerzowi i nie odstępuję od tego, że mi z sobą iść dopuścicie. Mała to rzecz jeden człowiek, — ale podczas i ten przydać się może.

Powstał tedy Zamojski z siedzenia wzdychając, a pomrukując.

— Srogie prawo! Srogie prawo!

Widać było, że tylko zmuszony listem króla, Zamojski na tak stanowczy krok się ważył, chociażby był chętnie raz jeszcze folgował. Ta też okoliczność się przyczyniała do

decyzji, że Mroczek i Urowiecki zapewniali, że jeśliby hetman nie kazał ująć Zborowskiego, on niechybnie napaść swą na niego dokona.

Weale się jej nie lękając, Zamojski godność swą musiał mieć na względzie. Niemilem mu było narazić się na starcie z takim Samuelem i na wszystkie ustępstwa i tłumaczenia, jakie stąd wyniknąć musiały.

Nie mógł więc już wahać się dłużej. Srogie prawo nakazywało ująć zuchwałego człowieka, który jawnie na niego godził. Wiedzano bowiem bardzo dobrze, iż gdy hetman był w Szydłowie, — Zborowski umyślnie się zbliżył do niego, do Stobnicy biegnąc, a potem do Stogniewic. Gdy zaś wszędzie się przypóźnił, — zostały mu Piekary, z których na Proszowice miał się rzucić, nieobrachowawszy się z czasem.

Ponieważ wedle doniesień Boksickiego, w Złoczowie najmocniej uchwalono i niemal poprzysiężono kanclerza w jakikolwiek sposób zgładzić, — gdyby się teraz nawet nie powiodło, rzecz nie była skończoną, ale gdziekolwiekbaż, przy pierwszej podanej zręczności odnowić się mogła. Raz więc temu koniec położyć było trzeba.

Zamojski, który, jeśli nie całą może doniosłość kroku, jaki miał uczynić, obrachował — znał jednak ważność jego i w chwili, gdy już miał wydać rozkazy, zawahał się, dał znak Mroczkowi, aby czekał, a sam wszedł do przyległej sypialni.

Tu przy skromnem obozowem łożu jego, na klęczniku, stał na złotej blasze malowany, starodawny obraz Matki Boskiej (druga strona wyobrażała Chrystusa na krzyżu). Hetman zwykł się był przed tym obrazem modlić, gdy miał stoczyć bitwę.

I teraz czuł dobrze, że walkę rozpoczynał nie tylko z rodziną jedną, mnogiemi węzłami związaną, z wielu innymi po całym kraju rozsianemi, ale ze stronnictwem choć słabem, za to ruchawem, krzykliwem, popieranem z za granicy, wyzyskiwanem przez wszystkich nieprzyjaciół Batorego i jego.

Było to rzucenie mu rękawicy, wypowiedzenie wojny, która i długą i ciężką być mogła, a przypadała na ten czas właśnie, gdy zewnątrz jeszcze z wielkim kniazem moskiewskim końca i rozejmu nie było. Turek groził, a cesarz intrygował. Gdyby osobiście mógł się być widzieć i rozmówić z Batorem, możeby go ubłagał i walkę tę przynajmniej odroczył.

Tak sobie wystawiał Zamojski, choć wistocie żadna siła nie potrafiłaby była żelaznego a mściwego i rozdrażnionego szlachecką butą króla powstrzymać.

Pod wrażeniem chwili tej stanowczej, która mu na długo spokój zatruć miała i przymnożyć nieublaganych wrogów, Zamojski ukląkł przed obrazem, złożył ręce i głowę pochylił. Modlił się tak gorąco, ale niedługo. Mięstwo i otucha wstąpiły w serce. Spełniał rozkaz królewski, czuł się w sumieniu wolnym, prosił tylko Boga, aby go oświecił i dał siły.

Gdy wstał potem, miał na obliczu swe hetmańskie mięstwo, które w przededniu najzaciętszych walk okazywał, powagę sędziego, majestat królewskiego zastępcy. Wyszedł na powrót do izby pierwszej, a Urowiecki, Mroczek i młody Żółkiewski zdziwili się zmianie, jaka w nim zaszła. Odszedł, jakby pod naciskiem bólu jakiegoś, powracał chłodny i wypogodzony.

Zwrócił się zaraz do Urowieckiego i Żółkiewskiego, ale pan Stanisław, nim mówić począł, odezwał się.

— Proszę dowództwo zdać na tych ichmościów, którzy znają miejsce, ludzi i okoliczności, — ja tylko rękę chętną ofiaruję.

— Wielu on tam ludzi z sobą mieć może w Piekarach? — zapytał hetman.

— Trzydziestu może — rzekł Urowiecki — bo połowa ich jest z Luzickim. Ludzie odważni, ale nie będzie komu pokierować nimi; wątpię, ażeby nawet skupili się i bronili.

— A ze swego dworu kogo ma przy sobie? — mówił dalej Zamojski.

Mroczek i Urowiecki spojrzeli po sobie i liczyli.

Byli z nim — Borowski, ów sokolniczy, a teraz dowódca, Chelmski, Borawa, Bałaban, Skorowski, Rychłowski, syn Oleś i siostrzan Stadnicki, — gromadka dosyć znaczna.

— Trzeba na to liczyć — rzekł Mroczek, — że my unikając niepotrzebnego krwi przelewu, poczekamy aż się do snu udadzą, więc pobudzeni niebardzo się bronić będą mogli. Samuel choć szablę i sahajdak ma zawsze nad łóżkiem, ale śpi twardo i gdy się obudzi, nie zaraz oprzytomnia.

— Szczędźcież, proszę, innych — odezwał się hetman — a niepotrzebnych ran i zabójstw unikajcie. Byleście jego, a z nim papiery, które w szkatułce z sobą wozí, jak powiada Boksicki, dostali — reszty zaniechajcie. Syna nie tykać. Wszyscy to chłopię bardzo chwala; niech się w nim dawna pocziwość Zborowskich odrodzi.

Westchnął hetman, mówiąc to — i pytał dalej.

— Wielu z sobą myślicie wziąć na tę wyprawę?

Urowiecki głosował za tem, aby dobór uczynić, a liczbę brać nie tak znaczną i po drodze oczów na siebie nie

zwracać. Mroczek nie widział w tem złego, choćby o kilku więcej się zebrało, bo mogli drudzy Samuelowi, z Łuzickim stojącym nieopodal, nadbiedz i o odbicie się kusić. Wistocie zmuszało to liczbę powiększyć.

Urowiecki z Mroczkiem mieli kierować najściem na dwór, Żółkiewski też ofiarował się, choćby osobiście na Samuela. Była to młodociana gorliwość żołnierza, który szuka zrzeczności do walki, choćby nawet z takim nieprzyjacielem, jakim był Zborowski.

— Gdy go Pan Bóg da ująć — zapytał Urowiecki — mamyż go tu przyprowadzić, czy...

— Do Krakowa na zamek — odparł hetman. — Wprawdzie żaden tu sąd i zwłoka niepotrzebna, bo banita, wpadłszy w ręce, już jest zabity, ale wolę go posadzić, — poczekać. Może król zmieni postanowienie... a ma-li być śmiercią karan — cicho dodał Zamojski — niech pani Wapowska też instyguje przeciwko niemu. Zmniejszą to srogość króla i moją, gdyż na niego, a szczególnie na mnie rzuca winę tej śmierci, choć, Bóg świadek, kielich ten odwracałem ode mnie, pókim tylko zdołał. Ale są człowiekowi przeznaczone rzeczy, których on uniknąć nie może. Bądź więc wola Twoja.

I pomruczawszy coś cicho, kanclerz dodał:

— Prowadźcie go wprost na zamek i osadźcie w więzy, a straż niechaj będzie pilna. Nie szkodziłoby może, aby który ze starszych w izbie przy nim siedział. Ludzi do niego obcych dopuszczać się nie godzi. Zresztą ja sam albo was napędzę, lub rychło tam będę.

Urowiecki z Mroczkiem jeszcze w obecności hetmana poczęli rozprawiać o liczbie i wyborze ludzi i broni, jaką z sobą brać mieli... ale w tem byli z sobą wszyscy zgodni.

— Patrzajcie tylko! — dodał Zamojski. — Gdy się krok czyni, rozumnego człowieka dziełem jest tak go obmyśleć, aby się powiódł i nie chybił. Gdybyście mieli wpaść, a nie wziąć go i dać mu się wymknąć, natenczas królowi, mnie i wszystkim więcej zła uczynicie, niż dobrego, gdy go weźmiecie. Zważcież pewnie, aby nie uszedł!

— Że w Piekarach będzie, to nie ulega wątpliwości — zawołał Mroczek — a że my go ułapim, to także pewna, boć dwór obstawimy tak, że mysz z niego nie wyjdzie. Jeżeli oreża dostanie i bronić się będzie, a w tej walce legnie...

— Nie będzie ani waszą winą, ani wam za to włos spadnie z głowy — rzekł hetman. — Nie ledwiebym to wołał, niż długą z nim procedurę; a i onby rycersko skończył — nie z katowskiej ręki.

Westchnął hetman.

Szli więc Urowiecki i Mroczek, naradzając się, ale tak, ażeby przygotowanie do wyprawy wieczornej wcale nie było widoczne i nikt się go nie domyślał; każdy z nich pojedynczo ludzi swych na godzinę umówioną cicho przysposobił tak, że jedni o drugich nie wiedzieli. Oni sami wieczorem na włos nie zmienili codziennych zajęć, tak, że każdy do snu poszedł i światła pogaszono, strażę zaciągnięto, wedle obyczaju.

Urowiecki, Mroczek i Stanisław Żółkiewski poubierali się i uzbroili zawczasu, a gdy godzina wyjazdu nadeszła, cicho w dziedzińcu tylnym zgromadziwszy się, na koń siedli i tylnemi wrotami tak wyciągnęli w pole, że nikt, oprócz straży, o nich nie wiedział.

Hetman kazał sobie, o którejkolwiek godzinie Żółkiewski powróci, natychmiast dać znać, co się stało i obudzić.

Noc była wiosenna, cicha, ciepła... chmurna, a ptaszki mazabój śpiewały o życiu, gdy tu śmierć się gotowała i tragedia okrutna, której skutki długo potem w kraju odbrzmiwać miały.

Na dworze w Proszowicach tylko lampeczka nocna przed obrazem w sypialni hetmana blado płonęła.

Wierny swemu obyczajowi, którego odmienić nie mógł, Samuel, choć mu się we wszystkim nie powiodło, a ludzie najgorzej służyli, jechał dalej, już na Piekary tylko rachując. W Piekarach wszystko się miało dokonać!

Tymczasem zabawiał się. Miał przy sobie dobrych towarzyszków kilku, ulubionego Borowskiego i sokoły, Stefana Stadnickiego i sług trochę ze psami.

Tak igrając i kuglując, rozprawiając o tem, jako się na jutro gotować potrzeba, dojechali ichmoście zdrowo do Piekar, gdzie na nich Włodkowa w zamku już z wieczerzą na stole oczekiwała.

Zawsze tu z jego przybycia radość bywała wielka, ale teraz podwójna, bo czuli wszyscy, że się coś wielkiego przysposabiało i było za pasem. Włodkowa, znając męstwo wuja i jego rzutkość, bynajmniej nie wąpiła, iż co on przedsięweźmie i obmyśli, to musi się szczęśliwie obrócić!

Przy stole była ochota wielka, ale na długo się nie zaciągnęło, bo wszyscy czuli się zmęczeni, a siły były potrzebne na jutro.

Słano zaraz wszystkim łoża, gdzie i jak było można.

Pożegnawszy Włodkową, która dopilnowała, aby każdy przy łóżku miał kubek i napój dla snu potrzebny, we-

dle obyczaju — szli strudzeni spać tak, że przed północą cały dwór w Piekarach w najgłębszym śnie był pogrążony.

Samuel szczególnie, że konną jazdą znużony był, bo miał pod sobą dnia tego konia, który nogi, prawda, miał doskonałe, ale nosił tak, że mało kto na nim wytrwał, — usnął bardzo mocno.

Borowski zawsze czujny, spał ino jednym okiem, gdyż i myśleć było o czem.

Wtem, mało co po północy, w dziedzińcu rozeznał zdala naprzód stąpanie koni, potem bieganie ludzi i chrzęst broni, którego unikać niepodobna, z rusznicami zwłaszcza.

Zaledwie to uszu jego doszło, stracił ducha; wiedział już, co to było! Przepowiadano im, że hetman na swą jurysdykcję ich nie puści. Nim Borowski — boso, opończę tylko narzuciwszy, zerwał się, otworzył szybę i wyrzwał przez okno, pod ścianami ludzi już było pełno.

Stracił głowę i co miał Samuela zbudzić, a o ratunku dla niego myśleć, z izby do komory pocichu sobie drzwi otworzył... stąd na podwórko.

Tu jeszcze jakoś nikogo nie było, i Borowski śmignął wprost do stajen. Mówił potem, jakoby Samuela budził, ale go się dobudzić nie mógł; zresztą sam potem wytłómaczyć nie umiał, co zrobił, — płakał tylko.

Obudził się potem na hałas Bałaban i biegł do okna, a ujrawszy w dziedzińcu ludzi pełno, pośpieszył do Samuela. Tego na łóżku już nie znalazł, tylko pościel pomiętą. Widać było, że Zborowski broni swej szukał, — ale jej nie mógł znaleźć. Murzynków dwóch, którzy mu posługiwali, schowali ją pod kobierczyk i tam pozostała.

Później już dojść nie było można prawdy — a i sam Samuel nie pamiętał dobrze, co czynił, gdy się obudził. Murzynkowie mówili, że broń, wedle zwyczaju, złożyli w łożu u głowy; Borowski powiadał, że on to uczynił. Sahajdak wisiał ze strzałami nad łóżkiem, ale tego Samuel nie pochwycił.

Bałaban, drzwi znalazłszy otwarte, któremi przez komorę uciekł Borowski, sam też za nim podążył.

Wszystko to działo się wśród ciemności, bo noc była chmurna, a światła nigdzie po izbach.

Obiegający dom, czy dla postrachu, lub mając kogo na celu, poczęli dawać ognia, tumult się już wziął wielki.

Włódkowa, która spała na górze, narzuciwszy ledwie chustę na siebie, zbiegła do swych sług na dół, gdzie wszystkich jej fraucymer się znajdował i tu znalazła Stadnickiego

który za piec się wcisnął. Ten opowiadał jej, że skoczył był zaraz do izby, w której Samuel spał i szukał go wszędzie, ale go już nie znalazł.

— Uszedł, da-li Bóg, za co Jemu chwała! — dodał Stadnicki.

Założyła ręce Włódkowa, modląc się.

— Boże miłosierny! co się to dzieje.

Zmiarkowała dobrze, co to znaczyło, ale pewni byli, że umknął.

W tym momencie Żółkiewski tylnymi drzwiami, które wyrąbać kazał, skoczył ze swoimi ludźmi i wpadł między wystraszone białogłowy i małe dziewczęta.

Zarazem drugimi drzwiami, także wyrąbanymi, wtargnął Urowiecki, a za nim Mroczek z wrzaskiem, strzelaniem a hukiem.

Oprócz oddziału, który prowadził Urowiecki, Mroczek i przy którym był Żółkiewski, już na drodze na ochotnika, gwałtem prawie przyłączył się do nich Drohojowski z kupą Przemyślan. Ci teraz z Sernym, pozostawszy w podwórzu, dla postrachu ustawicznie do dworu strzelali.

Stał się więc sądny dzień prawdziwy; lament kobiet, wołanie żołnierzy, strzały, hukanie, groźby, łomot. W jednych izbach ciemność, w drugich zapalane światła.

Z wielkiej gorliwości, aby im ofiara nie uszła, bo jej jeszcze nie mieli, Urowiecki i Mroczek niemal poszaleli. Pamiętali, co im hetman mówił, — ujdzie-li, — jakie z tego następstwa będą, więc na gwałt rzucili się na tych, których znaleźli i pochwytywali, na Stadnickiego i na Chelmskiego.

— Gdzie Samuel, dawajcie go!

Urowiecki bił nawet i groził śmiercią, tak, że Chelmski i Stadnicki od zniewag i razów się obronić nie mogli.

A ciągle się rozlegało:

— Gdzie Samuel?

Z siepaczów zaś ich, którzy się po domu rozproszyli, jedni szafy rozbijali, drudzy po kątach plądrowali. Włódkowa, choć kobieta, nie straciła odwagi i krzyczała jak na zbójów.

— Jak śmiecie dom mój najeżdzać, toć rozbój jest, toć gwałt, to o pomstę do Boga woła, żeście mi dom okrwawili! Jestem-li co winną, odpowiem, ale gwałtu zaprzestańcie!

Ale do Urowieckiego i Mrocza mówić było jak do ściany, bo oni z tego strachu, żeby im się Samuel nie umknął, głowy potracili.

Chcąc Stadnickiego zmusić, aby go wydał, poczęli strzelać do niego i naraz z kilkunastu rusznic dali ognia, ale chybili wszyscy, chociaż Stadnicki ogłuszony padł na ziemię.

Szaleli tak, bo Samuela dotychczas ani śladu, ani słyhu nie mieli, a znali go, że mając czasu dosyć, pewnie im mógł ujsć — gdy oni głowami ręczyli za to, że go wezmą.

Niektórzy więc puścili się na górę, gdzie spał syn Oleś, a był przy nim sługa wierny, Skorowski, który go chciał bronić i cały krwią oblany szedł, bo go porabano.

Oleś, obryzgany także, przelekły, wpadł do izby białychgłów, ojca szukając. Zobaczywszy go okrwawionego, kobiety poczęły krzyczeć:

— Zabili Stadnickiego... Oleś ino żyw! Zabili Olesia!

Trzeba było znać Samuela, aby zrozumieć to, że imię syna posłyszawszy i słowo to: zabity, o własnem bezpieczeństwie zapomniał.

Gdy się obudził, a już naówczas ani Borowskiego, ani Bałabana nie było, rzucił się bezbronny, niedobrze jeszcze oprzytomniawszy, do sionki malej, do której dotąd nikt nie zaglądał, ale z niej wyjścia nie było. Prędszej, później ujęliby go byli w niej, jak w saku.

A miał bezpieczną ocalenia drogę — tę, którą uszli Borowski i Bałaban, bo z tamtej strony nikt ani zajrzał, aż do samego końca drzwi były pootwierane, droga do stajen wolna. W stajni konie i pole tuż a las.

Ale komu Bóg zginąć przeznaczył!

Posłyszawszy: Oleś zabity! Samuel wyskoczył na ten głos i w jednej koszuli, jak się z łóżka zerwał, stanął przed nimi.

Pierwszy Urowiecki go zobaczył.

— Czego chcecie? — zapytał Samuel dosyć spokojnie, chociaż wiedział już, co to znaczyło.

— Ciebie chcemy mieć — zawołał Urowiecki — pójdź z nami do pana naszego, kanclerza, a teraz z nikim nie waz się mówić, bo będziesz zabity!

Zapalili zaraz świecę i ucichło; słyhać było tylko płacz kobiet.

Samuel, zobaczywszy syna, że żyw był, pomyślawszy mało, krew swoją zimną, którą tylko w złych razach podczas miewał, gdyż już sprawa była zrozpaczona, odzyskał. Bo jak gwałtowny i impetyczny się okazywał, póki miał nadzieję, że się wyrąbie i obroni, tak w ostatniej toni lekko sobie wszystko ważył.

Radość tedy ichmościów, co tego bohaterstwa dokazali, była wielka, bo o mały włos, a łącznoby im uszedł.

Nim się tedy odział, a nim oni z końmi, ludźmi i bronią do ładu przyszedli, upłynęło dosyć czasu wśród płaczu i lamentów Włodkowej, syna i Stadnickich. Tym wszystkim już nie czynili nic, obstawiwszy tylko Samuela swoimi, aby z nikim mówić nie mógł.

Ludzie pana Samuela i wozy jego stały noclegiem w Stogniewicach, dokąd zaraz nadeszła wiadomość, że pana Samuela ujęto, i że jeszcze byli z nim w Piekarach, wybieając się do Krakowa.

Chociaż w zamku języka dostać było trudno, bo tam się nikt nie mógł precyzyjnie, a straż była bardzo pilna, wiadzano jednak na mieście, że Samuel Zborowski miał za nieodstępnych towarzyszy i stróżów dwóch najwierniejszych sług hetmana: rotmistrza Mrocza, który go pojął i Sernego, który w Piekarach strzelał do dworu dla uczynienia popłochu. Siedzieli oni z nim razem na burgrabstwie zamkowym u Przyłęckiego, a Samuela rzadko z bocznej komory, w której był zamknięty, wypuszczano nawet do średniej izby przestronniejszej nieco.

Dokoła burgrabstwa, ponieważ Zamojski mógł się obawiać wszystkiego, nawet gwałtownego jakiegoś najścia na zamek, liczono nie mniej nad kilkuset szarpaczów z rusznicami i ręczną bronią.

Mroczek i Serny, żołnierze, ludzie mężni, nie gorsi od drugih, ale małego i biednego stanu, jak wszyscy im podobni, nie mogli się temu oprzeć, aby poniżonego możnego pana, którego w rękach mieli, z którym się im jak chcieli, wolno było obchodzić, nie upokarzali i nie znęcali się nad nim. Rzadka to rzecz, aby mały człowiek poszanował w upadku niegdyś potężniejszego od siebie. Jest coś niepojętego w naturze ludzkiej, że taki biedny człek niemal się czuje zwycięzcą, gdy los mu da w ręce takiego, który nad nim górował.

Mroczek też i Serny obchodzili się z tym potomkiem senatorów i wojewodów, z tym Zborowskim, którego rodzina liczyła się do najstarszych i najpotężniejszych niegdyś w Rzeczypospolitej, jak z pospolitym jakimś włóczęgą lub zbrodniarzem... Każde ich słowo było urągówiskiem... Dawali mu czuć swą siłę z tą butą gminu, z tem grubiaństwem żołnierskiem, które dumnego i gwałtownego Samuela musiało do rozpaczki doprowadzać.

Ale wprędce Zborowski pojął, że dając im poznać obrazę i cierpienie, czyniłby im rozkosz... Męczyć go właśnie chcieli, on stał się zimnym i obojętnym naumyślnie. Kosztowało go to, lecz winien był godności własnej, aby nie uczuć rązów, jakie mu zadawano. Znosił je z obojętnością kamienną; gdy dwaj rotmistrze umyślnie przy nim rozpoczęli rozmowy, które go mogły drażnić, patrzył gdzieindziej, i zdawał się głuchy. Nie rozbrajało to gburów.

Oprócz groźby końca, który Samuel przewidywać musiał, wiedząc, co go czeka, a nie spodziewając się litości, — tymczasem prawdziwe ponosił męczeństwo.

Gdzie naówczas myśli jego błądziły... co doświadczał? — tego nawet ci oprawcy odgadnąć nie potrafili. Siadywał na łożu, licho zasłanem, całemi godzinami, sparty na rękę i zadumany. Wyzywany umyślnie do rozmowy, bo Mroczek rad był coś z niego wyciągnąć, aby zanieść hetmanowi, Zborowski dumnie i krótko, albo wcale nie odpowiadał.

Pana w nim czuć musieli, choć zszedł na najnędzniejszego z więźniów. Rzadko o co prosił. Nawykły w potrzebie żyć kawałkiem suchego chleba i wodą, nie dopominał się niczego.

Z rozmów ich dowiadywał się czasem rzeczy, które go obchodziły — zawsze najgorszych i najprzykrzejszych — ale nie dawał znaku, aby je wielce ważył. Pytać nie chciał, bo wiedział, że albowy go zbyt szyderstwem, lub odpowiedziano pogroźką. Widzieć się nie mógł z nikim.

— Co się działo z Olesiem, co z Anusią? Wiedział o przywiązaniu córki do siebie, znał jej nieunoszoną gwałtowność, był pewnym, że się narażała dla niego, ale co ona biedna poradzić mogła?

Marszałek miał się dziećmi zaopiekować, o tem nie wątpił Samuel, ale nim? tego nie był pewnym! Wreszcie on może krok jakiby uczynił, ale Krzychnik? Ten musiał ująć, — domyślał się słusznie; ten aniby chciał, ani zresztą potrafił nie zrobić. Kto wie jeszcze, co z nim być miało, jeśli nie zbiegł pod opiekę cesarza.

Dzień i noc myśli, z przeszłości wysnute wily mu się po głowie. — Tak więc kończyło się to bujne, rozhukane życie, blasków pełne i ciemności... legł w walce z kanclerzem!... Wszystkie krwawe czyny, wszystkie gwałty, jakie popełnił, co tylko miał sobie do wyrzucenia, stawało przed nim... Jak widma, przychodzili doń Wapowski, Trepka... cały szereg trupów, a za nimi cała ciżba sierot i wdów. Słyszał powta-

rzające się krzyki dawno zapomniane... ostatni jęk przebitego oszczepem Trepki, płacz Wapowskiej, śpiew zdrajcy Wojtaszka, nawoływanie i świst Borowskiego na sokoly! Nie, nie już powrócić nie miało... Miecz katowski czuł na szyji, zimne dotknięcie jego, a potem?...

Ze starej wiary ojców pozostały w nim ledwie szczątki... do kościoła nie należał... zaciągnął się do nowych szeregów... a teraz nie wiedział ani jak, ani do kogo się modlić? Poza tem życiem, u którego skraju stał, była jakaś przepaść ciemna i nie w niej dojrzeć nie mógł. Próżnia, mroki, milczenie, nicość...

Odwracał się od tego obrazu. Wracały ziemskie przypomnienia, troska o los dzieci... a ta biedna Włodkowa, której dom zakrwawiono?

Czasem przychodziła na myśl potęga domów, z którymi Zborowscy byli połączeni. Przecież szlachta i panowie, nawet pod panowaniem „Wileczych zębów“ coś znaczyli: przecież Samuel — banita, nie przestał być Zborowskim? Wszystkie ziemie powstać były powinny... cała szlachta upomnieć się o niego, zastawić się, nie dopuścić!

— Nie—myślał czasem — on się nie waży podnieść miecza na mnie; wie, że światby oburzył na siebie. Znają nas na dworze cesarskim... imię nasze głośne, mamy komu przekazać zemstę! Nie, nie! nie waży się... Puścić musi!

Niekiedy marzyło mu się znowu, iż jego przyjaciele gwałtem go odbić mogli i byli powinni.

Na zamku nie trzymano przecież tak wielkiej załogi, dosyć było gromadki śmiałków, napadu niespodzianego... Miał dawniej przyjaciół tylu, a teraz jego sprawa była razem sprawą całej szlachy. Na króla cała Rzeczpospolita narzekała, Zamojski dokuczył, to mogła być ostatnia kropla pucharu przepełnionego.

Trzymali go długo, dzień za dniem uchodził, a mogli go stracić zaraz po ujęciu, więc to znak, iż może sprawę Zborowskich na sejm podać miano. Naówczas był pewien ocalenia!

Tem się pocieszał; a nie jeden on zwłokę za znak wahania się pomyślał dla Samuela być sędził. Tego zdania było wielu innych. Rozumowano, że banita mógł być natchniony po uchwyceniu karany śmiercią, jeżeli tego nie spełniono, snąć łaskawszym chciał być kanclerz, bo się obawiał.

Lecz wszystkie te wnioski były fałszywe. Śmierć została postanowiona.

Wlokły się te dni męczeńskie, stając się Samuelowi wiekami. Nie pewien jutra, trwożył się, szukając oznajmienia jego na twarzach oprawców. Ale obejście się z nim Mrocza, Sernego, Urowieckiego było tak niezmiennie jedne, że z niego się nie domyślać nie mógł, oprócz, że żadnej a żadnej nie było dla niego nadziei.

Z brutalnością żołnierza mówili mu szydersko:

— Nie durz się Samusiu, nadaremnie. Głowa twoja musi spaść...

Zborowski przyjmował to milczeniem obojętnem na pozór, ale kilkanaście dni takiego dusznego nękania, nawet silnego jak on, złamać w końcu musiało. Każdy ruch żywszy na burgrabstwie, hałas, krzyk, brzęk kluczków, głośna rozmowa Urowieckiego ze stróżami poruszały go i zdawały się coś zwiastować.

Po takim strachu gwałtownym, który w sobie taieć usiłował, popadał w apatię i nieczułość, wracał do swych dumań o przeszłości. Oswajał się z tą myślą o śmierci, a chciał tylko ponieść ją rycersko, nie drgnawszy.

Zawczasu przychodziły mu myśli dzikie. Ozwał się raz do Mrocza, pokazując mu szytą chustę jedwabną bardzo piękną, którą miał w podarunku od chana tatarskiego.

— Mrocze mój, zrób ty mi jedną łaskę, choć jej u waszeczki nie mam. Widzisz oto tu szytą chustę? Proszę ją ciebie i zaklinam, jakoś szlachcic polski: gdy mi kat głowę utnie, umocz ją we krwi mojej i oddaj synowi Aleksandrowi, niechaj ją nosi i pamięta, aby pomścił pamięć ojcowską!

Mroczek zmilezał i głową tylko poruszył.

— Słowo mi daj!

Przyciśnięty rotmistrz wyjąknął półgębkiem przyrzeczenie.

Serny, on i Samuel, nieraz gdy siedzieli w komorze długo milezący, ziewali z nudów... więc straż pierwsza rozpoczynała rozmowę, która innego czasu tonem i formą byłaby Zborowskiego oburzała, ale teraz skazany musiał się widzieć niemal równym siepaczom. Oni z nim obchodzili się bez najmniejszego na przeszłość względu.

Mroczek sobie szczególnie pozwalał.

— Co ty, Samusiu, skarżyć się jeszcze będziesz albo co, że ci łeb zetną? A mało tyś ich porąbał i w śmierć posiekał? he? policz-no się!

Zborowski nie burząc się wcale, powolnie liczył na palcach. Mruczenia jego dosłyszeć nie było można, ale jakby sam dla siebie wyliczał z kolei, obojętnie nazwiska jedne po drugich. Mroczek i Serny nachylali się, aby posłyszeć... nie zważał na nich.

Ponieważ wiele z tych historii Samuelowych z rozgłosu znanych było, pytali go czasem o jedną z nich.

O Włochu, którego miodem posmarowawszy, dał niedźwiedziowi na pastwę, rozповідаł im tak spokojnie, jakby za stołem z nim siedzieli w Białym Kamieniu.

— Dał szlachcicowi w ucho! — mówił. — A kto go wie, czy on sam szlachcie; więc to policzek, za który śmiercią karać trzeba, a ja mu się dałem rozprawiać z niedźwiedziem, no i Włoch mojego starego tylko że nie udusił. Niedźwiedź go podrapał, a ten za gardło ścisnąwszy, tylko że nie załdawił...

Gdy któryś z nich napomknął Trepkę, zabitego na łowach, o którego morderstwo obwiniano Samuela, nie podniósł głowy, nie przyznał się, nie odpowiedział nic. Czoło mu się pofałdowało i łzy pobiegły z oczów. Trepka przypomina mu żonę, a względem niej uznawał się winnym. Słowa już z niego dobyć nie było można.

Innych dni leżał na łóżku, odwrócony do ściany i ani jeść, ani mówić nie chciał; czasem, gdy sam na sam siedział z Mroczkiem, starał się coś dobyć z niego, dowiedzieć o rodzinie, o staraniach, bo nie wątpił, że czyniono je dla ocalenia mu życia, ale rotmistrz składał się nieświadomością zupełną.

— Ja stąd krokiem się nie ruszam, noc i dzień, jak widzicie — dodał Mroczek — nie nie wiem... nie słyszę nic...

— Przez litośćby też choć dzieci do mnie puścić powinni — mruczał — żebym ja jeszcze Olesia mógł uścisnąć i tę biedną Anusię pocałować. Ona się w śmierć zapłaczę biedna...

— A co się tam dziać musi z Włodkową — myślał dalej i myśląc pocieszał się tem, że ona prędzej o nim zapomni.

Po tych wszystkich ulubionych istotach, w których rzędzie stali naostatku panowie bracia... przychodził Borosio, a po nim sokoły i psy, o których los się troszczył.

— Żeby przynajmniej na dobre ręce poszły — mówił — a to zmarnieje... Moje ptaki króla warte, ale nie takiego

jak nasz; ale to Olesiowi się teraz nie zdało, zabierze pan Andrzej i pożytku z tego mieć nie będzie.

Z dumania w dumanie, jak po zarosłych ścieżkach starego ogrodu, kroczył po wspomnieniach swoich, uśmiechał się i płakał. Jeszcze niekiedy krwi a zemsty mu się zachciewało, osobliwie, gdy Wojtaszka przypomniał; ale po cóż się teraz było marnie jeść pragnieniem, które ziścić się nie mogło?

— I przez niego mi ginąć przyszło!! — mruczał.

Gdy dnia jednego przyszedł od kanclerza pisarz badać go o listy, znalezione w szkatulce, którą ludzie ze Stogniewic wydali, Samuel powziął jakąś nadzieję nowego obrotu rzeczy i zapierać się zaczął.

— Ja o niczem nie wiem! Do żadnych spisków nie należałem! — wołał.

Kanclerza bezprześcannie oblegano; rodzina, przyjaciele, domownicy, tak, że się pokazać nie mógł i w końcu znieczierpliwiony, nikogo nie dopuszczał do siebie.

Z obu stron rozdrażnienie dochodziło do najwyższego stopnia, a dłużej w tym ogniu i ukropie wytrwać było trudno i przeciąganie na nic się już nie przydało.

We czwartek przed św. Trójcą, dwudziestego czwartego maja wieczorem, Zamojski już ze znużenia i niepokoju upadając niemal, postanowił dekret kazać spełnić. Im się dłużej ciągnęło, tem rosły gniewy i niechęci, a można się było spodziewać, że zapaleńsze głowy rzucą się na jaki nierozważny gwałt, który może się stać przyczyną daremnej krwi rozlewu.

Samuel się tego spodziewał i choć momentami nadzieję miał, prędko go ona opuszczała. W początkach też widząc, że tu Urowiecki wszystkiem kieruje i nad Mroczkim i Sernym zwierzchnictwo ma, a najprędzej wiedzieć będzie, gdy co postanowionem zostanie, prosił go, ponawiając często żądanie.

— Urowiecki, jakieś pocziw, będziesz-li wiedział, co i kiedy mi przeznaczone, nie omieszkaj na kilka dni wprzód dać mi znać! W podróż tę przygotować się już ci muszę, bo na duszy nie mało mam... Nie dajże mi nieprzygotowanemu stawać na sąd Boży!

Urowiecki mruknął, przyrzekając, ale naprawdę niewiele mógł obiecywać, bo hetman się przed nim z myślą żadną nie wywnętrzał zawczasu, tak jak i przed innymi. Zawsze w sobie zamkniętym był.

Dopiero w ten czwartek wieczorem, kazawszy do siebie przywołać Urowieckiego, rzekł mu:

— Skończyć trzeba ze Zborowskim.. w piątek, albo-li w sobotę...

Zadumał się nieco.

— Powiem ci jutro...

Tu westchnąwszy, hetman dodał:

— Jak mi ciężko to ostatnie słowo rzec, Bóg świadek, ale szlachta się burzy i oblega mnie, nie dając pokoju, a każdy posłaniec od króla przynosi zapytanie, czy już głowę dał. Nie sposób go ocalić...

Urowiecki spytał ostrożnie:

— Mogę mu to oznajmić?

— Gdyby to dla duszy jego potrzebnem było — rzekł hetman — należałoby, ale nowinek chwycił, dyssydentem się głosi, księdza nie weźmie, a ma-li się darmo myślami nękać, — poczekaj... Już i duszę jego uratować będzie trudno...

Na tem stało.

Urowiecki milczał, ale na burgrabstwo do Przyłęckiego chodząc, nosił z sobą wyrok na twarzy i mimowolnie się zdradzał, tak, że Zborowski, choć nie mówił nic, miał już przeczuć zbliżającego się terminu.

Dopiero w piątek, gdy godzina była na noc, wszedł o porze, w której nie zwykł był do Samuela przychodzić, Urowiecki, a skoro w progu stanął, zerwał się, w komorze go czując Zborowski... Szedł ku niemu ze spuszczoną głową Urowiecki, milczeniem mówiąc więcej, niżby mógł usty. Stanął z jakąś uroczystością przed więźniem.

— Samuelu Zborowski — rzekł poważnie — wiedzieć masz o tem, że gardło dasz... Wola jest króla jegomości i naszego miłościwego jegomości pana kanclerza, jutro conajraniem...

Opodał stali Mroczek i Serny, którzy do tej godziny, choć się może domyślali czego, nie wiedzieli nic napewnego.

Zborowski się poruszył gwałtownie i niespokojnie bardzo, nie mogąc utrzymać przy tej obojętności, jaką dotąd okazywać się starał. Stał się bladym bardzo, głos mu drżał.

— Urowiecki niebożę — zawołał z wyrzutem gorzkim — miałeś mi to na kilka dni przed terminem oznajmić i przyrzekłeś, a słowa nie dotrzymałeś. O sumienie mi moje szło, o duszę, bom nie gotów, aby przed majestatem Bożym stanąć, a chciałem w siebie wniść i przejednać gniew Pański.

Urowiecki mało co odpowiedział na uniewinnienie.

— Sługą jestem pana kanclerza — rzekł — ten mi teraz dopiero oznajmił i odnieść wam kazał... — Nie mogłem inaczej...

Zborowski, który z łóżka się był podniósł, opadł na nie i twarz zakrył dłońmi, a pozostał tak chwilę niemałą.

Za bujnego żywota mało o Bogu pamiętał, a ówczesne dyssydentów i reformatorów naśmiewania się ze wszelkich katolickich obrzędów, zwyczajów i prawideł życia, wciągnęły go też na tę drogę, iż kościoła nie znał, a modlić się zapomniał. Ale z dzieciństwa mu coś pozostało na dnie duszy, co się teraz odezwało żywo.

Uczuł się jakby z domu rodzicielskiego wygnanym sierotą, która nie wie, gdzie się schronić ma. Katolicki kościół nie mógł go już przyjąć, a od nowych przyjaciół i predykantów nie wiele się mógł spodziewać pociechy.

Straszliwa trwoga jakaś go ogarnęła, nie ziemskiego niebezpieczeństwa, ale zagrobowego losu, jaki go miał spotkać.

Wszystkie owe szyderstwa i lekceważenia dawniejsze wydawały mu się występniemi, a wiara pierwsza jasno świeciła... ale między nią a nim była przepaść, którą wykopało życie. Spojrzał w nią i strwożył się mocno.

Wszyscy przytomni milczeli, bo nikt go nie śmiał pocieszać, ani by wiedział jak. Zborowski zwrócił się zebrzącym niemal głosem do Mrocza.

— A! mój miły Mroczku... prze-Bóg, proszę cię, dla miłości Jego, nie opuszczaj ty mnie, nie odchodź ode mnie, nie śpij tę noc... Mam na sumieniu grzechów tyle, że je rozpamiętywać muszę, a sam będąc... nie potrafię...

I dodał tęskno.

— Pewna to rzecz, że na potępienie zasłużył, jeśli miłosierdzie Pańskie w pomoc nie przyjdzie, — a znajdzie-li je u niego?

Mroczek, litością zdjęty, odparł:

— Panie Samuelu, a toć wiecie, że o miłosierdziu Bożem nigdy rozpaczać nie należy. Za to jedno Bóg karać może i potępić, gdy się o Jego łasce powątpiewa.

Potem nie słyhać nie było, tylko ciężki oddech Zborowskiego, który nie wiedząc o tem sam, pot z czoła spływający ocierał. Nie patrzył już ani na Urowieckiego, ani na Mrocza, oczy mając wlepione gdzieś, a nie widząc nic.

— Bóg mnie od rozpaczycy uchowa, a ulituje się — powiedział cicho. — Jednak miano ze mną tak postąpić, należało

chrześcijański obyczaj zachować, a dać mi czas do skruchy. Śmierci się ja nie boję, bo wiem, że to dług przyrodzony jest, ale o duszę troskać się muszę.

Znowu nastało milczenie.

W izbie tej, w której Zborowski siedział wówczas, zwłaszcza, że to było pod noc, sprzęt wszelki stał jako pozostął po dniu, bez ładu i porządku. Na stołach leżały odzież i pozapomniane miski, na stole napoje porozlewane, kubki powywracane, chleba szczątki, papierów kawałki. Obejrzał się dokoła Urowiecki i rzekł do Mrocza:

— Proszę cię, niechaj tu będzie porządniej, bo pan nasz przyjdzie.

Samuelowi twarz pobladła.

Mroczek zaś, powstawszy, zaczął zaraz zmiatać, sprzątać, układać, co mu się nie zdało, w kąt rzucać, stołki ustawiać, a jedno siedzenie naprzeciwko łoża pana Samuela przygotował, można się było domyśleć dla kogo.

Milcząco na te przygotowania patrzył Zborowski, ale oczy jego każdy ruch Mrocza śledziły, a usta mu się ściały i twarz, która przed chwilą chrześcijańską pokorę wyrażała, ziemskie uczucie niechęci i gniewu coraz dobitniej zaczęła zdradzać... Odezwała się duma i żal, i niepokój...

Przychodziło mu więc oko w oko się rozprawić z tym nieprzyjacielem, który tak długo niewidomy go ścigał, — teraz zwycięzcą, mogącym się naigrawać i tryumfować...

Było to nowe męczeństwo, którego się nie spodziewał. Tchnął ciężko, a nie strzymał ust. Obrócił się do Mrocza.

— Widzę, że wszystkiego mu mało: chce mnie smażyć jeszcze, niżeli umorzy. Ale na to rachunku innego niema, jak się poddać woli Bożej, która mnie w moc jego dała. Nie mam co innego do czynienia, tylko cierpieć, a Pana Boga o cierpliwość prosić, bom jej nigdy nie miał.

Widocznem było, że się straszliwie męczył; z czoła lał mu się pot, który gwałtownie ocierał, a wnet znowu występował; na miejscu siedzieć nie mogąc, poruszał się niespokojnie, wzdychał, ale już trwoga o Zamojskiego ustąpiła, a dawna o duszę wracała.

Z ust mu się wyrwało wzywanie Boga o pomoc. Mroczek milcząc, ukończywszy uprzątanie, siadł opodał trochę, ale go z oka nie spuszczał, bo litość nad nim miał. Najtwardsze serce by się było poruszyło, bo naprzód jęczeć zaczął, stękać, a w końcu ryknął płaczem wielkim.

Trwało to dobrze długo, nim znowu oczy jego padły na to stojące naprzeciw łoża krzesło, dla kanclerza przeznaczone, i myśl się zwróciła ku niemu.

Odezwał się do Mroczka:

— Mroczku mój! powiedz mi, ja głowę tracę zaprawdę. Kanclerz ma tu przyjść, w jego rękę jestem... Jak ja z nim być mam, co uczynić? jak mi radzisz?

— Nie potrafię radzić — odparł rotmistrz. — Bóg wida!

— Zlituj się, wy go wszyscy lepiej znacie — rzekł Samuel — ani wiem, ani rozumiem, co pocznę. Nuż go obrażę! Nie chciałbym — a upokorzyć się i spodlić nie mogę... Co tu czynić?

Mroczek milczał; tedy gwałtownie znowu spytał:

— Mroczku mój, odezwij się choć słowem, jak ci się zda?...

— Nie wiem — zamruczał rotmistrz.

Choć go tak odprawił, Zborowski nalegał.

— Mroczku, co ja z nim mówić mam?

I powtórzył to razy kilka, aż Mroczek odsuwając się nieco na stronę, rzekł:

— Już rady wszelkie się skończyły; nie nie wiem, zaprawdę, nie wiem nic.

Wtem u drzwi dało się słyszeć stąpanie; Zborowski trwożnie się poruszywszy, podniósł głowę, śnać już kanclerza się spodziewał, ale otworzyły się one i wszedł Myśliborski, pół-hak trzymając w ręku.

— Panie Zborowski — rzekł — gotujcie się. Jegomość pan nasz miłościwy idzie.

— A cóż ja mam czynić? — zapytał Zborowski.

Myśliborski, pokorny sługa, nie znał nic innego, tylko:

— Co? Do nóg mu upaść się godzi...

Za drzwiami już dały się słyszeć gwałtowne stąpania, szepty i szczeł żelastwa; otworzono drzwi naościę i w nich ukazał się Zamojski, odziany był jak dnia powszedniego, z kołpaczkiem na głowie z czaplem piórkiem, które wówczas za królem idąc, noszono. Szablę miał u boku.

Twarz hetmana wyrażała spokój, a majestatem sędziowskim się przyoblekła, ale uczucie ludzkie przecie, choć mało dostrzeżone, w niej drgało.

Tuż za kanclerzem, więcej dla oznaki dostojęństwa niż z potrzeby, cisnęło się siła ludzi, wszyscy z pół-hakami, jakby na nieprzyjaciela. Izba ich prawie stała się pełną.

Samuel wstał z łoża i parę kroków uczynił ku hetmanowi, tak, że tuż naprzeciw niego stanął.

— Proszę miłości waszej — rzekł głosem trochę drżącym — bądźcie na mnie łaskawsi...

Zamojski rękę wyciągnął, jakby mu nie chciał się dać zbliżyć, i zamruczał tylko:

— Nic mi potem... nie czas...

Stanął więc znowu Zborowski podle swojego łoża i czekał.

Upłynęła chwila; kanclerz krzesło dla siebie przygotowane zobaczywszy, usiadł na niem. Z za sukni widać było papiery, które przyniósł ze sobą i dobył je, na stół rzucając przed Zborowskim.

— Masz, oto są listy królewskie! Czytaj je sobie; masz dać gardło!

Zborowski na listy ani spojrział, i po krótkim namyśle rzekł:

— Czytać ich nie potrzebuję; czyńcie ze mną, co chcecie, wszak macie mnie w ręku...

Znowu chwila milczenia nastąpiła. Zamojski oczy spuścił i dumal, czoło mu się faldowało.

— Mów — odezwał się powoli — o co cię będę pytał, to najpierwsza. Idźiesz przed majestat Boży, już się nie masz na co oglądać na tym świecie. Gdybyś zataił to, co może szkodliwem być dla króla i Rzeczypospolitej, na sumienie to swe weźmiesz, na duszy twej zostanie. Teraz ci już niecnota, braciszek twój, Krzychnik, nie pomoże.

Samuel zmilczał, choć chciało mu się stanąć w obronie brata, a no — nie pora była. Trwało z obu stron milczenie. Przyszło potem do rozprawy gwałtownej, ale Samuel nic nie wyznał, wszystkiego się wypierał. Obaj tracili coraz bardziej zimną krew.

Kanclerz coraz goręcej głos podnosił i krew mu do twarzy napływała. Samuel też słuchać nie mógł bez niecierpliwości, której dawał oznaki, aż wreszcie dłużej wytrzymać nie umiejac, zawołał:

— Przez Bóg żywy! dajże mi miłość wasza pokój! A toż macie mnie już w rękach waszych, czyńcie, co chcecie, więcej ze mnie nie wysmażycie. Krótki czas żywota mojego, pilniej mi z Panem Bogiem sprawę mieć, niż z wami. Z ciałem już uczynicie, co zechcecie, a no duszy mej nie zabijajcie. Proszę was o ministra!

Kanclerz głową poruszył.

— Tego noga na zamku nie postanie, bo ja go za sługę Bożego nie mam.

Samuel ramionami tylko ruszył.

— Więc wždy o kapłana, jakiego chcecie, proszę, z którymby na końcu tego żywota mojego o Bogu mógł mówić, a o duszy mej.

Oba byli poruszeni mocno, bo Samuelowe słowa, wyrzeczone z odwagą i mocą wielką, na kanclerza podziałały. Otarł pot z czoła... i nie żegnając się, ani mówiąc nic, ku drzwiom się skierował.

Zamknęły się drzwi, nastąpiło milczenie. Samuel padł na łoże wysiłony i znękany.

Zostali z Mroczkiem sami, bo Serny się był oddalił i jakiś czas trwało milczenie. Zborowski musiał spocząć, bo indagacje te gwałtowne z takim mań impetem padły, że je wydychać musiał, choć po głowie wily mu się myśli, na które już czasu stać nie miało, aby je wszystkie rozplatać mógł i do ładu przyprowadzić.

Widział Mroczek, jak się kilkakroć w piersi uderzył mocno i płakał, ale wstydząc się tych łez skruchy, ocierał je śpiesznie, a oczyma szukał Mroczka, czy on to widział, lub nie. Rotmistrz zaś, litość mając, udawał, że nie widzi.

Nie mówili do siebie.

Nadszedł Serny, wasy jeszcze ocierając po piwie i usiadł podle Mroczka, szepcząc mu coś na ucho. Czekali, co dalej pocznie, azali nie zechce spocząć, ale ku temu się nie miało. Niespokojnie na stole wszystko przewracać począł, jakby szukał czegoś... Dobył swą chustę od chana tatarskiego i położył ją tuż przy sobie.

Sądził Mroczek, że póki rana się doczekają, spocząć będzie mógł trochę, bo już kilka nocy mało co spluszczył oczy, nie usypiając, wtem Zborowski zwrócił się do niego:

— Ach miły Mroczku mój! Widzę, że ci się spać chce, ale uczyni to dla mnie, proszę cię, nie śpij, nie opuszczaj mnie. Tyś mi teraz księdzem, tyś świadkiem i przed Bogiem, i tu na ziemi do wszystkiego, co czynić mam, a ja wierzę, iż będziesz pomniał na Boga, na prawdę, a na sumienie swe.

Mroczek też nie mógł mu odmówić ostatnich posług.

Wtem zaczął prosić o papier, kałamarz i pióro, które mu przyniesiono. Siadł zaraz za stół i pisał, przerywając tylko sobie westchnieniami, a niekiedy o czoło się uderzając. Więc pisał tak a mazał, aż wszystek papier zapełnił, a było go niemało, pospołu i woli ostatniej i żalów nad dolą swą i słów do dzieci i rodziny. Pisanie to przeciągnęło się czas nie-

mały, późno prawie w noc; a dokończywszy, porwał się z siedzenia niespokojny.

— Zmilujcie się, księdza sprowadźcie... nie można predykanta, ministra, — to jakiegokolwiek bądź chrześcijańskiego kapłana, z którymby o Bogu mówić mógł, a na śmierć się przygotować!

A Mroczek rzekł:

— Późno jest. Skąd go tu wziąć? I niema po niego kogo posłać.

Załamał ręce.

— Zlitujcież się! Wyrostka masz, który śpi oto w kącie; poślij go, to mu nagrodzę. Niech pierwszego, jakiego spotka przywiedzie, albo-li do klasztoru którego zadzwoni.

Mroczek więc chłopca rozbudził, a ledwie można mu było wrazić to, o co szło i kędy miał iść.

Co się tedy potem stało, wersje krążyły różne, ale najpewniejsza ta, którą z ust samego wyrostka Mroczkowego słyszano. Ten zaledwie w ulicę wszedł ku miastu, gdy księdza zakapturzonego w czarnym płaszczu napotkał. Miał się do niego zbliżyć, aż ten sam podszedł ku niemu i rękę mu kładąc na ramieniu rzecze:

— Księdza szukasz?

— A wy skąd o tem wiecie? — spytał strwożony.

— Wiem, bo mi o tem oznajmiono z góry; księdza szukasz dla owego bezbożnika, którego tracić mają jutro na zaraniu.

— Tak ci jest — rzekł chłopiec, żegnając się.

— Jam ksiądz, prowadź mnie — nakazująco dodał mnich. — Przodem idź!

I począł półgłosem pacierz odmawiać, a chłopiec szedł cały wylekły, już się wcale nie odzywając. Gdy na burgrabstwo przyszli, mnich ciągle jeszcze miał kapturem twarz przysłoniętą i tak się do izby wsunął, w której Zborowski modlił się, krzyżem leżąc.

Owo wiedzieć potrzeba, że leżenie krzyżem u dyssydentów wcale się nie praktykuje i że to już znamionowało, że do dawnej wiary powracał, sam prawie o tem nie wiedząc.

Obrócił się pan Samuel bardzo pomieszany.

— Chcesz spowiedzi? Okaż skrucę, ukorź się — mówił ksiądz.

Jeszcze tedy Zborowski nie wiedział, co pocznie, stał a na księdza spoglądał.

— Mówmy wprzód — odezwał się.

A mnich mu przerwał zaraz.

— Co? O religji spory wprowadzać chcesz, gdy dusza twoja nad przepaścią... Klekaj i grzechy twe wyznawaj, boś grzesznik wielki, gwałtownik i zbójca, i zbrodzień gorszy od tych, co z katowskich rąk ginęli... Znam ciebie i uczynki twoje. Idziesz przed majestat Boży, obmyj się... godziny, minuty i tchnienia policzone.

Stał jakby w niepewności Zborowski i bladł coraz. Jako był przed chwilą pokorny i skruszony, tak owo gwałtowne wołanie księdza, równie jak wprzód nacisk hetmana, do był z niego opór.

Odstąpił krok.

— Toć mówić o Bogu chcę i abys mnie objaśnił — rzekł dosyć łagodnie: — przyjdzie-li do spowiedzi, nie wzdragam się.

Mnich zaś tej tergiwersacji znieść nie mogąc, głos podniósł.

— Duszy wiece ocalisz, gdy djabłu na pastwę przeznaczona jest, bo pokuty nie chcesz, bo ukorzyć się przed Bogiem i jego zastępcą na ziemi wstydasz się. Nie przedemną, ale przed Bogiem byś się spowiadał...

— Mówmy o Bogu — wtrącił Samuel — niech posłyszę.

— O Bogu do bezbożnika mówić mam — począł mnich. Tyś gorszy od niewiernych, bo tamci Boga nie znali nigdy, a ciebie wychowała matka bogobojna i miałaś go, a zaparłeś się. Sprzedałeś jak Judasz za srebrniki rozpusty, dumy i samowoli. Niema dziś na tobie miejsca bez zmazy, ani zdrowego nie, gdzieby zgnilizna nie tkwiła. Przeznaczono ci ginąć marnie, a mnie było przeznaczono jeszcze w przededniu zwiastować karę Bożą.

Jęknął Zborowski.

Potem już księdza nie słuchając, ani na niego nie patrząc, jak stał, tak jęcząc coraz głośniejsz i szlochając, rzucił się na podłogę i krzyżem leżał.

Stała się tedy rzecz osobliwa, na którą Mroczek patrząc powiadał, że mu się robiło tak, jakby na cud jakowy patrzył.

Mnich umilkł i stał nad nim, aż posłyszawszy to jęczenie i płacz jego, przeżegnał się i pokłękł, półgłosem rozpoczynając modlitwy.

Jeden zdawał się nie wiedzieć o drugim, a to jęczenie i modlenie się spływało razem dziwnie. Zakonnikowi pot biegł po twarzy, a co była sroga i surowa, — łagodnieć poczęła i wyjaśniać się.

Trwało to niemało czasu. Nie patrzył, ani się obrócił Zborowski ku mnichowi. Miało się już na brzask, gdy Samuel jakby usypiał, uspakajając się zaczął, ale jako żywo nie spał.

Mnich klęczał nad nim, pochylił się i szeptał długo. potem rękę podniósł i żegnał, aż nareszcie wstał, kaptur na głowę narzucił i wyszedł.

Samuel zaś, znacznie uspokojony, pozostał tak na ziemi, do siódmej godziny rano.

Na burgrabstwie ruch się już poczynął, dzień się zrobił. Jeszcze leżał, gdy Urowiecki z innymi oprawcami wszedł do izby, nie więcej nie rzekłszy, tylko:

— Idź!

Odział się w żupan i szedł za nim w podwórze, gdzie trzy razy klękał, składał ręce i modlił się, musieli stać i czekać.

A stąd właśnie kościół widać było. Stanał Samuel i jał prosić.

— Urowiecki, jak ci Bóg miły, do kościoła mnie puść na chwilę. Mój, czy nie mój kościół, przecież i w tym Pana Boga chwałą, tego, który jeden jest dla wszystkich. Ja też niech ostatnią chwałę Bogu oddam.

Urowieckiemu serce zmiękło.

— Niech i tak będzie — rzekł. — Idź przed się, masz czas jeszcze.

Wtem gdy ku drzwiom kroczyli, ukazał się w nich wychodzący właśnie z kościoła kanclerz. Spostrzegłszy Samuela, za którym szli oprawcy, począł wołać nań...

— Panie Zborowski, postój proszę, odpuść mi, że cię tracę, odpuść mi!

— Nie odpuszczę!

A kanclerz nalegał, powtarzając.

— Postój, odpuść mi, proszę cię... nie ja, ale prawo cię karze.

— Nie odpuszczę, już to wiedz, że nie odpuszczę — wołał Samuel.

Stali tak przeciw sobie, a Zamojski twarz miał smutną i błagającą.

— Dla pana Boga cię proszę, Samuelu... przez Imię Jego, odpuść mi!

Samuel, który już był na próg stąpił, odwrócił się.

— Zagadnałeś mnie! Odpuszczam ci, ale się świadczę Panem Bogiem i tymi, co słyszą, że ci ja nic nie winien,

bom nie czynił na wzgardę dekretów i praw nic, anim przeciwko poczciwości występował. Powoływam cię przed sąd Boży sprawiedliwy z sobą.

Kancierz, wysłuchawszy, odszedł, a Samuel niedaleko od proga w kościele pokłakłszy, modlił się gorąco, aż sam potem mężnie powstał i zwrócił się do drzwi.

Wiedli go tedy mimo Tatarzy za furtkę ku Stradomiu pod Lubrankę, na ten plac, kędy od czci odsadzonych i złoczyńców pospolitych karzą, dla większej zniewagi.

Blanki i plac wszędy gęsto był obsadzony ludem, który nie dopuszczał nikogo.

Rzucili na ziemię płat sukna czerwonego i kazali mu klęknąć.

A jak był nocą omdlały i w sumieniu niespokojny, tak teraz mężnie bardzo siebie poczynął i prawie bohatersko na tę śmierć szedł i patrzył. Sam z siebie żupan ściągnął, ale że rękawy ciasne były, spoczywał troszynę i stąd na miasto spoglądał, potem wejrzał ku niebu, które było jasne i tylko się dniem rumieniło. Aż z ust mu się wyrwało jakby w zapomnieniu:

— Hej miły Boże, gdzież bracia moi mili, gdzie przyjaciele, gdzież słudzy, czegom ja wszystkiego miał dosyć... dziś... nic!

I stojąc tak już w jednej koszuli, Mroczkowi podał chustę.

— Mój miły Mroczku, jakoś mi przyrzekł, rozmocz-że ją we krwi mojej, a daj ją synowi.

Mroczek na to niechętnie rzekł.

— Panie Zborowski, pora myśleć o czem innem!

Stał tuż kat, drab wielki i silny, ale drżał i oglądał się, a wtem miecz dawszy pacholcowi w ręce, jakby czegoś zabył, wszedł między ludzi, a na jego miejscu oprawca, pomocnik został tylko. Tego Samuel dostrzedz nie mógł i mówił do pacholka, sądząc go katem.

— Już mi na to przyszło, że do ciebie się modlić muszę; ostatni to kres, bo o śmierć mi nie idzie... Proszę cię więc abyś mi nie przeszkadzał, dopóki modlić się będę, dopiero, gdy raz trzeci rzeknę: Jezus, dogódź mieczem a dobrze, za co tobie z hajduki monetę odkazuje.

Gdy to rzekłszy, położył głowę i modlić się zaczął, obejrzano się za katem, a tego nie było.

W samej ostatniej chwili, albo przekupiony lub przestraszony uszedł i schronił się, a nie znaleziono go aż później w kościele.

Leżał tedy Samuel a modlił się... i rzekł raz — Jezus.

Hajduki się niepokoiły, bo oprawcy nie było. Szukali go, biegali... więc tymczasowo jeden z nich za miecz wziął, bo z blanków, na których kanclerz stał, znaki im dawano i pan Stanisław Żółkiewski i innych wielu.

— Zawołał drugi raz — Jezus — a tu kata nie było, hajduk obnażył miecz, ale mu ręce drżały.

Potem wreszcie trzeci raz rzekł — Jezus.

Pacholek zaś nieopatrując się, nie podniósł miecza, aż Zborowski obejrzał się i zawołał:

— Cóż czynisz?

Popchnięto pacholka, który z całych sił, ale niezręcznie uderzywszy w szyję, kęs pleców też zaciął.

Spadła głowa zaraz na ziemię i odskoczyła od niej trzy razy ku Urowieckiemu, który przeleknął przed nią w bok uchodzić musiał i nie rychło się uspokoił, bo ludzie, patrząc na to różnie wróżyli.

Czasu tych kilkunastu dni więzienia, Urowiecki sobie często bardzo ostro poczynął z Samuelem, litości mu nie okazując, jak Mroczek, który szorstki był i grubijan, ale serce miał.

Taki był koniec onej tragedji Samuelowej, jeżeli to końcem nazwać się godziło, bo naprawdę powstałe i zrodzone z niej zamieszanie, które wstrząsnęło Rzeczpospolitą, królowi i Zamojskiemu trosk niemaló przymnożywszy, dopiero się od tej godziny poczęło.

Ale sprawie Zborowskich nie był jeszcze koniec. Przyszła teraz kolej na Krzysztofa, który na najbliższym sejmie został skazany na pozbawienie wysokich urzędów i infamję. I tak cały ten naród niegdyś potężny, zeszedł na hańbę i niekczemność.

ZAJMUJĄCE CZYTANKI Nr. 362.

J. I. KRASZEWSKI

BIAŁY KSIĄŻĘ

POWIEŚĆ

Z CZASÓW LUDWIKA WĘGIERSKIEGO

WYDANIE POPULARNE, SKRÓCONE.



1922

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE.

POZNAN — LWÓW — RÓWNE — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO.

Było to dnia dziewiętnastego listopada, roku Pańskiego 1370.

Pomimo wiatru mroźnego, który dął z północy i zime nadchodzącą zapowiadał, cały Kraków wylał się w rynek i ulice. Pomiedzy kościołami: franciszkanów, św. Trójcy i Panny Marji a katedrą na Wawelu były drogi, wzgórza, dachy i okna tak nabite, jakby głowy ludzkieimi je wybrukowano. I mało co też więcej rozeznac było można nad głowy, różnie pookrywane, okryte i osłonięte, nad twarze, na których jeden wyraz boleści i trwogi jakiejś był odmalowany.

Na żadnem z tych przemnogich obliczy promyka nawet przelotnej nie widać było weselości, ni płochego uśmieszku. Wszystko to stało ciche, skamieniałe, odrętwione, a na wielu zaczerwienionych powiekach ślady łez dostrzec można było.

Ponad głowami tego tłumu, z powiewem nierównym wiatru, to głośnieiej, to ciszej, przerywanie, jęcząco odzywały się kościołów dzwony.

Dnia tego ostatnią cześć oddawano pamięci wielkiego króla, po którym płakał kraj cały. Po żadnym jeszcze może łez się tyle nie wylało. Z nim krew Piastów schodziła z tronu, który się miał dostać obcemu: grzebano z Kazimierzem cały ten szereg mężów żelaznych, co kraj piersią bronili, a sercem miłowali Piastów, co byli ludu tego ojcami i dziećmi.

Ostatni, jakby chciał pamięć wiekuistą zostawić po sobie, wyrósł nad wszystkich, nie rycerstwem, jak drudzy, ale miłością wielką dla całej ziemi tej, którą zjednoczył, rozszerzył, obwarował i pokojem ubłogosławił.

Tak mówili pocichu starzy ludzie, oczyma załzawionemi patrzący wdał i nie widzący nic... czuli, że z panowaniem króla tego szczęście i pokój się kończył. Obec przybysz koronę przyjmował, jak z łaski, ani chciał znać kraju tego, którego powietrze dlań, jak mówił, niezdrowem i nieczuonem było.

Żadne panowanie nowe tak się nie zwiastowało smutnie. takimi przeczuciami poprzedzone nie było.

Ponad szeptami ludu i smutnemi proroctwy jękiem żalobnym były dzwony. W dali poruszał się zwolna i zbliżał orszak pogrzebowy.

Powiadano w tłumie i o tem, że nie król Ludwik nowy, ani matka jego, Elżbieta, siostra kazimierzowa, ten uroczysty obchód dla nieboszczyka czei urządzili, ale bolejący po swym panu domownicy jego, dworzanie, bliscy mu i ukochani.

Zwolna szeregi duchowieństwa ze wszystkich kościołów i klasztorów ciągnąć poczęły, poprzedzane chorągwiami patronów i żalobnemi rydwanami.

Księża szli z ręką na piersi, a świecą w drugiej, głowy pochyliwszy, tak smutni, jako i lud, bo powszechny żal i ich, od świata oderwanych, przejmował.

Tuż zaczęły się ukazywać wozy żalobne, całe kirem obite, konie w czerni, w czerni ludzie — wysoko wyniesione baldachimami, ze srebrnemi łąy na osłonaen.

Cztery jednak ich ciągnęło, jakby każdy stan chciał niemi żal swój okazać, i wszyscy stawali z nim u grobu.

Za temi wozy orszak rycerstwa występował, orszak rycerstwa wspaniały, wyzłocony, na koniach, purpurą do ziemi okrytych, by okazać, że syn ubogiego Łoktka, państwo ojcowskie wzięwszy w łachmanach i z drzewa, oddawał w szkarlatach i murach. Wiedzieli o tem wszyscy starcy, co dawniejsze pamiętali lata.

Ponad głowami tego soroka rycerzy wiały chorągwie: przodem purpurowa królewska, z orłem białym, dalej jednaście proporców wszystkich ziem, które Kazimierz zjednoczył i silną dłonią w całość wielką scisnął.

Lecz nie stało dłoni — szeptano — nie stało... i oto... kruszyły się już i odpadały części państwa tego. Jaka je przyszłość czekała?

Szmer głucho przeszedł po tłumach, zadrgały, poruszyły się, podnosiły głowy, oczy zabłyśły żywiej.

Za orszakiem rycerzy na ulubionym koniu króla pod złotem, perłami szytem okryciem, jechał mąż nieznany, co postać zmarłego wyrażał.

Tym, co króla znali, biło serce i łzy płynęły, bo zdało się im, że widzieli jego samego, powstałego z grobu raz ostatni i przychodącego pożegnać swe dzieci.

On to zdawał się być, jego postawę miał, wzrost, ciemne włosów kędziory, a hełm z przyłbicą spuszczoną, z poza któ-

rej oczy tylko przeglądały — pozwalał twarz jego widzieć tam, gdzie żelazna krata nie dopuszczała wejścia.

Najdroższe szaty i klejnoty ze skarba okrywały ową króla postać, złotogłów, łańcuchy, szkarłat, zbroja, sadzona kamieniami drogiemi, pas, diamentami świecący.

Lecz nikt na ten przepych nie patrzył — zmarłego króla widziano w tem widnie pogrzebowem i jęki wybuchnęły nagle.

Ostatni Piast... ostatni w koronie jechał do grobu, który za nim zawrócić się miał na wieki. I poszły za nim oczy i serca...

A tuż sześciuset mężów parami poczęło żałobny pochód za panem.

Wszyscy mieli szaty czarne, a każdy z nich oburącz dźwigał ogromną świecę, płonąca mimo wiatru płomieniem niespokojnym i lejącą z siebie strumienie wosku, jak łyżę gorące.

Szli i szli, a końca im długo nie było... aż ponad głowami ostatnich ukazało się jakby łoże, niesione wysoko, mury, które dźwigali dworzanie królewscy, do ziemi całunem obwieszone, złotem i srebrem przetykanym, na którym wokół spuszczały się pasma sukien szkarłatnych i purpurowych jedwabów.

Dokoła mar cisnął się tłum w żałobie, z głowy odkrytemi, zawodzący pieśń bolesną, dziwną, nie kościelną, nie zwykłą ani dźwiękiem, ni słowy, przejmującą, bo ci, co ją nucili, szlochali śpiewając, dłońmi zakrywali oczy, włosy darli na głowach i ręce wznosili ku niebiosom.

A żal ich nieklamany, straszny, do kości poruszał tych, co byli świadkami, i płacz zaraźliwy wybuchał od niego w tłumach.

Herold, jadący przed marami, aby im szerszą uczynić drogę, i rzucający na prawo i na lewo garściami szerokie grosze praskie, nie mógł im łatwego przejścia uczynić; gawieź ledwie schylała się po spadające na ziemię pieniądze, inni stali płacząc i popychać się dali, nie wiedząc, że na nich następowano. Żal był prawdziwy, powszechny, wielki.

Dopiero straż królewska z wielkimi halabardami pozłocistemi, rozpychająca niemi gromady i wołająca — król! król, — więcej siłą, niż postrachem, mogła ścisnąć wielki rozbić na dwie połowy.

Oczy wszystkich zwróciły się teraz na tę żywą przyszłość...

Orszak królewski był wspaniały i świetny, a sam król, gdyby nie wspomnienie kazimierzowe, mógł wzrok pociągać ku sobie.

Otaczali go duchowni: stary nawpół ociemniały Bogorja, który resztę oczu miał z żalu po ukochanym Kazimierzu wypłakać, Florjan krakowski, Piotr lubelski, biskupi.

Szedł we zbroi, z podniesioną dumnie głową, z wysoka zimnem wejrzeniem mierząc tłumy, bez żalu i trwogi na twarzy, znudzony tylko i zobojętniały jakiś, białą chustę często przykładając do białego a pięknego oblicza.

Na hełmie świeciła mu korona, drogiemi kamieniami sadzona, płaszcz królewski z ramion zwisał. Ręką jedną na rękojeści miecza się spierał.

Ani lud, któremu miał panować, ku niemu, ani on dla tych tłumów nie okazywał tego pragnienia i nadziei miłości wzajemnej, którą związek ojca z dziećmi mógł zapowiadać. Król patrzył obojętnie, na króla spoglądano z obawą.

Wiedział zaprawdę, iż zmarłego chłopów króla nie zastąpi. Tylko okazałością dworu olśniewał i moc swą chciał dowieść.

Dalej szły zaslonami czarnemi całe okryte niewiasty. Stara królowa, wdowa węgierska, łoktkowa córka, naprzód. Dziw było spojrzeć na nią. Ludzie lata jej wiedzieli i liczyli, syn też, czterdziestoczteroletni mąż, ją poprzedzał.

Obok niej stąpała powoli, z marmurową twarzą zastyglą, z oczyma spuszczone, wdowa kazimierzowa, Jadwiga, w czerni cała, zadumana, jakby myślami nie tu już była, a gdzie indziej.

Dwoje jej dziewczątek, córek pańskich, płakało, chustami twarzyczki białe zasłonięte miały, a potykały się coraz na kamieniach i staniały biedne sieroty...

Dokoła tłum Węgrów cisnął się, półgłosem, językiem nieznanym rozprawiając, palcami ukazując na ulice i domy, a nie czyniąc sobie żaloby z tego, co dla nich było weselem i rozrywką.

A gdzie się tłum ku nim nasunął, wnet pięść podnosili nań i marszczyli brew i za miecze się brali.

Panami się tu czuli.

Przed trzema kościołami zatrzymał się pochód, mary i tłumy: naostatek na Wawel do katedry ciągnęło wszystko.

Droga do Wawelu, dziedzińce zamkowe, bramy, mury, wszystko już lud zalegał gęsto.

Do kościoła ledwie dostojniejszych wpuszczano. Rycerstwo musiało cisnących się powstrzymywać, a krzyki stłumione słyszeć się dawały co chwila.

Biskup Florjan wyszedł przed ołtarz wielki, rozległy się pieśni i razem z nim do wszystkich, ile było ołtarzy w świątyni, czekający zbliżyli się kapłani, niekrwawą składając za duszę pana ofiarę.

W pośrodku kościoła na dwóch srebrnych misach leżała kupa groszy, z których każdy brał, ile chciał, i składał przy ołtarzu za duszę pańską, na modlitwy. A że w ścisku nie każdy mógł do ołtarza dojść, wyręczało rycerstwo, które służbę żałobną sprawiało.

Szli też owi, co mary otaczali, słudzy i urzędnicy nieboszczyka króla, niosąc każdy dań za duszę jego do kościoła, a były one tak obfite i kosztowne, jak wielki był żal po ostatnim Piaście.

Nabożeństwo ku końcowi się miało, gdy od drzwi lud odtrącać poczęto, aby się obrząd wedle tradycji i obyczaju rycerskiego dokonał. Wjeżdżał na koniu nieznajomy ów, który osobę króla wyobrażał, z przyłbicą spuszczoną; za nim konia powodnego przywiódł podkomorny, a tuż poczęli, po kamiennej posadzce tętniąc kopytami, wjeżdżać chorążowie, jeden za drugim.

Była to chwila najboleśniejsza, gdy u stóp mar królewskich chorągwie naprzód królestwa onego, potem wszystkich ziem kruszyć i łamać poczęto.

Thumiony płacz ozwał się jękiem i rykiem; chrzęst kruszonych drzewców, rwanie się przestraszonych koni, krzyki tłumu, śpiew księży, wszystko to razem zmieszane w jeden głos dziki i straszny, najtwardszych ludzi dreszczem trwogi i szaleńcem przejmowało.

Zapominali się niektórzy, iż w kościele byli, wielkiemi zawodząc głosami, ręce podnosząc do góry. Ponad szmer i łkanie wzbijały się wyrzekania.

Król Ludwik słuchać już dłużej nie mógł wyrazu tego żalu, razem z rodziną i dworem usunął się z kościoła, na zamek powracając. Na Węgrach i na nim znać było jakby obrazę i gniew, że takimi żałami przeszłość grzebano, jakby już żadnej przyszłości nie było.

I mógł zaprawdę nowy król pomyśleć sobie, iż przy największem o swych dwu państwach staraniu, nigdy tego królestwa nie pozyszcze sobie tak, jak zmarły, ani mu go zastąpi...

Z jękiem i płaczem zwolna wylewał się lud i wszyscy pogrzebu uczestnicy na podwórce. Stali tu u drzwi kościelnych, pod murami, na drodze, nie mogąc jakby porzucić grobu tego i rozstać się z nim. Zewsząd dokoła tylko pochwały zmarłego i srogie żale po nim słyhać było.

Starzy słudzy pańscy rozsypywali się, niepotrzebni się czując, bo król i stara Elżbieta już się nowymi otaczali. Mało kto z Kazimierzowych miał przy nich pozostać.

Zawczasu ci, co zgon Kazimierza przewidywali, zbiegli do Budy, starej pani i synowi jej niosąc pochlebstwa i zalecając służby pokorne.

Co było lepszego, stało na uboczu, nie myśląc o sobie, zabieglejsi wcześniej miejsca zajęli. Z dawnych ulubieńców i przyjaciół króla ledwie kto miał przystęp do zamku.

Najbardziej niezadowoleni byli Wielkopolanie. Ci, pewnego razu po pogrzebie w izbie skupionej jednego z domostw krakowskich zebrawszy się, gwarzyli przy kubkach nad sprawami narodowymi.

A byli tam: Moszczyc stary, Oswald z Płonikowa, Przedpełk ze Staszowa, pan Stefan z Trłąga od jeziora i Wyszota z Kurnika, i Nałęczów dwóch: Lasota, zwany Mrukiem, i Dersław z Wielkopolski.

— Ja przy swoim stoję — mówił Dersław. — Nieboszyk król pan był złoty, serdeczny, prawy ojciec nasz, Panie Boże, daj mu chwałę wieczną, ale że wkońcu pobłądził, to pewna. Wiele uczynił dla korony tej, bo któż nad niego więcej? alisci miał ją dożywotnią w opiece, i nią, jak suknią, rozporządzać nie mógł. Dokuczała mu siostra, aby ją synowi jej dał, nie dali spokoju, osaczali, męczyli, puścili ją na Węgry. Ależ nie on ostatnim Piastem był, a korona to piastowska. Łoktkowe państwo nie było — Piastów było. Toćbym wolał Mazura na pana, choć szepleni, wolałbym którego ze Ślżaków, wolałbym Kaźka, wnuka nieboszczyka, którego on sam wychował, wolałbym Władysława Opolczyka, niż tego Węgry Francuza, któremu my śmierzdim i on nam.

— O! o! o! — odezwał się ktoś z kąta głosem grubym — tylko nie Opolczyka! Niemiec jest, choć Piast, jak śląscy. Już się to przekabaciło zupełnie.

— Pan rozumny — wtrącił ktoś.

— Ale rozum ma nie nasz — rzekł Przedpełk. — Gadajcie, co chcecie, rozum nie jeden jest; co mi po niemieckim rozumie?

— Każko — przerwał stary Oswald — serdeczne chłopię, ale wątle, ja go znam. Do wszystkiegooby się rwał, a przy niczem nie ustoi.

— Co tu gadać o tych Piastach! — wtrącił Wysota z Kurnika. — Ja wam powiem jedno: Opoleczyk z Ludwikiem będzie trzymał, to jedna wiara; gdyby mu dawać koronę, nie zechce. Woli spokojne księstwo, a walka długa, nie jego rzecz. Każko też, byle Dobrzyń miał, tego mu dosyć, a nawykł Elżbietę i Ludwika szanować. Mazur, choćby Litwę do siebie ściągnawszy, mógł się wyżyć, nie zechce, boby go krzyżakami nastraszone, a Węgry-by mu Mazowsze jego plondrowali, o które stoi. Dla mnie jeden jest tylko, coby go można wziąć i poszedłby.

Wszyscy nań spojrzeli.

— Kto? kto? — poczęli pytać.

— I Piast, i bliski, i taki człek, co nie do stracenia nie ma. Taki pójdzie najłatwiej, gdy mu lada nadzieja zaświeci.

— Któż? — zaczęto naglić.

Wysota dał im czekać i odgadywać, głowę tarł, niepiłno mu było odkryć, o kim myślał. Wreszcie zamruczał:

— A no Biały, Gniewkowski.

Dersław ręką zamachnął szeroko.

— Toć go postrzygli, mnich jest, co nam po nim! — zawołał.

— Mnich! jakby to Kazimierz Odnowiciel też mnichem nie był. Papież go ze ślubów zwolni dla korony.

Milczano trochę.

— Kto z was Białego lepiej znał? — mruknął, zwracając się ku starym, Dersław.

— Jakbyś nie wiedział — odparł Moszczyc — żem ja u niego kasztelanem był, a Oswald (wskazał na siedzącego obok) też mu urzędował. Nie tak ci to stare dzieje, lat parę dziesiątków. Nikt go nad nas lepiej nie zna.

Milczano słuchając, a stary Moszczyc, jakby chciał się namyśleć, co dalej powie, kubka nachylił i powoli wino z niego ssał po kropelce.

— O tem Białem książątku — zaczął tymczasem Dersław — tak różne wieści chodziły, tyle o niem prawiono, że nie wiedzieć, czemu wierzyć. Ze wszystkiego, com słyszał, on mi się nie wydaje lepszym od drugih.

— Ani lepszy, ani może gorszy od drugih — przerwał stary Moszczyc — ale do żadnego innego niepodobny; kto wie, coby z niego było, gdyby mu siłę dać i gdyby nad

nim słońko zaświeciło. Z człowiekiem, bracie, jak z drzewem: może być kołkiem w płocie i osadą chorągwi.

Dersław głową potwierdził i uśmiechnął się.

— Tak, prawdaby to była, gdyby człowiek kłosem był, a nie Bżem stworzeniem, które ma przecie wolę i rozumu trochę. Ale no, kiedy go znacie, prawie nam, co on za jeden ten Biały, dobrze to wiedzieć na wszelki raz.

Wszyscy się obejrżeli na Moszczycę, który, splunawszy, mówić się gotował.

— To przecież wiecie — odezwał się, — że dziad jego, Ziemomysł, był Łoktka rodzonym bratem, ale brat w brata nie wszyscy do siebie podobni. Siedział spokojnie na małym Gniewkowie i mało o nim słyhać było. Synów miał trzech, którzy się jego spuścizną, Bydgoszczą, Gniewkowem i Inowrocławiem, podzielili, ale dwu zmarło bezdzietnych, a Kazimierz tylko Gniewkowski dwoje, syna tego, od włosów nazwanego Białym, i córkę, którą wydali za bośniackiego króla, zostawił. Teraz tej Elżbiety córkę, a siostrzenicę jego, wziął ten niby nasz król Ludwik, Biały z początku na swajem dziale siedział.

— Wyście mu wówczas kasztelanowali — dodał Dersław.

— Takei było — uśmiechnął się Moszczycę. — bo choć księstwo niewielkie dzierżał, ale dwór chciał mieć liczny i nie gorszy, jak drudzy. Jam był kasztelanem, byli i podkomorzowie, i marszałek, i podezaszowie, i kanclerz, i wszystkie urzędy dostojęństwa. Siostra została królową, brat też wysoko patrzył. Naturę miał dziwną. Jakby dwóch ludzi w sobie nosił. Podezas bywał spokojny, cichy, gnuśny niemal, niepragnący nic, obojętny. Robili koło niego, co chcieli, słowa nie rzekł. Nagle przychodziło coś nań, jakby go owad zły pokąsał. Budził się z tego zasnania, rwał, targał, byle czem jątrzył, z całego świata nierad był. narzekał i życie sobie zbrzydzał.

Narzucawszy się tak, nakrzyeczawszy, napadło go nabożeństwo, skrucha, żal, łzy, zwątpienie, obrzydzenie świata i ludzi.

Potrwało to czas jakiś, wracał do życia, więc gotuj łowy, dostawaj psów, zbieraj ludzi: dzień i noc w lesie, aż sił zabrakło. Bywał wesół i potrzebował koło siebie ochotczych, to znowu smutny, jak noc i w komorze się zamykał. Na dworze jednego dnia ksiądz miał pierwsze miejsce, potem łowczy, nareszcie lada błazen, który go śmieszył.

Widziałem go w takim gniewie, że oszczep za ludzi mi rzucał, to znów dobrym, choć do rany przyłożyć.

Zamłodu uczył się dosyć i mówiono, że umiał tyle, co książdź. Sam sobie z pergaminów czytał, lektora nie potrzebując. Po polsku mówił, po niemiecku, bodaj po łacinie i po włosku. Wszystko było w nim, bo i twarz, i postać miał piękną, tylko — statku nie było. Prawdę rzec, grała w nim wielka krew, wielka pycha, wielkie żądze, których uspokoić czem nie było. Los go drażniąc, takim uczynił.

Gdy go wreszcie ożenili, myśleliśmy, że uspokoi się, gniazdo uściele i siedzieć na niem będzie, nie pragnąc więcej.

Żonę wziął młodziutką, śliczną, wesołą, jak dziecko, a że się oboje miłowali, zdało się, iż raj z nią przyszedł.

Włodek się zmienił, stał dobrym, i przy jej krosnach i kądzieli ustawicznie siedział. Śpiewała mu, słuchał; opowiadała, radłował się każdemu słowu, przepadał za nią. Za próg dworu od niej odejść ni odjechać nie chciał, prawie go wypędzać musiała.

Jak we wszystkim gwałtownym był, tak i w kochaniu, a myśmy tylko cicho szeptali:

— Daj, Boże, aby mu się i to nie przejadło.

Księżna, jak piękna i świeża, tak bardzo wątła była. Niewiadomo z czego wkrótce zaczęła blednąć i słabiec. Przestraszony książę słał do Krakowa po mistrza Mateusza, ściągnął drugiego od brandenburskiego księcia. Dali jej ziele jakieś pięć.

Tymczasem coraz było gorzej a gorzej. Miłość męża jeszcze rosła, ona też i żyć i miłować go chciała, ano, przeciw woli Bożej ani lekarze, ni modlitwy nie pomogą.

Zwiędło nieboraczatko, jak zwarzony kwiat... umarła.

Książę z żalu niepomiernego prawie oszalał. Przytąpić doń, słowa rzec nie było można, przytomności zbył. Baliśmy się, aby sobie czego złego nie uczynił. Posłano cichaczem po Alberta, księcia strzeleckiego, ojca nieboszczki. Przybył on, ale ani ten, ani żaden człowiek, mocy nad nim nie miał.

Po pogrzebie przywdział szaty żałobne, zamknął się, począł modlić, księżmi otoczył. Nic mu już nie było w smak, mówił, że życie zbrzydło, począł prawić, że dla niego tylko klasztor został i cela mnisza.

My, cośmy go zdawna znali, wiedzieliśmy, że się to jeszcze zczasem wszystko odmienić może. Tak się i stało.

Wszyscy żal nad nim mieli. Był mu przyjacielem zdawna

i od niego ulubionym, Bodeza. starosta w Drdzeniu. człek już niemłody. który synów kilku i jedną młodzieuchną córkę miał.

Widząc go tak śmiercią żony zgnębionym. poczał Bodeza do niego dojeżdżać. to sam. to z synami. aby go rozewrać i pocieszyć. Ciągnęli go z sobą prawie gwałtem, na łowy, na turnieje różne. zapraszali go do Drdzenia. gdzie czasem po dwa i trzy dni utrzymać go umieli.

Córeczka też. Bodezanka. młode dziewczę. piękne bardzo. wychodziło doń, gdy u stołu siedzieli: posługiwała. śpiewała, szczebiotała. Książę. choć po żonie rozpaczał, a na niewiasty ani spojrzeć nie mógł. dla wielkiej boleści wspomnienia tej. którą utracił. przecie Bodezanki Frydy owej pieśniom się przysłuchiwał rad i płakał. słuchając; mówiono. że jej pierścień darował, a ludzie szeptali. iż dziewczę się w nim więcej rozmiłowało. niż było potrzeba. Bo książę pono ani myślał o niej.

Ale że mu w Drdzeniu było lepiej. niż w Gniewkowie. bo tam o swej stracie zapominał. dawał się do nich wyciągać. Myśmy prorokowali wówczas. aby bodaj dziewczki starości nie wziął.

Tymczasem się inaczej stało. Poszedł zatarg o lasy nadgraniczne. Cheiano mu je oderznąć, aktami dowodząc. że do księstwa nie należały. Sporu to nie było warte, bo lasu miał dosyć i na drzewo i do łowów, a mało o to zdał się dbać. Lecz pod złą godzinę ktoś mu podszeptał. że Staszko Kiwała, sędzia kujawski. granicę samowolnie na sosnach zarębywać każe.

Książę, usłyszawszy to, rzucił się. jak rażony. Konia poczał wołać. oszczep pochwycił. ludziom kazano wszystkim się zbierać i na granicę. Gdyśmy zobaczyli, jak wyruszał z podwórca, koniowi ostrogi w boki wraziwszy, prosiliśmy Pana Boga. aby sędziego gdzie nie napotkał, a właśnie Kiwała z kaliszzanami wistocie sosny znaczył i kopce sypał.

Puścił się nań, zobaczywszy go, książę, łajając odrazu i bezczeszcząc. Kiwała, jak był mocen swem prawem. nie ustąpił. Odparł księciu, że on tu króla osobę na sobie ma. A ten, nie czekając, oszczep podniósł, cisnął i w samą pierś go trafiwszy, w miejscu trupem położył.

Dopiero gdy krew trysnęła i martwy padł, a ludzie, co z nim byli, uchodzić zaczęli, książę osłupiał i poznał, że źle uczynił. Zawrócił konia, o granicę już nie dbając, i pół żyw, na siodle ledwie mogąc usiedzieć, do Gniewkowa powrócił.

Położyli go do łóżka. Kazał księży zawołać i nieustannie msze za duszę Kiwały odprawiać.

Tymczasem do Krakowa doniesiono, co się stało. wdowa Staszka pojechała ze Izami do króla, wojewoda kaliski wziął się. Król kazał pozwać księcia przed się. a groźno.

Chciał Włodek zrazu jechać. zerwał się, potem został. Dzień i noc po izbie się tłukł. sam do siebie gadając, to na ławę padłszy. to na łożo, to w kącie mruczając, to okna odsuwając. aby powietrza wpuścić, to ognia paląc.

Naostatek księdza Jeremie, kapelana, który u niego kanclerzem był razem. zawoławszy, z listem go do króla Kazimierza odprawił i nagle się uspokoił. Z czem pojechał, nie wiedział nikt. bo Jeremie pod przysięgą nakazał słowem się nie zdradzić nikomu.

Dosyć prędko powrócił posłany. aż zaraz wieść gruchnęła, której zrazu nikt wierzyć nie chciał. że książę, swoją dzielnicę królowi za kilka tysięcy grzywien sprzedawszy. sam rzuca na zawsze kraj i do Ziemi świętej iść chce, a potem bodaj do klasztoru.

Popłoch się stał. nikt wierzyć nie chciał, a no prawda była. Natychmiast poczęto do drogi wszystko sposobić. sprzedawać ruchomości, inne książę rozdawać począł; koni siła i sprzętu Bodezy do Drdzenia posłał.

A tak mu Gniewków i nas pilno było opuścić, że najmniejsza zwłoka do szalu go drażniła i gniew wywoływała. Dzień i noc gotowano konie i ludzi, choć wiele ich z sobą nie brał, bo kosztu chciał uniknąć. Czterech młodych dworzan i mało co więcej pacholców od koni było mu na teraz dosyć.

Suknię sobie pielgrzymią czarną, z krzyżem na piersi dał szyć. Na piersi też i na helm krzyż wziął i, obdarzwszy niektórych, drugich jakby znać nie chcąc, w świat pociągnął. Tu się dopiero wydało, jak owa Fryda ze Drdzenia rozmówiana w nim była. bo gdy już w podróż wyruszywszy, do Bodezy zajechał, a zegnali go, powiadali, że padła, jak nieżywa.

Ale o tem pono Biały nie wiedział, bo go inni obstarpiłi, a rodzina dziewczynę zakryła, sromając się tej miłości jej.

Tu Moszczyc spoczął trochę, winem usta odwilżył i po chwili westchnawszy, ciągnął dalej:

— Co się z nim potem działo, tylkośmy od ludzi wie dzieli i to nierychło. W początku, jako w wodę był wpadł: dopiero gdy z Ziemi świętej wrócił, Kaczka Jurek, który

z nim aż tam był, odprawiony do domu się przywłókł i począł rozpowiadać, ile doznał utrapienia, niewygód, różnych niebezpieczeństw, i jak za łaską Bożą cudem się dostał napowrót, gdy już nigdy się nie spodziewał swoich widzieć.

Książę wprost dojechał przez niemieckie ziemie aż do na morzu zbudowanego miasta Winedźji, o którem Kaczka cuda opowiadał, iż tam domy w wodzie stoją, a ludzie, zamiast wozów i koni, czółen używają kirem obitych. Stąd na statek wielki siadłszy, za morze się puścili, a burza sroga miotła nimi długi czas tak, że tylko śmierci już wyglądali, gdy cudem wyrzuciwszy w morze jednego złego czarownika, który na okręcie był i wszystkiego stał się przyczyną, wnet się ono uspokoiło i na ląd się dostali.

Jak potem po tej Ziemi świętej o wielkim głodzie i skwarze, często garścią maki, figami i suchemi owocami żyjąc tylko, na osłach, wielbłądach i pieszo całą pielgrzymkę odbywali. Grób Zbawiciela i kolebkę i wszystkie miejsca święte pobożnie zwiedzając, cało wyszli, choć ich rozbójnicy ścigali, i choroby z wody tamtejszej i upałów trapiły, ani spamiętam dziś.

Dosyć, że książę, napowrót statku dostawszy, znowu do owego miasta w morzu przybył, i stamtąd na cesarski dwór do Wiednia ciągnął.

Kaczka powiadał, że niepewien był jeszcze, co z sobą uczyni. Jednego dnia się do klasztoru wybierał, drugiego rycerskie rzemiosło przekładał. Z księżni obcując, ich obyczaj przybierał, trafiwszy na ludzi innego rzemiosła, do nich się garnął. A że na dworze cesarskim tak jak powinowatym był, spodziewał się tu może wielkiego losu. Zawiodły go pono nadzieje, gdyż rychło się na nim poznano, że jak był serca wielkiego, dumy znacznej, tak statku żadnego.

Przechyliła się jakoś waga ku rycerskiej sprawie. Może też szukając, co lepszego dlań było, w krzyżackim zakonie razem i mniszy habit, i orężne rzemiosło myślał znaleźć.

A że podówczas właśnie z całego świata ochotnicy się zbierali do Malborgu, na wyprawę przeciwko Litwie, postyszeliliśmy nagle, że nasz książę tu przybywa.

Kaczka, dowiedziawszy się o nim, nie strzymał, i że go miłował bardzo, choć zobaczyć pragnął i pociągnął do niego.

Było to właśnie jakoś po tem, gdy Kiejstut napadł na Angerburg i grodek dobył, a okolice spustoszył strasznie. Chcieli krzyżacy odwetu, a że gości im naściągalo dosyć,

bo nawet z za morza, z Anglii jeden znaczny przybył, puścili się na Ejragołę i Pastów, gdzie i księżę był z nimi.

Wiadomo, jaka to ta wojna Litwy z krzyżakami, gdzie nigdy prawie do boju nie przychodzi. Wpadnie Litwin na krzyżackie ziemie, spali, zniszczy, nabierze ludu i ujdzie: pójdą w odwet krzyżacy, toż samo czyniąc. Tak i tym razem było.

Ledwie księżę zwyciesko wrócił z tymi Anglikami, a może zamyślał do zakonu wstępować, bo pono się już o to z mistrzem układał, gdy wieść przyszła do Malbörgu, że Kiejstut z Olgierdem i Patrykiem, mszcząc się za Ejragołę, około Ragnedy ogniem i mieczem przeszli, a pochwyciwszy jednego rycerza krzyżaka, podobno Hensla z Neuensztejnu, jako stał we zbroi na koniu, bogom swoim na ofiarę żywcom go spalili.

Dopiero księżę, gdy się o tem dowiedział, myśleć począł, że na podobną śmierć narażać się nie było rozumne dla cudzej sprawy. Krzyżacy go też bardzo nie trzymali za poły, bo, oprócz książęcego imienia, mało co im z sobą mógł przynieść.

I tak znówu nasz księżę od krzyżaków ruszył w świat.

— Trudno mu snąć miejsca zagrzać! — szepnął Dersław.

— A niebardzo się temu i dziwić, że krzyżaków nie pokochał — dodał Moszczyc. — Jechał pono do Awinjonu do papieża, od niego się tam czegoś spodziewając. Tu go też nie przyjęto, jako pragnął. Znużywszy się, z namowy mnichów cystersów udawszy się do którego ich klasztoru, do zakonu ich wstąpił.

— Myśmy bo słyszeli, że benedyktynem został — rzekł Dersław — choć między szarą a czarną suknią różnica niewielka.

— A no poczekajcie — rozśmiał się Moszczyc — i do benedyktyków trafimy.

Imi milczeli, potrząsając głowami; losy te księcia, na którym nadzieje jakieś zdawano się pokładać, niebardzo się podobały tym, co mu dobrze życzyli.

— Co za dziw, że u cystersów nie strzymał — wtrącił Przedpek — zakon bardzo surowy, a ludzie nie względni. Przecie dla takiego, jak on, winni byli coś uczynić.

— Nie wiem, jak do tego przyszło — mruknął Moszczyc, — ale pono siódmego miesiąca księżę z klasztoru, w którym już pierwsze był złożył śluby, uszedł do benedyktyków do Dyżonu, gdzie go, przywdziewającego już

nowy czarny habit, napędzili cystersi, gdy przysięgę miał składać.

Słyszałem, że się wielki spór wszczął niemal przy ołtarzu, bo cystersi gwałtem zbiega odbierać chcieli, a benedyktyni go bronili. Mnichy się skłócili, ale ci, co na swoim gruncie, a liczniejsi byli, zwyciężyli. i księżę u św. Benedykta po dziś dzień pozostał.

Gdy Moszczyc dokończył, milczenie panowało długie, Dersław dziwnie głową potrząsał.

— Nie wiem — rzekł wreszcie — czy na biednego, skołatanego tyłu wypadkami, zniechęconego do życia, liczyć nam co można. Mnich nie mnich, jużby go nam papież oddał, gdyby pięknie poprosić, ale co nam po takim człowieku!

— Nie mówcie tak gorąco — wyrwał się Przedpełk ze Staszowa — właśnie człowiek, jak on, najlepszy dla nas, bo nam wszystko winien będzie. Po świecie się kręcił, prawda, miejsca nie zagrzewał, bo mu nigdzie los nie dopisał. Cóż miał czynić?

Stefan z Trłaga toż samo począł.

— Mężny jest, to wszyscy świadczą; krew piastowska w nim. Czego więcej chcecie?

— A no — rzekł Dersław — przy krwi tej jabym i głowy chciał piastowskiej. Wiemci, że o innego Piasta trudno, alebym już Kaźka wolał.

Drudzy się podnieśli i zakrzyczeli.

— Temu złote góry dawajcie, to go nie zwabicie. Ujął go już Ludwik, jego on jest, a o koronie ani myśli.

— I niema drugiego, krom tego — dokończył Przedpełk.

Zadumał się Dersław.

— Czasu dosyć — rzekł, dziś się to odgaduje tylko, a stanowić za wcześniej. Na Ludwika się porwać z lada kim i lada czem trudno.

— Wątpię — ozwał się po raz pierwszy, ale gorąco, milczący dotąd i słuchający z uwagą Lasota Nałęcz. — Wątpię ja, abyśmy z królem Ludwikiem, a on z nami do ładu przyszedł. Pan dla Węgrów, dla Dalmatów i Włochów może taki, jakiego im potrzeba, a nam się nie zdał na nic. Zobaczycie...

— I my tak sędzimy — zwracając się ku mówiącemu, odezwał się Przedpełk. — My, co nas jest Wielkopolan, tego małopolskiego, krakowskiego króla nie chcemy. A gdy my poczniemy, to i Małopolanie się opatrzą. Króla nam trzeba,

cooby u nas mieszkał, z nami żył i nas rozumiał. Ten niechaj sobie do Włoch ciągnie, aby mu cieplej było... my innego w kożuchu sobie wyszukamy, co mu też nasze kożuchy śmierdzieć nie będą!

Gwar się stał i śmiechy.

— Ino poczekajmy a rozpatrzmy się — powtórzył Dersław. — Tego, czy innego wybierzemy, a kogoś mieć musimy i takiego, żebyśmy go już mieniać nie potrzebowali.

Poczęli tedy drudzy z miejsc powstawać, żegnać się i wychodzić, a Lasota sam na sam z Dersławem na górze pozostał.

Wkrótce potem niechęć Wielkopolan ku królowi Ludwikowi jeszcze bardziej wzniecić się miała, kiedy król, wbrew odwiecznemu obyczajowi, wojewodą wielkopolskim naznaczył Małopolanina, Ottona Toporeczyka z Pilicy. Zaczęli tedy oglądać się za Piastem. Dersław i Lasota pojechali do Płocka do Ziemowita. Ale ten ani myślał ubiegać się o królestwo. Wysłano więc poselstwo po Władysława Białego, do Dyżonu, w ziemi francuskiej, zwanej Burgundją. Na czele poselstwa tego stali: Przedpełk ze Staszowa, Szczepan z Trłąga, Wyszota z Kurnika, oraz Lasota Nałęcz.

W chwili, gdy stolica Burgundji, którą jedni z francuska Dijonem, drudzy z łacińska Dywionem zwali, pokazała się wreszcie oczom, długo się już tęsknie jej wpatrującym, gdy przewodnik Francuz pokazał im najwyższą wieżę kościoła św. Benigna, przy którym był klasztor benedyktynów, a w nim ów ksiązę, wygnaniec dobrowolny, nadzieja Wielkopolan, wszyscy oni posmutnieli.

Losy ich poselstwa wpręde się rozstrzygnąć miały.

Każdemu z nich teraz stanęły trudności zadania, od czego począć, jak postąpić.

Przedpełk pierwszy przeżegnał się, znakiem tym wzywając niejako opieki Bożej, za nim poszli drudzy.

Jadący przodem na mule coraz pośpieszał, oglądając się na nich, i tak ich aż do wrót doprowadził.

Stała w nich straż miejska, lecz że dzień był gorący, a czasy spokojne, na przybywających niewielką zwracała uwagę.

Wyszedł, przecierając oczy, zaspany człek, w półzbroi, z halabardą a boso, posłuchał, niewiele zważając, co mu mówiono, i ręką im pokazał na miasto.

Przewodnik zawiódł ich do dobrej gospody niedaleko św. Benigna, o której opowiadał, że równej sobie nie miała.

zwłaszcza piwnicę, gdy tam zamkowa dwornia uczęszczała. Gospoda była pod znakiem Złotej tarczy i szlachta a rycerstwo stawało w niej.

Wistocie nad szeroką, otwartą bramą domu rozległego, przez którego okna widać było ogień rozpalony we wnętrzu, wisiała tarcza wyłaczana. Opasły człek, rumiany, jasno ubrany, w czarnym berecie na głowie, stał u wrót, jakby na podróżnego czatując, chociaż gospoda próżna już nie była. We wrotach ludzi zjawiało się dużo, z okien buchał gwar.

Pozsiadali wszyscy z koni i, oddawszy je służbie, która do stajni prowadziła, sami weszli do wielkiej izby gościnnej, bo innej wówczas, nad wspólną dla wszystkich, nie miano.

Wszyscy się im ciekawie przypatrywali.

W głębi izby, starym obyczajem, pod oczyma gości była kuchnia. Mogli być świadkami, jak się dla nich przygotowywało jadlo i za wczesnie nasycić jego wonią. Skwar i zaduch, mimo okien otwartych, panował wielki, a i wrzawa przy stołach nie mniejsza. Znaczniejsza część gości już była skosztowała doskonałego wina, którem gospodarz słusznie był dumny, języki rozwiązały się i głosy spotężniały, a miarkować ich nikt nie myślał, bo w gospodzie każdy panem i wszystko wolno.

Żołnierze zamkowi, właściciele winnic i posiadłości z okolicy, nawet księży kilku znalazło się za stołami.

Wśród tego natłoku nikt z przybyłych, gdy się ze zbroi rozdzielali, pasów popuszczali i mieścili na trwardych ławach, nie zważał na człowieka małego, pękatego, z dużą głową, jak kręgla, utuczona, a trocha lysa, z oczyma wielkimi i ustami szeroko rozciętymi, który od wnijsia podróżynych nadzwyczaj się im pilno i z wielkiem przypatrywał zdumieniem. Tak się zdawał zdziwiony i niemal przelekły, zobaczywszy ich, iż, usta wielkie otwarłszy mimowolnie, stał osłupiały, nie spuszczał już z nich oka.

Człek był lat średnich, spasy, ubrany osobliwie, bo miał suknię czarną i jakby mniszą, podpasaną skórzanym paskiem, a na nogach proste trzewiki bez pończoch, na boso wdziane.

Gdy podróżni nasi usiedli, człowiek ten, zwolna i nieznacznie kołując, tocząc się, podsunął jak mógł najbliżej ku nim i, ucho skierowawszy w ich stronę, choć udawał czem innem zajętego, pilno nadśluchiwać zaczął.

Przedpełk z Wyszotą mówili z sobą dosyć głośno po polsku; jakiś wyraz doleciał do uszu ciekawych i mały człek drgnął, zaśmiał się. ręce mu tłuste i mięsiste mimowolnie się złożyły jak do modlitwy. twarz zwróciła ku przybyłym. Z wyrazu jej wnosić było można, iż jakaś nadzwyczajna szcześliwość całą jego istotą wstrząsała. Uśmiech, który wszystkie zęby białe i gęste obnażył, rozlał się po policzkach, czole, zmienił tę pyzată twarz w promieniejący obraz zachwycenia. Ktoby go był naówczas zobaczył, sądziłby, że miał widzenie niebieskie.

Chwilę postawszy, nagle rzucił się do najbliższej stojącego Wyszoty, pochwycił rękę jego i, nie nie mówiąc, całować ją począł. Łzy mu na nią strumieniem z oczów płynęły.

Wyszota patrzył nań, nie rozumiejąc, co to znaczyć mogło i czego chciał ten napastliwy człeczyna. gdy z ust tego wyrwało się:

— Boże miłosierny! nasi! nasi!

Po polsku wymówione wyrazy te wszyscy usłyszeli i obrócili się ku niemu.

Tłusty ów człek począł się dwoma kulakami bić po piersiach, śmiać się i wołać:

— A toć ja jestem Buśław... Buśko! a toć ja z tamtych, co i wy! Ach! Boże, myślałem, że nie dojdę, gdy m tę mowę posłyszał. Niema na świecie takiej muzyki, jak ta mowa. Miłościwi panowie, przez rany Zbawiciela, mówcie jeszcze, abym słuchał. Skąd wy tu? skąd? skąd?

— My? my? — odparł Przedpełk, zbliżając się — co my... ale ty skąd się tu wzięłeś u licha?

Śmiejąc się, ruszył ramionami mały, jak gdyby litował się temu zapytaniu.

— Ależ ja jestem Buśko! Buśko! a któż nie wie o Buśku? Boże miłosierny!

Spojrzeli po sobie wszyscy, ale o tym Buśku nikt nie wiedział i nie słyszał. Wyszota tylko domyslać się począł i wpadł na przypuszczenie, że chyba z Białym tu przywędrował. Tylko trudno było posądzać księcia, aby tak niepozornego, prawie karłowatego sługę mógł sobie upodobać. za sobą ciągnąć i zatrzymywać. Rzekł tedy Wyszota:

— Słuchaj i miej rozum... Żaden z nas o Buśku nie wie. Kat cię zna. skądeś się tu wziął? Mów.

Buśko z wesołego stał się nagle dziwnie zaszepionym.

— A to mi miłość wasza śliczną rzecz powiadacie — zawołał — że już o Buśku nikt na świecie nie wie, że o nim, a chyba już i o jego panu wszyscy zapomnieli.

— A któż twój pan? — zapytał Przedpełk.

Ruszył ramionami oburzony Buśko.

— Mój pan — rzekł — a! a prawda! sam się wyrzekł dobrowolnie tego, czem był... dziś ma w zakonie imię Benigna... ale przecież słyszeliście o gniewkowskim księciu Włodzisławie? Tak! tak! to był... no i jest mój pan. Ja z nim aż za morze pływałem do świętej Ziemi i wszędzie, gdzie on był, tam ja byłem. Opuścili go ludzie, on się wszystkich wyrzekł, a mnie sobie wyprosił, że mi przy nim pozwolono zostać w klasztorze i czasem mu posłużyć, choć mnisi sług nie mają.

Tu westchnął.

— Buśka wszyscy dawniej znali, że on księciu bajki pisał i pieśni śpiewał. No i teraz w klasztorze, gdy nikt nie słucha, w wielkiej tajemnicy ja mu czasem starą pieśń półgłosem zanucę. Dla niego ja w tym przeklętym klasztorze się duszę, bo mi tu, jak w więzieniu, i nie wiem, jak ksiązę w nim wytrzymać może. On, co był księciem i panem, a tu lada mnich z nim za pan brat i gorzej, gorzej. Przyjdzie czasem opat... i ja tam nie rozumiem, co gada, ale z miny widzę, że nałaje. Ksiązę musi stać, słuchać, z rękami na piersiach złożonemi, ani mru-mru... jeszcze potem przyklęknąć i starego księdza w łapę całować.

Spoglądając po sobie, posłowie nasi porozumiewali się oczyma, ciesząc się z tego, że im traf owego Buśka następczy, a Wyszota się odezwał:

— Mybyśmy bardzo się księciu pokłonić chcieli.

— A no! czemuż nie — odezwał się ochoczo Buśko — ja i tak muszę zaraz powracać do klasztoru, bo, jak bramę zamkną, to nie puszcza, śpij, gdzie chcesz, pod murem; to darmo! Powiem księciu, że panowie są z Polski i chcą go pozdrowić, a jutro rano po nabożeństwie opat pozwoli.

— Trzebaż go o pozwolenie pytać? — zapytał Przedpełk.

— A jakże! — rzekł Buśko, głową potrząsając. — Oni na księcia nic nie zważają, słuchać tu każdy musi.

— I cóż wasz ksiązę rad ze swojego życia w klasztorze? — podchwycił Wyszota.

Buśko zrobił minę dwuznaczną i chwilę się namyślał nad odpowiedzią.

— Albo ja wiem — rzekł — ja od dzieciństwa księciu służę, a co w nim siedzi, nigdy nie wiem, takim go Pan Bóg stworzył. Są takie dni, że on zupełnie już zdaje się mnichem. Modli się, aż jęczy, bije w piersi, płacze, posługi pełni,

jak najprostszy człek, a potem... coś się w nim przewróci i narzeka, aż żal nań patrzeć. Czasem piosnkę gdy zaczę nucić, tupnie nogą, rękę podniesie: — Won mi! won mi! precz z tem pogaństwem. We dwa dni woła, drzwi zamyka i prosi: — Śpiewaj, zlituj się. Słucha, oczy zakrywszy i płacze. Czasem mu pozwalają wychodzić z drugim mnichem na miasto, za mury, gdzie stare drzewa... Spotka jadącego rycerza, to się odprostuje, ogień mu z oczów tryska, inny człowiek... skoczyłby na konia... a nazajutrz... dyscypliną sobie ciało porzeże, aż strach.

Byłby może Buśko opowiadał dłużej, gdyby głucho, zdala dzwonek się jakiś nie odezwał. Rzucił się żegnać, szybko mówiąc:

— Powiem panu o was... zmiłujcie się, nie jedźcie, nie widząc się z nim. Opat pozwoli.

Pokłonił się wszystkim z kolei, Wyszotę najbliższego w rękę pocałował i, jak kula, potoczył się, przedzierając przez tłum, a śpiesząc z powrotem do klasztoru.

Cela była dosyć obszerna, z jednym oknem, na ogród wychodzącem; znać po niej było, że na ród i pochodzenie tego, który się w niej zamknął, pewien wzgląd miano. Ale reguła, której zwłaszcza z nowiejuszami trzymać się musiano, nie dozwalała zakonnikowi mieć więcej nad jedną izbę, ani w niej sprzętu wygodniejszego nad pospolity klasztorny.

Łóżko twarde stało w jednym rogu, a przy niem klecznik z Ukrzyżowanym; u okna był stół okryty, na którym kilka ksiąg leżało, lampka włoska i drobnostek kilka z pobożnemi godłami. Na jednej ze ścian odmalowany na tle złotem modlący się św. Benedykt miał mnichowi przypominać jego powołanie.

W pośrodku izby tej nazajutrz zrana stał słusznego wzrostu mężczyzna, zbudowany silnie, szerokich ramion, w czarnym habicie zakonników św. Benedykta. Twarz jego piękna, blada, z postrzyżonym włosiem jasnym, z ram tej sukni mniszej wychodziła, malując się wyraziście na szarem tle murów celi. Rysy jej regularne, oczy niebieskie, duże i wydatne, czoło wyniosłe, usta zapadłe i ściśnięte stanowiły fizjognomję, uderzającą wyrazem, charakterem niełatwym do odgadnienia, lecz wcale z suknią i powołaniem zakonnika niezgodnym.

Namiętności gwałtowne całe to oblicze zmęczyły i porysowały niezatartemi śladami przejścia swojego. Coś po

nich zostało niespokojnego. podrażnionego. nieokielznanego jeszcze. Czasem, gdy czoło i oczy się zdawały ukołysane i roz pogodzone, w ustach poruszających się i krzywiących. jak gdyby gorycz je struła, ból, ironja, gniew burzyły się niepo hamowane.

Białe, z długimi kościstymi palcami ręce to habit na piersi targaly, to się przesuwaly po czole dummem. to zaci skaly się namiętnie. Chodził, stawał. przysłuchiwał się.

Być może, iż w ten stan podrażnienia wprowadziła go wczoraj przez Buśka przyniesiona wiadomość. iż jacyś polscy panowie przybyli do Dijonu i że się dawnemu księ ciu, dziś mnichowi, pokłonić cheieli.

Usłyszawszy to, Biały rzucił się poruszony i przejęty.

— Jakto? — zawołał — więc tam jeszcze nie zaponi niano o mnie? Wiedzą i znają? pamiętają?

Buśko od rana ezatował przy bramie. aby tych gości pożą danych wprowadzić; dano mu rozkaz taki. Opat był uwiadomiony; nie obawiał się on i nie domyslał nic; nie sądził, aby potrzeba było wzbraniać księciu pociechy widze nia ziomków swoich. Może pamięć na to, iż zbyt nia suro wość cystersów wygnała go stamtąd, czyniła opata łago dniej szym.

Posłowie, przyodziawszy się pięknie, poszli z rana do katedry wysłuchać mszy świętej i dopiero po niej stawili się u furty opactwa.

Buśko, tak nędznie przyodziany, jak wczoraj, już tu na nich oczekiwał. Wprawdzie brat Izidor był wyznaczony. aby przy odwiedzinach, jako świadek, się znajdował, lecz nie śpieszono mu dać znać, gdyż język, w którym rozmowa się toczyć miała, bytność jego czynił zbyt czną.

Posłowie, których prowadził starszy Przedpełk z La sotą, razem weszli na próg celi, niskim ukłonem witając księcia.

Gdy ich zobaczył, na bladą jego twarz na chwilę ru mieniec wypłynął, oblał ją całą i zniknął.

Księżę stał nie jak mnich, ale jak Piast, który swoich wiernych ziemian przyjmuje. Jedną ręką o stół oparty, po stawę miał prawie dumną.

Po przywitaniu niecierpliwy księżę sam ich, nie cze kając, zagadnął:

— Cóż wy tu macie do czynienia? jakie was tu losy zagnały?

Wyrazy te wymówił po polsku, ale w ich dźwięku i pewnym przymusie a zająknięciu czuć było, iż się od

mowy tej odzwyczaili, że mu przychodziła z trudnością. Na nim samym uczyniło to przykre wrażenie, spuścił oczy.

— Długoby o tem mówić miłości waszej, jakeśmy się tu do obcego kraju dostali — rzekł Przedpełk — ale raz już będąc w Dizioń, chcieliśmy naszego Piasta nawiedzić i pozdrowić.

Twarz księcia pofaladowała się nagle.

— Piasta? — pochwycił — Piasta? Niema tu już, pod tą suknią — potrząsł mocno habitem, jak gdyby go chciał poszarpać — niema tu już ani Piasta, ani księcia, ale biedny sługa Boży, brat Benignus.

Skończył tu ciężkiem westchnieniem. Oczy jego przebiegły żywo po przybyłych, szukając znajomej twarzy czy jakiegoś przypomnienia.

— Z kraju, z Polski jedziecie! — zawołał — co słychać? Jak tam siostrzan mój? tak, boć siostrzenicę moją Ludwik poślubił, rządzi się u was, radzi mu jesteście?

— Król Ludwik wcale u nas nie rządzi — przerwał Wyszota — nie ma na to czasu. Więcej pono zajęty Włochami Neapolem i Węgry... niż Polską. Stara królowa u nas panuje za niego.

Ton, jakim to wymówił, więcej znaczył, niż słowa.

Książę zrozumiał go, pół uśmiechu gorzkiego przebiegło mu po ustach.

— A w Gniewkowie, w Złotorji kto siedzi? — spytał.

— Starostowie — odparł Przedpełk — księstwo wasze na króla idzie.

Ręka księcia, sparta na stoliku, zadrgała.

Przedpełk patrzył nań, jak w tęczę, badając wyraz twarzy i wrażenia, przechodzące po niej, których ukryć nie umiał.

Czas jakiś milezeli wszyscy, Lasota zebrał się na odwagę.

— Muszę miłości waszej — rzekł — pozdrowienie oddać od starego Bodezy z Drdzenka, widziałem go i rzekł mi: A gdybyście tak księcia mojego Władysława spotkali, pokłon mu oddajcie i mówcie, że my go nie zapomnieliśmy, tęsknimy za nim.

Książę, cały zwrócony ku mówiącemu, zdawał się chcieć polykać te słowa. Zarumienił się, rękę do piersi przyłożył.

— Poczciwy Bodeza stary — zawołał — gdym najnieszczęśliwszy był po stracie żony, on jeden żal dzielił ze mną i w jego domu najmilszą miałem gościnę.

— Córka też jego, Fryda — dodał Lasota — miłości waszej ukłon zasyla.

Rzucił się mnich i krok cofnął, brwi mu się zmarszczyły.

— Fryda Bodeczanka — rzekł głosem zmienionym — ależ ta... dawno być musi komu poślubiona? Kto jej mężem?

— Nie ma męża — odparł Lasota. — Mówią, że wielu możliwym rycerzom, pomimo nalegania ojcowskiego, odmówiła. Dziewicą pozostała dotąd, a co dziwniej, tak jeszcze gładka jest i wydaje się młodą, jakby nie miała więcej lat dwudziestu.

Książę spuścił oczy, zagryzł wargi. rozmowa ta widocznie przykra mu była.

Przedpełk, Szczepan, Wyszota milczeli, zdawszy rozmowę na Lasotę, który, jak im się zdało, zrećźnie nią pokierował, wedle ich myśli.

— Stary Bodeza — dodał Nałęcz —choć wiedział, że miłość wasza wdzieliście suknię zakonną, wszelako, jak uważałem, całe nadziei się nie zbył, że miłość waszą zobaczy u nas. Mamy przecież benedyktyńskie klasztory.

Biały cofnął się aż do okna i wnet znów ku posłom się zbliżył.

— Radbym być jak najdalej, najdalej od was — począł namiętnie — aby przeszłość zapomnieć, bo ona wrócić nie może.

— Jako? jako? — wtrącił żywo Przedpełk. — Bóg jeden wie przyszłość. Król Ludwik, jak nasz nieboszczyk Kazimierz, męskiego nie ma potomstwa, a królestwo nasze nie pójdzie po kądzieli. Nie! Będziemy mu może Piasta szukać musieli!... Kto naówczas wie?

Biały z obu stron habit swój pochwycił i począł nim trząść.

— Ta suknią, kto ją raz włożył, do ciała przyrasta! — zawołał. — Nie można jej zrzucić.

— Przebaczy mi miłość wasza — odezwał się Wyszota. — Ojciec święty, zastępca Chrystusa na ziemi, może ze ślubów zwolnić i rozwiązać. Mielśmy tego przykład na Kazimierzu, na mnichu, który, tak jak miłość wasza, w zakonie św. Benedykta śluby złożył.

— Nie macie mi spokoju — przerwał gwałtownie książę — pokusami temi. Światam się zdradliwego i znikomego raz wyrzekł. Kusicielami nie bądźcie.

Przedpełk z wolna krok naprzód postąpił, rola mu się zdała przygotowaną i, czyniąc pokłon, odezwał się:

— Otóż czas miłości waszej wyznać prawdę całą.

Wistocie kusić przybyliśmy, ale nie z własnej naprawy, tylko od ziemi naszej wielkopolskiej, utrapionej wielce, upokorzonej, nieszczęśliwej. Pana potrzebujemy, Piasta chcemy... na waszą miłość oczy się obróciły.

Wielkie swe niebieskie żrenice wlepił ksiązę w mówiącego, zdziwiony, przełękły, zmieszany, drżący. Gdy Przedpełk umilkł, on odpowiedzieć nie mógł. Słychać było oddech przyspieszony, dyszenie ciężkie.

— Coście rzekli! — począł cicho — coście rzekli!... Ślub mój wiąże mnie, jak kajdany, a iść tam znaczyłoby to przeciw siostrzeńca, przeciw koronowanego króla. Nie godzi mi się.

— Papież rozwiąże sumienie... — rzekł Wyszota.

— Mylicie się — odparł Biały. — Ojciec święty we francuskich jest rękach, andegaweńskiemu domowi oddany.

— Na dziś jeszcze o porywaniu się przeciw niemu — rzekł Przedpełk — mowy niema. Tymczasem ksiązę odzyskałbyś swoją dzielnicę, gdy i Każko Szczeciński ją dostał, i Włodek Opolski wziął też na Rusi. Potem, gdyby godzina wybiła...

Książę uszy sobie zatknął. Na twarzy jego przestraszył się malował i wzruszenie nadzwyczajne; drżał cały.

— Szukałem tu spokoju — zawołał — w tych murach zdala od kraju, gdzie mnie żaden głos z niego dojść nie mógł. Żywy zamurowałem się w ten grób, a wy mnie z niego wyciągnąć chcecie, abym z mnicha stał się znowu pospolicym grzesznikiem i duszę zgubił. Precz ode mnie, kusiciele!

Odwrócił się; posłowie stali nieruchomi.

— Grzech miłości waszej — odczuwał się Wyszota — my rozbierzemy na siebie, niech tylko miłość wasza próśb nie odrzuca. Piasta nam potrzeba, aż tuśmy za nim przyszli; nie godzi się odpychać, co z prawa i z widomej łaski Bożej na was spływa. Mnichów, coby chwałę Pańską głosili, dosyć jest, a krwi Piastów nam braknie.

Książę to uszy zatykał, to słuchał, rzucał się w tym szczupłym kącie między stołem a oknem, to cofając się, to podchodząc, łamiąc ręce i uciskając piersi.

— Dość — rzekł — dość... na teraz już, proszę was, dosyć tej mowy. — Dajcie mi się rozmyślić, Bożego wezwać natchnienia, Ducha świętego pomocy. Idźcie z Bogiem, czekajcie... wezwę was.

Przedpełk dał znak towarzyszom. On sam i oni mieli pewne politowanie nad nieszczęśliwym, który był zmęczony

i poruszony straszliwie: pot kroplami występował mu na czoło, chwiał się na nogach, chwycił za stół.

Nie mówiąc nic, stąpając ostrożnie. posłowie zaczęli iść ku drzwiom. Pierwszy Lasota, co je powoli uchylił. spłoszył od progu przytulonego uchem do drzwi Buśka. który odskoczył, jak oparzony, i pędem zbiegł w drugi koniec kurytarza. Nie przeprowadzani już przez niego, zadumani, trochę smutni, wszyscy wysunęli się z klasztoru z bardzo różnemi myślami i domysłami.

— Nie będzie z tego nic! — zawołał, za furtę wychodząc, Szczepan z Trłaga.

— Któż ci to powiedział? — ofuknął Wyszota. — Owszem! Przysięgam gotów, że się rozmyśli. Gdyby nie chciał, nie kazałby nam czekać, dałby odprawę i zakazał powracać.

— A gdyby ją nawet dał — wtrącił Przedpełk — ja bym go nie posłuchał i kuś! powtóre, po trzecie... Owszem, jam dobrej myśli... weźmiemy go.

— I ja też tak sędzę — dodał Lasota. — Uśmiechnie mu się swoboda... Mówił, że suknia przyrasta; snuć mu cięży. Gniewków, jak Gniewków, nie skusiłby, ale więcej się czegoś spodziewać będzie.

Gwarzyli tak, powracając do gospody, gdy Buśko, ledwie ochłonawszy ze strachu, bo go na uczynku podstłuchu schwytano, zawrócił się, podbiegł znowu pode drzwi celi, postął chwilę przy nich, przeciągnął się i, otworzywszy je, wślizgnął się ostrożnie do środka.

Księżę klęczał przy łóżku, zatopiony w modlitwie, z głową spuszczoną, a rękami, nad nią wyciągniętymi. Słyszał czy nie, gdy się drzwi otwierały, nie poruszał się, nie obejrzał, modlił się. Ze znużenia na duchu osunął się zwolna ku ziemi i przysiadł. Modlitwa skończyła się zadumą głęboką.

Buśko stał i śledził każde poruszenie, którego znaczenie długi pobyt przy księciu nauczył go tłumaczyć.

Po pewnym przeciągu czasu Biały powstał nagle, odprostował się, przybrał postawę niewłaściwą mnichowi, ujął się w bok i, spoglądając ku drzwiom, zobaczył Buśka, który zdala próbował mu się uśmiechać. Nie odważył się jeszcze go zagadnąć.

Księżę, którego podpatrzył wśród walki dusznej, groźnie nań patrzył.

— Paneczku! paneczku! — eicho poczał od progu Buśko. — A co? a co? nie dobrych ja wam gości przy-

prowadziłem? Oni nas stąd chcą zabrać! Jak Bóg miły, dobrzeby to było! ach! dobrze! Skończyłyby się nasze męki.... Wróciłibyśmy panować do Gniewkowa. Co Panu Bogu po nas, kiedy my się do tej służby nie rodzili, ani książę, ani ja... Jabym wolał drwa rąbać w czystym polu, tu więzienie i niewola. Lada gbur przewodzi księciu, a mnie lada kleryk w kark tłucze i obchodzi się, jak z bydłem. Dlatego, że ja po łacinie nie umiem.

Złożył ręce.

— Paneczku... jedźmy z nimi! Popróbujemy szczęścia. Klasztor, no klasztor, kiedy już koniecznie ma być, to choć tam, w tej ziemi, gdzie nasi ludzie, a tu...

Książę marszczył się, słuchając.

— Milczcie mi! — zawołał.

Począł się po izbie przechadzać.

— Gdybym i chciał, nie puszcza mnie stąd — począł napół do siebie, wpół do Buśka, przy którym zwykł był mówić, co mu na myśl przychodziło. — Pokazują mnie tu, jak kość wielkołuda, co wisi w kruście, za osobiwość gościom swoim, chlubią się, że mają krew królów polskich w zakonie. Musiałem porzucić cystersów... jeżeli od benedyktynów ujdę, co powiedzą ludzie?

— Paneczku — żywo przerwał Buśko — a niech oni sobie tu gadają, co chcą, my ich stamtąd słyszeć nie będziemy. Kiedy po nas te pany przyjechały, jedźmy! jedźmy!

Książę milczał. Ośmielony Buśko zbliżył się do niego.

— Niech paneczek przypomni — rzekł cicho — te dni straszne, kiedy mu habit ciąży i piecze, kiedy w nocy zasnąć nie można, bo się Gniewków śni i Polska śni... Wiele to razy chcieliście boso bodaj i o kiju się stąd wyrwać? albo tak nie było? albo ja nie słyszał i nie widział? Lepiejże z nimi teraz jechać, niż gdy ich nie będzie, jęczeć i żałować.

Książę spojrzał nań pogardliwie, gniewnie, lecz nie odpowiedział nic, uczuł słuszość tych uwag błazna swego.

Przed wieczorem Buśko, posłany do gospody pod Złotą tarczę, nazad z sobą jednego tylko Przedpełka prowadził. Książę chciał z nim mówić sam na sam.

Stawił się powołany. Zastał Białego po walce odbytej, po rozmyślach, po wewnętrznych z sobą samym rozterkach, uspokojonym napozór.

Zobaczywszy wchodzącego, Biały podszedł uprzejmie ku niemu i odezwał się, jakby naprzód był przygotowany do tego.

— Rozważyłem, coście mi przynieśli. Nie mówię ani tak, ani nie. Mnie, złożywszy śluby, wyrzekłem się woli własnej, nie władam sobą. Mówcie z opatem, poddany mu jestem...

Przedpełk pomyślał mało.

— A jeżeli opat pozwolenia odmówi?

Biały zamilkł.

Milczenie było znaczącem. Przedpełk je wolał. niż odpowiedź.

— Dziś mam mówić z opatem? — zapytał.

— Dziś lub jutro — odparł książę. — Pora wieczorna może mniej właściwa, dziś ja go uprzedzę o przybyciu waszem, nie mówiąc. z czem przyjechaliście. jutro was przyjmie.

Stary poseł mało co już więcej mógł dobyć z księcia dnia tego; pożegnał go i wyszedł.

Buśko, który wszystko podsłuchiwał i namiętnie śledził każdy ruch przybyłych, pobiegł w ślad za Przedpełkiem do furty.

— Z opatem będziecie mówili? — począł szeptać. — O! o! to bardzo kuty człek i wielka potęga... Ludzie przed nim drżą. myśli zgaduje. a srogi jest... ale (tu głos zniżył) klasztor potrzebuje wiele... łakomi są. podarkiem wiele zrobić można...

Oczyrna dał znak i zniknął.

Przedpełk. powróciwszy do swoich. opowiedział, z czem go odprawiono. Do opata sam iść nie życzył. Więcej powagi miało poselstwo całe, a rozmowa, którą trzeba było prowadzić po łacinie, lub z pomocą Lasoty jako tłumacza. bo ten język Francuzów trochę umiał, łatwiejsza być mogła.

Znowu więc, na mszę świętą ranną przybywszy wszyscy w strojach swych paradnych, z niej wprost udali się do klasztoru.

Tu już na nich oczekiwać musiano i zakonnik od furty krążgankami sklepieniem powiódł ich do izb, w których opat uroczyście zwykł był gości przyjmować. Gmachy te. ozdobione wielce. pełne rzeźb i malowań, okryte godłami i napisami, wspaniałością swą musiały na przybyłych wielkie uczynić wrażenie. Nawet ozdobny zamek krakowski, który za cudo uchodził, nie mógł się równać benedyktyńskiego klasztoru wytwornemu budowaniu i misternemu przyozdobieniu.

Opat Zacharjasz, rodem z południowej Francji, mąż wielkiego ducha, rozumu i nauki, którego nieraz do rady

Walecjusze wzywali, osobą swoją mógł też wrazić poszanowanie. Książęca była postać dumna, piękna, a przytem dziwnie pogodna i siłą a energją imponująca.

Z nadzwyczajną uprzejmością, ale z majestatem biskupim przyjął gości twarzą wesolą, wzrokiem ciekawym.

Ponieważ rozmowa była trudna po łacinie, Lasota jako orator wystąpić musiał. W krótkiej przemowie swej wyraził, że kraj, z którego przybywali, tęsknił, pozbawiony panujących krwi swej, za potomkami rodu, z którym go wieki wspólnego życia łączyły. Z tego powodu chcieli odwiedzić księcia, a zarazem radziły go mieć u siebie choćby w którym benedyktyńskim klasztorze. Dodatek ten uczynił Lasota, aby złagodzić nieco żądanie, z którym przychodzili.

Opat w odpowiedzi ostrożnej pochwalił przywiązanie do swych monarchów ziemi im wiernej, lecz zarazem ubolewał nad tem, iż mnich każdy, zerwawszy ze światem, już żadnym względem spraw świeckich ulegać nie może.

Na to przygotowany Lasota, odpowiedział przykładem Kazimierza Mnicha i odwołał się do władzy nieograniczonej papieża.

Opat zmarszczył się nieco... rozmowa splątała się.

Lasota wyczerpał argumenty przygotowane. Posłuchanie przedłużyło się nadaremnie, gdyż ze wszystkiego widać było, że opat ani się chciał dać przekonać, ani nawet wdać w rozprawę. Począwszy rozmowę wesolą, zakończył ją również uprzejmie, pobłogosławił, dał białą rękę ucałować i z niezem odprowadził.

Wyszedszy, dopiero spostrzegli, iż z daleko mocniejszym od siebie mieli do czynienia, z człowiekiem, co ich odgadywał, zbijał to, czego jeszcze nie powiedzieli i przełamać się dać nie myślał. Od opata zaszli do księcia zafrasowani.

Biali przyjął ich pogrążony, smutny, niespokojny. Mogli tylko postrzec po nim, że opór przełożonego podział nań, jak bodziec.

Mówił już o możliwości swego wyjazdu, jakby o rzeczy postanowionej i tylko od zgodzenia się opata zależnej.

Wielki więc krok dokonał się dziwnym sposobem, z łatwością niespodziewaną. Pozostawało wyjednanie przyzwolenia opata. Zgodzono się na to, aby doń wysłać Lasotę, który podjął się tego.

Cały dzień upłynął na przygotowaniach, na radach, wywiadywaniu się ubocznem o różne szczegóły.

Lasota nazajutrz z pokorą młodego człowieka, ale

z wprawą dworaka, który na świecie bywał i z ludźmi mówić umiał — stawiał się przed opatem.

Nie miał jego przebiegłości i nie myślał też nią waleczyć z nim. Począł mu się wynurzać otwarcie, dając z siebie dobywać wszystko, co miał powiedzieć. — Był szczery i naiwny. Opatowi się podobał, zatrzymał go dłużej. Rozmowa, zamiast pół godziny, trwała dwie całe.

Oczekujący na powrót jego w gospodzie pod Złotą tarczą niespokojni być zaczęli, gdy uznojony parlamentar ich nareszcie z dosyć wesołą powrócił twarzą.

Było to tajemnicą Lasoty, w jaki sposób zdołał wymóc na opacie pozwolenie dla księcia, aby się udał do Ojca św. do Awinjonu i tam przedłożył mu żądanie swoje.

Chociaż więc nie triumfowali jeszcze, krok był znowu uczyniony stanowczy, a ważność jego oceniliby lepiej, gdyby byli wiedzieli, co się w klasztorze działo.

Po odprawieniu Lasoty opat wezwał do siebie Białego.

Nikt nie był świadkiem ich rozmowy, która trwała długo, lecz gdy u drzwi czekający Buśko zobaczył swego pana wychodzącego, pomimo otyłości swej poskoczył.

Księżę wybiegł na kurytarz zmieniony, z twarzą jasną, rozpromienioną, zapomniawszy tych ruchów powolnych i pokornych, do których nawyknienie w klasztorze tyle go kosztowało. Krokiem pośpiesznym pobiegł do celi.

Tu było mu ciasno, było duszno... śmiał się, chodził... Buśka poklepał po ramieniu.

— Jedziemy! — rzekł.

Wysłał go do gospody oznajmić tam, aby mu konie i co potrzeba do podróży przysposabiano. Gdyby to było możliwe, wyjechałby natychmiast, lecz wyjazd odłożono do jutra, czekając na listy, które opat miał kazać wygotować na towarzysza, którego chciał dać księciu, na przygotowanie do podróży.

Buśko, który księcia nie opuszczał nigdy, rozumiało się to samo z siebie, sposobił się też do wyjazdu, nie kryjąc się z radością swoją. Jakkolwiek ciężko mu było usiedzieć na koniu z jego krótkimi nogami, a droga, od której odwykł, była dlań okrutnie męcząca, cieszył się z wyzwolenia.

I na księciu widać było odżywienie jakąś nadzieją. Wczoraj był jako mnich, dziś przybrał postawę, ton i oblicze książęce.

Przedpełk i towarzysze jego mocno się tem radowali, bo obudzenie w nim rycerskiego ducha rokowało wiele.

Dodnia, po nabożeństwie i błogosławieństwie opata, Biały wraz z towarzyszem swym mnichem, któremu listy do papieża powierzone były, w orszaku polskim zawrócił ku Awinjonowi.

Gdy na pagórek wyjechali, z którego Dizon i jego kościół widać było. Buško. na końcu kalwakaty jadący, odwrócił się ku miastu, zdjął czapkę z głowy. poklonił mu się i pożegnał je...

— Bogdajby oczy moje więcej murów waszych nie widziały... tylko wina trochę żal będzie.

Z jakim uczuciem żegnał Biały ten klasztor. w którym czas jakiś pokoju zażywał. nikt. nawet towarzysza. odgadnąć nie mógł. Płakał chwilami i śmiał się. zasepiał i rozmową wcale nie mniszą zabawiał z Lasotą. który więcej mu mówił o pięknej Frydzie Bodezance, o łowach w okolicy Gniewkowa. o rycerskich zabawach. niż o żywocie zakonnym. z którego obowiązków ksiązę nie był wyzwolony jeszcze.

Dwa całe lata upłynęły od tej chwili, gdy polscy posłowie Władysława Białego uprowadzili z opactwa św. Benigna, a ani w Gniewkowie o nim, ani w Wielkopolsce słyhać nie było.

Oczekiwano go też napróżno z powrotem do klasztoru. W Awinjowie papież Grzegorz XI, Francuz rodem, dla dy nastji panującej we Francji wylany. z którą tak blisko spokrewniony był Ludwik Węgierski, prośby Białego księcia wysłuchać nie chciał. Próżne były nalegania i zabiegi; przewidując zawikłania. jakie sekularyzacja księcia mogła na Polskę ściągnąć, Grzegorz XI stanowczo się oparł uwolnieniu od ślubów.

Posłowie polscy napróżno tu oczekiwali zmiany. Biały oświadczył im, że dłużej w Awinjowie pozostanie i odprawił do Strasburga jednych. drugich do Bazylei, tam się z nimi obiecując połączyć. Miał bowiem nadzieję zawsze. iż papieża ubłaga.

Minął tak czas jakiś.

Ksiązę nakoniec, znużony, wykrał się tajemnie z Awinjonu z jednym podobno Buśkiem i, choć od ślubów uwolniony nie był, suknię zrzuciwszy, w stroju jakimś podróżnym. napół rycerskim. z mieczem u boku, z nim pojechał do Budy.

Aże i tu nie nie wskórał: król Ludwik śmiał się z niego. opactwo mu na Węgrzech obiecując.

W Wielkopolsce w inną stronę Nałęczę zwracali oczy. Nie rozpaczano, że się mazowieccy książęta do czegoś sku-
sić dadzą.

Tymczasem Otto z Pilcy sam się zrzekł wielkorządów, na których usiedzieć nie mógł. Doradcy królowej Elżbiety przekonali się, iż Wielkopolsce dać potrzeba było Wielkopolanina. Mianowano w miejsce jego Sędziwoja z Szubina, którego przyjęto, ciesząc się nim, jak otrzymanem nad Małopolanami zwycięstwem.

Wreszcie — a było to wiosną 1373 roku — sprzykrzyło się Białemu w Budzie i, za namową Lasoty, ruszył do Wielkopolski z garścią czeladzi i nieodstępnym Bułkiem grody tamtejsze zdobywać.

Postanowił zacząć od Włocławka i ku niemu przedewszystkiem się udał.

Już gródek włocławski widać było na wyniosłym brzegu Wisły, z miasteczkiem, okrążajacem go, dosyć szeroko a ubogo rozsiadłem, gdy na gościńcu, którym jechali, Lasota postrzegł gromadkę konnych, poprzedzającą ich i także ku miastu zdążającą.

Chociaż rozpoznać dosyć było trudno jadących, wprawne oko mogło się w nich domyślać rycerskich i zbrojnych ludzi.

Spotkanie to nie na rękę było im wszystkim: Lasota radził zwolnić koniom kroku i dać się wyprzedzić, ale książę, dotąd trwający w usposobieniu jakimś niepomiernie zuchwałem, przeciwnie, wyprzedzić ich zażądał.

Nie dał sobie mówić nie i, koniowi wraziwszy ostrogi, popędził wprost na jadących, inni też opuszczać go nie mogli.

Gromadka, która ku Włocławkowi zwolna się zbliżała, składała się wistocie ze zbrojnej czeladzi, na której czele jechał sędziwy mężczyzna, okryty kożuchem z kun, dostan-
nim, z różańcem w ręku.

Wyrazista to była twarz, z oczyma przymrużonemi, ogromnemi usty, wpół otwartemi, nosem niewielkim i policzkami wystającemi. Ten, kto ją raz widział, poznałby ją zawsze, tak charakterystyczny miała wyraz jakiejś osłupiałej, flegmatycznej zadumy.

Książę, pomijając starego, odwrócił się ku niemu i, zobaczywszy go, koniowi cugli skrócił.

Stary oczyma, które już niezbyt dobrze widzieć musiały, i zmrużały się, z wysiłkiem patrząc, począł Białemu się przyglądać, gdy ten nagle zawołał doń:

— Gniewosz?

Usłyszawszy ten głos, jeździec drgnął cały.

— Z tamtego świata wołanie? — krzyknął. — W imię Ojca!... Postaci nie widzę, a głos słyszę gniewkowskiego pana! Toć nie może być.

— A jest! — zawołał książę, stając przy nim. — Gniewosz! jam jest.

Staremu dwie łzy toczyły się po bladych policzkach.

— Cud więc się stał — rzekł głosem drżącym.

— Stanie się jeszcze większy, jeżeli wy mi, wiernie dochowawszy pamięci, pomożecie. Jadę moją dzielnicę odbierać. Król mi ją oddał...

Bez rozmysłu fałsz ten wyrwał mu się z ust.

— Wy, stary Gniewoszu, ze mną, naprzód do Włocławka. Zamek obejmuję na siebie.

Gniewosz, który różaniec co prędzej, przeżegnawszy się, do pasa przyczepił, cugle zagarnął, skrócił i, trochę niespokojny, obejrzał się, ilu książę ludzi miał na zajęcie zamku. Zobaczywszy kupkę nie liczniejszą od swojej, odezwał się:

— Gdzież rycerstwo księcia?

— Nadejga! — odparł Biały — tymczasem go nie potrzebujemy. Włocławek przecie słowu memu zawierzy... i opierać się nie będzie. Ze mną, stary!

Gniewosz też opierać się nie myślał, mocno wzruszony jechał obok księcia. Czeladź jego pomnożyła liczbę tych, co warowny, bądź co bądź, gródek opanować mieli.

Nie było to zameczysko zbyt silne, naówczas obrotne, spalone kilkakroć przez krzyżaków, naprędce, na nowo usypane wałem i opasane ostrokołami, niewiele miało murów nadwerżonych, ogorzałych i polepionych dość niedbale.

Tyle podobnych twierdz stało po granicach i domagało się przerobienia ich z gruntu, iż na wszystkie rąk i kosztów nie stawało. Co pilniejsze i co ważniejsze muirowano, reszta kolei oczekiwać musiała. Tak i Włocławek.

Książę, któremu się zdawało, że wpadł na myśl bardzo szczęśliwą, zmyśliwszy, iż mu król sam powrócił jego dzielnicę, pośpieszał co żywiej, spodziewając się, że tym sposobem nie tylko Włocławek, ale natychmiast i sąsiednie potrafi ubiec warownie. Tu już miał przyjaciół, rachował na swoich.

Gniewosz stary, święcie uwierzywszy w to, co usłyszał, a miał przywiązanie do krwi i do tego domu Piastów, u któ-

rych na dworze młode lata przebył. odżył i poruszył się wielce.

— Miłościwy książę — zawołał, gdy się już do zamku zbliżali — a poco ja wam tu potrzebny? Włocławek, gdy się tylko ukażecie, na pewno wam zdadzą, czy nie lepiejby było, abym ja z moim przodem pośpieszył do Gniewkowa z radosną nowiną, i tam się do was ludziom kazał gromadzić na przyjęcie pana?

Książę pomyślał trochę. Stary Gniewosz dodawał wprawdzie szczupłemu orszakowi powagi, lecz w razie oporu nieby mu nie pomógł. Przygotować zaś mieszczan i sąsiednich około Gniewkowa ziemian mogło być bardzo przydatnem.

— Gniewków to nie — ciągnął dalej stary. — Tam księcia otwartemi rękami przyjmą, boć inaczej im było za was, niż teraz za starostów królewskich. Ze Złotorją ciężej będzie, bo na tej Ronlik siedzi z ręki króla, a że mu się dobrze dzieje, gotów trudności robić... i opór stawić.

— Gniewoszu mój, przyjacielu stary — krzyknął książę, który nabierał odwagi coraz więcej — jedź przodem do Gniewkowa, ale ostrożnym bądź. Będziesz wiedział, komu się zwierzyć. Zbierz ludzi co najwięcej. O Złotorji dowiemy się w Gniewkowie. Jedź w imię Boże!

Starowina Gniewosz, w którego też duch wielki wstąpił, już dojeżdżając do miasteczka, zawrócił, cały przejęty posłannictwem swem, naprost do Gniewkowa.

Biały pozostał sam. Lasota poznać go nie mógł.

— Kupą teraz a śmiało! — zawołał — wpadniemy na zamek... a tam! zuchwale a śmiało... nikt się przeciwko mnie porwać nie waży. Naprzód!

W małym już oddaleniu od wrót byli, widzieli je od gościńca otwarte naosćcież, brona była podniesiona... ludzi prawie nie widać. Czasu pokoju nie potrzebowano się zamykać po całych dniach, i na noc tylko spuszczano bronę.

Kłusem wyciągniętym, książę przodem, za nim wszyscy jego towarzysze, czeladź, na końcu Buśko z sokołem trzepiącym mu się na rękę, popędzili na most. Zadudniało, wpadli już w dziedziniec, dopiero ludzie kilku bez zbroi, bosych wyrwało się z kątów, zaglądając, kto to taki przybywał. Biały krzyczał, stojąc na koniu.

— Sam tu, do mnie, kto tu starszy?

Za księcia przykładem Lasota i inni podnieśli głosy ogromne, wrzawa się zrobiła, i w tej chwili, przestraszony

nią, z mieczem w ręku, ale bez zbroi też i hełmu, wyskoczył z bocznego zabudowania Gaska, dowodzący na zamku.

Był to człek mężny, ale zardzewiały w spokoju, powolny już, bo podstarzały, umysłu tępego trochę. Widząc wpadających na zamek ludzi niewielu, a gospodarujących tu i wołających nań, jakby do tego prawo mieli, nie mógł przypuścić, aby się tu działo coś nieprawidłowego, napaść taka zdawała mu się niemożliwą.

Biały z koniem podjechał ku niemu.

— Wyście tu starszym? — zawołał groźnie.

— A ja!

— Nie znacie mnie?

Gaska popatrzał nań.

— Skądbym miał znać! — odparł.

— To drudzy mnie poznają — rzekł książę. —

Przyjeżdżam z rozkazem królewskim, aby mi zamek był oddany. Rozumiesz. Jestem książę Gniewkowski. Król Łudwik puścił mi moją dzielnicę z Włocławkiem i innemi grodami. Zajmuję zamek od tej chwili.

Stary Gaska poglądził wąsa. Cóż miał na to odpowiedzieć, nie domyślał się podstępu i zdrady.

— Każ się stawić załodze całej, aby mi wierność słubowała natychmiast — dodał książę. — Czasu nie mam do stracenia, bo na mnie już w Gniewkowie czekają. — Odwrócił się do Łasoty.

— Jedź na miasto do sołtysa i wójta, niech mi się mieszczanie zaraz tu stawia!

Nałęcz zawrócił konia i pobiegł. Gaska stał, nie wiedząc, co poczynąć. Ludzie zamkowi, nie wołani, na sam krzyk i wrzawę zbiegli się niemal wszyscy. Niektórzy z nich poznali dawniej widzianego księcia; innym też zmiana smakowała, bo w pierwszej chwili zawsze nowe panowanie uctę się poczyną i piwem oblewa.

Głosy po podwórzu odzywały się radosne ku księciu. Opierać się nikt nie myślał. Biały więc śmiało z konia zsiadł, a zobaczywszy to pierwszy Buśko, który jazdy nie lubił także, z ptakiem swym z siodła się stoczył.

— Prowadźcie mnie do izb, gdzie one są — zawołał książę do Gaski.

Ten, jak stał napół odziany, ruszył się posłuszny i drzwi główne popchnął, torując drogę.

Biały dał znać swoim, aby u wrót pozostali, a sam z Gaską wszedł do środka.

Tymczasem Lasota, wbiegłszy do miasteczka, równie zuchwale począł wołać wójta, ławników, sołtysa i alarm zrobił wielki, opowiadając, że książę zamek zajął i powołuje ich do siebie.

Wiadomość ta jak piorun spadła na mieszkańców Włocławka. Nie się podobnego nie spodziewano, lecz, że zawsze książęce rządy łżejsze bywają, niż starostów, a mają urok jakiś, nie przestraszyli się wójt i ławnicy. Wieść po mieście gruchnęła.

— Na zamek! na zamek!

Z dawnych czasów znajomych i przyjaznych księciu znalazło się ludzi trochę, ci innych pociągnęli. Kto żyw, wdziawszy opończę, przyczesał włosy, świętecznego dobywszy kołpaka, pospieszał do zamku, aby pierwszym być do powitania przyszłego pana.

Pomiędzy rybakami, którzy się tu uważali, wedle podania, za najstarszych osady założycieli, wielu było majątnych, inni handlem nad Wisłą dorabiali się grosza i równie byli zamożni. Starszyzna ta groszowa nie ociągała się też. Mieć swojego własnego księcia wydawało się im weale pięknem. Miasto się mogło podźwignąć i podnieść. Rybaacy i kupcy myśleli już o tem, jakiebhy się przywilejów i swobód od księcia domagać mogli.

Z tak różnemi myślami, lecz wogóle jak najlepiej usposobieni mieszczanie, kupcy, wójt, ławnicy, wszelkiego zawołania lud, poczęli żywo zdążać do zamku.

Lasota też powracał, spełniwszy polecenie. Ogół ludu z radosnemi twarzami szedł witać pana, a było go już we wrotach, na podwórzu, na gościńcu, na zamku tyle, iż wszelkie niebezpieczeństwo oporu ze strony załogi ustało. Gaska też nie myślał o niczem, tylko o spełnieniu rozkazów księcia.

Biały, nim jeszcze wyszedł do tłumu, który na niego czekał w podwórzu, zawołał Gaskę, który zbroiczkę i hełm przynieść sobie kazał, aby mu ludzi natychmiast zebrał i gotowych stawiał do zajazdu Gniewkowa.

Część załogi nielicznej miała pod dowództwem Seiborka Poboga, z orszaku księcia, zostać we Włocławku, stary Gaska w pięćdziesiąt zbrojnych ludzi szedł na Gniewków.

I to rozporządzenie, wydane śmiało, nie znalazło najmniejszego oporu. Szezęśliwa widocznie gwiazda świeciła powrotowi Piasta do swej dzielnicy, wiodło mu się nad spodziewanie wszelkie. Zuchwalstwo jego popłacało, miał więc prawo zostać przy niem i podwoić je jeszcze.

Ktoby go widział tego poranka silnego, śmiałego, rozkazującego, nigdyby się nie domyślał, że cała ta energia była ogniem słomianym, który gorzał jasno, ale trwać nie mógł długo. Nawet Lasota sądził, że naostatek człowiek uspiiony w nim odżył, i że teraz jest tym, jakim ma być już na przyszłość. Jeden może biedny, zmęczony Buško, który z równie jak on sam smutnym, najeżonym ptakiem, siedział osowiały w pierwszej komorze i wszystkim do niej zagląającym powtarzał:

— Dawajcie jeść i pić. — jeden Buško przeczuwał coś złego, i jego podniesiony, wesół głoś księcia nie łudził.

Gromada mieszczan, kupców, rybaków, różnego ludu zalegała już podwórcie całe, gdy ksiązę, namyśliwszy się, nareszcie wyszedł na przedsienie do niej. Przybrał postać, oblicze, dumę, wzrok nakazujący panującego. Łatwem mu to było — miał wistocie urok pewien, który, choć baczniejszego wejrzenia nie mógł oszukać, dla tłumu miał w sobie coś poszanowanie obudzającego. Panem się urodził, a choć natura ta już siły wewnętrznej swej pozbawioną była, zachowała blask powierzchowny. Z uśmiechem na ustach, pańsko, laskawie, majestatycznie począł witać Białą odkryte przed nim głowy. Wójt pierwszy kolpak podniósł do góry i zawołał: — Żywie!

Cały gmin z niezmiernym zapalem powtórzył za nim okrzyk. Skłonił się ksiązę.

Buško, korzystając z tak dobrego usposobienia, odsunął trochę okna i do bliżej stojących z ruchem niecierpliwym zawołał półgłosem:

— Pić i jeść dawajcie!

Nikt go słuchać nie miał czasu, gdyż wszystkich oczy były w księcia wlepione, uszy wszystkich zwrócone ku niemu.

Polszczyznę trochę łamaną, ale zawsze zrozumiałą, ksiązę przemówił do starszyny, ciesząc się, iż powraca na swą ojcowiznę, do nich, zalecając im dotrzymanie wiary, obiecując łaski wielkie. Nie go to nie kosztowało, a mogło mu pomóc wielce. Przyobiecował więc swobody Włocławkowi, jakich żadne miasto nie miało: myto dla niego na rzece, pobierać się mające, skład towaru przymusowy, uwolnienie od opłat wielu.

Okrzyknięto znowu księcia, zapal rosł ogromnie.

Starszyna teraz dopiero pomiarkowała, jak się znalazła nieprzyzwoicie, idąc bez podarku na powitanie księcia. Było to przeciw tradycjom odwiecznym, które wyma-

gały, aby podwładny ani do pana, ani do sędziego, bodaj do wójta i sołtysa nie szedł nigdy z próżnemi rękami.

Rybacy także zmiarkowali, że cześć ich wymagała przynajmniej szczupaka dla pana, a coś mniejszych płotek dla czeladzi. Zaczęto się w tym ważnym przedmiocie naradzać pocichu, myśląc wyprawić do miasta kogoś, coby tę omyłkę starał się naprawić i ściągnąć coś od mieszkańców, ale czasu było mało.

Książę wołał, aby mu, co było na podorędziu, dano do jedzenia, i zapowiadał, że się natychmiast z Gąską udać musi do Gniewkowa.

W podwórzcu już szykowali się posłuszni wojaacy Gąski, wywodząc konie, chwytając oręż, jaki się dał znaleźć i mocno wbici w pychę tem, że straż przyboczną księcia stanowić mieli. Stary pólkowódca także przejęty był tem, że u boku pana po długim wypoczynku, powołanym jest do czynności.

Orszak ten, który miał towarzyszyć Białemu, wprowadzie po świetnych rycerzach, jakich się on napatrzył na dworze Ludwika, nie wydawał mu się bardzo okazałym, prawdę rzekłszy, był lichym, zawsze jednak wart był więcej, niż czterej ludzie z dodatkiem Buśka, z którymi tak szczęśliwie Włocławek zająć się udało.

O przyszłości nie wątpił już książę; zdawało mu się, że tak samo powinny mu się poddawać wszystkie zamki królewskie. Przypisywał urokowi swojego imienia, co było dziełem przypadku. Gniewków, do którego poprzedził go Gniewosz, zdawało się, że go już miał w ręku. Tłum, okrzykujący go tutaj, zapowiadał ogólne uznanie i prędkie skupienie się sił znacznych. Nietylko Gąska z ludźmi wyznaczonymi miał stąd towarzyszyć księciu, różnego ochotnika znalazła się w mieście garść spora.

I nim rybacy ze swą daniną, a ławnicy z podarkiem z miasteczka pośpieszyć mogli, Biały już Ściborka Poboga nad zamkiem stanowił swoim starostą i zdawał mu resztę załogi, a sam co śpieszniej na koń się siadać zabierał, do Gniewkowa.

Buśko zmęczony, byłby chętnie pozostał z sokołem, jako część załogi na Włocławku, lecz obawiał się księcia opuścić i zostać osieroconym. On jeden w to nadzwyczajne szczęście pana swojego nie wierzył.

— Gdzieby się jemu posześcić co miało? — mruczał sobie. — My jeszcze pewnie na chenowskie wino do Dyżonu powrócimy.

Smutnych tych myśli nie dzielił jakoś nikt.

Zalecając na zamku pilność, w mieście posłuszeństwo i wierność, ksiązę, po drodze wyposażony baryłką miodu, puścił się ku Gniewkowi. Prowadził z sobą więcej kopy ludzi zbrojnych. miał już we wladaniu zamek jeden, drugiego był tak jak pewnym.

Ponieważ Lasota w ostatnich czasach często mu czynił wyrzuty i okazywał nieufność, ksiązę w tej chwili skorzystał, aby, przywoławszy go do swego boku, wskazać na swe wojско, i rzec z uśmiechem zwycięskim:

— A co. Nałęcz? powiecie wy mnie jeszcze, że nie umiem działać, gdy potrzeba?

— Miłościwy ksiązę — odparł Lasota — zdumiewam się, cieszę i tylko życzę, aby tak szło dalej.

— Pierwszy krok najtrudniejszy — śmiejąc się, zawołał Biały. — Gniewkowa jestem pewny. Oczekają tam już na nas. Z dwoma temi zamkami już się trzymać mogę, ale nie myślę na tem poprzestać; nim się wieść rozniesie, zajmę ich jeszcze kilka. Potem Ludwik się będzie musiał rachować ze mną; Wielkopolan mam za sobą.

Gdy to mówił ksiązę, twarz mu pałała i promieniała, zdawał się odmłodzony, rumieniec miał na ustach. Uderzył po mieczu u boku i dodał:

— Reszty żelazo dokona!

Lasota, zmianę szczęśliwą widząc, skłaniał głowę i przyznawał księciu wszystko. Tylko Buško jechał smutny.

Drogę do Gniewkowa, nie żałując koni, przeryzując się najprostszymi bezdrożami, ksiązę i jego orszak odbył w krótszym czasie, niż się sam spodziewał.

Zbliżając się ku temu staremu gniazdu swojemu, Biały spoważniał trochę. Spotykały go tu co krok wspomnienia młodości, szczęścia, pierwszych lat życia niepowrotnych, ożłoconych nadziejami tyłu. Pomimo zwycięstwa, smutek i jakieś złowrogie przeczucie zaczęły nim zawładnąć. Czuł, że szczęście, jakiego tu kosztował, dwa razy nie powraca w życiu. Chmura przesunęła się po czole i zawisła nad nim, ścisnęło się serce.

Dojeżdżając do zamku, rozweselił się znowu; widzieć było, że Gniewosz go tu poprzedził. Starzy słudzy, dawny dwór, ludzie, co pamiętali minione czasy, konno i pieszo wybiegali na spotkanie.

Pomimo opowiadań i zaręczeń Gniewosza, nie chciało się im wierzyć, aby ksiązę-mnich, zrzuciwszy kaptur, po latach tyłu do nich powracał.

Z Białym dobrze im się działo. Miał wprawdzie dwactwa swoje, a łaska jego bywała nietrwałą i zmienną, lecz nie był nigdy zbyt okrutnym, pamiętano mu, co dobrego czynił.

Zoczywszy nadciągający orszak, ludzie gniewkowscy podnieśli okrzyk wielki. Niektórzy z nich na gościńcu popadali na kolana, ręce podnosząc, inni do strzemion jego biegli, chwytając i całując nogi.

— Książę nasz! książę nasz! — krzyczano, biegnąc za końmi, wyprzedzając się, czapki podrzucając do góry.

Buśko, który dotąd kwaśny był i zasepiony, uległ zarazie tego rozczerzenia, które wszystkich ogarnęło. Pucowała twarz jego i szerokie usta uśmiechem się rozjaśniły. podniósł sokola na rękę, który mu się miotał, tak nieostrożnie, że kapturek, źle przymocowany, spadł mu z głowy, a ptak, który pęł na nogach nie miał, korzystając z chwili, skrzydła rozwinął i swobodnie puścił się w powietrze. Nie wielka była nadzieja, aby teraz do ręki, do której był niewykły, powrócił.

Strata mogła się odbić na plecach Buśka, lecz uniesienie i radość były tak wielkie i powszechne, że on wcale na to nie zważał, książę o czem innem myślał. I jego ogarnęło wzruszenie.

Stał znowu na tej ziemi, którą za swą spuściznę, za ojcowską uważał. Lud go tu witał jak pana swego rodzinnego, z którym wieki związek utrwały.

W podwórzu zamku, opuszczonego bardzo, który mu się wydał ruiną — nie tylko Gniewosz stał, nie tylko cała starszyzna miejska, ale kilku ziemian zwołanych naprędce. Oprócz tego gmin cały wysypał się na powitanie. Zapal, jaki się objawił we Włocławku, nie mógł być porównanym do tego uniesienia, z jakim go tu witano.

Jest w naturze ludzkiej to przywiązanie do wspomnień przeszłości. Niejedno serce potrzebuje lat długich rozłąki i zapomnienia, aby żywiej uderzało, niż naówczas, gdy się ta miłość zawiązywała. Książę pod wrażeniem triumfu, który odniósł, zsiadł z konia.

Tak, był to ten sam jego dworzec stary, u którego progu niegdyś z młodą żoną stał, witany tak samo; u tego progu, który potem po zabójstwie Kiwały, po osieroceniu swem opuścił bez żalu. Był tu znowu i miał drugie rozpocząć życie.

Nie dano mu długo myśleć ani wspomnieniami zachmurzać — twarze dawniej znajome, postarzałe, jakieś

inne, choć te same, gdyby widma, zachodziły mu drogę. Stare niewiasty, które porzucił tu młodemi jeszcze prawie, płakały. Z dawnej jego służby, która wyglądała świetnie, niedobitki zjawily się odarte, w łachmanach.

W izbach, do których go prawie na rękach wniesiono, ledwie ściany nagie też same pozostały — odarte, szerniałe, zbrukane. Tylko tęsknica i smutek przyległ do nich: radość, co tu mieszkala, uleciała. Pustką wiało i stęchlizną grobową. Radosne okrzyki dziwnie jakoś odbijały się o te ściany.

Rękami ujął się za głowę... i mimowoli na myśl mu przyszło, że był postrzyżonym mnichem, który zakon porzucił i Panu złożone śluby połamał. Dlaczego właśnie w tej chwili to przypomnienie ubodło go w serce?...

Nie dano mu się rozżalić. Stary Gniewosz, który się już tu jakby za wojewodę i marszałka razem książęcego uważał, cisnął się do niego.

Ziemianie: Skóra, Złazły, Dziegiel, Zaraza, Szaszor — otaczali go z pokłonami i pozdrowieniami. Wszyscy wyrażali zprostą, jak byli szczęśliwi, że im powracał. Książę, wbity w pychę tem powodzeniem, już myślał tylko, jakby z niego korzystać.

— Gniewoszu mój — odezwał się — nie potrzeba tracić czasu. Nim pójdzie głos o mnie, trzeba zająć, co tylko się da pochwycić. Lepiej zagarnąć więcej, niż za mało. Dzielnicę mi muszą dać, jaka Piastowi przystała. Ludzi z sobą przywiódłem z Włocławka: póki czas, potrzeba na Złotorję co prędzej.

— E! miłościwy książę — pośpiesznie odezwał się Szaszor — z Romlikiem sprawa będzie ciężka. Ja go znam, on tak łatwo zamku nie opuści. Choćby i listy królewskie widział — nie posłucha. To kamień, nie człek, a porósł tam w pierze, ho! ho!

— Na Romlika jest sposób — przerwał Sikora.

— Jaki? — pochwycił razem Gniewosz i książę.

— Romlik się na święta wybrał do brata do Podgórkę — rzekł Sikora. — Niema co myśleć, trzeba go nocą dziś jeszcze porwać, a gdy się go ściśnie, musi Złotorję nam poddać.

Książę w ręce klasnął.

— Natychmiast Szaszor z Sikorą weźcie ludzi, i do Podgórkę! Związane go Romlika mi tu dostawić. Oszczędzimy krwi i zachodu.

— Mało tego — odparł Szaszor, który znał dobrze miejscowości, — nawet gdybyśmy we dwójnasób ludzi mieli, Złotorji nie dobedziemy tak łatwo. Zamek mocny, a dwie rzeki go oblewają, ani Wisły, ani Drwęcy nie odwrócimy od niego, oblegaćby trzeba, a i osaczywszy, niełatwo się dostać.

— I właśnie dlatego nam ją wziąć jest koniecznem — zawołał książę. — Kto wie, co może wypaść. Mieć w rękę zamek tak...

Książę nie dokończył, aby się nie zdradzić, ale tego tłumaczenia nie potrzebowali Szaszor i Sikora. Oba byli ludzie młodzi i na przygody łasi: Romlik starosta zdawna obu był nienawistny, bo się górą nosił i raz był Szaszorowi zagrożił, a ten, jako ziemianin i do rodu starego należący — przebaczyć mu tego nie mógł. Samby się do odwetu na własną rękę nie porwał, ale, mając księcia za sobą, rad był upokorzyć starostę.

Sikorze nocna wycieczka, napaść na dwór, bójka po długim wypoczynku smakowała także; rozkaz więc księcia przyjęli z oznakami radości, natychmiast pobiegli po ludzi i konie.

Srodek gwałtowny tak był w obyczajach owego wieku, że nikt przeciwko niemu ani myślał stawać. Gniewosz znajdował go słusznym, a Lasota, choć może za śmiałym go sądził, przeciwko księciu się odezwać nie śmiał.

Nie do poznania zmieniony był, nieśmiały i wahający się książę, a choć obchodząc swój stary dwór opuszczony i podupadły, kilka razy się zachmurzył i oczy mu zasłzy łzami, męstwo wracało, zuchwałstwo nie zmniejszało się. Było ono za gwałtownem, za gorączkowem, by długo trwać mogło, lecz nikt nie badał głęboko stanu księcia, a Buśko nawet pod wrażeniem starych wspomnień, dał się im równie jak pan upoić — i nie zaglądał w przyszłość...

Zamek w Złotorji, panujący i strzegący okolicy, który położenie i nowo wzniesione mury mocnym a warownym czyniły, zdany był staroście Romlikowi nie bez przyczyny. Człowiek i gród przystawali do siebie.

Stary wojak, który od pieluch rycersko służył i nigdy zbroi nie zrzucał, a sąsiedztwem krzyżackiem wiele się nauczył i skorzystał, na takiego dowódcę pogranicznej twierdzy był stworzony. Surowy dla swoich ludzi, ale o ich chleb troskliwy i nieubłagany, gdy o karność i posłuszeństwo

chodziło, bystrego oka i ucha, wglądający w najmniejsze szczegóły, mordował siebie i podwładnych, nieustannie się około swego zamku krzątając.

Ten trud stanowił życie jego; gdy mu zabrakło roboty, stawał się zły, gderliwy i niezdolny. Wiek uczynił go zgryźliwym i podejrzewającym, gadatliwym nad miarę, i choć w gruncie serce miał dobre, z obowiązku udawał okrutnego i nieubłaganego. Ludzie, co z nim dłużej żyli i lepiej go znali, przywiązywali się do niego, kochali starego i nie pomienialiby byli na łagodniejszego z pozoru.

Obej mieli o nim to przekonanie, że tyranem był srogim, bo odgrażał się nieustannie, słowy cierpkimi szafował, a lajał od rana do nocy. Swoi uśmiechali się z tego, wiedząc, że burze te zawsze się cichym deszczykiem kończyły.

Nigdy Złotorja tak dobrze nie była opatrzoną i obwarowaną; a choć się żadnego napadu nie obawiano, dostatek był wszelkiego przyboru do obrony, strażę dzień i noc dookoła chodziły. Na murach kamieni, drabin, haków, kół zębanych, belk gwoździemi nabijanych, smoły beczek całe stopy leżały.

Wały i opasanie od rzek i od ładu w najlepszym znajdowały się stanie, brona podnosiła się, chyba gdy tego była konieczna potrzeba. Żołnierz z załogi nie mógł się potajemnie wykraść na miasto, bo go miano ciągle na oku.

Wychowaniec starego Romlika, zastępcą jego i prawa ręką, młody Łukasz Gozdowczyk naśladował go we wszystkim. Jemu to zdał zamek Romlik na zbliżające się święta wielkanocne, dawszy się uprosić bratu do Podgórek, nie więcej nad półtorej milki oddalonych.

Wieczora tego, przeciw zwyczajowi, w Podgórkach nie było nikogo z gości, bo każdy przed świętami miał coś do czynienia w domu. Nagadawszy się dwaj bracia do syta, z kurami spać poszli. Prawda, że wstawali też, gdy drugie kury piał, o brzasku.

Romlik sypiał w świronku osobnym na podwórzu, izby zadusznej nie znosząc, bo był do wolnego powietrza w obyczajach nawykły. Jak to podówczas po staroświecku wszędzie prawie się działo, na noc żadnych drzwi nie zasuwano, we dnie też, choć wszyscy ze dworu wyszli, sromem było kłódki przywieszać i o zamki się troszczyć. Napaście się trafiały, ale kradzieże nigdy.

Romlik, który sen miał bardzo czujny, zbudził się, leżąc na swem sianie, otulony oponczą tylko, bo mu się zdało, że tętent jakiś usłyszał, a potem ciche w dziedzińcu szeptanie, które w głośniejszy gwar przechodziło.

Nie mógł zrozumieć, co by się przygodzić mogło w tak zwykle spokojnym dworze, ucha nadstawił pilno — bo wołania i pokrzyki dochodziły go coraz wyraźniej. Poznał już głos brata i wodzenia kobiece.

A że nigdy bez miecza u boku nie sypiał, bo to był zwyczaj ziemiański, że go przy łóżku kładziono, równemi nogami chwyciwszy się z pościeli, kord porwał i wybiegł ze świronka.

Dziedzińczyk był pełen konnych ludzi i pieszych, którzy już do dworu wtargnęli. Napaść nocna widoczna.

Sam jeden Romlik nie przeciw gromadzie tej nie mógł, ale nie rozważając, wprost rzucił się na ludzi, co się do dworu cisnęli.

Noc była ciemna, nie postrzegliby go byli i nie poznali napastnicy, gdyby w tej chwili jeden z nich, z chaty, w której czeladź spała, nie wyniósł zapalonej drzazgi, biegnąc z nią do dworu.

Właśnie Romlik z kordem dobytym cisnął się do progu, chcąc sobie torować drogę, dla obrony brata. Szaszor, który stał we drzwiach, postrzegł go, poznał i natychmiast rzucił się na niego. Inni, za tym przykładem idąc, wnet otoczyli, ścisnęli starego, który bronić się nie miał czasu; ztyłu ktoś, przypadłszy, miecz mu wyrwał, cała gromada opasała go, powalono na ziemię i jeden z pacholków, u pasa mający sznury, zaraz niemi krępować począł, ręce mu wtył wyłamawszy.

W mgnieniu oka na barki go wzięto, na konia wrzuceno i przymocowano do niego; napastnicy ode dworu odstąpili, zaczęli koni dosiadać, więźnia pomiędzy siebie zabrali i śpiesznie uchodzili z Podgórki.

Zbudzony nagle, ledwie oprzytomniawszy, Janko w jednej koszuli wybiegł ze dworu, gdyż już nie było nikogo, i tętent tylko uchodzących a wrzawę postyszał.

Co się stało z Romlikiem, który ani przyczyny, ani celu tej napaści zrozumieć nie mógł, a jako wojak znieważony, wpadł we wściekłość, opisać niepodobna.

Nie miał on osobistych nieprzyjaciół, do żadnej zemsty nie dał nikomu przyczyny, sądził, że go chyba omyłką porwać musiano, za kogo innego wzięwszy, i krzycheć zaczął okrutnie, że jest Romlikiem starostą i że sroga kara czeka tych, co się na niego targnąć śmieli. Wtem Szaszor pochylił się ku niemu.

— Wiemyć my dobrze, kto jesteś — krzyknął — ciebieśmy tu właśnie szukali. Stul głowę, stary, i milcz.

Ale Romlik wołał ciągle:

— Czegoż wy chcecie ode mnie? zbóje nikczemne...

Sikora z drugiej strony jadąc przy nim, nie sądził, aby trzeba było tajemnicę z tego czynić, dlaczego został ujęty.

— Do Złotorji z tobą, panoczku, musimy — rzekł, — abyś przykazał swoim natychmiast ją poddać księciu Władysławowi Białemu. Jest na to rozkaz króla. Włocławek już wziął. Gniewków swój odebrał, a wy mu Złotorję musicie oddać.

— Niedoczekanie jego i wasze, buntownicy jakieś! — krzyknął Romlik. — Rozkaz króla! Gdyby rozkaz króla! Gdyby rozkaz był królewski, nie potrzebowalibyście chwytac mnie podstępnie. Zdrajcy jesteście, ale ja nim nie będę.

Szaszor się rozśmiał.

— Jak cię przypieczem, zobaczymy — zawołał. — To nie moja sprawa. Co mnie przykazano, spełniłem. Każą cię ściąć lub powiesić, prosić za tobą nie będę.

— Choćbyście mi nie tylko grozili, ale męczyli — wrzasnął Romlik, — niedoczekanie wasze, abyście ze mnie zrobili takiego łotra, jak wy... Gdyby Białych i czarnych było was nie wiem wielu. Złotorji nie powąchacie... jest jej komu bronić.

Tymczasem konie popędzano, nazad z łupem śpiesząc do Gniewkowa. Szaszor rad był i triumfował, że mu się to tak gracko udało: Sikora utrzymywał, że gdyby nie on, pewnieby Romlik uszedł, ale zawczasu dwór otoczyć radził. Na wołającego i wymysłającego starego nikt nie zważał.

Romlika dobrze, że krew nie ubiła. Przypomniat sobie teraz, że się gwałtem do Złotorji wyrwał, że go brat nie puścił, że miał przeczucie złowrogie... To się na nieszczęście ziściło.

Skąd się tu nagle wziął Biały książę, w głowie mu się nie mogło pomieścić, bo dawno żadnego o nim słuchu nie było. Gdyby nie Szaszor, innaby zdradę jakąś przypuszczał. Wszystko to niemal jak sen straszny mu się wydawało, ale czuł się skrępowanym okrutnie, rwał sznur i ciało sobie ranił, nie zmora to więc była.

Pieśń miłosna skończyła się śmiechem i okrzykami, Romlik, korzystając z milezenia — wołać znów począł do Szaszora.

— Prawdę mów, zbój, kto cię na to nasadził? Wiesz, że gardłem to przypłacisz?

— Księcia Białego przykazanie...

— Coś ty, w służbę jego wszedł?

— A w służbę — i milcz! — odparł Szaszor. — Rychło zobaczysz, co cię czeka.

Starego nie można było zmusić do milczenia. kłął i wy-
myślał bez ustanku. Śmiano się z bezsilnego, a to gniew jego
powiększało. Szaszor, mając doń złość, urągać począł i znę-
cać się.

— Przyszła i na was kolej! niemałościę żołnierzyskom
nadokuczali, a ziemianom nadojedli... Nie chcecie gardła
dać, Złotorję musicie.

— To dam gardło! — krzyknął Romlik.

— Jeżeli was wieszać będą — dodał Sikora. — bądźcie
spokojni, ja wam spowiednika przyprowadzę...

— A ja postronka dam... — rzekł Szaszor.

Wkońcu znużony, zapieniony, Romlik zaciął usta, za-
mknął oczy i nie odzywając się ani na szyderstwa, ni na
pogróżki, jakby nie nie czuł i nie słyszał, dał z sobą robić,
co chcieli. Pacholki, konia jego popędzając, bili go po ple-
cach, śmieli się z tego drudzy, Romlik był już jak kłoda.

Konie zmęczone smagano nielitościwie, nagłąc do po-
śpiechu; nad rankiem zbliżyli się do Gniewkowa. Tu, choć
na dworcu część ludzi spała, niektórzy, straż odprawiając,
przy beczkach piwa siedzieli.

Na ławie, podesławszy starą oponię, Buśko spał twardo.
Gdy Szaszor z Sikorą w podwórce wpadli z wrzawą wielką,
pokrzykując i głosząc swe zwycięstwo, wszyscy się ze snu
zerwali; Buśko pochwycił się z ławy przestraszony, że-
gnając.

Szaszor, oznajmując o Romliku, pchał go co prędzej do
księcia, aby czasu nie tracić. Biały też, nie rozdziawszy się,
jak stał, zbroję tylko z piersi zdjawszy, na ławie przy stole
zmęczony, gorączkowym snem niespokojnym odpoczywał.

Wrzawa go obudziła i wybiegł zaraz z mieczem w rękę,
nie wiedząc jeszcze, co się stało, gdy w progu mu zwią-
zanego popchnięto Romlika. Starosta spoglądał nań oczyma
zakrwawionemi, ale bynajmniej nieulekły.

— Tyś Romlik? — zawołał, podnosząc się, książę, —
ty trzymasz Złotorję? Znasz mnie?

— Romlik jestem, ale ciebie nie znam i znać nie chcę —
odparł stary.

Biały spojrzał nań gniewnie.

— Chcesz czy nie, to mnie poznasz! — krzyknął. —
Złotorję mi natychmiast musisz zdać, albo... gardła twego
szczędzić nie będę.

— Za moje gardło swoim zapłacisz... — odparł Romlik. — Złotorji mieć nie będziesz... Zdrajca jesteś...

Słyszając to, Biały pobladł; miecz, który w rękę trzymał, zadrgał, chciał go podnieść na starca i strzymał się. Przypomnił sobie, że mnichem był.

— Na koni! — zawołał głosem donośnym — na konie, do Złotorji z nim.

Wtem Romlik, któremu znowu rozbudzony gniew spokojnie ustać nie dawał, rzucił się, jakby chciał na księcia wpaść, sznury porwał.

Biały się cofnął.

— Kajdan na niego! — krzyknął — okuć go zaraz! Starostę obalono na ziemię. Czeladź się po łańcuchy i kowale rozbiegła.

Tymczasem inni konie z szop i stajen wyprowadzali. Lasota, Szaszor, Sikora wołali:

— Do koni! żywo!

Dniało już.

Biały napowrót szedł do dworu: widok obalonego starca niewiedzieć dlaczego przykrym mu był, niepokojącym. Zadumany przeszedł się po pustych izbach — znać w nim było wahanie się jakieś i niepewność.

Na dworze okazywano starego Romlika, który, zęby zaciągwszy, nie targał się już i nie bronił, choć mu ciało szarpano łańcuchem.

Wkrótce potem Biały wyszedł w zbroi i szyszaku na koni siadać: był posępny, z twarzą, na której widać było wymuszoną siłę i energję, która go wiele kosztowała. Buśko płaszcz niósł za nim.

Siadłszy na koni, obejrzał się książe i co konie starczą jechać za sobą kazał do Złotorji. Okutego starostę rzucono znowu na konia, dwóch pacholców wzięło go między siebie.

W ciągu podróży Biały kilka razy obejrzał się niespokojny na więźnia, spotykając zawsze wlepiony w siebie wzrok krwawych oczu jego, tak śmiały i wyzywający, jakby się wcale nie obawiał śmierci, którą mu grożono.

Nie odzywali się jeden do drugiego; książe spodziewał się, iż gdy pod mury twierdzy się zbliżą, naostatek starego trwoga ogarnie, ale Romlik jechał jak kamienny.

Już niedaleko byli od wrót zamkniętych, gdy książe stanąć kazał — i groźno najechał na Romlika.

— Słyszysz, ty! — zawołał — jeszcze raz wzywam cię, matychmiast mi zamkowym poddać się każesz.

Starosta z pod brwi rozrosłych rzucił nań wejrzeniem dumnym, śmiałym i krótko wyjąknął:

— Nie!

— Śmierć cię tu czeka!

Romlik skrzywił usta, odwrócił oczy i patrzył na zamek swój.

Z murów ludzie spostrzegli byli zbliżających się i ku wrotom ciekawie naciskali.

Na wyżki ponad nimi wybiegł przestraszony Łukosz. Wśród gromady łatwo mu było poznać związanego starca — załamał ręce. Nie pojmował, co się stało.

Książę tymczasem trąbić kazał.

Nim się do Łukosza wysłany Szaszor przybliżył ku wrotom, Romlik, uprzedzając go, z wielkiem wysileniem podniósł głos.

— Łukosz — wrzasnął — żebyś mi zamku nie śmiał otwierać, żebyś mi się nie poddawał. Zdrajcy są... bronić się do upadłego!

Nie mogąc zrozumieć jeszcze, ani kto Romlika prowadził, ani co się stało z dowódcą, ni czego chciano od zamku, Łukosz stał osłupiony.

— Bronić zamku! — nie poddawać! — wołał zajadle, głos podnosząc, Romlik.

Milczenie panowało chwilę. Wtem Lasota począł krzyzczeć:

— Bramy zaraz otwierać... zamek zdać! cheeeieli życie ochować! Rozkaz króla... gród ma być puszczony księciu na Gniewkowie.

Łukosz mało co o tym księciu słyszał, nie znał go wcale, nie wiedział co czynić, ale Romlika rozkaz był dlań święty.

Tymczasem pachółkowie pięściami staremu usta zamykali.

Szaszor, który znał Łukosza i wiedział, że jak dziecko rodzone był do starosty przywiązany — począł wołać:

— Jeżeli zamku nie zdacie natychmiast, wyrok wydany, stryczek gotowy. Romlika tu wam przed bramą obwiesim.

Zbladł Łukosz.

Książę, który na koniu stał, trzymając się nieco dalej, aby go z łuku lub kuszy nie postrzelono, przerwał Szaszorowi, dodając:

— Bramy zaraz otworzyć, lub śmierć staroście!

Dla większego strwożenia młodego dowódcy Szaszor z konia skoczył, jakby szukał miejsca, gdzieby wyrok miał spełnić. Romlika dwóch ludzi z konia ściągnęło.

Przed samym zamkiem u mostu stała chata rozwalona, z dachem zapadłym, z której tylko zrąb pozostał. Zobaczywszy obnażone belki popróchniałe, Szaszor począł wołać, że na jedną z nich postronek zarzucić było można. Książę stał, nie odzywając się już i nie przecząc.

Pachołkowie powlekli nieszczęśliwego na miejsce wskazane. Łukosz, który na to patrzył, łamał ręce w rozpacz.

— Stójcie! — zakrzyczał.

Romlik, już pod belką stojąc, począł doń wołać:

— Ani mi się waź!...

Młody dowódca nie słuchał, bo mu szło o życie starego, który dla niego był tak jak ojcem, więcej niż o zamek.

— Pokażcie rozkaz króla! — odezwał się do stojących pod bramą.

Romlik chciał się odezwać, pachołek mu szeroką dłonią usta zatulił.

— Rozkaz króla... ja ci przynoszę... słowem mojem — zawołał książę. — Zamek otworzyć natychmiast, lub starego obwieszę.

Sposób ten zdobycia Szaszor, który dobrze znał przywiązanie Łukosza do starca, pewnie doradzić musiał.

Romlikowi już stryczek na szyję zakładano, gdy Łukosz w rozpacz wołać począł:

— Dziej się wola Boża, nie dam ginąć staremu, niech król lepiej zamek traci. Ma ich dosyć, a u mnie on jeden na świecie.

Na twarzy Białego zabłysła radość, pokazał się uśmiech, spał konia, śpiesząc już sam do bramy.

Wewnątrz podnoszono żelazną kratę, Łukosz biegł sam, aby co prędzej starca wyzwolić. Złotorja się poddała. Książę Władysław pierwszy wjechał na zamek.

Tak nadzwyczajne powodzenie, w ciągu bardzo krótkiego czasu, opanowanie Włocławka, Gniewkowa, a nakoniec najbardziej upragnionej Złotorji, nie tylko księcia wbiło w dumę i dodało mu niezmierniej odwagi, ale wszystkich przy nim będących upoiło.

Lasota nie wątpił, że od tej chwili, gdy już z Włocławka, Gniewkowa i załogi zebranej na zamku mieli kilkuset ludzi zbrojnych pod swem dowództwem, dalsze zdobycze pójdą łatwo.

Pierwszy ten krok, zawsze najtrudniejszy, był uczyniony. Stary Gniewosz podjął się ziemian i ubogich panoszków z okolicy ściągać pod chorągwie książęce. Niektórzy, zasłyszawszy o tem, co się stało, biegli sami, ofiarując usługi swoje.

Białego księcia poznać nie było można, szal go niemal opanował, już nie Gniewkowskie księstwo myślał zagarnąć, ale bodaj całą Wielkopolskę. Czuł się bohaterem, sobie przypisując, co było dziwnym tylko składem okoliczności.

Buśko, chodzący za nim i wpatrujący mu się w oczy, rychło-li zmieni się i wybrykiem jakim dzieło dokończy, zaczynał sądzić, że szczęście może go uczynić wytrwałym.

Na zamku, ponieważ dostatek się wszystkiego znalazł, rozporządzano się, nie pomnąc o jutrze.

Ludzie, przybyli z Białym, gospodarowali, odbijano komory, wyciągano zapasy, wytaczano beczki, chwymano co lepsze zbroje.

Szaszor, który nie bez przyczyny sobie poczęści przypisywał zdobycie Złotorji, i niem był podbudzony do nowych jakichś zamachów... gryząc palce, chodził po podwórzu. Nie dosyć mu tego było. Widział się już w przyszłości naczelnym wodzem księcia, dowódcą na zamku, kto wie, jakim dostojnikiem nowego władcy. Chciał dać jeszcze większy dowód swojej przebiegłości i dowiecipu.

Książę tylko co był zrzucił szyszak, porozpinał się i zabierał spocząć nieco, a myśleć, co dalej czynić i gdzie się sam ma z dworem i siłą swą mieścić, gdy na progu, wasy kręcąc, pokazał się z miną butną Szaszor.

— Miłościwy książę — odezwał się — kiedy się wie-dzie, trzeba korzystać, szkoda czasu. Później się ludzie opatrzą, ciężiej przyjdzie gródki zdobywać.

Biały wstał z twarzą rozjaśnioną.

— Cóż myślisz? — zapytał.

— Mybyśmy z tą siłą mogli się puścić na Szarlej, i tenby się nam zdał.

— Sądzisz? — spoglądając nań nieśmiało, szepnął książę.

— Jak mi Bóg miły, kiedyśmy Złotorję wzięli, Szarlej zdobędziem.

— Jakim sposobem?

Szaszor wása darł.

— Ja znaję sposób — rzekł. — Nim konie spoczną i zjedzą, pchnę takiego czleka, com go pewien, aby popłoch rzucił w Szarleju, i oznajmił im, że Złotorjęśmy wzięli. Złęką się, Szarlej, choćby przyszło oblegać, nie taki mocny, załoga mała, poddadzą się.

Na twarzy Białego razem z radością pewien strach się malował; lękał się stracić, co już trzymał, przez zbytne zuchwalstwo. Zawahał się.

— A jeśli się nam nie powiedzie? — bąknął niesmiało. — Pokusić się i odejść ze wstydem, gorzej niż się nie porywać.

Ale my Szarlej weźmiemy, jeśli tylko prędko się nań rzucimy — gorąco wtrącił Szaszor. — Nie może to być, aby się nie ulękli, tylko czasu nie tracić.

Biały wahał się jeszcze, lecz Szaszor drżał i kipiał z niecierpliwości.

— Niechaj wasza miłość nie zwleka, pojutrze będzie za późno. Żelazo bić, póki gorące. Szarlej weźmiemy.

Jeszcze nie mógł słowa stanowczego wyrzec Biały, gdy słuchający rozmowy od progu Lasota, przejęty i zarażony zuchwalstwem Szaszora, krzyknął:

— A czego czekać? iść!

I toby może nie przeważało jeszcze, gdyby w kącie księżę nie postrzegł Buśka.

Ten stał z miną szyderską, jakby mówił oczyma: Oto go mam, już się zawahał i — i tchórzy.

Wzrok ten i wymówka ubodły Białego, zawstydził się.

— Na Szarlej! rób, jakieś powiedział — iść. Załogi część ze Złotorji weźmiemy z sobą, a włocławskich i gniewkowskich tu zostawić. Ślijże przodem stracha, my za nim.

Szaszor z radości, że mu się księcia namówić udało, przybiegł go w rękę pocałować, kołpak na głowę włożył i wpadł, jak szalony, w podwórze.

Miał tyle jednak pomiarkowania, że nie okrzyknął jeszcze głośno, dokąd i kiedy iść mają; począł tylko załogę rozdzielać, ludzi wybierać i w imieniu księcia przywłaszczył sobie moc nad wszystkim. Nikt mu się nie sprzeciwiał.

Człowieka, który trwogę miał przodem zanieść, już wybrał zawczasu, do kąta go wziął, naszeptał mu, co było potrzeba, na koń wsadził i z zamku precz z pośpiechem wypchnął.

Wieść o wyprawie na Szarlej nie rozeszła się jeszcze była pomiędzy ludźmi księcia; wiedzieli o tem tylko Sza-

szor, Lasota i Buśko, który był milczący, a niedowierzając przyszłości, starał się tylko z obecnego stanu korzystać. Z Gniewkowa i z Włocławka, co mógł pochwycić, w sakwy pakował, i na Złotorji też, zawsze w imieniu księcia po kątach wszystkich wietrzył, czyby się co nie znalazło.

Sam książę dotąd niewiele własną wolą działał: niesła go jakaś fala szczęśliwa i dał jej pchać się dalej. Najśmielsze marzenia jego przechodziło to, co się ziściło w przeciągu dni niewielu; zaczynał wierzyć w jakieś przeznaczenie. Jasno jednak nie widział przyszłości; sądził, że ona przyjdzie i narzuci mu się sama. Młodzi towarzysze, Szaszor, Lasota i Sikora z innymi, którzy od Gniewkowa z nim byli, czynili zań wszystko. On marzył. W duszy walka dziwna odbywała się między nadziejami najzuchwalszemi i nieopisaną trwogą. Mnisze śluby, suknia, którą zrzucił, ciążyły mu jak pomsta groźby Bożej. A nuż Bóg na to tylko go podnieś się wysoko, aby tem cięższym pokarał upadkiem? Spoglądając na miecz u boku, na zbroję, na szyszak, a przypominając czarną suknię, drżał, lękając się piorunu z nieba.

— Papież, gdy będę możliwym, od ślubów mnie uwolni — mówił do siebie.

Razem z temi myślami, zbliżając się do Drdzenka, Białymimowolnie przypominał sobie Frydę Bodeczankę. Odpędzał to wspomnienie — narzucało mu się jednak niepożycie.

Wiedział, że Fryda była w nim rozmiłowaną dawniej. Lasota przyniósł mu od niej pozdrowienie.

Niegdyś po stracie żony, choć lubił ją, nie chciał się do niej przywiązywać; wspomnienie zmarłej tę nową miłość odpychało. Teraz narzucała mu się ona, jako upragnione, odnowione szczęście, po wyrzeczeniu się go, powracające. On, co już ani wzroku na niewiastę, ani myśli ku niej nie śmiał podnosić, on mógł jeszcze mieć żonę, rodzinę. Serce mu biło.

Tem gwałtowniej pragnął tego i marzył, iż na wieki się był zrzekł wszelkiego zetknięcia ze światem niewieścim, a serce puste domagało się nowego pokarmu. Do pragnień władzy, swobody, wyniesienia się przybywała żądza, wrodzona człowiekowi: podwojenia swej istoty, połączenia z drugą. Wśród ciszy słyszał już głos jej, przypominał pio senki, widział jej wzrok w sobie wlepiony.

W Gniewkowie naprzód to imię Frydy przyszło go w śnie gorączkowym nawiedzić, z niem się obudził, niósł ją z sobą przez drogę, nawet gdy cały zdawał się Romlikiem zajęty. Nowe powodzenie marzeniu temu nadało siłę większą

Zaczynał wierzyć w to, iż ono ziścić się może. Papież musiałby przebaczyć... mógł się kapłan znaleźć do pobłogosławienia związku. Łudził się.

Na krótko myśl o zdobyciu Szarleja oderwała go od tych snów niebezpiecznych, lecz zaledwie słowo wyrzekł, rozkaz dał, zostawszy sam, zanurzył się znowu w tych rojeniach o przyszłości.

Władysław Biały był człowiekiem wrażeń silnych, gwałtownych, choć krótko trwających. Pod ich naciskiem głowa mu się zawracała. Myśl, raz powzięta w mózgu niespokojnym, z szybkością nadzwyczajną rosła, rozwijała się, potężniała, by wkońcu pęknąć, jak bańka mydlana.

Tak teraz opanowała go ta Fryda i — przyszłe gniazdo, które fantazja uścielała.

Nie mógł się powstrzymać od marzenia.

Zapuszcivszy się w nie, postrzegł się dopiero nierychło, iż je całe oparł na jednym jeszcze w Dyżonie rzuconem słowie Lasoty. Chciał jego potwierdzenia, a było mu tak pilno, że, spostrzegłszy Buśka, który z sznurkowania po izbach z sakwą na plecach powracał, krzyknął nań, aby mu wołał Lasotę.

Ten niedaleko był i natychmiast pośpieszał.

O ile mu pilno było wezwać go księciu, teraz, gdy go ujrzał przed sobą, znalazł się zakłopotanym i nie wiedział, jak go badać. Nie śmiał rzucić tego pytania, które mu paliło usta. Zarumienił się.

Lasota stał i czekał.

— Wszak się nie mylę — bąknął nieśmiało Biały — wszak w Dyżonie i później mówiliście mi, przypominam to sobie o Bodeczy... Wszak kazał mnie on pozdrowić.

— Tak jest — potwierdził Lasota — lecz od tego czasu nie widziałem go, ani o nim słyszał.

Księciu pot kroplisty na czole wystąpił.

— Tak — rzekł — cała ta rodzina była mi przyjazna.

Spojrzał na Lasotę, który sobie przypominał Frydę i dorzucił z uśmiechem:

— Nawet Bodeczanka naówczas pozdrowić was kazała. Biały oczy spuścił wstydliwie.

— Tak — dodał — mówiliście mi, że nie wyszła za mąż.

— Powiadano, że też nie myślała ślubować nikomu — rzekł Lasota, który zdawał się myśl księcia odgadywać.

Biały się przeszedł z głową spuszczoną po izbie.

— Pozdrowienie należy odplacić wzajemnem — szepnął cicho. — Bodeza, synowie jego Dobrogost, Utryk i Arnold mogliby mi być pomocni. Chciałbym posłać do nich kogoś...

Spojrzał na Lasotę.

— Miłościwy panie — odezwał się zagadnięty — ja mogę się przydać w Szarleju, kiedy nań iść mamy... Szaszor bardzo dobry do rady, ale gorączka. Nie radbym go odstąpić.

Słuchał z uwagą Biały i głową dał znak, że się zgadza.

— A więc z Szarleja, da Bóg, pojedziecie do Drdzenka z pozdrowieniem ode mnie.

Przyszła mu zarazem myśl śmiała posłania pięknej Frydzie choćby pierścienia przy pozdrowieniu. Niestety! pomimo zdobycia trzech grodów, książę nie miał jeszcze nawet złotego kolca, któregoby mógł ofiarować!

Zmleczał więc, myśl tę zachowując w sobie.

Szaszor, który się palił do wykonania poddanego planu, nie dał księciu długo zabawiać się marzeniami. Zaledwie konie zostały napasione, załoga przebrana, a siła, która miała iść z niemi, skupiła się, wołał już — do koni.

Książę z pośpiechem począł zbroję wdziwać i, otrząsłszy się z swych marzeń, przybrał bohaterską postawę.

Mało co sam czynił, lecz chciał, aby mu wszystko przypisywano. Począł rozporządzać się głośno i przynaglać.

Chciał Łukosza, który mu się z twarzy podobał, zostawić na zamku przy Sikorze, gdyż on najlepiej go znał, lecz okazało się, że Romlik i on, korzystając z chwili zamieszania, gdy na nich nie zważano, zniknęli.

Łukosz, zaledwie otwarlszy bramę, wymknął się do staro-rego, który, ze stryczkiem na szyi, zrozpaczony, leżał na ziemi, widząc zamek stracony.

W pierwszej chwili odepechnął on Łukosza, jako zdrajcę; widziano, że młody długo u nóg jego leżał, o przebaczenie prosząc; co się potem stało z nim? nikt nie wiedział. Oba znikli.

Sikora więc został z załogą napół nową, ale że zamek był mocny, a polecono mu trzymać się bacznie i zapas był wszystkiego znaczny, obawy o Złotorję nie miano żadnej.

Szaszor, w nowy szyszak, zdobyty w Złotorji, przybrawszy się i parę piór czaplich zatknawszy u wierzchu, już sobie zupełnie dowództwo przywłaszczył. Rozkazywał, ustawiał ludzi, mianował starszyznę. Książę się do tego nie mieszał wcale.

Jechał znów pogrążony w zadumach.

Dzień był już, gdy zamek i miejscina ukazały się nadciągającym pod Szarlej.

Szaszor patrzył pilnie, chcąc wnieść z jakiejś oznaki, czy wysłaniec jego dostał się tu i poprzedził ich postrachem.

Zdawało się to prawdopodobnem, gdyż, mimo rannej pory a zupełnego w kraju spokoju, około gródka na wałach ujrzeni snujących się niespokojnie ludzi. Na jednej baszcie postrzegł Szaszor kilku, którzy zdawali się tam stać na czatach, wypatrując, czy się co w okolicy nie pokaże.

Nowemu dowódcy, któremu nie zbywało na przebiegłości i rycerskim instynkcie, szło o to, ażeby siły, które prowadził, jak najgroźniejszymi się zdawa okazały.

Rozporządził więc ludzi swych tak, aby się długim sznurem ciągnęli, zrzadka rozbiwszy się, i wojsko wistocie mogło na pierwszy rzut oka omamić, wydając się liczniejszem, niż było.

Książę, ujrawszy gródek, stanął, odwrócił się i oczyma zaczął szukać Szaszora, który wskok ku niemu przybiegł.

Wzrokiem pytał, co teraz poczynać mieli. Szaszor, nie tracąc wielkiego ducha, którego przez drogę w sobie jak mógł zagrzewał, chciał gwałtownie napaść, i o ile było można, osaczyć gródek, wrzawą i zuchwałstwem zastępując siłę.

Nie sprzeciwił mu się książę.

Zbliżywszy się więc ku zamkowi, oddziały dostały rozkaz opasania go, a Szaszor na koniu, z kilku dobranymi, nieustraszony, podbiegł pod wrota. Tu już widać było ludu dosyć skupionego, jakby się bronić zamyślał.

W pysznym swoim szyszaku, ale zbroi niezbyt dobrze piersi okrywającej, z mieczem do góry, z głową zadartą Szaszor przyskoczył, wołając:

— Kto tu starszy?

Ponad wrota wystąpił człek przygarbiony, w płaszczu długim, na mieczu sparty.

— Książę Władysław Gniewkowski — począł donośnym grzmiącym głosem Szaszor i wskazał na stojącego na koniu — przybywa zająć wasz zamek. Otwierać wrota!

Głowę podniósł stary, mileżał długo.

— Co za Gniewkowski książę? — odparł — my tu nie znamy żadnego. Jeden, co był, to się wyrzekł ojcowizny i sprzedał ją, a kaptur wziął... innego niema.

— Tenci jest... Papież go uwolnił, a król mu oddaje dzielnicę.

Śluchając, stary głową potrząsał.

— Wrota otwierać!

— Idźcie od wrót, bo się bronić będziemy — rzekł stary powolnie.

Z poza niego wystąpił w tej chwili łucznik z ogromną kuszą już napiętą w rękę i beltem opatrzoną, oparł ją na poręczu ganku i zdawał się czekać tylko, rychło mu dadzą znak puścić belt, który wprost na Szaszora wymierzył.

Cała kupka, która z nim pod wrota przybyła, na widok tej zuchwałej groźby krzyk ogromny podniosła. Sypały się łajania i groźby. Wołano, że Włocławek. Gniewków, Złotorja już się poddały.

Stary słuchał spokojnie. Zdawało się, że to pewne na nim i na innych, co się pokazywali, czyni wrażenie; wtem, czy przypadkiem, czy umyślnie, ogromny ów łucznik, trzymający kuszę, pociągnął znaczek. belt świsnął i uwiązł w piersi Szaszora przy samym skraju zbroi.

Młody dowódca krzyknął, chwycił ręką za tkwiący w piersi belt, chcąc go wyrwać, zachwiał się na koniu, pośliznął i stoczył z niego na ziemię. Towarzysze skoczyli do niego ratować, lecz krew mu buchnęła ustami, drgnął jeszcze parę razy — i skończył...

Książę, który nieopodal patrzył na to, cofnął się kilka kroków.

Okrzyk zgrozy rozległ się szeroko. Ludzie, którzy przyciągnęli z Białym, rzucili się ku murom i z luków do stojących na nich strzelać poczęli. W jednej chwili, bez rozkazu żadnego, ku wałom i ostrokołom z toporami, z oszczepami posypało się, co żyło. Załoga jeszcze się była nie przygotowała do obrony. Rachowano może, iż ten strzał i trup odstrasza. Stary dowódca zniknął. W twierdzy popłoch się musiał stać.

Drzazga, który był Szaszora przyjacielem i powinowatym, na jego miejscu począł dowodzić, zagrzewali inni. Lasota trąbić kazał i krzyzczeć, że, gdy zamek zdobędą, nikomu życia nie darują.

Przy pierwszej napaści obrona była słaba, potem zaczęto rzucać kamienie i kilka bali, ale tak niezręcznie, że, nikogo nie raziwszy, się stoczyły.

Zołnierz, wzięty ze Złotorji, któremu o to szło, aby Szarlej nie zawstydził go, a spodziewał się też przy zdobyciu łupu, szturmował zajadłe. Sam książę, nie zbliżając się, na małym pagórku pozostał widzem bezczynnym.

Wszystko to nie trwało długo jakoś, ponad wrotami wywieszono gałąź zieloną, dowódca wyzywał na rozmowę.

Drzazga nie chciał słuchać. Książę kazał pobiec Lasocie i na wszystko się godzić, byle mu gródek poddano.

Śmierć Szaszora nikogo nie zdawała się obchodzić; czeładź jego trupa uniosła nieco dalej, siadła nad nim i płakała, nikt zresztą na biedną ofiarę nie spojrział.

Lasota, upoważniony przez Białego, który sam przez się nie nie czynił, a ludźmi się posługiwał tylko, dopadł do wrót i, śmiały a zabiciem Szaszora nie ustraszony wcale, zażądał, aby go na rozmowę puszczano do środka.

Obleżeni musieli gwałtownym napadem już być przerażeni, gdyż stary, który wprzód występował, i przy którego boku łucznik stał, gdy strzelił, wcale się już nie pokazał; wystąpił człowiek lat średnich, który na dowódcę nie wyglądał, furte kazał otworzyć i przyjął Lasotę widocznie oniesmielony i pokorny.

Tuż przy wnijsciu była brudna izba dla straży, z niskim pułapem, zaduszną i zaśmieconą; weszli tu Lasota, a za nim trzech starszych zamkowych.

— Ludzie! co wy myślicie? — krzyknął porywczy Nałęcz. — Macie być lepsi, niż Włodawek i Złotorja? Obrońcie się ani myśleć! Zamiast cobyście mieli ująć sobie przyszłego pana, postrzeliliście mu zdradnie jego przyjaciela!

— Nie zdradnie, nie! — odparł jeden ze stojących — głupi łucznik wycelował wprawdzie, ale się zaklina, że belt, sam nie wie, jak z kuszy wyleciał.

— Myślicież się bronić! — wołał Lasota. — Weźmiemy zamek nie dziś, to jutro, a was czeka albo śmierć lub dziesiątkowanie.

Trzej wysłani patrzyli po sobie.

— Gdy się zdamy na łaskę — rzekł jeden — będzie się książę mścił za swego. Łucznika, który strzelił, niema. Postrzegłszy, co się stało, rzucił kuszę i, przez ostrokół się spuściwszy, uszedł, będzież za niego niewinny odpowiadał?

— Zdawajcie zamek zaraz — odparł Lasota, — otwórzcie bramy, poddajcie się księciu, a ja w tem, że mścić się nie będzie.

— Niechże jego słowo usłyszym — odparł jeden, a potem, uderzywszy się po głowie — dziej się woła Boża...

Lasota, któremu pilno było, rzekł rzeško:

— Chodźcie za mną!

Zawahali się nieco trzej rozmówcy, poszeptali z sobą, jeden z nich wybiegł, powrócił, naradzali się znowu, Lasota naglił; ociągając się, poszli za nim wreszeie.

Książę stał ciągle opodał, niecierpliwiąc się, aby co prędzej Szarleja dostać, gdy Lasota, wiodąc za sobą wysłanych, zbliżył się do niego.

— Miłościwy panie — rzekł — ludzie ci zaprzysięgają, że Szaszor został trafunkiem zabity i proszą, aby go nie mszczono, a zamek poddać gotowi. Żaręczyłem im to — lecz pragną mieć wasze słowo książęce.

Białemu pomsta za Szaszora wcale podobno na sercu nie leżała, z widocznie rozjaśnioną twarzą, ręką dał znak, że przystaje, a Lasota dodał z siebie:

— Musicie rodzinie za głowę zapłacić — i tyle...

To powiedziawszy, nie dając im czasu do rozmysłu. Nałęcz odezwał się głośno:

— Wrota otwierać, bronę podnieść, a do łańcuchów u brony nasi ludzie żeby byli.

Wysłani pokłonili się księciu, w stronę zamku dając od siebie znak, aby otwierano.

Rozsypani oblegający poczęli się zbierać u wnijscia. Książę zatrzymał się jeszcze chwilę na pagórku, spoglądając zwycięsko ku zamkowi. Wrota otwierano, brona zwolna podchodziła do góry. Szarlej był zdobyty kosztem życia jednego człowieka...

Z radosnym okrzykiem pierwszy oddział, w którym byli gniewkowscy ochotnicy i Drzazga, zastępujący Szaszora, wpadł na zamek. Lasota chciał towarzyszyć księciu, który z pewną oględnością, powoli, gdy już znaczniejsza część jego sił była na zamku, skierował się także ku niemu.

Czwarty gród już poddawał się szczęśliwemu zdobywcy, który miecza nawet z pochew nie obnażył... Nie wierzył sam szczęściu swojemu.

Drzazga i Lasota, nie pytając o rozkazy Białego, natychmiast objęli mury, ostawili strażę i, przez szpary patrząc na tych, co od zemsty uchodzić chcieli, dali się im wymknąć bezkarnie.

Lasota, trochę polityk, rachował na to, że książę, krew rozlewając, nieprzyjaciół sobie przyczyniać był nie powinien.

Stary więc dowódca, łucznik, a z nimi kilku jeszcze wymknęło się, gdy drudzy wchodzili.

Szarlej, choć nie był tak zaopatrzony, jak Złotorja, miał jednak zapasy, a, co księciu najpożądańszem było, dowódca, pośpiesznie uciekając, nie miał czasu swych groszy praskich zabrać i dosyć znaczna suma ich znalazła się w skrzyni,

której zamek odbito. Oprócz tego sukna, odzieży, kun, trochę srebra i koni Białý po nim odziedziczył.

Buško się też pożywił i nazajutrz do kościoła mógł w pięknej, nowej sukni wystąpić, zrzuciwszy ciemną, wyszarzaną, która mu zakonne czasy przypominała.

Starzy przyjaciele księcia Władysława na wieść o jego przybyciu i powodzeniu niespodzianem poruszyli się wszyscy, ale nigdzie radośniej nie powitano nowiny tej, jak w Drdzenku.

Stary Bodeza wprawdzie nie najlepsze miał wyobrażenie o zdolnościach i wytrwałości Białego, jednak kochał go, miał dlań słabość, a politowanie się do miłości tej przykładało.

Jedna córka Bodezy, Fryda, broniła księcia, za którą szli niekiedy i bracia Ulryk, Dobrogost, a nawet Arnold. Z tych trzech pierwszy był mu może najprzyjaźniejszy.

Właśnie w sobotę przed Przewodami wszyscy zgromadzeni byli w Drdzenku.

Letni już Bodeza, który piwa wiele pijał, a ruszał się mało, roztył się w ostatnich latach niepomiernie i dawnych swych rycerskich obyczajów zaniechać musiał.

Córka Fryda, która zamaż wyjść, jedni powiadali, nie chciała, drudzy twierdzili, nie mogła, wielką nad ojcem miała władzę.

Niewiasta też była, której mało kto, częściej z nią obcując, nie uległ wkońcu.

Niegdyś piękna bardzo, teraz jeszcze przystojna i dość świeża, umysł miała nad krasę, chociaż, jak wszystkie wówczas niewiasty, czytać i pisać nie umiała, właśnie może dlatego w pamięci nadzwyczajnej zatrzymywała wszystko, czem ją obcowanie z ludźmi mogło z bogacić. Pieśni, modlitwy, gadki, przysłowia, wiadomości o krajach obcych były u niej na zawołanie. Zdumiewała niejednego, co się uczonym być sądził, a miała też tę śmiałość kobiet pięknych, co swą siłę znają, że nikomu nie ustępowała.

Mówiła kilkoma językami weale dobrze. Dom cały był w jej rękach i na jej głowie, a że ojciec mało mógł się ruszać, i chyba przez okno w podwórze wyjrzał, ona za niego rozkazy dawała i urzędnikom panowała, którzy jej słuchać nawykli.

I szło wszystko ładem wielkim w Drdzenku, tak że Bodeza, który ją z początku zamaż chciał wydać koniecznie, teraz już nikogo nie swatał, bo mu z nią było dobrze, a bez niejby sobie rady nie dał.

Z musu Fryda Bodezanka pomimo niewieściego wdzięku, o którego zachowanie była troskliwą — rozkazując ciągle, coś męskiego obyczaju przybrała. Ruch jej i postawa czasem wojaka młodego przypominały.

Nie przeszkadzało jej to wieczorem, gdy wolną była, do ręki wziąć cytę i przy niej polskie lub niemieckie nucić piosenki; gościom ojcowskim głowy zawracać i zalotnie się uśmiechać.

Jeżeli jednak który z nich wejrzenia wyzywające brał za dobrą monetę, i myślał sobie coś na nich budować, szorstką i szyderską dostawał odprawę.

Twierdzono powszechnie, iż od tego czasu, gdy Biału u nich w Drdzenku przesiadywał, rozmiłowała się w nim bardzo i zarzekła, że za innego nie wyjdzie, tylko za niego.

Gdy potem przyszła wiadomość, że mnichem został, nie zraziło ją to... upierała się przy swem, iż powróci. Śmiały się z niej niewiasty, z którymi poufała była, lecz lata jej tej wiary nie wybrały z serca.

Gdy się w Drdzenku po raz pierwszy dowiedziano o poselstwie do Białego, piękna Fryda rozpromieniała zwycięsko. Była pewną, że gdy wróci, do niej też powrócić musi. O ważności ślubów zakonnych nie miała takiego wyobrażenia, by one wielkiego rodu męża wiązać mogły. Była pewna, że księcia papież rozgrzeszy i uwolni.

Wprawdzie wszystkie te nadzieje zachwiały się, gdy książę, zamiast do Gniewkowa, pojechał do Budy i długo o nim słyhać nie było, lecz Fryda Bodezanka miała wytrwałość wielką, przeczucie jakieś, upór niewieści.

Drugi raz zwycięsko na ojca spojrzała teraz, gdy nadbiegł poseł po zdobyciu Szarleja, oznajmujący, iż książę cztery zamki zdobył i starych przyjaciół pozdrowia.

Posel ten, Lasota, choć przybył z próżnemi rękami, bo książę podarku kosztownego nie miał, a lada jakiego nie chciał ślać, sprawił nadzwyczajną radość. Fryda spytała go, czy się księcia spodziewać mogą, lecz baczny Lasota nie obiecywał go, tłumacząc, że wiele będzie miał do czynienia około odzyskanej dzielnicy, aby ją do stanu takiego przyprowadzić, by się obronić mogła.

Włocławek. Gniewków, Złotorję. Szarlej trzeba było w żywność opatrzyć, w ludzi, w maszyny i pieniądze. Fryda zrozumiała to, posłała życzenie szczęścia.

Dumną nim była.

Od tej chwili Bodeza, Dobrogost, Arnold, a szczególnie Ulryk, spędzający święta w Drdzenku, o niezem nie mówili, tylko o Białym.

Wszystcy znali go zbliska i dobrze; stary pono najlepiej. Ten głową potrzasał, nie obiecując sobie wiele.

Ulryk przeciwnie, łudził się tą energją, którą książę czasem okazywał, tem gwałtowniejszą, że była wybuchem słabym właściwym.

Dobrogost też nie rozpaczał o nim.

Było to wieczorem już i przed gośćmi dla towarzystwa Bodeczy, który przez cały Boży dzień piwo pijał, stały spore kubki, przy których wiodła się rozmowa o Gniewkowskim księciu: Fryda się do niej nie mieszała, wchodziła i wychodziła, przysłuchując się tylko. Na podwórzu mrok był, w izbie mroczniej jeszcze. Stary na podestanej miętko ławce w kącie, u rogu stołu odpoczywał.

Fryda właśnie była wyszła.

— Mówcie wy, co chcecie — począł głosem nieco ochrypłym, jakając się i spluwając. — ja kocham go, to pewna, ale mu nie rokuję dobrego nic. Jest jak to konisko, co, zaprzężone bryka, wierzga, rwie się, a najpierwsze ustanie.

— Tak to było, gdy młodszym bywał — przerwał Ulryk, syn Bodeczy, chudy i słuszny mąż, twarzy wesołej o niskiem czole i wejrzeniu jasnem, a niegłęboko sięgającym. — Znaliśny go w tych dniach żywota, gdy go boleść szarpała, więc zmienionym był, ale mu na męstwie i na rzutkości nie zbywa. Juści to zdobycie zamków... nielada sprawa.

— Daj mu, Boże, jak najlepiej — szepnął Bodeza, popijając — ja się boję o niego. Gdyby jeszcze Otto z Pilcy był wielkorządcą, ale z Sędziwojem...

— Tak, Sędziwój rozum ma i męstwo i umiejętność zażycia ludzi — przerwał Dobrogost, — lecz nie ma w Wielkopolsce miru. Znają go ludzie wiernym Ludwikowi i Elżbiecie, a tych mało kto lubi.

— I — dodał Arnold — cichaczem ci, co po niego posyłali, pomagać będą Władysławowi.

Chłopię przyszło w kominie ogień naniecić, aby izbę rozświecił, gdy zatętniało na moście zamkowym i trzech konnych wpadło szybko w dziedziniec.

Arnold oknem wyjrzał.

Fryda, która od bytności Lasoty codziennie chodziła strojna, z utrefionemi włosami, z łańcuchem na szyi, niby dla świat, a wistocie dla jakiejś nadziei, do której się nie przyznawała, wbiegła żywo do izby... rumieniec miała na licu i drżącym głosem odezwała się:

— Ktoś przybył.

Kończyła wyrazy te, gdy w progu ukazała się postać rycerska, mąż w płaszczu na ramionach, lekki szyszak zdejmujący z głowy.

Mimo upłynionych lat poznali wszyscy w nim księcia Białego. Fryda, zbladłszy, o stół się oprzeć musiała.

Otyły Bodeza dobywał się z siedzenia. Dobrogost, Ulryk i Arnold śpieszyli na spotkanie.

Książę stał długo, jak posąg, w progu, z oczyma wlepionymi we Frydę, która, drżąc cała, witała go też wejrzeniem.

— Przyjaciele moi — odezwał się wreszcie gość głosem, w którym wielkie odbijało się wzruszenie — przyjaciele moi. przybyłem do was... Zbiegłem choć na godzin parę.

To mówiąc, płaszcz z ramion zsunął i z wolna począł się ku środkowi izby posuwać. Bodeza ze łzami go ścisnął. Dobrogost i Ulryk wyciągnęli ręce, on się przecisnął między nimi do stojącej dalej Frydy.

Lecz jej i jemu na powitanie wzajemne wyrazów zabrakło. Dziewczę sromało się i ułękło, czując, że ją może nie taka znajdzie, jaką pamiętał. W nim wspomnienie jej z widokiem zmienionej i zwiedłej nieco walczyło. Przyniósł w pamięci obraz świeżej, rozkwitłej, a znajdował choć jeszcze w kwiecie, lecz już dojrzłą, poważną niewiastę.

Nim te obrazy zlały się z sobą i rzeczywistość zatarła pamiętkę zbladłą, Biały nieporuszony stał naprzeciw niej. Ujął jej rękę i powoli do ust przycisnął.

Fryda zarumieniła się i odżyła, wyprostowała, zwyciężkiem znowu wejrzeniem mierząc przytomnych. Radosne głosy Ulryka, Dobrogosta, Arnolda mieszały się z sobą.

— Wina na powitanie gościa naszego! — począł Bodeza natarczywie. — Frydo! każ podać, co dom ma najlepszego, bo gość to wielki, a Bóg świadek, niespodziewany.

Biały, który zjawił się tu nie bez pewnej obawy, zaspokojenia i troski, wnet się ożywił. Twarz rozweselona odmłodziła i zatarły się na niej widoczne ślady przebytych lat w celi klasztornej.

— Pokruszyłem więzy, które mnie przykuwały — odezwał się — i spodziewam się nie dać ich już włożyć na siebie. bym stanął do celu.

— A! tak! — westchnął, w pół go obejmując, otyły Bodeza — z Sędziwojem sprawa...

— Nie tyle się o nią troszczę — zawołał książę — jak o to, aby w Budzie mi królowa siostrzenica dotrzymała słowa... Mam jej obietnicę, że mnie popierać będzie. Jeżeli

się czas jakiś utrzymać potrafię tu, królowa to wyrobi u Ludwika, że mi odda dzielnicę.

Słowa te. wyrzucone z taką śmiałością, jak gdyby prawdą były, uczyniły radosne wrażenie na słuchaczach.

Książę wistocie łudził się... Jeżeli miał obietnice królowej ogólne, co do zapewnienia losu swego, nie stosowały się one wcale do obecnego położenia, którego nie mogła przewidzieć, ani pochwalić, ani uniewinnić.

Lecz Biały dla dodania sobie męstwa zmyślał przed sobą samym to, co go pocieszać mogło. Zapewnienie to o opiece królowej przyszło w porę i powitano je kubkami, które właśnie przyniesiono. Fryda drżącą ręką, z uśmiechem sama mu najpiękniejszy becherek podała, a książę, patrząc jej w oczy, wychylił go do kropli.

Bodeza, który na nogach z ciężkością się mógł utrzymać, do siedzenia zapraszał. Dobrogost już mu krzesło przysposabiał.

Wtem książę zwrócił się ku drzwiom i pozostałemu przy nich Lasocie dał rozkaz, aby konie popasał i o wschodzącym z północy księżycu miał je do odjazdu gotowe.

Bawić nie mógł, jak powiadał.

Wszyscy się w niego z wielką wpatrywali ciekawością, a najpilniej Fryda, która śledziła z twarzy, czy się jego uczucia i charakter nie zmienił.

Znajdowała go wistocie innym, starszym może, lecz takim, jakim wprzód nie był nigdy, podniesionym na duchu, mężnym, ufającym sobie i szczęściu swojemu. Ten wyraz oblicza wkrótce usprawiedliwiały słowa, które w początku powoli, potem coraz żywiej i goręcej z ust jego płynąć zaczęły.

Ulryk i Dobrogost winszowali mu odzyskanej dzielnicy. Uśmiechnął się lekceważąco.

— Moja dzielnica — rzekł — tylko na to mi służy, abym miał gdzie pierwszą postawić stopę.

Podniósł głowę dumnie do góry i spojrzał na Frydę.

— Moja dzielnica — dodał — będzie dla mnie obozowiskiem, miejscem dogodnym, z którego robić zamierzam wyieczki.

Słuchano go z uwagą, on z lekkomyślnością człowieka, który tajemnicy w sobie utrzymać nie umie, począł niewyzywany mówić z zapalem:

— Wiecie, że niegdyś chodziłem z krzyżakami na Litwę, miałem nawet myśl jakąś wstąpić do ich zakonu. Mam z nimi dobre stosunki, kilku towarzyszków broni; sędzę,

że gdy się do nich odezwę, zrozumieją interes swój i będą mi pomocą. Wielkopolscy ziemianie nie cierpią Ludwika, chcą Piastą, przecież nie kto, tylko oni z klasztoru mnie wydobyli. Mam więc świetniejsze nadzieje, niż błabe księstwo Gniewkowskie. Szczęście mi się wyraźnie uśmiecha, jest w tem palec Boży.

I wsparłszy się jedną ręką na stole, mówił ciągle z tem zaufaniem w sobie.

— Zaprawdę życzę dobrze mężowi mojej siostrzenicy, a lepiej jeszcze jej samej i jej córkom, ale one nie utrzymają się na polskim tronie. Dość im będzie Węgier i Włoch do podziału.

Milczeli słuchający, najmocniej zdumionym był stary Bodeza. Nie poznawał tego człowieka, którego pamiętał zniechęconym do świata i wzdychającym do spoczynku.

Ulryk i Dobrogost z czią spoglądali na niego.

— Wszystko to — rzekł Bodeza powoli — możliwe przy łasce Bożej, lecz wiele potu i krwi na to potrzeba.

— Ludzie płyną do mnie, cisną się, mam ich więcej, niż się spodziewałem — rzekł Biały. — Grosza mi brak trochę, ale go Wielkopolska dostarczyć musi: Ludwik, zajęty Włochami, sił wielkich przeciw mnie wystawić nie będzie mógł, tymczasem ja się w nie wzmogę. Złotorja mocna jest, Włocławek także trzymać się będzie.

— Masz księżę wodza wybranego? — przerwał Arnold — na tem wiele zależy.

Księżę znowu się uśmiechnął.

— Dopóki go nie mam — rzekł — sam nim będę! Prawda, że z mnicha nagle nim zostać byłoby innemu trudno, ja mam we krwi to, żem do wojny stworzony... Teraz dopiero czuję, że to było przeznaczenie moje.

Tak się przechwalał księżę, a gdy parę kubków wychylił i wejrzenie pięknej Frydy zagrzało go więcej jeszcze, nie tał już, że się o koronę polską dobijać myśli.

Mówił to z takim zaufaniem w losy swe i siłę, że wszystkim, nawet Bodecy, powątpiewającemu o nim, zamknął usta.

Na twarzy Frydy odbijało się każde jego słowo. Chciałaby była nie stracić żadnego, móc nie odchodzić i nie spuścić oczów z niego, przybliżyć się doń, lecz starania o więcej zmusiły ją do wyjścia.

Zaledwie kilka kroków zrobiła w korytarzu, gdy przy słabym blasku ogniska, które przez otwarte drzwi kobiecej komory wpadło tu, ujrzała małą a pękatą postać jakąś, cisnącą się jej do kolan i usiłującą pochwycić rękę.

Śmiech, towarzyszący tej napaści, przypomniał jej i dał poznać Buśka, który tu niegdyś z księciem przesiadywał i uprosił się dziś za towarzysza, aby miłe powitać wspomnienia.

— Buśko! to ty chyba! — zawołała Fryda, której wszystko, co do księcia należało, miłem było.

— Ja to, ja — odparł zadyszany mały. — Takem go prosił, że mnie wziął tu z sobą. O, moja królowo! jakże tu u was dobrze i miło!

Fryda go wprowadziła z sobą do izby.

Spojrzała nań przy świetle ogniska... Wydał się jej bardzo nabrzęklým, zbabiałým i starym ten dawniej wesóły i pocieszny śpiewak i bajarz.

On ją znajdował, jak dawniej, piękną i, całując rąbek jej szaty, powtarzał to. Fryda śmiała się rada.

— Twój pan, Buśko — zawołała — także zyskał na męskiej urodzie, a urosł na takiego bohatera. Jak rycersko wygląda!

Ruszył ramionami służka, który znał dobrze swojego pana.

— Królówko moja — szepnął poufnie — niema się go co bać. Jemu takie bohaterstwo przychodzi i odchodzi łatwo, a że się nie odmieni wcale, ja za to ręczę.

— Przecież dokazaliście cudu! — zawołała Fryda.

— My? — szepnął Buśko — ani on, ani ja się do tego nie przyznamy. Samo się to zrobiło.

Fryda się zmarszczyła.

— Niedobrze służysz swemu panu — rzekła — kiedy mu ujmujesz sławy.

— Ja? ja go kocham, jak własną wątrobę! — zawołał Buśko. — nikt go, jak ja, nie kocha, ale nikt lepiej go nie zna. Najwięcej się o niego boję, gdy mu najlepiej, bo tylko co nie widać, gdy on sam psuć zacznie.

Rozgniewała się piękna Bodezanka i nóżką tupnęła.

— Niegodziwy jesteś! — krzyknęła.

Buśko pocałował rąbek jej sukni.

— Królowo moja... wy mnie sądzicie surowo — odezwał się — ja to mówię, abyście wy go trochę otrzeźwili. Zdobył, sam nie wie jak, cztery zamki... więc już o koronie marzy i króla chciał z tronu zrzucić; a jemu gdyby Gniewków dali, dośchy dla nas dwu było.

Fryda popatrzała nań groźnie.

— Rozum swój zachowaj dla siebie — rzekła surowo.

Buśko odstąpił krok i, widząc, że się wdał w nieswoją rzecz, począł szeptać ciszej:

— Królowo moja, gdybym ja wam mógł opowiedzieć, jak on przez te lata ciężko za wami wdychał, a często wspominał... jak mi wasze pieśni w klasztorze sobie nucić kazał. A myślicie, że byłby swoją celę opuścił, gdyby go tu wasze nie wabiły oczy! Wszystko to, co on czyni, tylko dla was... byle wytrwał.

Tu usta sobie dłonią, jakby napuchłą, zamknął, śmiejąc się.

— Przecież sam mówisz i dowodzisz, że wytrwać umie — odparła Fryda.

— Ale nie we wszystkim — westchnął Buśko! — Z Dyżonu pojechaliśmy do papieża, tam nam nie chcieli nie dać i nie zrobić. Żeby był zaraz puścił się do Polski, jużbyśmy wszystką biedę przebrnęli, ale do Węgier, do siostrzenicy jechał. Cośmy tam czasu zmarnowali! Król omal go znowu w kaptur nie ubrał. Szczęściem, że o was pamiętał, piękna Frydo.

Bodeczanka mileżała, słuchając.

Dziewczynnie kubek przynieść kazała i podała sama Buśkowi, który oddawna pożądliwemi oczyma dokoła rzuceł.

— A! królowo moja — westchnął, kubek przyjmując — musiało mu w Dyżonie być bardzo tęskno... kiedy takie wino dobre porzucił. Ale on go tam czasem do ust nie brał, tak był stęskniony. Bywało, siedzi w nocy, nie śpi, wdycha, a gdy posłyszysz, że czuwać, albo o was rozpowiadać, lub waszą jaką pieśń nucić mi każe.

Fryda byłaby słuchała chętnie opowiadań pochlebcy, który, skutek ich obrachowawszy, rad był ją karmić niemi, lecz z izby gościnnej dochodził ją głos Białego. Pośpieszyła tam pod pozorem przygotowań do zastawienia wieczery.

Ksiązę-mnich był cały pod urokiem czaru, jaki kobiety wywierają, gdy dawno nie obcowało się z niemi poufalej. Wydawała mu się tak piękną, a nadewszystko tak ponętną tem, że mu jej oczy o miłości mówiły.

— Frydo — zawołał — tęskniłem i dla was wyrwałem się stamtąd, gdy mi oznajmiono, że wolną jesteś. Frydo — dodał ciszej — jak skoro jeden z mych zamków umocnię, porywam cię...

Zarumieniła się Bodeczanka.

— Przywieź tylko z sobą księdza, któryby nam ślub dał... pojedę.

Ksiązę zaczerwienił się i zmieszał.

— Stanie się to po twojej woli — rzekł — a gdy to dopełnię, uczynisz mnie niezwyciężonym, bo mojego szczęścia bronić będę...

Cichym szeptem skończyła się rozmowa.

Wtem przez okno przewlekłe, za błonami, wyrzał czerwony, przekrojony nawpół księżyc wschodzący. Biały porwał się od stołu.

U progu stał Lasota, a za nim opończą okryty, rozkołysany napojem i ucielną rozmową, Buško.

— Na koń! — zawołał Biały. — Musimy przededniem być w domu.

I dwie dłonie wyciągnął ku gospodarzowi i jego synowi, ścisnął rękę Uryka, a cofając się do progu w cień, Frydę ujął wpół i w czoło pocałował.

Lekki stłumiony okrzyk dał się słyszeć, na moście tętniało. Biały, świszcząc piosenkę jakąś, pędził z powrotem na zamek.

Ale ra tem też i skończyły się powodzenia Białego. Niebawem wojewoda Sędziwój z Szubina, zebrawszy poczet nie-mały, odebrał mu Włocławek, a księżę, zniechęcony i kapryśny, jak zwykle, zraził się do wszystkiego, wszedł w układy z Sędziwojem i, zrzekszy się pozostałych trzech zamków, schronił się do Drdzenka. Rok tam przesiedział beczynnie, wkońcu, podniecony przez Frydę, znowu się zerwał i ubiegł napadem niespodzianym ponownie Złotorję, a potem i Gniewków.

Od przybycia do Złotorji Białego księcia, który, w Gniewkowie małą zostawiwszy załogę, sam z głównym taborem swym przeniósł się do mocniejszego grodu, niezmierny ruch i czynność tu panowała.

Przypisać je należało nie tyle Białemu, co tajemniczemu jakimś wpływowi, który go teraz innym czynił człowiekiem.

Tajemnicą tego zwrotu w charakterze było przybycie Frydy, która, nie mogąc nakłonić braci, aby mu pomagali, wiedząc, że księżę nie potrafi wytrwać bez nieustannego podżegania, poświęciła się dla niego, wykradła się do Złotorji i pozostała w niej, czuwając nad Białym, będąc jego doradcą i nadzorczą. Jej winien on był to męstwo i wytrwałość, które okazywał.

Z izdebki, w której była zamknięta, mężna i czynna kobieta rządziła nie tylko Złotorją, ale kierowała wszystkimi

krokami przyszłego męża. Ukryta, aby nie jej, ale jemu przypisywano wszystko, cicho poddawała mu myśli, kazała sobie donosić szczegół najmniejszy i z trafnością zdumiewającą korzystała ze wszystkiego, cokolwiek dało się zużytkować.

Córka ojca, który nigdy rycersko służył, siostra trzech wojaków, wychowana wśród ciągłych zajęć wojennych, obeznana z niemi, lepszym była wodzem, niż Biały, który nigdy rycerskiego ducha nie miał, a resztę rzeczy rycerskich w klasztorze zapomniał i pozbył się ich.

Baczny postrzegacz byłby może zrozumiał, z postępowania księcia wnosząc, że ktoś stał poza nim, że mu dyktowano to, co czynił i kierowano nim, ale w gorączce, jaka panowała na zamku, nie tak bardzo na drobne odcienia zważano.

Lasota zaczynał wierzyć w księcia i więcej mu ufać; inni też, patrząc nań, mężnieli. Tylko gruby Buško, gdy o tem mówiono, milczał głupowato.

Fryda była jakby w gorączce nieustającej; przebrana po męsku, wyrwała się wieczorami na zamek, opatrując wszystko, domagała się ciągłych doniesień, liku ludzi; w jej głowie niespokojnej legły się ciągle jakieś wymysły nowe.

Biały, który teraz o niczem już nie wątpił, upierał się iść na Inowrocław. Była to własna myśl jego, i do niej, jako do swej, uparcie się przywiązywał. Fryda, choć z obawą, nie chciała mu się sprzeciwiać.

I wyprawa na Inowrocław ruszyła. Wyprawa nieszcześliwa, bo pod Gniewkowem Jasko Kmita z Bartkiem z Wiec-burga zadali klęskę tak wielką Białemu księciu, że ledwo sam uszedł z życiem.

A wtedy i umysły Wielkopolan odwróciły się od Władysława, tem więcej, iż właśnie wtedy na zjeździe w Koszycach król Ludwik nowe przywileje szlachcie całej nadał.

Wymogli na nim Krakowianie wolność zupełną od wszelkich danin, opłat i posług, krom dwu groszy z łanu na św. Marcina; obiecał ich na służbę rycerską nie wołać za granicę, chyba za sowitem wynagrodzeniem; o wszelką sprawę rady pytać, bez niej nic nie stanowić; urzędników nie mianować, ino swoich, a książąt i z krwi ich nikogo; po miastach też sądzić tylko ojczyców tych ziem, w których one leżą. Na-ostatek i podwody królewskie darował, byle jedną z jego córek naród za królową sobie obrał.

Bronił się jeszcze Biały w zamku w Złotorji, którego mocne mury i dwie rzeki osłaniały, pomimo usiłowań Sędzi-

woja z Szubina. Jaska Kmity i innych ściągniętych dokoła, aby nie dać Białemu księciu więcej się rozpościerać, bronił się przez zimę całą, bronił wiosną jeszcze, mimo szturmów mocnych a ustawicznych.

Książę, chociaż najmniej się może przyczyniał do tak wytrwałego oporu, był nim dumny i sobie go przypisywał tylko.

Nawet przed Frydą, która go dobrze poznała, rad był odgrywać rolę bohatera.

Dnia pewnego nie szturmowano.

Spokój ten, który mógł się zdawać dla obleżonych pożądanym, był wistocie dla nich zgubny.

Przypadek czy rachuba sprawiła to, czego żądał wojewoda.

W walce, we wrzawie kapiąc się, Biały byłby wytrzymał z tym zapalem, jaki go unosił chwilowo; w spokoju wytrwać długo nie umiał.

Pod wieczór porzucił się na łożo i trwardym snem usnął, mając swojego Buśka u nóg.

Fryda przyszła, spojrzała na niego i zachmurzona powróciła do swej komory. Przeczynała, co się w duszy jego dziać musiało.

Dopiero następnego dnia zbudził się Biały, przetarł oczy i, zobaczywszy Buśka, zapytał go:

— Szturmują?

Chciał już zbroję wdziewać i za oręż pochwycić.

— Nie, siedząc cicho — rzekł blazen, wzdychając. — Pewnie Każka, który zmarł, grzebać będą.

— Każko? umarł? — krzyknął książę.

Buśko głową potwierdził.

— I koń zdechł, co pod nim był, i on w nocy skończył — odezwał się. — Szkoda! taki pan był, co sam z drewnianego kubka pijał wodę, a służba ze srebra wino...

Zmilkzał zasnęty książę. Rzucił się na łożo i oczy wlepił w pułap. Wyczekawszy trochę, jeść i pić podawać kazał.

Milczący pił i jadł, gdy weszła Fryda. Spojrzeli na siebie. Kobieta spostrzegła zmianę na twarzy, która była u niego zawsze wiernem ducha zwierciadłem. Oblicze ostygłe było, brwi nawisłe, oczy zagasłe.

— Każko zabił! — rzekł cicho... — Widziałem, jak go kamień przywalił...

Dźwięk głosu, osłabły, zachrypły, potwierdził to, co powiadały oczy.

Nie mówili prawie z sobą: Fryda każdy ruch jego śledziła. Gdy Buško, który ustąpił, powrócił do izby, książę wysłał go na mury dowiedzieć się, czy walka nie rozpocznie się na nowo.

— Darmo stać — rzekł bazarz — darmo... Szturmu już oni przypuszczać nie będą

Spojrzał nań Biały.

— Zwijają obóz? — spytał.

— Nie! — zamruczał Buško. — Nie, mówią, że ludzi darmo tracić nie chcą, gdy i tak wezmą nas głodem.

Książę się rzucił na siedzeniu.

— Nie pleć, głupcze! — zawołał.

— Oni to plotą, nie ja — szepnął Buško i westchnął.

Wstał Biały od stołu i po izbie się przechadzać zaczął; reszta energii drgała w nim, mając skonać...

— Drzazgę zawołać! — krzyknął.

Stawił się dowódca, z twarzą niewesołą i z zalepioną blizną od strzały.

— Na wiele czasu żywności mamy? — zapytał, stojąc naprzeciw niego, książę.

Oczy Drzazgi, zwrócone ku panu, odpowiedziały wprzód niż usta...

— Dwie niedziele nie pomrzemy — rzekł — ale nie utyjemy... mąki mało... gąb przybyło... boć i jeńców dwudziestu kilku karmić trzeba...

Stali naprzeciw siebie milczący; książę się nagle odwrócił i dał mu odprawę ręką.

Popatrzył w okno, przeciągnął się i jak kłoda obalił się na swe łożo, rękę podkładając pod głowę. Fryda chodziła po izbie, Buško siadł w kącie i spoglądał ku niemu...

Czuła Bodezanka, że była to chwila stanowczego przełomu; spróbowała słowem wlać w niego męstwo.

— Gdy się spodziewać nie będą, wycieczkę niech zrobi Bylica... Żywność skądby podwieźć można.

— Gdyby była — odparł Biały. — Zamek ścisnęli, jak w garści; nie wymknie się i mysz z niego. Dwie niedziele... a potem!...

Nie dokończył.

Zerwał się niespodzianie z łoża.

— Dwie niedziele!... — począł głosem zwątpienia. — Wszyscy mnie opuścili, wszyscy, twoi... moi... Każkę Pan Bóg skarał... tak, ale królowa Elżbieta kochała go bardzo, król także; większy jeszcze gniew mieć będą ku mnie...

Ręce rozłożył szeroko.

— Nawet poczeiwie zginać nie mogę! — dokończył. Padł znowu na łożo, oczy zakrył, i Fryda słowa już z niego dobyć nie mogła.

Tydzień upływał, wojsko, obozem stojące dokoła, zbliżało się wprawdzie ku przekopom walczyć na słowa z załoga... lecz szturm ani napaści nie przedsiębrało...

Biały stracił zupełnie odwagę, nadzieję i cierpliwość. Z każdym dniem słabł więcej.

Fryda chłostała go szyderstwem, znosił je z obojętnością, milczący.

Chciał się z zamku ratować ucieczką przez rzekę; okazało się, że pilnowano wszędzie i strażę się na barkach dzień i noc zwijały.

Nie tylko one, lecz załoga też w tym przymusowym złowrogim spoczynku straciła siłę swą i znużyła się nim.

Drzazga z obawy głodu karmił ją coraz gorzej. Skargi i narzekania słyszeć się dawały.

Następnej nocy cicho bardzo Biały obudził Buśka, który spał przy nim.

Długo rozespany bajarz nie mógł po śnie twardym odzyskać przytomności.

— Trudno! — zawołał książę, schylając mu się do ucha. — Słuchaj! Na ciebie nikt nie zważa, boś ty ani żołnierz, ni wódz... puszczą cię wszędzie... każ sobie dodnia furte otworzyć, idź do wojewody.

— Acha! — przerwał Buśko — jam wiedział, że się to tak skończyć musi.

Biały udał, że nie słyszy.

— Głodem nas wezmą — dodał. — Ty nie ode mnie, ale od siebie mu się nastęrcz... Zobaczym, co powie...

Niebardzo rad narzuconemu pośrednictwu, zasepił się Buśko, poskrobał, lecz musiał spełnić przykazanie.

Głód i dla niego był straszny.

Książę, odpawiwszy posła, położył się w łóżku, kryjąc przed Frydą z tem, co uczynił. Posunął do tego stopnia udanie, że wstawszy, pilno i głośno począł się dopytywać o starego sługę i gniewać, że się gdzieś zawieruszył.

Wszystko to nie oszukało Bodeczanki, która ciągle chodziła mileżąca, dumna, nie okazując, jak dawniej, ani czułości dla księcia, ani zbytnej troskliwości o los jego.

Książę też był dla niej ostygly, jakby mu ciążyła, lecz wiązały go przyrzeczenia, słowo dane, a trochę potrzeba serea, które się do nikogo nie przywiązało, a do niej — nawykło...

Z Buśkiem mówił otwarcie, nie potrzebował grać żadnej bohaterskiej roli. bo ten znał go nadto: z Frydą bawił się w bohatera tragicznego, sądząc, że masce tej uwierzy.

Wiedzieli wszyscy w twierdzy, że stary kłębek (tak nazywano książęcego bazarza) był wiernym sługą. a co czynił, to z polecenia jego pewnie.

Zrana, gdy zażądał, aby go puszczone, choć się to podejrzaniem wydawało, otwarto mu furtę. Drzazga przez okno w murze popatrzył, dokąd się uda, i widział, że, zakręciwszy się trochę, bokiem ku obozowi zmierzył. Dało mu to do myślenia.

Buśko musiał dobrze rozważyć, jaką przybrać postać, wchodząc do obozu, co mówić i w jaki sposób.

Śpiewak, trochę trefniś, bazarz, mógł łatwiej, niż kto inny, pół żartem, na próbę, rzucić, co by pospolitemu nie uszło człowiekowi. Nieszczęściem, przychodził w złą godzinę, gdy w obozie panowało rozdrażnienie i smutek, żal po zabitym Frydruszu i po zmarłym z rany Każku Szczecińskim.

Nie zapytał go nikt, gdy się do obozu wsuwał, ani kim był, ni skąd i z czem szedł. Namioty stały popodnoszone dla gorąca, ludzie pokotem odpoczywali, czynności nie było widać wielkiej, tylko czaty pod zamek chodziły.

Z namiotu Szczecińskiego księcia zdjęto jego chorągiew i zawieszono czarną; widać w nim było trumnę już zabita i osmoloną, przy której świece się paliły i księża śpiewali.

Sędziwoja wielki namiot z chorągwią hetmańską łatwo poznać mu było. On też sam w łosiowym kaftanie, bez zbroi, siedział na pniu u wnijscia i z Bartkiem z Więcburga rozmawiał.

Zobaczywszy Buśka, który miał całem życiem wyrobioną i fizjognomję i postać stanu swojego, Sędziwój się namarszczył. Nie widział go w życiu, ale się domyślił posła od księcia i jego dworaka.

Buśko raz i drugi krąg zrobiwszy, wkońcu zbliżył się i zdjawszy kołpaczek, pokłonił.

— Skąd? — zapytał wojewoda.

Buśko na zamek wskazał.

— Od księcia? — cóż za obowiązek sprawujesz przy nim?

Buśko skromną przybrał postawę.

— Jak kiedy — odparł. — Gdy wesoło nam, to ja mu śpiewam, gdy smutno, to z nim płaczę, a gdy głodno, mrę, jako i on.

— Posłano cię, czyś sam z zamku uszedł? — pytał wojewoda.

— Sam, sam — bijąc się w piersi, począł bazarz. — Nudno mi się zrobiło siedzieć tam zamkniętemu...

Wojewoda i Bartek ciekawie mu się przypatrywać zaczęli, a badawcze ich spojrzenia poniekąd zmieszały Buśka, chociaż starał się butno stawiać.

— Z czemżeś to przyszedł, mój człeczko — odezwał się Sędziwój.

Po krótkim namyśle Buśko rzekł:

— Z prośbą, z prośbą, ino nie od pana, bo on nadto hardy, aby prosił o co... ale od siebie, królu mój...

Mlecząc, patrząc nań pilno, wojewoda, Buśko też cedził wyrazy, badając, jakie robią wrażenie.

— Z prośbą, z prośbeczką — rzekł. — Mnie się widzi, panie wojewodo, królu mój, że, gdyby księciu kto dobre słowo powiedział, cała ta niepotrzebna wojnaby się skończyła.

Sędziwój podumał.

— Alboż na słowa z nim można co uczynić? — odparł. — Poddał się raz i nie strzymał przyrzeczenia.

— Panie mój, a król też dał mu co! choć na obwinienie palca? — podchwycił Buśko. — Cóż biedota ma robić? Kaptur mu zaciężył, ojcowizny tylko pragnie... więcej nic.

— Króla pana naszego obraziwszy tak srogo! i tyle krwi wylawszy! — krzyknął wojewoda.

Buśko wydał tłuste policzki i pogłaskał się po głowie tysej.

— Jużci mu coś dać trzeba — szepnął.

— I nie nie dawszy, go weźmiemy — przerwał Bartek.

— Pewnie... za rok, za dwa — rozśmiał się trefniś — i nabije wam jeszcze ludzi.

Sędziwój, który po stracie Frydrusza nie mógł się uspokoić, westchnął.

— Ja go znam — począł Buśko powoli — dobrem słowem wiele z nim zrobić można... Poślijcie doń kogo.

Strząsnął głową wojewoda.

— Próżno kłamać — rzekł. — On ciębie posłał do mnie — więcej posłów nie potrzeba... Powiedz mu, żeby mi się poddał... a może u króla przebaczenie otrzymać, i jeśli nie swoje księstwo, bobyśmy, gdyby siedział na niem, nigdy spokoju nie mieli, to okup zań...

Ze spuszczoną głową słuchał zakłopotany poseł.

— Poślijcie kogo — powtórzył.

— Aby uwieźił lub na męki dał. jak tego nieszczęśliwego Hankę. Nie! ja nie posłę nikogo.

— To będzie się tak ciągnąć długo — odparł Buśko — boć trzeba go przekonać. namówić trzeba. On ani myśli o poddaniu się i — będzie do ostatka walczył.

— Do ostatka chleba — przerwał Bartek szyderczo — a tego my wiemy, że już niewiele macie.

— Do głodu daleko — rzekł Buśko. — A no, jak wola wasza.

To mówiąc, na kołpak, który w rękę trzymał. popatrzał i cofać się zaczął.

Wojewoda, choć tak ostro go zbył. nierad puszczał z niczem. Wistocie chciał skończyć co rychlej z warchołem i gotów był do umowy przystąpić. godność swą tylko musiał poszanować i nie okazywać żądzy zbytnej ani pośpiechu.

Buśko już szedł, gdy zawołał za nim.

— Powiedz księciu swojemu, że dobrze uczyni, gdy rychlej się podda, bo prędzej czy później musi to uczynić, a dziś możeby król łaskawszy był.

Zawrócił się bajarz.

— Ode mnie co posłyszysz, niewiele ważyć będzie — rzekł cicho — wezwijcie na rozmowę.

Wojewoda potrząsnął głową.

— On niech o nią prosi — rzekł krótko i wszedł do namiotu.

Tak z małym czem Buśko musiał powracać. W drodze ci, co go poznali, jako sługę księcia, poszturgali go trochę. Obronił się im, błaznując.

U furty pilnujący Drzazga kazał mu otworzyć.

Księżę sam leżał na dole. Od wrót idącego do izby jego zobaczyła Fryda — i już pewna była prawie, że księżę znowu knuje coś, myśląc o poddaniu się. Jej krew się na to burzyła.

— Ni żyć, ni umierać nie umie! — powtarzała do siebie, miotając się.

Na widok Buśka zerwał się Biały, kazał mu przyjść blisko, aby ich nie podsłuchano, i uważnie nadstawił ucha opowiadającemu. *

Oburzenia nie widać było na jego twarzy, prawie się wypogodził, nie rzekł nic. Położył palec na ustach... i wstał, aby pójść do Frydy.

Spodziewała się go może, zastał ją chodzącą niecierpliwie po komorze.

— Oni nas głodem zamorzą! — odezwał się, siadając.

— Do tego jeszcze daleko — wybuchnęła kobieta. — Gdy głód przyjdzie, z załogą można wyjść i przebić się.

Ruszył ramionami książe.

— W gołem polu nasza garść się im nie ostoi.

— To wybiją nas i umrzemy rycersko, a godnie — zawołała Fryda.

Biały spuścił głowę.

— Ale ja mam nadzieję, że mi król Gniewków puści, gdy...

Nie dokończył. Fryda rzuciła szyderstwo.

— Gdy mu się poddasz i poprzestaniesz na jałmużnię? Nie sądzi, by ci dał choć piędź ziemi... zapłaci za nią, a na księstwo nie puści!

Biały zamilkł.

— Śmierć z głodu albo od miecza! — zamruczał — oto, co zostało... ja żyć chcę!

— Choćby z kajdanami na nogach? — spytała Bodczanka.

Nie dając odpowiedzi, wyszedł gniewny.

Z południa zatrabiono u wrót, książe jednego z jeńców wyprawił, prosząc o rozmowę z Sędziwojem. Lecz, sami raz zdradą go podszedłszy, obawiał się też napaści jakiej. Chciał rozmowy na moście u wrót, lub za przekopem i żeby sami byli.

Wojewoda odparł, że on ma więcej powodów niedowierzania, chciał rozmowy w polu, przed obozem.

Biały się lękał.

Zawieszono układy, posłać nie miał kogo. Drzazga się bił dobrze, ale mówił nie do rzeczy.

Uszedł dzień, Biały zaczął już niecierpliwić się i zżymać. Cokolwiek poczynął, pilno mu było; jutra się obawiał, bo siebie nie czuł pewnym.

Połowę niemal załogi wzięwszy na most, aby być od napaści bezpiecznym, wyszedł do Sędziwoja na pół drogi do obozu.

Wojewoda wyjechał z małą kupką pięknie zbrojnych ludzi. Pozsiadawszy z koni, zeszli się, nieufnie patrząc sobie w oczy.

Wzrok Sędziwoja z Szubina miał tę siłę, jaką daje charakter męski: Biały nie mógł go znieść, spuścił oczy pierwszy, drgnął, buta, z jaką chciał wystąpić, opuściła go.

Zabelkotał, że radby wojnę skończyć.

— Ja także — odparł Sędziwoj. — Lecz ja księcia mam w ręku. Chcecie-li zdać się na mnie?

— A cóżeście mi wyrobili pierwszym razem. gdy tak piękne otrzymałem obietnice? — zapytał książę.

— Nie obwiniajcie mnie — rzekł Sędziwój. — Ja wam nie mogę nic dać, ni przyrzec, wszystko od króla zależy, lecz słowem rycerskiem ręczę, że się starać będę, aby los wasz osłodził.

Ze zwieszoną na piersi głową słuchał książę: widać było, że się wahał, że gotów był się już poddać.

Sędziwój dodał jeszcze:

— Czyniłeś miłość wasza, coś mógł, sromu niema zdać się, gdy inaczej być nie może. Weźmiem-li Złotorję, wówczas prawo wojny zawyrokuje o was... łaski się spodziewać nie możecie.

Dumny książę nie odparł już ani żalem, ani groźbą, stał, to cofając się, to podchodząc, otwierając usta i nie wiedząc, co powie.

— Dajcie mi słowo wasze rycerskie, że się ze mną obejdziecie nie jak z jeńcem i z więźniem, ale jak krwi mojej przystało.

Wojewoda zwolna rękę wyciągnął.

Biały, który miał żelazną rękawicę na ręku, zdjął ją i bladą, wychudłą dłoń podał.

Jedno słowo rzekł tylko ponuro i cicho:

— Jutro...

Tak, nad wszelkie spodziewanie wojewody, skończyło się rokowanie prędko i stanowczo. Uległ Biały, sam nie wiedząc, jak do tego został doprowadzony; lecz gdy zawrócił się ku zamkowi, gdy pomyślał o sromocie, jaką musiał znieść, o wyrzutach Frydy, o upadku własnym, wstrząsł się cały, zapragnąwszy raczej śmierci.

I ten poryw trwał niedługo. Do wtót doszedł już ostyglejszy.

— Do klasztoru już nie powrócę — mówił, sam się pocieszając.

Do dolnej izby wszedłszy, znalazł tu Buśka, który wiązał jakieś sakwy, jakby się wybierał w drogę. Ten pewien już był końca. Mruczał sam do siebie, nie patrząc nawet na pana, nie pytając go o nic.

Fryda też nie zeszła z komory swej, a on iść do niej nie śmiał.

Pod noc piosnkę jakąś kazał zaśpiewać Buśkowi, ale ten głową potrząsnął.

— Bij, kiedy chcesz — rzekł — nie będę śpiewał, płacz mnie dławi.

Na zamku, choć nikt nie wiedział, że się poddać miano, gotowali się do tego wszyscy.

Twarze prawie były wesole... bój bez nadziei dokuczył wszystkim.

Podniósłszy się z łoża, niespokojny książę myślał, co uczyni z Frydą... jak jej powie, iż poddać się przyrzekł, jak namówi, aby do ojca wracała. Na to potrzeba było odwagi, której nie miał. Lękał się wyrzutów, trwożył własną słabością. Przecież słowo jakieś wyjęknąć było potrzeba.

Klika razy szedł i powracał. Gwałtownie potem wpadł do izby Bodezanki. Ta siedziała odziana napół po męsku, gotowa do podróży, z twarzą zestarzałą, smutną i bladą.

— Muszę się poddać — zawołał książę — umowa stanęła.

Czekał na odpowiedź, Bodezanka milczała wzgardliwie.

— Wracajcie do ojca... ja nie mam kąta — dodał Biały.

— Nie opiekujecie się mną — zawołała suchym głosem boleści Fryda — do ojca nie powrócę, bo i ojciec, i bracia szydziłiby ze mnie. Nie! w Gdańsku klasztor mnie czeka!

Odwróciła się od niego.

— Frydo! — odezwał się z wyrazem rozpaczliwym Biały.

Wskazała mu na drzwi, milcząc... Zwróciła się ku oknu — i płakała może, lecz łez jej nie widział nikt.

Książę, postawszy u progu upokorzony, wysunął się pocichu.

W obozie, w którym już poddania się spodziewano, ruch był widoczny; książę po kilkakroć szyszak kładł, wychodził i wracał.

Wstał potem, wybiegł i kazał otwierać wrota.

W tejże chwili z komory swej zbiegła Bodezanka, na którą czekał koń i sług jej dwoje.

Nie oglądając się, nie pytając o księcia, który wyjść do niej nie śmiał, siadała na konia.

Zaledwie podniesiono bronę, ona pierwsza, nie zakrywając twarzy, wybiegła z zamku. Sędziwój, który stał nie daleko, Bartek z Więcburga, wiedzący, kto była, przepuścić ją kazali, nie zatrzymując.

Pominawszy ich, mając wolną drogę przed sobą, Fryda uderzyła konia i puściła się cwałem.

Oblegający już się do wrót zbliżali, mając na czele Sędziwoja i Bartka, gdy Biały cały we zbroi swej najlepszej, w płaszczu szkarłatnym, w pasie rycerskim ukazał się na koniu.

Buśko z węzłkami na plecach szedł za nim.

Bartek z Więburga, którego ta pycha księcia przy zdaniu się na łaskę oburzyła i rozśmieszyła, buchnął szyderskim śmiechem.

Posłyszawszy głos ten, książę drgnął, konia strzymał i, zdarłszy z ręki żelazną rękawicę, cisnął ją w twarz kujawskiemu staroście.

— Na ostrze! — krzyknął — na ostrze!

Niespodziewanego wyzwania tego Bartek nie mógł odrzucić. Wziął rękawicę i zawołał:

— Na ostrze!

Książę się z miejsca nie ruszał.

— Natychmiast! — krzyczał głosem drżącym, obracając się do swoich, aby mu drzewo podano.

Wstrzymać go nie było sposobu. Chciał coś mówić Sędziwój. Biały przerwał rozpaczliwem wołaniem:

— Na ostrze! na ostrze!

Kupa ludzi, która otaczała ich, na dany znak rozstępować się zaczęła.

Bartek z Więburga jechał na plac spokojny i obojętny: Biały rzucał się rozwścieczony, miotał na koniu i ledwie się mógł utrzymać.

Widowisko było dziwne.

Niektórzy śmiali się, inni ciekawie cisnęli patrzeć końca tej walce, w której łatwo było Bartkowi wywróżyć zwycięstwo.

Zaledwie stanęli w odległości, jaka zwykle do takiego spotkania wyznaczoną była, ledwie podnieśli drzewa i złożyli jak należało, gdy Biały, wraziwszy ostrogi w bok koniowi, jak szalony, się puścił, zniżając kopję na Bartka.

Ruszył się i on z miejsca, lecz rozważniej; drzewo jego, wymierzone dobrze, uderzyło w ramię Białego, gdy jego kopja ośliznęła się staroście po zbroi i w ziemię zaryła.

Książę, nie mogąc się utrzymać na koniu, rzucił kopję i padł nawznak obalony. Z rany krew buchnęła.

Sędziwój natychmiast dał znak, że walka była skończona: podniesiono księcia i zaniemiałego z bólu na rękach zaniesiono do zamku.

Złоторję zajęły wojska królewskie.

Zbliżała się już zima, a Biały pod pozorem rany, z której go leczono i wyleczono, jeszcze się na nią i na bóle srogie uskarżając, leżał w Złotorji, wyprasząc się ciągle wysłaniu do Węgier.

Niezbyt nalegał na to Sędziwój, który, pod strażą go trzymając, poznawszy lepiej, nie obawiał się już wcale. Chociażby był chciał coś przedsięwziąć niespokojny ów jeniec, nie miał z kim, bo wszyscy go odstawili, oprócz wiernego Buśka.

Życie na zamku płynęło dosyć smutnie, jednostajnie, lecz dla zleniwiałego księcia było znośne może.

Wolał je, niż wygnanie do Budy, spotkanie oko w oko z królem Ludwikiem i wyrzuty, jakiego musiał znosić od niego.

Żądania swe posyłał królowi, królowej siostrzenicy, wszystkim znajomym, których pośrednictwa się spodziewał, lecz w odpowiedzi otrzymywał tylko, że Ludwik gotów był mu coś za Gniewków zapłacić, a oddać go odmawiał stanowczo.

Zamiast wdzięczności za tę powolność i obietnice, Biały śmiertelny w sercu żywił żal przeciwko królowi i starej królowej Elżbiecie, przypisując jej i otoczeniu a doradcom to, że mu Gniewkowa dać nie chciano.

Raz jeszcze pewnie byłby się porwał napróżno za oręż, do którego nie miał szczęścia, gdyby najmniejszą mógł mieć nadzieję, że mu kto stanie do boku. Po pierwszych doświadczeniach wzdragali się wszyscy, słuchać nikt nie chciał.

Sędziwój bez straży puścić się go obawiał, parę więc dni upłynęło, nim orszak mu taki dobrano, aby się drużyną zdawał, chociaż był wistocie dozorem.

Prowadzić miano Białego na Kraków, gdzie właśnie znowu stara królowa bawiła i króla się pono spodziewano. Tu mógł się jego los rozstrzygnąć, jak on pochlebiał sobie jeszcze, oddaniem mu Gniewkowa, a wistocie, wedle postanowienia króla, nową za ten dział jałmużną.

Kraków był bardzo ożywiony, gdyż, ilekroć stara Elżbieta ze swym dworem zamieszkała tu lub w innem mieście, płynął za nią próżniaczy tłum młodzieży, śpiewaków, pochlebców, młodych jej ulubieńców, wesołego ludu, którego obowiązkiem było rozrywać ją i nie dać jej na chwilę się zachmurzyć.

Zrana modliła się gorliwie i szła na nabożeństwo, potem na chwilę już samą jej zostawić nie godziło się; niewia-

sty, panieze, dworacy, komornicy, cytarzyści, muzykanci, skoczki i trefnisie mieniali się przez dzień cały i część nocy. Nie mogąc płaszać sama, lubiła choć patrzeć się na zwiijającą się młodzież.

W tym pustym tłumie zuchwałych ulubieńców królowej, których się, jak ognia, obawiano, bo, pewni bezkarności, dokazywali straszliwie i dopuszczali się oburzających gwałtów, mniej było Polaków, niż Węgrów. Ostatni właściwie składali towarzystwo najulubieńsze królowej, do którego była nawykła.

Przez tych faworytów wszystko było można wyrobić, bez nich nawet dojść do niej nikt nie mógł.

Nie było dnia bez muzyki i śpiewów na zamku, a bez jakiejś zamieszki na mieście, bo Węgrzy zawsze się tu znajdowali, jak w zawojowanym kraju.

Ze skargami na nich docisnąć się do królowej nie było można, a docisnąwszy, nie się nie wskórało.

Przybywszy do Krakowa, Biały, drogą znużony, choć go na zamek prowadzić chciano, oparł się temu, nie życząc sobie ze starą królową się spotykać. Zażądał gospody w mieście i, gdy mu ją wyznaczono w pobliżu Wawelu, zabrał się tu odpoczywać.

Widok życia, gwaru, wesołości, jaka tu panowała, roz wielmożnionych Węgrów, tłumnie przybywających ziemian i wszystkiego, co znamionowało potęgę króla i jego spokojne panowanie, rozjątrzył księcia.

Na złe jego usposobienie wpłynęło i to, że znalazł tutaj Jaśka Kmitę z Wiśnicza, przypominającego mu starostę sieradzkiego tegoż nazwiska, który się do pokonania go przyłożył.

Najrzał też z okna, jak mu się zdawało, Łasotę, który go opuścił, a miał doń żal w sercu. Cóż dziwnego, że, sam więźniem będąc, wśród wesołych i rozhukanych, wszystkim zarówno, na których patrzył, życzył jak najgorzej.

W dzień św. Mikołaja, dość uroczyście obchodzony, Biały do kościoła nawet iść nie chciał: leżał na pościeli, Buśka wysyłając po plotki, lub, jeśli dzień był niezbyt mroźny a pogodny, w bramie stawał i przechodzącym się przypatrywał.

To go jedno cieszyło, że Węgrowie, przesuwający się tędy z zamku, wszyscy z Polaków się naigrawali, w czym on im dopomagał, bo się był języka ich w Budzie nauczył, a Polacy narzekali na ucisk Madziarów, czemu też potakiwał, jątrząc jednych na drugich.

Bawiło go to przez dzień cały.

Nazajutrz rano wyszedł znowu przed wrota, aby się podobnem widowiskiem rozerwać, lecz tylko co się usadowił na czatach, gdy od strony bramy Bocheńskiej, do której nie było daleko, dał się słyszeć tumult i wrzawa, zapowiadająca coś groźnego.

Książę, za miecz porwawszy, ciekaw, co się stać mogło, natychmiast pobiegł, gdzie się już krzyki coraz głośniejsze i wyraźniej słyszeć dawały.

Do Bocheńskich wrót ani się można było docisnąć.

Wśród ogromnego zbiegowiska gawiedzi, pomiędzy którą łatwo było Węgrów rozpoznać, stała fura siana, wysoko się piętrząca.

Ludzie powiadali, że siano to, należące do Przedbora z Brzezia, który je dla koni swych sprowadził, stało się przyczyną zgielku i okrutnego zajścia. Węgrzy chcieli je sobie przywłaszczyć: straż, którą Przedbór postawił, broniła. Z jednej i drugiej strony do oreża się rwano.

Książę uradował się niezmiernie. Z wielkim trudem przebił się pod ścianami domostw, jak mógł, najbliższemu wozu i do Polaków wołać począł:

— Bijcie Węgrów... co ich żalować będziecie!

I natychmiast do Madziarów w ich języku krzyknął:

— Co wy Lachom dajecie rozkazywać? Albo to wy nie panowie tu? Alboście nie królewscy?

Żgał tak jednych i drugich na przemiany, a niewiele potrzeba było, aby ich do walki pobudzić.

Węgrzy nie ustępowali, ludzie Przedbora bronić się zabierali. Niektórzy się już suchemi razami okładać poczęli. Rosło zbiegowisko w oczach.

Z okolicy zamku Węgrzy biegli: z całego miasta ziemian, pacholków, rycerstwa co było szło, zasłyszawszy, że Węgrzy dokazują.

Rozdrażnienie już przygotowało tak obie strony, że wóz siana starezył, aby wybuchło zajście krwawe.

Zapobiegły mu może jeszcze mógł ktoś baczniejszy, gdyby Biały, którego tu nikt nie znał, głosu nie podnosił i oliwy do ognia nie dolewał.

W tej chwili, gdy już do utarczki przyjść miało, krzyki doszły na zamek i królowa, domyślając się, że Węgrzy znowu coś spletać musieli, wysłała Jaśka Kmitę z małym oddziałem ludzi, aby porządek utrzymał.

Za późno przybywał. Madziary, rozwściekieni tem, że się im opierać i burzyć przeciwko nim śmiano, dobyli mieczów i naciągali łuków.

Jaśko Kmita zbliżył się i krzyczał na Węgrów w imieniu królowej, aby wnet odciągali na zamek, gdy jeden z nich łuk napiąwszy, strzelił, a bełt w szyję ugodził starostę tak nieszczęśliwie, iż w miejscu zachwiał się zaraz, padł z konia i ducha wyzionął.

Ledwie się to stało, a już, jak fala, burzą gnana, tłum, który dotąd poruszał się i drgał tylko, pochylił się nad Madziarów w sobie.

— Bij, zabij! — wołano ze wszech stron.

Białły też wtórował, krzycząc:

— Bij! zabij!

Ledwie dwóch z jego straży, którzy pogonili za nim, potrafiło z ciżby wychwycić i uprowadzić z sobą. Ale nie dał się do gospody wieść, bo mu to sprawiało jakąś radość złą, że widział mordujących się z sobą.

Węgrzy już tylko się bronić musieli, takie gromady na nich się rzuciły z zawziętością wielką za zabitego Kmitę.

— Bij! zabij! nie żyć nikogo! — krzyczano po całym mieście i, gdziekolwiek winny czy niewinny Węgrzyn się trafił, mordowano.

Była to pomsta krwawa za długo znoszone upokorzenie.

W samym domu Przedbora, chociaż ocalić się ich starał, zginał Słowak ze dworu królowej. Michał Pogan, zginęło dwóch ulubieńców Elżbiety.

Białły mógł się krwawym nacieszyć widokim, bo co chwila ścigano kogoś w ulicach, a z kamienie, do których się skryli, oknami wyrzucano zabitych.

Nikt już nie miał mocy powstrzymać rozwścieczonego tłumy, który aż do zamku pędził Węgrów, a że tu bramy były zaparte, bo się obawiano napaści na cały dwór starej królowej, kobiety rzucały z okien drabiny dla uchodzących, a lud je strącał i chwycił, nie patrząc kogo, byle się Madziarem wydawał.

Książę, jak gdyby widowisko to dla niego było sprawione, nie wszedł do izby przez cały dzień, od wrót swych krzyżując:

— Bij! zabij!

Ludzie go poskromić nie mogli, a Busko, przelekły, na próżno targał za szaty, błagając, aby się w ten wrzący tłum nie mieszał i milczał.

Odpychał go Biały, i choć krwawe zajście dla niego nie mogło przynieść żadnej korzyści, przyklaskiwał mu.

Noc dopiero ten uliczny dramat zamknęła, gdy już na mieście ani jednego nie było Madziara, a Wawel był zamknięty i obstawiony strażą, jakby wśród oblężenia od nieprzyjaciela bronić się musiał.

Książę obchodził go i wołał:

Tak samo królową oblegają, jak mnie niedawno w Złotorji... Palec Boży nad nimi, zemsta Boża!! Tak samo też i Ludwik i ona z królestwa tego uchodzić będą musieli, jakom ja uszedł z mojej dzielnicy.

Przez całe trzy dni, dopóki się w Krakowie nie uspokoiło, i królowa w podróż się nie wybrała, książę pod Wawelem przechadzał się, radując jej losowi. Byłby może i wyjeżdżającej szyderstwem jakim drogę zastąpił, lecz zasnął rano, a królowa niespodzianie i cicho wymknęła się z miasta.

Tą małą pociechą z cudzej szkody skończył się pobyt Białego w Krakowie. Przysłano mu tu ostateczne słowo króla, iżby zaspokoił się okupem za Gniewków, który mu z łaski dawano, i uroczystą podpisał ugodę, poczem wolność odzyska.

Książę na wszystko się zgodził, poddał, lecz w piśmie, jakie dał, zawarował sobie rychłą grzywnien przyobiecanych wypłatę. Poczem, małą część przyrzeczonego okupu wziąwszy, z dziwną myślą powlókł się do Gdańska, gdzie Fryda do klasztoru wstąpić chciała.

Nie znalazł tu ani jej, ani żadnej o niej wieści, a że go już nigdzie nie nie ciągnęło, w Gdańsku osiadł, czekając na pieniądze od króla.

Tu kilka lat w beczynności smutnej, zleniwiały, niezdołny do niczego, ostatnich dziesięciu tysięcy wyglądając, przespał aż do r. 1380.

Król Ludwik wreszcie odesłał mu je przez Piotra Małochę, starostę kujawskiego i podkanclerzego Szymona.

Wieczorem złożyli mu okup, z którego miał nazajutrz króla kwitować i podpisać zrzeczenie się wszelkich praw do swojej dzielnicy. Lecz nocą myśl mu przyszła szalona ujęcia bez podpisu do Lubeki w Niemczech i nazajutrz go w Gdańsku nie było.

Powiadano, że w Lubecie książę dworem się wielkim otoczył i pańsko występować zaczął, odgrażając się, że Ludwikowej śmierci doczeka i córek jego na tron nie dopuści.

Ocze to były słowa, z których Buśko nawet się uśmiechał.

Zawieruszyło się potem w Wielkiej Polsce, a Biały na próżno oczekiwał, aby go tam wezwano. Zapomnieli o nim wszyscy i po śmierci króla Ludwika, a ci, co nie chcieli córki jego, oglądali się na Ziemowita Mazowieckiego. nie na niego.

Snując się tak z miasta do miasta a nie śmiąc, czy nie chcąc powrócić do klasztoru, zmarł Władysław w podróży. w Strasburgu 1 marca 1382.

W opactwie, z którego uszedł. pamięci niewdzięcznego położono kamień grobowy...

Tak jeden z ostatnich Piastów. marzący o koronie, skończył zapomnianym, zapartym wygnańcem między obcymi.

Krew Piastów. którą niemieckich matek mleko uczyniło obcą i zimną, nie miała już miłości gniazda swego. ani nią natchnąć mogła.

Józefa Ignacego Kraszewskiego

Powieści historyczne obejmujące Dzieje Polski

V.

Boleszczyce

Czasy Bolesława Szczodrego

Wydanie popularne.

Streściła K. Łozińska



1922

Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie
Poznań — Lwów — Lublin — Łódź — Wilno

Było to na wiosnę 1079 roku.

Drzewa już się rozwijać zaczynały, dokoła szumiała i woniała Niepołomska puszcza, wśród niej, na zielonej łące, u strumienia, w cieniu drzew kilku, siedzieli i leżeli na ziemi odpoczywający myśliwcy. Było ich pięciu ludzi, raczej młodych niż starych, zaś po odzieży łatwo rozpoznać można było, że do pańskich należeli rodów.

Patrzyło im z oczu, że rozkazywać nawykli. Pod starym dębem siedział z odkrytą głową, przystojnej twarzy, lat średnich mężczyzna. Odziany był w kaftan skórzany, wyszywany barwisto — obok niego siedzący, równie byli porozpierzani wygodnie — a przy nich łowieckie przybory, łuki, lekkie oszczepy, miecze i noże w bogatych oprawach, znać z jednego wychodziły skarbeca; a i z twarzy siedzących widać było, że z jednego pochodzili rodu, bo rysy mieli dziwnie podobne do siebie. Była to jedna krew w różnych latach rozkwitu.

Niedaleko od nich na łące pasły się konie zarywne, z sierścią lśniąca i grzywami długimi — czeladź otoczona zgrają psów siedziała opodal.

Choć rażno i butnie wyglądali myśliwcy, na twarzach ich nie odbijało się jednak wesele ani radość, dumali nad wiek poważnie i tęskno. Siedzący pod dębem — zwany Bo-rzywojem — odezwał się pierwszy, ziewając:

— Warto już pośpieszyć na służbę do pana, ażeby którego z nas nie zażądał...

— E! odparł drugi, na którego wołano Odolaj — jest komu nas zastąpić... tu człek trochę odetchnie, gdy na zamku we dnie i w nocy spoczynku niema.

— Kiedy ci się tak odpoczywać chce — przerwał milczący dotąd Ziema — jedź do domu — do pana rodzica — tam o pokoju pomyślisz...

Roześmieli się drudzy.

— Oj! to prawda -- odpowiedział już wesoło Odolaj — u nas to o pokoju nie myśleć, ale wolę ja ten niepokój przy królu, niż u dziada ciszę — nie zmienię Wawelu na Zborów. Człowiek się czegoś zawsze dochrapię...

— Albo i nie — zucił trochę pogardliwie Borzywój — niech Bóg da królowi wszystko dobre, bo zacny pan jest — ale w inną godzinę tak mu łatwo dać skarb, jak głowę zdjąć — od Bolka wielkiego takiego u nas nie było, drży przed nim co żywe i słuchać go musi...

— Tylko nie biskup — z tym nie łatwa sprawa — poprawił Zbilut — z ziemiany i żonkami ich, co zanadto hułały, gdy mężowie byli na wojnie — dałby król sobie radę, ale z tym, co za oręż ma łaskę krzywą, a na głowie mitrę jak król — nie nam wojować!

— Gorzej, że za nim i władyków i rycerstwa moc stoi, ci woła biskupa w ręce całować, niż króla słuchać.

Rozmowa ta chmurami twarz powlokła.

— Co tam o tem prawić! — ciągnął po chwili Borzywój — my wiemy, co mamy czynić — stać przy królu i basta; przewzano nas drużyną pańską, to też chwalmy się tem przezwiskiem, jakie nam dano — Boleszczycami nas zowią — dobrze! Znajmyż to, że gdy skinie, my za nim w ogień czy w wodę.

— W ogień i wodę! — zawołali wszyscy.

— A jak na biskupa skinie? — zapytał Zbilut.

— To co? my swej woli nie mamy — odrzekł szybko Borzywój — ja pójdę, kędy powie.

Drudzy zmilczeli, patrząc po sobie.

— Zawsze lepiejby było księdza nie zaczepiać — zaczął znów po chwili Ziemia — mają oni taką siłę i moc, jakiej żaden król nie ma.

A Zbilut wnet dodał żartobliwie:

— Ale naprzód to okolo żonek trzeba zrobić porządek... niech nam król zda to na ręce...

— No, to najpierw musiałbyś ład zaprowadzić u Krysty, u samego króla!

W milczeniu już zaczęto przypasywać mieczyki, myśląc o powrocie, gdy na drodze, która do Krakowa wiodła, zatętniało zdaleka. Tętent, zbliżając się, poczynął mieszać z gwarną rozmową kilku jezdnych. Borzywój, który najdalej się wysunął, odwróciwszy się, rzucił:

— Mściśław z Bużenina!

Wszyscy ze złośliwym uśmiechem ciekawie zaglądali, chcąc się przypatrzeć zapowiedzianemu. W boki się po-

brali, twarze nastroili butno a szydersko. Wtem wysunął się orszak, złożony z kilku jeźdźców, przodem jechał rycerz lekko zbrojny, siwiejących już nieco włosów, twarzy pochmurnej, smętnej — obok niego mąż w czerni, wyglądający na kapłana i młode pacholę, wesole i zręczne. Mijając Boleszczyców — starszy rycerz, zwany Mściśławem z Bużenina, wejrzenie śmiałe i groźne skierował ku nim, jakby chciał dowieść, że się ich nie lęka. Ni z jednej, ni z drugiej strony wzrok nie chciał ustąpić — widać było, że mało brakło, by się nie rzucili na siebie. Dopiero gdy orszak Mściśława odjechał o kilka kroków — parsknęły śmiechy głośne, dojmujące, szyderskie, to Boleszczycy popisywali się z tą hałaśliwą wesołością, zanosili się rozlegającymi śmiechami. Jeźdźcy stanęli, jakby namyślając się, czy upomnieć się o zniewagę; słychać było głos męski gniewny i drugi duchownego, który hamował i uspokajał. Po chwili tętent koni powolny oznajmiał, że pojechali dalej w milczeniu.

— Mąż pięknej Krysty! on sam! — zawołał Borzywój — poznałem go zdaleka! Słyszę, teraz żonę kochać strasznie począł, gdy mu ją król zabrał... A uważaliście, że księdzka miał z sobą? teraz bez nich ani ruszy. Ten, co z nim jechał przy biskupie, jest w Krakowie i Mściśław też u biskupa pierwszy sługa.

— A co w tem dziwnego — ciągnął oburzony Zbilut — gdyby któremu z was żonkę wzięto, takżebyście szukali obrony...

— Sam sobie winien — odparł Ziema — bo głupi, bo po co taką młodą, ładną żonkę przywiózł na dwór królowej? Doma ją był winien trzymać za zasuwą... a śliczne to jak drugiej niema, król też nie mnich, jak ją raz zobaczył, spokoju już nie miał; królowa nie młoda, zajęta synkiem, a i Krysta nie była od tego — co król, to król. Wywiózł ją mąż do Bużenina, ale zapóźno. Pojechaliśmy w tamtą stronę niby na łowy — odrazu wiedzieliśmy o co szło królowi. Król się nam kazał obozem rozłożyć w podwórzcu, dowiedziawszy się przedtem, że pana w domu niema, a sam poszedł do dworu. Został tam dzień jeden i drugi, a trzeciego jechaliśmy do Krakowa, wioząc zapłakaną kuropatkę... Posadził ją Bolek na zamku i strzeże jak oka w głowie. Biskup wziął tę sprawę do serca i począł grozić...

— A bo to prawa do tego nie ma? niby to on także nie nasz, może cudzy? przecież ze Szczepanowa; swój, i po słuszości musi gromić grzech i krzywdę.

Nikt już nie odpowiedział; ruszono do koni, aby puścić się tą samą drogą ku Krakowowi. Na gościńcu ruch zaczynał być większy, spotykali wozy, konnych i pieszych. Wszystko to na widok jadących, poznając w nich pańską drużynę, zdala już ustępowało z drogi, kłaniając się do ziemi. Nad wieczorem, w otwartem miejscu ukazał się naprzeciw nich jezdny orszak, który zajmował drogę całą. Borzywój, przypatrzwszy się dobrze, dał znak swoim, aby nie ustępowali.

— To biskupi dwór! — odezwał się półgłosem.

— Nie ustąpić, pewnie! — zawołał Dobrogost.

— Nie przepuścimy! — powtarzali wszyscy i oczy im się zapalać zaczęły.

Dwa orszaki coraz się ku sobie zbliżały, z drugiej strony musiano się też poznać, z kim miano do czynienia. W milczeniu, ściśnięci ławą jechali Boleszczyce, oszczepy trzymając w ręku i butę okazując straszną. Z tamtej strony ciszej, spokojniej szli ludzie, jakby pewni byli, że im się nie stać nie może. Wpośrodku ich jechał na koniu kapą okrytym mężczyzna lat średnich, pięknej postawy, wspaniałego oblicza. Wejrzenie miał takie, że raz zwrócone na człowieka, zmuszało do poszanowania i trwogi: majestat z niego promieniał i siła jakaś niezwykła. Borzywój, mocno się nasrożywszy, gdy oko w oko stanął z jadącym, widocznie się zawahał i stało się to, sam nie wiedział jak, że ustąpił w bok, konie ściągawszy gwałtownie; inni, zobaczywszy to, ruszyli nieco z miejsc, tak, że dla orszaku biskupiego pozostał wolny wązki przesmyk, między dwoma kupkami ściśniętych Boleszczyców. Nieulekniony biskup wjechał w tę gromadę zwolna, ani się troszcząc o to, co się z ludźmi jego stanie. Ci za przykładem pana jechać środkiem chcieli, gdy biskupa przepuściwszy, Boleszczyce ścisnęli się groźnie i pozostała czeladź musiała zjechać na bok w pole; na widok nieładu w orszaku biskupa młodzi Boleszczyce szydzić i śmiać się zaczęli. Ochłonawszy jednak i widząc, że czeladź biskupa złączyła się najspokojniej ze swym panem, Dobrogost w gniewie zawołał do Borzyweja:

— Czegożeś mu z drogi ustąpił? niechby on ustępował nam, a nie my jemu!

— Albo ja wiem, co się z moim koniem stało! — odparł, czerwieniąc się, zagadnięty.

— A spojrzaleś ty mu w oczy? — odezwał się Zbilut.

— Cóż myślisz! wzrokubym się nie uląkł niczyjego! — wołał, kłamiąc, Borzywój.

— A mnie ciarki przeleciały, mijając go, oczy spotkałem.

Inni się nie przyznawali, starając pokryć wrażenie żartami i szyderstwami. Gwarzyli, nadrabiając miną jeden przed drugim, gdy w dali na boku od gościńca ukazał się dworzec znaczny, ostrokola ni i drzewy otoczony. Na wyjaśnionych niebiosach zabudowania ciemną plamą się malowały, a otwarte okna i drzwi silnie oświecone błyskały jak ogniska, w podwórzu zaś smolne stosy i beczki pozapalane luną szeroką okolicę zalewały.

— Hej! hej! — zawołał wesolo Dobrogost — wszakże to król się zabawia na swym wiejskim dworze!

I klusem puściła się ku wrotom cała gromadka, a załdwie w dziedziniec wjechali, zewsząd ich witać poczęto. drzwi i okna obiegała bowiem czeladź i dwór strojny w pięknych sukniach. Tuż — pod zlocistem okryciem aż do ziemi spadającym, dwóch ludzi przeprowadzało piękną klacz ulubioną królewską, którą Orlicę zwano. Niewielkiej miary, siwo-jabłkowata, z czarnymi wielkimi oczami, długą grzywą jedwabną i ogonem jak kosa zaplecionym wstęgami złotymi. Orlicę, jak królowę stada innych koni, otaczał dwór własny, miała nawet namiot osobny, w którym spoczywać mogła wśród kublów z wodą, naczyń z owsem i wonnego siana.

Boleszczyce pozsiadali z koni, pozapinali kaftany, a oddawszy część uzbrojenia czeladzi, pośmiawszy się z przyjaciółmi u wnijscia, wtargnęli ochoczo do izby. Rozstąpiły się strażę, usunęli się wszyscy, szmer się siał i król, uśmiechając się przyjaźnie, dał znak, aby szli do napitku i jadła.

Właśnie się krótka rozmowa Boleszczyców z królem skończyła, gdy gęślarze, którzy trochę odpoczywali, brzęknęli w struny, szmer uciech, piosnka cicho i nieśmiało poczęła się odzywać jakby w dali.

Długo tak w noc król śpiewać kazał i przysłuchiwał pieśniom, niekiedy twarz jego piękna, choć zwiędła, zasępniała się i w smutek stroiła; niekiedy z oczu padały iskry gniewu, a spojrzenie to, pełne mocy, mówiło o silnych namiętnościach i niepokoju duchowym. Ci, co z nim żyli, nigdy powiedzieć nie mogli, co wieczór, a co noc i poranek przyniesie. Na wszystko gotowi być musieli.

Gdy Bolesław zabawiał się na królewskim dworcu, o kilka mil stamtąd ściągalo po cichu rycerstwo, zwołane na radę przez Mścislawa z Bużenina i innych ziemian, którzy

od króla, za jego samowolę z Krystą, odeszli. Na ten zbor jechał i biskup krakowski, Stanisław z Szczepanowa; zwołano radę, jakby na stary wiec, który za czasów Piasta wieciami rczsyłanemi gromadzono, z tą tylko różnicą, że potajemnie i cicho. Albowiem teraz gromady nie miały już głosu, jak dawniej; od czasów Mieszka panowali knezie i królowie, oni tylko zwoływać wiece mieli prawo, a szli na nie ci, których pozwano, kogo pan żądał. Bolko Szczodry nikomu też z sobą władzy dzielić nie dawał, nie chciał też się poddać biskupowi, któremu jawną wypowiedział wojnę. Urodzony z matki Rusinki, Dobrogniewy, ożeniony z ruską księżniczką, związany z Rusią brataniem i wojnami — u siebie doma chciał mieć, jak bywało na Kijowskiej Rusi.

Mściśław z Bużenina, któremu Bolko zabrał młodą żonę, wrzał chęcią zemsty przeciw niemu, mieli też i inni ziemianie powody niechęci. Zwołano więc w pewnem uroczysku zwanem „dziewieczem łonem“ wiec, który miał stanowić, co czynić należało. Był to początek zmowy przeciw królowi, obeszali więc starsi głowy rodów znaczniejszych: Toporczyków, Śreniawów, Doliwów, Lisów i innych, a pan z Bużenina jeździł sam od dworu do dworu, nie żalując trudu. On był duszą tego zboru, a wiedząc, iż i biskup krakowski mu był niechętny, także go na radę zaprosił. Biskup Stanko po długim namyśle przyjechać obiecał, mówiąc jednak:

— Nie przystało mi, słudze Chrystusowemu i kapłanowi jego, potajemnie czynić zmowy i kryć się z tem, co czynię. Czyny moje i słowa jawne być muszą...

Przed zachodem słońca jeszcze przybyło pod dąb na uroczysko dość ludzi, jezdnych i pieszych; byli to sami panowie, bez czeladzi, dla bezpieczeństwa przed zdradą; znaleźli się więc i Toporowie przezwani Kółkami, Starżowie i inni. Posepni byli wszyscy i niespokojni, bo panował wówczas obyczaj, że gdy król ukarać postanowił, sądów nie zbierał, ale przysłał siepaczy i ścinać kazał, więc lękano się niemało. Naostatku przybył i Mściśław z duchownym; nikt go nie zaczepiał, bo wszyscy dlań litość mieli. Oczekiwano jeszcze biskupa. Zmrok zapadł już dobry, gdy z lasu ujrzano wjeżdżających dwóch mężów, w jednym z nich poznano biskupa. Po chwili szedł już pieszo, zamiast pozdrowienia błogosławiąc krzyżem na wsze strony. U boku jego zajęli miejsca dwaj duchowni i Mściśław. Pan z Bużenina pochylił głowę, potrzebował chwili, by mu głos, w piersi zastygły, powrócił, poczem ciągnął w te słowa:

— Radzić nam o sobie potrzeba, miłościwi panowie... sprawę moją znacie, srom mówić o niej, a no, gdy czleka zwierz okaleczy, ranę pokazać musi, tak i ze mną. Król, co mi opiekunem być miał, stał się rabusiem szczęścia...

Wtem z boku mu któryś przerwał:

— Azali białogłowa nie sama go ku temu wyzwała?

Mścisław gniewnie odwrócił się ku mówiącemu i rzucając się niemal na niego, zawołał:

— Azali nie wiecie, co niewiasta każda jest? Przeto, gdy która zgrzeszy, nie jej wina, a tego, co ją przywiódł do grzechu.

Wiem poruszył się jeden, co stał w drugim rzędzie, mąż opalony, barczysty — wojak z postawy i twarzy. Przedarł się naprzód, stanął i mówić zaczął:

— Alboż to jedno, co zbroił nasz król? Pytajcie się mnie o to. Trzymał nas lat tyle w Kijowie u boku swego, a doma zbytki się działy. A po co my tam siedzieli, gdy on sam bawił się i szalał? Serce nam się rwało do domów i dzieci, a on trzymał nas za górami, gdy doma sługi i pacholki gwałtem sobie nasze żony pobrali. Jak nas wieść doszła w Kijowie, co się tu dzieje, i ja i sotnia innych, nie pytając pana, lecieliśmy na skrócenie karku bronić tego, co drogie. Do domów własnych szturmem się dobijać przyszło, a król za kim się ujął? Nie za nami, ale za tą tłuszcą, za czeladzią naszą — z nas zaś ścięto dziesięciu i więcej, za to, że samowolnie zbiegli z Kijowa; ja głowę ratować musiałem ucieczką i po lasach się tułam...

— To co on mówi, ja potwierdzić mogę — zaczął drugi, odarty, w resztach zszarzanego pancerza — my, cośmy na tej ziemi wyrosli, u niegośmy i psa nie warci, woli Rusinów i Pieczyngów — krom tych Boleszczyców, co mu za druhów do wszelkiego plugastwa służą...

Stary Topór podniósł do góry siekierkę na znak, że mówić chciał, zatem zabrał głos:

— Nie tak bywało — rzekł — za Mieszka Starego i za Bolka Chrobrego. Królowie surowi byli, ale sprawiedliwi, ziemianie szli do nich jak dzieci do ojca. Ojcie miłościwy — zwrócił się ku biskupowi — wy nam radźcie, co począć mamy.

Biskup stał poważny, zadumany nie spiesząc ze słowem.

— Nim się co pocznie przeciw złemu — odparł po chwili — rozwagi potrzeba, aby większego zła nie ściągnąć. Pamiętają z was niektórzy, jak po Mieszku i Ryksie wszystka

ta ziemia, gdy pana nie stało, zniszczoną była i wichrzono w niej do woli. Lepiej więc próbować nawrócić go, niż przeciw niemu knować. Nam, Kościołowi, wystąpić przyjdzie; Kościół, co korony rozdaje, słowem jednym uczynić więcej może, niż wy mieczami waszymi.

— Tak, miłościwy ojcze — zawolał na to Starża — ratujcie nas...

Zwrócił się potem do stojącego niedaleko człowieka niewielkiego wzrostu, palcem go wytykając:

— Waszych on lubi, Kaniowy u niego w łaskach — z waszego rodu Boleszczyców najwięcej.

Kaniowa, mały człeczek, napuszył się i ostro wystąpił:

— Widzicie przecie, że choć tej krwi, co on, tu z wami jestem, a nie tam z nim! Więc nie wszystkie Kaniowy z nim, a ród temu nie winien, że są tacy co mu dworują. Zresztą brat mój przecie biskupem we Wrocławiu...

— Każdy za siebie odpowiada — odczwał się, zwadę uśmierzając, biskup — nie ród winien, a ludzie.

— Winni ci, mu dopomagają — Sreniawy, Kaniowy i inni... zawolał znów Topór, mierząc niechętnem okiem Kaniowę.

— On winien! on! zaczęto powtarzać żywo dokoła. On winien! nie Kaniowy!

— Ukojcie się, ukojcie! — przerwał biskup — chodźłem już raz do niego nadaremnie — nie ulękne się i chodzić nie przestanę...

Ale zamiast ukojenia zgromadzenie, żaląc się wzajemnie, podrażniło się jeszcze bardziej. Gniew wybuchał gwałtowniej, rosnąc gniewy pokrewnymi.

Biskup tedy, widząc, że noc już dość późna, odczwał się raz jeszcze:

— Dla dobra waszego, proszę was, nie rwijcie się za gorąco i niecpatrznie. Namaszczone jestem jako on i jego równy, a potęga kościoła jest większą nad wszystkich królów potęgę. Mówiąc to, biskup spojrział z dumą po zgromadzeniu, które głowy w milczeniu skłoniło. Przeżegnawszy zebranych, odprowadzony przez starszyznę, zwrócił się ku łące, gdzie już młodzież konia mu wiodła i ramię podać do wsiadania spieszyła. W drodze Topór jeszcze mu prawie zaczął: „Ojcze miły, co nam teraz z Piastów? Czemubyśmy innego rodu poszukać sobie nie mieli? Mieszko Gnuśny na polu był Niemcem, Kaźmierz też przez Niemców chowany, Bolko się zrusił w Kijowie — co nam po nim! Wy, co na

dworze czeskim zachowanie macie, moglibyście z Czechów Królowę Światawę pomówić — niech oni nam panują i nas zabiorą, jak już raz byli zabrali...

— Nie czas o tem mówić i myśleć — ofuknął biskup starego — daleko jeszcze do tego, abyśmy nowego pana szukać sobie mieli.

Nie mówili już więcej, bo twarz biskupa zasępiła się gniewnie.

W kole, po oddaleniu się tegoż, gwar się wszczął, ale narady już ogólnej nie było, rozmawiano kupkami; Mściśław szukał ludzi, którychby na swą stronę pociągnął. Nawinał mu się też Sokół Dryja i Benko z Kurowa, wziął ich na bok i jął użalać się przed nimi na los srogi.

— Cóż wy na to mówicie?

— A co ma być? weź inną babę i koniec — gdyby cię miłowała, nie poszłaby za innym.

— Ona niewinna! — krzyczał, rwąc się, Mściśław, ja wiem, że niewinna, porwał ją jak jastrząb... Pomóżcie mi tylko, a wydreję ją z rąk drapieżnika. Na to was tu ściągnąłem, abym o pomoc prosił. Wydrzemy mu ją chytrą siłą.

Dryja ramionami ruszył.

— Szalony z ciebie człek! nadaremnieby człek karku nastawił i śmiechu napytał. Słysząc, że ją przy sobie na zamku posadził i z oka nie spuszcza.

— Na zamek wkraść się, gdzie wchodzi kto chce — nietrudno, ona byle mnie zobaczyła, polecą za mną! Z dobrymi końmi w lasy łatwa ucieczka, a tam nikt mnie nie wyszuka.

Rzekł wkońcu Beńko:

— O zdrajcę nie trudno, niech nas kto zobaczy — damy głowę. Zważ dobrze!

— Jam wszystko rozważył, byleście mi dopomogli. Bylem ją miał — nie znajdą mnie, nie wytropią; za świat choćby przyszło uciekać! Na Pomorze lub do Niemiec!

— Lubczyku mu dała i oszalał! — bąknął Dryja.

Beńko niespokojnie głową kręcił.

— Zwijcie mnie szalonym, a przez miłosierdzie pomóżcie! — wołał Mściśław — ludzi orężnych kilkunastu dość. Gospodę mam pewną, ludzie też swoi...

— A no, a no — rzekł wkońcu Dryja — gdy już tak nas na popobratymstwo zaklinasz, choćby karku nastawić przyszło, trudno odmawiać.

Mściław pochylił się ku nim, dziękując serdecznemi słowy; a gdy już ich pozyskał, począł ściągać innych. Ale już było niewiele; udało mu się jednak kilku najzaciętszych wrogów królewskich namówić z sobą, podali mu też ręce na to, że go w ucieczce osłonią i dopomogą.



Królewski gród na Wawelu niewiele wówczas się różnił od innych zamków po kraju rozsianych; mocny położeniem, wałami, ostrokołami, w środku wspaniałością się nie odznaczał. Więcej było w nim drzewa niż muru. Niedaleko od wrót kościołek wznosił się trochę ponad otaczające go wały. Ludu niewiele mógł w sobie pomieścić. Wszystek lud, drużyna pańska, wojacy jezdni i piesi, daleko świetnej, niż sam dworzec, w którym się mieścili — wyglądali. Byli wśród nich Polanie i Mazury, i Rusini, Ugry i Pieczyngowie, szczególnie młodzieży nie brakło — niewiastami też roił się zamek; języków, przysłuchawszy się, wiele różnionych było można, ruski przecie, około dworu starej i młodej królowej, co z sobą dużo ludzi przywiozły, najęściej słyhać było. Król też sam, nawykłszy doń w Kijowie, rad się nim odzywał. Bolko lubił ślepe posłuszeństwo, więc i lud miał u niego większe łaski niż władcyki i ziemianie. Poskarżył się mu ubogi chłop lub osadnik — ukarał srogo winowajcę, ale gdy ziemianin lub władcyka użalał się na drużynę, wyśmiał go i z niczem odprawił. To też codziennie ich mniej na dworze widać było; jedynie, gdy nadchodziła uroczystość składania daniny królewskiej, zjeżdżało się co żyło z darami, aczkolwiek niechętnie i bez błysku radości na widok oblicza królewskiego. Poprzednicy Bolka świętobliwie Kościołowi służyli, szanując duchownych i ich władzę — on chciał mieć Kościół na rozkazy.

Dzień wyznaczony na składanie do skarbcza danin i podatków od wszechstanów, zgromadził tłumy różnobarwne na Wawelu. Rozkładały się na łące u stóp góry, gdzie też i namioty królewskie i siedzenie dla króla, szkarłatnem suknem wysłane, wzniesione było i osłonięte oponą rozpiętą na pozłocistych tykach. Wkrótce po wschodzie słońca dano znak na łące, że król nadjeżdża. Przodem jechali ci, co na rogach trąbiąc znać dawali, że pan jedzie; ci rogi mieli złoczone, a było ich dwunastu, z kolei po czterech w rogi dęli, coraz innymi głosy. Za nimi szedł poczet ludzi z toporami i tarczami złoczonemi. Po nich jechała czeladź pańska na ko

niach, niebiesko odziana, pancerni z włóczniami w rękach, wreszcie królewska drużyna, a wśród niej jeden wioził chorągiew pańską, szkarłatną, ze złotemi wisiały i sznurami, a na niej różne godła i postacie szyte były. Orlica szła zwolna, poważnie, a rząd na niej był ze złota a szkariatu i kamieniami błyszczący. Bolesław oddziany był w blawat i purpurę, u uzdy szli dwaj mali pacholki, oba niosąc na ramionach ogromne miecze.

Za królem niesiono tarczę, całą złotą, i jeden miecz, jeszcze pasem obwinięty; dalej postępowali dostojnicy dworu, z łaskami w rękach, łańcuchami na szyjach; starców między nimi widać nie było, niechętnych zastępowali mężowie lat średnich.

W zamku na górze, na wałach, za ogrodzeniem stały niewiasty rzędami, przypatrując się pochodowi. Niektóre w wiankach na głowach, inne w białych namitkach, w krasnych chustkach i kożuszkach bogato oszywanych. Na dolinie pod Wawelem stały tłumy, oddzielone od placu żerdziami i sznurami. Gdy król wjechał na plac i usiadł na siedzeniu przygotowanem, drużyna, nie zsiadając z koni, dokoła się ustawiła; starsi urzędnicy, stojąc na przedzie, zabierali się wywoływać ziemie, powiaty i grody, które z kolei dań składać miały. A że wszyscy ci ludzie niepiśmienni byli, skarbnik królewski przybrał do pomocy młodego kleryka, który na długim zwitku pergaminu miał spisane ziemie do wywoływania. Król siedział jak posąg, znudzony, u stóp jego leżały sukna, na których dań składano, tak że na jednym futra i skóry, na drugim złoto i srebro kładziono. Za innych królów był zwyczaj, że przy takich zjazdach król ugaszczał przybyłych, rozmawiał i zabawiał się z nimi; Bolko jednak nie miał ochoty nawet spojrzeć na swych ziemian i rycerzy, z którymi od czasu Kijowa poważniony był; jeżeli się odezwał, to tylko do swej drużyny. W milczeniu więc każdy składał co przywiózł, podkomorzanie zapraszali do namiotów, pod którymi czekały stoły z mięsiwem, a miód i piwo w beczkach. Większość jednak nie chciała nawet przełamać chleba królewskiego. Dziwny szmer przebiegł w tłumie, gdy ujrzano na koniu, w odzieży oszarpanej stojącego Mścislawa z Bużenina. Z oczu mu tak patrzyło, jakby chciał króla o krzywdę swą wobec wszystkich pozywać.

Nadbiegł doń Dryja i za cugle konia mu pochwycił:

— Czego stoisz! co ty robisz? chcesz-li się z nim zadrzeć, aby ci prędzej głowę zdjęto? — zapytał wystraszony.

— Chcę, aby się mnie odartemu napatrzył do syta, aby przeczytał z moich oczu, że mu zemstę poprzysiągłem.

I nie dał się odwieść, owszem, przybliżył tak, aby król go widzieć musiał. Stało się też tak jak pragnął. Podniósłszy głowę, Bolko wlepił weń oczy gniewne; patrzali teraz oba wyzywająco na siebie, król wzrok odwrócił, niepokoiło go to zjawisko i coraz w tę stronę spoglądał. Lecz wkrótce, jakby chcąc okazać, że go Mściśław nie obchodzi, począł wpatrywać się w kleryka, który wywoływał ze zwitku ziemie i liczby. Był to biedny wyrostek, chudy, wynędzniały, niepozorny i wylekły. Oczy jego, co nigdy tyle złota nie widziały, biegały po kupach tych bogactw, coraz się powiększających. Śmiał się do nich, zapominał się i ręce ku nim wyciągał, słowem, widok złota przytomność mu odbierał.

Bolesław oczu z niego nie spuszczał, spojrzawszy nań raz, a usta mu się do śmiechu krzywiły. Nagle z siedzenia zagrzmiał straszny głos pański:

— Klecho, co ci jest?

Strwożył się chłopiec, wszyscy nań patrzali; pociągnięty za ramię przez skarbnika, padł na kolana drżący i rzekł składając ręce, zwrócony ku panu:

— Przebacz mi, miłościwy panie, widok tych skarbów i twego majestatu pozbawił mnie przytomności. Porównywałem je z moją nędzą i myślałem, jakby z tem złotem szczęśliwym być można.

Bolesław rozśmiał się szydersko.

— Cóż, klecho? chciałbyś mieć dużo tego złota?

Uśmiechem rajskiego wesela rozjaśniła się chuda twarz kleryka. Odpowiadać nie śmiał, oczy tylko, żarzące się pragnieniem, wbil w stos kruszczu, leżący u stóp pana.

— No, chcesz złota? mów! — powtórzył znowu król.

— Cóż po chęci, królu wielki! gdy posiadać nie mogę — odparł kleryk głosem drżącym.

Rozśmiał się Bolesław.

— Bierz tego złota, ile go udźwigniesz — rzekł szydersko, bierz; co uniesiesz, to twoje! Bierz a żywo!

Dwór i Boleszczyce śmiechem wybuchnęli.

Słyszając ponawiany rozkaz królewski, kleryk rzucił się jak oszalały, odgarnął poły sukni; zauważywszy jednak, że mało mógłby w nie zgarnąć, na nie się nie oglądając, zdjął suknię, rozpostawił ją na ziemi i garnąć w nią począł ile mógł, spoglądając tylko na króla, który z jego pośpiechu i niezgrabności się wyśmiewał. Tłum stał w milezeniu. Nakoniec błady, zadyszany schylił się kleryk i usiłował na plecach ująć to

brzemie, ale natychmiast ugiął się i zachwiał. Widać było, jak się ślaniał, napręzał, krok postąpił naprzód, twarz mu pobleadła, potem pokraśniała, krew buchnęła ustami i padł twarzą na ziemię. Milezenie straszne panowało czas jakiś. Myślano, że się podniesie, drgnięcie tylko widać było, ręce mu się ścisnęły i — ciało poruszać przestało. Dwóch z czeladzi podbiegło na dany znak; jeden z nich ujął leżącego za głowę, drugi podniósł — twarz miał trupią, nie żył.

— Ukarany za cheiwość — rozśmiał się Bolko z tronu. — Cisnąć trupa do Wisły razem z tem złotem, co go zabiło. Pogrzebu ciała nie warte, a co król raz dał, tego nie odbiera. Precz ze ścierwem!

W milezeniu, ze zgrozą słuchano wyroku, gdy nagle z tłumu podniósł się głos jakiś:

— Królu, niesprawiedliwe są sądy twoje, nie cheiwość go zabiła, ale miłość; albowiem rodziców mą w nędzy, dwóch braci czeka okupu w niewoli, nie dla siebie skarbów tych pragnął, ale dla tych, których miłował więcej, niż siebie.

Wnet jednak w rogi zatrabiono, a Bolko nawet nie odwrócił głowy. W chwili potem znikł z tłumu Mścisław, drogą zaś do zamku wiodącą szedł wkrótce potem mężczyzna w prostej sukmanie, z kijem w ręku. Na czoło miał nasunięte włosy i czapkę; ci, co widzieli Mścisława na koniu, w tym wieśniaku domyślećby się mogli męża Krysty. On to był wistocie. Szedł ostrożnie, przyglądając się niewiastom na walach. Wsunął się na puste podwórze zamkowe, do dalszych budowli, wszędzie zaglądając, jakby czegoś szukał. Spostrzegłszy w jednym z okien szaty niewieście wiszące, wślizgnąwszy się w ciemne sienie, zniknął. W chwilę potem wracały niewiasty jedna za drugą; wśród nich jaśniała urodą i zwinnością Krysta. Zaledwie wbiegła do dworca, krzyk dał się słyszeć, pełen trwogi i przerażenia. Izba Krysty, w której teraz stała, była jeszcze pustą, przed nią w progu stał obdarty Mścisław, gorącym spojrzeniem pozerając jej śliczną twarzyczkę i zgrabną postać, przybraną w delikatne szaty. Kryście widok męża odjął przytomność na chwilę; lekka się, aby ją nie zabił.

— Krysto moja — zawołał — ręce do niej wyciągając. ty za mną tęsknisz, ty do mnie powrócisz — prawda? — mów!

Niewiasta pojęła, że nie jej nie grozi na razie, przybrała więc słodką minkę i odparła:

— A! tak! tak! zrobię, co zechcesz, ale idź teraz, schroń się, bo służba nadejść może, nieszczęścieby się stało, król tak zazdrosny, ukryj się gdzie do nocy, uciekaj!

— A nocą uciekniemy? — krzyknął Mścisław, ręce do niej wyciągając.

— Uciekniemy — powtórzyła — ale teraz idź na wyżki, schowaj się, lub uciekaj, a wrócisz nocą; o mroku stanę w progu, odzieję się w chusty proste — ujdziemy! Uciekaj, bo dziewczki z wałów wracają!

— Więc o mroku dziś! — zawołał i wyszedł nareszcie, Krysta zaś pędem wpadła do sąsiedniej komory i drzwi ogromną zasuwą zaryglowała za sobą.

Mścisław jak pijany z izby się wytoczył i wolno skierował ku wrotom.

— I tak źle, i tak nie można! milczeć nie mogę i mówić się boję! — powtarzała Krysta.

Gniew w niej wzbierał na siebie samą, na króla, na swą dołę, a największy na tego, co gotów był jej życie poświęcić.

Rozmyślała tak po izbie biegając, gdy drzwi uchyliły się od sieni i wszedł Borzywój, śmiejąc się ku pięknej niewieście. I on i Zbilut, i wielu innych zdała się w niej rozmiłowało. A ona wszystkim holdom rada była, nie odstręczając żadnego.

Była tak zalotna, że się i gołębiom na strzesze wdzięczyć była gotowa; wiedziała, że jest piękną, i że kochać się wszyscy w niej musieli, a jej biedaków żal było. Więc i na Borzywoja patrzyła przyjaźnie. Podbiegła doń i wdzięcząc się, prosić zaczęła:

— Słuchaj, idź zaraz do pana i poproś go do mnie!

— Do pana? król teraz na tronie króluje — nie pora!

— Niech cię głowa o to nie boli — powiesz mu, że mam wielkie słowo do niego, a tego słowa przez nikogo posłać nie mogę... w niem śmierć lub życie... i czyjeś i moje...

Borzywój odetchnął ciężko i wyszedł niechętnie. Krysta przebrała się żwawo w szkarłatną szatę, a ledwie kończyła ją wdzięwać, rozległo się rogów granie... Król wjeżdżał w podwórze. Za chwilę wszedł do izby sam, zasepiony; Krysta do nóg mu padła, potem uwiesiła mu się na szyi i szepać poczęła:

— Królu, panie, daj mi słowo, że mu nie weźmiesz życia...

— Komu? — krzyknął Bolesław.

— Daj mi słowo...

— Mów komu, mów, co zawinił?

Nagniewał się pan, ale mu pilno było.

— Żyć będzie — mów, co dalej?

Krysta szeptała do królewskiego ucha. Po twarzy króla przelatywały burze i pioruny. Słuchał tego szmeru ust jej długo, zadumany, poczem wstał i nie mówiąc, przechadzać się zaczął po izbie; Krysta biegła za nim niespokojna, nie odpowiadał jej wcale i nierychło się ku niej obrócił:

— Bądź spokojna, jam nieładny dusić robaki, choć sam mi lezie pod stopy — życia nie wezmę, ale rozumu go nauczę.

Wystraszona spoglądała nań jeszcze, gdy cisnąwszy gwałtownie drzwiami, wyszedł od niej i na dworzec po-
ciał.

Spotkali go tam Boleszczyce, on im wydał jakieś rozkazy; kupką stanęła drużyna, naradzając się z sobą; rozglądali się dokoła, wskazując miejsca, jakby stanowiska sobie wyznaczali.

Wtem we wrotach ukazał się orszak biskupi, na przedzie widać było biskupa Stanisława ze Szczepanowa, za nim czła czeladź jego i domownicy.

Jeden z kapelanów poszedł oznajmić podkomorzemu króla o przybyciu gościa.

* * *

Bolesław odpoczywał na posłaniu niskiem, miękkim; skórami wystanem. Zaskrobano do drzwi. Zawarczała psów gromada, którą lubił otaczać się w chwilach wypoczynku. Wszedł stary podkomorzy Janko Huźla.

— Miłościwy panie, jego miłość ksiądz Stanko czeka na miłość waszą i domaga się posłuchania.

Usłyszawszy to imię, król zerwał się na równe nogi.

— Cui tutaj? a no w sam czas! bo i jam rad rozmówić się z tym kleką. Idź mu powiedz — niech czeka — prowadź go do izby królewskiej.

Podkomorzy wyszedł spełnić rozkaz, a Bołko dumnie głowę podniósł i jak stał, napół odziany, pospieszył do wskazanej komnaty, przeznaczonej do przyjęcia gości. Towarzyszy swych zostawiwszy w dalszych izbach, ks. Stanisław ze Szczepanowa stał już pośrodku izby sam jeden, poważny, z twarzą posępną, odziany jak do chóru — z krzyżem na szyi. Król i on zmierzyli się oczyma, ale biskup nie strwasił się królewskim spojrzeniem. Skłonił się; Bolesław, nie

oddając pozdrowienia, zajął swe siedzenie królewskie, nie wskazując biskupowi ławy obok siebie, wreszcie zapytał szorstko:

— Czego chcecie ode mnie?

Biskup mierzył go długo oczyma, zdawał się modlić lub namyślać, poczem jął zwolna i spokojnie:

— Miłościwy panie, nie ja do ciebie przychodzę, ale we mnie i ze mną Kościół, matka nasza. Mówić będę z jej rozkazania, nie po mojej, ale jej woli. Płacze ta matka, płaczą bracia twoi, królu, patrząc na to, co się dzieje!

— A cóż się dzieje? — zapytał król szydersko.

— Żle, że nie wiecie wy, królu, iż źle się dzieje. A przecież jęki kraju słyszećbyście powinni: ziemianie, rycerstwo wszystko cię odstępuje, boś srogi i bez miłosierdzia.

Król wybuchnął, uderzając pięścią w poręcz siedzenia:

— Na to mam władzę, a jak ją sprawiam, odpowiem za to Bogu, nikomu więcej! Ziemianie są krnąbrni, rycerstwo wyjechało bez mojej woli z Kijowa... Jestem królem ludu całego, a nie ziemian!

— Ale lud popełnił gwałty, a więc to karać należało, lud zabierał im żony i córki...

Pamiętajcie, królu, że gdy Mieszko naraził się ziemianom i Ryksa zniechęciła ich ku sobie, źle się działo krajowi, pomniście, że bez nich trudno i królowi się ostać — sprawiedliwości musi stać się zadość, kto winien, musi pokutować...

— Nowych sobie ziemian uczynię i rycerstwo, ani władzy, ani biskupi i duchowni sprzeciwiać mi się nie śmieją, bo miecz mam i prawo w rękę!

Biskup zwolna cofnął się o krok.

— My, biskupi, nie stoimy pod twą władzą królewską, my mamy jednego pana w niebiesiech, a drugiego w Rzymie, więcej nikogo nad sobą! Nie my wam, ale wy nam jesteście podlegli — podlegacie Kościołowi i posłuszni mu być musicie.

Śmiejąc się dziko, król po rękojęści miecza uderzył.

— Zobaczymy, kto silniejszy, gdy się z wami spróbować przyjdzie! — zawołał.

Biskup smutnie zwiesił głowę.

— Jeszcze raz zaklinam was, królu, upamiętajcie się. Życie wasze grzeszne jest. Z góry przykład na naród płynie i on się psuje zepsuciem waszem...

— Milcz, klecho! — krzyknął Bolesław.

— Mileżeć nie będę i nie mogę, mówić mi każe Kościół i miłość do rodu waszego. Żyjecie z cudzą żoną, powróćcie ją mężowi winniście, a za zgorszenie publiczną odbyć pokutę...

Zawrzał król, słuchając, i oburącz ścisnął z gniewu poręczę.

— Klecho! — zawołał — dawałeś mi przestrogę, ja ci także jedną dać muszę: strzeż ty się innie i gniewu mojego, bo straszny jest jak piorun, który bije nawet w kościoły! Spasć może głowa twoja, choć namaszczona, a w Rzymie dam okup za nią, zamknę ci usta, gdy za wiele mówić będą...

— Uczynić możecie, co zechcecie, królu, ale ustraszyć się nie dam. Oto stoję przed wami bezbronny, a ilekroć przypuszczony będę, powtórzę tylekroć: kajaj się, kajaj się grzechów twych!

Bolesław, nie mogąc już dłużej utrzymać gniewu, powstał i rękę wyciągając ku drzwiom, wołać począł:

— Idź stąd! idź, klecho! Uchodź!

Powtarzał to coraz żywszym i sroższym głosem, ręka mu dygotała.

Biskup popatrzał nań, podniósł prawicę i przeżegnawszy nią króla, ustąpił, nie oglądając się już za siebie.

Mrok już był, gdy Bolesław nareszcie powstał z siedzenia, na którem zostawił go biskup; wypadł z izby, czekali nań Boleszyce.

Król podbiegł gorączkowo:

— Ujęto Mściława? — zapytał.

— Czatuja nań...

Nie mówiąc więcej, poszedł do izby swej do psów, które skomląc radośnie, witały go, liżąc mu ręce i nogi. Krysta tymczasem wezwała służebną swą, ulubienicę — Ciarke, a dając jej sznur bursztynów, rozkazała czatować na Mściława, aby go przestrzedz przed niebezpieczeństwem. Dziewczyna, choć wiedziała, że naraża się i podejmuje zbyt trudnego zadania, wybiegła za wrota, śledząc i bacząc na każdego przechodnia. Nie zdążyła jednak podbiec do zbliżającego się, gdy czterej jezdni, kręcący się około wrót, opadli nagle wchodzącego; nim więc Ciarka dobiec czas miała, pochwycono go i szybko ku zamkowi pociągnięto. Mściław nie próbował się nawet wyrwać, dał się poprowadzić milczący do izb więziennych, wewnątrz grubemi deskami obitych; nie miały światła żadnego, tylko jedne drzwi okute

przystęp do nich dawały. Śmiecie, brudy i słoma wewnątrz je zalegała, a powietrzem ich ledwie oddychać było można.

W takiej to ncrze znalazł się mąż Krysty; przywiódł go Borzywój, a mając współczucie dla tego zdradzonego przez niewiastę, rzekł, stojąc w progu:

— Żal mi cię, Mściśławie, aleś sam sobie winien!

— A mnie ciebie żal — odparł pan z Bużenina, jam więzien — prawda, ale tyś niewolnik!

— Czy ty masz ginąć dla niej, kiedy ona ciebie nie chce, sama przecie cię królowi wydała!

Mściśław rzucił się gniewny.

— Kłamiesz! — zawołał — ona! to nie może być!

Na nic się nie zdały wszelkie perswazje Borzywoja, nie chciał mu wierzyć, nie chciał korzystać z jego pomocy w ucieczce, upierając się, że ją, Krystę, sam odzyska, bo ona go kocha i pójdzie za nim; wreszcie zniecierpliwiony rzucił odchodzącemu Borzywojowi:

— Co mi tam, że ja zginę w ciemnicy, ale wy z nim zczecznicie prędzej jeszcze, to wiem napewno, będziecie tułaczami, żebrakami bez czci i wiary, aż się Bóg ulituje nędzy waszej!

Borzywój wzruszył ramionami, dziwiąc się jeno temu uporowi rozmiłowanego w niewiernej żonie. Krysta zaś, dowiedziawszy się od Ciarki, co się stało, znów padła do nóg królowi, błagając go o życie Mściśława. Bolesław chmurny uspokoił ją prędko.

— Wyprosiłaś mu życie, niech tylko w ciemnicy posiedzi i rozumu się nauczy. Wsadziłbym z nim razem i biskupa, ale on wpadnie mi jeszcze w ręce!

Krysta uspokojona słuchała, nie rozumiejąc słów króla; wiedziała tylko, że krwi męża na sumieniu swem mieć nie będzie.

*

*

*

Na dworze królewskim dnia tego smutno był i pusto; ziemianie, choć ciągniono ich do stołu pańskiego, zasiadać nie chcieli, toż samo i z rycerstwem się powtórzyło, lud tylko dopuszczony do łaski pańskiej, chętnie z niej korzystał.

Tymczasem u biskupa na Skalce rojno było, coraz więcej ludzi zjeżdżało się, by odpocząć, ciasnych kilka izb zapełniło rycerstwo i ziemianie, szukając tu rady i wodza ku obronie. Komnaty te skromne i ubogie były, złota i srebra nikt tu nie zobaczył, majątność swą biskup obracał na kościoły, na ubogich i sieroty, które do szkólek gromadził.

Kilku duchownych stanowiło dwór jego, czeladzi było mało. Dnia tego dużo mówiono o królu i jego surowości, pod wieczór rozjechali się prawie wszyscy — smutni i niespokojni, biskup zatrzymał na noc tylko trzech starszych ziemian: Leliwę, Kruka i Brzechwę. Po wieczery wywodzili żale swe przed biskupem, coraz nowe przykłady krzywdy od króla doznanej stawiając mu przed oczy.

— Albośmy to tego pana kiedy u siebie widzieli? mieli czas poznać go, a on nas wysłuchać? — prawil stary Leliwa — gdy nastala swawola, czeladz zuchwala byla winna, nie niewiasty slabe, ale ich nie karal, bo sam cudza zone porwal...

Przysluchiwal sie tej rozmowie biskup i duchowny, który mu stale towarzyszył; obaj patrzyli na siebie smutnie i jakby coś postanawiając. Gdy i ostatni ziemianie odjechali, Stanisław ze Szczepanowa zwrócił się do poważnego prałata:

— Chciałem, ojcze, abyście sami słyszeli, co się u nas i jak dzieje, dlatego zatrzymałem tych najstarszych wladkow. Teraz wiecie już — zanieście to królowi Czech, Władysławowi, i królowej Światowie, o poprawie Bolka zwątpilem — niech oni radzą coś, aby ta ziemia nie zmarniała zupełnie, niech się nią zaopiekuje raczej król pobratym, niż obcy. Kościół ścierpieć nie może tego, co się dzieje, dziś on mnie, namaszczonego sługę jego, za drzwi słowem wyrzucił!

Prałat ręce zalał.

— Jako człowiek, zniósłbym to i gorsze, ale jako przedstawiciel Kościoła, nie mogę pozwolić, aby we mnie był on sponiewierany... Kościelnym orężem bronić się muszę!

— Cóż czynić myślicie? — zapytał z trwogą duchowny.

— Wyklnę go! Anathema sit! Pomnijcie, czym jest kościelna klątwa! Śmierć to jest i gorzej, niż ona. Wyklętego człowieka nie zna rodzina, wszystkie węzły, co go łączyły ze światem żyjących w Chrystusie, pękają. Konającemu kropli wody, strzechy odmówić może każdy.

Duchowny słuchał w milczeniu posępnem.

— Jedźcie, ojcze, do Pragi, opowiedzcie, coście widzieli, opowiedzcie, co czynić zamierzam. Anathema sit! niech on będzie wyklęty, jeżeli niema być wyklętą, pustynią bezpłodną cała ta ziemia za jego grzechy! Zamknę przed nim kościoły, ogłoszę go wywołanцем. Wtedy bezpańskie jego ziemie niechaj zajmie Wratysław i panuje nam, aby

nie stały otworem dla wrogów, bo ziemianie i rycerstwo odwróciło się od niego. A wreszcie w potomstwie Wratysława płynie też krew siostry jego — Światawy...

— Król ma braci, syna...

— Ród to jest, którego ziemianie już nie chcą...

To mówiąc, pobłogosławił prałata, wyprowadził go do drzwi, a gdy się za odchodzącym zamknęły, padł na kolana przy ołtarzyku, głowę skrył w dłoniach i w psalmie Dawidowym dla uciśnionej duszy szukał pocieszenia: „Smutną jest dusza moja“...

*

*

■

W starym gródku Jakuszowicach mieszkał dawny ród, zwany Jastrzębcami; plemię to było bardzo rozrodzone i płodne, tak że nieraz stąd po dwunastu synów jednego ojca w świat wędrowało, a zwali się Jastrzębcami, Kanio-wami, różnie, jak ów ptak gdzie się nazywał, co im dał miano. Żył tu jeszcze teraz dziad tych Boleszczyców Jastrzębców, co na dworze Bolka przebywali.

Pamiętał on pierwszych królów, a dziś, dziad ośle-pły, jeszcze sobie władzy z ręki wydrzeć nie dawał. Synowie jego, wnuki, prawnuki rozbiegli się po świecie, odumierały go żony, których miał kilka, córki powyprawiał, krom jednej owdowiałej a bezdzietnej, co mu nazad pod dach wróciła, a choć za pięćdziesiątką już miała, traktował ją jak dziecko bez woli. Postawę miał jakby z trumny wywołanego upiora, głos potężny, lękali go się wszyscy w domu, bo w gniewie był zapamiętały. Utraciwszy wzrok, miał zawsze pod ręką chłopca lat dziesięciu, który go wodził, patrzył zań. Stary, dłoń wyciągnawszy, za długi kołnierz go trzymał, w drugim ręku kij mając, a dotykając palcami twarzy człeka milczącego, rozpoznawał go i nazywał.

Ze trzech żon potomstwo starego Odolaja już jakie sto głów liczyło z prawnukami. Gdy na wielką jaką uroczystość zjechała cała ta gromada, musiał się każdy wywodzić, czym był synem lub wnukiem. Stary sypiać już nie mógł i nocą po zamczysku się włóczył z chłopcem i kudlatem psi-skiem, zwanem Hyż. Nie szczekało to i nie warczało, ale, gdy mu się co nie podobało, rzucał się. szarpał i dusił.

Dwór był stary jak i jego pan — od lat nie zmieniano nic wewnątrz, tak, że do izby gościnnej wchodzić było potrzeba jak do jamy — tak zapadła się w ziemię. Odolaj był chrześcijaninem, ale wierzył też w zamawiania i uroki,

bajek o czarownicach, wilkołakach, lichu, słuchać lubił. Czeladź trzymał w strasznej surowości, ale gdy się do kogo przywiązał, ufał mu ślepo, do zbytku.

Wiosennego poranku właśnie stary z chłopcem i Hyzem swój gród obchodził, gdy zatrzymawszy się na wałach, bacznie ucha nastawił.

Wiatr wiał od dalekich borów, ale Odolaj słyszał jeszcze coś więcej — ręką wskazał chłopcu gościniec idący przez pola i zapytał:

— Ty, słysz, co tam widać?

— Nie, panie — rzekł chłopak.

— Ślepyś i ty, czy co! patrz na gościniec, wyrap oczy!

Chłopak podniósł się na palcach i dojrzał kłęb kurzawy. Hyż, jakby też mowę pańską rozumiał, stał zwrócony w tę stronę, uszy nastawił i nosem powietrze pociągał. Nagle chłopię krzyknęło:

— Miłościwy panie, jezdni!

— Ilu ich? pięciu ich być musi — patrz i rachuj, trumniu! Licz!

Wistocie w dali już teraz rozeznąć można było pięciu jezdnych, dwóch jechało przodem, trzech z tyłu, panowie i czeladź. Byli to dwaj Boleszczycy, wnuki Odolajowi Dobrogost i Ziema. Stary powrócił do dworu, oczekując na gości w izbie; przyjęła ich na podwórca Tyta — córka starego. Pokłonili się jej, oznajmując, że byli Mszczuja synami, któremu ojcem był Mieszko, syn Odolaja. Wprowadziła ich do wnętrza, weszli tedy na próg, chrześcijańskim obyczajem chwalać Chrystusa. Stary im odpowiedział jak należało, zapytując:

— Któż tam?

Tyta wzięła na siebie, aby ich wyręczyć w odpowiedzi.

— Dobrogost i Ziema.

— A którzy?

— Synowie Mszczuja.

— Którego?

— Mieszkowego — rzekł Dobrogost.

— No, Bóg z wami! — odezwał się stary chmurno.

— Jedziemy za rozkazaniem pańskim po dworach, minając Jakuszowic nie chcieliśmy.

Staremu na wspomnienie króla czoło namarszczyło się straszliwie.

— Was tam, słyszę, lik duży, sześciu czy dziewięciu Jastrzębi. Zwą was, jak niewolników, Boleszczycami. Sprze-

далиście mu się z kośćmi i mięsem — co? do hulanek pomagacie, nawet gdy waszym braciom lby acina? He! Przystąpić tu!

Młodzi poderzli nieśmiało, on wodził rękami po ich uzbrojeniu i szatach.

— E! zgagi! a skądże to wam ubogim te drogie zbroje, łańcuchy i kamienie? Ojciec w siermiedze chodzi, a synko wie w złocie!

Dobrogost rzekł odważnie:

— Król, pan nasz miłościwy, darzy nas, od pana przyjać nie grzech i nie wstyd.

Starzec się rozśmiał szydersko i splunął.

— Bo wy mu do rozpusty służycie, trutnie jakieś! śmierdziecie mi, zdala ode mnie stać!

Oba tedy musieli się do progu oddalić posłuszni, ale krew się w nich burzyła; szanując jednak głowę rodu, wyjechać bez pożegnania nie śmieli.

Dobrogost zebrał się wreszcie na odwagę, by króla bronić:

— Ja tam nie znam wiele, ale król musi tak z rycerstwem i ziemianą postępować, bo mu nie są życzliwi...

— A milczże ty, gołowasio jakiś! — krzyknął stary Odolaj, kijem bijąc o ziemię — a milczże! Ja stary mam go prawo sądzić, ja i Mieszka pierwszego, i Bolka Wielkiego. co, jak słońce jasny był, pomnę, żadnego nie było, jak ten! Ale dobrze, żeście do Jakuszowic przyjechali, chciałem już ślać po was. Wróciwszy na dwór, powiecie swoim wszystkim Jastrzębom, że ja ich za ród mój i krew moją znać nie chcę, dopóki w tem kole trwać będą. Postroili was na pośmiewisko, jak królewską kobytę, która pono w zlotogłowie chodzi. Śmierdziecie mi Boleszczycy!

— Miłościwy ojcze, króla opuścić, gdy wszyscy od chodzą, alboż się godzi?

— Chłystek mnie rozumu uczyć będzie? Mówię wam, do domu wszyscy, ażeby tam was nie było! A nie, to ja was nie znam!

Tu zaciął się stary, pomrukując groźnie i łajac po ciachu. Wtem Tyta wbiegła, donosząc, że kilka jakichś ziemian na zamek jechało. Stary posłał Ziemię, aby rozpoznał kto zacz — po chwili ten wrócił, oznajmując, że przybyli Leliwa, Kruk i Brzechwa. Odolaj wysłał krewniaków, aby obejrzel i stadninę i gospodarstwo, domyślając się, że niespodziewani goście mają mu coś ważnego do powiedzenia, a czego przy Boleszczycach rzec nie zechcą. Okazało się, że

odgadł dobrze, bo trzej przybyli rozpoczęli od tego, że należałoby, aby najstarszy z rodu, t. j. on, Odolaj, rozkazał Boleszczycom opuścić dwór i króla.

— Król się nam sprzeniewierzył, krzywdzi, biskupowi grozi, niechże mu służą ci, których kocha, a my, ziemianie, jako jeden idźmy precz!

— I słusznie mówicie, już ja im moją wolę poznać dałem -- albo dwór, albo ja!

A Brzechwa rzekł:

— Łatwiej nam będzie o pana, niż jemu o królestwo! Odolaj potrząśł głową.

— Kazałem wnukom ze dworu iść precz, ale wam muszę też prawdę rzec: o pana też nie łatwo! Pamiętajcie, co było po ucieczce Ryksy, wspomnijcie na Maślawa! Przyjdą z orężem palić nas i niszczyć, pomnijcie na Czechy i Niemcy! O króla nowego, coby był nasz, nie łatwo, a ten, jaki jest — swój jest!

Choć im te słowa nie w smak szły, ale i prawdą było, co powiedział stary, pamiętali wszyscy wygnanie Kazimierzowe.

Stary, przypomniawszy wnuki, posłał po nich; stali już pode drzwiami, czekają rozkazu. Wobec Leliwy, Brzechwy i Kruka powtórzył im starzec na pożegnanie:

— Mówilem, czego po was żądam. Precz ze dworu, albo mi się w Jakuszcwiecach ani pokazywać, ani nawet na pogrzeb mój. Wszystkim Jastrzębiom to zanieście, taka wola moja.

Ruszywszy w drogę, Boleszczyce w milczeniu czas jakiś jechali, smutno im było i ciężko na duszy. Groźba dziada zawisała nad ich głowami, rzucić króla zdawało im się niegodnem wiernych sług, zwłaszcza, że wszyscy go odstępowali.

— W takiej godzinie odstąpić go! — jęczał Dobrogost.

— Złe jest bardzo z rami — szeptał Ziema — mam na zamku starego księdza, który łaskaw jest na mnie, straszne rzeczy mówi...

— Co? zapytał przysuwając się Dobrogost.

— Ścisnął mnie, zaklirając, abym i ja, i moi precz szli ze dworu, bo z nim dusze pogrzebiemy, gdy go wyklną; ktokolwiek z nim trzymać będzie, wyklęty też zostanie, wolno go będzie zabić każdemu, za to kary niema. A gdy króla wyklną, innego na tronie posadzą, wezmą Światawy, syna lub męża — tak się pono zmawiają... a biskup kamienny jest... więc gdy się z sobą zetną, Bóg jeden wie, co będzie...

Rozmawiali tak całą drogę, oba zasmuceni i chmurni. Przybywszy na Wawel, pośpieszyli wnet do izb, które zajmowali Boleszczyce. Zobaczywszy ich, wszystek ród, którego przy królu było wiele, począł się gromadzić, aby usłyszeć nowiny o ślepym dziadzie z Jakuszuwie. Najprzód milczenie, a potem krzyk powstał, gdy Dobrogost powtórzył im wolę starca.

— Pewnie — zawołał gwałtownie Borzywój — kiedy nas w złotogłowy odziewał i sypał złotem, mieliśmy mu służyć, a w złej doli do nory! A cobyśmy naówczas byli warci?

Zamilkli wszyscy, szmer tylko słychać było, zafrasowanie zaś malowało się na wszystkich twarzach.

— Kto chce, czy wola, niech idzie od króla za parobka do Jakuszuwie — dorzucił jeszcze Borzywój, ja nie pójdę.

— A jak się nas wyprą swoi? — spytał Zbilut cicho, spoglądając po zebranych.

— Kto w państwie gospodarz? mnie się zdaje, że król, i jego słuchać trzeba. Nie, nie, ani ja, ani wy tego nie zrobicie, niech stary Odolaj burczy i wyklina, posłuchać nie możemy!

Na tem się skończyło — zaczęto się jeszcze w kupki zbierać, gwarząc o Jakuszuwicach, bo, choć wola dziada dziwną i ciężką im się wydawała, tęsknili do starego dworu. Wypytywali też przybyłych o wszystko, nawet o Hyżę, którego pamiętali. Żyćby tam żaden nie potrafił, ale zajrzeć chciało się każdemu.

*

*

*

Chociaż wszystko dokoła srożyło się niechęcią ku królowi, on nie zdawał się widzieć tego. Więc kiedy Borzywój wspomniał mu ogłędnie o tem, co wśród ziemian się gotowało, niepominawszy i przestrogi starego dziada, Bolko rozśmiał się tylko pogardliwie i odparł:

A ja ani Kościoła, ni waszego biskupa się nie boję. Biskup tutejszy, na tej ziemi zrodzony, nie żaden Włoch. Słuchać więc króla polskiego musi i nauczę go tego! A ludu mam dość za sobą, niechaj ziemianie o własną skórę dbają, abym jej z nich nie zdarł. Niech komary brzęczą, opędzimy się im, byleśmy chcieli.

Dzień ten był jednak niepomyślny dla króla, sądzone było, aby spoczynek mu maćono; — ledwie skończył roz-

mowę z Borzywajem, wszedł stary Rusin, podkomorzy królowej, z pokłonem, opowiadając, że królowa matka i królowa pani jego czołem były panu, a prosiły, aby im miłościwie dał widzieć swe oblicze. Ociągając się, poszedł ku komnatom, które obie królowie zajmowały; stara Dobrogniewa pędziła tu życie ciche obok Wielisławy, żony Bolka, zajętej wychowaniem małego Mieszka. Dziecię to było delikatne, nieśmiałe, ojca prawie nie znało, lękając go się, jak obcego. Narzekał król, że wyrasta na niewieściucha, chciał kilkakrotnie oddać go już pod męską opiekę, ale królowa umiała wyblagać zawsze, aby „jeszcze nie teraz“, tłómacząc swe obawy wątem zdrowiem chłopca. Wielisława nie była piękną, ani zbyt młodą, oczy zdawała się mieć wypłakane, twarz zatęsknioną.

W progu oczekiwała królowa z synem, a kłaniając mu się do nóg, wprowadziła w głąb sieni, gdzie znów powitała go matka, stara Dobrogniewa, dobra i cicha niewiasta. Pytać syna o nic nie śmiała, gdyż niewieścią pokora nie dopuszczała nawet matkom zbytniej z dziećmi poufałości. Izba, do której weszli, pachniała kwieciami i ziołami, rozsyanymi po podłogach. W mieszkaniu tem odbijało się surowe życie i obyczaj tej, co je zajmowała.

W chwili, gdy mały Mieszko wysunął się za opone, przeprowadzony przez babkę, królowa Wielisława, z trwoga spojrzawszy w oczy mężowi, upadła mu do nóg.

— Miłościwy panie a królu — mówiła, wyciągając błagalnie chude swoje ręce — choć słabą jestem niewiastą, racz i mnie posłuchać... trwoga aż tu doszła, do cichego teremu — boimy się o ciebie. Biskupi i kapłani zagniewani, rycerstwo i ziemianie opuszczają cię, królu, błagamy cię obie z twoją matką — uczyni pokój z biskupem!

Wtem przystąpiła i stara Dobrogniewa i po ramieniu gładząc syna, złamanym głosem dodała:

— Bolku, panie mój, Boga bój się — sługi jego szanuj. nie gub duszy i ciała!

Król ramionami dźwignął niecierpliwie i śmiał się dziko i straszno.

— Ej matuszko kochana, co bo na was dziś przyszło za strachy! Nie trujcie sobie spokoju babskimi plotkami. ot — lepiej chowajcie mi cbie syna, aby mi mężniej rósł, na wojaka — niż na babę. Pomnijcie, że jakem żyw, nikt mnie nie zmógł nigdy, a ja zmogłem wielu. Kto się mnie nie lęka dziś — ten się zleknie jutro.

Królowa spojrzała nań oczyma blagającemi, lecz surowy wzrok jego zamknął jej usta. Z głową pochyloną stała Wielisława, pokorna jak służebnica; Dobrogniewa nieco śmieiej spoglądała, Bolesław też zbliżył się do niej z pożegnaniem. W tej chwili przez uchyloną zasłonę wyjrzał Mieszko, babka skinęła nań, aby rękę ojca ucałował — u drzwi żegnała go pokłonami królowa i smutnemi oczami przeprowadzała go długo.

Szybkim krokiem wybiegł Bolesław z teremów, w których mu ciężko było oddychać, lecz dzień to był, co mu nie dawał spokoju, bo oto na drugim podwórzu ujrzał orszak swego brata, Władysława Hermana. Był to mężczyzna młody jeszcze, ale twarz jego różniła się od Bolkowej wyrazem skromności, łagodności i pokory niemal lękliwej. Rzadko dwóch rodzonych braci mniej z charakteru bywa do siebie podobnych. Władysław pobożnym był, dla brata miał cześć wielką, a Bolesław go sobie lekcewał i niekoniecznie rad mu bywał, szczególnież dziś, kiedy domyślał się, że z radą i przestrogą doń spieszył. Uwzięli się wszysey, aby go nudzić! Wolął też sam zagać odiazu sprawę, aby nie Jać się bratu długo nad nią rozwodzić. Przyjął go w izbie królewskiej, opowiadając o wojnie z biskupem. Władysław z trwogą słuchał pogrózek.

— Duchowieństwo! — rzekł, składając ręce — to silniejsze niż wojsko najpotężniejsze — duchowni! biskupi! ach! bracie mój!

Bolesław po ramieniu go uderzył, usta mu się wyduły pogardliwie — śmiać się począł.

— Ty babą byleś i jesteś! panuje się siłą, a nie prośbą!

Władysławowi lzy zakręciły się w oczach, próbował tłumaczyć, że księża nie są poddanymi króla — lecz Rzymu, że tknąć ich nie wolno nawet królowi, gdyż wprzód winni posłuszeństwo papieżowi, niż panującym...

— Nie kwap się łzami, gdy ja się śmieję — przerwał mu Bolko zuchwale — licha niech porwie wszystkich klechów, nie dbam o nich wcale, chodźmy wieszczać i bawić się... ani mi się waż więcej o tem mówić! — I pociągnął blądęgo i wylekłego do wielkiej izby, w której dwór czekał przy stołach. Nie wesoło jednak tam było, niewiasty rzadko się ukazywały, gdyż tylko wówczas, gdy królowe przyjmowały udział w uroczystościach... Błyszczały natomiast nakrycia

i zastawy stołu, naczynia dobyte ze skarbca lśniły przepychem i bogactwem, czeladź, suto przystrojona, świadczyła o tem samem.

Bracia siedzieli przy sobie milczący, wreszcie pod koniec wieczery Bolesław wysunął się cicho z izby, zostawiając brata ze swym dworem — domyślili się wszyscy, że idzie do Krysty. Tak się też i stało, zastał ją siedzącą w oknie, zadumaną...

— Cóż z tobą? — zapytał, obejmując ją czule.

— Co z panem, królem moim?

— O! pan wzdycha do wojny, miecz mu w pochwie rdzewieje!

Głowę położyła na jego ramieniu, a on, spojrzawszy w stronę drzwi, skąd cichy jakiś szelest dochodził, uśmiechnął się i ciągnął dalej:

— Wojny nam trzeba!

— A co my bez pana pocniemy? na wojnie pan sobie nowe serca zdobędzie, a co będzie z nami?

— Ej! wy jeszcze prędzej o nas zapomnicie! Alboż i teraz zaręczyć mogę, że nie myślisz o swoim Mściśławie?

— A! królu mój, panie — krzyknęła Krysta głośno — ja o nim? toć mnie za niego siłą wydali, a czem on dla mnie był? chyba strachem! Jak go wspomnę, jeszcze po mnie dreszcz przechodzi.

Nie widziała, że przed chwilą z cicha drzwi komory otwarły się, a w nich przez dwóch parobków silnych trzymany i związany stał mąż jej, który wszystko widział i słyszał. Tak król chciał. Krysta, spostrzegłszy go teraz, z krzykiem przerażenia rzuciła się do króla, obejmując go, szukając opieki. Bolesław śmiał się z okrutnej psoty.

— Patrzże! — krzyknął do Mściśława — słyszałeś, co mówiła, nie masz pociżony się dobijać! Kazałem cię przywlec, abyś sam słyszał własnymi uszami! Idźże teraz na kręcenie karku, a nie pokazuj mi się na oczy. Daruję ci życie, bo robaków nie duszę... Precz!

Skinął na pacholców:

— Za bramę go wyprowadzić i wyrzucić! Stróżom dobrze pokazać, niech mu w ślepie zajrzą, aby, jeśli do zamku na staję zbliżyć się ośmieli — jak psa go zabili.

Odwrócił się król, pacholcowie spełnili rozkaz; gniewem, boleścią osłabły Mściśław dał się prowadzić — popychano go, kopano, wleczono, nie szczędząc razów i naigrasając się z biedą a. Nierychło też, skoro już się nim gawiedź dość nabawiła, nie rozwiązując mu rąk, pchnięto go przez

wrota na drogę. Ciemna noc była, gdy podniósł się z ziemi, a z trudnością wlec zaczął ku przedmieściu. Przed oczyma jego przesuwiał się jeszcze król i Krysta — powtarzał sobie z uporem warjata, iż Krysta umyślnie miłość oświadczała królowi, aby jemu, mężowi swemu, ocalić życie. Myśl ta wracała mu siły, a z oczu płynęły łzy ciężkie, łzy bólu i wstydu. Dowłóki się tak aż do domku u kościółka na Skalce, w którym biskup przebywał. Świeciło tu w jednym oknie, dokoła panowała cisza. Doszedłszy do progu, legł na nim, ale padając o drzwi uderzył, które zadrżały i jęknęły. Kroki dały się słyszeć z wnętrza, drzwi odrygiowano, na progu ukazał się gospodarz domku, wyciągając ręce ku nieszczęśliwemu.

— Chodź, dziecię moje — rzekł, poznając w leżącym Mścisława — niech cię przytulę i orzeźwię. Bogu niech będzie chwała, iż z życiem uszedłeś!

*

*

*

Izba, do której biskup wprowadził Mścisława, była skromną, jak całe domostwo, ściany jej tylko dźwigały skarby wielkie, zajmowały je bowiem półki, wypełnione ogromnemi księgami w drewnianych okładzinach, z mosiężnemi i kościanemi ozdobami.

Tę nieocenioną naówczas zdobycz biskup przywiózł z Francji, gdzie siedem lat bawił. Tylko Benedyktyni mieli zbiór równie poważny.

Po rozmowie z biedakiem, który osłabł, znękany moralnie i fizycznie, biskup wskazał mu izdebkę, gdzie mógł wypocząć i przenocować. Jakież było jego zdziwienie nazajutrz, gdy służba oświadczyła, że rankiem uszedł gość, nie opowiadając, co pocznie z sobą.

Dnia tego wypadła potrzeba odprawienia nabożeństwa w zamkowym kościele, czego już od dłuższego czasu unikał biskup, aby jadąc, z królem się nie spotkać lub nie wywołać zajścia jakiego. Ranek był piękny, w pomoc do posług duchownych przybyli Benedyktyni z Tyńca. Wszedłszy do kościoła, biskup natychmiast kazał drzwi główne zaryglować, aby swawolni ludzie nie zakłócili spokoju świętej ofiary.

Cisza więc panowała w świątyni, w której tylko duchowni i kilku ludzi z miasta się znajdowało. Msza zeledwie dochodziła do ofiarowania, gdy hałas dał się słyszeć przed kościołem, wrzawa i śmiechy. Wtem nagle uderzono we drzwi kościelne. Ale że były zamknięte z woli biskupa, nikt ich się

otwierać nie ważył. Zaczęto bić we drzwi coraz gwałtowniej, okna się zatrzęsły; poza tymi, co tłukli tak śmiało we wrota świątyni, można się było domyślać tylko króla i jego drużyny. Biskup, wśród ofiary nie mógł jej przerywać, bo surowy w zachowywaniu kościelnych obrzędów, duchem ulatywał wyżej ponad niebezpieczeństwo osobiste. Miał właśnie podnieść Hostję, gdy pekiły wrzeczyadze, połowa wrót z hałasem padła na ziemię, i tłum do kościoła się wtoczył. Na czele jego szedł sam król, z ręką na mieczu, za nim bledzi postępowali Boleszczyce; sunęli całą gromadą pod sam ołtarz. Bolesław wyzywająco zajął miejsce naprzeciw biskupa i stał, spoglądając dumnie. Gdy celebруюcy odwrócił się od ludu, król mógł dostrzedz, że na obliczu jego nie było strachu, ni zmieszania. Błada, poważna, surowa twarz jego, w porównaniu do gniewnej królewskiej, o większej sile mówiła. Napróżno Bolesław chrzestem zbroi dawał znać o sobie — księża się spokojnie modlili, a biskup kończył mszę świętą. Buta królewska ustąpić musiała przed namaszczeniem kapłana. Spokój ten odbił się w królu jakąś niepewnością i trwogą; spojrzawszy więc kilka razy na biskupa, dał znak swoim i z hałasem a brzękiem zabrał się do odwrotu.

Nie chcąc się narażać na podobne napaści, biskup postanowił odtąd nabożeństwo odprawiać na Skałce.

Wróciwszy do domku swego, ze zdziwieniem ujrzał oczekującego nań Władysława Hermana, którego cenil za pobożność i skromność. Odgadł też, co go teraz sprowadza w jego progi. Rozmowa była długa, napróżno jednak książe błagał kapłana o pobłażanie i wyrozumiałość względem brata — biskup powtarzał wciąż niezłomnie: jeden jest tylko sposób, niech się król ukorzy! Niech przyjdzie z pokorą jako winowajca do tych samych drzwi, które w czasie ofiary świętej łamać kazał, niech czyni pokutę, a Rzym nad nim miłosierdzie mieć będzie, inaczej zaś, wyklętym być musi, bo sam się wyrzekł Kościoła, grzesząc świętokradztwem.

— Nieodwołany jest więc wyrok wasz? — szepnął cicho zbolwały książe.

— Com rzekł, to się stanie! — odparł biskup, bo nie ja rzekłem, ale Kościół przez usta moje.

Władysław pochylił głowę i nie próbując już błagać biskupa, wolnym krokiem wyszedł z izby.

Król tymczasem wprost z kościoła jechał na łowy, ale nie wiodły się dnia tego: z pogodnego nieba nagle zerwała się burza z gradem, gromami i błyskawicą, psy, jakby węż

straciwszy, chodziły błędne; w drzewo, pod które skryli się Boleszczyce, piorun uderzył, zdruzgotał je i zapalił, a dworzanie niewesołe mieli miny.

Gdy się to działo pod Krakowem, na Skalice u biskupa zebrało się dużo gości, przeważnie duchowni starsi i młodszy, księgi otwarte leżały na stołach — ciekawi zaglądali do nich i cofali się przerażeni...

Wieczór już był, gdy wszyscy weszli do małego kościółka na Skalee, ołtarz przygotowany jakby do niespornego nabożeństwa, płonął światłami, dzwon, jakby na modlitwę zwołując lud, odzywał się powoli, żałośnie, a ludzie, zwabieni nim o tak niezwykłej porze dnia, ciekawie, niespokojnie cisnęli się do kruchty i kościoła. Dwoje pacholąt weszło, poprzędzając biskupa w mitrę i z pasterską laską w ręku. Stanisław ze Szczepanowa szedł blady, modląc się po cichu, uroczystą obleczony powagą. Za nim długim szeregiem postępowali kapłani po dwu idąc, ze świecami w rękach — ustawili się z dwóch stron przy pasterzu swoim. W tej chwili wcisnął się otulony w opończę ciemną Władysław. Ludzie go poznali, pokazując sobie palcami. Dzwon bił ciągle żalobnie, jakąś nutę przerywaną, jak łkanie człowieka.

Uciszył się szmer tłumu, biskup laską uderzył potrzykroć o stopnie ołtarza i księgę otwartą, zanucił posępnym głosem grobowy psalm: „Deus laudem meam“... Niektórzy duchowni, śpiewając za nim, łyzy ocierali, głosu im brakło. Coś strasznego miał ten obrzęd w sobie, którego lud nie rozumiał, a odgadywał w nim jakąś groźną potęgę. Pieśń się skończyła, biskup odwrócił się ku ludowi. Twarz jego była straszna, jak sędziego, który miał wydać wyrok śmierci. Wszystek niemal tłum instynktownie zbił się w krucheie. Biskup głosem podniesionym, piorunującym czytać począł:

„Wyklęty jest Bolesław, Kazimierza syn, król — ze wszystkimi współnikami i doradcami swymi, ze wszystkimi, co mu pomoc nieśli, którzy mu radę dawali, którzy cieszyli się tem, co czynił, którzy wiedzieli o uczynkach jego, a nie powstrzymali go od nich i nie zgłosili ich za bezecne. Przeklęty niech będzie Bolesław w domu swoim i na dworze, przeklęty w grodzie, w mieście i na roli; przeklętym niech będzie tak, aby w nim zdrowego członka nie było, niech wypłyną zeń wnętrzności jego, a ciało niech robactwo roztoczy. Mieszkanie jego niech się stanie opustoszone, niech będzie wymazane z księgi żyjących, a pamięć jego niechaj przepadnie i zeznienie na wieki. Niech na sądzie ostatecznym przeklęty będzie z djabłem i na wieki niech ginie, jeśli się nie upamięta!“

Straszne te wyrazy biskup wymawiał powoli, a skończywszy, świecę, którą trzymał w ręku, cisnął przed siebie na ziemię. W tejże chwili duchowieństwo zaczęło też rzucać świece, wołając głosem donośnym:

— Amen! Amen! — fiat! — fiat!

Łoskot świec padających zabrzmiał, jakby piorun leciał z nieba... lud się cofnął. W kruchcie pomiędzy gromadą, z kąta dał się słyszeć krzyk straszliwy, bolesny i hałas jakby brzemienia upadającego na ziemię. W ciemności pogrążył się kościółek, tylko rzucone świece, dymiąc na posadzce, dogorywały. Biskup, ukiąklszy przed ołtarzem, krokiem poważnym, wiodąc za sobą duchowieństwo — do zakrystji powrócił.

Dokonało się co zapowiedziane było.

Zaledwie znikł biskup, gdy płacze a jęki i krzyki boleści rozległy się wśród tłumu. Trwoga padła na wszystkich. Zdawało im się, że z królem całe państwo wyklęte zostało; od bliższych miejsc i domostw straszna nowina niosąc przerażenie, jak pożar szła, szerząc się coraz dalej. Z ust do ust lud podawał sobie:

— Król został wyklęty! Nie mamy króla!

Wyrazy te zamykały w sobie tajemnicę pełną gróźb — zapowiadały nieszczęścia i klęski równe śmierci. Każda pięćdziesiątka ziemi dotknięta stopą króla, przeklętą być miała z nim razem. Zajałowić miały pola, pomór wszystkie żywe istoty wybić, rzeki z brzegów wyjść i zalać osady, ziemia otworzyć wnętrzości swe dla pożarcia wyklętych. Tłumy gromadziły się coraz większe, oblegając kościół i mieszkanie biskupa, leżały na stopach świątyni, zawodząc jękiem.

Noc już była, gdy król ze złych łowów wracając z wesołą gromadą, zjawił się u stóp Wawelu, gdzie zalegały tłumy płaczące. Samo spojrzenie na to niezwykle zbiorowisko ludu coś strasznego zwiastowało. Na widok króla, gromady ścisnęły się i z wrzaskiem zaczęły trwożliwie rozbiegać na wszystkie strony. Posłuszni panu Boleszcyce gonili za niemi, chcąc się dowiedzieć przyczyny tego niezwykajnego zachowania się — napróżno jednak; przesłukiwano ploty i rowy, zamykano się po domach, bo pewni byli, że jedno słowo zamienione z wyklętymi — mogło klątwę przenieść na głowę każdego człowieka. Popłoch rozległ się po mieście, przedmieściach i polach. Król rozdrażniony, cwałem puścił się na zamek — tu w podwórcach stały kupami zapłakane niewiasty, potrwożona czeladź — na widok króla pierzchać zaczęło co było. Twarz Bolesława

Boleszcyce.

pałała teraz gniewem, oczy rzucały pioruny. Spostrzegł staruszkę matkę przytuloną do ściany, żonę omdlałą na ziemi i Mieszka, klęczącego i całującego blade lica matki. Wszyscy uciekali od niego. Król mierzył teraz wzrokiem tłumy, odgadł, przeczuł, co się stało, wiedział, że padła nań klątwa biskupia.

Długo z izby, w której się zamknął, nie wychodził; dopiero późno w nocy, o drugich kurach, wyszedł z włosami rozrzuconemi, w jednej sukni, i wolnym krokiem puścił się w podwórcę. Zaszedł aż przed kościół zamkowy, w świetle tajemniczym nocnem ujrzał podwoje, które z jego rozkazu wylamano rano — na nowo ózwignięte, a na nich jaśniejsze ślady włamania. Były to jakby rany świeże na ciele świątyni. O te drzwi pokaleczone miała się rozbić cała siła jego i potęga. Obalil je — powstały, i znowu żelaznemi obręczami ujęte, zamykały mu drogę.

Dniało już, gdy król znużony, nie uspokojony, na zamek powrócił. Nazajutrz, jak gdyby nic nie zaszło, wyruszył na łowy. Śmiał się, był wesół nad miarę, a Boleszezyce szeptali między sobą, że taki jest najgroźniejszy, że coś zamysła okropnego. W drodze na łowy ujrzeli gromadę ludzi śpieszących do Krakowa. Gdy oba poczty się zetknęły i można było w jadących poznać Leliwę, Brzechwę i Kruka — ci zawrócili w niepewną wążką, pełną ścieżynę, unikając z królem spotkania.

Bolesław kazał jednak swoim podążać tą samą ścieżyną, a zrównawszy się z ziemianami, śmiało zapytał ich, mierząc gniewnemi oczyma:

— Coście za jedni?

Leliwa po namyśle rzekł:

— Ojczyce tej ziemi jesteśmy!

— Azali mnie nie znacie? — krzyknął król.

— Zналиśmy wczoraj — a dziś cię nie znamy.

— Chcecie, abym się ja wam dał znać! Przecz że mnie nie chcecie?

— Bo wy matki swej znać nie chcecie — rzekł Leliwa powoli.

— Jakiej matki?

— Kościoła i sług jego.

— Tak was klechy nauczyły! Dobrze! Ale on za was i siebie zapłaci! Precz!

— Kto pod klątwą kościelną jest — odparł spokojnie Leliwa — ten rozkazywać nie ma prawa.

I zwolna poczęli konie zawracać, a nie kiwnąwszy głowami, odjechali, nie oglądając się na króla, który chwycił drżącą ręką za miecz, jakby go chciał dobywać. Po powrocie wydał rozkazy do wielkiej uczty. Wesołość pańska dodawała odwagi dworzanom, wytaczano beczki, śmiejąc się i pokrzykując, a trąby i rogi odpowiadały głośnym piosnkom rozkrzyczanej gromady. W mieście i na przedmieściach ludzie patrzali i słuchali:

— Król się weseli! — mówili jedni.

— Szatan harce wyprawia! — szeptali zegnając się duchowni. Biskup siedział na Skalce nad księgami. W okno biło światło zdaleka.

— Co to za luna tak świeci? — spytał biskup kleryka.

— Na zamku stosy i pochodnie goreją — odparł kleryk.

— Co to za wrzaski słyhać?

— Na zamku król wyprawia wielką biesiadę i weseli się — odparł kleryk.

Wstał biskup od pulpitu, otworzył okna, patrzył i słuchał. Aż tu dochodziła wrzawa i okrzyki dzikie. Posmutniało mu oblicze, a oczy zaszyły łzami.

— Stań się wola Twoja — rzekł po cichu.

Zwolna wyszedł aż na próg domu swojego i oczy ku Wawelowi obrócił. Nad górą zamkową wznosiła się luna krwawa i dymy iskier pełne, laly się pieśni swawolne, pogańskie. Bolesław, na górze, na wałach, stał z piersią odsłonią, bo w niej gniew gorzał płomieniem, patrzył w dół ku Skalce, urągając domostwu, które stało otwarte, bezbronne.

— Gdybym chciał — mówił w duchu — dziś, zaraz zgniótłbym klechę, ale nie, niech drży z trwogi, niech czeka... niech godziny liczy... nie ujdzie rąk moich. Zamknę raz jeszcze przede mną drzwi kościoła — ja mu drzwi życia zamknę na wieki. Do Rzymu pošlę bryłę złota. Co im jeden biskup, poddany mój! Przykład dać trzeba. Dość suchej walki, do pierwszego spotkania!

*

*

*

Widziano tych dni — po kłątwie rzuconej na króla, jeżdżącego od dworu do dworu człowieka, na koniu, lichem suknem okrytym, w odzieży prostej i odartej, z głową obnażoną, jak gnał bez dróg od wsi do wsi i szedł do ziemian, stawał przed nimi, wywoływał słowy gorącemi i jechał znów dalej, nie spoczawszy. Przybył tak i do Jakuszowic. Odolaj, posłyszawszy kroki zbliżające się, zawołał:

— Co zacz?

— Mściśław z Bużenina — rzekł przybyły śmiało — ten, któremu król żonę wziął i którego na urągowisko puścił, uwięziwszy wprzód... Mściśław jestem, który nawołuje do zemsty, do sprawiedliwości.

Biskup na króla rzucił klątwę, przeklęty, kto z nim, kto mu służy — twoi z nim przekłeci, ród twój, krew twoja!

— Nie bluźń ty, poganie jakiś! — krzyknął gniewnie stary. — Któż ci to mówił, że my współnikami jego jesteśmy? Ja ród mój przekląłem; jeżeli mu służyć będzie, znać ich nie chcę, zapieram się ich, a nie wierzysz, to powróć tu za trzy dni, wezmę ich raz jeszcze i wobec ciebie powtórzę im, com już raz rzekł — tak, posłę, a ty tu legnij i czekaj:

— Ja? leżeć? czekać? — zakrzyczał Mściśław — maszże ty taką siłę, coby mnie na miejscu przykula? Ja muszę jechać, budzić, wołać: Gore! Muszę krzyżeć: Wyklęty jest!

— Niech cię tam ślota niesie i wichry! — odparł stary — ale trzeciego dnia wracaj, byś usłyszał, co rzeknę. Rozumiesz? trzeciego!

— Będę! — zawołał Mściśław; i odszedł tak jak przyszedł, a Odolaj siał wnet pacholka do Krakowa, z rozkazem, aby Jastrzębce stawili się w Jakuszowicach, a prędko. Wysekiwał ich nocą i dniem, nasłuchiwał, czy kto nie jedzie. Wreszcie trzeciego dnia wyszedł na wały z Hyżem; ten nosem ciągnął powietrze i pomrukiwał, jak był zwykł, gdy zdala co poczuł.

— Jada! — rzekł stary.

Wtem zatętniało, wrota skrzypnęły, koń zarżał, chód słychać było żywy i zmęczony. Ocierając pot z czoła, ukazał się Dobrogost. Weszli do domu.

— A który tam? — zapytał Odolaj.

— Dobrogost Mszczujów.

— Hultaje jacyś! — począł stary — co wy sobie myślicie? Kogo wy słuchacie? Z królem trzymacie?

— Inaczej nie możemy — ośmielił się Dobrogost — król i tak opuszczony...

— I będzie zgnębiony, na nic, na proch, zezeźnie! — wybuchnął gospodarz.

Ale słowa mu w gardle zastygły, znowu bowiem wrota skrzypnęły i wbiegł człowiek zdyszany.

— Otom ci jest! — masz mnie!

Stary szepnął:

— Wiem — Mściśław!

On to był istotnie, w tej samej odzieży zbrukanej, w usty spiekłemi; stojąc, dojrzał u drzwi ceber z wodą, chwycił go oburącz, do ust przechylił i pił, bo mu wewnątrz gorzało.

— I cóż? — zapytał potem, mierząc krwawemi oczami Dobrogosta.

— Ja mówię właśnie dziadowi, że my nie możemy opuścić króla — wszyscy przy tem stoją, ja się od braci oddzielić nie mogę, choćby szyję dać przyszło... Czy Sreniawy zostaną, czy Drużyny dotrzymają — nie wiem, ale Jastrzębcy trwać przy nim będą. To nasza powinność.

Mściśław plunął mu pod nogi.

— E! plemię niewolnicze! raby, sługi, parobki królewskie...

W tejże chwili Dobrogost mu do gardła przyskoczył i ścisnął je tak w silnych rękach, że Mściśław posiniał cały. Chciał się wyrwać, nie mógł, miotali się, nie mówiąc słowa. Stary, posłyszawszy co się dzieje, rozkazał Dobrogostowi puścić go natychmiast.

— Tobie, dziadku, wolno robić ze mną co chcesz, ale temu psu wara!

To mówiąc, uwolnił ofiarę swą, Mściśław zatoczył się i upadł na ławę, ciężko oddychając.

— Gdyśmy na dwór króla przystawali — mówił Dobrogost — kto nas tam ślał? A no, wy sami... pędziliście nas do niego, a teraz żądacie, abyśmy go tonącego porzucili — ale to się nie stanie, z królem my i lud...

Odolaj gwałtownie kijem stukać począł.

— Milcz ty! Między mną a wami niema już nic, na pogrzeb mój nawet nie śmiecie przyjsć. Czeladź was kijami od trupa odpędzi.

Dobrogost ruszył się, aby odejść w milczeniu, lecz Mściśław wstrzymał go ręką i rzekł:

— Strzymajcie się, przybędą tu Leliwa, Kruk i Brzechwa, niech i oni powtórzą wam to, com ja mówił i dziad wasz... a może boisz się?

— Ja? — oburzył się Dobrogost.

W tejże chwili wspomniani ziemianie przybyli — znów wszczęto tę samą rozmowę, która przechodziła w gorącą kłótnię i pogróżki. Słuchał zrazu Dobrogost w milczeniu, lecz wkońcu wybuchnął:

— Macie wy siłę, ma ją i król, wy sprowadzicie Czechów, on Rusinów i Węgrów, będzie to, co z Kazimierzem, wypędziliście, a potem prosili i ślali, aby wrócił — ale Bolesław, to nie Kazimierz! Nie zgniecicie go!

A widząc, że słowa jego tylko gniew na twarzy napędzają — Dobrogost spojrział tylko i zwolna ku drzwiom się skierował. Zwrócił się ku Odolajowi.

— Głową ojcemu panu!

— Ja was znać nie chcę, zwij się ojcem psa rudego.

Idź woni!

Wśród śmiechu wyszedł, pożegnany serdecznie tylko przez strwożoną Tytę, która za drzwiami wysłuchiwała rozmowy i kłótni. Jechał smutny do Krakowa, wiedząc, że stawia na kartę nie tylko dobre imię, ale może i życie.

Król tymczasem bawił się jeszcze weselej, przyjmował Rusinów, którzy doń zjechali z liczną gromadą, Boleszczyce zaś dopomagali mu w tej zabawie, obmyślając figle i sztuki bezwstydné. Przebrany jeden niby za biskupa, w szaty biskupie i czapkę o dwu rogach, z kijem zakrzywionym w ręku, popisывał się przed królem, naigrawając nad nieobecnym. Mieszczanin Sroka, którego odziano w opończę wyszywaną i łańcuch, na rycerstwo i ziemiany wydziwiał. Ludzie aż się kładli od śmiechu, słuchając słów bezwstydných, a kolących.

— Hej! panku na Bużeninie — wołał — siadło twoje ptaszę na złotej jabłoni, a tyś goniąc za niem, wlażł w błoto po kolana!

Krysta, słuchając, twarz zakrywała i pierwszy raz, coś w rodzaju wstydu, lzy do oczu jej napędzało. Król, śmiejąc się, podzegał jeszcze Srokę.

— Hej! panku Leliwo — ciągnął więc pijany — z tobą gorzej być może. Król ci nie żonkę weźmie, bo stara i niewierna, ale siwą główkę zetnie jak makówkę!

Wśród tej wrzawy bracia spostrzegli Dobrogosta, otoczyli go, dopytując się, z czem wrócił. On w krótkości opowiedział im przyjęcie u starego i jego wolę. Posmutnieli. Król zauważył, że zebrali się gromadą, podszedł więc bliżej i pytał, czy mają zamiar porzucić go, jak to już inni uczynili.

— Miłościwy panie — odparł na to Dobrogost — nie krzywdźcie nas, tych, co służą wam wiernie. Wyrzekliśmy się dla was swoich, a z drogi już nie zawrócimy; rozkazuj więc, jesteśmy na wszystko gotowi!

Inni potwierdzili chórem te słowa, a brzmiały one smutno, jakby w przeczuciu nieszczęścia.

— A no będzie, co losy zrządzą — odrzekł wesoło Bolesław. — Dziękuję wam za wierność waszą, weźmiecie co chcecie, choćby pół królestwa mojego.

— A cóżby warta była taka wierność? — przerwał Borzywój — nie, za naszą zapłatę nie przyjmujemy.

— Prawda to — zapytał znowu Bolesław — że biskup ma mi bronić wstępu do kościoła?

— Tak mówią — odparli Boleszczycy.

Król wstrząsł się cały.

— Trzeba więc popробować, czy nie wpuści — począł szydersko. — Na Skalce mszę prawi?

— Tak jest, codzień na zaraniu dzwonią na nią — objaśniał Borzywój.

— Jutro ze mną wszyscy na Skalkę! Oko w oko spotkamy się z tym obrzydłym kleką.

Niektórym pobladły twarze.

— Ależ, miłoścyw panie — próbował nieśmiało wtrącić Dobrogost — Kościół...

— Mlecz! — przerwał mu Bolesław — gdzieindziej go nie uchwycę, bo uchodziś przede mną. Zatem jutro rano, wszyscy, na Skalkę!

Nikt się już odzywać nie śmiał.

Gdy się to działo, u węgła podsienia stojący człek jakiś wysunął się natychmiast i wymknawszy się z zamku, zbiegł w ciemnościach drogą ku Skalce. Tam, w mieszkaniu biskupiem, świeciło się jeszcze, gwałtownie zapukał do drzwi. Nie-rychło ukazał się w nich kleryk, a poznawszy po odzieży w przybyłym królewskiego sługę, nie chciał go wpuścić. Po dłuższej, głośniejszej rozmowie, zwabiony podniesionym głosem nieznanego, stanął we drzwiach sam biskup; milcząc wskazał mu wewnątrz izby i sam go poprzedzając, wprowadził do niej.

— Kim jesteś, czego chcesz? — zapytał klęczącego i obejmującego pokornie nogi jego, przybysza.

— Andrek, najmłodszy z Boleszczyców. Ojciec mój, błagam was o litość nad królem naszym, po to tu przybiegłem, miejcie litość nad nim i nad sobą. Jutro rano mszy na Skalce nie odprawiajcie, zamknijcie wasz dom i wyjedźcie. Niech królewski gniew straszny przeminie...

Biskup go zlekka usunął.

— Mam mieć litość nad sobą? A cóż mi grozi?

— Słyszałem, że jutro rano król z nami wybiera się na Skalkę do kościoła...

— Wzbronię mu wstępu! — zawołał biskup — noga jego chyba po mym trupie tam wejdzie! Ja miałbym, mając Boga za sobą, ustąpić królowi? Choćby krew moją przelać

miał — nigdy! Nie jest już zresztą ani królem waszym, ani mojem dzieckiem, ani bratem niezym, bo przestał być synem Kościoła!

Wyrok ten jak piorun padł na Andrkę, stał blady, ręce zalał, nie wiedząc co począć.

Biskup, przeszedłszy się, stanął znów przed nim.

— A wy wszyscy, którzy mu służycie, winni jesteście także; gdyby, co żyje, odeszło od niego, wtedyby się może opamiętał i pokutował.

Andrek nie śmiał się bronić ani odpowiadać. Wychodził już pożegnany skinieniem ręki, gdy w progu minął o. Ottona, kapelana królowej. Przybywał on z tem samem, co Andrek; i on w imieniu Wielisławy błagał i zaklinał biskupa, aby pozwolił wygorzeć ognioni gniewu królewskiego, aby unikał z nim spotkania.

— I o cóż wam idzie, o. Ottonie? O życie moje? Cóż ono warte wobec powagi Kościoła? Kościół na tej ziemi chwieje się; nie powolnością, ale potęgą zakładać potrzeba jego fundamenty, a jeśli do nich krew moja potrzebna jak wapno, aby kamienie węgielne spoila — niech popłynie... Stań się wola Boża! Ojciec Ottonie, skoro już przyszedłeś, bądź dziś spowiednikiem moim, zasną potem spokojny, czekając, co przyniesie jutro. Żołnierzem Chrystusowym jestem, jeżeli mi za Pana mego życie dać przyjdzie, umrę szczęśliwy.

I biskup ukląkł przed świętobliwym staruszką do spowiedzi.



Na zamku ucztowano noc całą, król spędził ją całą bezsennością, czekając poranka. Odziany i zbrojny wyczekiwał dzwonka, który się miał odezwać wołający na mszę. Dzień wschodził chmurny, o świetle ołowianem, słońce mu przyświecać nie chciało. W progach dworca stali Boleszyczycy, na których twarzach widać było jakby na śmierć iść mieli lub stracenie. Na pierwszy głos dzwonka Andrek upadł na ławę i zakrył sobie oczy. Inni wyprężeni słuchali, ku sieniom spozierając, skąd król wynijść miał.

Zmęczona wczorajszą wrzawą, Krysta dnia tego spała długo, obudził ją też dzwonek na Śkalce, a potem zaraz tętent koni. Jak ten dzwonek brzmiał jakoś i jęczał strasznie, pogrzebowo! Był to ten sam, co w dniu kłótni lud zwoływał i dzwonił świecom zgaszonym.

Gdy ujrzała orszak królewski przejeżdżający, chciała odgadnąć, dokąd król mógł jechać tak rano. W twarzach Borzywoja i Zbiluta wyczytała jakby pożegnanie na wieki.

Dokądże tak rano jechali? Wśród tej głuchej ciszy, jaka po przejeździe drużyny objęła Wawel, nagle — czy się jej wydało? usłyszała Krysta zdala krzyk okropny, krzyk wściekłości jakiejś i morderstwa. Potem zmieszane głosy i wrzawę, dzwonek poczał bić na trwogę, raz po raz, nieustannie. Serce Krysty zaczęło bić również, aż łzy popłynęły z oczu. Zatrętniało nagle szalonym biegiem. Krysta się wychyliła. W bramie ukazał się król. Błady był jak trup, usta miał otwarte, zęby zaciśnięte, a oczy wyskakiwały mu z pod powiek. Na jednym policzku miał plamę ze krwi, krew zdawała się ściekać jeszcze, obie ręce miał krwią oblane, mieczyk, który mu wisiał u pasa, ściekał krwią i bryzgał kroplami.

Tuż za nim lecieli pobroczeni krwią, jak on, pijani morderstwem Boleszezyce, za nimi czeladź wylekła i przerażona. Król zsunął się na ławę w podsieniu, otoczyli go kołem, ocierając ręce krwawe o murawę, o ściany, o polę, otrzeć ich nie mogąc.

Krysta ręce załamała. Krew! krew! czyja to była krew?

Tymczasem od miasta zaczynała buchać wrzawa jakaś, płacz, krzyk i jęki z niej bily. Straszego coś stać się musiało. Z izb wyrywali się ludzie jacyś i powracali.

Wtem Ciarka wpadła zdyszana i z krzykiem obalila się u stóp Krysty. Wśród tej trwogi w progu ukazał się Borzywój. Wszedł, wodząc obląkanemi oczyma, nie mogąc mówić.

Stał, patrzył na swe ręce, tarł je, chował, szepcząc coś do siebie. Na białej twarzy jego pot występował kroplami. Chciał odejść, nie rzekłszy nic Kryście, ale ta zabiegła mu drogę, pytając ze strachem i grozą:

— Gdzieżeście byli? co się stało? Krew! co znaczy ta krew?

Buchnęło z niego.

— Król, król, dla króla, szliśmy z nim, bronili go... Klechę trzeba było ukarać... zdrajcę... Zabił go król, zabił!

Krysta podniosła się splakana, wołając:

— O Boże! Król!

— Co król miał zrobić? Nie chciał go puścić do kościoła, na progu król ciał go... ciał... padł, porabaliśmy w kałki... toć wojna była!

Krysta, usłyszawszy te słowa, krzyknęła znowu i odbiegła daleko, tuląc twarz do ściany. Wtem nadszedł Zbilut. I na nim ślady przelanej krwi było widać. Spojrzeli na siebie bracia i zadrżeli.

— Krew! — szepnął Borzywój, wskazując Zbilutowi suknie jego.

— Krew! — odparł Zbilut, wyciągając ręce ku bratu, wskazującemu twarz jego, odzież i dłonie.

Krysta zdala wołała jęczącym głosem:

— Krew przynieśliście z sobą, wychodźcie! idźcie stąd, zbrojcy!

Borzywój chciał się zaśmiać, nie mógł.

— My nie poczynaliśmy... sam król ciął. Trysnęła krew, sam król... kazał rąbać. Leżał martwy na ziemi, wszyscy siekli, kiedym ciął...

— Tyś wprzód nań padł!

— Nieprawda, ty!

— Nieprawda, jam nie tknął.

Poczęli się bracia klócić z sobą. I słyszeć już nie było, co mówili, bo razem poczęli krzyżeć, przypadając ku sobie.

Krysta nieprzytomna powtarzała ciągle jedno:

— Idźcie stąd!... krew! krew!

Uparty krzyk kobiety wygnał ich nareszcie za drzwi.

Na Skalce tymczasem tłumy oblegały kościółek, w samych jego drzwiach stała kałuża krwi, od której krwawa ścieżka ciągnęła się aż do ołtarza. W progu leżał trup biskupa, a raczej szczątki posieczonego ciała. Ludzie stali nad niemi, zachodząc się od placu. Kościół otwarty był i pusty, na ołtarzu świece dogorywały jeszcze, na stopniach jego leżał wywrócony kielich, zgięta pod nogami patyna. Od tego okrwawionego progu wieść leciała po całej ziemi, że król przy Ofierze zamordował biskupa. Ludzie ją niesli do kościołów, miast, na zamki i grody. Z sąsiednich osad przybywało duchowieństwo, konne poczty ziemian i rycerstwa, rozkładając się i obozując u stóp Wawelu. Dowodzili nimi Brzechwa, Kruk i Leliwa. Król widział z okien to obozowisko i wysłał Borzywoja z zapytaniem, co zamysłają czyścić i po co przybyli.

Poselstwo to nie było bardzo bezpieczne, wiedział o tem dobrze Boleszczyc, a choć się na nie ważył, w niepokoju się udał. Wysłuchali go w milczeniu, groźnie patrząc na towarzysza mordercy, wkońcu wstał siedzący zdala duchowny, podeszłego wieku, i z wielką gwałtownością począł mówić:

— Powiedz temu zbójcy, powiedz Kainowi, iż przyszedł tu ziemianie, aby stali na straży i oblegali go dopóty, dopóki z kraju nie wyženią. Precz z tej ziemi iść musi! precz!

Nierychło Borzywój przyszedł do głosu.

— Nie łacno go wyżeniecie! — zawołał.

Ale nie dano mu dokończyć, odwracali się tyłem do niego, nie chcąc z nim rozmawiać; duchowny zaś poświęconą wodą i modlitwą próbował oczyścić miejsce splugawione obecnością mordercy.

Król kazał sobie wszystko powtórzyć, z czem Borzywój powrócił: postanowił wyprawić najwierniejszych z druzyny, aby lud zbrojny dla niego ściągali. Nie łatwe to jednak było, wylekłe pospólstwo ani słyszeć o tem nie chciało. Znikąd też posiłki nie przybywały.

Nadomiar wszystkiego i Krysta znikła z zamku, nikt nie wiedział ze służby, co się z nią stało. Krysta zaś, przebrawszy się w prostą odzież i plachtą grubą okrywwszy, napół obłąkana, wysunęła się z zamku, powtarzając ciągle jeden wyraz:

— Krew! krew!

Omdlając, zmęczoną długą pieszą podróżą znalazł przejeżdżający Mściśław; jechał on także pod Wawel, aby z ziemiany pilnować króla. Szcześliwy z odnalezienia ukochanej żony, w której zdradę nie wierzył nigdy, teraz, jak czuła matka, zajął się znalezioną, a sprowadziwszy babkę z Krakowa, która się leczeniem zajmowała, oddał jej w opiekę chorą i nieprzytomną, umieściwszy wprzód kobiety na wygodnym wozie, sam jechał opodał. Wolno, aby nie męczyć chorej trzęsieniem, kazał jechać do Gór, do matki Krysty, która jej od czasu zamieszkania w zamku znać wcale nie chciała. Ujrzawszy ją jednak tak nieszczęśliwą i słabą, gdy jeszcze i Mściśław tłómaczyć począł i uniewinniać, matka, jak matka, przycisnęła dziecię do piersi. Zdawało się, że w umyśle Krysty budzi się jasność, że odzyskuje przytomność.

— Matusi mojej! powtarzała — sen to był, sen, Góra! ach! co to za sen ciężki miałam, matusiu!

Głowę oparła na ramieniu matki, płacząc pocichu, a gdy z oczu matczynych padła gorąca łza jej na twarz, Krysta znów targnęła się z krzykiem, wołając:

— Krew! krew!

Mściśław siadywał w drugiej izbie, słuchając zdala umiłowanego głosu; podchodzić nie śmiał, bo wówczas oczy jej

stawiały się zupełnie błędnymi, przerażenie zalewało wychudzoną twarzyczkę i słowo: krew! krew! wybiegało na drżące usta. Tylko z matką umiała rozmawiać spokojnie, wspominać lata dziecięce i stawiała się wówczas nie Krystą-kobietą, ale małą, dziecinną, dziewczynką. Zupełnej przytemności odzyskać już nie mogła, choć Mściśław był łagodny i pieścił ją jak dziecko. Nie myślał też o powrocie do Krakowa, między ziemiany, chora Krysta zajmowała jego całą duszę, wypełniając ją głębokiem, niepomnem na nic, przywiązaniem.

Na Wawelu tymczasem codzień gorzej było, ludzie uchodzili jedni za drugimi. Król wściekał się z gniewu, ale rady nie umiał znaleźć. Gdy wołał — udawano, że go nie słyszą; gdy pytał — nie odpowiadali, mijali go wszyscy. Kościoły były pozamykane, nigdzie księdza u ołtarza, księża się przed ludem zamykali.

Posyłał Bolesław do Poznania, do Gniezna, do Płocka po duchownych, żaden przybyć nie chciał, odpowiadając, że zabójcy za króla nie uważają. Nawet prostego ludu jadłem i napojem zwabić nie było można. Wierni pozostali tylko Boleszczyce, oraz dwie królowe i Rusini z ich dworu. Bezsilny gniew króla rozbijał się o milczący, zimny opór kraju. Zamek, jak wyspa na morzu, stał odosobniony od świata.

Był jeszcze na stolicy wrocławskiej naówczas biskupem Jan Jastrzębiec, najstarszy syn Odolaja. Borzywój po radzie ze swymi wybrał się do niego, ufał, że tam znajdzie dla króla pomoc i radę. Przedzierać się musiał przez manowce i lasy w przebraniu, aby go nie poznano. Ruszywszy tak w świat, przekonał się dopiero, jak trudno było króla ratować, wszyscy byli przeciw niemu.

Biskup Jastrzębiec był już starcem, charakteru równie gwałtownego, jak ojciec jego Odolaj. Popędliwość ojca w synu stała się surowością nieubłaganą.

Gdy Borzywój stanął przed nim, zapytał go głosem ostrym:

— Z tych jesteś, co przy królu byli?

— Z tych, co przy królu są — odparł przybyły.

— Nie zbliżaj się do mnie! — krzyknął biskup. — Czego tu chcesz? Wszyscyście razem z nim wyklęci!

— Jakże mogłem króla odstąpić, gdy wszyscy nas i jego odpychają, rady nawet nie znajdujemy..., co król uczynić powinien, aby mu odpuszczone było?

— Pokuta z powrozem na szyi, a z kraju iść precz, bo pomazany krwią — pomazańcem boskim być nie może. Toż

samo was czeka, służalców i zbrodniarzy. Ale mam litość nad tobą; jeśli się kajać będziecie, ty i twoi bracia, naznaczę pokutę, wyjednam wam oczyszczenie. Zostań, ale zdala od mego dworu, nim los ci obmyślę...

— Ojciec mój — odezwał się Borzywój — dzięki wam składam najpokorniejsze, ale jam sługą i do mojego pana powrócić muszę.

Zaledwie usłyszawszy tę odpowiedź, biskup porwał się z siedzenia.

— Precz zatwardziały! który wracasz do nieprawości swej, precz! noga twa niech tu nie postanie, oczy moje niech cię nie widzą więcej! Za wrota go wyrzucić!

W gniewie upadł na krzesło, a kleryk, który nadbiegł, ujawszy za rękaw Borzywoja, wedle rozkazu wywiódł go za wrota. Zostawszy sam na gościńcu, przypomniawszy sobie wypędzony, że miał na dworze biskupim bratanka Pawła, którego dziad uczył i przygotowywał do stanu duchownego, ale szukać go nie śmiał, nie chciał wracać tam, skąd go wypędzono bezlitośnie. Pociągnął tedy z powrotem do Krakowa, znękanym i upadłym na duchu.

* * *

Upłynął rok cały. Pomiedzy królem a krajem trwała wojna niekrwawa, milcząca, zacięta; gromady podchodziły pod zamek, rozkładając się u jego stóp, a nieustraszony pan siedział na grodzie swym i urągał im królewską pychą i uporem. Codziennie ubywał ktoś ze dworu królewskiego i posłuszną mu została tylko drobna garstka. Połowa budowli na Wawelu pustkami już stała, wzywany lud do pomocy wypierał się pana jawnie, dając mu jeno potajemnie żywność i paszę.

Król miewał napady dzikiej jakiejś wesołości, po której znów wpadał we wściekłość, wybierał wtedy ofiary z tej malej garstki wiernych i ścinał, wieszał je, a nazajutrz żałował postradanych.

Jednego ranka oznajmił mu Borzywój, że przybyło kilku ziemian i czekają u wrót na pozwolenie zobaczenia się z królem. Już miał ich kazać odegnąć, gdy nagle zmienił postanowienie i wprowadzić kazał. Weszli: Brzechwa, Kruk i Leliwa. Bolesław patrzył na nich oczyma pełnemi nienawiści, oni odpowiadali mu surowem wejrzeniem.

— Myśmij tu przyszedł — odezwał się pierwszy Leliwa — bo czas coś postanowić. Kraj bez pana obejść się nie może, idźcie więc dobrowolnie stąd, zanim my was wyże-niemy.

— Tak, idźcie sobie na Ruś — dodał Kruk — bo tu już długo siedzieć nie będziecie, nie.

— Nas jest dość — pchnął Brzechwa — aby i zamek zdobyć, i ludzi wyrzucić, ale nie zmuszajcie nas do tego, my wam wolne wyjście dajemy. Węgry wam też sprzyjają za dawne posługi... i do nich możecie.

Milezał król, stojąc, jakby nie słyszał, tylko uśmiechał się dziko. Wreszcie przerwał ich mowę i innym jakimś głosem zakrzyknął:

— Miłościwe pany, won! a żywo! bo was, jak psów, powywieszać każę!

— Popatrzcie tam, ilu nas dookoła... — spokojnie, z powagą odpowiedział Leliwa — nie chcemy krwi waszej, puścimy cię ze wszystkim co masz, kiedy chcesz, miłosierdzie czynimy. Na pospólstwo rachowaliście i co? na próżno! Wy chrześcijańskiemu narodowi panować nie możecie.

Bolesław miotał się czas jakiś, namyślając się, czy ukarać śmialków, czy usłuchać: wpadł w zadumę, zdając się nie widzieć, że jeszcze stoją, nie słyszał też, kiedy opuścili zamek. Jeszcze wciąż siedział w zamyśleniu, gdy wpadła królowa z synem, prosząc go, aby opuścił ten zamek, ten kraj, w którym tyle łez wylała, błagając, aby ratował siebie i dzieci. Wyszedł na wały i przyglądał się długo obozowisku, które dnia tego zbliżyło się pod sam gród i groziło niebezpieczną walką. Stał błądzący, z wyrazem hamowanej złości na czole.

— Skarbiec mój na wozy ładować! Ludzie, do drogi! Nie jeden Kraków dla mnie na świecie! — zawołał wreszcie, śmiejąc się dziko, boleśnie — wyjdę stąd z garstką, a wrócę z tysiącami, ale biada tym, których tu zastanę!

Rzucili się ludzie do roboty ochotnie. Cała noc zeszła przy pochodniach na śpiesznych przygotowaniach do drogi. Tylko stara królowa Dobrogniewa wyjeżdżać nie chciała, powtarzając ze łzami ale stanowczo:

— Idź, panie mój, wam trzeba iść szukać pomocy u ludzi, ja starych kości nie myślę wlec po szerokim świecie. Będę tu na was czekała.

Nazajutrz jak świt, wszystko było na nogach, zamek stał odarty i opuszczony. Naprzód jechał sam król na siwej Orlicy, we zbroi pozłocistej, w płaszczu królewskim, w heł-

mie z koroną. Patrzył z góry i grozić się zdawał: powrócę! Za nim Boleszczyce, na wozie królowa z Mieszkiem, niewiasty i czeladź. Bolesław ani się obejrzał, opuszczając zamek. Orszak wysunął się za wrota i postępował poważnie, Boleszczyce wzrokiem pełnym boleści żegnali domy, ziemię swą, rodziny, dochowując wiary panu, wiedząc, że albo głowy zań dadzą, albo długie lata na wygnaniu i w poniewierce przepędzą.

Po wyjeździe króla ziemianie mieli objąć Wawel, gdy ze zdziwieniem dowiedzieli się, że stara królowa została. Starszyczyna zdumiała się jej męstwem, lecz je poszanowała. Zapewnili też Dobrogniewę, że bezpieczną pozostać może, i zamek pozostawiono pod jej opieką. Sami zaś poczęli się naradzać, co czynić, rozesłano też posłańców po biskupów i władyków.

Tegoż samego dnia, gdy król z zamku krakowskiego wyciągał, w Górze wieziono czarnemi wołami na mogilki trumnę, za którą szła stara matka i Mściśław. Krysta, przeżywszy rok w oblężeniu, jednego ranka już się nie zbudziła. Matka ją w gzło białe odziała do trumny, mąż narzucił kwiatami, wywieźli na wzgórze i w żółtym piasku pochowali.

*

*

*

Znowu upłynął rok i była wiosna, cudna, pełna kwiecia i zieleni, nigdzie jednak piękniej nie występowała, jak w górach lasami okrytych, które otaczały benedyktyński klasztor w Ossjaku na Węgrzech. W tym to klasztorze dożywał starości o. Otton za rozkazem swojej zwierzchności. Niegdyś czytywał wiele ksiąg lekarskich, znał zioła, a że przy klasztorze była mała apteka, przyszło mu na myśl, że może być jej użyteczny, zbierając i susząc lecznicze zioła, których pełno rośnie w lasach i na łąkach. Już jesienią rozpoczął przechadzki po górach, szukając ziół, o których cudownych własnościach miał wiadomości, ale kwiatów masiał czekać do wiosny, więc gdy wiatr zawiął z południa, a ptactwo wędrowne górą ciągnąć zaczynało, o. Otton patrzył na to przez okienko swej celi i radowała się jego dusza, miały mu zakwitnąć pierwiosnki, miały pęknąć pączki brzozowe, leśne bogactwa dla niego się rozwijały.

Jednego dnia tej wiosny z kijem w rękę i nożem w kieszeni, z koszyczkiem, w którym chleba i sera był kawałek, wyszedł staruszek na cały dzień na łowy lekarskie: po zioła, pączki i korzonki. Śmiała mu się twarz pomarszczona z pod

czarnej czapeczki, która zakrywała całą głowę i uszy. Przełożony, spotkawszy go gotowym do drogi, a bojąc się o słabe jego siły, dał mu jeszcze flaszeczkę z winem, mówiąc do wzdrzającego się o. Ottona.

— Przyda się, w waszym wieku to niezbędne, a reguła pozwala.

Dzień był prześliczny, na niebiosach świąteczny, na ziemi radosny. Staruszek znalazł wszystkie ścieżyny w górach i lasy, a powoli idąc, z pomocą kija dostawał się na najwyższe wierzchołki, które stały szeregami: szare, sine, zielone, piętrząc się ku niebu, a po szczytach gór czepiały się chmury jak liny, zieleniały boki wzgórzów lasami przyodziane, łakami poprzecinane, gdzieś tam złożyły się, szarzały i czerwieniały jak odrąbane skały ściany, a po nich leciały w dół pianą okryte strumienie. Cóż dopiero, gdy na ten krajobraz padły cienie od chmur i promienie słońca, wówczas świat ten ożywał się: to całunem mgły osnuwała się góra i stała jak wdowa w żałobie, a drugie urągały jej purpurą i złotem, to znowu z pomiędzy dwóch chmur strzelał promień długi niby oszczep złocony, przerzynał lasy, ubierał skały i jak łaska z niebios, zstępowała jasność na lasy. O. Otton, gdy się nakarmił widokami temi, gdy się w piersi nabił za to, szedł i zbierał już pilnie ziola. I tego dnia obszedł wszystkie najpiękniejsze ustronia, a spostrzegłszy pień wywróconego drzewa, postanowił nieco odpocząć i przysiąść.

Nagle usłyszał dźwięk jakiś dziwny, niby jęk, niby oddech ciężki, dobywający się z piersi ludzkiej. Ruszył więc szybko, mimo zmęczenia, za tym głosem, a oczyma szukał i podpatrywał, skąd mógł wychodzić.

Nareszcie pod rozłożystym dębem, na trawie ujrzał jakiegoś człowieka, u którego nóg leżał jeden pies zdechły, a drugi zdawał się dogorywać. Człowiek ten nie poruszał się wcale, głowę miał zwróconą ku górze, usta otwarte, włos rozsypany w nieładzie, ubranie miał pańskie, u boku miecz w pochwie, łuk rogowy i oszczep. Mały róg na sznurze był zdruzgotany, nie więc dziwnego, że leżał tak samotnie, snąc omdlały, nie mogąc nikogo przywołać do siebie.

O. Otton podszedł bliżej, spojrzał na twarz leżącego, a wpatrzywszy się — stanął jak osłupiały. Otrząsnąwszy się z wrażenia, staruszek przyklęknął przy nieznanym, sięgnął do koszyeczka i dobył flaszeczkę z winem. Ostrożnie, po kilka kropel wlewał mu w zaschłe wargi, życie wracać zaczęło. Głowa się dźwignęła, ręka rozprostowała i myśli-

wiec siadł zwolna, opierając się o pień, który miał za sobą. Oczy się zapaliły, wargi drgnęły dumą i gniewem, faldy twarzy mówiły o długiej męce i bólu.

Mnich zwrócił się do koszyczka, przypomniawszy sobie chleb i ser. Na widok jadła chory wyciągnął łakomie dłonie. Nie zostawiając nic dla siebie, o. Otton oddał co miał, chociaż był głodny.

Nieznajomy ze zwierzęcą chciwością polykał chleb. Życie wracało-coraz widoczniej.

— Weź twój kij! — zaczął gniewnie, zwracając się do mnicha — weź koszyk i idź! Widzisz, miecz mam u boku, zabiję cię! Zabiję cię dla sukni, którą nosisz, dlatego, żeś mi życie powrócił, że kleśnów cierpieć nie mogę. Idź.

O. Otton nie poruszył się z miejsca, a myśliwy mówił dalej, jakby do siebie:

— Psy pozdychały, a ja nie mogłem! Trzy dni, trzy noce i śmierć nie przyszła!

O. Otton zwrócił ku niemu oczy.

— Bóg miłosierny, chce ci dać życie, abys się do niego zbliżył, pokutował i umarł rozgrzeszony...

Te słowa jak piorun podziały na myśliwca, chciał się zerwać z ziemi.

— Znasz mnie?! — krzyknął, chwytając za miecz — znasz, kto cię tu przysłał?

— Pan Bóg! — odparł mnich spokojnie.

•

*

■

Następnego poranka przełożony klasztoru, dowiedziawszy się, że o. Otton jeszcze nie wrócił, zaniepokoił się wielce, już miał ludzi wyprawiać do lasu, aby przynajmniej ciało znaleźć i pogrześć je po chrześcijańsku, gdy około południa ujrzano zdala o. Ottona, który wiódł z sobą czleka chorego, czy też osłabłego. Nieruchło do furty się przywlekli, przodem staruszek żwawy, choć znużony, a za nim, podtrzymywany już teraz przez braciszków, którzy wybiegli na spotkanie — mężczyzna z głową zwieszoną.

O. Otton opowiedział coś przełożonemu po cichu, naradzali się chwilę, wreszcie zaprowadzono ich najomego do infirmerji.

Gdy po dwóch tygodniach wyszedł z niej — trudno w nim było poznać owego butnego myśliwca. Zdawał się być kościotrupem z ostrzyżoną głową, w czarnej zakonnej sukni. Począł też od tego dnia pełnić w klasztorze posługi najcięż-

sze: przypadło więc mu noszenie wody, rąbanie drzew, posługa kuchenna, kopanie ziemi, a praca ta zdawała mu się ulgę przynosić i czynić przyjemność, tak gorliwie się do niej brał. Obudzał powszechną ciekawość, gdyż i z postawy i z ubioru, który, przybywszy, zrzucił, domyślano się w nim pana. A gdy trafiło się, że do klasztoru zajechali czasem z Węgier i krajów słowiańskich jadący panowie, naówczas on, zwany tutaj Pawłem, nie ukazywał się wcale, krył się w budzie ogrodowej lub zamykał w celi.

Tak też było, gdy we dwa miesiące po przybyciu jego do Ossjaku, przybyło do klasztoru kilkunastu polskich rycerzy, przebywających na dworze węgierskim. Byli to pozostali do końca przy Bolesławie — Boleszczyce. Poznali zaraz o. Ottona i w serdecznych słowach opowiedzieli mu, jak dwa miesiące temu wybrałszy się ze swym królem Bolesławem na łowy, stracili go, nie mogąc odnaleźć ani dopytać się o niego kogokolwiek. Opowiadali jeszcze, że przybywszy na dwór węgierski, zrazu przyjęci byli serdecznie i gościnnie, ale wkrótce dumny Bolko pokłócił się z królem tak, że przychodziło do burzliwych zajść.

— Ja tu panem jestem! — mówił głośnie — kto wam króla dał, kto spokój przywrócił? — ja! Więc kraj wasz — kraj mój!

I poczynął sobie jak doma, a choć i my, i królowa, i mały Mieszko prosiliśmy, aby się miarkował, nie słuchał nas, jeno bił i kopał. A w nocy słyszeliśmy, jak z sobą i duchami rozmawiał, to z zabitym biskupem, to z Krystą, która zbiegła z zamku. Śmiał się, krzyczał, bił głową o ścianę... straszny był. Gdyśmy go wtedy w lesie z oczu stracili, rozpaliliśmy ogień ogromny, trąbiliśmy w rogi bezustannie, a że król także miał róg z sobą, sądziliśmy, że nam odpowie, za-trąbi... napróżno! Przepadł bez śladu!

Nazajutrz rano, gdy się już Boleszczyce wybierali jechać dalej, Zbilut, z natury ciekawy, spostrzegłszy ogród klasztorny, zapragnął doń zajrzeć. Podeszedłszy do budy ogrodowej, ujrzał człowieka, zwanego Pawłem, i ze zdumieniem i przerażeniem poznał w nim tego, którego już oplakał — króla Bolesława. Padł mu też do nóg, ułożył się jak pies, płacząc z radości, że znalazł pana, i z litości nad stanem jego.

Wtem król się podniósł i głosem zmienionym zaczął prosić, aby tajemnicy jego nikomu nie wydawał, jednego tylko Borzywoja zawołać do siebie kazał. Nakazał też im obu, żegnając się krótko, aby królowej i Mieszka nie

opuszczali. Przysięgli spełnić wolę pana i pośpieszyli natychmiast do Wielisławy opowiedzieć jej co i jak widzieli.

Po roku Wielisława wysłała Borzywoja znowu do Ossjaku, aby dowiedział się o zdrowiu króla. Było to już jesienią. Przełożony poznał go odrazu. Przybyły zapytał najpierw o o. Ottona.

— Pogrzebaliśmy go tej wiosny — odpowiedział — i żał nam go, bo nie łatwo zastąpić człowieka, który wszystko umiał. Wszak z polskiej ziemi jesteście — dodał, patrząc bystro w oczy przybyłego.

— Tak jest — rzekł Borzywój — i służyłem na dworze króla, który...

— Któregośmy tu pochowali — dodał cicho przełożony.

— Umarł? — odezwał się z głębokim żalem Boleszczyco — umarł!

— Skończył przykładnie — opowiadał teraz stary zakonnik powoli — Pan Bóg dał mu śmierć lepszą, niż było życie. Kazaliśmy też na pamiątkę jego pokuty nad grobem kamień położyć. Była to natura gwałtowna i namiętna, potrzebowała być czynną; w klasztorze ciężko pracował i praca była najulubieńszą jego towarzyszką ostatnich dni. Gdy siedział beczynny, gryzły go wspomnienia. Król i mocarz budził się w nim: gdy rycerzy tu przybywających widział, uciekał też od widoku tych ludzi.

Gdy zasłabł, wybrał sobie na garści słomy posłanie w ciemnym kacie szopy, a kiedy chciałem go do klasztoru przenieść, prosił mnie, abym go zostawił. Odbył spowiedź przede mną i ostatni znak swej wielkości — pierścień królewski, oddał mi wtedy. Umarł w nocy, po ciężkiem konaniu.

Przełożony westchnął, a Borzywojowi stanęły łzy w oczach na myśl o nędzy i męczarniach, w jakich zeszedł z tego świata król i pan niegdyś potężny i mocny. Poszli potem do grobu, u którego w ścianie kościółka wmurowany był już kamień, a na nim niewprawną ręką jednego z braci wyciosane były rycerskie i książęce godła, koń, co oznaczało władzę i panowanie. Napis w języku łacińskim głosił, że tu spoczywał Bolesław, zabójca biskupa Stanisława.

Borzywój puścił się w drogę ze smutną wieścią do królowej. W Krakowie tymczasem króla zastępował Władysław Herman: Mieszka zaś i matkę jego wzywano napowrót do kraju.

Wieczór był letni, cichy, moc ludzi zjechało się do Jakuszowic, a był to lud po większej części rycerski, z mianem i wszystkie plemię Jastrzębów. Ani dwór, ani innobudynki pomieścić tych gości nie mogły, rozłożył się też na wałach, na łakach pod grodem. Mówiono po cichu, nigdzie śmiechu na ustach, nigdzie żwawszego ruchu. Najtłumniej gromadzono się jednak około izbicy, do której drzwi były wyjęte, a przez nie dostrzedz można było światło we wnętrzu, skąd smutna, rowolna pieśń płynęła, przerywana jękami płaczliwemi. W środku izbicy, na wysokiem łożu, okrytem skórami niedźwiedziemi, spoczywało ciało Odolaja, odziane w szarą oponczę, jaka nosił za życia. W skostniałe ręce krzyżyk mu dano i krzyż stał w głowach: Czekano na trumnę.

U drzwi stał przygarbiony, z włosy siwemi, Mszczuj, wnuk najstarszy po Mieszk. Otaczali go dokoła młodszy bracia i dalsi plemiennicy. Wszystkich oczy zwracały się ku niemu, bo wielka jego boleść obudzała litość.

Patrzył teraz w okno, jak do trumny, na posłanie z chmielu i kwiatów kładziono ciało ojcowskie, poczem jął cicho, jakby do siebie, mówić:

— Dziada mi żal, ale i siebie. Jam dziś gorszy od niego sierota... Sześciu ich miałem, wszystkich oddałem królowi i z nim mi oni zginęli.

Zamilkł, gdyż księża zaśpiewali głośniejsz i trumnę zabijano. Ruszyli się synowie, wnuki i prawnuki żegnać raz ostatni Odolaja. Wtedy szedł przodem najstarszy wnuk Mszczuj do dziadowskiej ręki, za nim Jaromierz, Brenko i inni. Wzięli trumnę na ramiona synowie i wnuki, a za trumną z głową spuszczone włókl się Hyż wychudły, z najeżoną sierścią i zwieszonym ogonem. Prowadzono też konia starego pod okryciem, a płaczki najęte prowadziła Tyta. Dębowa trumna, kołyszac się nad głowami niosących, już u wrót zamku wychylała się na drogę, gdy idących uderzył jakiś nadzwyczajny widok, mimowolnie bowiem półgłosem krzyknęli. Za gościńcem naprzeciw idących, na koniach stało we zbrojach, czarno odzianych, sześciu ludzi, z pokorą, pochylonemi głowami witali orszak pogrzebowy.

Byli to Boleszczyce, synowie Mszczuja. Stali na uboczu, czekając, jaki los i wyrok od własnej ich krwi spotka.

Na widok ich pobladło lice ojcowskie; choć drżały pod nim nogi, musiał iść dalej.

W tłumie czuć było i oburzenie i radość z ocalenia i przybycia Boleszczyków. Dopiero gdy wszyscy przeszli,

oni z tyłu jadąc za wszystkimi, zbliżyli się do cmentarza, lecz do kościoła wniknąć nie śmieli. Wszyscy postarzelisi nad miarę, Borzywój był napół ślepy, Andrzejowi łzy w oczach się kręciły, stali pogrążeni w smutku, nikt nie wyciągnął do nich dłoni, a nawet nie wiedzieli, czy będą przyjęci na stypie, przy żałobnych stołach. Wejrzenie ojca na ich nie nauczyło, był w niem raczej przestraszył, niż radość.

Powracający z pogrzebu tłum zbliżał się powoli. Mszczuj, idąc z głową spuszczoną, stanął, podniósł niespokojnie oczy, szukając wzrokiem synów, zdawał się chwilę wahać, czy ma ich przywołać, wreszcie począł się ku nim przedzierać. Z groźną twarzą przybliżył się do stojących; mówić nie mógł, łzy puściły mu się z oczu, ręce ku dzieciom wyciągnął.

Wszyscy szczęściu skoczyli z koni i przybiegli upaść mu do nóg.

Starzec łkał i płakał, nareszcie przemógłszy ból i gniew, zawołał:

— Na sąd idźcie!

I wskazał ręką na gród.

— Na sąd, jako winowajcy!

Starszyzna powtórzyła za nim groźno:

— Na sąd!

Tak w milczeniu, otoczeni złowrogim gwarem, pociągnęli na zamek. W pustej izbie, z której wyniesiono ciało, zasiedli na ławach wedle starszeństwa stryjowie i Mszczuj na ich czele. Jaromierz był najsurowszy, nie szczędził słów prawdy, karcąc i wyklinając.

Borzywój słuchał gniewnego głosu, po chwili wszakże dobył kawał pergaminu z za sukni i począł:

— Król Bolesław nie żyje, umarł na pokucie, otrzymaliśmy przebaczenie kościelne, wróciwszy na rozkaz Władysława Hermana i odwożąc królową wdowę i syna Mieszka. Wygnanie nasze z łaski nowego Pana skończyło się, czyż więc tylko własna nasza krew odmówił nam przebaczenia?

Mszczuj podniósł oczy i twarz mu się wyjaśniła, ale stryjowie trwali w swym gniewie, a Jaromierz odpowiedział ostro:

— Mógł nowy pan łaskę czynić, ale my musimy tego dotrzymać, co nieboszczyk dziad postanowił, a czego z grobu nie odwoła — nie chcemy was znać, bo co głowa rodu postanowiła — dla domu świętem jest.

— Taki-li wyrok i ojciec rodzony na swych synów głosi? — spytał Borzywój, zwracając się do Mszczuja.

Trzy razy powtórzył to pytanie, zanim stary podniósł głowę i wstał.

— Ojciec pójdzie za dziećmi swojemi. Wypiera się ich ród, niechże się i ojca wypiera. Podaj mi rękę — ciągnął poruszonym głosem, zwracając się do Borzywoja — będziemy nowego rodu głową, skoro nas od tego, jak suchą gałąź, odcięto... *

Zrobił się szmer, już mieli odejść, gdy we drzwiach ukazał się duchowny. Był to ów młody Jastrzębiec Paweł, wychowanek biskupa wrocławskiego. Siedział od pewnego już czasu na probostwie w Jakuszowicach.

— O nieboszczyka Odolaja wolę chodzi! — spytał cichym głosem.

Jaromierz odparł:

— Tak, bo wyraźna była.

— Była — przerwał mu łagodnie duchowny, — ale mogę wam kapłańskiem słowem ręczyć, że na łożu śmierci, gdy go spowiadał, przebaczył im, nie mógłbym go być inaczej rozgrzeszyć. Rzekł mi osłabłym już głosem: „Żywy nie darowałbym im może, gdy każecie — muszę...“

Zamilkli wszyscy. Jaromierz syknął niechętnie, poczęto się spierać i naradzać, wreszcie słowa duchownego przewały spór na stronę Boleszczyców.

— Dobrze — rzekł więc Jaromierz — skoro stary przebaczył, Bóg z wami, ale stoję przy jednym: zwijcie się nie Jastrzębcami, ale Boleszczycami, skoroście Bolesława przenieśli nad ród własny.

Nikt się już nie sprzeciwiał, synowie otoczyli Mszczuja i w ich gromadce siadł starzec do stypy. Siedm dni przeciągnęła się ona, wśród opowiadań o losie króla, o młodym Mieszku i przygodach Boleszczyców na tułactwie. A dni te były zarazem dniami zgody i przebaczenia.

Mszczuj, nie chcąc siedzieć na Jakuszowicach, ustąpił je najmłodszemu, a sam z synami w okolice Płocka, na Mazury powrócił.



Józefa Ignacego Kraszewskiego
POWIEŚCI HISTORYCZNE
OBEJMUJĄCE DZIEJE POLSKI

DWIE KRÓLOWE

CZASY ZYGMUNTA STAREGO

WYDANIE POPULARNE, SKRÓCONE



1924

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE.

M. ARCT — ZAKŁADY WYDAWNICZE

Sp. Akc. w Warszawie.

WARSZAWA, Księgarnia, Nowy Świat 35.

ODDZIAŁY I PRZEDSTAWICIELSTWA:

DROHOBYCZ, Księg. Naukowa, gmach Sokoła.
GDAŃSK, Tow. Ks. Kolej. „Ruch“, Rynek Kaszubski.
KATOWICE, Księgarnia Polska, Poprzeczna 2.
KRAKÓW, Księgarnia Jagiellońska, Wiślna 3.
LIDA, Księgarnia Wojskowa, Suwalska 46.
LUBLIN, M. Arct i Sp., Krak. - Przedm. 17.
LWÓW, Księgarnia Naukowa, Zimorowicza 17.
ŁÓDŹ, M. Arct i Sp., Piotrkowska 105.
POZNAŃ, M. Arct, Księgarnia, plac Wolności 7.
RÓWNE, Księgarnia Naukowa, Szosowa 27.
WILNO, Księg. Stow. Naucz. Pol., Królewska 1.

DRUKARNIA „GŁOSU NARODU“ W KRAKOWIE.

Zbliżała się wiosna i umówiona pora przybycia młodej królowej Elżbiety, córki króla rzymskiego Ferdynanda, a bratanicy cesarza Karola V, która miała zostać żoną królewicza Zygmunta Augusta, do Krakowa.

Po dosyć ciężkiej do przebycia zimie król Zygmunt Stary, jakby odżywiony nadzieją ożenienia, którego tak bardzo pragnął dla syna, czuł się i powiadał silniejszym. Doktorowie znajdowali, iż w istocie zdrowie jego się poprawiło. Biskup Samuel Maciejowski, podkanclerzy, który codziennie starego swego pana widywał, przypisywał to zarówno zbliżającemu się weselu, którego król wielce sobie życzył, jak zmianie, zaszłej w obejściu się z mężem starej królowej. Niczyjej ona baczności nie uszła, ale ją sobie tłumaczono różnie.

W czasie, gdy między Wiedniem, Pragą a Krakowem toczyły się układy ostateczne o owo małżeństwo z młodziehną Elżbietą, Boną, żoną Zygmunta Starego, która bała się utracić serce jedynaka, skoro ten pokocha młodą żonę, wszelkimi sposobami przeszkodzić temu związkowi się starała. Pochlebiała sobie, że potrafi zamiast tego wyjednać dla syna księżniczkę francuską, córkę Franciszka I. Nienawiść jej dla cesarza i dla ojca Elżbiety, przyszłej synowej, podsycana tem, że jej robiono trudności w sprawach posiadłości neapolitańskich, a w Węgrzech i Siedmiogrodzie ukochanej córce Izabeli stawiano zawady w popieraniu interesów małoletniego syna, nienawiść bezsilna, podbudzała do bezrozumnego szału. Obawiała się wystąpić jawnie przeciwko cesarzowi dla Baru, przeciwko ojcu Elżbiety dla Izabeli, lecz tem zajadlej starała się męża zmusić do zerwania z nimi.

Stary król musiał znosić codziennie wyrzuty, sceny ze łzami i krzykami — wybuchy takie, że Bonę często kobiety wynosiły na rękach, a król po przebyciu takiego kryzysu kładł się do łóżka.

Gdy pomimo wszelkich przestróg lekarzy powtarzały się ciągle te utrapione waśnie, a Zygmunt po raz pierwszy może nie dał się złamać, bo mu szło o cześć, o słowo dane i o piastowaną dawno mrzonkę: ożenienia syna z wnuczką brata — choroba i osłabienie króla znacznie się wzmogły, stały niemal groźnemi.

Później nieco, kiedy już termin ślubu i wesela został naznaczony nieodwołalnie, listy wymienione, warunki wszystkie postanowione, Bona nagle prawie złagodniała, zamilkła, poddała się nieuchronnemu następstwu zobowiązań i — zaprzestała zupełnie napaści i wymówek.

Pokój ten niespodziewany wydawał się rzeczą tak nie-naturalną dla tych, co znali upór Włoszki, iż co chwila spodziewano się powrotu wojny.

Tymczasem królowa pozostała całkiem spokojną. Przychodziła codziennie do męża ze sprawami różnemi, troszczyła się wielce o jego zdrowie, sprawy małżeństwa nie poruszyła nigdy, a jeśli wypadkiem potracono o coś, będącego z nią w związku, zaciągała usta, zmuszała się do mileżenia.

W prostocie ducha król Zygmunt niezmiernie uradowany tą poprawą, przypisywał ją jedynie okazanej stałości charakteru. Wdzięchen był niewymownie żonie, że wojnę zaprzestała i doznany zawód starał się jej wynagrodzić, ulegając we wszystkich innych sprawach, czyniąc jej chętnie ustępstwa, a nawet przeciwko biskupowi Maciejowskiemu często skłaniając się na jej stronę.

Wistocie Bona teraz chodziła tak spokojna, zrezygnowana, jakgdyby z myślą tego związku zupełnie się prze-jednała.

Jedni z królem razem się cieszyli z tego, drudzy, jak Maciejowski i podskarbi Seweryn Boner, niedowierzali pokojowi. Pan kasztelan biecki powtarzał księdzu Samuelowi:

— Mówcie, co chcecie, to podstęp... ja się go boję. Najstraszniejszy mi nieprzyjaciół, kiedy się przyczai... a znając naturę Włoszki, można się spodziewać, że niedarmo wymogła na sobie tę pokorę. Mota ona coś i czeka...

— Ale cóż? — odpowiadał ksiądz Samuel. — Gdy się raz pobiorą, co ona zrobić im może.

— Nie wiem — mówił Boner — ale o tem przekonany jestem, że królowa nie dała za wygraną. Trzeba się więc, nie zaniedbując, mieć na baczności i nie otrąbywać zawczasu zwycięstwa.

Podskarbi miał pewne oznaki, z których wnosił nie-
płonne, że to, co się nazywało spokojem i zgodą, było tylko
rozejmem, służącym do zebrania sił i przygotowania oręża.

Wszystko to w pierwszych miesiącach 1543 roku stało
się tak bijącym w oczy, iż Boner, zebrawszy dużo wiado-
mostek, na poparcie swego twierdzenia, jednego dnia,
widząc króla zdrowym i silniejszym, odważył mu się o tem
napomknąć.

Z twarzy Zygmunta, która się bardziej jeszcze, niż
zwykle zasępiała, mógł się przekonać, że dotknął przedmiotu
wielce niemilego. Król wysłuchał, chociaż dawał oznaki
niecierpliwości, a gdy Boner dokończył, rzekł, że wszystko
to uważa za wielce przesadzone.

— Wszyscy wy niedowierzacie królowej — mówił da-
leј — a ja wam powiadam, iż nie złego na myśli nie ma.
Słaba dla syna, bo go kocha, ale małżeństwu przeszkadzać nie
będzie, bo się przekonała, iż wszystko to byłoby napróżnem.

To rzekłszy, Zygmunt już nigdy nie wznowił niemilego
tematu. Codziennie zato sam dawał coraz nowe rozporządze-
nia, dotyczące się przyszłego wesela, które chciał mieć wspa-
niałem i świetnem.

Pamiętał nawet o woźnikach do kolebek, o kolebkach
samyh. Życzył sobie może, aby stara królowa sławną swoją
całą srebrną kolebkę, szkarłatnym aksamitem wybitą, dała
do wjazdu dla młodej królowej — lecz się okazało, że ta
była połamana, w naprawie, a ci, co koło niej pracowali,
nie obiecywali tak rychło jej wystroić. Nie nalegano więc
i trzeba się było obejść innemi.

Ucichło potem.

W mieście i na zamku wiedzano o tem, że stojący
przy królu starym, w myśl jego wcześniej starali się na
uroczysty wjazd młodej królowej przygotować pocztę jak
najsławniejsze. Książd Maciejowski, hetman Tarnowski, pan
Andrzej z Górki, pan kasztelan biecki, nie licząc innych,
teraz już zakupywali barwy, szyć kazali, aby wystroić swe
dwory z okazałością niewidzianą. Zbroje i rynsztunki spro-
wadzano z zagranicy.

Na przekorę temu przepychowi, królowa, jak odmówiła
swej kolebki srebrnej, tak chciała, aby jej przyjaciele jak
najskromniej i wcale się nie wysilając, tylko z konieczności
wzięli udział w tym zjeździe, który chciało uczynić tak

świątynym. Ale tu stanął na przeszkodzie arcybiskup gnieźnieński Gamrat.

Nowy człowiek, który trzymał zarazem dwie najbogatsze stolice biskupie, z ich dochodami, nie mógł na to pozwolić, aby go inni zaćmili, iżby on przy nich stanął ubogo i skromnie.

— Nie może to być — zawołał, przybywszy do królowej. — Wojna wojną, a tam, gdzie tysiące oczów patrzeć na nas będzie, nie możemy się wystawić na pośmiewisko.

Niech inni czynią, co chcą, ja oświadczam miłości waszej, że nie tylko postawię jak największy poczet, ale go wystroję jak najkosztowniej, choćby mi moje srebra zastawić przyszło. Nie dam arcybiskupa-prymasa na urągowisko... Kmita sobie postąpi wedle myśli swej, chociaż sędzę, że i on się tu zatrzeć nie dopuści... ja nie mogę! Zowią mnie tu wszyscy plebejuszem, co bez butów przybył z Podgórze, choć Gamratowie są starą szlachtą, niegorszą nad innych. Otóż im pokażę, że i potrafię i nie pożałuję wystąpić.

Taka była powaga Gamrata i wiara królowej w słowo jego, że Bona się nie sprzeciwiała. Ona sama postanowiła się nie wysilać wcale, ale nie chciała bronić drugim postąpić, jak sobie życzyli.

Książdz arcybiskup nie tylko, że chciał wystąpić, ale postanowił zagasić najmożliwszych — i gdy inni przygotowywali do wjazdu po kilkudziesięciu, po stu lub mało co więcej ludzi, Gamrat zapowiadał, że zbierze ich do trzechset.

Nigdy może w Polsce, jakeśmy już mówili o tem, stroje nie były bardziej urozmaicone, jak w końcu XVI wieku i począwszy od tej epoki. Właśnie ten wjazd dla cudzoziemców miał być powodem podziwienia razem i szyderstwa, bo poczet każdego niemal pana inaczej strojono.

Gamrat swój miał ubrać po polsku. Inni silili się na ubiory najnieznaczniesze, od stradjotek począwszy, do długich opończy moskiewskich i kołpaków, do przybrań tatarskich, tureckich, hiszpańskich, niemieckich, węgierskich.

Barwa czarna była w wielkiej modzie, lecz na uroczystość tę jak najjaskrawiej się stroić miano, a szkarłat miał górować nadewszystko. Oprócz sukni i zbroi, które musiały być szmelcowane i złoczone, a tych trzeba było szukać zagranicą, bo ich mało w kraju robiono, same konie i sprzęże poszóstne a poczwórne, które dobierać musiano, stanowiły i trudność wielką i wydatek niemały. A że koń każdy mu-

siał iść pod bogato szytą deką, zawczasu więc dniem i nocą haftowano je złotem i perłami, tak że niektóre z nich niemal równie bogato, jak ornaty kościelne wyglądały.

Tylko Bona jedna najmniejszych przygotowań niezwykłych nie czyniła. Chłubić się nawet nie chciała z tą swą sławną kolebką srebrną, o której mówiliśmy wyżej, i nie myślała jej światu okazać. Tłumaczyła się tem, że ona i król, na synową oczekując w zamku, wcale się o wjazd troszczyć i uczestniczyć w nim nie potrzebowali.

Co się tyczy młodego króla, szczodra dla niego w innych razach matka ścisnęła dłoń.

— Ci, co cię żenią gwałtem, niech do wesela pomogą — rzekła. — Ja go sobie nie życzyłam, nie chcę i nie myślę na to wydawać pieniędzy.

Gdy podskarbi Boner doniósł o tem królowi, Zygmunt mu polecił, aby nie skąpiąc, dostarczył Augustowi wszystkiego, czego mógł potrzebować, aby wystąpił godnie siebie i jak najwspanialej.

Miano na ten cel pożyczyć i klejnotów ze skarbcza, i zakupić, co było potrzeba.

Podskarbi poszedł sam w tym przedmiocie się naradzić z młodym panem, ale znalazł go tak nieśmiałym, niepewnym, wahającym się i widocznie z obawą oglądającym na matkę, iż sam musiał obmyśleć większą część niezbędnych przygotowań.

August nie sprzeciwiał się, ale stawiał z obojętnością uderzającą i nieustannie odwoływał się do matki. Był widocznie pod silniejszym jeszcze jej wpływem, niż zwykle.

Boner, dobrze to zrozumiałwszy, nie wahał się wziąć na siebie wiele. Jak zwykle, Bona wiedziała o wszystkim, co mówiono i postanowiono u męża, co przygotowywano, kto był najczynniejszy, ale nie stawiała przeszkód. Osłoniła się najdziwniejszą obojętnością pozorną, jakby ją to wszystko nie a nic nie obchodziło.

Ci, co z twarzy młodego króla chcieli czytać wróżbę jakąś przyszłości, niewiele mogli w niej znaleźć. Zawsze będąc wobec obcych panem siebie, milczący i dosyć zamknięty, młody król okazywał się ostyglým, zimnym, jak matka.

Powolany często do ojca, który starał się go ożywić i natchnąć tą miłością dla Elżbiety, jaką on sam miał dla

niej, August słuchał go z poszanowaniem, oświadczał się z gotowością spełnienia rozkazów, ale nie zmieniał w niczem.

W początkach kwietnia nadzwyczajny ruch tych przygotowań zaprzętał całe miasto; nie mówiono o niczem innem, nie widać było nic innego nad tę gorączkę popisu, z jaką Kraków chciał wystąpić. Wiedzano dobrze, iż na dworze cesarskim zawiadomieni będą o przyjęciu królowej z najmniejszymi szczegółami — szło o to, aby stolica Polski i monarcha, który tak wysoko stał w szacunku powszechnym, nie zostali upośledzeni.

Nie mógł naówczas gród podwawelski iść w porównanie z Wiedniem, a nawet z Pragą, ale mieszczaństwo tutajsze uboższem od innych nie było i barbarzyńskiem okazać się nie chciało.

Tak samo magnaci i duchowni, prawie wszyscy bez wyjątku, wychowani i obeznani z obyczajem zagranicznym, z Włochami, Niemcami, Francją, mniej cywilizowanym nad inne narodem, w obyczaju być nie chcieli. Może aż nadto też starano się o nadanie wjazdowi barwy obcej, a najmniej chciano go uczynić polskim. Z pocztów pańskich kilka zaledwie charakter miejscowy zachowało.

Na ratuszu rozprawiano i rozglądano się w podarkach dla młodej królowej, gdyż miasto nie mogło się obejść bez nich, a ubogo się okazać wstyd było. Klejnotów ofiarować nie mogło, zgodzono się na kosztowne wyłacane naczynia i misy, których robota więcej od kruszców wartą była. Podskarbi sam je wybierał.

Całe to tak żywe zajęcie rozbijało się jak fale morskie o skałę — o wyrachowaną oziębłość Bony. Nie chciała nic widzieć, choć o wszystkim była zawiadomioną, udawała obojętną, głuchą i ślepą.

Ilekrć przyszła do króla i trafiła tu na rozmowę o przygotowaniach, bo Stary Zygmunt tak się niemi zajmował, że nawet suknię syna, jaką miał włożyć na powitanie żony, sam chciał oglądać i rozkazał, aby niemieckim krojem była, choć August życzył sobie włoskiej — ilekrć trafiła na taką rozmowę, Bona rozpoczynała o czem innem, a spytana o zdanie, zbywała je, potrząsając głową, milczeniem.

Kwiecień upływał. Gdy w Krakowie sposobiono się na przyjęcie królowej, matka i ojciec jej z trwogą oczekiwali

dnia rozstania, gdy młodziuchną, słabą. wylęklą istotę mieli oddać w ręce obce.

Spodziewano się wiele po starym królu Zygmuncie, lecz wiadano też zawczasu, jak była usposobioną i co tu zna-czyła Bona. Król ojciec tem sobie i matkę pocieszał, że losy córki Bony, Izabeli, i jej syna, miał w swych rękach. że cesarz brat jego mógł neapolitańskie księstwa, podległe mu, jeśli nie odebrać królowej. to zagrozić jej prawom do nich.

Spodziewano się więc tutaj, że młoda pani, mając opiekę ojca i stryja, musi na dworze polskim być dobrze przyjętą.

Matka, która najczulej do tego dziecka była przywiązaną, obmyśliła też środki, aby młodziuchne dziewczę, nagle się przenosząc w ten świat nieznany, miało u boku troskliwą piastunkę i służbę własną, do której była przywykłą.

Elżbieta w istocie potrzebowała tej opieki i czuwania; był to kwiatek, zaledwie się rozwijający, ale wątły, blade i trwożliwy. Pieszczotka i ulubienica matki. ciągle przy niej, nawykła do objawów miłości wielkiej rodziców, potrzebowała jej, jak powietrza do życia. Nie zbywało jej na piękności, a nadewszystko na niewinnym, dziewczym wdzięku, któremu nieśmiałość dodawała wyrazu. Chód jej, wejrzenie, każde słowo zdradzały duszę łagodną, potrzebu-jącą, aby ludzie w obejściu się z nią poszanować ją umieli. Pragnęła się wszystkim podobać, a nikogo nie chciała za-ćmić, tak była pokorną i skromną.

Matka napróżno chciała jej wmówić, aby nabrała więcej odwagi, a mniej się korzyła przed ludźmi, odpowiadała jej uśmiechem i naiwnem słowem:

— Kiedy nie umiem być inną!

I podnosiła oczy ku matce, która jej rozczulonym od-powiadała uściskiem.

Elżbietka taką była od dzieciństwa. Więcej energii ży-czyli jej rodzice, wiedząc o losie, jaki ją czekał, ale z wie-kiem nie zmieniała się łagodność, nie ustąpiła bojaźliwość. Miała jakby przeczucie swych przyszłych losów. W Polsce czekały na nią złota korona Jadwigi, cierniowy wieniec i męczeńska aureola... Wszystkiego byłaby się chętnie wy-rzekła, lecz los ją uczynił ofiarą — musiała iść jako za-kładnik pokoju, przymierza, jako węzeł dwu rodzin panu-jących.

Z Polski i Herberstein i inni przywozili wieści zatrważające. Ale tu im wierzyć nie chciano, sądzono je przesadzonymi.

Młoda królowa miała za sobą oprócz króla najdostojniejszych mężów w Polsce. Matkę jej zastępować miała ochmistrzyni, kobieta, na którą liczono najwięcej, energiczna, rozumna, mężna Kätchen Hölzelinówna.

Ochmistrzyni ta, na której rękach wychowała się Elżbieta, pochodziła z rodziny, której kilka pokoleń już służyło na dworze, a przywiązanie jej do wychowanki było macierzyńskie. Niezameżna, sama na świecie, Hölzelinówna nie miała na nim nikogo, oprócz Elżbietki swej i dla niej gotową była poświęcić życie.

Silnie zbudowana, zahartowana latami, czynna, pracowita, Kätchen miała ten spokój siły i ten takt zimny, który w boju szczególnie jest niezbędny. Wiedziała ona dobrze, co ją w Krakowie czekało i zawczasu się zbroidła. Poprząsiała wcześniej królowej matce, że w żadnym razie, postrachem ani intrygą nie da się odeciągnąć od Elżbiety i na krok jej nie odstąpi. Wszystkie zresztą sługi, mające towarzyszyć młodej pani do Polski, z równem były dobrane staraniem. Matka na ich wierność i poświęcenie rachować mogła.

Cesarz Karol V powtarzał z dumą trwożącą się bratowej, że przecież synowicy jego nie się z tego stać nie może.

A jednak w chwili rozstania, wyjazdu, gdy potrzeba było ruszyć w tę podróż przeznaczenia, polaly się łzy bolesne. Król ojciec, oprócz tych, co otaczali córkę, należąc do jej orszaku, potajemnie wysyłał ludzi, aby zasięgnąć wieści, jak tam ją przyjmować się przygotowywano. Wszystko brzmiało jak najpomyślniej.

Ze strony króla Zygmunta nie zaniedbano nic, aby młodej pani na pierwszym kroku dać jak najlepsze wyobrażenie o kraju, który miał być dla niej nową ojczyzną. Wybór nawet pory roku zdawał się mieć na celu, by w majowej zieleni, w wiosennych szatach, Polska wydała się młodej królowej uroczą.

Zajęcie przybyciem Elżbiety, z przykrością dla Bony, tak powszechnie opanowało umysły, tak się stało gorączkowem, tyle współzawodnictw wywołało, iż ona, która chciała je ignorować, pozostać zimną, bierną, wśród tego porusze-

nią znalazła się odosobnioną i czuła jakby straciła na znaczeniu i powadze.

Kmita, Gamrat, Opaliński, inni jawni i potajemni sprzymierzeńcy królowej, w tej chwili razem z jej nieprzyjaciółmi pracowali tylko, aby przy wjeździe uroczystym nie dać się zaćmić.

Codzień niemal przybiegali posłańcy, oznajmujący o podróży Elżbiety, o zbliżaniu się jej ku granicom.

Na przyjęcie tu, oprócz wysokich dygnitarzy, król Zygmunt Stary uprosił dwie najdotojniejsze niewiasty, które do ulubionych Bony nie należały. Jechała z dworem licznym żona hetmana Tarnowskiego, Szydłowiecka z domu. i siostra jej, księżna na Oleśnicy.

O tem wszystkiem mówiono codzień wszędzie, i w otoczeniu Bony, która słuchała zimno i dosadnie starała się okazywać, że ją to bynajmniej nie obchodziło. Kosztowało ją to wiele, bo zbliżała się walka, do której z namiętnością tem większą, iż gwałtem tajoną, przysposabiała się Włoszka.

Przyszły dwór królowej młodej i króla, do którego wyboru Bona się mieszać nie chciała, przez samego króla został wyznaczony.

Nie był on zbyt licznym może, lecz świetnością, przepychem, różnobarwnością barw zachwycał. Składali go nie zwykli dworzanie, lecz młodzież najpierwszych, najmożniejszych rodzin w kraju; a że każdy chciał i popisać się z bogactwem i ze smakiem, a nie było prawidła i granicy żadnej w doborze sukni i zbroi, jeden więc drugiego starał się zaćmić, a wszyscy razem składali obraz osobliwej piękności, który w świetle pogodnego majowego poranku wywoływał zdumienie i okrzyki.

Nie było może stroju i narodowości, któraby tu reprezentowaną nie stała w najwyższym blasku i przepychu. Przeróżne węgierskie, tureckie, włoskie, hiszpańskie, polskie, niemieckie suknie, nakrycia głowy, zbroje, tarcze, rzędy, okrycia na konie, pancerne skrzydła, szyszaki, z piórami i godłami grupowały się prześlicznie, a ci, co przywdziali ubiory wspaniałe, niemniej się odznaczali urodą, postawą, młodością kwitnącą lub powagą.

Wesołe uśmiechy i wykrzyki przelatwały nad temi gromadkami, którym właśnie w tej chwili z otwartego okna na dole stary pan się przypatrywał z radością na licu i dumą.

Augusta jeszcze tu nie było, giermek jego tylko przywiódł królowi na okaz ślicznego gniadego konia, przeznaczonego dla młodego króla, okrytego białą deką, szytą złotem i perłami, które, jak krople rosy, zdawały się spływać we wzory misterne.

Bona, której mąż chciał pokazać przygotowania te, odmówiła przyjęcia i oglądać ich nie chciała.

— Powiedźcie królowi — odparła nadaśana marszałkowi — że ja się dziś dosyć namęczę do wieczora, niech mi teraz da spocząć. Nie ciekawam.

Król zamilczał.

Oprócz towarzyszków młodego pana, orszaku ks. Pruskiego i Cieszyńskiego, podwórze pełne było służby różnej, wozów i koni.

Ruch był niezmierny i na przekorę Bonie wesoły, obojęty, a dzień, chociaż gorący, zwiastował się słoneczny i piękny.

Cała przestrzeń pomiędzy zamkiem a Rynkiem tak samo mrowiła się ludem, poubieranym świątecznie, wesołym, ożywionym, pomiędzy którym krążyli przekupnie z koszykami przekąsek i napojów.

Ulice miasta przystrojone były świątecznie. Z okien powywieszano kobierce, makaty, drogie tkaniny wzorzyste, wieńce zielone i wiązanki kwiatów. A choć do wjazdu długo jeszcze było potrzeba czekać, teraz już ulice, okna, drzwi i wrota pełne były ciekawych.

Kiedy niekiedy przez te tłumy przedzierał się spóźniony jeździec strojny ze skrzydłem na barkach; lud sykał, a wskazywał go, ustępując mu z drogi.

Straże miejskie, wiertnicy i dozorecy z trudnością utrzymać mogli wśród ciżby porządek. Ponad tem górą wesoło grały dzwony kościołów, a w niektórych z nich odzywały się organy i śpiewy.

Miasto widocznie gotowało się do obchodu jednego z tych dni pamiętnych, o których pokolenia potem opowiadają, jako o uroczystościach, co się w ich pamięci wyryły więcej uczuciem, jakie wzbudziły, niż wielką świetnością swoją.

Młoda królowa dla wielu, jeśli nie dla wszystkich, była zwiastunem lepszej przyszłości, wybawicielką, tą, która z pod despotyzmu Włoszki chciwej, przewrotnej oswobodzi

miała. Zygmunt Stary obudzał poszanowanie i miłość, lecz ona, towarzysza jego, co go obezwładniła i w sromotnej trzymała niewoli, oprócz garści swoich służalców, nikogo za sobą nie miała.

Elżbieta mogła przynieść wyswobodzenie — i dlatego radość wszystkich zausznicy Bony przyjmowali chmurno i niespokojnie. Ona sama patrzeć na nią nie chciała, czując, że przeciwko niej wymierzona była.

Wśród gwaru upłynęło dosyć czasu, i w ulicach nagle ruch się zwiększył, tłum, stojący w porządku, począł się ścisnąć pod domy.

— Jada! jada! — wołano ze wszech stron.

Był to orszak młodego króla, wyciągający właśnie naprzeciw Elżbiecie.

Na końcu orszaku w towarzystwie ks. Pruskiego i Cieszyńskiego, Zygmunt August ukazał się w sukni białej srebrzystej, niemieckim krojem, na gniadym rumaku w perłowej dece.

Jechał piękny, zadumany, poważny, szlachetnem obliczem królewskiem tak się odróżniając od wszystkich, co go otaczali, iż twarze wyraziste, dumne, ale pospolitszych rysów dwóch książąt, jadących u jego boku, wydawały się dziwnie barbarzyńskie... Postawa, wejrzenie, wszystko w nim króla znamionowało...

W ulicy, po przejeździe króla, znowu się wszystko rozsypało, rozluźniło, bo wiadano, że August zaledwie za kilka godzin będzie powracać, towarzysząc narzeczonej, z którą miał się spotkać za miastem w namiotach rozbitych.

Dobry kawał czasu upłynął, nim od bramy Florjańskiej przez ściśnięte tłumy doszedł szmer, oznajmujący, że pochód uroczysty przybliżał się. Właśnie wówczas chmura wiosenna nadeciągnęła powoli, niebo się oblokło szaro, deszczyk powoli kropić zaczął, a że się to działo ku wieczorowi, starzy ludzie wróżyli, iż się zasłodzi.

W ulicy lud się rozstąpił naostatek i pierwsze hufce pokazywać zaczęły. A było patrzeć na co! Każdy z panów pierwszym chciał być, pocztę więc nie tylko wspaniałością ale i liczbą mieć okazać; zatem ludzie jechali po dwu, najwięcej po trzech, aby każdy oddział wydawał się liczniejszym i dłuższym.

Przyjaciele i nieprzyjaciele, radzi nieradzi, wpośród wszystkich tych dworów pańskich, które królowę młodą otaczały, musieli przyznać pierwszeństwo arcybiskupowi prymasowi Gamratowi. Człowiek ten nowy wyprzedził okazałością i przepychem, a nawet mnogością ludzi, i Tarnowskich i Kmitów. Szło mu o to. Zadaławo mu nieustannie plebejuszostwo, tu on się większym panem okazać chciał od najmożniejszych panów. Lud jego dobrany był z nadzwyczajnem staraniem, chłop w chłopą urodziwi, silni, postawy pięknej. Większa część po polsku była ubrana w szkarłatne żupany i kontusze z tkaniny barwy złocistej, ale czoło składali pancerni arcybiskupi — srebrne zbroje, czerwone czamary, a u bank skrzydła z białych piór strusich w srebrnej oprawie.

Co to wszystko kosztować mogło Gamrata! Z przekąsem mówili nieprzyjaźni mu, że się pewnie srebrom kościelnym dostać musiało, a drudzy szeptali, iż u kupców się zadłużył srodze.

Obok tego pocztu arcybiskupiego, który, na oko licząc, mógł do trzechset głów wynosić, jeden tylko, ale liczbą mniejszy, hetmana Tarnowskiego wytwornością mógł stanąć narówni. Lecz stary pan z panów nie potrzebował się wysilać, nie myślał popisywać, gromadka jego była nie tak wielka i odziana na sposób hiszpański; przystroiłby ją pewnie po polsku także, lecz dowiedziawszy się o Gamracie, nie życzył sobie iść z nim o lepszą. Tu też najpiękniejsze konie były, a ludzie nie tak młodzi, ale zato wielkiego animuszu, prawi rycerze, którzy niejedną bój zwycięski przebyli.

Kasztelan poznański, Andrzej z Górki, z włoska sam się ubrał i ludzi poubierał. Księżęta Radziwiłłowie rotę wiedli polskie, którym dla osobliwości Tatarów litewskich w złotych atłasach przydali, a do prowadzenia koni czterech murzynów, strojnych paradnie. I tu przepych był wielki, książe, z jakim ród ten lubił występować zawsze.

Chodkiewicz, podczaszy litewski, nie rad im i innym Litwinom ustąpić, urozmaicił swoje poczty, postroiwszy je różnie. Sam jechał przodem w zbroi całej złoczonej przedziwnego kunsztu i szyszaku podobnym, z tarczą misternie rzeźbioną. Za nim naprzód czterech w szkarłatnym adamaszku, dwa małe poczty po pięciu ludzi w jedwabnych sukniach białych, dalej ośm w srebrnych zbrojach ze srebrnymi przyłbicami, na których herbowe siedziały gryfy.

Lecz kto to policzy i opisz! Kościeleccy, Rozdrażewski, nawet pan Seweryn Boner, który gorszym od innych być nie chciał, odznaczali się wśród tego nieobrachowanego, długiego orszaku, ciągnącego zwolna ku zamkowi i poprzedzającego młodą królowę.

Patrzący, którzy w początkach cisnęli się, wydając okrzyki podziwienia, znużyli się wkońcu, gdy się królowej doczekać nie mogli. Szedł poczet jeden za drugim, mieniały się barwy, coraz nowe stroje następowały po sobie, ale powozów nie było i nie było. Deszcz zacząwszy kropić zrazu, padał już teraz spokojnie, ale tak, jakby nie myślał ustać rychło.

Dopiero po przeciągnięciu tych hufców szmer i krzyki zwiastowały powóz królowej. Obok niej jechał August.

Młoda pani biała, zmęczona siedziała w kolebce złocistej, wybitej aksamitem szkarłatnym, którą ciągnęło ośm siwych koni cudnie dobranych, a przy niej szło piętnastu paziów po włosku strojnych i sześciu pacholków w aksamitach czerwonych.

Przy drzwiach otwartej kolebki widać było jadącego Augusta, któremu ks. Pruski i ks. Jerzy towarzyszyli. Młody pan w białym srebrzystym stroju wyglądał pięknie i pańsko, ale twarz jego nie promieniała wcale radością wesela, a oczy się nie zwracały ku narzeczonej, ale wlepione były w tłumy, przed siebie.

Tymczasem powozy szły jedne za drugimi, bo teraz na nie kolej przysła. Za królową naprzód w takiejże pozłocistej kolebce z aksamitem czerwonym, w sześć koni pod dekami aksamitnemi, jechały Krystyna z Szydłowieckich księżna Oleśnicka i siostra jej, żona hetmana, które na spotkanie młodej pani wysłane były. Dwie siostry, nie chcąc się z sobą ubiegać o wspaniałość, wozy i woźniki miały zupełnie podobne. Za kolebkami ich, w kolebkach mało co skromniejszych, siedziały panie i panny fraucymeru młodej pani. Niemki po większej części, dwór niewieści hetmanowej i księżnej.

Co dalej szło, to już do orszaku uroczystego nie należało i na to ciekawy tłum, który się począł rozplýwać, nie zwracał uwagi.

Wszyscy teraz pragnęli się dostać na zamek, aby tam być świadkami przyjęcia młodej pani, ale podwórca były

przepełnione, kościół, do którego naprzód wstąpić miała przybyła pani, mógł zmieścić tylko wybranych; gawiedź więc miejska, zatoczywszy się jakby falą, u wrót zamkowych wstrzymana, postawszy, nazad ku miastu powrócić musiała.

Na wszystkich młoda przybyła pani uczyniła jedno wrażenie: obudzała politowanie i sympatię i wydawała się biedną, a łagodną i dobrą. Staremu Zygmuntowi uśmiechała się z naiwnością dziecięcia, czując w nim ojca i opiekuna.

Zato królowa Bona ani słowem, ani twarzą nie okazała dla niej najmniejszego uczucia, nie, oprócz zimnej i dumnej obojętności.

Oi, którzy mieli zręczność mówić tego wieczora z hetmanową Tarnowską i ks. na Oleśnicy, roznosili, iż dwie panie przyszłej królowej młodej odechwalić się nie mogły, wynosząc jej dobroć, uprzejmość, grzeczność, cierpliwość, a prorokując Augustowi z tym aniołem po życie najszcześliwsze.

Dwór, którego oczów nie nie uszło, szeptał, że król August też bardzo zimno się zachowywał względem przyszłej małżonki, oprócz tego, co ceremonjał dnia mu nakazywał, nie dając najmniejszego dowodu rodzącej się życzliwości.

W ciągu powolnej jazdy od namiotów na zamek oczy młodej pani szukały ciągle narzeczonego; zwracając się ku niemu z ciekawą a serdeczną sympatią, ale król nie odpowiadał na te wejrzenia. Nie przemówił do niej nawet, gdy do powozu prowadząc, miał czas i sposobność do tego.

Wszystko się to rychło odmieni — mówili jedni. — Pani piękna i dziwnie dobrą być musi, król przywiąże się do niej.

Drudzy przewidywali inaczej i potrzásali głowami.

Na zamku po powrocie z kościoła wprędce goście dostojniejsi zasiedli do stołów. Posadzono przyszłą parę obok siebie, lecz naprzeciw siedzący stary Zygmunt więcej się synowej przypatrywał, częściej do niej przemawiał, czulej o nią troszczył, niż August, który prawie oczów podnieść na nią nie śmiał.

Królowa Bona siedziała też milcząca dumnie, z zakąszonemi wargami, nie ukrywając gniewu swego, a ile razy spojrziała na przyszłą synową, oczy jej nabierały blasku złowrogięgo.

Tylko ojciec weselem i humorem, i kółko jego przyjaciół, dwie panie towarzyszki, Tarnowska i Oleśnicka, ożywiały towarzystwo.

Znużenie podróżą, po której nazajutrz miały nastąpić ślub i koronacja, zmusiły przez wzgląd na wątłe siły Elżbiety do rychłego odpuszczenia jej na spoczynek.

Biedna ofiara, upadająca pod ciężarem sukni i znużenia dnia tego, uśmiechała się do końca, usiłowała mężnie wytrwać, bladła i rumieniała się, ale nie okazała po sobie, że dobywała ostatek sił.

Gdy się to działo w komnatach wielkich, oświeconych i strojnych, w całym blasku i przepychu królewskim, mieszkanie, tymczasowo przeznaczone dla Elżbiety, fraucymer jej śpiesznie przygotowywał tak, aby w niem spocząć mogła.

Niespokojna, blada, ale mężna ochmistrzyni, przyjaciółka, zastępująca matkę, Kätchen Hölzelinówna, w mgnieniu oka usłala łożę, dobyte suknie i bieliznę, i chodziła, modląc się niespokojna w oczekiwaniu na swą biedną panią. Znała ona ją i jej siły lepiej, niż ktokolwiek w świecie, bo była przy niej od dzieciństwa, bo ją jak matka kochała. Dlatego taki niepokój ogarniał Kätchen teraz, gdy rozważała, czy dziecku starczy mocy na podołanie wszystkim wrażeniom i ciężkim trudom. jakie ją tu czekały.

Kätchen nie chciała nie jeść, nie usiadła, nie mogła się uspokoić. aży swej pani się doczekała. Co chwila podbiegała ku drzwiom, przysłuchiwała się szmerom, dochodzącym tu od pokoiów i łamała ręce, gdy coraz później się robiło, a pani jej nie przybywała. Czas wydawał się jej nieprzebytym. Naostatek kroki ciche dały się słyszeć w korytarzach, Hölzelinówna porwała świecę i wybiegła.

Odprowadzano jej nieszczęśliwą ofiarę, która szła blada z uśmiechem na ustach, ale jedno wejrzenie starczyło piastunce, by się przekonać, że ostatkiem sił już wlokła się do niej znużona.

Szczerściem nie nalegano, gdy Kätchen wprowadziła ją do sypialni na dłuższe dworowanie młodej pani, i ochmistrzyni mogła natychmiast drzwi zaryglować. Elżbieta padła na krzesło blada, bez tchu, w oczach jej łyzy się kręciły, ale uśmiechała się jeszcze.

Z pośpiechem wielkim piastunka poczęła ją sama rozbierać, odpinać suknię, zdejmować łańcuchy, uwalniać od pasa, zrzucać obuwie. Dwoje dziewcząt pomagało, nikt nie

odzywał się słowa. Skinęła naresze Kätchen na nie, aby odeszły, i narzuciwszy nocny płaszcz na Elżbietę, chciała ją zaraz położyć w łóżko. gdy biała ofiara podniosła ręce, zawiesiła je na szyi piastunki, wybuchnęła płaczem stłumionym; twarz jej okryła błądź Śmierci, oczy się zamknęły — omdlała.

Był to omdlenie? Hölzelinówna знаła pewnie ten stan wątłego swego dziecięcia, gdyż pomimo przestachu, jaki doznała na widok jego, pozostała nieruchoma, nie tknęła jej palcem, nie usiłowała obudzić gwałtownie.

Białe ręce młodej pani steżały, całe ciało wyprężyło się boleśnie, oddech zdał ustawać w piersi, a na zbladłych wargach ukazała się biała pianka, którą cierpienie dobyło z piersi.

Kätchen stała ni ruchoma, ale nie tracąc przytomności. Złożyła chorą z wolna na kraju łóżka i dała jej won jakąś do oddychania, zaczęła lekko ocierać skronie. Nie odzywała się do niej, nie śpieszyła z przywróceniem przytomności, jakby wiedziała z doświadczenia, że ten stan musi trwać pewien czas i że go gwałtownem niezem przerywać się nie godzi.

Twarz Elżbiety była marmurowo bladą, ale wyraz jej łagodny cierpienie zmieniło niewiele. Przykrzejsze nad nią wrażenie czyniły wyprężone, zeszywniałe ręce i ciało.

Hölzelinówna, stojąc nad nią, modliła się ze złożonymi rękami, łzy ciekły jej po policzkach, a wzrok ze strachem biegł ku drzwiom, bo lękała się, aby ktoś obcy nie wparł się nagle i nie zobaczył chorej w tym stanie, który dla wszystkich musiał być tajemnicą.

Królowa leżała długo nieruchoma z wyprężonemi rękami, jakby umarła, a piastunka stała nad nią niema i drżąca, gdy naresze z ust jej dobyło się lekkie tchnienie, odrętwiałe członki poczęły się uginać i bezsilnie opadać, powieki podniosły się nieco. Kätchen zlekka ocierała skronie i przygotowany już napój ostrożnie do ustek przybliżyła. Niedostrzeżony prawie rumieniec ożywił lica zbladłe, życie powracało.

Elżbieta poruszyła się, powieki otwarły się całe; zobaczyła stojącą nad sobą Kätchen, wyciągnęła ku niej ręce i zarzuciła na szyję. Uśmiech łagodny, dziwny, jakgdyby ze zwykłego snu przebudzonej przebiegł po jej ustach. Nie

zdawała się rozumieć ani pamiętać, co się z nią działo. Wracała do tej chwili, w której siły ją opuściły.

Czuła się tylko słabszą i straszliwie zmęczoną, ale napój podany ją orzeźwił.

— Kätchen — szeptała — bardzo, bardzo to wszystko trwało długo! Nieprawdaż? Widziałaś go? mojego króla narzeczonego? Nieprawdaż, że piękny jest bardzo? Takim go sobie wyobrażałam z obrazka, przysłanego matce. Co za szlachetne rysy, jaka postawa pańska! I strój dla mnie wdział niemiecki. O! ja to zrozumiałam dobrze. Nie śmiał spojrzeć na mnie, abym ja bardziej się jeszcze nie zmieszala. Nogi się ugiwały pod mną, cięliło mi się w oczach! Z jaką wspaniałością oni mnie przyjmowali, z jaką serdecznością. Stary król ścisnął mnie jak własne dziecko. Widziałam i czułam lzy jego. A! będę go kochać jak ojca!

Hölzelin słuchała, nie odpowiadając, trzymała szklankę w rękę, przykładała jej napój do ust. Smutny wyraz twarzy malował duszną trwogę.

Elżbieta półgłosem mówiła ciągle:

— Prawda, że on bardzo piękny? O! ja go kocham oddawna i on też kochać mnie musi. Nieśmiały jest. Spoglądałam często na niego, gdy jechał przy mnie, ale rzadko zwrócił oczy w tę stronę... obawiał się! Tyle tysięcy ludzi na nas patrzyło. Z tych tysięcy, prawda Kätchen? on najpiękniejszy, on najpierwszy? O! jak ja go kochać będę!

Hölzelin milczała, niekiedy ruchem głowy nieznacznie to potwierdzając, to dając czuć, że słuchała bacznie.

— A starą królową — szepnęła — widziałaś?

Elżbieta uśmiechnęła się, jak wprzód.

— Patrzałam na nią ciągle — rzekła. — Mówiono mi, że zazdrosną jest o serce syna, którego kocha bardzo, ale się przekona, że ja, ja pomagać mu będę do kochania jej, musi być łaskawą dla mnie. Oblicze ma surowe, groźne, ale się ono rozjaśni dla mnie, gdy pozna, jak dobrą będę dla niej córką.

Zamilkła nieco i myśl wróciła znowu do narzeczonego.

— Kätchen, uważałaś ty, jak mu na tym koniu przy moim powozie było pięknie? Ani księżę Pruski, ani ten drugi z nim się mierzyć nie mogli. Wyglądali, jak pacholkiwie.

Roześmiała się.

Hölzelin pochyliła się nad nią.

— Jutro — poczęła cicho, starając się ją w łóżku położyć wygodnie — jutro dzień ciężki dla ciebie, moje dziecko, królowo, zmęczona jesteś bardzo, bardzo. Spocznij już!

— A! tak! — westchnęła młoda pani — ale w głowie tyle obrazów, przypomnień, myśli się płaczą. Nie wiem, czy zasnę. I raduję się, i lękam, Kätchen, i śmiaćbym się chciała i płakać.

Wyciągnęła ku niej rączkę białą.

— Siedź nade mną, moja ty piastunko droga — poczęła — tak, jak niegdyś u mojej kolebki; gdy czuję cię przy sobie. spokojniej mi, bezpieczniejszą jestem.

Powoli oczy jej zaczęły się przymykać, ale nagle podniosła powieki.

— Kätchen — rzekła — prawda? On mnie będzie kochać? Ja go tak już kocham teraz, a stanę się dla niego tak łagodną, posłuszną, tak miłą. Wygląda smutnie, ale będzie musiał być szczęśliwym i wesołym.

— Śpijże i nie marz! — rzekła, otulając ją, Kätchen. — Zbudzą cię zrana i męczyć będą znowu dzień cały.

Nie dokończywszy, westchnęła. Posłuszna Elżbieta przy-mrużyła powieki, ciągle uśmieszkciem zwodząc piastunkę, chociaż czuła się straszliwie znękaną. Hölzelinówna nie odstąpiła od łóżka, aż ją zobaczyła naprawdę uspioną — otarła łzy i siedząc, modlić się poczęła.

Dla królowej Bony były to najcięższe, najstraszniejsze do przebycia dni, za które dobrze się pomścić obiecywała. Niezdolna do poskramiania się i udawania, czuła, że na jej twarzy obcy i swoi czytają, iż została zwyciężoną, że musiała być posłuszną, ona, która tu chciała i była w istocie panią.

Król Zygmunt, nie dopuszczając do sporów, dawał rozkazy — potrzeba się było stosować do nich; lecz królowa na każdym kroku, w każdym ruchu dawała czuć publicznie, iż ulegała tylko chwilowo konieczności. Twarz jej wyrażała oziębłość, pogardę, zaledwie stłumiony gniew i dumę.

Następny dzień był przeznaczony na ślub i koronację młodej pani, i od wczoraj już w katedrze przysposabiano trony, zawieszano makaty i szpalery, wyściełano kobierce. Korona Jadwigi ze skarbcza koronnego dobytą na aksamitem wezgłowiu, pokryta kosztowną zasłoną, czekała na

wielkim oltarzu na tę wątlą główkę, która pod jej ciężarem ugiąć się miała.

Stary król od rana naglił z gorączkowym pośpiechem, aby się obrzęd rozpoczął wcześniej, troskliwym będąc o synową, której bladość i lice delikatne obudzało w nim niepokój.

O świecie posłał się dowiedzieć, jak spała, a gdy nadeszła godzina, gdy do kościoła udać się było potrzeba, chciał, by go co prędzej wyniesiono na spotkanie z Elżbietą.

W wielkiej sali, do której go na krzesle, na ramionach wnieśli paziowie. Elżbiety jeszcze nie było. Zamiast niej stała Bona z córkami, z twarzą rozplomienioną i przystąpiła natychmiast, nie zważając na przytomny dwór i urzędników.

— Najjaśniejszy panie — rzekła oburzonym głosem, z ironicznym poszanowaniem. — Słyszę, że młoda wasza synowa ma mnie poprzedzać w pochodzie i zająć przede mną miejsce... To nie może być!

Zygmunt zwrócił się do marszałków.

— Takie jest prawo i obyczaj — rzekł jeden z nich.

— Prawo i obyczaj mnie starszą, mnie matkę i oddzieliłoby chciało od boku męża i zepchnąć gdzieś...

— Uspokój się — szepnął król cicho po włosku. — Zmienić tego nie możesz, a dasz się ludziom na urągawisko... Milez!

Królowej oczy zaświeciły blaskiem krwawym, cofnęła się dumna.

W chwilę potem wszystko się ustawiło w takim porządku, jaki ceremonjał dworski wyznaczał.

Młoda królowa blada, z oczyma zmęczonemi, ale z uśmiechem na ustach weszła, a Zygmunt Stary powołał ją na przód ku sobie.

Na czele orszaku postępował młody król, u którego boku szedł książę Pruski; za nim niesiono na krzesle, bo pieszo iśćby nie mógł, Starego Zygmunta. Tuż za nim szła młoda królowa Elżbieta z rozpuszczonemi na ramiona włosami, z wyrazem dziewczycym, smutnym, czystym, jak Włosi się wyrażali — Madonna starego mistrza z Fiesoli. W istocie przypominała ją wdziękiem, słodyczą, czemś anielsko-dziecięco-panieńskim.

Za nią dopiero zajęła miejsce wyznaczone Bona, której pierś podnosiła się oddechem gwałtownym, a usta ścięły

szpazmatycznie. Trzy córki i cały szereg pań i panien francymeru ciągnął za Boną.

W przepelnionym kościele, w którym od tłumy, od świece, mimo postwierianych okien, panowało gorąco nieznośne, na tronie, w chórze ustawionym, zasiadł August w koronie na głowie. Narzeczona stanęła naprzód u boku jego. Ceremonie rozpoczęły się ślubem. Królowa Pruski i Lignicki wiedli Elżbietę do ołtarza.

Wszystkich oczy zwrócone były na nią, obawiano się, że może osłabnąć — ale lice jej teraz nabrało wyrazu energii i siły, który piastunkę, zdaleka śledzącą ruch każdy, wprowadziło w zdumienie. Elżbieta zdawała się zmienioną, wzrok jej podnosił się śmiało i ruchy stały żywsze. Prostowała się i zdawała rosnąć u ołtarza.

Stary ojciec patrzył na nią ze łzami w oczach, a gdy korona ciężka spoczęła na jej głowie, szepnął stojącemu przy nim Herbersteinowi:

— Gdy na tronie usiądziesz, pójdziesz powiedzieć jej ode mnie, że może zdjąć koronę. Wiem, że to ciężar nad jej siły. Położą ją na poduszce pod ręką.

W istocie, gdy Elżbieta po koronacji z tą koroną, zapowiadającą męczeństwo, z jabłkiem w jednej, z berłem w drugiej dłoni, siadła na majestacie przy mężu, Herberstein przebiegł się przez tłum i szepnął radę, a raczej rozkaz starego króla.

Elżbieta spojrzała na męża, nie chciała się okazać słabą w oczach jego i odpowiedziała:

— Nie, korona mi nie ciąży, wytrwam tak do końca!

Po tymczasie w czasie nabożeństwa Herberstein wracał nadaremnie z tem posłannictwem do Elżbiety. Napróżno zdawała błagała ją oczyma piastunka: młoda królowa nie zgięła się pod tem brzemieniem.

Przebrzmiały wreszcie pieśni ostatnie, młody król wstał z tronu i szedł pierwszy ku zamkowi, za nim młoda królowa, król stary, Bona i córki strojne wspaniale na końcu.

Obzęd i nabożeństwo przeciągnęły się tak długo, a Zygmunt Stary sam już był tak znużonym i wątłą swą synową chciał zaoszczędzić, iż oprócz uczty na zamku dla dostojniejszych gości, nie na ten dzień zapowiedzianem nie było.

U stołu, oprócz Zygmunta, który wesołość obudzić się starał i rozmowę ożywić był rad, dając znaki swoim, aby

milczeniu ogarnąć się nie pozwalali, na nieczyjej twarzy nie widać było wyraża swobodnego. Spoglądano na siebie badająco, niespokojnie. Bona nie przemówiła słowa. August siedział przy żonie martwy z oczyma spuszczone. Niekiedy głośniejsze odezwanie się ko. Samuela, uśmiech wymuszony hetmanowej Tamowskiej przerywały milczenie uparte, które natychmiast wracało brzemieniem ołowianem. Na licu młodej królowej nie widać było smutku ani zafrasowania, choć może polykała łzy, zmuszała usta do uśmiechu, oczy zwracała na męża. Powtarzała sobie w duszy:

— O! on mnie kochać musi!

Dla wszystkich, nie wyjąwszy Zygmunta, czas ten przebyty u stołu wydał się nieznośnie długim, a gdy w ostatku dano znak wstawania, ciężar wielki zdawał się spadać z piersi wszystkich. Skinieniem ręki ojciec powołał ku sobie młodą królową i odezwał się do niej po niemiecku:

— Kochane dziecko moje, tyś zażona, ja stary także... dziś potrzebujesz spoczynku, idź więc spocząć sama, swobodna, abyś na dni następne, na turnieje, na ucztę, na skoki sił nabrała!

Schyloną pocałował w głowę.

Posłuszna młoda pani skierowała się natychmiast ku wyjściu, napróżno próbując pożegnać królową matkę, która zdała głowę zalewając się łzami, na jej pokłon odpowiadając.

August stał w niepewności jakiejś, postąpił kroków parę, lecz już panie, które młodej królowej towarzyszyć miały, wzięły ją między siebie. Spojrzała tylko na męża, wzrkiem go żegnając, chociaż nie była pewną, czy się wejrzenia ich spotkały.

Natychmiast cały dwór się rozsypywać zaczął i komnaty opróżniły. Miano do yć do czynienia, gotując się na jutro i dni następne.

Na zamku w wielkich salach była uczta zapowieszana, lecz wprzód jeszcze urządzono z polecenia króla Zygmunta w izbie, złotej zwanej, uroczyste obdawanie darów młodej królowej.

Pierwsze naturalnie miejsce i tego dnia zajmowała młoda Elżbieta, której twarzyczka zmęczona, blada, oczy sińcami podbite, odbijały dziwnie od uśmiechu, na który się siłowała. Spoglądała na siedzącego obok męża i jakby z niego

siły czerpać chciała, szukała wzroku jego, który unikać się jej zdawał.

I tego dnia Hölzelinówna, wzdychając, czując, jak pani ciężko będzie to dźwigać na sobie, musiała ją przybrać jak najkosztowniej, obwiesić klejnotami, aby przy wszystkich tych kosztownościach, jakimi ją obsypać miano, nie wydawała się zbyt uboga.

Bona z nietajor, radością i ironją widoczną przypatrywała się zmęczonej, żółklej biednej ofierze.

Stary król nie widział nic, był szczęśliwy. Zdawało mu się, że odniósł już zwycięstwo.

Naprzód tedy wniesiono dary męża, które stary sam w jego imieniu z własnego skarbcza przygotować kazał. Były to trzy przepyszne naszyjniki: diamentowy jeden, z rubinów i szmaragdów drugi, trzeci z szafirów z perłami. U każdego z nich zawieszony był klejnot rodzaju medaljonu, który duże wiszące perły kształtu gruszeczek zakończyły. Osiemdziesiąt par czarnych soboli i na okrycie ich złotych wschodni dopełniały ślubny podarek.

Za nim szedł dar ojca, Zygmunta, znowu trzy naszyjniki, jeden w kształcie łańcucha do kołnierza diamentowy cały, dwa z innych kamieni drogich z perłami, z wiszącym klejnotem i krzyżem. Ostatni był jakby błogosławieństwem.

Cesarz Karol V przez margrabiego Brandeburskiego słał swoje godło zwykle, aby dawcę przypominało. Był to wielki dwugłowy orzeł cesarski z diamentów i rubinów, zawieszony na dziesięciu łańcuszkach diamentowych. Z drugiej strony jego stały dwie dumne kolumny diamentowe. Drogie klejnoty do noszenia na szyi, z diamentów i rubinów, odznaczał się perłą ogromną, gruszeczką na hiszpańskim łańcuszku.

Były to zaprawdę piękne klejnoty, lecz drobne ich po większej części kamyki wysokiej wartości nie miały. Wydawały się jednak wspaniale.

Królowa Izabela węgierska złożyła u stóp synowicy cesarza cztery roztruchane pozłacane roboty Niemców siedmiogrodzkich, łańcuch szmelcowany i kilka drobiazgów innych.

Od siebie Jerzy Brandeburski, mąż Jadwigi, córki starego króla, Ludwik Palatyn, Otto Henryk, książę Palatyn Neuburski i kilku innych książąt niemieckich, a naostatek i Piotr, wojewoda młotański, każdy przez posła osobnego

składali w ofierze po większej części srebra, kunsztownie trybowane i złożone.

Z miast królestwa celowały Kraków z trzema roztruchanami złożonemi pięknej roboty, z których jeden z herbem miasta i Gdańsk z misternem naczyniem podobnem, na którem wyrażoną była Judyta. Elżbieta wcale do niej nie wydawała się podobną.

Żydzi także nieśli roztruchan złożony.

Mijamy wiele pomniejszych podarków.

Gdy po królu starym w początku zaraz kolej się zdawała przychodzić na Bonę, zatrzymał się na chwilę margrabia Brandeburski z podarkiem cesarza. Zygmunt obejrzał się niespokojnie. Bona siedziała z zaciśniętymi wargami, z wyrazem ironji na twarzy, nie patrząc ani na synową, ani na męża, zimna, obojętna. W istocie od niej nie było podarku żadnego, nie!

Wstąpiło to wszystkich, szczególnież może posłów cesarza i tych, co z Elżbietą przybyli.

Stary król spuścił oczy, drgnął, poruszył się, spoglądając na Maciejowskiego, potem z wyrzutem na Gamrata, który rozparty w arcybiskupiem krześle swem w inną stronę spoglądał.

Młoda królowa, dziękująca ciągle oczyma i ukłonami, nie zdawała się ani czuć, ani widzieć tego braku. W zgromadzeniu jednak czynił on wrażenie wielkie, które się dało rozpoznać po nieśmiałych spojrzeniach, jakie przytomni rzucali ukradkiem na swych przyjaciół i na dwór Bony.

Włoszka odniosła wprawdzie chwilowy ten triumf, bo w gniewie postanowiła okazać synowej swą niechęć, ale nadto była przebiegłą, ażeby wnet po fizjognomjach posłów cesarza i króla, po twarzy pani Solm i innych nie poznała, że się to w Wiedniu i Pradze odbije, a na Izabelę w Węgrzech i na jej posiadłościach neapolitańskich czuć dać może.

Widać było pewne pomieszanie na jej twarzy i jakby chęć zatarcia zbyt śmiałego kroku. Trudno jednak było to, co się stało, odmienić.

Przy uczcie potem Bona, która siedziała obok męża, kilka razy usiłowała go wciągnąć w rozmowę. Zwracał się do niej chmurny, z twarzą pogardliwą i dumną, lecz nie odezwał się ani słowa. Młeczenie to wprawdzie u Zygmunta nie było dziwnem, ale w dniu tym miało znaczenie wielkie. Nie spoglądał na żonę nawet i zajęty był synową a gośćmi.

Zygmunt August, jak sądzić było można z jego fizjognomji, miał matkę za złe wystąpienie publiczne, którego dobra polityka nie doradzała.

Bona czytała potępienie w oczach wszystkich. Wprawiało ją to w gorączkę jakąś. Gniewać się na siebie nie umiała, zła była na wszystkich.

Dzień ten, zatruty od rana fałszywym krokiem Bony, ciągnął się długo niby na zabawach, a w istocie w męczących ceremonjach. Królowa stara usiłowała zapobiec, aby małżeństwo młode nie zbliżyło się i nie połączyło dnia tego, ale Zygmunta rozkazy, zgóry oznaczony ceremonjał nieubłagany, zmusił ją ulec — i królowę Elżbietę wraz z mężem odprowadzono do ich sypialni.

Zaledwie się to dokonało, a król stary kazał się zanieść do swojego mieszkania, potrzebując wiele spoczynku. Gamrat z sali jadalnej pośpieszył za Boną do jej komnat.

Włoszka szła poruszona, zarumieniona gniewem i nie spostrzegła, gdy się zbliżył do niej. Dopiero, gdy się zwróciła w mieszkaniu swem do towarzyszących jej panien, zobaczyła idącego za nią arcybiskupa. Miał czoło zmarszczone i twarz zaszępiłą.

Królowa rzuciła się na krzesło, odpinając łańcuchy i ściągając klejnoty, które na stół ciskała z gniewem. Arcybiskup stał przed nią.

— Miłościwa pani — odczywał się — pozwólcie powiedzieć sobie: źle się stało! zaprawdę źle!

— Coż się stało? — wykrzyknęła Bona, podnosząc się.

— Jedna tylko matka nie dała nie synowej! — rzekł Gamrat — a stało się to wobec posłów, którzy jutro, jeśli nie dziś doniosą o tem cesarzowi i królowi ojcu. Pomszczą się oni, nie daj Boże, na Izabeli, na waszych księstwach.

Włoszka trzęsła się z gniewu prawie konwulsyjnie.

— Milcz! — krzyknęła groźnie, nie mogąc się pohamować. — Tak chciałam i tak uczyniłam... źle czy dobrze, stało się. Gdy zechcę, wynagrodzę to!

— Nigdy! — odparł Gamrat — żaden dar publicznie wyrządzonej krzywdy nie opłaci. Wasza miłość, co gorzej, zdradziła się!

— Nie czyni mi wyrzutów! — przerwała królowa. — Stało się, stało się!

— A! lecz stało się bardzo źle.

Królowa nogą uderzyła o podnóżek i syknęła. Gamrat skłonił głowę i zamilkł. Bona łzy bezsilnego gniewu zakrociły się w oczach.

Wtem szmer we drzwiach się dał słyszeć — marszałek wzywał pokornie najjaśniejszą panią, aby się udać raczyła do króla imości.

Znaczenie tego wezwania łatwo było odgadnąć. Bona się musiała przygotować na srogie gorzkie wymówki. Przewidywała to zgóry i gotową była raz długo odciganą wojnę rozpocząć.

Gamrat, szepeąc coś starał się ją napróżno uspokajać: wstała, coraz się mocniej burząc i rzucając. Nie odpowiedziała mu nawet, szła szybkim krokiem wprost przez puste komnaty wewnętrzne do sypialni Zygmunta.

O tej porze stary król zwykle w łóżku już był: zastała go siedzącym w krześle jeszcze, a kapelan, który się z nim do odmówienia wieczornych modlitw odroczonego gotował, stał u drzwi drugich i pod pachę ująwszy książkę, zniknął.

Nim Bona przystąpiła bliżej, nie śpieszacy się zwykle z mową, król wybuchnął tak gwałtownie, jak oddawna już nigdy mu się nie trafiało.

— Przed całym światem potrzeba ci było okazać te rany, które nam zadajesz. tę truciznę, którą nas poisz. kobieto bezrozumna!

Bona stanęła dumnie, wyciągając rękę.

— Przyprowadziliście mnie do ostateczności — poczęła wrzaskliwie. — Chcieliście ze mnie lalkę jakąś zrobić, która tak skacze, jak jej każą. Taką nigdy nie byłam i nie będę. Syna mi odbierają!

Zygmunt po włosku, cicho, pojedynczemi wyrazy, przerywanemi, poprostu już lajał królowę.

— Nie krzyeżże — zawołał wkońcu — potrzeba ci, aby na całym zamku wiedzieli wszyscy aż do pacholików, że u nas zgody niema, ani między małżeństwem, ani w rodzinie. Chciałaś uderzyć Elżbietę, a własną córkę swoją, najukochańszą Izabelę razilaś. Myślisz, że ci to cesarz przebaczy?

Bona, słuchając, rzuciła się i płakała razem, a przeklinała.

— Miałam ja jej dawać podarki? Zaco? Zato, że mi się tu wparła między mnie a syna, między mnie a ciebie...

za blada, wynędzniała, schorowana dziewczyna, która chorobę może przynieść jedynemu synowi memu! Miałś się o co dobijać! Nawet lichych trzydziestu tysięcy złotych, na które ze stu zeszło, nie mają czem za nią wiana zapłacić! Ja tu przecie coś przyniosłam i coś znaczyć powinnam. Wy mnie chcecie pognębić, odsunąć, zaćmić dać tej niemieckiej...

Mówiła ciągle, a Zygmunt jedno powtarzał, równie jak ona gniewny:

— Milcz! milcz!

— Nie będę milczała! będę głosić całemu światu — wołała — jestem matką, jestem królową, mam tu prawa, których sobie wydrzeć nie dam. Potrafię się zemścić...

Sceny podobnych wyrzutów, kłótni, które dochodziły niekiedy do tego, że Bona się na podłogę rzuciła, jak bezprzytomna, powtarzały się bardzo często! Zygmunt był do nich nawykły i wiedział też, że nigdy z nich nie wychodził zwycięsko. Żłamany, osłabiony musiał ustępować wkońcu. Dnia tego jednak zbyt mocno czuł obelgę, uczynioną synowej, by mógł uznać się winnym i zwyciężonym. Wejrzeniem groźnem mierzył Bonę, ręką uderzając o poręcz krzesła.

Włoszka lamentowała, jak zawsze, z tego samego wiekuistego tematu, który się ciągle przez długie powtarzał lata.

— To wasza wdzięczność za to, żem tobie staremu i twojemu barbarzyńskiemu krajowi poświęciła moją młodość, żem was mojem złotem ratowała, żem tu prześladowana, nieszczęśliwa zmarnowała się, otoczona wrogami.

Lzy i przekleństwa przerywały te wykrzyki, Włoszka konwulsyjnymi ruchami rąk to rwała na sobie odzienie, to na starego króla zdawała się godzić, który siedział nieruchomy, zasępiony, ale nieprześlągany.

— Ty i twoi — wtrącił — nie daliście mi nigdy spoczynku. Czegom ja chciał, temuś się sprzeciwiała. Twoi zausznicy stawali mi na drodze. Przez ciebie u ludu mojego i u świata straciłem poszanowanie. Twoje spiski...

Bona poskoczyła, mówić mu nie dając.

— Gdyby nie ja — zawołała — gdyby nie pieniądze moje, nędzarzem-byś był. Musiałam łożyć na dzieci, wspomagać ciebie, zasilać skarb.

— A te pieniądze nie z neapolitańskich twoich dzierżaw, ale z moich nadań i łaski ciągniesz — rzekł Zygmunt. — Milczże i upokórz się niegodziwa!

Wyrzuty króla wcale do uspokojenia dopomóc nie mogły. Bona unosiła się coraz więcej, mocniej coraz i wkrótce niepodobna było zrozumieć co mówiła, tak dzikim zawodziła głosem.

Walczyć z nią na słowa Zygmunt nie umiał nigdy. Kilkakroć powtórzywszy swe zwyczajne:

— Mielez! — zamilkł, podparł się na rękę i słuchał wołania, lajania, krzyków, jęków najobojętniej. Nie robiły one na nim żadnego wrażenia, czekał końca.

Bona wysilona wreszcie, zamiast na krzesło rzuciła się na ziemię i łkała, zanosząc się płaczem gniewliwym.

— Słuchaj — odezwał się Zygmunt poważnie — jeżeli ci twoje szaleństwo rozumne słowa da pojąć. Nie sądź, ażebym uległ tam, gdzie idzie o przyszłość jedyne go syna mojego i tej synowej, którą ukochałem, jak własne dziecko! Ty chcesz przed Bogiem poprzysiężone małżeństwo rozdzielić... ja tego nie dopuszczę. Okażę ci, że panem tu jestem i być potrafię.

Na chwilę ucichłszy, gdy mówił te słowa, Bona zerwała się z ziemi i rozśmiała szydersko.

Śmiech ten niespodziany, straszny biednego Zygmunta przeszył, jak najstraszniejsza groźba, pobladł, zatrząsł się, zamilkł.

Nie mówiąc nic, Bona zmierzyla oczyma bezsilnego starca, dumnie się wyprostowała, podnosząc głowę, skrzywiła usta i rzekła obojętnie:

— Masz mi co więcej powiedzieć jeszcze? Grózb twoich wcale się nie lękam. Kocham syna mojego i póki żywa bronić go będę.

— Cóż mu to grozi? — przebaknął król gniewnie — co?

— Pożycie z nienawistną, z narzuconą, ze wstrętliwą kobietą, która tu będzie szpiegiem i sługą cesarza i swego ojca, nieprzyjaciół moich i Izabeli.

— Mogłaś ich pozyskać, jako sprzymierzeńców, a robisz ich sama wrogami.

— Bo oni nigdy niczem innem być nie mogą i nie będą — zawołała Bona. — Ciebie zdzieciniałego starca uwodzą, mnie nie potrafią.

Zygmunt nakazał znowu milczenie, a królowa odpowiedziała mu śmiechem.

Sprzeczką i waśń byłyby się przedłużyły pewnie, gdyby nie zaskrobano do drzwi. Gniewnym wzrokiem rzuciła kró-

lowa na nie, nie pojmując, kto mógł tak zuchwale dobijać się tu, gdy ona była na rozmowie z królem. Łatwo się wszakże Zygmunt domyślił, iż kto inny być nie mógł nad lekarza.

Co dziwna nie zwykły doktor króla, ale królowej, Nicolo Catignani, ukazał bladą, długą twarz, otoczoną włosami czarnemi, w prostych kosmykach spalającemi na ramiona i do królowej po włosku się odezwał, że Zygmuntowi potrzebnym był odpoczynek o tej godzinie.

Choć zwykle Catignaniego rady i rozkazów słuchała, Bona była nadto wzburzona tym razem, aby mileząc przyjąć przestrozę.

— A pocóż mnie tu zawołano? — odezwała się nawpół do doktora, wpół do męża. — Nie myślałam mu weale przerywać spokoju. Kazano mi przyjść, jak dziecku, aby je skarcić.

Król syknął, nie rad był tym zwierzeniom przed obcym, ale Bona dla niego tajemnicę żadnych nie miała.

Catignani wszedł weale niezmiesszany, pokłonił się Zygmuntowi, rękę kładąc na piersi, zbliżył się do Bony, z pozowaniem, ale nalegając, szeptać jej coś zaczął i opierając się, gniewną w ostatku swoją powagą potrafił nakłonić do wyjścia.

Trochę opodał ode drzwi oczekali komornicy ze światłem, którzy Bonę, jeszcze całą poruszoną i ledwie oprzytomniałą, do jej pokoiów odprowadzać mieli. Tak była zaślepioną gniewem, iż Catignani po kilkakroć wskazywać jej musiał kierunek, w jakim iść miała.

Drugi już miesiąc upływał od przybycia królowej Elżbiety do Krakowa. Czerwiec się miał ku końcowi. Ruch i życie, jakie tu panowały przez dni kilkanaście, ustały, wracał zwykły tryb i porządek, cisza, pod której płaszczem wikały się intrygi, toczyła walka, gorączkowo, ale ostrożnie prowadzona przez królowę Bonę.

Włoszka na chwilę w niej nie spoczywała, ale się jej zdawało, że potrafi omamić wszystkich, udając spokojną napozór, niemal beczynną.

Tymczasem widoczne skutki jej zabiegów wskazywały, że nie próżnowała. Jawnie stała ona na stronie, lecz młoda królowa, coraz bardziej odosobniona, opuszczona, ściśnięta, dozorowana, czasem tygodniami całemi niewidująca męża,

cierpliwie znosząca prześladowanie, obudzała we wszystkich politowanie. Skarga nigdy się z ust jej nie wyrwała, a łzy przychodziły w nocy, gdy była sama z Hölzelinówną i nikt ich ani posłyszeć, ani widzieć nie mógł.

Kätheu doławała pani swej siły i męstwa, ale i w samej królowej wyrobiła się energia, jakiej się po młodziuchnej i nieprzygotowanej do takiego losu kobiecie spodziewać nie było można. Raz postanowiwszy nie skarżyć się i znosić w milczeniu los, który się zmienić musiał, królowa ile razy musiała ukazywać się publicznie, wychodziła z twarzą uśmiechniętą, której bladość tylko zdradzała cierpienie wewnętrzne.

Bona, która miała wiadomość o chorobie, jakiej podlegała Elżbieta, rachowała na ucisk, na rozdrażnienie, mające wywołać niechybnie, wedle doktorów, których się radziła, napad może publicznie, wśród jakiej uroczystości. Rachuby te ją zawiodły.

Najboleśniejszym ciosem, jaki zadać mogła synowej, było odciąganie od niej męża, trwające dotychczas. Ale i to nie zdołało młodej królowej wycisnąć łez, zniechęcić i doprowadzić do rozpacz.

Piastunka jej powtarzała:

— Wytrwaj tylko cierpliwie, a zwyciężysz! August powróci do ciebie. Znajdą się nareszcie tacy, co staremu królowi o intrydze doniosą i Włoszkę potrafi oddalić od dworu.

Hölzelinówna pisała ciągle do ojca i matki, donosząc bez ogródki żadnej, co się tu działo, skarżąc na Bonę, wyświetlając jej czynności.

Zygmunt Stary nie o wszystkim mógł być zawiadomiony. Chory i osłabiony, nie znosił wiadomości, które drażniły, musiano go oszczędzać. Maciejowski i inni przyjaciele znajdowali, że nawet interwencja gwałtowna starego króla przeciw knowaniom Bony niewieleby pomóc mogła, i oni więc woleli nalegać na ojca i na cesarza, aby użył jedynego środka, jaki obiecywał być skutecznym — zagrożenia Bonie pomstą na królowej Izabeli i na posiadłościach neapolitańskich.

Lecz wystąpienie stanowcze ze strony ojca musiało być na czemś oparte i trzeba było z umiarkowaniem poczynąć, aby nie pogorszyć położenia Elżbiety. W Wiedniu i Pradze

mówiono sobie, iż król jest stary i niedługowieczny, a z jego panowaniem wszystko się odmienić musi. Zwlekano więc.

Ośmielało to Bonę, chociaż nie zdobywała się dotąd na środki gwałtowne. Szła powoli i zawsze w ten sposób, aby się mogła wycofać.

Wreszcie król Ferdynand, ojciec Elżbiety, wysłał do Krakowa zaufanego i zręcznego dworzanina, imieniem Giovanni Marsupin.

Marsupin znanym był z wziętości, jaką miał na dworze króla ojca, który się nim oddawna posługiwał w sprawach, wymagających największej przebiegłości i wytrwania.

Przebrany pod rozmaitemi postaciami, nieraz Włoch wędrował do Węgier, do Turcji, do Włoch, po rozmaitych dworach, to jako kupiec, to jako uczony, to jak ciekawy cudzoziemiec.

Gdy potrzeba było coś odkopać, wysledzić, wyszpiegować, Marsupin nie miał sobie równego. Nadzwyczaj zręcznie robił znajomości, wsiskał się, podsłuchiwał, zyskiwał ludzi, i nie było przykładu, aby go pochwycono.

Najczęściej dawano mu misje takie, które wcale na jaw nie wychodziły; terażniejsza tem się od poprzedzających różniła, że Marsupin musiał oko w oko stawić się przed starą królową, przeciw której miał walczyć, zarazem starając się wywiedzieć o wszystkim, co się młodej królowej tyczyło.

Zuchwałem było nieco ze strony ojca królowej Elżbiety polecenie Marsupina na sekretarza i tłumacza Augustowi, gdy łatwo było Bonie przewidzieć w nim nieprzyjaciela. Czy w istocie rachowano na to, że się go tu umieścić uda, niewiadomo? Marsupin może sam niebardzo w to wierzył, ale bądź co bądź zaklinał się, że go stąd niełatwo wypędzić potrafią.

Wiadomem było, że Zygmunt August kochał się w ludziach wykształconych, znających świat, mogących utrzymać rozmowę o tem, co w danej chwili zajmowało umysły. Marsupin właśnie miał wszystkie przymioty takiego dworaka umiającego pana zabawić, zająć, rozerwać i dopomóc mu do obeznania się z tem, co świat na zachodzie zaprzętało.

Znał signor Giovanni wszystkie dwory, wielu panujących, wielu uczonych, czytał nowości, mówił doskonale kilkoma językami, a oprócz tego był niezrównanie giętki, zręczny

i w potrzebie wymowny. Ani na energii, ani na chytrłości mu nie zbywało. Naostatek przywiązanie jego do rodziny króla było wypróbowane.

Na dworze polskim wcale Marsupina nie znano, bo się tu nigdy nie pokazywał, ale Włosi, otaczający Bonę, wiedzieli o nim.

Gdy nazajutrz ubrany paradnie signor Giovanni oznajmił się Opalińskiemu, jako przybywający z listami do młodego króla Marsupin, ostrożny marszałek przyjął go nader grzecznie, lecz do pana przypuścić jakoś nie chciał i zażądał listów na swe ręce.

Marsupin z wielką uniżonością oświadczył, iż miał polecenie tylko do rąk własnych Augusta je oddać. Prosił o posłuchanie.

Marszałek, który podejrzewał coś niemiłego dla Bony, pobiegł do niej.

Królowa już była nie tylko zawiadomioną o przybyciu Włocha, ale wiedziała, kto on był.

— O! szpiega tu na mnie wysłali — zawołała. — Ta niegodziwa Niemka, Hölzelin, nie wiem jakimi sposobami wysłała listy i doniesienia, opisała mnie w nich. Pomocnik dla niej przybywa. Moi ludzie go znają, najniebezpieczniejsza żmija. Okupić go nie można. Syna ja uprzedzę, posłuchanie odłóżcie do jutra, a bądź co bądź trzeba mu życie uczynić tak gorzkim, aby się niegodziwiec wyniósł co prędzej. Ja go tu cierpieć nie będę. Za nic, za nic!

Nazajutrz więc dopiero Marsupin mógł oddać listy królowi Augustowi, który go przyjął ostrzeżonym będąc, grzecznie, ale zimno.

Włoch rachował, że w dłuższej rozmowie przypodobać się, ująć sobie potrafi króla, lecz Opaliński czuwał nad tem i nie dopuścił mu się rozgadywać, przypominając pilne zajęcia.

Przeciw wszystkim tym zawadom Marsupin musiał odegrywać obojętną pewność siebie, jakby się nie poznawał na tem, iż go się pozbywano.

Oznajmił Augustowi, iż miał listy do młodej pani, dodając również, iż mu zlecono je oddać do rąk jej własnych i przekonać się o tem, jak N. Pani wyglądała i czy zdrowie jej na zmianie życia nie ucierpiało.

Zygmunt August odpowiedział nieokreśloną jakąś obietnicą.

Opaliński odprawił Marsupina co żywiej, zapowiadając, że postara mu się widzenie z Elżbietą ułatwić, a o dniu i godzinie doniesie.

Przyjazd Marsupina Bonę nieco poruszył, bo w nim widziała skutek doniesień, których się obawiała. Widocznie Włocha wysłano, jako szpiega, aby się przekonał na miejscu o tem, co dochodziło do Wiednia i Pragi.

Tegoż dnia rozpoczęły się narady, biegali posłańce, wszyscy doradcy i pomocnicy królowej zostali zwołani: a ponieważ wiele na starym Zygmuncie zależało. Bona postanowiła jego naprzód przygotować tak, aby Marsupinowi pozostać tu nie dał, za uwłaczający sobie poczytując ten nadzór nad młodą królową, który dowodził braku zaufania.

Chwila do działania na króla była dosyć dobrze wybraną. Zmęczony walką Zygmunt Stary znajdował się w tym stanie i usposobieniu, które pragnąc spokoju, łatwo się pozorami jego ludzi dawały.

Maciejowski i inni u boku króla będący, choć wiedzieli, jak się obchodzono z młodą panią, ażeby nie martwić Zygmunta, nie wszystko przed nim mówili, ukrywali wiele.

Bona wstrzymała swe wybuchy i udawała obojętną. Stary więc spodziewał się, że zwolna wszystko się ułoży najlepiej, bez uciekania się do ostatecznych środków, bez kłótni i wrzawy. Gotów był nawet do małych ustępstw żonie, byle go nie zmuszała do gniewu. Elżbietę widywał ciągle uśmiechniętą, z wypogodzoną twarzą, nie skarżącą się na nic, i ludził się, pochlebiał sobie, że syn przywiązać się do niej musi.

Przez parę tygodni Bona dawała królowi tak spoczywać, nie drażniąc go niczem, przychodziła dowiadywać się o zdrowie, mówić o swoich osobistych interesach, nie napomykając wcale o synu i synowej. Zygmunt ulegał łagodnie.

Wieczorem dnia tego, gdy Marsupin miał posłuchanie u Augusta, postanowionem zostało, iż Bona króla o nim uprzedzić musi.

Trochę wcześniej, niż zwykle, ukazała się w sypialni, a z twarzy jej poznał małżonek, iż niosła coś z sobą, że nie przyszła z próżnemi rękami. Po kilku słowach obojętnych zasiadła naprzeciw męża.

— Zapewne ci już doniesiono — odezwała się — o przybyciu tego osobliwego posłańca od ojca Elżbiety?

— Nie wiem o żadnym — rzekł król.

— Przysłano z Pragi Włocha — mówiła coraz się ożywając królowa. — Ma listy do Augusta, do was i jeśli się nie mylę, do wielu innych. Chcą go tu nam posadzić, jak dozorcę, jak szpiega. To rzecz dla ciebie obelżywa! Więc wiary w nas nie mają? Są więc ludzie, którzy im donoszą, że Elżbiecie się dzieje krzywda? Włoch chce się w jakikolwiek sposób wcisnąć tu i pozostać. Polecają go za tłumacza i sekretarza Augustowi, ale ani on, ani my nie potrzebujemy nikogo. mamy dosyć sług swoich.

— Włoch? któż jest ten Włoch? — odezwał się król.

— Nie znają go tu, ale ma sławę człowieka przewrotnego, niebezpiecznego, zuchwałego.

Bona wstała z krzesła.

— Nie powinieneś dopuścić, aby ci go narzucono — zawołała.

Zygmunt mileżał obojętny.

— Zobaczmy — rzekł — rozsłuchamy się i rozpatrzymy.

— Włoch będzie pewnie jutro lub wkrótce dobijał się o posłuchanie — dodała Włoszka. — Jeżeli go przyjmiecie, bo ksiądz Samuel pewnie go przyprowadzi, nie róbcieź mu nadziei, żeby tu mógł pozostać.

Królowa z początku dosyć spokojna, w miarę jak mówiła, coraz bardziej unosić się zaczęła.

— Wiedziałam dobrze — rzekła — że biorąc tu wnuczkę waszą, kupimy sobie podległość i niewolę, że nam cesarz i król technąć nie dadzą bez swojego pozwolenia, dlatego się temu związkowi opierała. Oto masz skutki! Listy potajemne biegają ciągle, skargi, obwinienia i król ojciec waży się nam na nasz dwór wysyłać dozorcę, który nad nami rozciągnie straż.

Poruszyła ramionami.

— Godności króla to uwłacza! — dodała.

— Uspokój się — odparł król — pomówię o tem z moją radą, a ujmy sobie wyrządzić nie dam.

— Jeżeli przyjmiesz tego Marsupina — dołożyła Bona — zaklinam, abys na słodkie jego słowa wziąć się nie dał, ani pokorą nie pozwolił omamić. Szpieg jest... złoczyńca!

Podniosła do góry pięść ściśniętą.

Zygmunt, unikając burzy, postanowił nie odpowiadać, dał się Bonie wyburzyć. wygadać i odprowadził ją, nie nie przyrzekłszy. Lecz był już przygotowany.

Król nazajutrz spytał o posła biskupa Maciejowskiego przybywającego z rana, który nie przywiązując umyślnie zbytnej wagi do zjawienia się go, odpowiedział królowi, iż w istocie Włocha przysłano, lecz ten szczególnie polecony był młodemu królowi, a królowej przywiózł listy, pozdrowienia i podarki od matki.

— Nie napierał się on dotąd o posłuchanie u miłości waszej — dodał Maciejowski — lecz pewnie o nie prosić będzie. Królowa jejmość zbytnią do tego posła przywiązuje wagę i nadaje mu znaczenie.

Uspokoił się chętnie król stary, bo mu nadewszystko pożądanym był spokój.

Marsupin bardzo zręcznie w istocie zamiast napraszać się do Zygmunta, naglił na Opalińskiego, aby młodej królowej został przedstawiony, bo miał do niej listy i posłanie.

Sługa najwierniejszy Bony, Opaliński, znalazł się w położeniu bardzo trudnem, bo nie chciał zdradzić, jak dalece tu wszystko od Bony zależało i było w jej rękach, nie życzył sobie, aby Włoch jasno widział stosunki. Tymczasem bez wiedzy i pozwolenia starej królowej nie mógł dopuścić Marsupina. Musiał się więc uciekać do tysiącznych wybiegów — królowa młoda nieco była znużoną, drugiego dnia nabożeństwo i posłuchanie zająć miały ją i t. p.

Marsupin kłaniał się, czekał ale dokuczał, bo przychodził po kilka razy na dzień i nużył marszałka upartem stanieniem, jakby nie rozumiał, że się go pozbywano.

Opaliński pobiegł do Bony.

— Za nic w świecie nie dam mu się z nią widzieć na osobności! — krzyknęła stara. — Trzeba go pilnować.

Po dość długiej i burzliwej naradzie postanowionem zostało, iż dwie królowe, stara z młodą, nazajutrz z rana spotkać się mają i... o cudo! przechadzać razem po wirydarzyku, który był przez Bonę około zamku założony na wzór włoskich ogrodów.

Zajmował on przestrzeń niewielką, ale w nim było pełno kwiatów i wonnych roślin; ścieżki i małe labirynty, kilka kamiennych naczyń dla ozdoby, nawet wodotrysk urządzone przez jakiegoś Włocha dla królowej. Widok stąd dość piękny zwabiał tu niekiedy młodą królowę.

Niemilo jej było spotykać się z Boną, która słowa się do niej nie odzywała zwykle, wybierano więc godziny takie,

gdy stara pani zajęta była. Tego dnia Opaliński podjął się tak przechadzkę urządzać, zachęcić do niej, aby dwie królowe spotkały się, nim Marsupin na zamku się zjawi.

Opaliński rzeczy ułożonej za wcześniej miał nadać pozór przypadku i zaprowadzić posła a okazać mu, iż dwie królowe w najlepszej w świecie zgodzie obcowały z sobą, prawie się nie rozdzielając. Jeżeli sądził, że Włocha tem oszuka — mylił się. Bonie tylko zdawać się mogło, iż tak niezręcznie wybiegami uniewinnić się potrafi.

Ranek czerwcowy był prześliczny, chociaż po chłodach majowych gorąca nadeszły szybko i dnie już były skwarne. Na Wawel wiatr z dolin od rzeki przynosił powiew orzeźwiający.

Królowa Elżbieta wyszła zaledwie z Hölzelinówną swą do wirydarzyka, gdy w drugim końcu jego ukazała się Bona z dwoma kartami swymi. Młoda pani cofnąć się chciała, lecz Opaliński przytomny podszeptał, że byłoby to wzięciem za złe.

Powolnym więc krokiem nieśmiała młoda pani poczęła się przechadzać, nie odważając zbliżyć do Bony, gdy ta sama do niej nadeszła. Pozdrowienie było milczące. Zamiast odezwać się do synowej, którą tylko wzrokiem trzymała przy sobie, Bona poczęła rozmawiać z Opalińskim.

Elżbieta z tym uśmiechem obowiązkowym, który z ust jej nie schodził, z gałązką lawendy w ręku stała milcząca. Niestrawiona dawała patrzeć na siebie i spoglądała spokojnie na Bonę, która tem żywszą wiodła rozmowę z marszałkiem, iż się co chwila Marsupina spodziewała.

Opaliński zawczasu tak ułożył wszystko, iż Włoch, przybywszy, miał tu być przez dworzanina przyprowadzonym.

Spełniło się wszystko, jak było obrachowane. Zdala ukazał się Marsupin.

Bona doskonale udała, że o nim nie wiedziała dotąd wcale i okazała nawet radość z jego przybycia. Mogło to uwieść patrzących z boku, ale nie Marsupina, który wiedział, po jakim stąpał gruncie.

Z niewymowną radością, której ukryć nie umiała, ujrzała go Elżbieta, przypomniawszy sobie zaraz. Przynosił jej żywe wspomnienie rodziców, lat szczęśliwszych, był dowodem, że tam o niej nie zapomniano.

Postawa przebiegłego Włocha, który bił czołem przed starą królową i z pokorą jej się do kolan kłaniał, Bonę więcej przestraszyła, niż uwiodła. Czuła w nim nieprzyjaciela.

Nie odstąpiła ani na chwilę od synowej i niebardzo się posłańcowi dała z nią rozmówić, sama natychmiast zwracając się ku temu, że w interesie córki Izabeli rada była Marsupinowi dać zlecenia.

— Spełnię je — odparł Włoch — chociażby listownie, gdyż na teraz, stosując się do rozkazów pana mojego, czas jakiś tu zatrzymać się będę musiał.

Bona zagryzła usta.

Marsupin odprawy zrozumieć nie chciał. Zwrócił się do Elżbiety, dając jej wiadomości o rodzeństwie, ojeu i wręczając listy, jakie miał do niej.

Królowa młoda przyjęła je z radością, lecz nie rozpieczętowując, za suknię włożyła.

Pytaniom nie było końca — lecz uparta przytomność Bony zmuszała Elżbietę i Włocha do ograniczenia się ogólnikami; otwarcie się rozmówić nie było podobna, Marsupin tylko wejrzeniem, oczyma dawał do zrozumienia, iż więcej przynosi, niż w tej chwili oddać może.

Nie okazał ani niesmaku, ani zakłopotania — udawał wesołego tak dobrze jak Bona.

Po krótkiej rozmowie, gdy Marsupin przekonał się, iż sam na sam z Elżbietą tym razem pozostać nie będzie mógł, nie chcąc być natrętnym, zegnał obie królowe.

Nieco opodal stała, oczekując na swą panią, Hölzelinówna. Do tej starej znajomej zbliżyć się nikt nie mógł zabronić. Signor Giovanni bardzo zręcznie z tej sposobności skorzystał.

Doskonały komedjant umiał zdala weale co innego okazywać postawą, a co innego mówić ustami. Powitanie Kätchen mogło się Bonie wydawać niewinnem, a Marsupin pewien, że głosu jego nie dosłyszają, pośpieszył, kłaniając się, rzucić jej:

— Nie dano mi się nawet widzieć na osobności z królową. To najlepszy dowód, że na sumieniu się nie czują czyści. Na miły Bóg, musimy choć my, panno Katarzyno, spotkać się gdzieś, abym wiedział całą tę prawdę, której już kawałki pochwytałem.

Hölzelinówna tak była przestraszona, iż nierychło mu odpowiedziała:

— Obmyśl sam środki, ja nie nie potrafię, siedzimy otoczone strażami, jak w niewoli.

— Królowa się uśmiechła — dodał Marsupin, podwajając fałszywe ukłony — ale także jej z twarzy patrzy mężczyźstwo!

— Twarz nie kłamie! — westchnęła Hölzelinówna. — Na Boga — dodała — nie opuszczaj nas, zostań tu, jeżeli można, bądź świadkiem tego, co się dzieje. Małżeństwo wcale z sobą nie żyje. Król młody ma kochankę, czy kochanki. Ta niezcześliwa wzgardzona jest.

Marsupin obawiał się mówić więcej, pokłonił jeszcze i za murem zniknął, nim dwie królowe, które już się zbliżały, nadeszły, bo stara chciała przeszkodzić podejrzanej rozmowie.

Pierwsze te kroki Włocha wśród dworu dotąd mu prawie obcego były ostrożne i baczne — pochlebiał sobie może, iż bez jawnego występowania przeciwko starej królowej potrafi się obejść. Bona też w początku sądziła, że łatwo go stąd wygna. Obie rachuby zawiodły.

Marsupin, dowiadując się coraz lepiej o stanie rzeczy, o poźyciu małżeńskim, o zabiegach królowej matki, przekonał się, że wystąpienie otwarte będzie nieuniknionem.

Większa część faktów biła w oczy, wszyscy byli o nich uwiadomieni. Wojna stała się nieuniknioną.

Po posłuchaniu w ogrodzie signor Giovanni naprzód zameldował się z poszanowaniem do starego króla. Boner lub Maciejowski mieli go tu wprowadzić.

Ale podskarbi przed posłuchaniem wziął do siebie Włocha.

— Przed królem starym nie występuj z zażaleniami — rzekł — nie wytaczaj sprawy. Na nic się to nie przyda. Zygmunt nasz zgryzie się, oburzy, a nie uczyni nic. Działać musisz w inny sposób. Nie taj się z tem, że król ojciec za córkę pomści się na królowej Izabeli. Jednym tym postrachem możesz Bonę zmiękczyć i zmusić do zmiany postępowania. Wy i my zresztą, wszyscy będziemy pracowali nad tem, ażeby młodego króla wraz z żoną wyprawić na Mazowsze lub do Litwy. Zdala od Bony, od kochanki, jaką tu ma, pozna lepiej Elżbietę i przywiąże się do niej. Króla starego nie drażnij, a wojny nie wypowiadaj za wcześnie.

— Mnie się zdaje — rozśmiał się Marsupin — że Bona zbyt jest przebiegłą, aby już jej nie czuła w powietrzu, a mnie z oczu nie wyczytała, iż się oszukać nie dam.

— Jeżeli król stary was przyjmie — dodał Boner — pokłoniwszy mu się, choćbyście nie chcieli, musicie prosić o posłuchanie u królowej matki, aby jej nie obrazić.

Sklonił się Marsupin.

— Nie ulęknię się tego — dodał. — Wiedziałem, wyjeżdżając z Pragi, co wzięłem na ramiona. Pobyt mój tutaj słodkim nie będzie.

Następnego dnia król Zygmunt przyjmował Marsupina, ale było to posłuchanie czysto urzędowe, grzeczne, zimne, na którym nie mówiono o niczem. Dowiadywał się stary o zdrowie króla, o rodzinę, pytał o nowiny dworu cesarskiego, rozmawiał o rzeczach obojętnych.

Nie dotknięto nic drażliwego, a Włoch po sobie nie okazał nawet, jaką miał troskę na sercu.

Gdy tegoż dnia wieczorem Bona rozgorączkowana wpadła do męża, domagając się bez ogródki wypędzenia Włocha, zowiąc go szpiegiem i zdrajcą — król Zygmunt przyjął to niechętnie, kwaśno i rzucił jej w oczy, że się ludziom okłamywać dawała.

— Włoszysko jakieś pokorne, o złem nie myśli — rzekł — i co go masz zniechęcać, lepiej pozyskać się staraj dla Izabeli. Niech, powróciwszy, popiera jej sprawę u króla Ferdynanda.

Napróżno usiłowała Bona króla nawrócić na swe obawy, Zygmunt słuchać nie chciał.

Marsupin siedział uparcie i ani myślał się ruszać z Krakowa; wypędzić go nie było podobna, a pobyt ten do najwyższego stopnia gniewał i niecierpliwiał królowę. Mówiła tylko o nim, tylko o środkach pozbycia się.

— On tu wszystkie kłamstwa i potwarze pozbiera i będą nam niemi wykalać oczy.

Szpiegi nasadzone chodziły krok w krok za Włochem; donoszono, że przesiadywał to u Bonerów, to u Decjuszów, to u biskupa Samuela, to u Andrzeja z Górki.

Kilka razy spróbował weisnąć się przebojem do królowej Elżbiety — Opaliński mu drzwi zamknął. Znajdował zawsze mniej więcej słuszną wymówkę, dla której teraz się z królową widzieć nie było można.

Marsupin dopytywał, kiedy mu to będzie dozwolonem. Marszałek ubolewał, że czasu nie mógł oznaczyć. Z jednej strony opór, z drugiej naleganie nie ustawały z równą wytrzymałością.

— Mam czas — mówił, kłaniając się Marsupin — będę czekał, aż się z królową rozmówić mi będzie wolno. Nie wyjadę przecie inaczej.

Gdy się to działo, dnia jednego nadbiegł zatrważający goniec z listami od królowej Izabeli. Błagała ona matkę, aby korzystając ze stosunków z królem Ferdynandem, starała się opiekę jego i pomoc uzyskać dla wdowy i sieroty.

Ze wszystkich dzieci swych Bona może najczulej kochała Izabelę, najgoręcej się losem jej zajmowała. Całą miłość macierzyńską, na jaką się zdobyć mogła, przelewać się zdawała na to jedno swe dziecko, bo syn pieoszony był tylko dopóki go sobie podbić chciała i spodziewała się.

Odebrawszy listy, Bona pół dnia łamała ręce, nie wiedząc, co czynić. Jedno z dwojga: potrzeba było albo zmienić postępowanie z Elżbietą, lub poświęcić Izabelę.

Ale oddać Zygmunta Augusta, którego słabość znała, żonie, znaczyło abdykować zawczasu! Miłość dla dziecka przeważał interes własny.

Królowa musiała chwilowo choć spróbować dwie nieprzejednane sprawy pogodzić z sobą.

Do późnej nocy trwały narady z Gamratem.

Arcybiskup, nie ten już co był niegdyś (mówiła o nim Bona), smutny ciągle, ostygły, nie biorący nic do serca, skarżący się na zdrowie coraz gorsze, potakiwał nie radził. Był jednak za tem, aby starać się pozyskać Marsupina.

— Mówią, iż ma ucho i wiarę u króla swego — dodał — choć człek mały, lekceważyć go nie można.

— Ale wiem, że się kupić nie da! — wykrzyknęła królowa — a gdy to niemożliwe, to zdradzi!

Właśnie, gdy się toczyły te narady, Włoch poszedł za wskazówką Bonera i królowę Bonę o posłuchanie prosił. Oświadczył mu marszałek, iż chętnie przyjęty zostanie.

Królowa pragnęła wystąpić dosyć wspaniale, kazała się przystroić służbie, karłom, fraucymerowi. Sama wdziała najpiękniejsze klejnoty, komnatę obrała najokazalej przyozdobioną. Synowi naostatek poleciła, aby był przy niej czasu posłuchania.

Występowała z całą dumą królewską, w majestacie.

Marsupin odziany czarno, z łańcuchem od cesarza, na którym był wizerunek złoty Karola V, przyszedł z tą pokorą i uniżonością przesadzoną, niezmierną, która Bonę gniewała, bo niemal w niej widzieć było można szyderstwo.

Nieprzyjaciele zmierzili się oczyma. Bona nie dopuściła w rozmowie ani dotknąć nie drażliwego, żadnych żalów, żadnych wymagań. Natomiast rozpoczęła o córce i o królu, którego sobie dla niej zjednać chciała.

Włoch przyrzekał, ale razem usiłował przypomnieć królowę Elżbietę — lecz Bona ani słuchać nie chciała. Powtarzała jedno.

Zdawało się to jakby postawionym warunkiem targu i Marsupin w początku tak to rozumiał. Chciał ze swej strony też położyć za warunek inne obejście się z młodą królową. Bona nie rozumiała.

— Możecie zapewnić króla, że my nad powierzoną nam córką jego czuwamy, jak nad własnem dziecięciem. Zdrowie jej niedobre, aleśmy temu nie winni, taką do nas przybyła.

I jak najprędzej, natychmiast zagaiła o królowej Izabeli, prosząc Marsupina, aby sprawę jej popierał.

Włoch wkońcu przyrzekając donieść co mu polecono, dodał, że nie był upoważnionym do mieszania się w sprawę, do których innych pośredników użyćby należało.

Całe to posłuchanie upłynęło na próżnej szermierce słów, bo ani Bona sobie mogła pochlebiać, że pozyska Marsupina, ani on, że ją rozbroi. Zamiast zbliżenia, rozmowa pozostawiła po sobie gorzkie wspomnienia.

Gdy po wyjściu Włocha królowa się znalazła sama z arcybiskupem, zawołała gniewna:

— O! król Ferdynand umiał dobrze wybrać posła! za prawdę życzyłabym sobie mieć takiego sługę, ale pozbyć się go jako szpiega, jako najniebezpieczniejszego intryganta... konieczna! Nie będziemy mieli pokoju, dopóki on tu pozostanie. Precz z nim! precz z nim! Co za wejście bazyliuszka! Co za uśmiech, jaka podła pokora i udanie, a szyderstwo drga mu na ustach.

Wieczorem u króla Bona ciągle mówiła tylko o Marsupinie — nie schodził jej z ust, aż Zygmunt musiał kazać milczeć.

— Dajże mi pokój z tym Włochem, robisz z niego większego, niż jest. U stracha wielkie oczy.

Po wszystkich tych audjencjach skończyło się na tem, iż Opaliński zakazał Włocha puszczać na zamek.

Jeżeli Marsupinowi udało się oszukać strażę i wślizgnąć się między dworzan królewskich, którzy mu tak sprzyjali, że go nie tylko chętnie przyjmowali, ale gotowi mu byli pomagać, czujna Bona natychmiast zapobiegala przez kogoś ze swoich, aby dalej nad przedpokoje się nie dostał.

Widząc go zbiedzonym, biskup Samuel i hetman sądzili, że mu utrzymać się w Krakowie o własnym koszcie dłużej będzie trudno; chciał więc biskupłożyć nań, a inni się do niego przyczynić — ale signor Giovanni odmówił. Znajdował, że to dla pana jego uwłaczającemby było, gdyby sługa królewski cudzej potrzebował pomocy.

Ile biedny, zabiegliwy Włoch wycierpiał, co się nabiegał, jakich środków używać musiał, aby się rozwiedzić o wszystkim i choć próbować móc docisnąć, gdzie go niepuszczano, opisać trudno. Niezmordowanym był w tej pracy, do której go rzeczywista miłość dla młodej królowej zagrzewała.

Bona, wiedząc o wszystkim, powzięła ku niemu nienawiść nieubłaganą. Zaczęła od tego, iż staremu królowi codzień tem głowę nabijała, iż żywił na dworze nieprzyjaciela, szpiega, potwarcę, donosiciela i że dla godności swej pozbyć się był go obowiązany.

Z początku król zbywał to milczeniem, wkońcu znudzony, słysząc ciągle powtarzające się żale, dał się im uwieść i sam na Marsupina przed ks. Maciejowskim narzekać zaczął. Nie przyjmował już Włocha, a król młody, bojąc się matki, ani go też chciał widzieć.

Młodą królowę, choć najmocniej życzyła spotkać się z nim, tak trzymano, otaczano, zamykano, a Włocha odpędzono, że jej nawet zdaleka nie widywał, chyba w kościele, gdy w łoży mszy świętej słuchała.

Wszystek jego stosunek ograniczał się do tego, że do niej posyłał listy i od niej je odbierał. Był więc doskonale uwiadomiony, co się działo na dworze młodych państwa: że August zupełnie żonę zaniedbywał, i że ją Bona jak niewolnicę strzegła, sługi jej mieniając, liczbę ich zmniejszając, w wielu rzeczach skąpiąc i odmawiając wygód nawet, do których była przywykła.

Czas jakiś wytrwawszy na tem stanowisku poleconego Augustowi za tłumacza i sekretarza — Marsupin, widząc,

że najmniejszej przyjęcia nie miał nadziei — zrzucił wkońcu maskę i głośno mówił, że był posłem króla Ferdynanda, przeznaczonym do pozostawania przy osobie królowej Elżbiety.

Bona i o tem słyszeć nie chciała.

— Tłumaczów mamy dosyć, Elżbiety dwór pełen, nikogo ona nie potrzebuje, na donosicielach nie zbywa. Marsupin musi iść precz!

Tego znowu Włoch zrozumieć nie chciał i nie mógł. Starano się go pozbyć, on ani się myślał ruszać. Mieszkał u Montelupich. Napadano na nich, aby mu wymówili gospodę, czego oni uczynić nie chcieli. Wiele osób, z obawy prześladowania Bony, unikało go, ale przystęp do tych, do których miał listy polecające, do Bonera, Maciejowskiego, Decjusza, Górki hetmana, został mu wolny. Tym nikt zabronić nie mógł go przyjmować — a Bony łask wcale się nie starali pozyskać.

Wszystko to na niewiele się przydać mu mogło, gdy do nikogo już przystępu nie miał. Opaliński szczególnie trzymał go na oku i przez swoich śledził kroki, a do zamku nie dopuszczał.

Marsupin począł tedy coraz się jawniej dobijać, jako sługa i wysłaniec króla, tego, czego mu odmawiano. Odzywał się bez ogródki z tem, iż czeka na nowe listy, a choćby rok tu miał siedzieć nadaremnie, odpędzić się nie da.

Donoszono Bonie, iż ciągle to powtarzał, że na Węgrzech królowej Izabeli oddadzą to, co tu Elżbieta cierpiała. Nie tał się i z tem, że do cesarza pisał, nalegając, aby księstwa włoskie odebrał Bonie, a komu innemu je nadał.

Choć na pozór niby gardziła Bona temi pogrózkami, jednakże obudzały one niepokój. Lecz ustąpić dla nich nie pozwalała duma.

Całą więc siecią intryg opasano Marsupina, próbując, czy nie ma słabostki jakiej, za którąby go pochwycić można. Na pieniądze, na wdzięki kobiet, na inne takie przynęty Włoch się okazał zupełnie obojętnym. Miłość własna i przywiązanie do rodziny panującej dawały mu siłę i wytrwanie.

Krzętał się nieustannie, mówił głośno i otwarcie, a że każde jego słowo szpiegowie na zamek odnosili, Bona wiedziała, iż szerzył pogłoski o jej prześladowaniu synowej i zniechęcał ku niej ludzi.

Nie pozostawało nic, tylko jakimkolwiek kosztem pozbyć się Marsupina! Bądź co bądź! Niełatwo jednak było to dokonać.

Włoch naigrawać się zdawał z pogróżek, coraz żarliwiej zabiegając i dając się czuć wszędzie. Na zamek już mu się nawet pokazywać nie godziło.

Nieustraszony we wszystkim, Włoch miał jedną słabą stronę: jak inni współcześni wierzył on w czary i obawiał się ich. Był przekonany, że władza Bony nad starym małżonkiem, nad synem i nad wielu jej zaprzędanymi nie inne miała źródło tylko — czary!

Wiedziano, że się często naradzała ze swym doktorem, astrologiem, Włochem, który ciągle smażył w tyglach, a królowa do niego nawet późno w nocy z mniszką Maryną chadzała. Czyniono ją więc czarownicą, która napojami, pierścieniami, podarkami ludzi w moc swą zaprzęgała.

Marsupin za żadne skarby świata nieby był od niej nie przyjął; ostrzegał innych, aby unikali zetknięcia się z niebezpieczną czarownicą.

Na mieście pospolity lud dość był skłonny w to uwierzyć. Widziano króla, ulegającego jej z dziecinnem posłuszeństwem, syna, którego na sznurku jako chciała prowadziła — Gamrata posłusznego ślepo, Kmitę dotąd nawet dającego się jej powodować, Opalińskiego naostatek, który jak ostatni ze sług czynił, co kazała.

Chociaż cały czar Bony stanowiła silna jej wola i środki bardzo proste, jakimi sobie zyskiwała ludzi, było w istocie coś zdumiewającego w tej kobiecie cudzoziemce, samej jednej tu, słabej na pozór, której wszystko ulegać musiało.

Marsupin lękał się o życie nawet, bo od cesarzy do trucizny krok był tylko, a włoskim obyczajem, wiedział, że i w ten sposób się pozbywano zagrażającego wroga. Trwoga ogarniała go jeszcze niemal większa o młodą królowę, dla której obawiał się także trucizny, jeśli nie w pokarmach i napojach, to bodaj w perfumowanych rękawiczkach, w tem, co naówczas noszono na sobie.

Uspokajało go to jedno, że Elżbieta dotąd z powodu choroby starego króla, jadła sama, osobno, — a choć mąż, który powinien był jej towarzyszyć, rzadko się pokazywał, ale podczaszowie i krajezy podając próbowali pokarmy.

Zalecał Hölzelinównie, aby na stół miała baczne oko, a podarków żadnych od starej królowej przyjmować nie dopuszczała.

Sama zresztą pocziwa piastunka, widząc się otoczoną nieprzyjaciółmi, czuwała dzień i noc nad swem dzieckiem ukochanem, nie mogąc wyjść z podziwienia nad tą siłą ducha, z jaką męczennica znosiła wszystko, nieprzyjaciółom nawet nie dając się ucieszyć wyrazem bóleści, bo cudnie udawała wesołą i spokojną.

— Anioł jest! — wołała stara Kätchen — a nie wiem, czy kiedy kobieta zniosła to, co ona, z takim bohaterstwem. Klękać przed panią moją!

Wśród tej walki, którą Marsupin wiódł z zazartością swego włoskiego temperamentu, niespodziany zwrot nadać jej miał wypadek, na pozór żadnego z nią związku nie mający. Wypadkiem tym było w Krakowie nastanie strasznego moru, od którego ludzie ginęli setkami.

Kiedy mór zaczął szaleć w Krakowie coraz gwałtowniej, postanowił dwór wyjechać ze stolicy.

Z miasta ten to ów przynosił prawdziwe i fałszywe wieści o ludziach nagle zmarłych. W istocie mór zdawał się nagle szerzyć i ci, co go w wątpliwość podawali z początku, przeczyć już nie mogli, że na mieście umierano. Ale jedni spodziewali się, że po upałach burza nadechodząca oczyści powietrze, drudzy, że zaraza sama przez się za łaską Bożą ustanie. Po kościołach wystawiano relikwie i odprawiano modły uroczyste. Doktorowie wszyscy byli na nogach, a po aptekach gotowano napoje i kadzidła, przez nich zalecane.

Królowa Bona ze wszystkich członków rodziny królewskiej największym była ogarnięta strachem. W jej komnatach wszędzie paliły się trociezki wonne, balsamy różne i powietrze przejęte było wyziewami silnymi środków, które doktorowie przynosili i jedne nad drugie zalecali. Nie zmniejszało to niepokoju jej o siebie, o męża i syna.

Lecz nawet w chwili tej grozy nie zapomniała Włoszka o tem, co miała na sercu, o swej nienawiści dla młodej królowej, o obawie, aby ona swą łagodnością, cierpliwością i wdziękiem serca syna jej nie wydarła.

Morowe powietrze dawało zrzeczność wysłania syna, pod pozorem bezpieczeństwa jego, na Litwę. Dniem wprzód

mówiła o tem Zygmunтови, który długo ani Litwy, ani Mazowsza puścić mu nie chciał, namawiając, aby Augusta dał do Wilna, bo go tam Litwini z upragnieniem oczekiwali. Stary pan zgadzał się na wysłanie syna, lecz chciał, aby, jak przystało, żona z nim jechała.

Oparła się temu Bona.

— We dwojgu tam pojechawszy, dworu, ludzi, pieniędzy we dwójnasób potrzebować będą, na to skarb nie starczy. Niech jedzie sam!

Nie było zgody, przerwała się rozmowa bez żadnego skutku. Bona miała tysiące argumentów na to, ażeby syna osobno odprawić, a Elżbietę mieli starzy królestwo zabrać z sobą.

Z rana, nim Bona przyszła z nowemi naleganiami, król o tem mówił z Maciejowskim. Biskup głosował naturalnie za tem, ażeby małżeństwa nie rozdzielać.

Bona wcześniej, niż zwykle, weszła się do małżonka, który czuł się więcej cierpiącym. Pozostawiono ich samych z sobą.

Długo trwała sprzeczka, nalegania, spór, których do sąsiednich komnat pojedyncze tylko głosy i wyrazy dolaływały. Naprzemianny to głos starego króla, to piskliwe krzyki Włoszki górowały.

Dworzanie, którzy w antykameryze stali, z doświadczenia wnioskowali zawczasu.

— Królowa długo siedzi, postawi na swoim. Znak to pewny. Chce li król się jej oprzeć, rychło pozbyć musi. Im dłużej trwa, tem pewniej wygra.

Stało się tak w istocie.

Po ukończeniu narad Opaliński wezwał Zygmunta Augusta do matki.

Bona, w bok ujawszy się ręką jedną, czekała na syna z obliczem triumfującym. Usta się jej uśmiechały. Chciano ją oderwać od syna! Ona wyjazd ten miała uczynić nowym węzłem łączącym go z nią, a rozłączającym z żoną!

Zaledwie ze swą twarzą, zawsze jakieś znużenie, ale razem powagę wyrażającą, August ukazał się na progu, gdy matka odezwała się szydersko:

— Najjaśniejszy pan, z woli ojca jedziesz do Wilna! Jedziesz sam, bo żony na podróż długą, niewygodną teraz narazić nie można.

Uśmiech dziwny, złośliwy towarzyszył tym wyrazom.

— Tak jest — dodała Bona — jedziesz sam do Wilna! Wiem — poczęła żywiej — żeś w. k. mość życzył sobie, będąc już królem koronowanym i w. książęciem, zacząć rządzić i okazać, że potrafisz miecz i berło podźwignąć. A więc winszuję!

Skłoniła się przed synem.

— Co się tyczy królowej — rzekła — bądźcie spokojni! Pojedzie z nami, na niczem jej zbywać nie będzie. Wprawdzie i nasz i jej dwór zmniejszyć musimy, ale pozostanie zawsze próżniaków dosyć!

Skrzywiła się królowa, patrząc na syna, w którego twarzy chciała dopatrzeć się wrażenia, jakie ta niespodziana wiadomość na nim uczyniła.

Oblicze Zygmunta Augusta nawet w jego młodości, wcześniej złudzeń pozbawionej, niełatwo w sobie czytać dawało. Zachowywał zawsze powagę i chłodną krew, stanowił swemu właściwą. Ale matka odgadywała łatwo najłżejszy odcień twarzy synowskiej. Patrzała na nią pilno, spodziewając się poruszenia radości, a dostrzegła, a raczej domyśliła się pewnego pomieszania i zafrasowania. Zdziwiło ją to.

— Jakże? — podchwyciła zawsze w tym tonie — wasza królewska mość nie cieszysz się tem? Król ojciec długo się temu opierał, masz nareszcie, czego sobie życzyłeś sam i drudzy dla was życzyli.

August stał jakby zadumany.

— Jestem królowi ojcu wdzięczny za zaufanie — rzekł — jadę na Litwę z ochotą, ale się lękam, czy na pierwszym kroku nie obudzę w Litwinach więcej politowania, niż radości. Wy, miłościwa matko moja, lepiej to wiecie, niż ktokolwiek bądź, jak szczupłe byłem i jestem wyposażony. Nie mam ani stosownego dworu, ani ludzi, ani zapasów i skarbu, który panującemu jest potrzebny. Mamże począć panowanie od tego, że będę rękę wyciągał do moich poddanych, aby oni mi dali zasiłek?

Bona zdawała się przygotowaną na to pytanie, uśmiech nie schodził z jej ust, a wyraz triumfu malował się coraz dobitniej na promieniejącej twarzy.

— Zapominasz, że masz kochającą matkę, zawsze dla ciebie gotową do ofiar, która dumną jest synem i upokorzyć go nie dozwoli. Byłam odrazu pewną, że Boner, zwłaszcza,

gdy się dowie, że Elżbieta z wami nie jedzie, wyposażyć was na tę drogę nie zechce, jak należy. Ale od czegoż stara włoska księżniczka, która z sobą przyniosła posag w złocie i dla dzieci przyzbierać coś umiała!

August stał, jakby zawstydzony, ze spuszczeniem oczyma. Matka mu pieśczośliwie rękę położyła na ramieniu.

— Jedź — rzekła. — Brancaccio ma już rozkaz ode mnie. Daję ci na tę podróż piętnaście tysięcy czerwonych złotych, a że i występować musisz, a w Wilnie pewnie jednej misy srebrnej nie znajdziesz i nie masz ich wiele do zabrania, tąd, a żona też nie ma ci co dać, kazałam pólsetka puharów srebrnych i mis wybrać ze skarba, odłożyłam łańcuchów, klejnotów, com mogła.

August pocałował ją pokornie w rękę, dziękował; ale ani ten dar, ani wiadomość nie czyniły go tak szczęśliwym, jak się Bona może spodziewała.

Trzy te miesiące, nieznacznie, powoli oddziaływały na serce króla.

Przyczyniła się do tego królowa Elżbieta. August zaczął od tego, że ją przyjął z uprzedzeniem, ze wstrętem, polbudzany przez matkę, podmawiany do okazywania obojętności. Niezmierna cierpliwość i poddanie się swemu losowi młodej pani zdumiały naprzód, potem wywołały ciekawość, naostatek współczucie.

Młody król począł od tego, iż się ulitował nad nią, iż bardzo nieznacznie, ostrożnie ostrzegał ją i podszeptował, co czynić miała, by nie drażnić Bony. Łagodność królowej, jej posłuszeństwo, bo mu się ani narzucała, ani wymówek nie czyniła, pociągnęły go powoli ku niej.

Byłby może August okazał jawniej to współczucie żonie, ale wiedząc, jak ją Bona nienawidziła, jak się jej obawiała, lękał się, aby najmniejsza oznaka przybliżenia się do Elżbiety nie wywołała zemsty i prześladowania.

W ciągu tych kilku miesięcy August nabierał poszanowania, współczucia, zajęcia serdecznego dla tej ofiary cichej, która z uśmiechem anielskim witała go, przyjmując wszystko wdzięcznie i nie uskarżając się nigdy.

Czy się tego królowa młoda domyślała, czy przeczuwała ten szczęśliwy zwrot, który jej Hölzelinówna przepowiadała, trudno było odgadnąć. Jeżeli nadzieja wstąpiła w jej serce, nawet tej piastunce, dla której nie miała żadnych tajemnic, nie powiedziała nic, nie przyznała się do niej. Obawiała się

zawodu, drząc, czekała, czy się sprawdzi to, czego zdawała się bliską, a lękała utracić.

Oczy dwojga małżonków spotykały się czasem trwożliwe i natychmiast odwracały. Dosyć było takiego pochwycenego jednego wejrzenia, któreby w Bonie obudziło podejrzenie, iż małżeństwo się zbliżyło, porozumiało, a Elżbieta mogła zyskać łaskę w oczach męża, aby Bona do ostateczności doprowadzoną została.

Syn nawet nie lękał się, wiedział dobrze, iż była zdolną namietności panowania poświęcić wszystko, chwycić się najokropniejszych środków. Ci, co ją otaczali, gotowi też byli na jedno skinienie dopuścić się zbrodni największej.

W obawie tej o żonę Zygmunt August, którego serce już ku niej ciągnęło, musiał się okazywać zupełnie zimnym i obojętnym. Dosyć było, aby na jej twarzy zajaśniał promyczek radości, a Bona mogła się mścić, dorozumiewając, co go wywołało.

Elżbieta zyskała męża litością naprzód, potem łagodną cierpliwością swą i spokojem w męczeństwie.

Teraźniejsza podróż na Litwę, chociaż go rozdzielała chwilowo z żoną, nie wydała mu się groźną. Zyskiwał na niej więcej niezawisłości, mógł potem odebrać żonę, musiał się o nią upomnieć. Sam król rzymski powinien był mu w tem dopomóc i młoda pani mogła rychlej być wyzwoloną, a ręka Bony, chociaż sięgała daleko, nie tak już silnie dawała się czuć na Litwie.

W przededniu wyjazdu na Litwę sama królowa Bona kazała przywołać syna, zajętego wyborem w podróż.

Przybycie Decjusza młodego od króla Ferdynanda, który dla niej był szpiegiem niebezpiecznym, zmusiło do pewnych względów dla Elżbiety. Obawiała się, aby ją nie oskarżano, że małżeństwo rozrywała, a że wszystkiem chciała sama rozporządzać, że najmniejszy krok syna musiał być przez nią obrachowany, zapytała wchodzącego:

— Kiedy i jak myślisz się z żoną pożegnać?

August myślał o tem wprawdzie, ale się obawiał narażać matkę, i był pewnym, że ona wcześniej ułoży, jak się ma odbyć pożegnanie. Sądził nawet, iż zechce mu być przytomną. Lękając się narażać żonę, zmilczał. Spojrzał pytająco na matkę.

— Nie wiem jeszcze — rzekł.

Bona podeszła ku niemu; obojętność ta udana podobała się jej.

— Później nie będzie czasu: idź dziś, nie baw długo, kilka grzecznych słów, to dosyć — rzekła. — Nie trzeba, abys jej więcej okazywał, niż jest w istocie... niech się nie łudzi. Narzucona, nigdy nam miłą nie będzie.

Syn starał się szczególnie w tej chwili okazać posłusznym.

— Pójdę dzisiaj — rzekł chłodno.

Bona spytała o wozy, kolebki, konie, sługi, ich liczbę, bo o każdej rzeczy zawiadomioną być chciała — rozporządziła kto i jak miał jechać. Szło kilka krytych szkarłatem kolebek, szły nieokryte wozy, konie podwodne, dwór był niezbyt liczny, lecz po królewsku i wytwornie dobrany.

Bona w wyborze służby nalegała na to, aby dodała synowi wiernych sobie. Chciała codziennie mieć listy od niego.

— Do żony pisać nie potrzebujesz — dodała. — To, co się znajdzie w listach moich dla niej, ja jej sama powiem. Zwierzać się jej nie możesz ze wszystkiego, bo przez nią nieprzyjaciele nasi dowiedzą się o tem, czego nie powinni być świadomi. Ja potrzebuję mieć codzien gońca, koniecznie.

August przyrzekł być posłusznym. Wprost od matki poszedł do pokojów żony.

Tu on był, niestety, gościem rzadkim bardzo, chociaż wielce pożądanym.

Nawet przy Hölzelinównie, której wierności był pewnym, nie mógł okazać żonie najmniejszego współczucia. Radość, jakąby ono obudziło, mogła zdradzić.

Jak zawsze, tak i tym razem, August wszedł żywym krokiem, a gdy mu piastunka drzwi otworzyła do pokoju, w którym siedziała Elżbieta, na widok jego żywo powstająca od krosien, zbliżył się ku stołowi, o który stanęła oparta.

Rumieniec oblał dziecienną twarzyczkę młodej królowej; król mógł dostrzec, gdy go pozdrawiała, drżenie i wzruszenie. Podniosła ku niemu oczy.

— W. k. mość wyjeżdża? — spytała cicho.

August obejrzał się niespokojnie, chciał mówić i obawa wstrzymywała mu wyrazy na ustach... milczał dość długo...

— Tak — odparł nareszcie z jakimś wahaniem, wzrokiem niespokojnym okazując, iż się lękał być zbyt otwartym, — tak, — powtórzył — muszę jechać na Litwę, sam!

Zniżył głos bardzo i prawie niedosłyszczanym szeptem:

— Miejcie cierpliwość... Bóg da, wszystko skończy się szczęśliwie.

Elżbiety twarz rozpromieniała — oczy, w których krążyły łzy, błysnęły wyrazem wdzięcznym.

Więcej jeszcze, niż mógł usty, król powiedział także wejrzaniem.

— Mam najlepszą nadzieję — dodał — proszę, miejcie ją i wy, a ufność we mnie.

Podał nieśmiało rękę królowej, która ją pochwyciła, lecz wtem zdało się Augustowi, jakby u drzwi dosłyszał szelest jakiś i cofnął się natychmiast przelekły, dodając głośno po niemiecku:

— Bądźcie zdrowi!

Uklonił się i nie oglądając już na królową, która szła za nim ku drzwiom, pośpieszył wyjść. W progu tylko wejście, które Elżbieta zrozumiała, nakazało jej tajemnicę.

Wszystko to razem zaledwie kilka minut potrwało, a król właśnie chciał tego, aby rozpowiadano, iż pożegnanie było zimne i krótkie.

Hölzelinówna, obuwiona tem, wbiegła do pokoju królowej z zakłamanymi rękami i zastała ją w progu spokojną, niemal wesołą.

Nie mogła zrozumieć swej wychowawicy; Elżbieta jej nawet przyznać się nie śmiała. Między nią a mężem była teraz tajemnica, której ona zdradzić nie chciała, która ją wbijała w dumę i czyniła szczęśliwą.

Ciężko jej było zaprawdę kłamać wobec piastunki, lecz czuła potrzebę, obowiązek. Rzuciła się jej na szyję, aby ukryć twarz, jakgdyby płakała, a Kätchen pocieszać ją zaczęła. Serce biło żywo.

Ta radość, którą musiała osłaniać łzami, przejmowała całą jej istotę. Tak błogo się jej stało na sercu, tak jasną i piękną ujrzała przed sobą przyszłość, iż blask ten zaćmił jej umysł i po błyskawicy szczęścia otoczyły ją mroki.

Na rękach piastunki skostniała i zastygła... wyprężyły się ręce, podniosła głowa, otworzyły usta. Kätchen przerażona, poznała w tych symptomatach napad choroby,

którą ukrywała tak starannie i która, szczęściem, tak długo w najprzykrzejszych godzinach oszczędzała biedną ofiarę.

Teraz przychodziła ona we śnie szczęścia, ale Hölzelinówna nie wiedziała o niem i tłumaczyła ją sobie, jako skutek wielkiej, przenikającej bolesti.

Zwolna, nie tykając prawie, zdołała ją na rękach przenieść na łóżko i złożonywszy na niem, pośpieszyła drzwi zaryglować, aby żadne żywe oko królowej w tym stanie, na który czyhała Bona, zobaczyć nie mogło.

Hölzelinówna jedna wiedziała z doświadczenia, iż ani budzić, ni trzeźwić, jak w zwykłym omdleniu, królowej nie było można, — że potrzeba było spokojnie czekać, aż to odrętwienie straszne przejdzie samo i życie powróci.

Nazajutrz Elżbieta spokojnie przez okno przypatrywała się odjazdowi męża, którego kolebki, konie, dwór, służba, psy musiały przeciągać w podwórce przed oknami starego króla. Chciał je widzieć i przekonać się, że syn ani nadto wspaniale, ani zbyt ubogo nie wystąpi przed Litwinami, niecierpliwie na niego oczekującymi.

August czy na wyraźnie objawioną wolę matki, czy aby jej nie drażnić, nie przyszedł już w ostatniej chwili pożegnać żony. Bona tylko wyprowadziła go aż na galerję, z całym swoim dworem.

Nieszczęśliwego Marsupina los był nie do pozazdroszczenia. Gdy pierwszych dni sierpnia naostatek królestwo z młodą panią wyjeżdżali na Mazowsze, napróżno domagał się, prosił, napierał, zabiegał, aby go dopuszczono do Elżbiety. Bona czuwała i tak przez Opalińskiego obstawiała synową strażami, że Włoch się do niej docisnąć nie mógł w żaden sposób.

Opaliński mu z zimną krwią dowodził, że poselstwo, jakie sprawiał do królowych, królów obu i innych osób, spełnił już, że nie miał tu nic więcej do czynienia, a uwłaczającego sobie szpiegowania czynności królestwo oboje dopuścić nie mogą. Nalegano na Włocha, aby jechał precz.

Lecz tu się w istocie sprawdziło przysłowie: trafiła kosa na kamień. Nikt nigdy Bonie tak srodze i zuchwale nie dojadł i nie dokuczył, jak ziomek jej, Włoch ów, Marsupin. Oprócz gorącego temperamentu człowieka, przywiązania jego do króla rzymskiego, któremu służył, politywania nad losem królowej młodej, była dla Marsupina w grze jego

miłość własna. Im bardziej Bona starała się go poniżyć, odepchnąć, tem zajadlej trwał na stanowisku, nie dając się ni ująć, ni ustraszyć. Było w tem i coś zemsty za pomiatanie nim, i grubjańskie obchodzenie się, i chęć gorąca postawienia na swoim.

Odepchnięty od dworu, gdyż i król Zygmunt Stary dał sobie wmówić, iż szpiega cierpieć był nie powinien. Marsupin pozostał, pomimo powietrza, w Krakowie, wysławszy listy do króla, prosząc o nowe pełnomocnictwo, o pismo dla doręczenia Elżbiecie, o coś takiego, coby go upoważniało dobijać się do drzwi zamkniętych.

Mówiono, iż królestwo po kilkodniowym spoczynku w Nowem Mieście Korczynie udać się mieli na Mazowsze i tam w lasach przebyć ten czas, dopókiby mór w Krakowie nie ustał. Spodziewano się, że za parę miesięcy, gdy upały ustaną, jesień i zima się zbliżą, powietrze zniknie. Włoch gotów był, jak tylko listy otrzyma, ruszyć za dworem i do Korczyna i na Mazowsze, chociaż pieniędzy mu już brakować zaczynało, zdrowie szwankowało, a pomocy od nikogo nie przyjmował, aby panu swemu ujmy przez to nie czynić.

Włoch krzyczał w niebogłosy przeciwko rozłączeniu młodej pary, dowodził, że siłą wstrzymano królową Elżbietę, która i chciała i powinna była towarzyszyć mężowi do Wilna; bił w to, ażeby jej dozwolono natychmiast się z nim połączyć. Dopomagali mu w tem i potakiwali biskup Maciejowski i podskarbi Boner, ale oni nie występowali pierwsi, jemu pozostawiając, aby intonował i trąbił o tej krzywdzie i ucisku.

Z pewną pociechą dla siebie Marsupin, w pustym i coraz pущеjzszym Krakowie pozostawszy sam prawie, dowiedział się trzeciego dnia po odejździe obojga królestwa z Elżbietą, że król Zygmunt Stary, czy to skutkiem wzruszeń, jakich doznawał, czy podróży w porę skwarną, ledwie do Niepołomic dojechawszy, zaraz zachorował, a lekarze mu tu spoczywać kazali, dopókiby sił nie odzyskał.

Chociaż zameczek w Niepołomicach i miejscina niebardzo do długiego pobytu się nadawały, odosobnione położenie wśród lasów było rękojmią, iż powietrze tu niełatwo przeniknie. Wszelkie oprócz tego ostrożności przedsięwzięto, aby z Krakowem zapowietrzonym zerwać całkiem stosunki, nikogo tu nie dopuszczać i odosobnić dwór zupełnie.

Włoch wiedział o tem i przeczuwał, że mu do Niepołomic niełatwo będzie się dostać, ale upartym był i rachował na biskupa Maciejowskiego, który mu powinien był ułatwić przystęp. Oczekiwane listy od króla Ferdynanda zaledwie nadeszły, gdy już nazajutrz Marsupin siadł na koń i ruszył ku Niepołomicom. Ledwie miłą ujechawszy, spotkał dworzanina starej królowej, Morawę, którego często widywał i który znał go dobrze. Zdziwionym był bardzo, dowiadując się, iż o jego zamiarze dostania się z listami do króla Bona już była powiadomiona i kazała mu powiedzieć, żeby się nie ważył zbliżyć, bo dopuszczonym nie będzie.

— Muszę być dopuszczonym — odparł Włoch.

— Z Krakowa nikomu do nas nie wolno — odparł Morawa, — królowi i wszystkim przez to grozi niebezpieczeństwo. Darmo jechać będziecie: strażę stoją i rozkaz mają.

Włoch się rozsiardził.

— Mam listy i przesyłkę od ojca królowej — zawołał, — z królem i młodą królową widzieć się muszę. Niczyich rozkazów nie słucham. Moru nie przywiozę, bom dzięki Bogu zdrów, a lała czem się zastraszyć nie dam.

Tak odprawivszy tego posła, Marsupin gniewny i rozjuszony, sam, gdy się ten zawrócił, podążył za nim daleko ku Niepołomicom. Ustąpić nie mógł.

Wreszcie Marsupin, który zatrzymał się po drodze w Bochni, otrzymał dostęp do dworu i chwili nie tracąc, siadł na koń do Niepołomic. Miał zezwolenie, ale znając usposobienie królowej dla siebie, wiedział dobrze, co go tu czekało. Niechęć Bony miała go ścigać zawsze, bo Włoszka nie zapominała nic i nie przebaczała nigdy.

Przed miasteczkiem jeszcze na drodze od Bochni spotkał Marsupina sekretarz biskupa.

Niepołomice, strzeżone ze wszech stron, wyglądały, jak czasu wojny, a około zameczku pozapalane kupy liści dymły i wyziewem gorzkim przepełniały powietrze.

Marsupin jechał z miną triumfującą.

— A co? — zawołał wesoło, witając niskim ukłonem Drwęckiego. — Widzicie, ja i moje szkatułki zdobyliśmy szturmem nieprzystępne Niepołomice. Cóż królowa?

Drwęcki miał poważną twarz i lice niewesołe.

— Tak — odparł — księdzu biskupowi i szkatułkom winniście, że was tu dopuszczono, ale nie pochlebiajcie sobie, ażebyście wielkie i trwałe odnieśli zwycięstwo. Królowa

musiała ustąpić, ale tem gorzej. Nigdy ona wam tego nie przebaczy. Wszyscy, co ją znają, wiedzą, że nienawiść i chęć zemsty ku wam wzmogła się przez to. Mieście się na baczności.

Marsupin był w tak szczęśliwem usposobieniu, czując, że na swem postawił, iż się śmiać począł.

— Oczarować mnie, tak jak czarami starego i młodego króla przykuła do siebie, nie będzie miała czasu — rzekł śmiało, — otruć się nie dam, bo jeść u jej stołu nie będę, a zechce nasadzić zbirów na mnie, mam nadzieję w Bogu, że obroni.

— Zbyt nie ufajcie tylko gwieździe waszej — dodał Drwęcki.

Od sekretarza dowiedział się Włoch, że miał wprawdzie pozwolenie oddania listów i szkatulek, ale razem zastrzeżono, że natychmiast potem oddalić się musi. Nie dozwalano nikomu, pod żadnym pozorem, przybywającemu z Krakowa pozostawać dłużej w Niepołomicach, zerwano ze stolicą wszelkie stosunki, i nie bez przyczyny, gdyż w istocie powietrze srożyło się w mieście coraz więcej, a już w Niepołomicach i po drodze, mimo wszelkich ostrożności, kilku pacholków i służby poumierało.

— Ks. biskup Maciejowski — dodał Drwęcki — kazał was ostrzec, że zaprawdę nie wie, jeżeli noc wam tu przeżyć przyjdzie, gdzie się pomieścicie. My na zamczku w Niepołomicach tak ciasno siedzimy, że ks. Samuel ma ledwie jedną izbę dla siebie, drugą dla nas, a zarząd dworu i służba cała w rękach królowej, więc pewnie wam kwatery nie znajdą. Na mieście wszędzie pełno, a gdzie ludzi gęsto, tam pod ten czas powietrza nie jest bezpiecznie.

Marsupin ręką zamachnął.

— Ale, ba! — zawołał, — o to się ja bynajmniej nie troszczę i gotówem pod gołem niebem koczować, bylebym spełnił polecenie mego pana, listy do rąk pooddawał, a z królową Elżbietą się widział. Nie będę nawet, wiedząc o tem, nikogo prosił o pomieszczenie, a gdzie konie moje w jakiej szopie staną, tam i posel króla rzymskiego na słomie lub na ziemi spocznie.

Oczekiwano już w Niepołomicach na Marsupina, aby się go pozbyć co najprędzej. Zaledwie przed pierwszym podwórcem z koni zsiadli, tuż przy owych kurzyskach z liści dębowych i piołunu, ledwie Włoch zdołał dobyć szkatułki

owe sławne, w których nie było posagu, ale małe podarki matki, ojca i rodzeństwa dla królowej, wysłani dworzanie szeregami postawieni ofiarowali się prowadzić Marsupina do Elżbiety.

Włoch złośliwy a chytry, umyślnie, dópiąwszy już celu, zwłóczył tak, aby z tą ceremonją oddawania listów i szkatulek przeciągnąć prawie do wieczora. Wiedział bardzo dobrze, iż w skrzynkach ozdobnych nie było pieniędzy, ani nie tak dalece kosztownego, ale nadał tej ceremonji taką cechę uroczystą, jakby skarby lub relikwje przywoził. Urągał się tem królowej Bonie. Sam strojny, przy szpadzie, z miną pełną powagi, służba napuszone, jakby świętości dźwigiła, skierowali się pochodem wolno wskazaną drogą do szczupłych pokojów, w których Elżbieta oczekiwała posła.

Marsupin pysznił się zwycięstwem, nasycił niem, przedłużał z namysłem przyjęcie, tak, aby dnia tego nie spełnić całego poselstwa i mieć powód pozostania dłużej naprzecór królowej.

Zobaczywszy Elżbietę, która go, bardzo uradowana, wesolą twarzą i wzrokiem jasnym przyjęła, zdziwił się nieco, widząc ją daleko rzeźwiejszą, mniej cierpiącą, ożywioną więcej, niż się spodziewał.

Obok Elżbiety cały dwór składały tylko jej piastunka i pozostałe cztery panny.

Długą, rozwlekłą mową Włoch począł ją pozdrawiać, położył listy, oddał dwie szkatuły i wkońcu oświadczył, że ponieważ dnia tego późno było, musiał rozmowę z królową do innego dnia odłożyć, a oprócz tego i królowi Zygmuntowi i królowej Bonie oddać pisma dla nich przeznaczone.

Królowa spytała o zdrowie rodziców, wymieniono słów kilka i Włoch, gdy już zmierzchać zaczynało, usunął się, wprost zmierzając do ks. biskupa Samuela.

Znalazł swojego protektora i pośrednika zakłopotanym wiele.

— Spełniliście poselstwo wasze? — zapytał go, wprowadzając do siebie, Maciejowski, — chwalcież Boga za to i nie drażnijcie złego!

— Ale ja mego poselstwa zaledwie częśćkę spełniłem — odparł, nisko się kłaniając Marsupin. — Choćbym miał podrażnić, nie ustąpię, aż się z królową Elżbietą roz-

mówię i powiem jej, co mi nakazano, aż królowi wręczę list, no, i królowej Bonie.

— Lecz wiecie, jak dla was jest usposobiona? — odparł biskup.

— Wiem i mam tego dowody — rzekł zimno Marsupin — ale to mnie od spełnienia obowiązku nie powstrzyma. Nie ruszę się stąd, aż mi miłość wasza wyjedna posłuchanie.

Biskup westchnął.

— Nie wiem — rzekł. — czy to dobra polityka z waszej strony, że Bonę zagniewaną przywódcie do ostateczności.

— Ustąpić nie mogę — odparł Marsupin. — Com zamierzył, dokonać muszę. Mam za sobą króla rzymskiego i cesarza, a pogrózek się nie obawiam.

Biskup spojrzał nań błagająco.

— Żal mi was: są tysiączne sposoby pozbycia się dokuczliwego człowieka, bez ściągnięcia za to odpowiedzialności. Miarkujecie...

— Ważyłem już — zimno odezwał się Marsupin; — o jedno proszę, abyście mi waszej opieki nie odmawiali.

— O ile ona starczy! — westchnął Maciejowski.

Chwilka milczenia przerwała rozmowę.

— Frasuję się o nocleg wasz — odezwał się biskup. — Widzicie, jak ja tu się mieszczę; przyjąłbym was, ale nie mam gdzie, a na zamku w istocie, jak śledzie w beczce, się ściskamy. W miasteczku nie lepiej.

Marsupin się rozśmiał.

— Prosić o gościnność nie będę, aby nie mieli przyjemności odmówić mi jej. Konie gdzieś w szopie którejś musiały znaleźć pomieszczenie; przenocuję przy nich na lada barłogu.

Tak się w istocie stało i Włoch, gdy po dłuższej rozmowie rozstał się z Maciejowskim, naprzód musiał iść już pociemku koni swych i ludzi szukać. Znalazły się one poza zameczkiem w nędznej, napół rozwalonej szopie, w której oprócz nich mieściła się gawiedź od wozów najbrudniejsza i najlichsze szkapy. Ciasno było, a co gorzej, szopa w cieńnię za murami i u ścieków leżąca, wpół zgniła, ziemię miała wilgotną. Słomy na posłanie za nie dostać nie mógł Marsupin. Królowa zakazała surowo, aby mu w czemkolwiek, choćby płacił, usłużono.

Kątek dobywszy prawie przebojem, Włoch na zgnilych liściach i śnieciu rozesławszy kobierczyk, musiał leć i całą noc nie śpiąc, nad ranem poczuł przejmujące go dreszcze.

Znał się z tem, wiedział, że dostał febry upartej, z którą mu długo walczyć przyjdzie. Lecz rycerski ów duch, który go utrzymywał w tej walce z królową, chorego nie opuścił. Wstał, jak złamany, ubrał się i powłókł do biskupa, którego nie zastał, bo już u króla był. Tu go Drwęcki, przez litość, polewką winną, ciepłą napoił i orzeźwił trochę.

Biskup nierychło wrócił od króla z oświadczeniem, że dla cierpień podagrycznych w nogach Zygmunt nie będzie mógł przyjąć posła, radził Marsupinowi, aby się o posłuchanie nie upierał i jemu wręczył listy. Włoch zgodził się na to, choć niechętnie.

— Przecież — rzekł — z królową starą i młodą widzieć się muszę.

Nie sprzeciwiał się Maciejowski, a po chwili odwrócił się do Marsupina, szepejąc cicho:

— Nienasycony człecze! Ciesz się tem, coś zdobył, nie żałuj nadto, abyś sprawy nie popsuł. W istocie wczoraj otrzymałeś wiktoryę wielką, bo gdy się król Zygmunt o owych uroczyście niesionych i oddawanych szkatułkach dowiedział, które wam usłużyły tak dobrze, choć, zamiast posagu, zawierały pono wachlarze i kolce, począł się tak śmiać, iż mi potem sam rzekł, że od lat dziesięciu nigdy tak się nie uśmieł serdecznie, jak wczora.

Marsupin skrzywił się nieco.

— Daj mu Boże na zdrowie! — dodał. — Bardzo się z tego cieszę! Dziś do królowej Elżbiety się wpraszam, bo z nią rozmówić się sam na sam muszę.

Z tem żądaniem posłany Drwęcki nierychło powrócił.

Bona pragnęła pozbyć się co najrychlej nieznosnego Marsupina z Niepołomic, znała upór jego, zgodziła się więc wkońcu na to, aby go puszczoneo, sądząc, że po tej konferencji precz nazad do Krakowa go odprawi zaraz, gdyż tu go cierpieć nie mogła i nie chciała.

Marsupin, żegnając biskupa, zapowiedział mu pociechu, iż co najmniej godzin kilka pozostanie u młodej pani, a przynajmniej najdłużej jak będzie mógł.

Dla Włocha wczorajsze krótkie widzenie się z Elżbietą było w istocie niewystarczającym. Nie mógł jeszcze zrozumieć położenia, wytłumaczyć sobie twarzy pogodnej i roz-

weselonej przy tym ucisku, o jakim wiedział. Chciał rozmówić się otwarcie, obszernie, szczerze.

Elżbieta rozumiała to dobrze, ale zupełnie się zwierzyć Marsupinowi nie chciała. Ta nadzieja pozyskania serca męża, którą teraz żywiła wspomnieniem ostatnich słów, wyrzeczonych przy pożegnaniu, była jej najdroższą tajemnicą, serdeczną, nikomu, nawet piastunce niedostępną. Wyznać jej Marsupinowi nie mogła.

Wehodząc, znalazł ją Włoch samą, stojącą przy stoliku, świeżo ubraną i tak jak wczoraj uśmiechniętą, spokojną, bez troski na czole. Nie mogło to być skutkiem nieczułości, obojętności, bo choćby męża nie kochała, sama miłość własna obrażona musiała uciskać. Marsupin tej mocy ducha w młodziuchnej pani nie pojmował.

— Przynoszę w. kr. mości — odezwał się na wstępie — pozdrowienia najczulsze, ale razem wyrzuty i wymówki, których zataić nie mogę. Kazano mi na-tawać na to, aby w. kr. mość jako córka potężnego monarchy, synowica cesarza, rzuciła tę dziecinną nieśmiałość, to posłuszeństwo niewolnicze, które ją tu niewolnicą czyni.

Elżbieta wzrokiem go błagać się zdawając, milczała. Marsupin mówił dalej, coraz się bardziej ożywiając.

— Królowa Bona korzysta z nieśmiałości waszej, rozkazuje dlatego, że słuchacie, ale nie będzie mogła nic uczynić, gdy objawicie otwarcie wolę waszą, a z pewnością król Zygmunt ją poprze. Dlaczegożbyś w. kr. mość nie jechała za mężem, jeśli sobie życzysz tego?

Zawahała się nieco Elżbieta i rzekła nieśmiało:

— Dlatego, że nie wiem, czy to jest życzeniem króla, pana mojego, a jemu się sprzeciwiać nie chcę.

Marsupin odparł żywo:

— Król August z pewnościąby tego nie miał za złe, i owszem. Co się tyczy starej królowej, to się uzuchwała posłuszeństwem. Wiem o tem, że nawet sługi wasze więcej Bony, niż was słuchają.

Uśmiechnęła się królowa obojętnie.

— Cierpliwością i łagodnością wiele też można doka-
zać — rzekła cicho.

— Nie ze wszystkimi — przerwał Marsupin — nade-
wszystko nie z królową Boną! Idzie tu o godność waszą,
o cześć rodziny; nie można się tak dać deptać, upokarzać,

i w Bonie jeszcze coraz zuchwalsze tą uległością obudzać zachcianki.

Elżbieta, jakby się lękała, aby rozmowy nie podsłuchiwano, dawała mu znaki; Marsupin wcale na to nie zważał, jakby jej nie rozumiał. Owszem, unosił się coraz mocniej, otwarcie mówiąc przeciw Bonie, co zdawało się mieszać i onieśmielać Elżbietę.

Rozmowa cała w ten sposób prowadzona, chociaż się Marsupin wysilał na to, aby natchnęła męstwem i przekonała młodą panią, że zmienić powinna postępowanie, na młodej, bojaźliwej, słabej napozór Elżbiecie bardzo małe uczyniła wrażenie.

— Zostawcież mi też coś własnej woli — rzekła. — Może to nie jest chwila, w którejbym mogła wystąpić i powinna.

Marsupin czuł, iż nie chciała się przed nim otwarcie wynurzyć, usiłował wydobyć z niej wyznanie jakieś, zwierzenie się i zdziwił nadzwyczajnie, w istocie tej tak bojaźliwej i wątlej znajdując opór, łagodny wprawdzie, ale niezwykły.

Im Elżbieta mocniej przy nim obstawała, tem Włoch upierał się silniej, chcąc ją nawrócić — nadaremnie.

Nadeszła wśród tych rozpraw Hölzelinówna, która potakiwała Marsupinowi i chciała mu przyjść w pomoc, lecz i ona nie potrafiła zmienić usposobienia wychowawicy. Naostatek Elżbieta odezwała się łagodnie:

— Idzie mi o zdobycie serca małżonka a pana mego, nie o chwilowe zwycięstwo nad królową jmością. Dlatego pozwólcie, abym naprzód uniknęła tego wszystkiego, co może króla Augusta podrażnić. Wiecie, jak jest przywiązanym do matki.

— To nie przywiązanie syna — wybuchnął Marsupin — to są niegodziwe czary i uroki, które ta kobieta rzuciła na starego i młodego. Ale trwać one nie mogą. Król młody wyzwolony otrząśnie się z tego zdrętwienia.

Marsupin zaczął ponownie nalegać na to, aby królowa jechała do męża. Elżbieta odpowiedziała, że musi czekać, aż August tego zażąda, a jest pewną, iż to nastąpi.

Czy Marsupin pochwycił tę pewność, z którą się wygadała Elżbieta, trudno się było domysleć, lecz Hölzelinówna posłyszawsza o tem zdumiona, a znając swą panią, nie wzięła tego za próżną przechwałkę.

Wedle postanowienia swego. Marsupin. wiedząc, iż długi jego pobyt u królowej Elżbiety do najwyższego stopnia zniescierpliwi Bonę, umyślnie się kilka godzin zasiedział, zwlekał, a gdy wkońcu zmuszonym był ją opuścić, jeszcze na odchodnem nalegania ponowił.

Bystry i przenikający Włoch, tym razem wobec pełnej prostoty młodej królowej znalazł się w tem niepojętem dla siebie i upokarzającym położeniu, że odchodząc, wyznać musiał, iż jej nie rozumiał.

Jak go witała, tak pożegnała uśmiechem jasnym, podając białą rączkę do pocałowania i upewniając go, że da Bóg, wszystko szczęśliwie się ułoży. Broniła Augusta, nie skarżyła się na nikogo.

Chociaż późno dnia tego było, Bona. chcąc się pozbyć Włocha. byłaby może dała mu posłuchanie. wiedząc, iż miał listy, ale Marsupin, który dla szpiegowania i rozsluchania się, rad był tu jak najdłużej pozostać, poszedł do biskupa i do dnia następującego odłożył audjencję.

Resztę dnia przesiedział u ks. Samuela. przeszedł się po miasteczku, przegadał na ustroniu z różnymi ludźmi.

Czekał go nocleg taki sam jak poprzedzający, skutkiem którego febra we dniu zgubiona, powróciła gwałtowniejszą jeszcze. Pierwszą rzeczą nazajutrz było dreszcze okrutne przemóc gorącym i mocnym napojem. i lekarza się poradzić, ale doktorów królowej Bony Marsupin się obawiał, lekarstw od nich nawet biskup mu przyjąć nie radził, musiał więc poprzestać na jakichś babskich lekach.

Blady, zmęczony, ledwie się na nogach trzymając, bo gorączka wewnętrzna go trawiła, poszedł z listami do Bony.

Łatwo było przewidzieć, jak zostanie przyjęty. Królowa wcale nie myślała udawać nawet, iż nienawisci dlań nie ma.

Posłuchanie trwało bardzo krótko. Włoch, listy oddając, dołożył do nich nie tylko gorące życzenia króla Ferdynanda, ale żądanie jego usilne, aby małżeństwo zostało połączone.

— A cóż to do mnie należy? — ofuknęła królowa. — Król, syn mój, może żonę wezwać, przyjechać do niej, robić, co mu się podoba. Czynicie mnie odpowiedzialną za niego! To nie moja rzecz!

Odwróciła się pogardliwie, a Włoch dodał:

— Cały świat wie o tem, że tu się tylko to dzieje, co w. kr. mość rozkażesz. Dlatego też na nią oczy wszystkich są zwrócone.

Bona z oburzeniem poruszyła się.

— Pozdrów króla Ferdynanda ode mnie uprzejmie i powiedz mu, że syn mój ma własną wolę.

Na tem skończyło się posłuchanie. Bona wyszła.

Nazajutrz, gdy zrana przyszedł biskup do króla i zastał tam ją, z rozplamienioną twarzą odezwała się do niego:

— Oddał mi ten zuchwalec list króla Ferdynanda! Co ten łotr plecie i kłamie, a w oczy mi rzuca! W liście niema nic. Ja go każę kijmi obić.

Maciejowski, który nierad drażnił królowę, tym razem nie mógł się wstrzymać i stanął w obronie Marsupina.

— Wasza kr. mość przebaczysz — rzekł — ale Włoch to powtarza, co wie cały świat, i co na dworze królewskim i cesarskim jest we wszystkich ustach. Zarzucają w. kr. mości obchodzenie się z synową nielitościwie, królowej Elżbiecie nie wolno jest mieć własnego lekarza, w taki czas, jak dzisiejszy. Każde jej słowo, każdy ruch i czynność podlegają rozkazom, kroku stąpić samowolnie nie może. Dlaczego nie ma własnej służby, kuchni własnej? Z tego rosna plotki i podejrzenia, że w. kr. mość, jawnie jej nie lubiąc, czyhasz na jej życie.

— Myślą, że ja ją chcę otruć? — podchwyciła Bona gwałtownie.

— Jeżeli głośno tego mówić nie śmia, to niezawodnie potajemnie podejrzenie to jest we wszystkich — odezwał się Maciejowski. — Przykro mi to wyznać, ale spytany, prawdę mówić muszę.

Działo się to w sypialni króla i Zygmunt słuchał rozmowy, co biskupa ośmielało.

Zwykły więc koniec nastąpić musiał; Bona z krzykiem, łkaniem, płaczem rzuciła się na podłogę. Stary król patrzył obojętnie, zukosa niekiedy rzucał oczyma ku biskupowi — obaj milczeli.

Po chwili królowa porwała się z ziemi.

— Odtąd — krzyknęła — ja jej nie posyłać nie będę. Niech dla niej kupują i gotują osobno. Niech robi, co chce.

— Tak będzie lepiej — dodał biskup spokojnie.

Padła potem Bona na krzesło i siedziała, dysząc ciężko długą chwilę, aż się jej z ust wyrwało:

— A! gdybym nie miała dóbr, które są w mocy cesarza, dałabym ja naukę temu łotrowi, który mi się śmie tu uragać, i siedzi na przekorę mnie, kiedy ja go mieć nie chcę!

Ks. Maciejowski, powróciwszy od króla, zastał u siebie Włocha, który się upierał pozostać jeszcze w Niepołomicach.

— Czyń, jak chcesz — rzekł ks. Samuel — ale i moją i króla jest rada, abyś królowej nie przywodził do ostateczności. Wierzaj mi, iż ci grozi niebezpieczeństwo. Gdyby ona nie wydała rozkazów, ma sługi, które się domyślą, co jej milem być może. Życie ratuj dla usług królowi. Jedź, proszę!

— Nie dalej, jak do Krakowa — odparł Marsupin — i to do czasu. Chociaż mi tam powietrze grozi, choć sam chory stąd ruszam, nie opuszczę Polski, dopóki mnie tu nie będzie komu zastąpić, lub odwołanym nie zostanie.

Po rozmowie z ks. Maciejowskim, widząc, że dłuższy pobyt w Niepołomicach stał się niemożliwym, szczególnie dla febry, której się tu pozbyć nie mógł — Marsupin zmuszony został wracać do Krakowa.

Choroba nabyta w stajni na noclegu nie opuściła go rychło, lecz walcząc z nią uparty Włoch nie zszedł ze stanowiska. Otoczony morem, narażony na niebezpieczeństwo, wycieńczony febrą złośliwą, trudno było wiedzieć, czy przez wierność panu swojemu, czy przez zajadłość przeciw Bonie nie chciał z miejsca ruszyć.

Hetman Tarnowski słał, aby się schronił do niego na wieś, Marsupin odmówił, aby dworu i królowej z oczów nie tracił.

Pewnego wieczora, leżąc już w łóżku, wychudły Włoch ujrzał wsuwającego się, płaszczem otulonego, zgiętego człowieka, który ostrożnie oglądał się dookoła.

Z pod płaszczyka cienki koniec mieczyka, jaki nosili Włosi, dał mu się w nieznanym domyślać ziomka. Lecz, że Włosi prawie wszyscy tu do Bony obozu należeli, Marsupin ostrożny, zobaczywszy wsuwającego się bojaźliwie gościa, natychmiast z łóżka się zerwał i wepchnął za pas sztylet.

Lampka maleńka słabo oświecała dużą izbę, twarzy więc zbliżającego się nie mógł łatwo rozpoznać. Dopiero, gdy podszedłszy kroków kilka, gość odrzucił kołnierz płaszcza i stara pomarszczona jego twarz z głową łysą

plomykiem lampki oświeconą została, Marsupin poznał w nim jednego ze sług królowej Bony, starego Moncaccio, z którym lepiej był, niż z innymi.

Moncaccio, Neapolitańczyk, należał do tych, którzy tu z Boną pierwsi przybyli. Na dworze pełnił funkcje różne. Uchodził za zaprzedanego swej pani i gotowego na wszystko. Chociaż go nigdy nie schwytano na uczynku, przypisywano mu różne tajemnicze a krwawe zamachy. Człowiek był niebezpieczny, lecz dla Marsupina mniej może, niż dla innych. Włoch miał zreczność w początkach swego pobytu oddać mu wielką przysługę. Moncaccio miał córkę zbiegłą, do której był bardzo przywiązany; Włoch pomógł do jej odzyskania. Po kilkakroć zaklinał się zbir stary, że tego nigdy Marsupinowi nie zapomni, a będzie, da Bóg, odwdziżyć mu się starał.

Ta obietnica przysłała teraz na myśl Włochowi, gdy niespodzianie ujrzał go przychodzącego po nocy, a wiedział o nim, iż z królową był w Niepołomicach. Nie okazując po sobie najmniejszej trwogi, Marsupin powitał go zapytaniem, co tu robi?

Moncaccio nie odpowiedział, zamruczał coś, kapelusz rzucił na stół, obejrzał się dokoła pilno, pochylił ku gospodarzowi i spytał:

— Jesteśmy sami?

— Najzupełniej.

— Wy się, słyszę, jutro wybieracie w drogę? — rzekł Moncaccio.

— Tak jest.

— Jeżeli do Pragi, z Bogiem — mówił dalej przybyły — jeżeli za królową i królem — signor Giovanni, wam dobrze życzę, nie jeździe.

— Dlaczego?

— Szkoda mi was — odparł Moncaccio.

Marsupin się rozśmiał.

— Strachem mnie nie wziąć — rzekł.

Zmilszał gość, patrząc na stół.

— Wiem, że się nie boisz — rzekł po chwili — ale jechać nie życzę.

Zawahał się chwilę.

— Mam dla was obowiązek wdzięczności; ostrzegam — dodał; — królowej naraziliście się śmiertelnie. Ona wam nie przebaczy, życie wasze zapłacone, zabiją was.

Marsupin, podparty na rękę, dumął.

— Słuchaj — dodał Moncaccio — ja wiem o wszystkim. Zrobiliście, co tylko było w mocy ludzkiej uczynić, więcej nie zdołacie nic. Życie więc dacie nadaremnie.

— Ależ mój Moncaccio — odparł Marsupin — kto na moje nastawać będzie, ten swoje też narazić musi; niewiadomo, kto kogo zabije.

— Ilu was będzie? — rzekł zimno Włoch.

Marsupin nie chciał kłamać, razem z nim mogło być najwyżej pięciu.

— Gdy przeciwko wam młodych, zręcznych, niespodziewanie, w obrachowanym miejscu i czasie stanie piętnastu — żadna siła was nie obroni.

— Zdradzam moją panią — dodał — ale wasza śmierć nie jej nie da, oprócz tego, że jej zemstę nasyci. Na drodze w trzech miejscach na was czekają zasadzki, nie ujdiesz ich. Czyń, co chcesz. Jam swoje spełnił, nie będę miał nic na sumieniu, i jeżeli się znajdę naprzeciw was, tak dobędę miecza, jak i drudzy.

Marsupin pogardliwą miną odpowiedział na to.

— Jeżeli życie masz za co ważyć — dodał przybyły, biorąc za kapelusz — czyń, co wola.

Chciał już powstać, gdy Marsupin rękę jego pochwycił i zatrzymał go.

— Nie są to próżne strachy, aby się mnie pozbyć? — zapytał.

— Na patrona mojego, świętego Januarjusza, na krew jego żywą — odparł Moncaccio — przysięgam ci, że nie tylko nie powiększam niebezpieczeństwa, alem ci oszczędził tego, co już zbyteczne, a co je znacznie czyni straszniejszym. Czyń, co chcesz.

Marsupinowi, znękanemu chorobą, zabrakło sił, westchnął i zadumał się.

— Zostanę przynajmniej na stanowisku w Krakowie — odezwał się — aż mnie odwołają, a kogo innego wyślą.

— Tak uczyn — wtrącił żywo Moncaccio — bo życie dasz daremnie. Nie uczynisz nic. Naraziłeś się tak, że gdybyś teraz synowi królowej Izabeli przyniósł koronę, a Bonie inwestytury na księstwa, jeszczeby ci nie przebaczyła.

— A! nieszczęśliwa Elżbieta moja! — zawołał w uniesieniu Marsupin — dziecko niewinne w szponach takiej harpji... Co ją czeka!

Moncaccio spuścił głowę, usta ścisnął, nie rzekł ani słowa pociechy.

— Nie znacie — odezwał się po długim przestanku — królowej naszej. Nigdy dotąd nie się jej oprzeć nie zdołało. Panowała, panuje, rządzi, kupuje ludzi lub strachem ich łamie; na starość nie dopuści, aby jej dyktowano prawa.

— Ale król stary chory jest i życie mu obiecują niedługie — rzekł Marsupin.

— Będzie władała młodym.

— Czary są, czary! — szepnął zabobonny Włoch — nie innego.

Moncaccio uśmiechnął się tylko.

— Gdyby niezem innem nie mogła, pewnie, że i czarów-by się użyć nie zawahała — odezwał się. — Astrologowie patrzą dla niej w gwiazdy, aby chwilę pomyślną wyznaczyli, doktorowie przyprawują napoje, Brancaccio zbiera złoto, dla młodych i rozpustnych ma swe dziewczęta, staro króla zmoże zawsze łzami i krzykiem, sług jej takich, jak Gamrat i Kmita, nie zbywa.

Ruszył ramionami, nie kończąc.

— Tak — rzucił chmurno Marsupin — wszystko to waży, ale niech Bona strzeże się zemsty króla rzymskiego i cesarza. W ich mocy jest Elżbietę odplacić, jeśli włos z głowy jej spadnie.

Nie odpowiadając na to, Moncaccio powtórnie kapelusz ujął i ruszył się z siedzenia.

— Męstwo wasze uwielbiać muszę — rzekł — wolałbym z pięciu zbójami naraz mieć do czynienia, niż z powietrzem, wśród którego wy siedzicie. Wbiegłem tylko do Krakowa, aby was ostrzec, a to, com tu widział, strachem mnie przejęło. Naostatek — dodał, mając się ku drzwiom — nie potrzebuję mówić, że idąc do was, gardło moje stawilem; dotrzymajcie mi tajemnicy.

Marsupin podał mu rękę smutny.

— Bądźcie spokojni — rzekł — miałebym wydać tego, co życie moje ocalił?

Znikł Moncaccio. Włoch chodził po izbie długo, nim się układał na spoczynek.

Nazajutrz wysłał listy do Pragi, prosząc o nowego posła, coby go zastąpił, gdyż on już wyczerpał wszelkie środki dopomożenia młodej królowej.

Pobyt w Krakowie stawał się z dniem każdym mniej możliwym, tak ludzie marli strasznie, a ratunek przypadkowy, nieumiejętny, nie mógł szerzeniu się moru zapobiec. Jedyńm środkiem skutecznym było rozbieganie się ludności, chronienie się po lasach. Mór wprowadzie niekiedy się tym sposobem roznosił, ale ustawał, gdy mu pastwy zabrakło.

Opustoszało znacznie miasto, wyludniło się z uczniów, pozamykano szkoły, na ratuszu, na zamku siedzieli tylko urzędnicy, a duchowieństwo zastępowało z cudowną rezygnacją i poświęceniem, gdziekolwiek brakło rodziny, opieki i pomocy. Pobożność też wzrosła, jak zwykle, gdy ciężka ręka losu dotyka ludzi, którzy w nieszczęściu dopiero wracają do Boga.

W kilka dni potem chory jeszcze Marsupin, pożegnawszy Decjuszków na Woli i swoich kilku znajomych w Krakowie, zniknął z miasta, nie opowiadając się, co miał czynić z sobą.

Po kilku miesiącach dwór zaczął znowu zbierać się w drogę: trzeba było jechać do Brześcia, gdzie sejm miał się zgromadzić. Miał tam i młody król przybyć. Próżne były wszelkie starania Bony, aby zjazd w Brześciu został odroczony. Wydano listy i stary król, choć niezbyt silny, na dni kilkanaście przed terminem, wyprawił część dworu, za którym sam i dwie królowe z nim puściły się małemi dniami, kierując ku Bugowi.

Bona jechała milecząca, blada, z oczyma zapłakanemi, nie mówiąc do synowej, mierząc ją wzrokiem zjadliwym, którego wyraz przejmował Elżbietę trwogą. Pokora, uległość, posłuszeństwo, wszystkie środki prześlągania tego tłumionego gniewu, który nie wybuchał, bo nie miał najmniejszego pozoru, coby go mógł usprawiedliwić, napróżne były ze strony Elżbiety.

Codzień prawie spotykały ją dotkliwe przykrości, które w milezeniu polykać musiała, tać i twarz, na przekór im, okazywać wesołą.

Bona za poradą swego astrologa i lekarzy przestrzeżona, iż młodej królowej drażnienie niebezpiecznem być mogło, właśnie zdawała się rachować na nie, aby chorobę, o której wiedziała, na której objawy czatowała, wywołać. Lecząc szczególnem zrządzeniem jakimś, Elżbieta, którąby może szczęście zmogło, ucisk wytrzymała bohatersko.

Gdy Zygmunt Stary i obie królowe przyjechały do Brześcia, Augusta tu jeszcze nie było, obiecywano go na jutro.

Jeżeli kto, to Bona czekała na syna z najżywszą niecierpliwością, czując, że spotkanie to o przyszłości wyrokować miało. Nie żeby się ona jej wyrzec chciała, znajdując Augusta zmienionym dla siebie, miała jeszcze siły do walki z nim, ale wolałaby była uniknąć gorszącego zajścia z dzieckiem własnem, które liczbę jej przeciwników zwiększyć musiało.

Serce matki, kobiety, ma przeczucia i widzenia wczesne; i Bona, choć się jeszcze ludzi starała tem, że Augusta potrafi znowu pozyskać, że mu się wyzwolić nie da, czuła, iż miał jej po jedenastu miesiącach, spędzonych na Litwie, innym, niż jechał, powrócić.

Wszyscy ci panowie litewscy, którzy go tu poprzedzili, wyjechali na moście między Błotkowem a Brześciem powitać Augusta, którego zgodnie wynosili, chwalili i dziękowali zawczasu ojcu, że im takiego pana miał dać do rządów.

Król tych zbyt pochwał nie lubił i przyjął je w milczeniu. Bona oczami zdawała się nakazywać oratorom powściągnięcie się od nich. Elżbiecie serce rosło.

Nazajutrz, wedle obietnicy, przybył Zygmunt August, wiedząc już o ojcu, matce i żonie, i uroczyście w kościele się spotkał z nimi. Wszyscy, co go tak długo nie widzieli, żona pierwsza, wielce na korzyść znaleźli zmienionym. Wyjeżdżał z Krakowa, można było powiedzieć, młodzikiem, powracał z Wilna poważnym mężem.

Dojrzałość ta malowała się w wejrzeniu, twarzy, w postawie i ruchu każdym. Pięknym był i krasa młodości niezwiędła kwitła na jego obliczu.

Przy powitaniu ojca i matki oko jego padło na stojącą za nimi żonę, która od tego wzroku zadrżała, poczuła nawet ów tajemniczy powiew, który zwykł był poprzedzać odrętwienie, lecz wielka siła woli zwyciężyła to niebezpieczeństwo.

Z żoną powitanie publiczne było stosunkowo chłodne, ale Bonie wydało się obrachowaniem na oszukanie ją kłamstwem.

August, znający dobrze matkę, która w tej chwili radość udawać usiłowała, widział, że była gniewną i wzmagala się

tylko na okazanie mu czułości. Burza nadechołząca była nieuniknioną... król młody na nią przygotowany.

Po odśpiewaniu hymnu dziękczynnego i błogosławieństwie królowie stary i młody, obie królowe, towarzyszący im dwór świetny, wszyscy jechali na zamek.

Kilka godzin zajęła uczta, rozmowy, przyjęcia osób przybywających i Bona, cofnąwszy się pierwsza do swoich komnat, przez dworzanina oznajmiła synowi, że tam na niego tegoż dnia czekać będzie, a widzieć się i rozmówić nieodzownie potrzebuje.

Dawniejszym obyczajem byłby August pośpieszył zaraz do matki, tym razem jednak dosyć na siebie czekać kazał, tak, że dopiero wysłany po niego Opaliński przyprowadził go Bonie.

Królowa siedziała oparta o stół i nie rzuciła mu się na szyję, jak niegdyś, oczy jej pałały ogniem, drżały usta i ręce, pierś miotła się gwałtownie. Syn wszedł z twarzą wesołą, ale chłodny.

Milczenie Bony było już groźne.

— W. k. mość — odezwała się z przekąsem — bardzo mi spoważniałeś na Litwie i zapomniałeś o matce. Nie wiem, czy na to zasłużyłam...

Oddech jej mowę zatamował.

Nie schyliwszy się do pocałowania ręki matki, August stanął.

— Zdaje mi się — odparł — że i ja na wymówki nie zasługuję. Czemże zawiniłem?

Bona poruszyła się na krześle.

— Nie kłam — zawołała, unosząc się nagle — powracasz innym, dałeś się ująć ludziom, którzy są wrogami moimi.

— Ja? — odparł August — ja? Do tego się wcale nie poczuwam...

— Wierz mi — przerwała gwałtownie Bona — iż każdy twój krok, niemal myśl mi jest wiadomą. Kochałam cię i kocham, pragnę twojego dobra. Jesteś niewdzięcznym.

— Ale czemże zawiniłem? — chłodno zapytał Zygmunt August.

— O! uderz się w. k. mość w piersi! — poczęła szybko królowa. — Łatwiej to uczuć mnie, matce, niż wypowiedzieć i wyliczyć. Od kilku miesięcy listy ustały prawie, ton

ich się zmienił, w kilku znalazłam zdania zupełnie moim przeciwnie. Naostatek...

Zamilkła nagle, chustkę, którą miała w rękę, rzuciła na stół i dłonią otarła oczy, płakać poczynając.

Królowa tak była nawykłą zawsze do gniewu mieszać łązy i odegrywać sceny z mężem, któremi go nużyła a wkońcu pokonywała, iż mimowoli z synem teraz miała rozpocząć podobną sprzeczkę, gdy spojrzenie na niego zmieniło to usposobienie. Nie potrzebowała z nim używać tych wybiegów, miała prawo powagą macierzyńską go pokonać. Podniosła głowę dumnie.

— Daleś mi w. k. mość uciec — poczęła głośnie — iż nawet na dziecko własne liczyć nie można, że ja tu jestem otoczona zdrajcami i zdradą. Od kilku miesięcy zmieniłeś się widocznie; królowa Elżbieta i jej przyjaciele pozyskali sobie afekt w. k. mości.

— Nie miałem z nimi stosunków — rzekł August.

— Jawnych nie, ale potajemnie.

— Ja nie nie robię skrycie — odparł król.

— Maż to być wyrzutem, że ja sobie w ten sposób poczynam? — krzyknęła królowa.

August zmilczał.

— Starałam się godność królewską rodziny waszej ocalić, opierając się rozkazom króla rzymskiego, który wraz z cesarzem chciałby z nas niewolników swych uczynić. Ślę nam tu posłów z wymaganiami coraz cięższymi, grożą, zmuszają, a my mamy ulec i być posłuszni? Na mnie spada cała ich złość, dlatego, że ja was bronię z narażeniem moich dóbr w Neapolitańskim, siebie...

Zamiast wdzięczności, król stary, jego rada przekupiona przez cesarza, który wiem, że ks. Samuelowi podarki przesyła, a nareszcie i wy bierzecie stronę Elżbiety przeciwko mnie...

August wysłuchał tej mowy cierpliwie, a Bona dodała jeszcze wkońcu:

— Nawet tu, do Brześcia jeszcze wysłali znowu posła z nowemi wymaganiami.

— Ale pozwól mi w. k. mość powiedzieć — rzekł młody pan — iż domagania te są słuszne.

Zmarszczyła się Bona i uderzyła ręką o stół.

— Tak już teraz sądzicie! Tak! — zawołała — a ja, broniąc was od pożycia z niewiastą chorą, która i was może zakazić swoją chorobą, nie miałam słuszności?

— Królowa Elżbieta wcale nie jest chora.

— A skądże o tem wiesz w. k. mość, coś jej jedenaście miesięcy nie widział, gdy ja na nią codzień patrzę? — pochwyciła Bona. — Wyznajesz więc sam, że miałeś potajemne doniesienia, mnie nie wierząc.

— Nie potajemnie, ale jawnie świadczą o królowej ci, co ją też widywali ciągle — rzekł August.

Bonie, widząc, że jej syn nie ustępuje, łzy stanęły w oczach.

— Myślisz więc — wykrzyknęła — zgiać się przed królem Ferdynandem i posłuszny rozkazom jego, żonę zabrać? Słyszałam, żeś dla niej na zamku przygotował już pomieszczenie.

— Tak jest — odparł król sucho. — Nie mam i nie mogę mieć żadnej wymówki, jestem jej mężem, powinienem z nią żyć. Sama w. k. mość w liście do Herbersteina pisałaś mu, że mam własną wolę i mogę postąpić, jak chcę. Czynię więc wedle rady w. k. mości, korzystam z prawa mojego.

Bona się podniosła z krzesła.

— Któż w. kr. mości mówił o liście do Herbersteina? — krzyknęła.

— Aleć on tajemnicą nie był — odpowiedział Zygmunt August.

Królowa już nie miała co rzec na to, płakała gniewna, ocierając łzy i poruszając się na krześle, jakgdyby z trudnością na niem utrzymać się mogła.

— Tak więc — dodała z za łez — w. k. mość także zrywasz ze mną, nie chcesz ani rady, ani dobrodziejstw moich, ani serca! Bardzo dobrze! Ale raczcie pamiętać, że ze mną rozbrat wziąć można, ale mnie przebłagać potem, nigdy! raczcie pamiętać, że ja tu jeszcze w tem królestwie, dopóki pan mój i król żyw, coś znaczę, a gdyby nawet Bóg mi go wziął, mam przyjaciół i obrońców mieć będę.

— Boli mnie — zimno odezwał się August — że w. k. mość mnie już dziś jakby nieprzyjacielem swym, a nie dzieckiem liczysz, gdy nie nie uczyniłem.

— Jako nic? — przerwała Bona. — Przypomnij, jakśmy się rozstawali, a jak się dziś spotykamy. Padałeś

mi do nóg, gdym cię wyposażała na drogę, bo nie miałbyś z czem pójść na Litwę, gdyby nie dobrodziejstwa moje.

— Za które i dziś wdzięczny jestem — odparł August — ale nie wiem, jak mam okazać wdzięczność moją.

— Ja nie potrzebuję żadnych oznak wdzięczności... dla siebie nic — poczęła, podnosząc głos, Bona — ja pragnę waszego dobra. Nie powinniście się dać upokarzać królowi Ferdynandowi i pozwalać narzucać żonę.

Spojrzała na syna, którego twarz wyrażała stałe postanowienie.

— Nie dla króla Ferdynanda, ani dla cesarza to czynię, iż żonę zabiorę — rzekł sucho — ale dla sumienia własnego. Jest to obowiązek. Biedna królowa wycierpiała dość, czas jest, aby zajęła stanowisko, do jakiego ma prawo.

— Prawo?! — ironicznie powtórzyła Bona — prawo? Jednego grosza posagu dotąd nie wniosła, żyje z naszej łaski.

To niezręczne wtrącenie przymówki o posag rumieńcem okryło twarz młodego króla, który dodał żywo:

— W liście swym król Ferdynand zapowiada wypłatę znacznej części posagowej sumy za kilka miesięcy.

— A na obietnicach u nich nigdy nie zbywa — rozśmiała się Bona.

Rozmowa zdawała się wyczerpaną. Królowa wiedziała to, o czem się przekonać chciała, młody król też czuł, że stosunek dawny z matką może na zawsze zostać zerwany i zmieniony.

Wielką, namiętą miłość miała zastąpić nienawiść.

Nie zbliżając się nawet do matki, która w krześle swem siedziała rozparta, skłonił się nisko i zwrócił ku drzwiom. Bona zapewne, spodziewając się czegoś więcej, rzuciła się, jakby gonić za nim chciała i pomiarkowawszy zaraz, głową skinęła, padła na poręcz siedzenia.

Zygmunt August, krótko się zatrzymawszy w przedsieni, gdzie na niego czekali komornicy, zwrócił się do mieszkania żony, którą widział tylko zdaleka.

Zajmowane przez nią izby były tak szczupłe i niewygodne, że w głównej z nich zasłona wielka, zawieszona w połowie, oddzielała część jej od sypialni, w której siedziała Hölzelinówna.

Elżbieta zdawała się oczekiwać na męża, siedziała przy stole, przebierając w otwartej szkatułce, zawierającej listy

ojca, matki i rodzeństwa. Wyraz niemal dzieciennego wesela twarzyczkę jej nieco bladą ożywił. Widać było, że w tej chwili nadzieja czyniła ją szczęśliwą.

Zdała posłyszawszy kroki, domyśliła się ukochanego, upragnionego męża, którego we drzwiach zapowiedziawszy, dworzanin sam ustąpił.

August szedł z postawą swobodną i obliczem jasnym, obejrzał się po mieszkaniu, uśmiechnął. Królowa powstała i nieśmiało, hamując się, kilka kroków naprzód postąpiła, niskim ukłonem go pozdrawiając.

— Przychodzę na chwilę tylko — rzekł August — śpiesząc oznajmić w. k. mości, pani mej miłej, że stąd razem połączeni pojedziemy do Wilna. Chciejcie więc do tego czyścić przygotowania.

Elżbieta złożyła ręce i nie umiejac słowem, odpowiedziała wdzięcznem spojrzeniem długiem.

— Jak długo w Brześciu zostać musimy, nie wiem — dodał August. — Wierz mi w. k. mość, iżbym rad jak najkrócej.

Mówiąc, młody król, który zdawał się nie śmieć przystąpić bliżej i ręki jej nawet nie dotknął, badał ją pilno oczyma, a twarz jego świadczyła, iż skromna, łagodna, bojaźliwa młoda pani za serce go chwyciła.

— Mam tu tylu ludzi do widzenia, tyle spraw do załatwienia — dodał August — iż mi się dziwić nie będziesz w. k. mość, że wiele z nią czasu spędzać nie mogę. Nagrodzę to sobie w podróży i na miejscu w Wilnie.

Mówiąc to, skłonił się z galanterją rycerską, ręką pozdrowił królowę, która schyliła się przed nim i wyszedł szybko.

Hölzelinówna tak się dla pani swej obawiała silnego wrażenia przy tem spotkaniu, iż przez cały czas u zasłony stała na straży, a zaledwie się drzwi zamknęły, przypadła do Elżbiety, która usiadła w krzesło.

Z niepokojem, przykląkwszy przed nią, badała jej twarzyczkę, która na chwilę zbladła, lecz rumieniec życia powrócił na nią. Ręce królowej spłotły się na szyi piastunki.

— Widziałas go? — szepnęła. — Jaki on śliczny, jak piękny, jak poważny, jak głos ust jego słodki, jakie wejście, życiem karmiące, co za muzyka w tych słowach, co za wdzięk w ruchach! Widziałas, gdy mnie żegnał!

— A, ale ty, ty, moja Hölzelin, nie czytasz, jak ja w jego oczach, głosie i mowie, która dla mnie ma znaczenie inne. Ja czuję to, co on chce powiedzieć, a nie mówi, co myśli. Kätchen! my będziemy szczęśliwi!

I przytuliwszy się do jej ucha, szepnęła:

— A! Bona! Bona się będzie wściekała, ona, co mnie tak chciała widzieć pod nogami swemi, błagającą litości!

Uspokojona piastunka wstała, starając się rozerwać panią swą, aby się nazbyt uczuciom silnym opanowywać nie dała, usiłowała ją zabawić, poprowadziła do okna, ukazując pocztę, konie i oryginalne stroje ciągle na zamek przybywających panów.

Jakim sposobem zjazd, zwołany do Brześcia, ściągnąwszy tu królów obu, zatrzymał ich w tej nadgranicznej miejscinie, na niewygodnem obozowisku aż do października?...

O rozwiązanie tego pytania potrzeba było może spytać starą królowę, która, napozór nie mieszając się do niczego, umiała, nie sama, ale przez swoich, zabiegać tak zręcznie, iż zawsze coś wyjazd z Brześcia hamowało.

Naostatek nadszedł dzień uroczysty, z nabożeństwem w kościele, z pokłonami, z uściskami, ze łzami, i cały orszak, młodemu królowi towarzyszący, puścił się ochoczo ku Tykocinowi, Grodnu do Wilna.

Okazały był ten poczet najmożniejszych panów, najznakomitszych rodzin potomków, który otaczał Augusta. Z dumą spoglądać nań mogła młoda pani.

Radziwiłłowie, Chodkiewicze, Pruńscy, Wirszyłłowie, Gastoldowie, w tych strojach, jakie onego czasu w używaniu były po całym Bożym świecie, każdy z dobraną i strojną też garstką ludu, z kolebkami, końmi podwodnemi, paziami, giermkami, otaczali kolebkę szkarłatną młodej swej pani.

Pomiędzy tymi młodymi i poważnymi magnatami niektóre postacie odznaczały się takim smakiem i elegancją, iż oczy porывały.

Starzy z brodami, spływającymi na zbroję, młodzież w piórach na hełmach i złocistych napierśnikach, z tarczami barwnymi u siodeł, z Tatarami, których barki przyozdabiały kołczany złotem szyte, barwy służby jaskrawe, przepyszne konie, na gościńcu ciągnęły się milę drogi. Zkolei to jedna,

to druga garstka zbliżała się do kolebki i straż około niej obejmowała.

August też nie mógł razem z żoną odbywać podróży w kolebce, ale siadł na koń w towarzystwie Radziwiłłów i Chodkiewicza, towarzysząc jej u stopni.

Elżbieta z Hölzelinówną zajmowała powóz napół otwarty, tak że swobodnie wzrokiem mogła ścigać ukochanego małżonka. Naostatek po tak długim utęsknieniu byli razem, byli sami i nie i nikt nie mógł im przeszkodzić miłować się a być z sobą, wiecznie, wiecznie!...

Z bijącym sercem myślała o tem tylko królowa i zdawało jej się, że w oczach męża czytała myśl tę samą, obietnicę stałej miłości.

A! straszne, długie miesiące próby przebyli, przeboleli przystęp do tego raju, który ich czekał.

Gdy teraz na myśl jej przychodził surowy, naigrawający się wzrok Bony, drżała jeszcze. Zdawał się ją ścigać, zdawała się te oczy nachmurzoną okryte powieką widzieć przed sobą.

Naówczas zwracała wejrzenie na Augusta, który jechał wesół, uśmiechnięty, a tak piękny... Trącała Kätchen i szepotała jej na ucho:

— Patrz! patrz! nie widaćże w nim króla i pana! nie jestże to najpiękniejszy z rycerzy i najszlachetniejszy z ludzi?

A w duchu powtarzała:

— Teraz nie, nie nas rozdzielić już nie może, nie, chyba śmierć. Nawet śmierć mnie rozłączy, bo nasze trumny na wieczny spoczynek staną obok siebie.

Widząc ją tak wzruszoną, Kätchen z trwogą wielką starała się ją uspokajać. Obawiała się ona tego wstrząśnięcia całą istotą rozkochanej długo, a teraz nagle szczęściem swem aż do szachu uniesionej wychowanki.

Jesień, choć późna, jakgdyby niebo sprzyjało długo prześladowanym, zdobyła się na dni pogodne i piękne. Na drzewach trzymały się liście pofarbowane żywo barwami jesieni, w powietrzu ulatywały srebrne nici czarodziejskiej przędzy, słońce łagodnie świeciło na błękicie turkusowym. W powietrzu była woń liści zwiedłych i kłosów, nad drogą ostatnie kwiatki bladymi główkami witały królowę, która wszystkim się bawiła, jak dziecko.

A choć kraj po drodze nie był wcale piękny, choć często długo żółte paski z czarnemi jodłami i czarniejszemi jeszcze krzakami jałowców się ciągnęły, królowa wszystko znajdowała pięknem, zachwycającem.

Noclegi i popasy z powodu znacznej liczby ludzi i koni musiały być tak wyznaczone, aby dla młodej pary przynajmniej parę izb się znalazło na spoczynek. Reszta obozowała po chatach, szopach i pod bogatemi a zawczasu rozbitemi namiotami, w których może nieraz wygodniej było, niż pod dachem.

W obozie panowała wesołość, uczucie jakiegoś wyswobodzenia, które się na wszystkich odbijało twarzach, odbrzmiewało w każdym słowie.

Na kogo spojrzała młoda pani, uśmiechał się jej każdy, biegł rad usłużyć i przydać się na coś. Zdawali się wszyscy, panowie i słudzy, równie w niej rozkochani. Nie słychać było nic, tylko pochwały piękności, wdzięku i wyrazu dobroci, rozlanego na jej twarzy.

Słońce zaszło jaskrawo za ciemne lasy, gdy cały ten orszak stanął wreszcie u starego dworu, który stanowniczowie przygotowali dla króla i królowej.

Ówczesnym obyczajem na takie przyjęcie dosyć było ścian czterech, ław i stołów, reszta na wozach jadła. Rozścielano kobierce, rozpinano opony, okrywano podłogę, stoły, drzwi nawet i okna, przynoszono sprzęt podróży i w mgnieniu oka pustka się czarodziejsko przeistaczała w coś do pałacu podobnego.

Zupełnie tak samo na zamku krakowskim, gdy w jednej z sal pustych królestwo mieli zasiąść z gośćmi, służba je wyporządzała.

Na kominie płonął już ogień z suchych drewek olchowych, które tak ślicznym różnobarwnym, spokojnym płomieniem się pała.

Izb dosyć było dla wszystkich i sypialnia już z zasłanem łóżem czekała na małżeństwo, a naprzeciw na stołach okrytych misy i dzbany pełne przynoszono, aby na wieczrę nie czekali.

Wszystko się czarodziejsko składało a najpiękniej to, że Elżbieta nie lękała się spotkać nigdzie wzroku Bony, że mogła śmiało podnieść oczy, patrzeć i mówić do męża, a on się też nie obawiał jej okazać miłości swojej.

Nigdy też Hölzelinówna od lat dziecięcych nie widziała swej ukochanej pani tak szczęśliwą, tak wesołą i tak szczęściem tem piękną, promieniejącą. Nie mogła się jej napałtrzyć. Tylko ten blask jej oczu niezwykle, to poruszenie wielkie trochę ją niepokoiły.

— A Boże mój! — myślała sobie — jeżeli przetrwała tyle boleści bezkarnie, czyżby szczęścia znieść nie mogła? Ono uzdrawia i życie daje!

Przy stole królestwo oboje siedzieli razem i piła Litwa zdrowie młodych państwa, długich lat życząc, a wierność i miłość im poprzysiegając.

Nawet zwykle poważna i trochę smętna twarz Augusta nabrała wyrazu weselszego — odmłodziła.

Hölzelinówna stała ciągle za krzesłem pani swej, sama jej służąc; jakaś obawa nie dozwalała jej na krok się oddalić.

Niekiedy, czując ją poza sobą, Elżbieta zwracała się z uśmiechem, nalewała jej wino, podawała potrawy, ale starej ani pić, ani jeść się nie chciało.

Po wieczerzy król z Litwinami wyszedł przed dwór, bo noc była gwiazdzista i piękna, a dokoła ludek się weselił, aż miło słuchać go było.

W duszy Augusta, jak w sercu Elżbiety, zalegał dziwny spokój jakiś i uczucie wyswobodzenia. Pierwszy raz był panem swej woli i panem nad krajem, nad którym daleko większą miał władzę, niż ojciec w Polsce. Ojcowie jego i praojcie królowali tej ziemi, to była jego ojczyzna. Czuł się tu w domu i było mu błogo.

Było mu błogo, myśląc o tej biednej żonie, od której go okrutna dłoń matki dzieliła tak długo. Obiecywał sobie tej ofierze nieszczęśliwej nagrodzić wszystko, co wycierpiała dla niego. On najlepiej wiedział, czem być mogło to prześladowanie na każdym kroku, ta nienawiść nieprzebiegana.

W sypialni Hölzelinówna sama, nie dając nikomu zbliżyć się do królowej, zdejmowała z niej suknie podróżne, które dość jej ciążyły, bo w kolebce na oczach ludzi strojną być musiała. Sama rozpuściła jej włosy, aby je ująć na noc w siatkę jedwabną; sama włożyła suknię białą, do łoża przeznaczoną, zapaliła lampkę, opatrzyła, czy czego nie brakło i cofnęła się, ucałowawszy jej ręce, nie dalej, jak do drzwi, które wiodły do izby dla kobiet przeznaczonej.

Z bijącym sercem, modląc się, stanęła tu na czatach.

Szpara we drzwiach i uchylona umyślnie zasłona dozwalały jej widzieć wszystko, co się w sypialni działo. A nie zdrożna ciekawość trzymała ją przykutą u progu — lękała się o biedne dziecko swoje. W mroku ujrzała, jak się ukazał król, który tylko lekką, futrem okładaną, długą suknię miał na sobie.

Elżbieta, której głowa spoczywała na poduszkach, podniosła się.

Wolnym krokiem August zbliżył się do łoża i ujrzał dwie białe ręce, wyciągnięte ku sobie.

— Królu mój! panie mój! — szeptały usta.

— Elzo ty moja! — odezwał się, pochylając ku niej, August — tak długo na tę chwilę szczęścia czekać nam było potrzeba... tak długo...

— A! wszystko zapomniane — szepnęła królowa — tyś mój, jam służebnica twoja!

I widziała Hölzelinówna, jak August pochylił się ku Elżbiecie, aby złożyć pocałunek na jej ustach, jak go objęły ręce białe — i krzyk rozpaczliwy wyrwał się z ust króla.

Ręce te, które objąć go chciały, nagle ostygły, wyprężyły się, stężały, opadły; oczy powlokły się mgłą, głowa zsunęła się na poduszki; Augustowi zdało się, że trupa już tylko trzymał w drżących dłoniach.

Okrzyk ten zaledwie posłyszawszy, wpadła Hölzelinówna przerażona. To, czego się obawiała, o czego odwrócenie się modliła, przyszło, jak piorun, zatruć pierwszą godzinę szczęścia.

Król stał przelekły, gdy piastunka, dając mu znaki, wcisnęła się do łoża i zwolna królowę układając, ukłękła przed nim.

August stał niemy i jakby obłąkany.

— Omdlenie — odezwała się cicho Kätchen — miłościwy panie, trzeba ją tak zostawić, nie tykać, nie czynić nic, to przejdzie samo... A! to nie! to nie!

Ale mówiła napróżno. August jakby nie słyszał. Przychodziło mu na myśl, co opowiadała matka; uczucie to, że trupa trzymał na rękach, dreszczem strachu zabobonnego i wstępu jakiegoś go przejęło.

Tak więc wszystko, los sam spikał się przeciwko niemu i w momencie tym, gdy miał być szczęśliwym, rozpocząć żywot błogi z kochającą go istotą, zimna ręka przeznaczenia stawiała między nim a nią.

Z oczyma wlepionemi w zastygłą twarz żony, trupiej bladości, August stał, ruszyć się nie mogąc, stał, jak przykuty, i oczy mu paliły łzy, które z nich wytrysnąć nie mogły.

Przekleństwo matki, fatalizm jakiś, nieprzeblagane przeznaczenie... Szczęście, jak rozbite naczynie wątle, leżało u nóg jego. Pozostawała istota biedna, niewinna, którą litość kochać kazała, a od której strach odpychał.

Hözelinówna, nachylona nad królową, śledziła znamiona, po których o trwaniu paroksyzmu nauczyła się wnioskować. Tym razem musiał on być długim i długim snem po nim pokrzepić się musiała królowa.

Ułożywszy ją na wężłowiach, okrywszy, piastunka ciągle stojącego w osłupieniu Augusta zlekka pociągnęła za suknię i poprowadziła z sobą ku drzwiom.

Uklęka przed nim ze złożonemi rękami.

— Miłościwy królu — poczęła głosem, który przerywało łkanie — miłościwy królu, panie! A! nie trwóż się. Zbytek szczęścia spowodził omdlenie... królowa tak was kocha, a tak długo była nieszczęśliwą i wycierpiała tyle! A! niech jej to serca waszego nie odbiera...

I chwyciła kraj sukni króla, całując ją a oblewając łzami. Podniosła oczy. August stał posępny, blady, przybity.

— To nie było omdlenie — odezwał się, z ciężkością zdobywając na słowo — to nie było omdlenie! To była, to jest ta nieszczęsna choroba, którą mi grozono!

Załamiał ręce. Hözelinówna umilkła, spuszczaając głowę.

— Jutro — rzekła cicho — ona o niczem wiedzieć, nie pamiętać nie będzie! Przysięgam wam, N. Panie, przez cały rok niemal nie było nigdy podobnego wypadku. Zbytek wzruszenia...

August powiódł ręką po oczach i czole.

— Taka jest dola moja i jej — odezwał się sam do siebie. — Gdziekolwiek sięgnie dłoń moja, wszystko się w proch rozsypie. Nie doniosę do ust nic, czegoby mi los nie zatruł. Serce ojca odjęła mi matka, serce matki odjęła mi żona, a żonę wyrywa mi ręka Boża!

Załamiał ręce.

— Czem zawiniłem?

I nie odpowiadając, ani patrząc na Hözelinównę, August jakby senny, wszedł do izby swojej, dopadł zaledwie krzesła i rzucił się na nie, głowę kryjąc w dłoniach.

U łoża Elżbiety klęczała Kätchen i płakała, we łzach się rozpływając. Patrzała na martwą twarzyczkę, na skostniałe, wyprężone ręce, na trupią postać dziecięcia.

Nierychło począł paroksyzm odechodzić, poruszyły się palce u rąk i usta zdały znowu składać do uśmiechu. Westchnienie się z nich wyrwało lekkie.

Ale oczy się nie otwały. Opanował znużoną i osłabłą sen głęboki, kamienny, który Hölzelinówna знаła dobrze. Miał on trwać do rana, a po nim następowało osłabienie straszne i długie.

O świetle już w obozie ruch się czuć dawał, lecz około starego dworu podkomorzy z rozkazu króla zalecił milczenie najgłębsze. August obojętnie zapowiedział, że sam się czuje trochę niezdrów i może spocząć tu będzie musiał.

Dowiedziawszy się o tem, nadbiegł niespokojny podczasy Radziwiłł. Wszystka tu Litwa, co otaczała króla, ludzie byli jeszcze starego kroju i obyczaju. Żaden z nich nie rozumiał ani choroby, ani znużenia. Padali na gołą ziemię dla spoczynku po kilkudniowych trudach, a wstawali z niej rzeźwi i zdrowi. Chorzy szli do łaźni i pili stary miód.

Radziwiłł też królowi nie innego radzić nie umiał nad łaźnię.

— Nie potrzeba mi nic, oprócz spoczynku trochę — rzekł mu król, gdy go do izby wprowadzono. — Sądzę też, iż królowa spocznie trochę rada, bo wąta jest i dosyć się umęczyła w Brześciu.

Niektóre poczty już przodem wyruszyły o świetle, potrzeba więc było ślać za nimi, aby się do tej zmiany zastosowały.

Dzień już był, ale przysłonięte okna nie wpuszczały go do sypialni, gdy królowa się obudziła i ujrzała przy łóżku swem siedzącą Hölzelinównę.

Z wejrzenia jej poznała piastunka, iż sobie przypomnieć nie mogła, ani gdzie była, ani co się z nią stało. Z przestрахem oglądała się dokoła.

— Kätchen moja — szepnęła cicho, — gdzie my jesteśmy? Co się stało ze mną? Śniłam? nieprawdaż, śniłam? A! to było rozkoszne marzenie. On przyszedł do mnie, czułam go przy sobie, pochylił się ku mnie, wtem mroki nocy osłoniły mi wszystko... ciemność pożarła szczęście moje... zasnęłam kołysana, jakby na morzu czarnem, cała w całunach. I spałam.

— Uspokójże się, królowo moja — odparła Hölzelnówna. — Byłaś bardzo, bardzo znużona podróżą. Cóż dziwnego! sen przyszedł nagle!

— A on? — spytała niespokojnie królowa.

— On kazał, aby cicho było i żeby cię nie budzono — rzekła piastunka.

— Widział mnie?

— Śpiącą zdaleka. Ja pilnowałam u drzwi.

— A! — odezwała się Elżbieta, ręce łamiąc — ten sen nieszczęsny! Zawsze ten sen, co jak kamień spada na mnie!

Łzy poczęły płynąć z jej oczów!

Król musiał posłyszeć szmer rozmowy z komnaty sąsiedniej, wszedł na palcach.

Uczuła go i trwożliwie osłoniła się okryciem. August zbliżał się powoli z widoczną na twarzy obawą, układając ją do uśmiechu.

Królowa się zarumienila, spojrzała na Käthen, która umyślnie nie ustępowała. Nie zważając na nią, August podszedł zwolna aż do łóżka i rzekł łagodnie:

— Potrzebujecie spoczynku, kazałem się tu zatrzymać. Używajcie, proszę, czasu, bo podróż jeszcze długą i nużącą mamy przed sobą.

To mówiąc, schylił się ku niej, i zawaławszy nieco, w czoło ją pocałował.

Elżbieta podniosła się zarumieniona i szczęśliwa.

— Królu mój! — zawołała — a! jak mi wstyd, jakim ja śpiochem jestem niegodziwym. Powinieneś mnie ukarać!

Ta wesołość, która trochę zdumiała Augusta, zdawała się go uspokajać. Usiadł na stojącym przy łożu krześle.

— Sądzę — odezwał się, — iż najlepiej będzie, gdy cały dzień tu przestoimy, a wy, królowo moja, pozostaniecie w łóżku i wypoczniecie lepiej. Nikt wam nie zakłóci spokoju, a ja się nie oddalę.

Elżbieta schwyciła, milcząc, rękę króla i cheiwie całować ją zaczęła, ale poczuł na niej łzy ciepłe i drgnął biedny król. Zwrócił się do piastunki.

— Proszę was, czuwajcie nad królową — rzekł, a gdy dla was przyjdzie czas obiadu, każcie tu nakryć i mnie przywołać. Nie chcę, aby się królowa ubierała do ludzi, a do mnie nie potrzebuje.

Wyszedł.

— Hölzelinówna moja! — zawołała, ręce drobne składając. królowa. — Słyszałaś? nie jest-że to anioł dobroci? nie jest-że to ze wszystkich ludzi najlepszy człowiek, ze wszystkich mężów najlepszy małżonek, a ja najszczęśliwszą z istot na ziemi!

Hölzelinówna zbliżyła się żywo, lecz nim zdołała ująć główkę królowej, upadła na poduszki oblana białością trupa, zamknęły się oczy, otwały usta, wyteżyły ręce. Elżbieta leżała nieprzytomna, a piastunka u łóża wiała się, łamiąc ręce z rozpaczą.

Długi, długi przeciąg czasu upłynął: młody król z żoną siedział na zamku w Wilnie. Ludzie, co na pożytku małżeństwa patrzyli zdala, cieszyli się szczęściem jego.

Gdy młodziuchna, dziewiczo wyglądająca, biała, wątła, ale piękna, jak biały kwiatek, wykwitły w cieniu, królowa ze spuszczonej oczyma, w towarzystwie swej ochmistrzyni przechodziła do zamkowego kościoła, do kaplicy grobu św. Kazimierza, zwracały się ku niej wejrzenia wszystkich, odkrywały głowy i ciągnęła serca za sobą.

Nie pominęła żadnego ubogiego bez jałmużny, uśmiechnęła się najbiedniejszemu, dzieci biegły do niej ośmielone z wyciągniętymi rączkami.

Oi, co bliżej dworu stali, co ją częściej widywali, nie mogli się dosyć nachwalić łagodności i dobroci. Nazywali ją jedni lilją białą, drudzy aniołem i nie było człowieka, coby nie wielbił tej królowej.

Duchowni sławili pobożność jej, dwór łaskawość, młodzież unosiła się nad pięknością, poeci porównywali do Heleny greckiej i opiewali ją wierszem łacińskim.

Król zdawał się troskliwie czuwać około skarbu tego. Ale ani na twarzy jego, ani na obliczu postarzałem piastunki nie widać było tego wesela i błogiego uczucia szczęścia, jakiego ludzie się tu domyślali.

August chodził poważny nad wiek, zadumany, smutny, jakby mu życie i rządy, z których się wszyscy cieszyli, ciążyły. Czasami nagle wśród tego spokojnego, jednostajnego trybu życia zachmurzały się czoła, królowa się nie pokazywała. Nie widać jej było idącej do kościoła, ani na przechadzce w ogrodzie, który pod zamkiem nad rzeką król założył, i gdzie Elżbieta karmić była zwykła białe łabędzie swoje.

Naówczas, gdy się niespokojnie pytano Hölzelinównę o zdrowie pani, przeczyła, żeby była chora, mówiła, że spooczywała, znużona trochę.

I po jakimś czasie ukazywała się znowu na drożynie, wiodącej do kościoła, z tym samym uśmiechem dziewiczym i pogodą na twarzy czcąc bladej.

Do Krakowa kto przybywał z Litwy, a pytał go stary król, jak się tam syn rządzi, wszyscy mu odpowiadali, wynosząc go pod niebiosa, a Bona usta zakąsała ironicznie. A stary, nasłuchawszy się pochwał, mruczał, jak zwykle:

— Zostawcież też co do naganienia!

Gdy o młodej królowej mówiono, odwracała się Bona, słuchać nie chcąc, zburzona, a choć z Wilna o zdrowiu jej przychodziły wieści uspokajające, ona zawsze wiedziała o jakiejś chorobie, i staremu mężowi nie przestawała wyrzucać, że synowi dał żonę, która mu życie zatruje i wstrętnem uczyni.

— Chorobę ma — powtarzała, z której jej nikt nie uleczy.

— Baśnie to są — zaprzeczał Zygmunt i nakazywał żonie milczeć.

Wtem naraz przysły do Krakowa zatrważające wieści, potwierdzały je i listy Dantyszka, wielkiego wielbiciela Elżbiety. Królowa ciężko, niebezpiecznie zapadła.

Skarżył się na to sam August, posłano po lekarzy do Krakowa.

To, co dotąd było tajemnicą, stało się przez nich jawnem — królowa miała straszną tę chorobę, którą wielką zwano, a na nią doktorowie lekarstwa nie znali żadnego.

Przez czas jakiś zwątpiono o życiu. August chodził pogrążony w smutku wielkim. Gdy już wszelka prawie nadzieja stracona została, Elżbieta cudem podniosła się z łoża i powróciła do życia. A gdy potem przyszedł do niej mąż, chwyciwszy rękę jego, patrząc mu w oczy z miłością wielką, szepnęła mu:

— Wyprosiłam u Boga, aby mi jeszcze z wami, królu mój, pozostać pozwolił.

Augustowi stanęły w oczach łzy, i wyszedłszy od żony, gdy spotkał Strusia, który z Krakowa był sprowadzony, wziął go do swej komnaty.

— Proszę was — rzekł — uczynicie co jeno w ludzkiej mocy jest, abyśmy się żywotem i zdrowiem ukochanej mał-

żonki cieszyć mogli. Niema ofiary, którejbyśmy dla tego nie byli gotowi uczynić.

— Miłościwy panie — odparł lekarz, który pochlebiać ani kłamać nie umiał. — co w ludzkiej mocy jest, nie na wiele się przyda. Myśmy z nauką naszą ślepi, a Bóg jeden wszechmocny.

Westchnął stary i zamilkł.

— Hipokrates, ojciec nasz — począł po chwili — całą księgę o chorobie tej napisał, a tyle z niej wiemy, żeśmy przeciw niej bezsilni.

— Mówią — odparł król, — iż angielscy monarchowie moc mają od Boga przy namaszczeniu daną, leczenia chorób takich dotknięciem lub przesłaniem pierścienia, o który postarać się będziemy musieli.

Struś spuścił oczy.

— Wszystkiego próbować należy — rzekł chłodno — choćby i pierścienia. Mocy tajemniczej rzeczy nie znamy, ale jeżeli choroba dziedziczną jest, trudno ją zmóc.

August odparł:

— O chorobie w rodzinie nie słyszałem, a w Pradze się nie przyznają do tego. Astrologówby pytać potrzeba. Królowa dzięki staraniom waszym ma się znacznie lepiej, codzień życie i siły wracają, mam otuchę, iż napady te nie powrócą.

— Miłościwy panie — rzekł Struś — jako kwiatu delikatnego strzec potrzeba wąglej pani od wszelkiego powiewu gwałtowniejszego, czy on z południa, czy z północy przychodzi. Zarówno wielka radość, jak smutek wielki szkodliwe jej są; nad tem czuwać należy.

Zygmunt August wiedział o tem bardzo dobrze; czuwano nad królcwą, osłaniając ją zewsząd. Lecz Bona też przez swoich lekarzy wiedziała to samo, a nienawidziła kobietę, która jej serce syna wydarła.

Z piekielnem wyrachowaniem Włoszka dobijała swą ofiarę. Trucizny, o którą ją pomawiano, dawać jej nie potrzebowała; dosyć było, aby zręczna ręka podrzuciła Elżbiecie paszkwil, aby jej do uszu dopuszczono wieść, która nią wstrząsnąć mogła.

Ani król, ani Hölzelinówna zapobiec nie mogli, by w ogrodzie, na uliczce, w zamku na ścianie, nawet w książce pobożnej królowej, na klamry złote zamkniętej, nie znaleźli

się świstek, po którego przeczytaniu Elżbieta bladła i padała, jak nieżywa.

Po każdym takim paroksyzmie wstawiała słabszą, a sama obawa nowej napaści życie jej czyniła nieznośnem.

Nieprzyjaciółkę oddaloną, nieubłaganą czuła i widziała nieustannie, krok w krok idącą za sobą, stojącą w nocy u łóża, we dnie za siedzeniem.

Jej siepacze skryci, niewyśledzeni, tak umieli się osłonić, tak kłamali wierność, iż ich pochwycić nie było podobna. Sprawę tylko rąk tych niegodziwych każdy niemal dzień przynosił.

Mnóstwo papierów niszczyła Hölzelinówna, król naznaczył znaczną nagrodę za wykrycie sprawców tego katowskiego prześladowania — nie pomagało nic. Śladu odkryć nie umiał nikt.

Ostatnia, najcięższa słabość spowodowaną była paskwilem niemieckim, który Elżbieta w ławce swej zamczystej znalazła w kościele. Podle piśmidło urągało się jej i przepowiadało śmierć rychłą, obrachowane było, aby dobiło. Wyniesiono Elżbietę zdrętwiałą z kościoła, długi czas była na skraju grobu i cudem potem powstała jeszcze.

Odżyła, jakby zapomniiała, co wycierpiała.

Wtem nadeszła wieść z Krakowa radosna, że posłowie króla rzymskiego przybyć tam mieli, wioząc znaczną część posagu w złocie i srebrze. Wzywano Elżbietę i Augusta na odebranie i pokwitowanie. Zygmunt Stary zapraszał oboje do siebie, rad pragnął widzieć uzdrowioną synowę.

August przyszedł żonie odczytać listy. Zarumieniła się i pobladła. Stała zadumana i stroskana, i długo musiał czekać na odpowiedź.

— A! królu mój, panie mój — rzekła głosem drżącym — jam służebnica twoja, jam na rozkazy gotowa w ogień i wodę, ale czy ja tam potrzebna jestem w Krakowie? Ojciec mi rad może być, ale drudzy? Widok mój gniew rozżarzy, podrażni. Jedźcie sami.

Zapłakała, otarła łzy i mówiła dalej:

— A! rozstać się z wami, królu mój, panie mój, tak mi ciężko będzie, jak z życiem. Wolalabym u twego boku dotrwać do końca, a taka trwoga mnie ogarnia, gdy z oczów stracę słońce moje. Powiedzcie, trzebaż, bym jechała do Krakowa?

— Poradźmy się lekarzy — odparł August. — Wolałbym was mieć z sobą, a wiem, ile to kosztować was będzie. A! i mnie też. królowo moja! Ani ja, ani wy nie wyrokujecie, niech dekret wydadzą doktorowie.

Spytano ich dnia tegoż, ale wszyscy zgodni byli, aby królowa pozostała w Wilnie. Starcia z królową Boną w Krakowie były nieuchronne, a dla Elżbiety groźne.

Gdy ręce nieublaganej nieprzyjaciółki sięgały aż tu, nad Wilnę, jakże daleko silniej musiały się dać czuć tam, gdzie ona wszystkiem władała.

Królowa musiała więc pozostać.

Leżąc gdy przyszła chwila pożegnania z mężem, rozplynęła się w łzy, straciła odwagę i Hölzelinówna ledwie potrafiła zapobiec nowemu napadowi choroby.

August napróżno ją upewniał, że wróci rychło, że chwili nie zabawi nad konieczny czas do odebrania pieniędzy i pokwitowania.

Stosunki z matką były z powodu tych prześladowań Elżbiety tak naprężone, iż król młody postanowił zawczasu nie stać nawet na zamku, zamówić kazał dla siebie kamienicę w Rynku, a cały dwór jego, urzędnicy, komornicy dali mu się słowo ani znać, ani widzieć, ani mówić, ani jeść i pić razem z ludźmi Bony i Gamrata.

Przy pożegnaniu zabrakło słów, łzy je zastąpiły. Dopiero gdy August na koń siadł, a królowa odjeżdżającego krzyżem z relikwjami żegnała, odezwała się do Hölzelinówny:

— Kätchen, coś mi mówi w głębi serca, jakby głos słyszę jakiś: ja go więcej nie zobaczę.

Nie dała jej mówić piastunka, używając tego środka, co zwykle, gdy się obawiała bardzo; naówczas groźnie i surowo powstawała, i Elżbietę zmuszała do milczenia. Poczęła jej czynić wymówki, iż była niewdzięczną Bogu, który ją z choroby ciężkiej podźwignął do życia, że teraz miała się lepiej, niż kiedykolwiek, a przywidzeniami sobie truć życie i zdrowie niszczyła.

Elżbieta zamilknąć musiała.

Z podróży listy od męża przychodziły często.

Jechał młody król niespokojny, wiedząc, co go czekało w Krakowie, bo otwartą wojnę z matką prowadzić musiał, a usposobienie Bony odbijało się w królu Zygmuncie, we

wszystkich, co dwór składali, w całej niemal ludności tej, o którą się ocierać było potrzeba.

Nie było dla nikogo z dworzan Augusta tajemnicą położenie to i jego wymagania. Młody król umiał taką miłością ku sobie natchnąć tych, co go otaczali, iż nie było jednego, któryby z zapalem nie gotował się do walki.

Owe paskwiliusze polle przeciwko Augustowi, przeciw niewinnej królowej, rozpuszczane wieści, potwarcze plotki i zmyślane baśnie do szalu doprowadzały dwór, w którym domyślano się zdrajców. Chodziło im o cześć wiernych sług.

August też jechał z mocnem postanowieniem dać uczuć matce, iż jej przypisywał prześladowanie i że je brał do serca.

Jakby naumyślnie przygotowano się na przyjęcie uroczyste młodego króla w Krakowie. Dnie były ciepłe, stary król kazał się zanieść do kościoła, wyszła Bona z córkami: choć Gamrat uciekł z Krakowa, znalazło się duchowieństwo na powitanie przyszłego pana.

Zygmunt August musiał się poddać temu ceremonjałowi i wobec świata okazać się jako syn uległy i miłujący rodziców.

Bona, w kościele nawet i wobec Boga, nie przybrała oblicza kłamanego — zaszepiona, z zagryzionymi wargami, dumnie przyjęła syna.

Dwa dwory stały naprzeciw tak groźnie, mileząco, jak gdyby wnet rzucić się miały na siebie.

Wedle rozporządzenia młodego pana, miał on zająć mieszkanie w Rynku, dom dla niego stał gotowy, ale Zygmunt ojciec nie pozwolił na to. Bona chciała go mieć na zamku.

August ojcu poddać się musiał. Tem straszniejsze było to zbliżenie się w obawie starcia jawnie nieprzyjaznych dwóch dworów.

Zaraz pierwszego dnia u wspólnego marszałkowskiego stołu, gdy prze zdrowie pić zaczęto, wstawali jedni, drudzy wino wylewali.

Młody król jednak zaraz surowo zakazał, aby z jego otoczenia nikt pierwszy nie dał powodu do zająścia. Bona też i ludzie jej ostrożni byli. Obchodzono się wzajem, milcząc, oczyma sobie urągając i wyzywając.

Sam na sam, August z matką się nie zszedł ani razu, ona też nie wyzywała do tego. Król stary badał o synową

pilno, mówiono mu, że się ma lepiej i że do nóg jego kłaniała się i pozdrowiała.

Nie chciał długo tu pozostać August i natychmiast liczenie, ważenie a pisanie poręczeń i kwitów się poczęło. Lecz znalazły się formalności, papierów było brak, jakby naumyślnie zwlekano się ukończenie i wyjazd z powrotem na Litwę.

Król od Elżbiety w początku odbierał listy niemal co parę dni. Pisała ona, donosili urzędnicy o zdrowiu królowej i nie było żadnych zatrważających wieści.

Z szatańską zjadłością codzień Bona przy starym królu, łagodząc głos, pypytywała syna:

— Jak się ma królowa jmość? — mieliście wiadomości?

W głosie jej było szyderstwo i jakby zapowiedź nieszczęścia, oczekiwanie jego.

August wkońcu znużony, odpowiadał matce tylko mrużeniem niewyraźnem, a Zygmunt Stary podnosił oczy znużone ku Bonie, ale wymówek jej czynić nie śmiał, bo możnaż było wyrzucać jej tę troskliwość o zdrowie synowej?

Pobył Zygmunta Augusta już się zbliżał ku końcowi, mówiono o wyjeździe, gdy nagle listy i posły z Wilna przybywać przestały. Nie uderzało to w początku, nie obudzało niepokoju, lecz po kilku dniach milczenia młody król trwożyć się począł.

Matka zawsze prześladowała go pytaniem tem szyderskiem, na które teraz wiedziała dobrze, iż nie otrzyma odpowiedzi, bo ona również miała swe sługi na Litwie.

Zygmunt Stary niespokojnym się okazał i posyłać już chciał do Wilna. Lecz naówczas potrzeba było około dwunastu dni, aby mieć odpowiedź, a listy co chwila były spodziewane.

Wśród dworu młodego króla niepokój coraz większy przerodził się w posadzenia Bony, że ona przejmowała listy. Niektórzy wyrwali się jechać, aby przywieźć wiadomość. August milczał, usiłując zapanować nad niepokojem, jaki go ogarniał.

Dnia jednego, gdy Bona, stojąc przy Zygmuncie, rzuciła znowu owo urągające pytanie synowi, August zamrugał zniecierpliwiony:

— W. k. mość wiesz, jak ja, że wiadomości z Litwy nie mamy.

— Nie było mi to wiadomem — odparła Bona zimno.

Późnym wieczorem August siedział w ciemnych izbach w niewielkim kółku urzędników i starych znajomych. gdy w progu ukazał się teraz unikający młodego pana Opaliński i z miną tajemniczą oznajmił mu, iż królowa matka do siebie go prosiła.

W tem zaproszeniu było coś tak nadzwyczajnego, groźnego, niezrozumiałego, iż w pierwszej chwili August się zawahał, czy ma być posłusznym. Ale Bona w oczach ludzi była zawsze jego matką, należało jej poszanowanie.

Nie mówiąc nic, wstał i udał się za Opalińskim, który dość długo idąc przy królu, nie odezwał się ni słowa. a August, czując w nim nieprzyjaciela, w rozmowę wdawać się nie chciał.

W progu komnat starej królowej Opaliński znikł.

Bona nie siedziała, jak zwykle, na swem krześle, na kształt tronu wysłanem i podwyższonem, lecz stała z podniesioną głową, a twarz jej i wejrzenie takim dziwnym jaśniały blaskiem, że Augusta dreszcz przeszedł.

Brwi namarszczone starały się napróżno oblicze to pośepnem uczynić — usta wykrzywiał uśmiech ironiczny. Tak śmiać się mógł tylko kat, patrząc na ofiarę swą w pętach u nóg leżącą.

August zbliżył się. Bona, jakby dla przedłużenia chwili niepewności i trwogi, milezała: podobną była do zbira, który waży, jak najgłębiej sztylet zatopić w piersiach skazanego.

— W. k. mość kazaliście mi się stawić — wyjąknął syn.

— Tak, chciałam osłodzić w. k. mości bolesną wiadomość, która z ust matki nie wyda się może tak srogą, bo usta te zawczasu ją przepowiadały. Królowa Elżbieta, żona w. k. mości, nie żyje!

August stał jak wryty, bladeść śmiertelna okryła twarz jego, wyrazów mu zabrakło w ustach.

Było to nowe okrucieństwo, osłonięne szyderstwem bezlitościem.

Długiego czasu potrzebował młody król, nim potrafił odpowiedzieć:

— Srodze dotknęła mnie ręka Boża!

Bona zbliżyła się, chcąc, korzystając z chwili, zawiązać rozmowę, rachując na złamane serce syna, ale August nie chciał dopuścić, aby się napawała jego rozpaczą, a swoim zwycięstwem. Skłonił głowę.

— W. k. mość — rzekł — skróciłaś jej życie.

Poruszył się żywo i usłyszawszy tylko okrzyk za sobą, nieprzytomny pobiegł do swoich.

Lecz już w korytarzach otoczyli go dworzanie — gońiec z Litwy nadszedł. Jeden z nich padł królowi do nóg, płacząc i ściskając je, zawołał:

— Królowa! królowa nasza!...

— Módlmy się za jej duszę — odparł mężnie Zygmunt August — albo raczej prośmy, aby się ona do Boga za nami wstawiła. Męczennicą umarła!

KONIEC.

Józefa Ignacego Kraszewskiego
Powieści historyczne obejmujące Dzieje Polski

VII.

Historja o Petрку Właście

Czasy Władysława II.

Wydanie popularne.

Streściła K. Łozińska



1922

Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie
Poznań — Lwów — Lublin — Łódź — Wilno



Zmierzch był dnia jesiennego, ale takiej, jak ta, jesieni ludzie najstarsi nie pamiętali. Przyszła ona, jakby Boże błogosławieństwo, aby biedni ludziska z pola, co gdzie jeszcze na niem było, pochwyć mogli do brogów i stogów, a ozime pólka obsiać mogli wczas i do weselisk, zawsze porą jesienną obchodzonych, przy pełnych stodołach, przysposobili się bez troski. I lud Boży oddychał.

To też jadący polem i lasem podróżny, choć na zaraniu i wieczorami ptactwa świergoczącego nie posłyszał, bo jedno było uniłkło, a drugie za morza poodlatywało, ludzkie śpiewy wesołe chwytał uchem i serce mu się od nich radowało.

U gościńca, wiodącego do Wrocławia, w gęstym lesie na skraju stała gospoda, bo to szlak był, którym ciągnęło do miasta na targowice dużo ludzi, nietylko ze Śląska i z Polski, ale i z obcych ziem z kopią, którą pod owe czasy mieniano na inną, albo ją za kruszec sprzedawano.

Budowa była drewniana, duża, jak szopą, z przedsiębiami, na słupach, dookoła ją oblegającemi; izba też była przestronna, w ławy dookoła przybrana, mająca w pośrodku szerokie ognisko. Naokoło niego leżały kłody i kamienie, aby czasu zimy ludzie bliżej ciepła przysiąść się mogli.

Z jednej strony był stół duży, a na nim stały próżne jeszcze kubki drewniane i gliniany dzban od piwa w rogu, obyczajem powszednim na ręczniku leżały: chleb, bułka i nóż przy niej.

Mikuł, gospodarz, stary człek, przygarbiony, w grubej szarej bieliźnie i chodakach skórzanych, sznurami do nóg poprzytwardzanych, siedział na ławie i czegoś postękiwał, oburącz głowę podłysiałą podparłszy. Dalej nieco siedziała otyła, stara żona jego, Samicha.

W izbie znajdował się jedyny gość, stary dziad siwo włosy z gęślą na plecach, i drzemał na ławie. Snać starowina znanym tu był, bo na niego nikt nie patrzył, widać nie było mu pilno ani do snu, ani do pieśni, ani w drogę.

Ciemniało już. Wśród tego milczenia hen zdala coś zatętniało. Mikuł podniósł zaraz głowę, ucha nadstawił i wyszedł z izby.

Czeladź, co na darni leżała, podniosła się, nadsluchując, gdy z krzaków wyrwały się dwa łowcze psy, a spostrzegłszy ludzi, naszczekiwać poczęły i stanęły. Za niemi z gąszczy wysunął się jeździec i zatrzymał się. Odzież na sobie miał niepoczesną, ale koń pod nim zażywny szedł, jakby pański.

— Sam tu! — zawołał ku patrzącej na niego czeladzi: — Co to za państwo?... Jaka to droga?... kogo wy tu słuchacie!...

Posłyszawszy pytanie, Mikuł wysunął się z pokłonem, przypatrując się przybylemu. Człek był zaś młody, ogorzwały, pięknej twarzy, z pańską wyglądający, choć odzież pana nie wydawała.

— Czy to wasza miłość tak zdala, że o nas nie wiecie!

— A zdala i dużom puszcza mi błdził. Odbilem się od swoich; oman jakiś, czy co po bezdrożach mnie wodził.

— Ziemia to pana Petrka Włodkowego — rzekł Mikuł — coście pewnie o nim słyszeli. Pan jest mocny, a teraz gospoda i ziemia należy do klasztoru, do czarnych mnichów, i ja też siedzę z ich reki od księdza opata. Do Wrocławia stąd niewielki kawał drogi.

Podróżny splunął, jakby z gniewu.

Wtem na gościńcu zdala turkotać zaczęło. Od strony Wrocławia toczył się wóz. Siedział na nim człowiek jeden, powożąc się, drugi, wyrostek, przyczepiony był u drążka.

— Witaj, ojcze Tymochu! — odezwał się gospodarz.

— Bóg zapłać, jestem żyw, a i to szczęście — odparł zagadnięty. — Z „przewodem“ mnie gnali, gnali, że i we mnie, i w koniach ledwie już telu stało.

Przybyli weszli do izby.

— Gospodarzu miły — ozwał się młody podróżny, jam głodny i koń mój także, a obu radźcie, jak możecie. Psom-by się też coś zdało!

Tymoch popatrzył na mówiącego jakoś nieufnie, przy dziadzie na ławie usiadł i piwa zażądał.

— A wy skąd? — spytał go jezdny z za stołu.

— Mil parę stąd siedzę, wolny kmieć jestem, z przewodu wracam. Pędzą biednego kmiecia do przewodu, a nie pytają, czy chudoba nie wyzdycha!... Kmieciami coraz ciężej!...

— Zawždy ludzie narzekali — odparł młody, popijając i przegryzając.

— Dziadom bo lepiej bywało — wtrącił Tymoch — dopóki do nas nie przyszedł wielki obyczaj niemiecki! Placimy poradne, dajemy podwórzowe, dajemy przewód, miód, kury, woły!... Kto tam zliczy! Czyż może być gorzej!...

Znów zamilkł, a tchnąwszy, jakby sam do siebie ciągnął dalej:

— Bierze ksiądz dziesięcinę podatku. Jeżeli zostanie na przednówku chleb dla nas z ościami, to Pana Boga chwał! Bo na stacji stogi nasze pańskie konie zjadły!

Gdy Tymoch pił, a młody podróżny na dalsze żale ucha nadstawiał, dziad, co dotąd niemy siedział, począł coś pomrukiwać, niby do siebie, a mruczenie to w mowę wyraźniejszą przechodzić zaczęło.

— Bywało inaczej!... Jak ono bywało, wiedzą tylko groby... mogiły śpiewają...

I począł się śmiać sam do siebie i z siebie.

— Ojcie Tymochu — mruczał dalej — jako świat światem, wilec krowy dusili, a żupany kmieciów cisnęli.

— Hej ty dudo-dudziarzu — przerwał Tymoch gniewnie — ale onego czasu na dziesięć kroków był wilk jeden, na stu kmieci żupan jeden, a teraz na jedną krowę dziesięć wilków, na jednego kmiecia stu żupanów.

Nikt na to nie odpowiedział.

— Z Wrocławia jedziecie? — zapytał naraz młody Tymocha.

— Bo do Wrocławia był przewód mój — rzekł kmieć — do dwora pana Petrkowego jakieś książatko jechało, le-dwiem z niem u wrót stanął, nie czekałem Bóg zapłać, i w nogi do domu. Nużby drugi nazad przewodu potrzebujący pocłowycił!

— Nadaremna trwoga — rzekł Mikuł — boć pan nasz, Petrek, Boży sługa, dla kmiecia i wszelkiego człowieka li-tościw wielce. Prędzejby was pokarmić kazał, niż dalej znać!

Dziad potwierdził. Tymoch głową potrząsnął.

— Ja tam człek niedzisiejszy — odparł — pamiętam ja króla i stare dzieje! Ot, ten niechaj wam o tem gada... Dziadowska rzecz zbierać po drodze do torby chleb, a do drugiej ludzkie plotki!...

Młody wyjął z sakwy srebrniczka małego i dziadowi go rzucił.

— Praw, dziadzie!..

Mikul, jakby mu się słuchać nie chciało. poszedł do komory ciemnej, a ci co zostali, umilkli, ku dziadowi się obracając.

Dziad splunął i począł:

— Hej, stał dąb nade drogą, a szli ludzie podle niego. „Piękny dąb, dobry dąb“ — rzekł jden, gdy sobie dobrze zasnął, oparłszy się oń i cień nad głową od gałęzi miał.

A drugiemu, gdy się pod nim do snu ułożył, padł z dębu żołądz dojrzały z wysoka na oko i zranił źrenicę. Ten przeklinał dąb, jako zbója.

Nasz pan jest jako ten dąb wielki: jedni go chwala, drudzy klną, każdy sercu swojemu dogadza, a dąb sobie stoi jako stał.

Dawne to dzieje, za króla Krzywoustą się działo. Petrek u króla był i z królem naspół wojował. On wszystko umiał, a co król rzekł, rozstąpi się ziemia, zrobił, jak przykazano.

Bratał się król wówczas z ruskim kniaziem, zbratał tak, że się poswarzyli, kto lepszy? Wołodar, kniaź ruski, zdradził pana naszego; król rozsierdził się srodze. Złapać go, jak wiatru w polu, nie było można.

— Co mi dasz, królu panie? — pytał Petrek — związanego ci na twój dwór dostawię.

— Dam ci jego samego, weźmiesz okup, jaki zechcesz; ja dla siebie nie chcę jednej grzywny, tylko bym go w rękach miał.

I było tak, że Petrek niejeden już raz gościł na Rusi.

I jechał Petrek wprost na zamek kniazia samotrzeć i, przybywszy, bił czołem Wołodarowi.

— Król mój i pan pozdrawia was, kniaziu Wołodarze — mówił — chociażście wy mu wrogiem, pragnie pokoju z wami, śle mnie do was, abyście mir po staremu czynili. Ziemiami się podzielicie i w zgodzie żyć będziecie, jak na panów chrześcijańskich przystało.

Więc udobruchał się nieco Wołodar i szli razem na zamek, a kazał mu tylko milczeć, aby o królu Krzywogebie mówić więcej nie śmiał, to mu już dobrym będzie. Trzy dni gościł Petrek u kniazia. Mówili o wszystkim, a gdy Petrek króla wspomniał tylko, Wołodar pięścią w stół uderzał i wołał:

— Znać go nie chcę, Krzywomordy tego.

I tak trzy dni przeszło. Dnia trzeciego pili znów sam na sam, a wieczorem im niewiasty służyły i śpiewały. A była

przy Wołodarowej żonie plemienna jej, Światopelkówna Marja, piękna dziewczka, którą Petrek napatrzył, gdy im miód nalewała. I rzekł do Wołodara.

— Na świecie nad nią piękniejszej nie było i nie będzie!

Na co Wołodar odpowiedział, śmiejąc się:

— I nie weźmie jej nikt, chyba król, albo taki pan, co cesarskiej jej krwi godzien będzie!

A Petrek głową potwierdził i pili do nocy późnej. Żegnał Petrek Wołodara.

— Jadę jutro rano.

— Ja też jutro na łowy — odparł Wołodar — jedź ze mną razem, a twemu panu Krzywomordzie powiedz, że go znać nie chcę, bom mu wrogiem!

Nazajutrz dodnia jechali na łowy razem. Puścili się za łosiem. Petrek wiedział, gdzie konie swe i ludzie zostawił, i pokierował tak, aby Wołodar z nim w zasadzkę zajechał. I tak się stało, jak Petrek zamyślił. Z gąszcza lasu ludzie wypadli i pochwycili. Chciał się Wołodar bronić, ale mu wnet rzucili pęta na ręce i na nogi i przywiązanego do konia gnali ze sobą, nie ustając. Petrek wioził więźnia wprost na zamek, do króla. I stało się, że Petrek wziął okup ogromny i skarby Wołodarowe i Marję Światopelkównę za żonę — za żywot kniazia. I wzbogacił się pan Petrek, a król go swoim wojewodą uczynił, a umierając, nad synami opiekę mu dał. Z jeńca zaś wziął jeno przysięgę, że z nim wojować nie będzie.

Oto jak urośl pan nasz...

Gdy dziad prawił, noc była nadeszła. Wtem z gościńca poczęło się wołanie powtarzane.

— Bywaj tu! Bywaj!

Wybiegł Mikuł, przed gospodą na koniu siedział mąż strojny, stary, chudy, kościasty; czeladzi koło niego kręciło się kilkoro, a on wołał o światło i gospodarza i sierdził się.

Tymoch, korzystając z zamętu, do wozu swego się przysunął, konie pognawszy, na gościńcu wnet zaturkotał.

Na drodze znowu zatętniało i wóz drugi stanął u drzwi. Z długiego wozu dobył się duchowny w czarnej sukni. Tych naówczas więcej szanowano, niż rycerzy, więc Mikuł ręce mu całować i kolana ścisnąć zaczął, choć rozmówić się z nim nie umiał, bo on, czarny mnich, Francuzem był.

Rycerz i mnich weszli do izby pospołu. Młody podróżny został sam na uboczu. Od progu już stary rycerz i czarny mnich, języka o sobie wzięwszy, przystali jeden do drugiego.

Mnich otyły, rumiany, wesolej twarzy, wcale nie wyglądał na pokutnika, a ruchy miał więcej żołnierskie, niż klasztorne.

Stary rycerz, gdy miód podano, mnicha z kubkiem do stołu prowadził i dopiero teraz wzrokiem powiódłszy dokoła, trafił na młodego podróżnego, który stał sobie jako pan, nie okazując ani tiwogi, ani poszanowania.

Popatrzył nań srogo stary i ostro zagadnął.

— A tyś co zacz?

— Wolny człek, jako i wy — odezwał się zapytany.

— Przecież komuś służycie — mówił stary.

— Tak, jako i wy!

— Nie dogadać się z wami! — zawołał stary, kubka się imając.

— Szkoda, że języka waszego mało znam — rzekł mnich swoją mową — dobyłbym z niego zaraz, kto jest.

— Ojcie przewielebny — odparł, śmiejąc się, zdala stojący młody — jeżeli o mowę chodzi, jać waszą rozumiem niczego i tę, którą dalej na południu mówią, i tę, co ją szwab szwargocą.

Posłyszawszy to, oba, i mnich i rycerz, głośno się roześmiali, a stary zaraz powstał, rękę wyciągając.

— Siadajcie, bracie, z nami — zawołał — po minie znać, że do nas należycie. Suknia mnie zwiodła, staremu nie miejcie za złe!

Młody, wnet rozechmurzywszy twarz, powoli, z poszanowaniem do stołu przystąpił. Naprzód mnicha w rękę pocałował, potem staremu się poklonił, aż z boku na ławie, jak młodemu przystało, zajął miejsce.

Mnichowi tak jakoś rażno było, że znalazł dla gęby towarzyszków, z którymi się mógł rozmówić, że mu się już nazad do wozu, nań oczekującego, nie chciało.

— A dawnoście tu u nas w kraju? — zapytał stary.

— Już bo lat kilka — mówił mnich. — Co za kraj, co za powietrze! — dodał — niedźwiedzim tu żyć, którym Pan Bóg dał futra królewskie, nie nam, gołym ludziskom!

— Miły panie — odwrócił się, popiwszy do starego — ja mam imię Maura, z kraju Gallów pochodzę, wiecie, kto jestem i z jakiego opactwa, bom od św. Wincentego; dajcież wy się mnie znać.

— Ho, ho! — zaśmiał się stary — gdybym ja opowiadać wam chciał, com za jeden, słuchałoby się wam odechciało. Jam Żegota Zaprzaniec.

To mówiąc, spozirzał ku młodemu, a ten dopiero kołpaka nachyliwszy, nisko mu się poklonił.

Pomilecawszy trochę, stary pogłaskał brodę i tak począł:

— Jerzcze ojciec nieboszczyka króla, Bołko, dogorywał w Plocku, gdym ja, naówczas młodym będąc, nasłuchawszy się dużo o obcych krajach od obcych księży, zawział wielką ochotę je zobaczyć. Żył naówczas ojciec mój stary i dwu braci moich, Nawój i Sędziwój. Osiedliliśmy się z pra-starych czasów z rodem naszym wedle Krakowa; tam było gniazdo i ojczyzna Starżów. Gdym się u nieboszczyka ojca prosił, aby mnie trochę puścił w świat, ofuknął się, ani się chciał o tem nie chcąc. Więc ojcu już się nawet opowiedziawszy, pod pozorem łowów na młodym koniu siwym puściliem się naprzód na dwór królewski, a stamtąd z Niemcami, którzy byli z Magdeburga za jakąś sprawą posłani, a do siebie precz jechali, z nimim się wykradł do onego Magdeburga. Zaciągnąłem się do cesarskich wojsk wówczas, gdy sam cesarz Henryk chwiał się na swoim tronie. A teć wszyscy pono wiecie, jak potem cesarza syn jego rodzony więził i zamorzył, bo ze strapienia i zgryzoty zmarł Henryk stary. Ze służby ojca poszedłem do syna, choć mi temu ojciecójcy się żyć niebardzo się chciało. Tegom jednak dopiął z tym synem, czego z ojcem nie mogłem, bośny z nim pociągnęli na Włochy. Ale nie na długo. Do domu się bardzo tęskniło. Sławny też był to powrót — westchnął stary. — Rodzica mi żał było, żem go przy życiu nie znalazł. Było to jesienią, gdym się przywłókl pod Tęczyn samotrzeć. Postanowiłem próbować, czy też poznają. Braci obu za stałem jakoś doma, a gdym się oznajmił, że tej ziemi ojczycem jestem i u cesarzem służywałem, przyjęto mnie i ugoszczono. Jam w nich braci poznał łatwo, oni mnie, jako żywo, nie. U wieczerzy toły, gdyśmy siedzieli, rzeknę im, żem z cesarskimi po Włoszech się włóczę, widział i znał czleka, który się mienił z Krakowskiej ziemi od Tęczyna, a zwał się Żegota. Spozirzel po sobie, zdumieni trochę, i Nawój odezwał się:

— Był-ci to bodaj brat nasz, ale słyszeliśmy, że tam kędyś na obezryźnie głową nałożył, bo warchoł był zawsze z młodych lat!...

— I dobrze uczynił — dodał Sędziwój — że zginął, bo tu nie miał po co wracać.

Gdym się już do snu w szopie, opatrzywszy konia, układał, a była noc księżycowa jasna, posłyszałem szelest i patrzę, stoi we drzwiach szopy postać jakaś... Domyśliłem się, kto to był, bo przy wieczerzy, gdy niewiasty posługiwały, poznałem nadzorującą nad niemi starą Nanię, która mi niegdyś mamką była. Ta, obejrzawszy się dokoła, ostróżnie, pocichu przystąpiła do posłania mojego i po imieniu mnie wołać zaczęła. Nie zapierając się, wstałem i witać ją zacząłem, a ona mi do nóg się rzuca i błaga, bym uciekał zaraz, bo bracia, podejrzenie powziawszy, załim nie był Żegota, a bojąc się, abym ojcowizny cześć im nie zabrał, powzięli myśl, aby dla bezpieczeństwa do ciemnicy mnie rzucić i trzymać mnie w niej, ażebym się siebie wyrzekł, albo marnie w niej zezezł. Rzekłem niewieście, iż nie może to być, aby rodzeni bracia mieli na własną krew nastawać, i choć u nóg mych leżąc, błagała z płaczem, ległem spać, nie zznawszy strachu.

Jakoż nazajutrz pochwycony zostałem i wtracony do lochu. I gdyby nie stara mamka, która natychmiast do króla do Krakowa wybiegła i padła mu do nóg, błagając ratunku dla mnie, zginąłbym marnie.

Król z giermkami przybywszy, sprawiedliwość wymierzył i mnie życie uratował. Bracia kajali się, mówiąc, że przyznają mnie, ja zaś znać ich więcej nie chciałem. Wziąłem cześć mojej ojcowizny, zaczęm się nazwać Zaprzańcem i dzieci moje nosić beda to imię, aby pamięć przygody mojej zachowała się na wieki.

Dokończywszy opowiadania, stary westchnął, a młody podróżny odezwał się, że o historji tej dużo słyszał, a szczególnie był, że na swe oczy oglądał tego, który tyle cierpiał i doświadczył.

— A żebyście wiedzieli — rzekł po chwili młody, ktem i ja jest, bo się z rodem moim taić nie chcę, opowiem o sobie. Zwę się Markiem Jaksą z Miechowa, a krwi jestem jednej z księdzem Janikiem, który biskupem jest na wrocławskiej stolicy. Ksiadz Janik ledwie o mnie słyszał, drudzy też nie więcej, bo przez ojca oddany byłem na naukę do klasztorów i na dwory niemieckie; a dopiero co do domu wróciłem, więc

mało kogo widziałem, przy matce siedząc, a dziś oto w czasie łowów zbłądziwszy, aż tu pod Wrocław zajechałem.

— No, to wam się teraz najlepsza nadarza zręczność, abyście ks. Janika odwiedzili i pana Petrka...

— Wcale go nie znam — odparł Jaksa — a prawdę rzec, i poznawać go nie śpieszę, takie o nim dziwne prawią.

A stary Żegota rzekł:

— Od niego jadę, znam go dobrze! Młodemu, gdy do niego przystęp mieć może, zdala się trzymać byłoby złem, bo przy nim urosnąć łatwo, a bez niego w tych krajach ciężko coś zrobić.

— Potężny jest — dodał mnich.

— I nieprzyjaciół też ma — dokończył Żegota — a z nieprzyjaciół jego najstraszniejsza jest... niewiasta... żona księcia Władysława — Agnieszka, Niemka.

— Przecz go tak nienawidzi? — zapytał Jaksa.

— Łacno dojść — odparł stary. — Agnieszce marzy się być królową. Król nieboszczyk Krzywousty, umierając, ziemię między synów podzielił, młodszego, Kazimierza, Bogu ofiarowawszy. Cesarskiej krwi Agnieszce nie chciało się i nie chce być księżną, więc dobrego męża pędzi i zmusza, by braciom ziemię odebrał, a królestwo utworzył. Tego i biskupi nie chcą i pan Petrek pilnuje. Stał do Petrka nie nawiść wielkiej pani i niemieckiego jej dworu.

A ojciec Maur, napiwszy się miodu, dodał:

— Już i dlatego warto poznać dom pana Petrka, że nigdzie nie zobaczycie ani macierzy takiej powagi, jak księżna, żona Petrka, ani córki takiej piękności, jak ona Beatrix, którą tu zwą Błogosławą, rajski kwiat!

— Szczerście to jest popatrzeć na nią — potwierdził Zaprzaniec — dwór tam gościnny, a powinowatego przyjmą serdecznie!

— Jechać teraz — odparł Jaksa — na dwór pana Petrka nie przystało mi, bom oto sam, jak palec, z dwojgiem psów tylko, bez odzieży, bez łańcucha, bez dworu, a tak mi się stawić dla pamięci ojca się nie godzi.

Po tej rozmowie szli wszyscy spać na siano do szopy. Noc była chłodna, gwieździsta i cicha. Spokój zapanował w gospodzie, lesie, na świecie, tylko pułacz gdzieś zdala wróżył, odzywając się posępnie.

Ranek jesienny, trochę mglisty, obiecywał piękną pogodę. Już też w izbie u Mikula jużno było. Z noclegujących pod szopą pierwszy, co się ze snu pościu zerwał, był thusty mnich. Na wóz się wdrapał i, nie żegnając swych towarzyszy, ku miastu poganiać kazał, w drodze głośno od-mawiając pacierze.

Zaprzaniec za nim ruszył drugi, a wprędce potem zerwał się Jaksa i, przed gospodę wyszedłszy, poglądał na gościniec, wążąc jeszcze, co lepiej: nawracać do domu, czy do miasta. Słońce wzbijało się z za obłoków, czas i jemu było ruszać, pożegnawszy więc serdecznie Żegotę, konia chłopcu kazał podawać, na psy świsnął i, dosiadłszy rumaka, dał mu rozstrzygać o tem, gdzie ma jechać dalej.

Koń, prychnąwszy, zawrócił ku Wrocławowi, dlatego może, iż w tę stronę więcej wozów i ludzi ciągnęło.

— Gdyby jakim szczęściem dało się zobaczyć ową błogosławę — myślał Jaksa, jadąc — dobrześby to było!

Tego się trochę spodziewał, bo młodemu o dziewczęciu marzyć ludzka rzecz.

Tak myśląc, jechał Jaksa powoli.

Ujechałszy kawał spory, w tumanie kurzu ujrzał orszak jakiś, a przybliżywszy się, więcej się domyślił, niż poznał na pysznym koniu, okrytym kapą, powinowatego swojego, biskupa Janika z Brzeźnicy. Za nim dwu czeladzi niesło łuki, kołczany, oszczepy. Pomawiano też o nim, że więcej rycerzem był, niż duchownym pasterzem, o co on mało dbał, bo swój obowiązek pełnił pilnie.

Psy biskupie gromadą wielką po polach się właśnie rozbiegły, a że Jaksowe tam były, padły na się sobaki, warząc i do gryzienia się zabierając. Zwróciło to uwagę ks. Janika i, spostrzegłszy Jaksa, wcale go nie poznając, pytał:

— Wasze to psy?

— Moje!

— A skąd te psy macie?... U kogo służycie!...

Ciężko było Jaksie panu stryjecznemu wyklamywać się, zdjął więc czapkę i zbliżył się.

— Daruj mi miłość wasza, że w tej sukni przed nim stoję, alem się zbłąkał, a nie śmiałem przed nim się stawić, wypadkiem się tu znalazłszy. Jestem Marek Jaksa z Miechowa.

Biskup, cugle koniowi puściwszy, ręce podniósł:

— A niepocziwy!... — zawołał — i mijalesz mnie tak, nie dawszy się znać!... — a zwróciwszy się, na swoich zawołał:

— Słuchaj, Drygás! oto ci wziętego jeńca na ręce oddaje, byś mi go strzegł i zbiedz mu nie dal! Słyszysz? Ugość go u mnie we dworze, ja też niebawem powrócę, ino się z psy przejadę trochę! Żebyś tam na mnie czekał.

I pogroziwszy łagodnie Jaksie, który, koniem mu z drogi ustąpiwszy i w rękę pocałowawszy, ruszył ku miastu sam w polu zawrócił.

Jechali tedy: w trop za Jakśa Drygas, coraz się oglądając za orszakiem biskupa, aż i miasto się wyraźniej z za wałów sypanych, ostrokołów i tynów ukazywać już zaczęło.

Właśnie, gdy mimo Sobótki przeciągać mieli, dzwonek się nad kościelkiem odzywać począł. Zwrócił się Jaksa do sługi:

— Radbym mszy posłuchał — rzekł.

Właśnie podjeżdżali do perkanu, opasującego cmentarz i kościół; tu Drygas psy na sznur wziął, a Jaksa przez wrótko do bocznych drzwi kościelnych iść zaczął.

Naprzeciw wrót cmentarza, któremi szedł, była w murze furta strojna, wiodąca w stronę dworca pana Petрка. W chwili, gdy Jaksa jednymi wrotami wchodził, otworzyły się i drugie, a przez nie weszły dwie niewiasty, a za nimi służebna, niosąca poduszki. Z dwu niewiast pierwsza poważna, niezbyt już młoda, o pięknej twarzy, jaśniała jeszcze pięknnością córek północy. Na sukni ciemnej, obcisłej, długiej, płaszcz lekki, podbity szkarlatem, narzucony był na ramiona.

W idącym za nią dziewczęciu, młodzieuchnem z rysów i oblicza, łatwo poznać było jej dziecię. Twarz miała białą, jak śnieg, z modremi oczami, jasne włosy okalały twarzyczkę w plecionych kosach, długo spadając na ramiona. Coś dziecinnie wesołego patrzyło z jej oczu.

Tak samo, jak na przelatujące wróble, poczęła patrzeć na stojącego u wrót Jakśa, po dziecinnemu, ciekawie, śmiało; lecz gdy się z jego oczami spotkała, twarzyczka się jej zarumienila, zmarszczyła brew i odwróciła wejrzenie.

Wtem matka weszła w ciemne drzwi kościelne i znikły w nich obie. Jaksa stał jeszcze chwilę, a potem i on posunął się ku kościelowi.

Niewielki, ale wspaniały był ów benedyktyński kościółek, znać w nim było rękę pobożnego fundatora.

Jaksa patrzył na świętych z kamienia, ale więcej jeszcze na posąg ten żywy, na to dziewczę, klęczące z matką u ołtarza. Młodzieniec stał zadumany i ani czuł, ani widział,

gdy msza się skończyła, a matka z córką świątynię opuścili.

Wtem ktoś go zlekka za suknię pociągnął; odwrócił się i ujrzał ojca Maura.

— A cóż? — odezwał się ten cicho, nie mówiłem wam, że do tej cudnej Beatryks modliłoby się można?

— Któż ona jest? — zapytał roztargniony Jaksa.

Roześmiał się mnich.

— A któż, jeśli nie pani Petrkowa z córką!

Jaksa śpiesznie go pożegnał i dziwnie nieswój do dworu biskupiego z czekającym go Drygasem wyruszył.

Stary sługa biskupi postarał się zaraz o to, aby gościowi wyznaczono izbę i aby głodny nie był. A że naówczas nie znano zwyczaju noszenia jadła do domu, musiał Jaksa zniść do wielkiej izby na dole, która była rodzajem gospody i refektarza dla gości. W godzinie tej właśnie ogromna izba pełna była ludu najrozmaitszego. Czeladź roznosiła misy, a stoły obsiadali pielgrzymi, rycerstwo i ziemianie. Każdy z jakąś sprawą przyhywał.

Jaksa wszedł w tę wrzawę, szukając sobie miejsca, gdy niemłody człeczyna, tęgiej tuszy, tak że niewiadomo było, czy więcej go na wysokość, czy go na szerokość urosło. Opie- to odziany, zdawał się ledwo w sukni mieścić, jął mu się bacznie przypatrywać, a po chwili pośpieszył zdyszany do Jaksy.

— Albo ty być musisz Jaksa z Miechowa, lub jam ślepy i głupi! — zawołał okrągły człowieczek.

— Jam ci jest — odezwał się wesoło młody — a stryj co tu poczynasz?

— To ty nie nie wiesz — rzekł stary — synom odda- tem mienie, a sam bratu przybyłem marszałkować. Z wiel- kiego pana ot na com zeszedł na starość: siedzę na łasce. Brzuch mnie zgubił!... Na konia siąść nie mogę, ot i siedzę u brata!

Jaksa mu do ucha opowiedział swą przygodę i przy- bycie.

— Dobrze, że mu się pokłomisz — szepnął stary Żula — pan jest mocny, ale swoim bn nie nie pomoże, bo go obcy objadają!

To mówiąc, pociągnął za rękę bratanka ku stołowi, starając się ugościć krewniaka. Kleryk w sukni czarnej około gościnnych stołów gospodarzył, utrzymując przy nich porządek.

*

*

*

Jaksa, który na krótki czas z domu dla łowów był wyruszył, pochwycony przez ks. Janika, który go od siebie puszczać nie chciał, siedział już dni kilka na biskupim dworze.

Pierwszego dnia zaraz biskup wysłał konnego sługę do pani matki z oznajmieniem, iż się synowi nie nie stało, że go stryj u siebie ugaszcza, bo mu z serca rad. Przez posła tego Jaksę nakazał do domu, aby ludzie jego, dwór i odzież przybyła, nie chcąc tu jak jakiś przybłęda wyglądać.

Zabawiali się tak przy zamkniętych drzwiach sami, z Żulą i biskupem o łowach, psach i ptakach rozprawiając. Biskup tak samo, jak psy łowieckie, lubił i hodował sokoły. Owó zamilowanie biskupa dziwnem się naówczas nikomu nie wydawało, bo nie było między mieszczany i możniejszemi człowieką, któryby z dzieciństwa się z łowiectwem nie zżył, tak że ono mu w nałóg i obyczaj poszło.

Gdy wieczorem jednym, właśnie we trzech zasiadłszy, o psach rozprawiali, posłyszeli hałas i ruch wielki w pierwszych izbach.

— Nie kto inny mi się tam dobija, ino pan Petrek — rzekł, śmiejąc się, ks. Janik i skinął na Żulę, który zaraz wybiegł, a Jaksie, który się chciał wycofać, kazał zostać przy sobie. Jakoż w chwil parę żwawo miotając się, wkroczył do izby człek niemłody, silnej budowy, odziany tak, żeby go z wejrzenia nikt nietylko palatynem, ale starostą na małym gródku nie poznał; buta tylko była rycerska. Twarz czarna, egorzała, rysy niezbyt wdzięczne: orli nos dużą część twarzy zajmował, a resztę broda ciemna, a rudawa pod światło. Na obliczu duma, lecz gdy się uśmiechnął, z duszy dobroć ukryta na twarz wychodziła. Śmiał się też rzadko.

— Do miłości waszej, pasterzu nasz, już bo się i dostać nie można! — zawołał od progu, biskupa przystąpił w rękę pocałować, a ten dotknął usta głowy jego.

— Nie kazałem puszczać obcych, bom chciał być sam z bratankiem — odparł, śmiejąc się, biskup. — Ale was, imię panie Petru, zawszem powitać rad!

Usiadł gość, oczu z Jaksy nie spuszczał. Zwrócił się wnet cały ku niemu i jał badać o życie, o podróż, o naukę, o to, co lubił i co mu było miłe. Wśród tego badania Żuła postarał się o wino i o kubki. W ostatku, gdy Petrek pocichu coś biskupowi szeptać zaczął, Żuła z Jaksą z izby się wysunęli. Palatyn powstał z siedzenia i przybliżył się do ks. Janika.

— Niedarmo się ja — rzekł — do miłości waszej tak dobijał. Radzić coś trza! Z Krakowa coraz gorsze wieści dochodzą!

— Co zaś! — odezwał się biskup.

— Władysław, pan nasz, nie winię go, do zbytku pono dobry i miękki człek jest, a Agnieszka niewiasta chytra i dumna! Grożą nam niepokoje... na złe go żona prowadzi... Mało jej księżną na jednym grodzie być! Ile razy nasi Piastowie Niemki brali, zawsze nam z niemi wojny przychodziły i niepokoje!

Biskup westchnął i jął uśmierzać zajątrzonego, jako że wszystko to plotki ludzkie jeszcze być mogą.

— A bratanek wasz — zagadnął Petrek — myśli? Młody jest, rycersko wygląda?...

— Nie nie wiem — odpowiedział biskup zwolna — rażny i roztropny jest, gnuśnieć mu szkoda.

Po chwili, pokłoniwszy się biskupowi, palatyn do wyjścia się zabierał. Jaksa z Żulą wyzali go żegnać i do drzwi powiedli, a sam Jaksa aż do konia.

Przybył wreszcie i szatny z Komorowa od matki Jaksa, który mógł się przyodziać tak, aby na dworze pana Petrka stanął bez zasromania. Dosyć liczny, strojny dwór za biskupem i Jaksą podążał, Markowi bowiem matka ludzi jego przysłała, aby samopas nie szedł, bo samemu wstyd było się ukazać na dworze.

Gdy do dworca pod Sobótką przybyli, Jaksa, który wiele słyszał o bogactwach i mocy Petrka, zdziwił się trochę, mieszkanie jego zobaczywszy. Z powierzchowności domostwo wcale wspaniałem nie było.

Gdy biskup z Jaksą ukazali się we wrotach, wnet we drzwiach ujrzeli wychodzącą panią Petrkową i syna jej, nieknego młodziana. Oprócz nich i samego pana Petrka, tuż za nim ukazał się czarno zarosły mąż, strojny, trzymający się w boki: był to sędzia wrocławski, Rogier, druh wielki i najlepszy sługa pana Petrka, prawa ręka jego. Za Rogierem ukazał się nieodstępny tu prawie opat, Anzelmus.

Przybyli wkroczyli do wnętrza domu, do tej części, która dla przyjmowania gości była przeznaczona. Różniła się ona wielce od drugiej, w której sam Petrek zamieszkiwał. I o ile ta ostatnia była prostoty pełna, o tyle dla gości komnaty były prawie królewskie, suknem wystlane, a zbroją i kosztownymi oponami obwieszane. Izb takich okazałych ciągnęło się kilka za sobą.

Gdy wchodzili do trzeciej komnaty, Jaksa ujrzał w progu dalszych mieszkań stojącą Błogosławę, która w białej sukience, z wianuszkiem zielonym na rozpuszczonych włosach przysła przykiwnąć przed księdzem Janikiem, prosząc o błogosławieństwo. Z tych drzwi czarnych wchodząc, zdawała się zjawiać, jakby cudem, a w izbie stało się od niej jaśniej i weselej.

Ucałowawszy rękę biskupa, znikła znowu za ciemną oponą, nim Jaksa, olśniony, przypatrzyć się jej zdołał. Wiadział jednak, że, gdy się przesuwala, wzrok jej padł na niego i że go poznać musiała, choć tak, jak i pani Petrkowa, znać po sobie tego nie dała.

Gdy starszyzna po cichu wiodła rozmowę ze sobą, Światosław, z Jakśa jednolatek, do niego się przywiązał. Dobra znajomość pomiędzy rówieśnikami wnet została zawartą, wyszli zaraz do drugiej izby, swobodnie na ławie siadłszy, rozgadać się o młodzieńczych sprawach. O czemże, jeśli nie o psach, koniach, sokolach i zbrojach?

Wtem z drugiej komnaty biskup bratanka wołać zaczął; Jaksa pośpieszył na wezwanie.

— Słuchaj-no, mój miły — rzekł ks. Janik, zwracając się do niego — oto ci się z porady pana Petrka przygodzi, iż darmo doma gnuśnieć nie będziesz, bo to młodemu nie przystało. Jakby ci się to zdało, gdybyś, listami opatrzone, na dwór księcia Władysława jechał i tam rycersko się zabawiał?

— Potrzeba, ażebyście tam jechali — dodał poufnie, zniżając głos nieco, Petrko — i dla was się to zda, i dla drugich. Tylko nie dworować okolo Niemki, która jest zła i zdradliwa, a starać się o zachowanie u księcia.

Jaksa dziękował panu Petrkowi za dobrą wolę.

Rozmowa przeciągnęła się trochę jeszcze, aż do zmroku, poczem biskup ruszył się, do odjazdu zabierając.

Weselszy daleko, niż jechał na ten dwór, powracał Jaksa z biskupem.

Stary gródek, w którym podówczas przemieszkiwali Jaskowie, co się z Miechowa pisali, był w Komorowie i sławił się, jako najstarsze w tej ziemi gniazdo rodu Jaksowego. Jak wszystkie te przedwieczne grodziska, otoczony był lasami, a zdawała na to, czem był, nie wyglądał. Opowiadano

tylko, że w wykutych w ziemi izbach i komnatach stały kądzie złota, leżały stopy srebra, jak w lesie drzewo, gdy je rąbią i składają.

Do dworu wiodły wrota z wieżycą. Pośrodku dziedzińca stał dwór stary z ogromnych modrzewiowych kłoców, jakby na wieki zbudowany.

W Komorowie mieszkała matka Jaksowa, pani wielkiego rodu. Poganką ją pono zaswatał był stary Jaksa, przywiózł na dwór swój, ochrzcił i tu się dopiero nowej wiary uczyć musiała. Miał po niej wziąć skarby bardzo wielkie, ale i w niej samej skarb wziął bo niewiasta była osobliwa, której nie jeden mąż sprostał. Teraz już, lat mając sześćdziesiąt, Jaksowa silna jeszcze była, niewczas i niewygodę znosząc jakąś siłą młodą, która w niej została. Nosila się napół po męsku, w butach chłazając, w sukni krótkiej, z nożem u pasa.

Od kilku dni spodziewała się pani Jaksowa syna. Na wieczór wreszcie dnia jednego zjawił się młody, matce do nóg się kłaniając, która do piersi go przycisnęła.

Począł tedy Marek od początku przygody swe opowiadać. Nawykły nie nie tać przed matką, mówiąc o Błogosławie, tak się rozciągał z pochwałami i opisy, iż matka poznała łatwo, że mu się dziewczę mocno upodobać musiało.

— Dziewucha piękna być może — odezwiała się matka — ale ona nie dla ciebie, a ty nie dla niej. Nie dlatego, abyś jej nie był wart, bo Jaksowie od innych kniaziów nie gorsi! Pamiętaj jednak o tem, że pieniądze i skarby, zdradą kupione, nie szczęszczą się. Czem Petrek tak wielkim się stał? Na wojnie zdobycz, choć krwią zboczona, swoją też jest obmyta, a ta... — potrząsła stara głową.

Przyznał się dopiero Jaksa, że go na dwór ks. Władysława wysyłać chcą.

— To już inna sprawa — mówiła Jaksowa — ja ni za tem, ni przeciw temu. Nie radabym cię wypuszczać z domu, inaczej sobiem ukladala, ale doli ciębieś się trudno. Rozmów się jeno wprzód z księdzem Marcinem; stary kocha cię, jak ja, a Kraków i ludzi zna. Posłyszysz, co on powie.

Ksiądz Marcin był pierwszym nauczycielem Marka, wychował go narówni z matką, nie dziw też, że jego rady zasięgnąć pragnęła, gdy chodziło o jedynaka.

Nazajutrz rano ksiądz Marcin się stawił. Gdy zobaczył chłopca swego, z radości mówić nie mógł, patrząc i lubując się, na jakiego pięknego młodzieńca wyrósł. Długo

w noc radzili potem we troje, co czynić należy. A widząc, że młodemu piino w świat, nie nalegali, by został, jenc, błogosławieństwa udzieliwszy, przyzwolenie dali.

Tylko o Petrku mowa była trudna.

Matka raz wraz obruszała się na starego palatyna, i Jaksa spostrzegł, że z matką już o pięknej córce Petrkowej mówić nie było sposobu, nomyślał sobie w duchu jednak, że gdyby ją raz przywiózł do Komorowa, matka-by ją, podąsawszy się, za córkę przyjąć musiała, a urokowi jej oprzećby się nie mogła.



Po Krzywoustym wziął Władysław Kraków, mało jeszcze mając czasu coś w nim odmienić. Ale ojciec jego panował stąd całej ziemi, jemu przypadła część jej tylko i prawo braterskiego starszeństwa, głowy rodu i domu.

Zamek roił się Niemcami, których to moc przybyła za księżną Agnieszka, żoną Władysława, a i ci z domowej służby, którzy nimi nie byli, na sposób niemiecki uzbrojeni chodzili.

Cdy Jaksa przybył do Krakowa z listami biskupiem i zaleceniem od Petrka, dosyć dworno, w kilkanaście koni, obyczajem ówczesnym, gdy gospod dla rycerstwa w mieście nie było, wprosił się do bogatego mieszczanina, Lorka, który Jaksów znał i chętnie ich u siebie podejmował. Stąd dopiero, przyodziawszy się, miał się udać do biskupa i do księcia Władysława.

Stojąc jeszcze na ulicy, a rozglądając się, postrzegł od zamku idącego strojnego i zbrojnego mężczyznę. Młody chłop ów, wyglądający na dworaka, dziwnie przypominał Jaksie młodego Helmuta, Niemca, którego był znał i przyjaźnił się w Niemczech, na naukach przebywając.

Jaksa szybko podskoczył ku idącemu.

— Helmut?!

— Jaksa?! — zawołali prawie razem.

— Żem ja się tu znalazł, dziwu niema — roześmiał się Jaksa — ale wy?

— Jestem przy dworze księżny Agnieszki — odezwał się Niemiec — a ty?

— Ja także na ten dwór myślę się dostać, ale nie wiem sam, czy będę przyjęty i czy się tu pomieszczę.

Tak rozmawiając, pociągnął Jaksa Helmuta do izby, która Lorkowa dla gościa opróżniła, i teraz dopiero szerzej

rozmawiać poczęli. Helmut zapewniał, że pani młode twarze i młodych ludzi lubi, a radaby świetnym otaczać się orszakiem.

— Ja bo księżnie służyć nie myślę — przerwał Jaksa.

— A komuż? — spytał Helmut.

— Księżciu — rzekł Marek.

Roześmiał się Nicniec i dziwną zrobił minę, jakby go sobie bardzo lekko ważył.

— Nie ujmuję waszemu księżciu — rzekł — zacny pan jest, ale przecie przy siostrze cesarskiej on niewiele znaczyć może. Udasz się do księcia, on sam nie uczyni nic, odeśle cię do Dobka, Dobek zapyta księżnej Agnieszki, a że ona zwykła się zdawać na niego, wyszłoby na jedno, gdybyś od razu wprost Dobkowi się poklonił.

Jaksa, chociaż słyszał o ulubieńca księżnej, udał, jakby go nie znał, nie wiedział o nim, pytając:

— A Dobek ten cóż to zacz?

Na to pytanie Helmut ręce załamał.

— Skądże ty przybywasz? U księżny Agnieszki on wszechmocny, marszałkuje u niej, jest pierwszym jej doradcą, a reszty możesz się sam domysleć, bo mi się mówić nie godzi.

I Helmut poczał się śmiać.

Po rozmowie tej z przyjacielem lat dziecinnych, udał się Jaksa na dwór biskupa Ruperta Korabita. I od niego usłyszał to samo, co od Helmuta. Biskup nie mógł mu w niczem pomóc, gdyż Dobek wszystkiemu tu był i jego tylko prosić o przyjęcie do dworu należało, nieczyje zaś pośrednictwo zdać się nie mogło. Nie pozostawało więc Jaksie nic, jak samemu pociągnąć na dwór i drogę sobie torować. Nie myślał jednak za radą Helmuta iść i Dobka szukać, ale wprost księżciu się stawić.

Zaraz więc nazajutrz na zamek się wybrał.

W bramie znalazł straż niemiecką z halabardami, w dali pode dworem widać było liczną, zwijającą się czeladź, odziana barwy jasnymi, strojną i żwawą.

Tu i owdzie starzy słudzy na zapytanie o pana, trochę okazawszy zdziwienia, iż ktoś zapragnął widzieć księcia Władysława, powiedzieli mu, że książę nocą z łowów powrócił i jeszcze zasypia, ale wkrótce się pewnie obudzi. Dodał jeden, wskazując, że, jeśli chce, poczekać tam może.

Zbyt długo się tu napróżno wyczekawszy, Jaksa miał odchodzić z niczem, gdy jeden z podkomorzych dał mu znak, że książę wynijdzie wkrótce. Na tego przybysza niezwy-

klego wszyscy też patrzyli mocno zaciekawieni i zdumieni, jak gdyby się nigdy nie trafiało, by kto ze sprawą lub prośbą do księcia się udawał.

Naostatek podniosła się zasłona, przodem wystąpiły dwa psy ogromne, za nimi szedł stary otyły mężczyzna z laską, po nim dopiero sunął książę, którego Jaksa domyślił się z tego, że miał głowę nakrytą, gdyż postawy pańskiej nie miał.

Blisko pół wieku już przeżywszy, Władysław na twarzy wyryte miał jakby zubożenie do życia; spokój i łagodność oblicza graniczyły z odrętwieniem.

Zobaczywszy nieznanego Jakse, książę mocno się wpatrzył w niego.

— Miłościwy panie! — odezwał się młody, schylając mu się do kolan — jestem Marek Jaksa z Miechowa.

— Jaksa? — powtórzył książę. — Jaksów wiem. Cóż chce Jaksa z Miechowa?

— Przychodzę służby moje ofiarować miłości waszej. Podniósł rękę książę, dumal niepewny jakiś i rzekł:

— Dobrze, do Dobką z tem. To jego rzecz — tak, do marszałka, do Dobka.

Poniósł oczami dokoła, ziewnął i począł iść dalej. Jaksa stał, nie wiedząc, co ma czyrieć.

Rozkazanie pańskie spełnić było potrzeba, zawrócił więc nazad w podwórze i rad nierad u dworzan począł pytać o marszałka Dobka.

Marszałek był już u swej pani, czekać mu nań kazano. Miał czas przypatrywać się dworowi, wesołemu, strojnemu, a śnać w dobrym bycie, bo sobie wszyscy cugli popuszczali.

Wyszedł nakoniec Dobek od księżnej. Marszałek, spojrzawszy na Jakse, za sobą do izby swej iść kazał.

Był to piękny mężczyzna, wzrostu okazalego. Strojny aż do zbytku, oblicze miał wesołe i rumiane, oczy jasne, ale jakby szklane, nie mówiąc nic. Dobek, który, choć nań patrzeć było miło, ani rozumu, ani w sobie nie szlachetniejszego nie miał.

Oba też z Jaksa, jak to często się trafia, od pierwszego wejrzenia powzięli jakąś niechęć ku sobie.

Począł tedy Dobek prawie niejasno coś, że wkrótce ludzi rycerskich potrzebować bardzo będzie, zatem i Jaksie miejsce w wojsku poczesne łatwo się znajdzie...

— Jeżeliście u pana stryja waszego bywali — rzekł — to i pana Petrka widzieliście?

Przy słowach tych widać było, że samo wspomnienie Petrka gniew w nim wielki obudziło.

— Małom co tam widział, bom i niedługo był — rzekł Jaksa.

— To szkoda! — zawołał szydersko Dobek — dużo u nas panów i panów na ziemiach, które księciu naszemu, jako starszemu, wszystkie się należą, godziłoby się trochę uczynić ludu, aby znali, kto tu jest panem. Wy służby potrzebujecie u księcia, a nam ludzi brak, więc łatwa zгода. Zbierzcie ludzi sywych, uzbrojcie, aby na zawołanie stawali, to będzie służba wasza. Starajcie się być w pogotowiu, nagroda nie minie!

Jaksa, wysłuchawszy, poklonił się i wyszedł znużony.

Nie było co robić w Krakowie. Nasłuchawszy się więc, co tu knowano, a przytem dowiedziawszy się, że Dobek naprzód Petrka sprzątnąć się będzie starał, jako że go za najniebezpieczniejszego uważał i miał dawniej jeszcze srogą zemstę mu przysiąc za to, że mu ongi Petrek córki swej Błogosławy za żonę dać nie chciał, Jaksa miał już z tem wprost do biskupa Janika powracać, gdy dowiedział się, że palatyn Wszebór z Sandomierza przybył do Krakowa.

Stary Wszebór był druhem ojca Jaksy i mężem powagi wielkiej w narodzie. Nie chciał więc Marek jechać stąd, nie poradziwszy się jego. Nie tracąc więc czasu, stawił się Jaksa u Wszebora, wypowiedział mu się ze wszystkiego i obawy, jakie miał, aby się nie zamąciło wkrótce dokoła.

Palatyn słuchał, siedząc, a wąsa szarpiąc, wkońcu rzekł te słowa:

— Nie inaczej, tylko cię tu Opatrzność Boża zesłała w porę! Petrek miał sobie zleconą ostatnią wolę króla i opiekę nad książętą: szanować go muszą, niech on tu zjedzie, niech prawdę rzecze i zagrozi, my go poprzemy: ja i biskupi wszyscy. Hamować trzeba księcia. Niechaj zjedzie tu Petrek co rychlej, a choćby pogrozi, ulękna się może, póki czas. Jedźcie — powtórzył Wszebór — ode mnie w poselstwie, zaklinajcie i proście, niechaj wystąpi.

Tak odprawiony Jaksa, ledwie do siebie wrócił, konie siodłać kazał i puścił się w drogę.

Gdy Jaksa po dniach paru podjechał pod dwór pana Petrka, była północ. Wnet kazał się do niego prowadzić, nie chcąc tracić ani chwili.

Petrek w swoich izbach własnych, jak prosta chata urządzonych, napół rozdzielany, podobny do starego chłopca, który tylko co robotę porzucił, w koszuli grubej, siedział na ławie.

— A was tu co o takiej porze przyniosło? — zawołał.

— Pilna sprawa — odparł przybyły.

Jakoż zaczął wyluszczać Petrkowi, z czem został przysłany.

Wstał Petrek z ławy, wysłuchawszy wszystkiego, i rzekł:

— Pojadę! zrobię wszystko, co powinienem! Choćby głowę przyszło dać! A waści, Marku, biorę z sobą, zdacie mi się!

Jaksa poczuł się dumny i na sercu było mu błogo...

— Pójdę z tobą, miły panie, na kraj świata! — zawołał — lepszego przewodnika i opiekuna mieć nie mogę.

Gdy dobry dzień się zrobił, w dziedzińcach żwawo się gotowano do drogi.

Ten, co w domu jak prosty kmieć chadzać lubił, co pił najmilej z kubków glinianych, choć miał złote, gdy mu się trzeba było okazać, całe innym się stawał, brał się za pański strój, wiódł dwór pański i przeistaczał się w możnego władkę. Sto kilkadziesiąt co najprzedniejszych koni towarzyszyć miało Petrkowi.

Po mszy rannej Światosław szepnął Jaksie, iż pani matka chce z nim mówić na osobności. Niepomalu zdziwiwszy się temu, Jaksa z wielkim pośpiechem poszedł ze Światosławem, który bocznymi drzwiami wprowadził go do świetlicy samej pani.

Izba była tak bogato strojna, jak te, w których gości przyjmowano; ona tu z córką i służebnymi robotami się zajmowała.

W izbie nie było nikogo, oprócz pani Petrkowej, która w sukni obeisłodszej, z głową odkrytą, na której tylko małe czółko miała, jeszcze jako urodziwa niewiasta z niejedną młodszą mierzyć się mogła.

Gdy Jaksa wchodził, w drugim rogu świetlicy stała jeszcze, poprawiając złote włosy, Błogosława, ale natychmiast zniknęła. Spojrzała nań tylko, nie sromając się, jak na domownika, i włosy zgarniając białymi rękami, uszła.

Zjawisko to tak było uroczo piękne, że, pokłon matce oddając, Marek w tamtą stronę oczy wlepił i patrzył w dżącą zasłonę, jakby się jego powrotu spodziewał.

Petrkowa z powagą zbliżyła się do Jaksy.

— Jedziecie z moim panem — rzekła do niego, — słyszcie, że do Wszehora. Bogu wiadomo dokąd, ja muszę wierzyć, że tam, gdzie on powiada. Ufać wam musi, gdy bierze z sobą do hoku; strzeżcie go, proszę. On sam nieostrożny jest, śmiały i gwałtowny.

Patrzcie, proszę, aby mu się co złego przez prędkość jego nie stało. Ile razy odjeżdża, w trwodze mnie rzuca! Pilnujcie go dobrze, proszę, a strzeżcie.

Zdjęła piękna pani pierścień z palca z okiem dużym i poczęła okręcać go w rękę trochę zakłopotana.

— Wiem, że to wam niepotrzebne — odezwała się, wyciągając ku niemu — bo wy swoich klejnotów macie dość, ale bądźcie o mej prośbie pamiętali, proszę, weźcie go ode mnie.

— Miłościwa pani — odpowiedział Jaksa — i bez pierścienia przykazania waszego nie zabyłbym pewnie.

Białą ręką, którą ucałował, weisnęła mu pierścień, a gdy oczy ku zasłonie zwrócił, ujrzał ją uchyloną i w niej piękną twarzyczkę, która, skinąwszy mu na pożegnanie, znikła.

W komnacie zamku krakowskiego, na złoconem krześle, siedziała lat średnich pani, wzrostu, jak na niewiastę, wyniosłego dość, twarzy pociągłej, oczu czarnych, cery żółtawej, z wyrazem gniewnej dumy na czole. Była to księżna Agnieszka.

Naprzeciw niej, na ławie okrytej siedział mąż jej, książę Władysław. Osobliwy miał w tej chwili wyraz twarzy — znekany, zrezygnowany, zastygły.

— Wahasz się jeszcze, wahasz zawsze? — wołała księżna, rzucając się na swem siedzeniu — gnuśnik jesteś! do niczego! Kądziel ci praść, nie berło trzymać!

Pod gradem tych wyrzutów książę siedział ze spuszczoną głową, milczący, jak człowiek, co się nie ma gdzie schronić przed ulewą; rozpościierał ręce i składał, ruszał się jak do wyjścia i siedział. W ostatku dopiekło mu snąć, za głowę się pochwycił.

— Dość już — zawołał — dość! Czynię, co mogę, czynię, co chcesz, a jeśli to na zle wyjdzie tobie i dzieciom naszym, nie ja winien będę, nie ja, Bóg mi świadkiem.

Wtem u drzwi kroki słyszeć się dały; księżna obróciła głowę, poznała już, kto szedł, i lice się jej rozjaśniło.

Na próg wchodził bez oznajmienia i pokłonu, Dobek jako domowy, poufny sługa.

— Poselstwo przybywa — mruknął szydersko — ho? poselstwo nielada — rześmiał się cicho. — Palatyn Petrek z półtorasta ludzi raczył nawiedzić pana naszego; i oto przysła pytanie, azali może czołem uderzyć?

Na wspomnienie Petrka rzuciła się księżna, książę drgnął i z siedzenia wstał, ale czekając na to, co powie małżonka, ust nie śmiał otworzyć!

— Gościa takiego odegnać się nie godzi — rzekła Agnieszka szyderezo. — Ale ja panu memu z nim sam na sam gadać nie dam! Petrek mądry, zrobi z nim, co zechce. Niech przybywa, bądźmiemy go przyjmowali oboje. Zobaczymy, co zaśpiewał!

Dobek wejście znaczące zamienił z Agnieszką, która pogardliwie ramionami ruszyła, i wyszedł zwolna. Za nim drzwi zamknęły, gdy i książę wstał, chcąc odejść.

— Zostaniesz ze mną! — zawołała Agnieszka — sama nie chcę przyjmować Petrka, a wam go też samemu widzieć nie dam!

Jakoż po chwili wszedł Petrek.

Naprzód się panu nisko do ziemi poklonił, potem Agnieszce już nie tak pokornie.

Wybąknął kilka słów powitania, a potem księżna szepnął, że dla ważnej sprawy radby mieć posłuchanie.

Księżna, usłyszawszy to, wskazała Dobkowi i komornikom, aby ustąpił precz, dwór też Petrka, pokloniwszy się, odszedł do pierwszej izby. Zostali sami.

Petrek jeszcze się wahał, czy miał mówić.

— Miłościwy panie — odezwał się do Władysława — sprawy głównie ziemi naszej przystałoby na osobności odprawiać.

Zaledwie dokończył, gdy księżna z twarzą zaczerwienioną, podnosząc się z siedzenia, zakrzyknęła:

— A jam ci to co jest? Przecież dzielę z księciem stolicę i panowanie!

— Tak, miłościwa pani — rzekł Petrek — ano w sprawach męskich niema u nas zwyczaju, aby niewiasty uczestniczyły, dopóki nam Bóg pana zdrowego i żywego chowa.

Władysław w czasie tej mowy twarz miał jakoś dziwnie ułożoną, iż poznać po nim trudno było, czy to pochwalał, czy ganił.

Agnieszka piorunujący wzrok rzuciła na zuchwaleca i, zerwawszy się z siedzenia, milcząc wybiegła z komnaty.

Łatwo się było domyśleć, że pozostała niedaleko na straży. Petrek dumał chwilę.

— Miłościwy, panie — rzekł — nie od siebie ja tu przychodzę, ale od wszystkich ziem twoich, strwożonych bardzo. Mówią i głoszą, że chcecie złamać wolę nieboszczyka ojca, której ja byłem żywym świadkiem. Nie tajno, że wojnę zapowiadacie braciom. Panie miłościwy, przychodzę was błagać, abyście tego nie czynili, przez miłość dla pamięci ojca, przez miłość dla was i dla dzieci waszych!

Książę słuchał, jak osłupiały; widać było, że się kogoś poza sobą lękał. Wodził oczami, niepewien, co powie.

— Naokół wszyscy wiedzą, żeście slali na Ruś o posiłki — odezwał się Petrek.

Władysław namyślał się jeszcze. Poza nim stała żona, która go pewnie słuchała. Począł zwolna i oziębło.

— Ale bo tak jak jest, nie może trwać! nie — nie może! Król ojciec nie na co innego dał pierworodnemu Kraków, tylko na to, ażeby panował. Ja chcę panować i będę!...

Mówił to, czego go wyuczono, ale tak oziębło, jakby go niewiele panowanie obchodziło i pilno mu było tylko co rychłej nudną dokończyć rozmowę.

Nagle zasłona się podniosła i wbiegła gniewna Agnieszka. Nie spojrzała na Petrka, ale na męża.

— Dość tej rozmowy — zawołała — dość! Z poddażnymi się mówi jedno: tak chcę! tak ma być. Kto panuje, ten się nie tłumaczy z tego, co czyni! Dość rozpraw! Uczynicie, co się wam zda. Kto nie rad, niech głowy strzeże!

Mówiąc to, chwyciła męża za suknie i pociągnęła za sobą!

Palatyn, jak stał, skłonił się milcząc i wyszedł powolnym krokiem. Zaraz w progu drugiej izby spotkał czyhającego już nań Dobka, który, oburącz się w boki wzięwszy, z góry nań spoglądał i śmiał się. I on i służba, widać wyuczona, szydziła i przedrwiwała półgłosem, tak, że Petrek słyszeć mógł, iż z niego żarty czyniono.

Poselstwo spezło na niczem i dłużej tu trwać nie było po co. Petrek z rady biskupa Ruperta postanowił jeszcze, duchownych i ziemian zwoławszy, wyprawić ich do księcia, choć sam wąpił, aby i to mogło poskutkować.

Nazajutrz szaro jeszcze było, palatyn spał, gdy Jaksa, który czuwał nad nim, zbudził go.

Chłopię jakieś niepozorne przybiegło do zamku, opowiadając się, że posłane było od księcia.

Zadziwił się palatyn tajemnemu poselstwu.

— Miłościwy pan przysłał mnie — szeptało drżące pacholę — ażeby wam oznajmić, że wyjedzie wkrótce na łowy wielkie, a może z tych łowów i do was do Wrocławia nawróci, abyście się go spodziewali.

Te słowa to oznajmienie pocieszyło nieco Petrka, ale po odejściu chłopca rzekł sobie w duchu:

— Biada tam, gdzie się potajemnie przejednywać trzeba z jawnie powaśnionym. Na niewiele się łowy przydadzą.

Tegoż dnia Petrek z całym swym orszakiem popod wałami zamku przeciągał nazad, wracając do domu.

Gdy tedy za Kraków odjechali, Jaksa przypomniawszy sobie starego Zaprzańca, zapragnął go na zamku jego odwiedzić!

— Radbym stąd skoczyć do Pieskowej Skály — mówił do Petrka — bom się tam obiecał staremu!

— Zaprawdę! — zawołał Petrek — dobra myśl! I jam rad nawiedzić Żegotę!

Kazawszy więc ciągnąć półkowódce z końmi wprost do Wrocławia, sami z małym pocztm, w kilka koni, nawrócili w stronę siedziby starego Zaprzańca.



Piątego dnia po wyjeździe Petrka oznajmiono na zamku, że poczty ziemian zewsząd płynęły do Krakowa. W ostatku dano znać, że i sam ksiądz, Jakób ze Żnina, gnieźnieński pasterz najwyższy przybywał także.

Ten dzień był w reku władze Rzymu i siłę jego, za nim posłuszni szli wszyscy pasterze: na jego powołanie i ziemianie musieli się tam zwracać, kędy wskazał.

Wściekły gniew opanował księżnę, gdy się o tem dowiedziała, a Dobek począł znów swą piosenkę, że i to nie czyją było sprawa, tylko Petrka.

Powaga arcybiskupa przewyższała niemal książęcą. On stał nad wszystkimi ziemiami państwa Krzywoustego: gdziekolwiek był, pierwsze należało mu miejsce; przeciw niemu nikt się porwać nie śmiał.

Trwoga padła na zamek, księżna z gniewu we łzach chodziła.

Jakoż po kilku dniach, przy dźwięku dzwonów kościelnych, ruszył się z biskupiego dworca pasterz pasterzy, arcybiskup gnieźnieński, na siwym koniu jadąc, cały w purpurze i kapeluszu szkarłatnym...

Przed nim jadący klecha w komży niósł ogromny krzyż srebrny. Jechali dwaj biskupi u boku jego, dalej archidjakoni i prałaci w szatach i czapkach obrzędowych.

Za nimi dopiero postępowała starszyzna świecka, waliatynowie, każdy z drużyną i ludźmi zbrojnymi; wojewodowie mniejsi z dzielnic różnych, naostatek żupanowie i ziemianie, wedle zawołania, gromadami.

Władysław gotował się na przyjęcie posłów w izbie wielkiej, gdzie i sama księżna chciała konieczne mieć siedzenie przy mężu, choćby trzecie, po pierwsze obok niego należało z prawa arcybiskupowi, narówni z panującym zasiadającemu.

Wiódł przodem idącego arcybiskupa marszałek Dobek, pochylony pokornie, choć zły w duszy.

Na widok wchodzących książę Władysław z siedzenia powstał, wyszedł do progu i z pokorą rękę arcybiskupa ucałował. Były to oznaki naówczas godności olbrzymiej wielkości. Za księciem, choć niechętnie, poszła, uniżając się, Agnieszka.

Dokoła ustawiła się starszyzna kolem i ziemianie mnodzy.

Gdy cisza nastąpiła, Jakób ze Żnina zwrócił się do księcia Władysława:

— Miłościwy książę — rzekł — widzisz nas tu gromadnie zebranych nie napróżno. Przychodzimy do ciebie z żądaniem, z prośbą, z radą. Wieść chodzi po ziemiach naszych straszna; opowiadają ludzie, że pogany na własnych braci swych i krew swą zwołujesz, że chcesz młodszych wyrzucić z dzielnic ich i orężem się dobijać jedynej władzy... Ojciec twój, miłościwy książę, pobożny pan, był tej ziemi dziedzicem i miał prawo z niej dać dzieciom, co mu się podobało. Wyznaczył działy, oprócz młodszego. Należy woli nieboszczyka posłuszeństwo. Nie macie spokoju, nie narażajcie się na stratę tego, co macie, sięgając po to, co wam nie należy.

Książę był już zawczasu przez żonę do odpowiedzi przygotowany; Agnieszka siedziała tuż tak u jego boku, że mogła mu słowo podszeptać.

Na licu księcia malowała się przez chwilę niepewność jakaś, niby srom, że mu zadano winę; potem się ośmielił i począł:

— Nie może być dwu, albo wielu panów w jednej ziemi. Braciom, co słuszna, dam, ale nie zapieram się, miłościwy ojcze i panie, że chcę być tu jednym i — być nim muszę!

Trochę milezano; duchowni po sobie spojrzeli, jakby się nie spodziewali odpowiedzi tak szczerej; ksiądz Janik wrocławski odezwał się pierwszy:

— Powiedzieć, co się pragnie, łatwa rzecz, ale spełnić — często trudna. I Bóg i ludzie staną w poszanowaniu woli nieboszczyka; rzeki krwi się poleją, kraj opustoszeje...

— Mieć będziecie przeciw sobie — odezwał się arcybiskup — nie tylko braci i ich sprzymierzeńców, ale nas. ojców swych duchownych, bo my dopuścić nie możemy krzywdy młodszego rodzeństwa. Jesteśmy jego opiekunami.

Władysław poruszył się niespokojnie, Agnieszka płonęła gniewem i wołała do ucha mężowi:

— Nie wąż się ustępować! Zastraszyć chcą, boją się sami! Nie widzisz, że się trwożą ciebie i gardzić będą, gdy się im upokorzysz i ulegniesz!

Książę zwrócił się do arcybiskupa:

— Ojcze mój, nie mogę zmienić, co postanowiłem — rzekł słabym głosem — od braci ja nie chcę nic, tylko posłuszeństwa i daniny na znak mej władzy.

— Daniny nigdy nie placili! — przerwał Wszebór. — Na wojnę, na nieprzyjaciela pójdą wszyscy, ale w domu, czasu pokoju, każdy pan udzielny!

— Tu niema innego pana, tylko jeden! — wybuchnęła Agnieszka.

Nikt na to nie dał odpowiedzi. Patrzano na księcia; ten szatę na sobie targał i w ziemię oczy utopił.

Pasterz wstał. Starszyzna świecka padła przed księciem na kolana, wołając:

— Zmiłuj się, nie prowadź na nas wojny! Zlituj się!

Książę Władysław, jakby słuchać nie chcąc, odwrócił się od nich; Jakób ze Żnina poklonił się zdala i zabierał do wyjścia, nie podnosząc ręki do błogosławieństwa.

— Nie mogę już błogosławić domowi, z którego wychodzi wojna i śmierć, a wiarołomstwo. Boga prosić będą, aby, litując się wam, raczył natchnąć lepszym duchem.

To powiedziawszy, odstąpił od księcia, rękę położył na piersiach i począł iść nazad ku drzwiom w milezeniu. Za nim inni też odpływać poczęli; w dziedzińcach powstał szmer i gwar.

Izba wypróżniła się zwolna.

Ostatni jeszcze nie przystąpili progu, gdy księżna na głos zawolała:

— Wszyscy zdrajcy są! nabechtani! Nie strwożymy się ich grózb, zobaczymy, przy kim będzie Bóg i siła Jego! Książę nie chce być drewnianym balwanem, ani strachem na wróbie i panować będzie!

Ściśniętą rękę wyciągnęła groźnie. Władysław, padłszy znużony na ławę, zadumał się, ale i w nim ozwało się teraz uczucie jakieś.

— Tak — cofać się nie czas! Uczynię, co postanowiono. Co ma być — będzie! Będzie-li źle, jam nie winien. Teraz już to musi być. Groźbom uledez — srom...

Agnieszka dodała gwałtownie:

— Winę biorę na siebie! Nie godziło się inaczej, a nie — to lepiej było precz stąd iść odrazu.

Ruszyła się iść!

— Dobek! za mną! — dodała, oglądając się. W wielkiej izbie książę zwrócił się do drzwi, po pustej izbie, wstał i krokiem niepewnym skierował się ku izdom swoim.

— Holsza! — zawołał na łowczego, który zawsze stał w pogotowiu na uboczu, czekując rozkazów.

— Holsza! Co wyślisz? rychło! Ziemia skostnieje i ponowa spadnie? jak ci się zda?

Łowczy przez okno wyjrzał trochę...

— Gdyby tak wedle znaków sadzić — rzekł — śnieg za pasem powinien być. Lasy szarzeją, a na niebie chmury, jak pełne wory, ciężko wiszą.

— Gotuj-że psy i łowiectwo twoje — dokończył książę — byle śnieg prosić zaczął, w drogę! Ho! ho! pociągniemy daleko, pohulamy po lasach! Żywności wziąć dostatek, posiedzimy w puszczy bodaj miesiąc, tam dobrze!

Roześmiał się weselej.

— O, tam dobrze! niema to, jak las a bór — ja wolę las, niż dom, a zwierza, niż ludzi! Ej! tam to życie! Nieprawda, Holsza?

— Prawda, miłościwy panie.

— W lesie panowanie nasze! — zawołał Władysław i, nucąc, poszedł do swej komory.

W izbie księżnej Agnieszki inna wcale toczyła się rozmowa. Dobek w swem ubraniu porannem stał oparty o ścianę, z rękami wtył założonemi. Agnieszka chodziła po izbie.

— Wszystko to Petrkowe ułożenie — mówił Dobek — byle jego nie stało, wniwecz pójdą jego spiski i zмовy. Jego tylko, zdrajcę, ubić, wygnać, zniszczyć. Niech go nie stanie, zmiękną oni wszyscy, bo on tej sieci węzły w rękę trzyma. nie kto, tylko on!

— A z nim niełatwo — potrząsnęła głową księżna. Dobek uśmiechnął się chytrze.

— Eh! — zawołał — dać mi go na moje ręce, a ja sobie z nim poradzę! Wojny z nim prowadzić nie potrzebuję. jak myśz, pochwycę go w garść i zduszę! Na chytrego chytróści potrzeba! Dopóki Petrek chodzi po świecie, póty ksiązę zawsze niepewien panowania, a i potomstwo jego, jak szczenięta wytopić trzeba.

— Krom córeczki, której się Dobkowi zachciało! — kwaśno wtrąciła Agnieszka.

— Ja i tej córki nie żądam — rzekł Dobek. — Co mi tam! Nie dla siebie ja o nich myślę, ale dla was! Dla was!

Taką rozmową bawił Dobek niemal co dnia pania swoją, ona go z tem do księcia odsyłała, ksiązę słuchał cierpliwie, ale nie nie odpowiadał.

*

*

*

Petrek siedział u ognia w izbie swej, gdy mu o gościach znać dano.

Kupa jeźdźców, łowców, psów, czeladzi stała już u samych wrót dworca i trąbiła, aż się rozlegało!...

Aż wybiegła cała służba i koniuszowie, a nakoniec sam Petrek wybiegł prędko, koźuch na siebie zarzuciwszy i przypadł do kolan siedzącego na koniu pana, witając go, jak podobany jego, pokornie.

— Miłościwy panie a ojcze — zawołał. — Nie czyńcie mi też sromu; gdyście na progu, zajedźcież do sługi swego, nawrócić ludziom kaźcie!

Ksiązę Władysław był bardzo dobrej myśli.

— Koniom nie czas jeść, ludziom nie trzeba spoczywać! Kaźcie tu tylko wynieść kubek, abym za zdrowie wasze go wypił, a siadajcie sami na koń, na łowy ze mną! Szkoda takiego czasu! Pojedziesz Petrek ze mną, i ty, i łowcy twoi. i psy, i wszystko!

Petrek, widząc, że go nie zmoże, skinął na ochmistrza swego.

Ksiązę ciągle na koniu siedział.

Wtem z otwartych wrót wyszedł uroczysty pochód. Przodem ochunistrz, za nim rzędami dwoma czeladź Petrkowa, postrojona, niosąc na misach i deskach malowanych, na tarczach nawet kubki, jajka, napoje, chleby. Koniuszowie na plachtach szkarłatnych dźwigali obroki dla koni, tak, że książę, nie zsiadając, mógł na siodle posilić się, a i koniom dać przetrzeć zęby i ugasić pragnienie.

Wyprowadzono wreszcie psy Petrkowe, stanęło dwudziestu lowczych. A wtem ukazał się i palatyn w prostym kozuchu i czapce baraniej, z torebką przez plecy.

— A cóżes-to, jak dziad, co chodzi za jalmużną, wór przewiesił przez plecy! — rzekł książę, śmiejąc się — alboż to do noszenia sakw nie masz za soba ludzi?

— Miłościwy książę — odparł Petrek — taki ja od wieku zwyczaj mam. Odbiję się od ludzi, zapędzę w las, nie chcę głodem mrzeć; zawsze więc jaki taki kawał mięsa i chleba przy sobie noszę!

Nigdy jeszcze Petrek nie widział księcia Władysława tak wesolym, ni tak dla siebie dobrotliwym.

Ruszyli więc do najbliższego lasu gościńcem przez grodę glinianą. Ale księciu wnet się sprzykrzyła droga bita, kazał nawracać co prędzej w gąszcze, ludziom się wielkiem kołem rozsypać, a gdy naprzód zabiegną, dopiero w trąby i rogi bić, zwierza napędzać!

Ledwie w gąszcz wjechali, gdy tu pomknął jelen — psy za nim, książę za niemi, a Petrek za księciem.

Petrkowi nie o jelenie szło, ale o pana, zapomniawszy więc zwierzęcia, jego ścigał, i wkrótce już dwu ich tylko samych było, bo reszta ludzi w tyle pozostała, zbłąkała się, rozpierzchła.

Obejrzeni się dopiero, że sami jedni byli, a noc nadchodziła.

Gniewny pan trąbkę, zawieszoną na sznurze, wziął do ręki i począł nią gwałtownie przywoływać ludzi. Głos trąbki głucho się jakoś rozchodził, nikt też nie odpowiadał nań.

— Miłościwy panie — odezwał się Petrek — tu pod dębem na wzgórze pójdziemy, ognia jest czem naniecić, aliście doczekamy się ludzi. Od czasu do czasu nawoływać będę!

Jakoż wnet Petrek ze swojego konia kobierczyk jeden zdjął i na ziemi go rozesłał, konie powiązał i ustawił, sam za toporek od pasa wzięwszy, począł gałęzie suche obcinać, chróst, i suche liście zbierać. Na tem nie dosyć. Petrek z toporkiem poszedł po gałęzie jodłowe, obciął ich kilka i szalas zbudował, u którego wniścica ogień się palił.

Książę leżał na kobiercu i uśmiechał się.

— Dobry z was towarzysz — rzekł wkońcu, a pomilczawszy chwilkę, dodał: — Petrek! na łowach wy mi drużem jesteście, a czemuście to mi gdzieindziej wrogiem?

— Ja?! ja?! — zawołał Petrek. — Ale ja nigdy i nigdzie wrogiem miłości waszej nie byłem i nie jestem!

— A przecież ty mi stajesz na drodze?

— Do czego, gdzie, miłościwy panie?

— A do panowania i korony!

Petrek milczał chwilę.

— Miłościwy książę — odezwał się głosem poważnym — póki ja będę żyw, nie wyjdzie mi z pamięci ów dzień i godzina, które i dla miłości waszej pewnie pamiętne bardzo być muszą. Pomnijcie, książę, ów dzień jesieni (28 października), gdyśmy to cha razem stali u tego łoża, na którym król mój, pan mój, a ojciec wasz konał. Ja, co pomnę wieczór ten, roslusznym głosowi pana być muszę, bo zwrócił się do mnie miłościwy pan i rzekł:

— Wy, ojcowie duchowni, pasterze, ty, Petрку, wierny sługo mój, strzeżcie woli mej, aby się dzieciom moim krzywda nie działa!

— E, nie prawmy o tem! dość! Raczej nakarm, bom głodny — odparł Władysław.

Palatyn torebkę, na ziemi porzuconą, przypomniał i począł z niej coś dobywać. Był w niej placek, chleb i trochę soli w węzélku, a naostatek mięsa wieprzowego.

Książę jął łamać chleb i jadł ze smakiem wielkim, a Petrek, u ognia siadłszy, rożenek wystrugał, widelki w ziemię wbił, mięso począł przypiekać i solić i tak z rożenka podawał je księciu.

Posiliwszy się także, Petrek poszedł do koni i ze swego siedzenie zdjął, niosąc je panu pod głowę.

Książę tymczasem na kobierczyku się przeciągnął.

— Ho! ho! — zawołał wesóło — waszmościna żona gdzieś tam teraz w ciepłej komnacie, ze swym miłym panem opatem Anzelmem wczasu bezpiecznie używa...

Petrek zamruczał coś.

— Co tam mruyczysz, jak niedźwiedź, mów głośno! — zawołał książę.

— Co tam moja żona czyni, nie wiem — odparł Petrek głosem drżącym — ale za to szyję daję, że księżna Agnieszka z Dobkiem czasu nie traci, boć ten jej chętnie służy, o czem wszyscy wiedzą!

Książę się poruszył.

— Coś to rzekł? — zapytał groźnie.

— A no, prawdę — mówił Petrek chłodno. — Przez jejmość panią Agnieszkę idzie wszystko, a wy czynicie, co jej miły podszepnie. Gdybyście mnie za język nie ciągnęli, nie rzekłbym, ano stało się...

Książę siedział zadumany i milezacy.

— Tak ludzie gadają! — od zwał się ponuro, poczem głowę sklonił ku ziemi, piaszerem się przykrył i zamilkł.

O brzasku zerwał się książę i natychmiast za róg swój wzięwszy, począł na dwór trąbić gwałtownie, bez spoczynku.

Nierychło, zdala doleciał już głos łowieckiego rogu. Zaczął się zbliżać odgłos trąbek, które, przywołane, brzmiały dokoła, podjeżdżając ku miejscu noclegowemu. W gąszczach zaszeleściło wreszcie, dwór łowcy przybywał.

Przyciągał także i dwór Petrkowy; dobyto zapasów, ale książę tknąć nic nie chciał.

— Nakarmieś mnie Petrek — rzekł z przekasem — tak, żem dziś syt jeszcze. W drogę!

Petrek próbował zapraszać jeszcze na spoczynek do swojego dworu.

— Spoczywać nie będę nigdzie — odparł książę — łowami pociągnę do domu. Drogi nasze nie jedne: wy się zawracajcie do siebie, ja pociągnę wprost ku Krakowu.

Tak zimno się z pałatynem rozstawszy, ruszył książę, nie dając mu jechać ze sobą. Petrek pozostał z ludźmi swymi i zadumał się nad przygodą.

Tymczasem Władysław jechał, ledwie przystając i przenocowując, do Krakowa samego. Tu przybywszy wreszcie, jak stał, poszedł do swych izb i zamknął się.

W godzin parę na dworze dano znać, że posiłki, z Rusi przyrządzone, już są w drodze, i bojarowie przybyli przodem, oznajmując o nich.

Władysław siedział w swych komnatach i wcale z nich nie wychodził.

Zagniewana Agnieszka sama poszła do niego. Znalazła go złym i zmienionym. Od słowa do słowa, aż przyszło do tego, że zwykłym obyczajem swym księżna oddaleniem się i powrotem do Niemiec odgrażała się zaczęła.

Władysław już nie mógł strzymać.

— Więc — rzekł — zabierajcie się, miłościwa pani, razem z Dobkiem swym i szukajcie, kędy wam obojgu lepiej będzie, niżeli tu...

Ledwie wyrazów tych domówił, gdy Agnieszka z gniewem przyskoczyła do niego.

— He! — krzyknęła. — Już ci ktoś Dobka w nienawiść, a mnie w sromotne podejrzenie podał! Mów, z kimeś przestawał? Kto ci to siał? Bezkarne mu to nie ujdzie! Żywą nie będę, póki nie pomstuje się na zuchwaleu! Gardło da! Gardło musi dać!

Ona znowu rwała się, ustępowała nań, targała, nie wymogła na nim nic, kazał jej iść przez.

Wnet ludzi, którzy księciu towarzyszyli, wzięto na spytki, kędy bywał, z kim się spotkał. Czeladź pomniejsza nie kryła się z tem, że stawał we Wrocławiu, że księżę zabrał Petrka ze sobą i że razem potem noc w szalasie spędzili.

Więcej Agnieszce nie było potrzeba. Wpadła do męża natychmiast, wołając pomsty na Petrka, pewna, iż on, nie kto inny, księciu musiał Dobka i ją dać w podejrzenie.

— Nie potrzeba było na to Petrka — rzekł Władysław — wszyscy po całej ziemi Dobka palcami wytykają, żeś go sobie wybrała i znasz się z nim...

Usłyszawszy to, księżna padła na ziemię z płaczem, rzucając się, śniąc, gardłując, mówiąc, że pragnie, aby ludzie śmieją sromocić ją i bezcześcić.

Na przenikający przez kłopoty, który się po całym zamku rozchodził, nadbiegły niewiasty i na rękach miotającą się wyniosły do izb jej, gdzie chorą na łóżku leżała.

Za nią zaraz wpadł Dobek z żądaniem, aby z nim do nóg padając księciu, na potworną domagając się sprawiedliwości, wzywając go na sąd Boży.

Wśród tych wrzasków księżę dzień cały przetrwawszy, przemęczywszy się, już innym się stał. Agnieszka leżała na łóżku, które dzieci płaczem otaczały; na widok ich serce ojcowskie zmiękło, sam siebie naprzód, potem Petrka (bo daj przepadł) obwiniać zaczął.

W dni parę, niewiadomo jakim sposobem, księżę z żoną się pojednał. Dobek znów, pewien siebie, u drzwi stał, służył, biegał, rozkazywał. Wysłano zaraz urzędników ze dworu i wojska co było, aby osadzić zamki dla pana Władysława i posłuszeństwo mu zapowiadać pod karą śmierci. Z zamku i na zamek dzień i noc szli nieustannie posłańcy. Z duchownych, żupanów, ziemian nie pokazywał się nikt. Niemcy, Ruś, najemny żołnierz sami byli.

Pomiędzy biskupim dworem a zamkiem jakby przepaść stała, jedno o drugim zdało się nie chcieć wiedzieć. Biskup Rupert od siebie słał po dyceceji rozkazy, księżę na swa

rękę. Co żyło, z osad nad drogami i gościńcami, z trzodami i dobytkiem, wozami uchodziło w lasy.

Wpółśród tych przygotowań dnia jednego rano Dobek, który już całe swe zuchwalstwo odzyskał, przyszedł do księcia we zbroi, przy mieczu, jakby się w drogę wybierał. Pokłonił się do kolan, na twarzy mu jaśniała radość i niecierpliwość.

— Miłościwy książę, jadę z rozkazaniem waszem — zawołał — klnę się, że nie powrócę, aż je spełnię, jako należy.

Książę Władysław popatrzył strwożony, i rękę podnosząc do góry, rzekł:

— Ale gardła mu nie brać! Gardła nie brać! Mówilem!

— Najbezpieczniejszy niedźwiedź, gdy zabity! — mruknął Dobek.

— Nie chcę, by zabity był, nie chcę! — przerwał książę stanowczo. — Stanie się przeciw rozkazaniu mojemu, pomśczone nieposłuszeństwo! Na święte relikwie przysięgam!

Dobek zamilkł.

— Masz, czego chciałeś — dodał książę, jakając się — niech oczami przyplaci, więcej nie trzeba. Daruję ci po nim karbiec i mienie. Pomsty tej dosyć dla mnie i dla ciebie!

Po kilka razy Władysław powtórzył niespokojnie:

— Życia nie brać, bom to poprzysiągł!

Mileżał Dobek, lecz nie odchodził.

— A jeśli się bronić będzie i kaleczyć? — spytał.

Władysław odwrócił się gniewny.

— Aż ludzi i rozumu nie masz, żebyś mu się bronić dał? — zawołał. — Jadłem chleb z nim, spał u mojego boku, ojcu służył, nie chcę go zabijać. Nawet oczów!... Wziąć go i osadzić! Zobaczymy, co uczynię. Żebrakiem w świat go...

Książę mówił, nie kończył, urywał, pośmieszony był, a gdy Dobek, klaniając się, odejść chciał, dodał:

— Pomnij, Dobek, uczynisz nadto, tyleż z ciebie wezmę! Wezmę!

Dobek biegł już do księżnej, która nań czekała.

— Dał wyrok na życie? — zawołała niecierpliwa — dał?

— Nie, i zagroził mi, gdybym rozkaz przestąpił, zagroził mocno.

— Nikczemny człek! — odezwiała się księżna z gniewem. — Lituje się! Weź życie! Ja z tobą obstanę! Niech

gardło da! Rodowi nie darować, wytłuc i wydusić te szczenięta, dwóch spalić, zniszczyć... Sługom nie przebaczyć! Nikomu! Nikomu!

To mówiąc, Agnieszka wybiegła.
Pociągnęli do Wrocławia.

Tłum się cisnął do drzwi pół otwartych wielkiej izby na Płockim zamku, tej samej, gdzie leżały rycerskie zwłoki mężnego Bolka, otoczone dziećmi płaczącymi, czekając, by je przy ojcu pogrzebiono.

Nie pierwszy raz izba owa służyła dla gromady, zwołanej do obradowania nad losami tej ziemi.

Cisnęli się tu ludzie znowu. Wkoło na ławach zasiadali panowie, duchowni, palatynowie, wojewodowie i żupani, głowy sędziwe, które teraz ból, wstyd i smutek pochylał ku ziemi.

W pośrodku, na podwyższonem siedzeniu, łaskę wielką krzyżem zakończoną dzierżąc, majestatycznie zasiadał arcybiskup gnieźnieński, ks. Jakób ze Żnina. Po obu stronach zajmowali krzesła biskupi z prałatami swymi i starszyzną kapituły. Dalej siedziała świecka gromada, z głowami po większej części i brodami siwizną posrebrzonymi.

W tym wianku mężów sędziwych, jak w naczyniu złotem wiązka kwiatów, stały pośrodku, z głowy pochylonymi, trzy pańskie, królewskie dzieci Krzywoustego. Młodzieniec zaledwie rozkwitły, Bolesław, z włosy na ramionach rozrzuconymi, trzymając za rękę młodziuchną Zwenisławę Wscwołodównę, małżonkę, przez matkę mu nadaną; z męskim obliczem Mieczysław, przy którym stała piękna, czarnooka Gertruda królewna, córka Beli węgierskiego, rumieniąc się od wejrzeń ciekawych. Za nimi stało pacholę uśmiechnięte. Henryk, w którego jasnych oczach święty jakiś ogień zdawał się już płonąć; naostatek, dziecko prawie jeszcze, wydziedziczony Kazimierz, najmłodszy, którego starszy za rękę przytrzymywał.

Wszystko to były ofiary na śmierć, zagładę, wygnanie i tulactwo przeznaczone, skazane przez Agnieszkę, bracia Władysławowi, nad którymi wisiał wyrok, aby znikli z oblicza tej ziemi.

Los tych dzieci teraz cały zawisł od panów, duchownych i ziemian; mogli je opuścić i dać na ofiarę chciwej pa-

nowania Agnieszce, albo ująć się za niemi i osłonić, a tę, co pokój zamąciła, wygnać przez z granic zakłóconego państwa.

Wszebór, obie ręce rozpostarłszy, wskazując na groniec, stojące pośrodku rynku, przemówił do arcybiskupa:

— Ojcie i pasterzu miłościwy! Jeżeli wy ich nie osłonicie, to nikt, jeżeli wy ich osłonicie, nie może mieć żadnej siły! Krew to pana naszego, spuszcza na nim najcięższa, a stanie się krzywdą jej, padnie wina na sumienie nasze!

Arcybiskup gwałtownie łaską swą w ziemię uderzył:

— Włos im nie spadnie z głowy! — zawołał — dopóki ja żyję, a władzę tę piastuję, póki Kościół, stróż sprawiedliwości stoi na tej ziemi, póki tu wiara święta panuje, nie damy ich tknąć!

Królewicze sklonili głowy, a po ławach poszedł szmer.

— Nie damy im zginać!

Wśród szmeru tego i krzyżujących się głosów, Bolesław, który na zamku był panem, gdyż Płock dostał mu się w udziale, zabrał głos cichy:

— Pojednawczo ma się radzić z nas oprzeć nie może, bo zgniecie jednego no drugim: musimy stać razem wszyscy. Przeto i was, miłośni bracia, musimy, przez pamięć dla rodzica naszego, skupić się wobec sierot jego, a nie opuszczajcie ich... Razem stać musimy, razem ocaleć, albo choć zginać razem!

— Razem! — potwierdził Wszebór.

Arcybiskup słuchał z uwagą.

— Zmoże ich prawica Wszzechmogącego! — zawołał, rękę podnosząc. — Kłatwę tylko rzucić potrzeba na ową Jezabel, na współnika jej i na wszystkich, co z nią trzymać będą. Przyjdzie-li chwila, nie zawaham się, pójdę sam, stanę i w oczy cisnę im anathema!

Po tej groźbie strasznej, wyrzeczonej przez arcybiskupa, zapanowało milczenie; znano bowiem srogość okrutną tej kary kościelnej. Śmierć niezem była nad to potępienie za żywota i na wieczność całą.

— Idźcież w pokój, dzieci moje — dodał arcybiskup do książąt — a tak, jak się dziś trzymacie za ręce, tak się zawsze dzierżcie miłością braterską, w miłości Pana naszego, Jezusa Chrystusa! Amen!

— Amen! — powtórzyli wszyscy, pochylając głowy.

Wysłuchawszy mowy tej, Bolko sklonił się nisko, za nim drudzy oddali pokłon arcybiskupowi i zgromadzeniu,

a potem ruszyli się ku wyjściu, aby radzie panów duchownych i świeckich zupełną zostawić swobodę.

Narady, a raczej rozmowy różne trwały do wieczora, lecz oprócz potrzeby łączenia się, nie nie uchwalono. Dziwnem się tylko niejednemu wydawało, że palatyn Petrek, druh sejmeczny niech szczyka króla, a opiekun główny dzieci królewskich, nie zjechał do rady.

Nazajutrz biskupi mieli rozjechać się po diecezjach, palatynowie i żupanowie po grodach. Wszystkie siły książąt z Sandomierza, Mazowsza, Poznania i skądkolwiek się one ścagnały dąły, rozkazano im jechać do jednego miejsca nad Łalipę, co dowodziło o niebezpieczeństwie.

Pułki z obozów królewskich ruszały pośpiesznie i ciągnęły różnemi drogami.

Jeszcze się wawrony i żupanowie nie rozjechali, gdy nieznaną czelk nadbiegł do Płocka z wieścią zatrważającą. Człek ten, który był przy ziomłach nie był, pióło straszne rzeczy o napaści na dworzec pana Petrka, o zajściu jakimś krwawem, o mordach i zdradzie. Mówił, jęczał, nagle przestawał i wypierał się, aby wiedział cokolwiek, lecz ze słów jego domysleć się było można, iż mu trwoga zmysły zabrała. Leższyżyla się sład wieść o wypadku jakimś we Wrocławiu, która, gdy doszła do ks. Janika, ten natychmiast koniem i ludziami kazał się do drogi gotować, aby do Wrocławia pośpieszyć.

Wawrony i żupanowie i cienie wywudala wieść ta na zamku, w rodzinie królewskiej, bo młodzi książęta w Petrku mieli swoich opiekunów, szanowali go, jak ojca, a na pomocy jego całą pokładali nadzieję. Kochali go wszyscy niemal tak mocno, jak Agnieszka nienawidziła.

Wszyscy książęta, pozostawszy w Płocku razem, siedzieli tu strwożeni, gdy przybył Jaksa z Miechowa.

Po powrocie swym z zagranicy młody Jaksa stawiał się był i na dworze księcia Henryka. Młody książę, któremu serce i głowa paliły się do wypraw rycerskich za morze, do dalekich wędrówek, słuchając opowiadań jego, upodobał go sobie wielce. To też, gdy dano znać, że Jaksa przybywał i o posłuchanie prosił, ucieszył się tem wielce.

Książę natychmiast powołać go kazał do siebie, i gdy Jaksa do kolan mu się kłaniał, w ramiona go z radości pochwycił, jak przyjaciela witając.

— Nie zapomnę ci tego, Jakso mój — zawołał — żeś do mnie w złej przybył chwili. Bóg ci za to zapłaci, ja wywdzięczę.

— A! miły książę a panie — odparł zarumieniony Jaksa — wstyd mi aż wyznać, tem się tu zabląkał nie dla miłości waszej, ale dla własnej sprawy.

— Choćby i tak było, rad ci jestem — odparł, śmiejąc się, książę Henryk — mów, co chcesz mieć; chyba nie mogę, gdy nie sprawię.

— Miłościwy książę — odezwał się Jaksa, głos zniżając — sprawa to pono niełatwa będzie, ale słowo wasze naszałi zaważy. Krótko mówiąc, otom się wielce, a wielce rozmiłował w córce pana Petrka, a swatać się do niej nie śmiem sam. Ojca nie mam, miłość więc wasza prosić muszę o opiekę, o dobre słowo nie tylko u Petrka, ale i do własnej matki mojej.

Spuścił Marek oczy i przerwał, bo mu trochę srom było w taki gorący czas o własnej myśleć i mówić sprawie.

Książę Henryk zapłonił się, był bowiem pacholęciem prawie jeszcze, przez matkę, w wielkiej surowości obyczajów chowanem, a niewiasty imienia sromił się wyrzec; tu mu zaś sprawa przypadała, na którą radzić nie umiał i na swata wcale powołanym się nie czuł.

— Jakso mój — odezwał się po chwili — każesz mi się jać takiej rzeczy, do której ja się wcale nie zdałem. Nic nie przyrzekam, bo nie wiem, co Petrek myśli i chce, przeciw woli jego nie mogę iść. Spróbujemy, alście nie jedna Petrkowa córka na świecie!

— A dla mnie pono ona jedna i jedyna! — odparł Jaksa smutno. — Nie chcę mówić, jaka ona jest, bobyń i powiedzieć nie potrafił!

Henryk powtórnie się zarumienił; widać było, że rad chciał odwrócić rozmowę. Począł tedy rozpytywać o kraj, o Petrka, potem Jakse o niego samego, prosząc, by został z nim. Ten już się nie wylaamywał i na wszystko przystał. Uplynęło dni kilka, gdy raz, przybywszy na zwykłą rozmowę do pana, Jaksa zastał go niespokojniejszym, niż zwykle.

Od progu pytać zaczął, czy mowego nie nie słyszał.

— Nie — odparł Jaksa.

— Od Wrocławia?

— Uchowaj, Boże, o Petrku co! — zawołał przestraszony Marek.

Książę wahał się mówić.

— Mówcie, proszę — zawołał nagłaco Jaksa — jest-li co! Rodzony ojciec-by mnie więcej nie obchodził!

— Nie trwóźcie się — rzekł książę. — Pewną się zdaje rzecz, że się coś z Petrkiem przygodzić musiało, że albo

uwięziony jest, lub we własnym dworze osaczony, albo mu grozi niewola od Władysława... Wieści stamtąd coraz bardziej niebezpieczne dochodzą.

Jaksa zbladły trwogi swej ukryć nie umiał i ręce zakłamał.

— Panie miłościwy — odezwał się — radbym z tobą wieki mieszkać i służyć ci, lecz jest-li tam co, w czembym ja usłużyć mógł, a choćby nadaremnie się zaoferować dla Petrka, w pomoc mu lecieć moja powinność! Drogi mi jest, jako ojciec rodzony.

— Nam też wszystkim równie — odparł Henryk — ani was trzymać chcę. Jedźcież, ale siebie też oszczędzajcie. Bratu Władysławowi wierzyć nie można, bo jest w jarzmie złej niewiasty. Jeżeli się mści na Petrku, i wam nie przebaczy.

Zaledwie się pożegnawszy, Jaksa do gospody swej pobiegł, a była w miejscu takim, gdzie się zjeżdżali ciągle ludzie różni, od których wiele posłyszeć było można. Począł zaraz badać gospodarza, czy od Śląska co nie przyniesiono.

— Nie mało rzeczy plotą — rzekł mieszczanin — ale prawdy w nich dopytać trudno. Każdy co innego prawi: niewiadomo, komu wierzyć. O palatynie Petrku głoszą, że z nim się coś stało... Morzą go jedni, więżą go drudzy, ale strach ma wielkie oczy i język długi.

Jaksa więc, nie zwlekając ani godziny, tegoż dnia siodłać kazał i jechać precz. Ale dokąd?

Wprost do Krakowa, na dwór księcia, zdało mu się najniebezpieczniejsem, gdyż wszyscy niemal ręczyli, że tam Petrka uprowadzono. Jaksa, choćby gardła własnego nadstawiając, chciał się za palatynem ujmować i stawić, a gdyby w więzieniu był, siłą, prośbą, złotem, poręką go wyzwolić.

Tymczasem pozostali w Płocku książęta w oczekiwaniu dalszych swych losów sposobili się do rozpaczliwej obrony. Palatyn Wszebór zbierał ludzi, arcybiskup powoływał ziemian, aby stawali po stronie pokrzywdzonych... Ruszały się wszystkie ziemie po myśli duchowieństwa, przeciwko Władysławowi, którego posiłki, nim mu pomocą być mogły, już wszystkich od niego okrucieństwami swojemi odepchnęły. Gromady zbiegów szerzyły postrach dokoła, dymy gorzkie pogorzeliśk uniósł wiatr z groźbami i, co żyło, pomsty Bożej wołało na Kaina.

Widzieliśmy go już raz; w sile wieku mąż, umysłu byt nieustraszonego, na przebiegłości mu nie zbywało.

Tknęło go to mocno, iż ów Dobek, który tu nigdy nie bywał oddawna, a po odmowie otrzymanej jawnym był palatyna wrogiem, zjawił się nagle poufalem, serdecznym, jakby nigdy nie nie zaszło między nimi. Przybywał więc, zbliżka się przypatrzeć temu, co się tu działo. Nawzajem Dobek, który znał dobrze Rogera i charakter jego, nierad przybyciu, oczy spuścił, zmieszał się i nie mógł ukryć, że mu nie był na rękę. Pomimo to pozdrowili się wzajemnie. Roger stanął skromnie za panem Petrkim, nie mając ochoty iść z nim do rozmowy, lecz umarcie patrząc na gościa.

Rozmowa zerwała się. Palatyn łącno spostrzegł, iż przybycie Rogera wpłynęło na gościa dziwnie, i że nieswój był a niemal gniewny, choć udawał obojętnego. Roger stał ciągle milczącym tylko świadkiem.

Tymczasem i noc nadeszła. Starosta w ostatku, rzuciwszy raz jeszcze oczami bystreimi na Dobka, wysunął się z izby po cichu. Gość też ruszył się z siedzenia.

— A co, gospodarzu miły! — oderwał się, jakby odzyskując swobodę, gdy zostali sami — może to i prawda, że ja przyszedłem tu jakieś od księcia do was wiozł, że je za nadą trzymam, ale przy trzecim mówić nie chciałem. Oto i noc już, jam się waszego ciepłego wina opił, w głowie mi zaszumiało! Teraz już do ważnych spraw nie pora, język mi się pata; jutro pomówimy o tem...

Petrek klasnął na marszałka dworu i gościa prowadzić kazał do izby, a ten szedł tak wesoło i swobodnie, jakby o niczem nie myślał, oprócz spoczynku.

Nikt też ani pomyślał we dworze całym o śniałym zamachu, który został uknuty; szli wszyscy znużeni spać. Dobek, choć niby zmęczony, zaraz się na posłanie rzucił, czekał, oka nie zmrużywszy, aż się pośpią wszyscy. Sługę swego zaufanego postawił w progu na czatach. Drugiego cichaczem wysłał z rozkazami.

Jeszcze do ranka daleko było, gdy pocichu wstał i na palcach wyszedł do swych ludzi. Wszyscy oni, odzieży nie zdejmując, broni nie spuściwszy z rąk, czuwali. Nie czyniąc najmniejszego szmeru, wysunęli się na podwórze.

Choć tak było jeszcze wcześniej, postrzegł Dobek, że się już w dworku starosty świeciło. Roger nie spał noc całą, taki go niepokój ogarnął, sam nie wiedział czemu... Każdy szelest go przerażał, czuł, że coś groźnego wisiało nad nimi.

Wtem do drzwi jego zakolatano.

— Kto tam? — zawołał Roger.

— To ja! Zmiłujcie się, otwórzcie co rychlej; pilno mi bardzo, odjeżdżać muszę. Petrek spi, zdam więc na was, com mu miał powiedzieć!

Roger, zaledwie poznawszy głos Dobka, drzwi uchylił, gdy z obu stron wdarli się pacholkiwie i rzucili na niego. Starosta porwał się do obrony, ale broni żadnej pod ręką nie miał. Dobek, dobywszy z pochew nóż zapasny, do gardła mu z nim skoczył.

— Zdaj się natychmiast, lub ubiję!

Oprawcy wnet mu ręce w tył wylamali i wiązać je poczęli sznurami, a jeden krzyczącemu na gwałt knabel w gębę włożył i zawiązał. Wnet zgaszono światło, a związanego więźnia położono u drzwi, straż dodawszy.

Dobek już śpieszy pod dworzec wielki. Tu dopiero najważniejsza miała się odbyć sprawa.

Petrek nie spał. Rozmowy wczorajsze, nazbyt serdeczne obejście się Dobka nie mogły mu wyjść z myśli.

Wtem zeicha pukanie usłyszał do drzwi sypialni.

— Kto tam? — odezwał się, podnosząc na łóżku.

— Wstawaj, panie Petrze! To ja, Dobek. Książę jest tu sam! Stoi u wrót zmęczony, jechał całą noc, wstawajcie! Petrze, a nuże! Zmiłuj się, chodź księcia przyjmować... a to się pogniewa!

Usłyszawszy o księciu, Petrek zerwał się co prędzej, a że kożuch miał przy łóżku, chwycił go na siebie. Zaledwie jednak drzwi otworzył, skoczyli oprawcy i pochwycili go.

Wrzawa około drzwi sypialni, coraz się wzmacniająca, zbudziła dwór niemal cały. Światosław, którego ojciec obok swej izby na tę noc położył, zerwał się i wyskoczył. Zaledwie się pokazał, gdy Dobek skinął, aby i jego brano.

Gdy się to działo we dworcu, cała czeladź, opactwo, sąsiednie domy, krzykami zbudzone, wysypały swą ludność, gromady przelekłe zbiegały się, kupiły, krzyczały. A że Petrek miłym był wszystkim, lud zewsząd leciał, garnał się i osaczał podwórze. Dobek nie mógłby był się obronić, gdyby te tłumy na niego się rzuciły; ale przemądry człek natychmiast przygotowaną chorągiew ks. Władysława rozwinąć kazał.

— Z rozkazu pańskiego! wola jego się dzieje! Przecią drogi! Gardło da, kto rękę podniesie! — wołali ludzie Dobkowi, rozpędzając gromady.

Ludzie Dobkowi, widząc się otoczonymi tłumami, co prędzej na koń siedli, trzech jeńców związanych biorąc w po-

środek siebie. Z trzech jeńców najspokojniejszym był stary Petrek. Szedł, jak winowajca skruszony, poddając się losowi swemu. W duszy jego powracające teraz wspomnienie przeszłości przywodziło mu ową chwilę na pamięć, gdy tak samo Wołodara na łowach, w zasadzkę pochwyczonego, wiódł Krzywoustemu. I mówił sobie:

— Miarą taką mierzą mi, jaką ja mierzyłem. Stań się wola Twoja!

Dzień był jasny już, gdy Dobek, na zamek przybywszy, zeszedł sam do więzień dobierać je dla tych, których z sobą prowadził. Staroście zamkowemu naprzód rzekł:

— Gardło dasz, jeśli ujdzie który, gardło, jeśli im najmniejszą ulgę uczynisz! Książęcy rozkaz! Zdrajcy są przeciw niemu.

Więzienie pod murowaną częścią grodu było napół w ziemi. Izb w niem dwie. Aby Petrek pociechy z syna nie miał, rzucono go do jednej samego, do drugiej Rogera i Światosława.

Gdy więźniów tak na gród prowadzono, od zmysłów odchodząca Petrkowa miała czas z córką ująć przez opactwo na bezpieczniejsze schronienie do folwarku benedyktyńskiego, który ona sama mnichom nadała. Tu w chacie ubogiej upadła bezsilna, cała we łzach się rozpluwając i córkę tuląc do siebie. Zaledwie one uszły ze dworu, Dobek już na powrót tu biegał, aby go ograbić i zniszczyć!

Straż, którą tu zostawił, nieliczna, część tylko mała dworu otoczyć mogła. Drugą stroną Petrkowa i dworsey unieśli życie i co zdążyli porwać z komnat i skarba.

Z powrotem marszałka poczęło się mściwe gospodarstwo jego. Wypędzono ze stajen konie, wzięto kolebki i wozy. zegnano psy, pochwytano sokoly, powywracano szopy; zabierano wszystko, co padło pod rękę, i zostawiono pustkę i gruzę tylko...

Tymczasem w opactwie, na probostwach, w dworcu biskupim wiadomość o uwięzieniu Petrika wywołała oburzenie i ruch nadzwyczajny. W refektarzu klasztornym św. Wincentego wszyscy ojcowie zbiegli się coś uradzić.

Trwała jeszcze narada w opactwie, gdy dano znać, że ksiądz Janik z Płocka powrócił. Tejże godziny ojciec Anielm pośpieszył na dwór biskupi.

Po drodze już biskup od ludzi przejeżdżających dobiegł się o strasznej nowinie. Ksiądz Janik jej wierzyć nie chciał, ale stanawszy u wrót spustoszonego dworu, sam oczami własnymi zobaczył, co zeń uczyniono.

Ksiądz łamał ręce nad losem powinowatego sobie ukochanego człowieka, gdy opat, błady, ukazał się w progu. Nie mówiąc słowa do siebie, stanął, potrząsając głowami; płakali obaj.

Dwaj duchowni usunęli się na poufalszą naradę i rozmowę. Postanowiono, że ojciec Anzelm wysłany zostanie do księcia ze wstawiennictwem za Petrka.

Tejże chwili posłano na zwiady o pobycie Władysława, gdyż wiadomem było, iż w Krakowie go niema.

Tymczasem los zdarzył, że ksiądz Marcin, proboszcz miechowski, znalazł się właśnie w opactwie. Obawiano się, aby schronienie pani Petrkowej nie doszłoby było bezpieczne. Ksiądz Marcin, będący przytomnym naradzie, z wielkiem politowaniem nad losem niewiasty nieszczęśliwej, rzucił tę myśl, aby ją wysłać do Komorowa. Inni natychmiast przyklasnęli.

Tak się też stało, że pani Petrkowa, której imię i dostojność zataić musiano, drugiego dnia już pod przewodnictwem księdza Marcina jechała lasami i drogami bezludnymi tam, gdzie Jaksa najbardziej ją widzieć życzył. Opatrzność zdawała się opiekować nim i piękną Błogosławą, wiodąc je na stary mód cichy, do którego burze wojny dojść nie mogły.

Jaksa, który był pobiegł wprost do Krakowa, szukać księcia, aby stanąć przed nim w obronie Petrka, po drodze dowiedział się już o wszystkim, jak również, że książę wraz z żoną bawi na zamku w Głogowie.

Nie mając pozoru nawet przystąpienia do księcia, Jaksa chwycił się dziwnej myśli. Towarzyszył on już raz Petrkowi na dwór książęcy. Wiedział, że Światosław zaswatał był dziewczę wielkiego rodu. Zmyślił więc sobie poselstwo i postanowił, jakby o niczem nie wiedząc, na dwór się dostać, niby wysłany od Petrka, zapraszając księcia na wesele. Dziwna to myśl była, zły pozór, aby się na dwór dostać, ale Jaksa, byle stanął przed księciem, resztę zdawał na wolę Bożą. Chciał mówić, zaklinać, błagać!

Lecz niestety, pomimo wybiegu, dzięki któremu dostał się do Władysława, Petrka uratować nie potrafił, cudem swoją głowę ocaliwszy, gdyż Agnieszka srogim gniewem zapalała do zuchwałego młodziana za jego śmiałe wystąpienie i obronę nienawistnego jej palatyna.

Jeszcze więc mocniej przeciw Petrce była rozjątrzona. Obawiała się, aby nie uszedł jej zemsty.

Gardło dał gardło, nie musiał — powtarzała sobie.

Na drugi dzień wyszli oboje księstwo do Wrocławia, gdzie tamto było Agnieszka, która pod nogami swemi pozwała wroga w mocy swej i reku.

Gdy orszak pański wjechał we wrota miejskie, książę i żona jego poznać mogli łatwo, że ich tu nie witano, jak dawniej bywało i jak panu przysługiwało.

Gdy wieczorem, gdy już ciemno, wieczery wstawszy, unikając rozmowy, szedł do izby swej osobnej, drogę mu zastąpiła Agnieszka.

— Słuchaj — odezwiała się — chcę wiedzieć, co postanowili. Ja za krzywdę moją pomstę mieć muszę... Mówiłam ci, powtarzam: Gardło chce tego Petka!

Książę Władysław, stanąwszy, walczył z sobą długo: wyroku śmierci na Petka dać nie chciał.

— A ja ci rzekł i powtarzam, — odezwał się, niewyraźnie — że mu życia nie wezmę! Ojciec mu wiele winien był, rycerz jest możny, zasłużony, choćby dziś winien był. Miłość mu się należy! Nie wezmę życia!

— A ja ci mówię, że inaczej być musi! — zawołała gwałtownie — nie chcę cię znać!...

Władysław zmęczonym krokiem wyszedł z komnaty.

Nazajutrz, gdy rano, książę Władysław wstał z postania, gdy Dobek nadbiegł, oznajmując mu, że książę Janik, biskup, zgłosił się, chcąc przybyć do księcia z pokłonem.

Władysław, według zwyczaju, wyszedł do progu przeciw biskupowi.

Książę Janik z postawą rycerską, mężnie, z czołem pogodnem wszedł do komnaty, zasiadł obok księcia, a po chwili milczenia odezwał się:

— Nie chcę kryć żem do miłości waszej przybył sprawie mojego powinowatego. Wszyscy zdumiewamy się, aby mąż, co tak stał wysoko, mógł nagle być straconym tak nisko. Cóż uczynił?

— Zuchwałym był! oszczercą i zdrajcą! — odparł Władysław.

Książę Janik wysłuchał tego i nie nie odpowiedział na ten zarzut, dodał:

— Nie może to być, abyście chcieli życie wydzierać temu, którego ziemie nasze miłują i szanują, jak ojca!

Książę, nie patrząc na żonę, rzekł żywo:

— Nie lękajcie się o to; życia mu nie wezmę, nie, ale karę słuszną domierzoną mieć musi.

Biskup odetchnął lżej.

— Bądźcie litościwym — ciągnął dalej — abyście sami litości doznali, gdy jej w życiu potrzebować będziecie.

Po wyjściu księdza Janika Agnieszka przyskoczyła do męża.

— Coś ty rzekł! Coś rzekł! Mówisz, że mu życia nie weźmiesz?

— Nie wezmę! nie! nie! — zawołał ksiązę głosem silnym — a gdybyś mi stokroć oddaleniem groziła, powtórzę nie wezmę! Nawet gdybyś jechała zaraz — nie wezmę!

Zona nigdy go tak silnym w sobie nie widziała: cofnęła się nieco, bo ją strwożył. Ksiązę stał poruszony i drżący, jak człek słaby, który się na coś stanowczego odważył.

— Chcesz krwi! — wołał. — Naposiadłaś się na krew jego! Oczy mu wylupić, wygnać go! zubożyć go, ale gardła jego kto tknie, przysięgam, sam je da!

Chciwie słuchała Agnieszka i poza księciem u drzwi stojący Dobek. Czekal skinienia tylko.

— Słyszaleś wyrok pański! — zawołała — spełnił go Reszta potem!

Dobek zniknął za zasłoną.

Tego dnia, gdy księżna Agnieszka dała znak Dobkowi, aby wyrok spełnił, jakimś przeczuciem pędzony Jaksa, nie zważając na niebezpieczeństwo, przybył do Wrocławia na dwór księdza Janika.

Na opactwie dowiedział się też Jaksa, że panią Petrkową z córką wyprawiono na miejsce bezpieczne, ale mało go tam znając i młodym widząc, nie powiedziano, dokąd niewiasty posłane były, aby się to nie wydało. Gdy Jaksa okrywszy się lada opończą, aby poznanym nie był łatwo, wszedł z innymi ludźmi na zamek, Dobek właśnie rozogniony, nieprzytomny, rad, że dopiął swego, bo się spuścizny po pałatynie spodziewał, leciał z kilku siepaczami do więzienia.

Otwarto wrota; Jaksa, weisnąwszy się z innymi, u muru zdala przystanął, przewidując z trwogą, że się tu coś strasznego gotować musiało.

Gdy na światło dzienne wywleczono Petrka, oczy, rażone blaskiem, zrazu zamknąć musiał, bo odwykły od niego, znieść nie mógł po ciemnościach.

Dobek, zobaczywszy go z powiekami zmrużonemi, śmiać się począł okrutnie.

— Nie zamykaj oczów — zawołał. — Napatrz się na światłość dzienną! rychło nie ujrzysz już jej, bo ci twe ślepią z rozkazu pana wyrwać każe! A i języka dobrze podciąć, byś nim nie szczekał! Psie podły!

Jęknął Petrek.

Kazano przynieść ławę i krępować w tył ręce Petrko-wi, który spokojnie poddawał się rozkazom.

Oprawcy odrętwieli litością zdjęci. Stało się straszne milczenie, które lada chwila jęk straszniejszy miał przerwać!

Siepacz zbliżył się do Petrka... rozejrzał się po stojących pacholkach, a widząc, że wszyscy, grozą zdjęci, nie śmia patrzyć na to, co się stać miało, szepnął palatynowi:

— Nie bójcie się! Oczy zakrwawię tylko, nie wyjmę, język skaleczę, siedź, jęcz, krzycz, niech myślą, żeś oślepl! Krzycz! — I wziął się do krwawego dzieła swego.

Petrek nie jęknął nawet.

Gdy Dobek, wyczekawszy dobrą chwilę, odwrócił się, zdało mu się, że wszystko było spełnione.

— Puścić go! niech idzie o żebrany chlebie. Sakwy mu dajcie, kij, wyszczuć za wrota! Syn ślepemu potrzebny, niech prowadzi! Won ich za wrota! won!

Ledwie z pośpiechem gorączkowym słów tych domówiwszy, Dobek zwrócił się, biegnąc do księżny Agnieszki, aby jej donieść, że wyrok spełniono.

Nie pomyślano już narazie o tem, co się z okaleczonym Petrkiem stać miało. Tymczasem u drzwi więzicznych, jakby wszyscy byli w zmowie, bliżej stojący chwycili Petrka, który, mając krwią zalane oczy, ślaniał się na nogach, nie mogąc utrzymać. Światosław objął go rękami, a Jaksa z pod muru przybiegł, krzycząc i nalegając:

— Uchodźmy, uchodźmy, na biskupi dwór co prędzej.

Nikt im nie tamował drogi, owszem, miejscowi oprawcy, litościwi i usłużni, wskazali mu i otworzyli furtę boczną, do drożyny za wałami.

Gdy doszli nareszcie do wrót dworu biskupiego, do których Jaksa natychmiast gwałtownie szturmować począł, powybiegali ludzie biskupi i cofnęli się, strwożeni widokiem okrwawionej ofiary. Wrzawa powstała w dworcu; sam biskup, usłyszawszy o Petrku, wybiegł jak stał na przedsienie, a ujrzawszy palatyna, którego ku niemu wiedziono, podniósł ręce do góry, zemsty Bożej wzywając. Nie było naówczas innych lekarzy nad mnichów Benedyktynów, uczniów szkoły

sarlenitańskiej i Żydów, którzy z arabskich ksiąg niejakię wiadomości medyczne czerpali. Jaksę pobiegł natychmiast na opactwo z wiadomością o ocalonym.

Opat i braciszek Cencio, lekarz, w tejże chwili pośpieszyli z pomocą religijną i z balsamami.

Cudownie ocalony i pokaleczony tylko Petrek, nie wydał się z tem jeszcze, że oprócz krwi, nie postradał nic, obawiał się bowiem, by wieść o tem nie stała się powodem nowego gwałtu. Milczał.

Dopiero, gdy opat wszedł, prowadząc za sobą braciszka Cencio, gdy biskup się oddalił, a Światosław pozostał tylko, Petrek zbliżającemu się mnichowi, do ucha go przyciągnąwszy, szepnął:

— Cudem niewymownym łaski Bożej ocalony jestem; kat litościwszy był od księcia, skaleczył mnie, ale oślepić nie chciał, a język ranil mi i przyciął niewiele.

Brat Cencio, przyklasnąwszy, opatrywać go począł.

Niestety! Drżąca ręka oprawcy jedno oko, nie chcąc, zraniła srodze, tak, że wypłynięciem groziło. Drugie się uratować dało. Język pozostał cały, ale przecięty był głęboko i posieczony.

Na zamku spełniona zemsta, której pragnęła Agnieszka i Dobek, nie sprawiła radości nikomu. Księżna, oprzytomniawszy z pierwszego wrażenia, znowu się domagała, aby Petrkwowi i życie odjęto.

Sam Władysław, gdy się o oswobodzeniu Petrka dowiedział, stał się niespokojnym. Obawiał się zemsty, wyrzucał Dobkowi i żonie, iż głowy potracili. Natychmiast wyzwolonych gonić kazano, ale nim zostały wydane rozkazy, do których spełnienia użyć musiano ludzi zamkowych, późno już było do pogoni, a nikt do niej szczeręj ochoty nie miał.

Cała ludność wiejska za Petrkiem była, każdy był gotowym pomódz mu, chwytac go wszyscy się wzdrgali. Wybiegli wysłani wrzekomo w pogoń, w istocie z pragnieniem wielkiem, aby na Petrka natrafić mogli i do ucieczki mu dopomódz. W takich więc warunkach, nikomu się zbyt dziwnem nie wyda, że Petrka nie schwytano.

W parę dni później, po naradzie Dobka z księżną i księciem, wypuszczono starostę Rogera na wolność, wzięwszy zeń słowo i porękę od biskupa Janika, że złoży wykup w sumie pięciuset grzywien w oznaczonym terminie.

Sprytny mąż niewiele myślał o sobie i o swym wykupie, nie dbał o osobistą swobodę i miał starać się o grzywny, których sam nie miał, puścił się między ludzi, podże-

gając ich do zemsty za Petrka i ściągając ich na stronę młodych książąt.

W kraju całym wrzało tymczasem. Wojska Władysławowe, złożone z Niemców i Polowców, czyniły straszne spustoszenia, lud krył się po lasach... groza wionęła po państwie całym.

Podczas gdy żona Petrkowa wraz z córką przebywała w Komorowie, on sam na dworze młodych książąt otoczony był troskliwą opieką.

Szanowano go tu, jak ojca, starsi przychodzili doń po radę, a obie księżne czuwały nad starcem, by mu na niczem nie zbywało.

Niepokoił się jeno bardzo o los żony i córki, lecz Jaksa, wierny towarzysz niedoli, wyruszył na zwiady, gdzie ukryto niewiasty, aby biednemu okaleczonemu starcowi oszczędzić bólu i niepokoju.

Wkrótce też wrócił z wieściami, że obie są bezpieczne, u niego, u matki, a i sam czuł się szczęśliw. że ukochana swa dziewczeczkę oglądał. Do radości jego wiele przyczyniło się spostrzeżenie, że matka, ongi tak przeciwna Błogosławie, teraz ujęta jest jej dobrocią i anielską pięknością, a że i Petrek srodze odpokutował grzech swój przeciw Wołodarowi, dziś już zyskał jej współczucie. Młody Marek więc widział swą przyszłość w różowych barwach, i gdyby nie klęski kraju, czułby się nad wyraz szczęśliwym.

Tymczasem wojska z obu stron ściagały się ku Pilicy, a młodszy książęta i księżne dwie mieli ciągnąć do Poznania. Bliżej bowiem tu byli arcybiskupa gnieźnieńskiego, na którego pomoc duchowną i orężną rachowali.

Pierwsze starcie wojsk nastąpiło pod Pilicą. Najnie spodziewaniej Władysław ze swoimi został na głowę pobity. Otucha wstąpiła w serca młodych książąt, czekano oblężenia Poznania, gdzie skupili się najważniejsi i gotowano do dalszej obrony.

Jakoż tysiące ludzi sunęło w stronę tego grodu... jak okiem sięgnąć, rozłożył się dokoła obóz Władysławowy, albo raczej kilka obozowisk, połączonych ze sobą.

Niewielki gród, choć warowny, wśród tej okolicy, gęsto, szeroko ludem nabitej, zdawał się jakby orzechem w potężnej dłoni, co go ścisnąć mogła i na miazgę zgruchotać!

To też na zamek ów patrzano z obozu księcia Władysława, jak na łatwą zdobycz, którą każdej godziny pochwycić było można.

I książe Władysław inaczej teraz myślał, innego się spodziewał, niż gdy z pod Pilicy sromotnie uchodzić musiał. Coraz wychodził z namiotu swojego i spoglądał na gród, bo w nim zebrani byli wszyscy, których ująć chciał, aby wojnę zakończyć. Byli nimi: czterej bracia młodszy, Petrek, zdrajcą mianowany, Wszebór, zdrajca drugi, i mnodzy inni, których zdrajcami zwano.

Na grodzie obleżonym tak cicho było, tak się wydawało pusto, jakby go już rozpacz ogarnęła i oniemiała albo nadzieja karmiła niepojęta. Namiot pański zdala poznać było można, bo był ogromny, płatami szkarlatu okryty, a pobudowany tak, aby księcia, jego dwór, kuchnię i czeladź mnogą pomieścił.

Dnia jednego konny człok dopadł do księcia, i wskazując ręką daleko, niby poza obozowe szranki, począł wolać zdyszany:

— Tam! he! jest ich dość! woje ciągną! Dla obleżonych gromady!

Książe roześmiał się pogardliwie.

— W matnię sami idą — odezwał się — a niech idą! Spóźnili się pewnie na odsiecz zamkowi!

Wtem z drugiej strony nadbiegł rotnik stary.

— Droga od Gniezna orszak tu jakiś ciągnie — rzekł. — Krzyż przed wozem niosą. Wóz czerwono wysłany, na nim siedzi mąż wiekowy w sukni szkarlatnej.

Książe Władysław zatrząsł się.

— Arcybiskup z Gniezna! — zawołał.

Ludzie na wzgórzu kupili się i patrzyli, bo na gościńcu widać już było poczet niemały.

Krzyż srebrny, który świecił cały od słońca, wiózł na koniu siedzący krucyfer. Za nim jechał dwór konny i liczny orszak zbrojny, a w pośrodku, na wozie krytym, jechał sędziwy Jakób ze Żnina.

Ten występ duchowieństwa, tak odświętny, uroczysty jakiś, wydał się patrzącym z namiotu dziwnym, strasznym prawie.

Orszak podjechał pod sam namiot księcia.

Ludzie się gromadzili, wyszedł zwolna książe, odkrywszy głowę, wysunęła się za nim Agnieszka. Biskup, nie zsiadając z wozu, powstawszy tylko z siedzenia, przemówił głosem poważnym.

— Nie gościem ja tu do was przybyłem, ale mścicielem. Pogwałciliście Boskie i ludzkie prawa, ziemie nasze zaleliliście pogaństwem... trupami usłane pole! To sprawa wasza! Idziecie, następując nielitościwie na gardła braci waszych, nie opamiętani niezem.

Wstrzymał się; wzruszenie mu głos w piersi zata-mowało. Władysław blady milczał.

— Nie kajacie się! — mówił biskup dalej. — Niech spadnie na was grom Boży! — i ręce do góry rozpostarłszy, zawołał głosem gromkim, niby dzwon pogrzebowy:

— Anathema na ciebie, Władysławie, anathema na żonę twą i współniczkę, na cały ród twój do dzisiejszego poko-lenia! Bądźcie przekleci na ziemi, w życiu i po zgonie! Bądźcie przekleci z Kainem i Lucyperem! Anathema na was! Anathema!

Wypowiedziawszy to wyklecie, biskup cisnął świece, podana mu przez księdza, a za nim inni, wszyscy poczęli rzucać i gasić światła, które trzymali w rękach, powtarzając chórem głosami wielkimi:

— Anathema! Anathema!

Straszne milczenie zaległo w obozie... Podretwieli wszyscy... śmiercią powiało... Orszak biskupi oddalał się zwolna.

Książę został drżący... upokorzony.

Przyszedł do siebie dopiero, gdy Agnieszka z płaczem i gniewem doń przybiegła.

— Słać potrzeba natychmiast do Rzymu! ze skargami do papieża! Nie pierwsza to niesprawiedliwa kłatwa, której Pan Bóg nie wysłucha! Zważać na nią byłoby tchórzostwem, zguba, podłością! Nie mieli innego ratunku, to ostatnia ich strzała. Gdy to nie poskutkuje, poddać się muszą!

Nazajutrz rano rozpocząć się miał napad na zamek.

Nie śpieszono się z tem bardzo, nie chcąc nadaremnie tracić ludzi, gdy i tak poddanie się grodu było nieuchronionem. Czekano więc cierpliwie.

Około południa wszystko w obozie szło na spoczynek. Książę Władysław, nod namiotem siadł razem z księżną za stół. Oboje ochłonęli ze strasznego wrażenia, jakie wywarło na nich przekleństwo biskupa. Biesiadowali więc spokojnie, pewni zwycięstwa.

Wtem ogromny wrzask powstał w obozie, widać było nagle od kotłów zrywających się ludzi, bieżących ku koniom i broni.

Pierwsza wrzawa powstała od strony grodu, skąd już biegł komornik książęcy, wołając, że z zamku wypadła garść zbrojnych ludzi i na obóz uderzyła.

Tymczasem i na tyłach obozu rozruch się stał także. I tam ludzie, napadnięci u kotłów i kadzi, bezbronni, porzucawszy napój i jadło, lecieli do szałasów po pałki, siekiery i tarcze, które do kupy poustawiane były.

W całym obozie już się ruszało co żyło; Dobek napół uzbrojony wpadł do namiotu.

— Zdrajcy! — zawołał — z dwóch stron napadli nas razem! Z grodu wyskoczyli jedni, wypatrzywszy, że nasi nie w pogotowiu, zgnetli ich, na tyłach walka, cisną naszych...

Książę wstał... Agnieszka doń przypadła, wołając:

— Koni! Koni! dwór do pana! do nas! nędsko jedźmy stąd.

Z dwóch boków pochwycone wojsko księcia Władysława, choć liczniejsze, na miazgę starte zostało.

Ludzie się nie spodziewali napadu, a opitych gubił postrach szalony. Kupami leżały trupy, konie, jak oszalałe, rżąc i wierzgając, miotaly się na pobojuwisku.

Wśród zajądłej walki nikt nie pomyślał o pogoni za księciem Władysławem i Agnieszką, którzy z małą garścią dworu i straży swej zdołali dopaść do lasów i niemi ująć przed nieprzyjacielem.

Późną już nocą wszyscy książęta zeszli się do dolnej izby zamkowej. Dwu z nich było w walce i wracało z niej, Bolko i Mieszek, dwu młodszych patrzyło na nią z wieży i drżało jeszcze, groza tego widoku przejęci. Z zawiązana głową w pośrodku nich stał palatyn Petrek, szepcząc modlitwę dziękczynną:

— Dałeś mi, Panie, dożyć tej chwili sprawiedliwości Twojej, odpuść mnie teraz w pokoju! Amen!

W Komorowie siedziały niewiasty, karmiąc się wieściami, które im ludzie przynosili. Stara Jaksowa doglądała swych gości. Żona Petrika ciągle we łzach tonęła, nienawna losu swego męża i swojej przyszłości. Błogosława napróżno się ją ukoić starała. Znekane przejściami dziewczę wiedło w oczach i usychało.

Jaksowa, która na nią już jak na synowę patrzyła, bolała mocno, że zapobiedz temu nie była w stanie. Pieściła ją za matkę, żywiła, przytulała, tchem własnym rada ją wzmacnić. Napróżno! Z twarzyczki jej znikły rumieńce,

na ustach tylko trochę krwi zostało, a oczy coraz jaśniej świeciły, jakby gdzieś za światy przejrzyć chciały.

Jednego ranka zatętniało, Błogosława wybiegła na podwórze. Podwórca pełne były ludzi, konnych, wozów, a w posrodku na koniu stał Światosław, za nim Jaksa. Zobaczywszy siostrę, Światosław skoczył z siodła i padł sobie na szyję, płacząc z radości. Ona wiodła go do matki.

Na widok syna ukochanego zerwała się matka, krzyknęła i napół omdlała upadła na posłanie. Syn nogi jej całował. Słowa mu się w ustach płątały.

Dowiedziała się Petrkowa, że po nią przybył syn, że dawna wielkość powróciła do ich domu, i że we dworze pod Sobótką czeka na nią pół ślepy mąż, który sam jechać nie mógł, bo siły postradał.

Powrot palatyna do dworu tak uroczysty był, jak okrutne z niego porwanie. Gdy się o zbliżającym dowiedzieli starzy druhowie, jechał naprzód starosta Roger z ziemiany o mil dziesięć, aby go poczestnie wprowadzili na dworzec, już na przyjęcie jego przysposobiony.

Chociaż Petrek odarty był ze wszystkiego, lecz skoro Władysław upadł, on powracał do majątności, w mgnieniu oka znalazło się, co utracił. Dali królewicze swojemu obrońcy obfite dary i Petrek miał już czem się urządzić.

A gdy miał do domu wjeżdżać, zaszli mu drogę O. O. Benedyktyni z opatem na czele i mieszczanie, wyjechał ksiądz Janik, zebrał się wszelakiego ludu tłum ogromny, uderzono we dzwony w kościele.

I była chwila uroczysta, która ludziom z oczów łzy wyciskała, gdy go ujrzeni z oczami chustą białą zawiązanemi, pieszo naprzód idącego do kościoła na podziękowanie Bogu. Kościół cały płonął światłem, rozlegał się pieśniami. Tu kląkszy u ołtarza, Petrek upadł na twarz, ludzie płakali, a mnisi śpiewali...

Zapełnił się dwór znowu biesiadnikami, gośćmi i wrzawą, jak za dobrych czasów. Petrek na żonę i córkę czekał, dni rachując.

Aż jednego ranka dano znać, że jedzie Marja; wyszedł Petrek naprzeciw, a wstyd mu było prawie stawić się przed piękną niewiastą z krwawemi oczami, twarzą wybladłą i zestarzałą.

Gdy wóz się zatoczył przed dwór, Petrkowa spojrzała na męża, krzyknęła i zakryła swe piękne oczy. Puszczono ją i wiedziono do domu. Biedna niewiasta szła, ręce łamiąc,

za nią córka, wiódąc ojca, izawenni oczami wpatzonego w młodą jej twarzyczkę, przekwitłą niedolą, zwiędłą od smutku, co się uśmiechać musiała.

I Jaksa szedł za nimi, nie spuszczać z niej wzroku, nie wiedząc, czy się cieszyć, że wracała, czy smucić, że cień jej widział tylko.

Nim się biedna Petrkowa oswoiła z nową dolą swoją, z mężem kaleką, z życiem, trochę upłynęło czasu. Jaksie już dawno Petrek powiedział, ściskając go:

— Córkę ci dam, bom ci dłużej wiele, ano, bądź sierpliw, kwiatek to mierzokwitły.

Jechali swaty, Petrek przyjął Jakse za zięcia.

Gdy księżna Agnieszka uciekać potem musiała z Krakowa z Niemcami swymi, a Bolko objął stolicę i w kraju na czas ucichło, bo Niemcy się tylko zdala odgrazali i burzeli, sprawiono wesele wielkie, jakiego Wrocław nie widział jeszcze.

Szła panna młoda do ołtarza, aż się ludzie dziwili, czy niewiastą była żywą, czy cieniem, a duchem, bo w niej już krwi nie stało na rumieniec, i siły do uśmiechu. Potem jechali młodzi do Komorowa i Światosław ich jako brat prowadził, a przyjmowała matka stara i gromady na zamku okrzykiwały, jakby gniazdo ślali na długie szczęście i życie!

Było to jesienią.

Na wiosnę z zamku szedł pochód wielki, przed nim w kapie czarnej ksiądz Marcin, który im ślub dawał, za trumną mąż w rozdartych szatach, i brat, i ojciec. Matki nie było.

Zabili mi ją! — mówiła płacząc.

A kto ją zabił, Bóg osądzi.



Jaksa w strapieniu wielkiem po żonie, gdy książę Henryk szedł do Ziemi Świętej, walcząc o odzyskanie Grobu Chrystusowego, pociągnął z nim razem, chcąc zginać, aby nie dźwigać życia, które srodze ciążyło tęsknotą.

Nie wzięła go przecie ani strzała, ani miecz niewiernych i wrócił cały do starej matki do Komorowa. I on to był, co mnichów, Stróżów Grobu Chrystusowego, przywiózłszy osadził.

K O N I E C.

